

LUDMIŁA ULICKA



ZIELONY NAMIOT

**LUDMIŁA
ULICKA**

**ZIELONY
NAMIOT**

Z rosyjskiego przełożył
Jerzy Redlich


Świat Książki

*Nie pocieszajmy się tym, że czasy są
niełuszne. Ich moralna niełusznosc
nie czyni nas jeszcze sprawiedliwymi,
ich nieludzkość jest niewystarczająca,
byśmy, nie zgadzając się z nią, już
przez samo to stali się ludźmi.*

B. Pasternak do W. Szalamowa
9 lipca 1952 roku

PROLOG

Tamara siedziała nad talerzem z rzadką jajecznicą i jadła, jeszcze dosypiając.

Mama, Raisa Iljiniczna, delikatnym ruchem przepychała rzadki grzebień przez jej włosy, starając się nie szarpać zbyt tego żywego wołoka.

Z radia płynęła uroczysta muzyka, ale nie za głośno: za przepierzeniem spała babcia. Potem muzyka umilkła. Pauza była zbyt długa i jakaś znacząca. Później odezwał się znany wszystkim głos:

– Uwaga! Mówi Moskwa dla wszystkich radiostacji Związku Sowieckiego. Nadajemy komunikat oficjalny...

Grzebień znieruchomiał we włosach Tamary, a ona sama od razu się obudziła, przełknęła jajecznicę i odezwała się ochryplym od snu głosem:

– Mamo, to na pewno jakieś drobne przeziębienie, a oni od razu na cały kraj...

Nie dokończyła, bo Raisa Iljiniczna nieoczekiwanie z całej siły szarpnęła grzebieniem, głowa Tamary gwałtownie się odchyliła i dziewczynka kłapnęła zębami.

– Milcz – zdławionym głosem syknęła Raisa Iljiniczna.

W drzwiach stała babcia w szlafroku starym jak

Wielki Mur Chiński. Wysłuchała komunikatu z rozjaśnioną twarzą i rzekła:

– Rajeczko, kup u Jelisiejewa coś słodkiego. Nawiasem mówiąc, mamy dziś Purim. Myślę, że Samech jednak zdechł.

Tamara nie wiedziała wówczas, co to jest Purim, dlaczego należy kupować coś słodkiego, a tym bardziej, kto to jest „Samech”, który zdechł. Zresztą skąd mogła wiedzieć, że Stalina i Lenina w ich rodzinie z dawien dawna dla niepoznaki nazywano, od pierwszych liter ich pseudonimów partyjnych, „s” i „l”, i w dodatku w starożytnym potajemnym języku – „samech” i „lamed”.

A tymczasem ulubiony głos kraju doniósł, że ta choroba to wcale nie katar.

Gala już włożyła mundurek i teraz szukała fartucha. Gdzie się podział? Zajrzała pod tapczan – czy tam nie spadł?

Nagle matka wypadła z kuchni z nożem w jednej ręce i ziemniakiem w drugiej. Wyła nie swoim głosem, i Gala pomyślała, że matka się skaleczyła. Ale krwi nie było widać.

Ojciec, z rana ociążały, oderwał się od poduszki:

– Czego wrzeszczysz, Ninka? Czego wrzeszczysz z samego rana?

Ale matka wyła coraz głośniejsze, w jej urywanych wrzaskach prawie nie można było rozróżnić słów:

– Umarł! A ty śpisz, głupcze? Wstawaj! Wstawaj! Stalin umarł!

– Ogłosili? – Ojciec uniósł dużą głowę z przyklepionymi do czoła włosami.

– Powiedzieli, że zachorował. Ale na pewno umarł, mogę przysiąc, że umarł! Sercem czuję!

Potem znowu rozległy się niezrozumiałe wrzaski, przez które przebiło dramatyczne pytanie:

– Oj, oj, oj! I co teraz będzie z nami wszystkimi? Co będzie?

Ojciec się skrzywił i powiedział ostro:

– No i czego wyjesz, głupia? Czego wyjesz? Gorzej nie będzie!

Gala wreszcie wyciągnęła fartuch – rzeczywiście wpadł za tapczan.

– A, niech będzie zmięty, nie będę prasować – postanowiła.

Nad ranem gorączka spadła i Ola zasnęła mocnym snem – bez potów i bez kaszlu. I spała prawie do południa. Obudziła się, bo do pokoju weszła matka i obwieściła głośno, uroczystym tonem:

– Olga, wstawaj! Zdarzyło się nieszczęście!

Nie otwierając jeszcze oczu, tuląc się do poduszki w nadziei, że to sen, ale już odczuwając potworne drapanie w gardle, Ola pomyślała: „Wojna! Napadli na nas faszyci! Wojna się zaczęła!”.

– Olga, wstawaj!

Co za nieszczęście! Faszystowskie hordy tratuja naszą świętą ziemię, i wszyscy pójdą na front, a jej nie wezmą...

– Stalin umarł!

Serce jeszcze kołatało w gardle, ale oczu nie otwierała: chwiała Bogu, że to nie wojna. A kiedy wojna się zacznie, ona będzie już dorosła i wtedy ją wezmą. Przykryła głowę kołdrą, wymamrotała przez sen: „I wtedy mnie wezmą” – i usnęła z pogodną myślą.

Matka zostawiła ją w spokoju.

CUDOWNE LATA SZKOLNE...

Warto czasem prześledzić drogi prowadzące ku nieuniknionemu spotkaniu dwojga przeznaczonych sobie osób. Czasem do takiego spotkania dochodzi bez szczególnych wysiłków losu, bez kunsztownej intrygi, zgodnie z naturalnym biegiem wydarzeń – na przykład ludzie mieszkają w jednym domu albo chodzą do tej samej szkoły.

Ci trzech chłopcy chodzili do jednej szkoły. Ilja i Sania – od pierwszej klasy. Micha dołączył do nich później. W hierarchii, która powstaje samorzutnie w każdym stadzie, wszyscy trzech zajmowali najniższe pozycje, ponieważ zupełnie nie nadawali się ani do bójek, ani do okrutnych zabaw. Ilja był długi i chudy, ręce i nogi sterczały mu z za krótkich rękawów i nogawek. W dodatku nie było gwoździa czy żelastwa, które nie wyrwałyby w jego ubraniu jakiejś dziury. Jego matka, samotna i wiecznie przygnębiona Maria Fiodorowna, dwoiła się i troiła, by poprzyszywać krzywe łąty swymi niezręcznymi rękami. Nie miała pojęcia o szyciu. Ilja, zawsze ubrany gorzej od innych, też kiepsko ubranych chłopców, bez przerwy pajacował i kpił, popisując się swym ubóstwem, i był to najlepszy sposób, żeby je przewyciężyć.

Sytuacja Sani była jeszcze gorsza. Kurteczka na za-

mek błyskawiczny, dziewczęce rzęsy, irytująco ładna buzia i płócienne serwetki, w które zawijano mu kanapki, budziły zawiść i niechęć wśród kolegów z klasy. W dodatku uczył się grać na pianinie i często widziano, jak jedną ręką trzymając dłoń babci, a papier nutowy drugą, szedł ulicą Czernyszewskiego, była i przyszła Pokrowką, do szkoły muzycznej imienia Igumnowa, czasem nawet podczas swoich licznych, niezbyt ciężkich, ale przewlekłych chorób. Babcia – sam profil – stąpała na cienkich nogach jak koń cyrkowy i miarowo potrząsała głową. Sania szedł z boku i trochę z tyłu, jak przystało stajennemu.

W szkole muzycznej, inaczej niż w ogólnokształcącej, Sanię się zachwycano – już w drugiej klasie na egzaminie tak zagrał Griega, że nie każdy uczeń piątej klasy potrafiłby to wykonać. Rozczulał również niski wzrost wykonawcy: gdy miał osiem lat, brano go za przedszkolaka, a gdy miał dwanaście – za ośmiolatka. W szkole podstawowej z tego samego powodu Sanię przezywano Krasnałem. Nie było w tym żadnej czułości, tylko złośliwe kpiny. Sania świadomie unikał Ilji. Nie tyle z powodu ciągłych złośliwości, niedotyczących specjalnie Sani, ale od czasu do czasu boleśnie go raniących, ile z powodu poniżającej różnicy wzrostu.

Ilję i Sanię połączył Micha, gdy się pojawił w piątej klasie, wywołując ogólny zachwyt: był doskonałym celem dla każdego – klasycznym rudzielcem. Głowa ostrzyżona na zero, czerwonożłota krzywa grzywka, przezroczyście malinowe uszy, niczym żagle, sterczące w niewłaściwym miejscu, jakoś zbyt blisko policzków; był blady i piegowaty, nawet jego oczy miały odcień pomarańczowy. W dodatku był okularnikiem i Żydem.

Po raz pierwszy pobito Michę już pierwszego września – niezbyt mocno, profilaktycznie – na dużej pauzie, w klozecie. Bili nawet nie sami Murygin i Mutiukin – ci nie chcieli się do tego zniżyć – ale ich poplecznicy. Micha po stoicku zniósł lanie, otworzył teczkę, wyjął chustkę, żeby wytrzeć smarki, a tu nagle z teczki wyrzła kociak. Kotka mu odebrano i zaczęto nim rzucać z rąk do rąk. W tym momencie wszedł Ilja – najwyższy w klasie! – złapał kotka ponad głowami siatkarzy, a dzwonek na lekcję przerwał to ciekawe zajęcie.

Przy wejściu do klasy Ilja podał kota przechodzącemu Sani, a ten schował go do teczki.

Na ostatniej przerwie główni wrogowie ludzkości, których nazwiska, Murygin i Mutiukin, staną się podstawą przyszłej zabawy filologicznej i z wielu powodów warte są wymienienia, przez chwilę poszukiwali kociaka, ale wkrótce o nim zapomnieli. Po czwartej lekcji wszystkich zwolniono i chłopcy z dzikim wrzaskiem wybiegli ze szkoły, zapominając o owych trzech, którzy pozostali w pustej klasie, zastawionej kolorowymi astrami.

Sania wyciągnął na wpół uduszonego kociaka i podał go Ilji. Ten przekazał go Misze. Sania uśmiechnął się do Ilji, Ilja do Michy, Micha do Sani.

– Napisałem wiersz. O nim – powiedział Micha, zażenowany. – Posłuchajcie.

Był najpiękniejszym z kotów
I na śmierć prawie gotów,
Ilja go od śmierci uratował
I teraz z nami obecnie
Się uchowal*

* Wiersze nieopatrzone przypisami przełożył Jerzy Redlicki.

– No, nieźle. Oczywiście to nie Puszkina – skomentował Ilja.

– „Teraz – obecnie” nie może być – zauważył Sania, a Micha samokrytycznie się zgodził:

– Racja. I teraz jest z nami. Bez „obecnie” brzmi lepiej!

Micha opowiedział szczegółowo, jak rano, po drodze do szkoły, wyciągnął biednego kotka niemal z samej paszczy psa, który zamierzał go zagryźć. Ale nie mógł go zanieść do domu, bo ciocia, u której mieszka od poniedziałku, nie wiadomo jak by się do tego odniosła.

Sania głaskał kotka po grzbiecie i wzdychał:

– Nie mogę go wziąć, mamy w domu kocura; jemu na pewno się to nie spodoba.

– Dobra, ja go wezmę. – Ilja z nonszalancją wziął kociaka.

– A w domu nic nie powiedzą? – zainteresował się Sania.

Ilja się uśmiechnął:

– W domu będzie tak, jak ja powiem. Mam dobre stosunki z matką. Ona mnie słucha.

„Jest całkiem dorosły, nigdy taki nie będę, nie potrafię nawet wykrztusić: «mam z matką dobre stosunki». Nie dziwota: jestem maminsynkiem. Chociaż mnie moja mama też słucha. Nawet więcej, niż słucha! Ale i tak jest inaczej” – zmartwił się Sania.

Patrzył na kościste ręce Ilji w żółtych i ciemnych sińcach, zadrapaniach. Na długie palce; takimi palcami można objąć dwie oktawy. Micha tymczasem ustawiał kociaka na swojej głowie, na rudej pluszowej grzywce, którą wielkoduszny fryzjer przy Bramie Pokrowskiej zostawił mu wczoraj „na rozmnożenie”. Kociak się ześlizgiwał, Micha wciąż sadzał go na głowie.

Wyszli ze szkoły w trójkę. Nakarmili kociaka roz-

topionymi lodami. Sania miał pieniądze. Starczyło na cztery porcje. Jak się później okazało, Sania zawsze miał pieniądze... Po raz pierwszy w życiu Sania jadł lody na ulicy, wprost z opakowania: kiedy babcia kupowała lody, to nieśli je do domu, wkładali topniejącą górkę do szklanej czarki na niskiej nóżce, z wierzchu kładli wiśniowe konfitury – i dopiero tak jedli.

Ilja opowiadał z zapalem, jaki to aparat fotograficzny kupi sobie za pierwsze zarobione pieniądze, a przy okazji wyłożył plan, jak mianowicie te pieniądze można zarobić.

Sania ni z tego, ni z owego, raptem wyjawiał swoją tajemnicę – ma za małe ręce, „niepianistyczne”, a to u wykonawcy wielka wada.

Micha, który właśnie się zadomawiał w kolejnej – trzeciej z kolei w ciągu siedmiu lat – spokrewnionej rodzinie, powiedział tym prawie nieznanym chłopcom, że krewni już się wyczerpują, więc jeżeli ta ciotka nie zechce go dłużej zatrzymać u siebie, to będzie musiał znowu iść do domu dziecka.

Nowa ciotka, Gienia, wiecznie kwękała. Nie miała jakiegś określonej choroby; ze smutkiem i znacząco mówiła: „Cała jestem chora” – i stale skarżyła się na bóle w nogach, plecach, w piersiach i nerkach. Prócz tego miała kaleką córkę, co też źle wpływało na jej zdrowie. Każda praca była dla niej za ciężka, więc w końcu rodzina postanowiła, że bratanek zamieszka u niej, a po krewnych będą zbierać pieniądze na jego utrzymanie. Micha, bądź co bądź, był synem jej poległego na wojnie brata.

Chłopcy łazili i gadali, gadali i łazili, a potem zatrzymali się nad rzeką Jauzą, umilkli. Równocześnie po-

czuli, jaką dobrą rzeczą jest zaufanie, przyjaźń, równo-
uprawnienie. Nie zastanawiali się, kto jest ważniejszy,
przeciwnie, każdy wydawał się pozostałym równie
interesujący. A o Saszy i Niku, o przysiędze na Wzgó-
rzach Worobiowskich jeszcze nic nie wiedzieli, nawet
oczytany Sania nie odkrył jeszcze Hercena. Zresztą te
paskudne miejsca – Chitrowka, Gonczary, Kotielniki –
od stuleci uważane za najbardziej śmierdzące w mie-
ście, nie były stworzone do romantycznych przysięg.
Ale stało się coś ważnego: taka więź między ludźmi jest
możliwa tylko w wieku młodzieńczym. Haczyk zache-
pia się o samo serce i nic łącząca ludzi dziecięcą przy-
jaźnią nie zrywa się przez całe życie.

Później, po długich sporach, ów sojusz serc na-
zwą pompatycznie „Trianon”, odrzuciwszy „Trójcę”
i „Trio”. Nic nie wiedzieli o rozpadzie Austro-Węgier,
wyraz ten wybrali, bo był ładny.

Ten „Trianon” dwadzieścia lat później pojawi się
w nieprzyjemnej rozmowie Ilji z funkcjonariuszem bez-
pieki o wysokiej randze, ale nieokreślonym stanowisku
i nie całkiem wiarygodnym nazwisku Anatolij Alek-
sandrowicz Czibikow. Nawet najlepsi spośród bandy
ubeków zwalczających dysydentów tamtych czasów
nie odważyli się uznać „Trianon” za młodzieżową or-
ganizację antysowiecką.

Ilji trzeba oddać sprawiedliwość: od chwili otrzy-
mania pierwszego aparatu zaczął tworzyć prawdziwe
archiwum fotograficzne, które w całości zachowało się
do dzisiejszych czasów. Co prawda na pierwszej teźce
z lat szkolnych wypisana była inna nazwa, nie mniej
tajemnicza niż „Trianon” – „Mirpis”.

Tak więc chłopców połączył – co zostało później
udokumentowane – nie wzniosły ideał wolności, dla

którego należało albo natychmiast poświęcić życie, albo, co nudniejsze, całe życie, rok za rokiem, oddawać służbie ludowi, jak to się stało z Saszą i Nikiem ponad sto lat wcześniej – ale połączył ich cherlawy kotek, któremu nie było sądzone przeżyć wstrząsu z pierwszego września tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku. Biedaczek wyzionął ducha dwa dni później na rękach Ilji i został pochowany potajemnie, ale uroczyście pod ławką ogrodową na podwórzu domu nr 22 na ulicy Pokrowka (wtedy Czernyszewskiego, który też poświęcił życie dla wielkich idei). Niegdyś dom nosił przezwisko „komoda”, ale mało kto z dzisiejszych jego mieszkańców o tym słyszał.

Kociak spoczął pod ławką ogrodową, na której niegdyś być może siadywał Puszkina ze swymi kuzynkami, zabawiając je zgrabnymi wierszykami. Babcia Sani nieustannie przypominała: dom, w którym mieszkamy, znał kiedyś lepsze czasy.

W dziwny sposób w klasie dość rychło – po dwóch tygodniach czy po miesiącu – coś się zmieniło. Micha oczywiście tego nie odczuł, skąd miał wiedzieć, jak było dawniej, skoro był nowy. A Sania i Ilja odczuli: w klasie, jak i dotychczas, lokowali się na samym dole hierarchii, lecz teraz już nie pojedynczo, ale razem. I w ten sposób stali się mniejszością uznawaną ze względu na tę samą nieokreśloną cechę, dzięki której nie potrafili się wpisać we wspólne środowisko małego świata. Dwaj wodzowie, Mutiukin i Murygin, trzymali w garści wszystkich pozostałych, a gdy się ze sobą kłócili, to i klasa dzieliła się na dwie wrogie partie, do których pariasy nigdy nie dołączali, zresztą i tak by ich nie przyjęto. Odbywały się wtedy wesołe, wściekłe, krwawe i bezkrwawe bijatyki, i wszyscy o nich zapominali. A potem, kiedy Mutiukin

i Murygin się godzili, znowu zaczynało zauważać tych nieprzydatnych, nietowarzyskich obcych, których nie-trudno porządnie spruć, ale ciekawiej było utrzymywać w strachu i niepokoju oraz stale przypominać, kto tu jest ważny: okularnik, muzyk, Żyd czy „normalni faceci”, jak Mutiukin i Murygin.

W piątej klasie rozpoczynała się szkoła średnia i teraz zamiast jednej, uczącej wszystkiego od gramatyki po arytmetykę Natalii Iwanowny, poczciwej ciotuni, która nauczyła abecadła nawet Mutiukina i Murygina, nazywanych przez nią pieszczotliwie Toleńkiem i Sławeczkiem, pojawili się nauczyciele przedmiotów: matematyk, rusycystka, botaniczka, historyczka, „niemka” i geograf.

„Przedmiotowcy” byli zwariowani na punkcie swoich przedmiotów, zadawali ogromne zadania domowe i „normalni faceci” wyraźnie nie dawali sobie rady. Ilja, który w szkole podstawowej wcale nie błyszczał, podciągnął się w otoczeniu nowych przyjaciół i pod koniec drugiego kwartału, czyli na Nowy Rok, okazało się, że pogardzani okularnicy i słabeusze świetnie się uczą, a Mutiukin i Murygin ledwie ciągną. Konflikt, który ludzie dorośli nazwaliby społecznym, zaostrzał się, przybierał coraz bardziej świadomy charakter, przynajmniej ze strony ciemniejszej „mniejszości”. To właśnie wtedy Ilja po raz pierwszy wprowadził termin, który w ich gronie przetrwał długie lata – „mutiuki i murygi”. Był to niemal synonim słynnych „sowków”^{*} z czasów późniejszych, ale jego urok polegał na tym, że stworzyli go sami.

^{*} Lekceważące określenie sowieckiego człowieka (przyp. red.).

„Mutiuków i murygów” najbardziej irytował Micha, on zbierał największe cięgi, ale mając doświadczenie z bidula, łatwo znosił bicie, nigdy się nie skarżył, otrząsał się, podnosił z ziemi czapkę i zwiewał, żegnany gwizdami wrogów. Ilja umiał się wygłupiać, więc często udawało mu się zbić z tropu wrogów, rozśmieszyć, zadziwić nieoczekiwanym wybrykiem. Sania okazał się najwrażliwszy. Chociaż właśnie ta nieprzyzwoita wrażliwość posłużyła mu w końcu za obronę. Pewnego razu, gdy Sania mył ręce nad umywalką w szkolnej ubikacji – skrzyżowanie parlamentu i bandyckiej meliny – Mutiukin okazał głęboki wstręt do tej niewinnej czynności i zaproponował Sani, żeby przy okazji umył też gębę. Sania, częściowo, żeby nie zadrażniać, częściowo z tchórzostwa, zrobił to, a wtedy Mutiukin wziął szmatę do podłogi i wytarł nią mokrą twarz Sani. A tymczasem otoczyło ich już kółko ciekawskich: spodziewali się rozrywki. Ale rozrywka się nie udała. Sania się zatrząsł, zbladł, i tracąc przytomność, upadł na kaflową posadzkę. Żałosny przeciwnik został oczywiście pokonany, lecz w jakiś niezadowolający sposób. Leżał na podłodze w dziwnej pozie, cały odrzucony w tył. Murygin leciutko szturchnął go nogą w bok, żeby po prostu sprawdzić, dlaczego ten leży nieruchomo. Odezwał się do niego zupełnie bez złości:

– Hej, Sańka, co się tak rozłożyłeś?

Mutiukin patrzył tępo na leżącego bez ruchu Sanię.

Ale Sania nie otwierał oczu, mimo zachwycających szturchańców. Wtedy do łazienki wszedł Micha, spojrzął na niemą scenę i popędził do szkolnego lekarza. Zapach amoniaku przywrócił Sani przytomność, wufowiec odniósł go do gabinetu lekarskiego. Lekarka zmierzyła Sani ciśnienie.

– Jak się czujesz? – zapytała.

Odpowiedział, że całkiem dobrze, ale nie od razu uświadomił sobie, co się stało. A kiedy przypomniał sobie brudną szmatę, którą wycierano mu twarz, zrobiło mu się niedobrze. Poprosił o mydło i starannie się umył. Lekarka chciała wezwać rodziców. Sania z trudem ją uprosił, żeby nie telefonowała. Mama i tak była w pracy, a babci chciał oszczędzić przykrości. Ilja zgłosił się, że odprowadzi osłabionego przyjaciela do domu, a lekarka napisała kartkę, że zwalnia ich z lekcji.

Od tego dnia status Sani, o dziwo, wzrósł. Co prawda nazywano go teraz „Krasnal epileptyk”, ale przestano zaczepiać: a nuż znowu zemdleje?

31 grudnia szkołę zamknięto, zaczęły się ferie zimowe, jedenaście dni szczęścia. Micha zapamiętał każdy z tych dni z osobna. Na Nowy Rok dostał bajeczny prezent. Po tajnych rokowaniach z synem, otrzymawszy od niego zapewnienie, że jego potomek rezygnuje z tej części rodzinnego spadku, a on sam się nie sprzeciwia, ciocia Gienia wręczyła Misze łyżwy.

Była to amerykańska hybryda, która już dawno wyszła z użytku, coś pośredniego między „śnieżynkami” a „gagami”, z podwójnymi płozami i karbowanym noskiem. Łyżwy były przymocowane wielkimi gwiazdzistymi nitami do znoszonych butów w kolorze niegdyś czerwonym. Na metalowej płytce łączącej ostrza z butami można było odczytać „Einstein” oraz kilka niezrozumiałych cyfr i liter... Buty były mocno poobijane przez byłego właściciela, ale same łyżwy lśniły jak nowe.

Ciocia Gienia traktowała łyżwy jak rodzinną relikwię. W innych rodzinach w ten sposób traktowano brylanty.

Z historią tych łyżew brylanty także miały pośrednio coś wspólnego. W 1919 roku najstarszego brata ciotki Gieni Samuela sam Lenin wysłał do USA, żeby założył tam amerykańską partię komunistyczną. Samuel przez całą resztę życia chełpił się tą misją i opowiadał szczegółowo o tej wyprawie bliskim krewnym i bliskim przyjaciółom, których miał kilkuset, dopóki nie został aresztowany w roku trzydziestym siódmym. Dostał dziesięć lat bez prawa do korespondencji* i znikł na wieki, ale jego wspaniała historia stała się rodzinną legendą.

W lipcu dziewiętnastego roku Samuel okrężną drogą z Moskwy przez Europę Północną dotarł do Nowego Jorku i zszedł na ląd jako marynarz, który przybył na statku handlowym z Holandii. Zszedł po trapie, postukując obcasami butów uszytych przez kremlowskiego szewca z ukrytym w obcasie brylantem wielkiej wartości. Wykonał zadanie: w imieniu Kominternu otworzył pierwszy podziemny zjazd partii komunistycznej. Po kilku miesiącach Samuel wrócił i osobiście zameldował towarzyszowi Leninowi o wykonaniu zadania.

Swoje skromne diety, po odliczeniu dwunastu dolarów na wyżywienie, wydał na prezenty. Żonie przywiózł czerwoną wełnianą sukienkę z jagodami wyhaftowanymi na kołnierzyku i na ramionach oraz czerwone pantofle o trzy numery za małe. Łyżwy były trzecim, najdroższym amerykańskim prezentem w jego bagażu. Zostały kupione na wyrost dla małego synka, który wkrótce zmarł.

Byłoby lepiej, gdyby kupił łyżwy dla siebie. Jako chłopiec Samuel marzył, że wyjedzie na środek lodo-

* Wyrok „dziesięć lat bez prawa do korespondencji” w istocie był wyrokiem śmierci (przyp. red.).

wiska i przemknie pochyłony nad błyszczącą taflą obok wszystkich swoich nieprzyjaciół, obok dam z mufkami, gimnazjalistów i panien, wśród których na pewno znajdzie się Marusia Halperina... Łyżwy długo leżały w kufrze, czekając na nowego spadkobiercę. Ale Samuel nie miał więcej dzieci, więc łyżwy przeleżały dziesięć lat w schowku, aż trafiły do syna młodszej siostry Gieni.

Teraz, po dalszych dwudziestu latach, przeszły do rąk – właściwie do nóg – innego krewnego bohaterskiego Samuela.

Takim niespodziewanym prezentem, przekraczającym wszelkie wyobrażenia o możliwym szczęściu, zakończył się dla Michy pierwszy dzień ferii. I nic nie zapowiadało nieszczęścia, jakie się wkrótce wydarzyło z powodu tego podarunku.

W wieczór noworoczny wielka rodzina cioci Gieni zgromadziła się przy stole, który za zgodą sąsiadów nakryto w obszernej wspólnej kuchni, a nie w czternastometrowym pokoju, w którym mieszkała sama ciocia Gienia, jej niezamężna i cierpiąca na dolegliwości endokrynologiczne córka Minna oraz od pewnego czasu Micha.

Ciocia Gienia przygotowała suty poczęstunek – kurę i rybę. W nocy po tej pamiętnej biesiadzie Micha napisał wiersz, w którym przedstawił niezapomniane wrażenia z dnia.

Łyżwy to najpiękniejsza rzecz,
Na całym wielkim świecie.
Piękniejsze niżli słońce, wiatr,
I woda – sami wiecie.
I człowiek na nich piękny jest,

Kiedy na łyżwach jedzie.
I stół nakryty jak na bal,
Od jadła na nim gęsto,
Więc mej rodzinie życzyć chcę
Radości i zwycięstwa*.

Początkowo zamiast „od jadła na nim gęsto” było „niby dla wielkich państwa”, ale do tego Micha nie mógł znaleźć żadnego rymu prócz „pijaństwa”.

Przez cały tydzień Micha wstawał przed świtem i wychodził na podwórze, gdzie wylano lodowisko, ślizgał się w samotności i wracał, gdy tylko na podwórzu pojawiały się dzieci, które dłużej się wysypiały podczas ferii. Niezbyt pewnie trzymał się na łyżwach i obawiał się, że nie potrafi ich obronić w razie napaści.

Podczas tych ferii łyżwy były oczywiście wydarzeniem numer jeden. Numerem dwa była babcia Sani Anna Aleksandrowna. Prowadzała chłopców do muzeów.

Te wycieczki pasjonowały nie tylko Michę, którego natura składała się w połowie z głodu wiedzy, naukowej i nienaukowej ciekawości oraz zachwyty, a w drugiej połowie z zapału twórczego. Wycieczki do muzeów wywarły głębokie wrażenie nawet na Ilji, który – jak się wydawało – nie czuł zbytniego pociągu do sztuki, bardziej pociągała go technika. Tylko Sanieczka, posiadacz wspaniałej babci, zwyczajnie przechodził z sali do sali i od czasu do czasu dzielił się uwagami – nie z przyjaciółmi, z babcią! – które świadczyły, że jest człowiekiem obytym również z muzeami, a nie tylko z konserwatorium.

* Przełożyła Ewa Rojewska-Olejarczuk.

Micha zakochał się w Annie Aleksandrownie – na całe życie, aż do jej śmierci. Ona natomiast widziała w nim przyszłego mężczyznę tego rodzaju, który zawsze lubiła. Chłopczyna był rudy, był poetą, a w tym tygodniu nawet nieco utykał z przetrenowania na nowych łyżwach – jota w jotę jak tamten poeta, niemal wielki, w którym Anna Aleksandrowna kochała się skrycie jako trzynastoletnia dziewczynka. Sam ideał, w owych dawnych czasach dorosły mężczyzna w aureoli bojownika i niemal męczennika, cieszący się na początku dwudziestego wieku wielkim powodzeniem, nie zwrócił uwagi na zakochaną panienkę, ale odcisnął głębokie piętno na jakiejś freudowskiej części jej psychiki: przez całe długie życie podobali jej się właśnie tacy mężczyźni – rudzi, wyraziści, wrażliwi.

Uśmiechała się, patrząc na Michę – chłopak był tego samego gatunku, ale minęli się w czasie... Z przyjemnością czuła na sobie jego zachwycone spojrzenia.

Tak więc, sam o tym nie wiedząc, Micha cieszył się wzajemnością. Od tamtej zimy stał się częstym gościem w domu Stieklówów. W wielkim pokoju o trzech oknach i połowie okna rozciętego na dwoje przepierzeniem, pod bardzo wysokim sufitem ze sztukaterią, też rozciętą, gnieździły się niezwykle książki, nawet w obcych językach. W stanie ciągłej gotowości bojowej stało pianino z ukrytą w nim muzyką. Od czasu do czasu napływały zachwycające zapachy – prawdziwej kawy, pasty do podłóg, perfum.

„Pewnie właśnie tak było w domu moich rodziców” – myślał Micha. Rodziców nie pamiętał: matka zginęła podczas bombardowania ostatniego pociągu, który jechał z Kijowa na wschód 18 września czterdziestego pierwszego roku, gdy Niemcy już zbliżali się do Po-

dołu. Ojciec zginął na froncie, nie dowiedziawszy się o śmierci żony i uratowaniu syna.

W rzeczywistości w domu rodziców Michy wszystko było zupełnie inne niż u Sani Stieklowa, a fotografie rodziców, cudem ocalałe po wojnie, Micha po raz pierwszy zobaczył, gdy miał już dwadzieścia lat. Widnieli na nich biedni, nieładni ludzie, którzy bardzo go rozczarowali – mama z fałszywym uśmiechem na małych, ciemnych ustach i z ogromnym bezwstydnym biustem, oraz tata, gruby kurdupel z niezwykle wyniosłą miną. W głębi widać było fragmenty mieszkania niczym nieprzypominające wycinka małego salonu dawnej siedziby Apraksinów-Trubeckich, w którym mieszkała rodzina Sani.

Dziewiątego stycznia, pod koniec ferii, obchodzono urodziny Sani. Przedtem było też jeszcze Boże Narodzenie, ale na nie zapraszano tylko dorosłych gości. Musiało minąć jeszcze kilka lat, zanim chłopców zaczęto przyjmować także siódmego stycznia*. Za to na imieniny Sani zawsze zostawały różne świąteczne smakołyki – kandyzowane jabłka, wiśnie, nawet skórka pomarańczowa, którą Anna Aleksandrowna robiła jak nikt na świecie. Poza tym: składano parawan, przenoszono stół w pobliże drzwi, a między dwoma oknami ustawiano ogromną choinkę z niezwykłymi ozdobami z pudełka, które przez cały rok przechowywano na antresoli.

Sani urządzano zawsze przepiękne przyjęcie. Bywały tam nawet dziewczynki: tym razem dwie koleżanki Sani, Liza i Sonia ze szkoły muzycznej oraz wnuczka babcinej przyjaciółki Tamara z koleżanką Olą, ale te

* Prawosławne Boże Narodzenie w Rosji obchodzone jest według kalendarza juliańskiego, czyli 7 stycznia (przyp. tłum.).

były całkiem małe, pierwszoklasistki, więc nie wzbudzały u chłopców żadnego zainteresowania. Zresztą sama babcina przyjaciółka była mało wyrazista, nieciekawa. Natomiast wspaniały był dziadzio Lizy, Wasilij Innokientiewicz, w mundurze wojskowym, z wąsami, otoczony mieszaniną zapachów wody kolońskiej, lekarstw i wojny. Do swojej wnuczki półzartem zwracał się per „pani”, a do Anny Aleksandrowny mówił: „Niuta, ty...”. Był jej bratem ciotecznym, a zatem Liza była dla Sani cioteczno-cioteczną siostrą. Nawet użyto przedrewolucyjnych słów „kuzyn”, „kuzynka” – też zapewne wyciągniętych z tamtego pudełka na antresoli.

Anna Aleksandrowna nazywała dziewczynki „panienkami”, chłopców „młodzieńcami”. Micha był oszłomiony i zakłopotany całym tym wielkoświatowym sposobem bycia, uspokoił się dopiero wtedy, gdy Ilja mrugnął do niego z daleka z miną: nic się nie bój – nikt cię nie skrzywdzi!

Anna Aleksandrowna urządziła wszystko w sposób niezapomniany. Najpierw był teatr kukiełkowy z prawdziwym parawanem, Pietruszką, Wańką i grubą kukłą Rozą. Śmiesznie się poszturchiwali i kłócili w jakimś obcym języku.

Potem trochę zagrali w wyrazy. Małe dziewczynki, Tamara i Ola, nie pozostawały w tyle za dorosłymi, okazały się ponad wiek rozwinięte. Anna Aleksandrowna zaprosiła dzieci do owalnego stołu, a dorośli w drugiej kolejności pili herbatę za szafą. Wasilij Innokientiewicz siedział w fotelu i palił papierosa. Po przedstawieniu Anna Aleksandrowna ze srebrnej papierośnicy, która leżała przed Wasilijem Innokientiewiczem na stoliku, wyjęła grubego papierosa, zapaliła i zaczęła kaszleć:

- Potwornie mocne papierosy, Basile!
- Dlatego nikogo nimi nie częstuję, Niuto.
- Fe, fe! – Anna Aleksandrowna rozgarniała gryzący dym. – Skąd ty je bierzesz?
- Kupuję tytoń, a Lizka nabija gilzy.

Ale to wcale nie był koniec uroczystości. Po teatrze nakryto stół do przyjęcia na słodko, które Micha zapamiętał na całe życie – od kruszonu domowej roboty po żółte kościane kółka, w które wsunięto serwetki ze sztywnego białego płótna.

Ilja z Michą wymienili spojrzenia. Był to taki moment, gdy Sania istniał samotnie i górował, a oni dwaj osobno i nieco niżej od niego. Przyjaźnienie się we trójkę, jak każdy trójkąt, to rzecz niełatwa. Powstają przeszkody i pokusy – zazdrości, zawiści, czasem aż do drobnych, wybaczalnych, ale jednak podłości. Czy podłość można usprawiedliwić nieznośnie wielką miłością? Nieznośnie wielką zazdrością i bólem? Żeby się w tym zorientować, dana była im trzem wyjątkowo sprzyjająca epoka i całe życie – jednym krótkie, innym dłuższe...

Tego wieczoru nie tylko Micha, ale również reżolutny Ilja czuli się nieco poniżeni wspaniałością domu. Sania, zajęty pociągłolicą Lizą, z włosami spływającymi spod niebieskiej przepaski, coś wyczuł, zawołał Michę, długo o czymś szeptali, a potem przyprowadzili Annę Aleksandrowną. Po chwili oznajmili, że przedstawia szaradę. Następnie Sania odwrócił nieduże dziwne krzesło, które stało się niewielką drabinką. Sania wdrapał się na samą górę, tak że stał się wyższy niż Micha, a ten stanął o stopień niżej i szturchając się, targając nawzajem ze uszy, burcząc i wydając różne niepojęte odgłosy, wyrecytowali na dwa głosy następujący prawie-wiersz:

Pierwsze to jedno na dwóch –
na łące rozmowa dwojga szacownych osób.
Drugie – w jednym przypadku ciężar, wór – *
w drugim – niezbyt przyzwoity dźwięk,
wydawany po jedzeniu,**
Trzecie – znów jedno na dwóch –
przyimek w języku niemieckim.
Razem – imiona dwóch istot.
Umownie należących do gatunku Homo sapiens.

Goście się śmiali, ale oczywiście nikt nie potrafił odgadnąć. Wśród gości była tylko jedna osoba zdolna do odgadnięcia tej lingwistycznej zagadki: Ilja. I nie zawiódł. Dał gościom czas, żeby się przekonali, iż rozwiązanie jest dla nich za trudne, i oznajmił z dumą:

– Wiem, te zwierzęta nazywają się Mutiukin i Murygini!

Szczerze mówiąc, tej szarady nie należało układać, przecież nikt z gości nigdy nie słyszał o żadnych Muryginiach i Mutiukinach, ale nikt chłopcom nie czynił zarzutów z tego powodu. Było wesoło, czego można chcieć więcej?

Ale w zaprzyjaźnionej trójce coś się zmieniło: Micha, uczestnicząc w układaniu szarady, podciągnął się do poziomu Sani, a Ilja nawet ich przewyższył – przecież to właśnie on odgadł, podtrzymał zabawę. Można by ją uznać za nieudaną, gdyby nikt nie odgadł. Brawo, Ilja!

Chłopcy się objęli, a Wasilij Innokientiewicz zrobił im zdjęcie. Była to ich pierwsza wspólna fotografia.

Aparat Wasilija Innokientiewicza był zdobyczny,

* Po rosyjsku „tiuk” – toból (przyp. red.).

** Po rosyjsku „ryg” – beknięcie (przyp. red.).

wspaniały – jak zauważył Ilja. Zauważył też wężyk na pagonach pułkownika. Lekarz wojskowy...

Dziesiątego stycznia Anna Aleksandrowna zabrała chłopców do sali im. Czajkowskiego na koncert fortepianowy – grano Mozarta. Ilja potężnie się nudził, nawet przysnął na chwilę. Micha był bardzo przejęty, muzyka wzbudziła w nim tak wielki zachwyt, że nawet nie mógł o tym napisać wiersza. Sania był jakiś rozstrojony, omal się nie rozplakał. Anna Aleksandrowna wiedziała dlaczego: Sania chciałby tak właśnie grać Mozarta...

Jedenastego poszli do szkoły i już pierwszego dnia wszystkich trzech i jeszcze jednego, Igora Czetwierikowa, ciężko pobito na szkolnym podwórku. Zaczęło się od niewinnego ostrzału pigułami śnieżnymi, a skończyło wielką porażką: Micha miał podbite oko i połamane okulary, Ilja rozciętą wargę. Sania, jak zwykle, trzymał się nieco z boku – raczej z delikatności niż z tchórzostwa. Murygin i Mutiukin budzili w nim takie samo obrzydzenie, jak pamiętna szmata, którą wodzili mu po twarzy. Na Sanię napastnicy wcale nie zwrócili uwagi, o wiele bardziej interesował ich Micha, który twardą jak kamień pigułą ugodził Murygina prosto w nos. Ilja pod płotem wypluwał krew. Czetwierikow wahał się, czyby nie dać drapaka, a Micha, opierając się plecami o ścianę, stał w pogotowiu z czerwonymi pięściami przed twarzą. Pięści Micha miał wielkie, prawie jak dorosły mężczyzna. A wtedy Mutiukin wyciągnął składany nóż, podobny do scyzoryka, ale dużo większy. Wyskoczyło z niego cienkie ostrze. Rozkołysanym krokiem ruszył wprost na Michę z jego głupimi pięściami.

A wtedy Sania wrzasnął, poderwał się, wykonał dwa niezgrabne skoki i chwycił ostrze ręką. Krew

chlusnęła nieprawdopodobnie szybko, Sania machnął ręką, czerwony strumień zalał Mutiukinowi całą twarz. Mutiukin wrzasnął, jakby to jego dźgnięto nożem, i natychmiast umknął w towarzystwie Murygina. Nikt nie myślał jednak o zwycięstwie. Micha kiepsko widział, co się dzieje – był bez okularów. Czetwierikow pobiegł za Muryginem, ale pościg nie miał żadnego sensu. Ilja przewiązał rękę Sani szalikiem, lecz krew chlustała jak z kranu.

– Biegnij do Anny Aleksandrowny, szybko! – krzyknął Ilja do Michy. – A my do szkoły, do lekarki.

Sania zemdłał – czy to ze strachu, czy to z upływu krwi. Do Instytutu Sklifosowskiego* dowieziono go po dwudziestu pięciu minutach. Krwotok szybko zata-mowano, ranę zszyto. Tydzień później okazało się, że czwarty i piąty palec się nie rozginają. Przyszedł profesor, rozbandażował małą dłoń Sani, ucieszył się, że dobrze się goi, i oznajmił, że ten cholerny nóż przeciął więzadło poprzeczne śródrečza, i bardzo się zdziwił, że nie rozginają się tylko dwa palce, a nie cztery.

– Czy można to rozćwiczyć? Masaż? Elektroforeza? Jakies nowe zabiegi? – spytała Anna Aleksandrowna profesora, który spojrzał na nią z szacunkiem.

– Z pewnością. Po całkowitym zagojeniu. Rucho-mość da się częściowo przywrócić. Ale, widzi pani, ścięgną to nie mięśnie.

– A gra na instrumencie muzycznym?

Profesor uśmiechnął się współczująco:

– Mało prawdopodobne.

Nie wiedział, że wydał wyrok. Anna Aleksandrow-

* Moskiewski Instytut Traumatologii i Szybkiej Pomocy Medycznej (przyp. red.).

na niczego Sani nie powiedziała i przez pół roku po wypisaniu chodzili na zabiegi rehabilitacyjne.

Zaraz po operacji do Sani do szpitala przybiegła dyrektorka szkoły; dotarła do niej historia o nożu i była przestraszona. Na przesłuchaniu przez Larisę Stiepanowną Sania był zamknięty i twardy: z pięć razy powtórzył, że znalazł scyzoryk na szkolnym podwórku, nacisnął guziczek i ostrze wyskoczyło, rozcinając mu dłoń. Ale nie ma pojęcia, czyj to nóż. Dowód rzeczowy odnaleziono następnego dnia po zdarzeniu. Nóż, jak w kinie, leżał na przesiąkniętej krwią wysepce. Dostarczono go dyrektorce i został włożony do górnej szuflady jej biurka.

Ciocia Gienia długo labiedziła nad rozbitymi okularami Michy, matka Ilji zbeształa syna za skłonności do bijatyki, a Igorowi Czetwierikowowi w ogóle udało się ukryć zdarzenie przed rodzicami.

Od tego dnia, mimo że nie wszedł do „Trianonu” jako pełnowartościowy członek – uznano go za sympatyka. Dalszy rozwój wydarzeń, co prawda dopiero po upływie pół wieku, potwierdził, że wszystko na świecie ma swoje uzasadnienie – nie bez powodu niesamowicie przewidujący drobni chuligani sprawili lanie przyszłemu dysydentowi.

Kiedy sprawę bijatyki, która wzburzyła całą szkołę, dyrektorce udało się wyciszyć, od Mutiukina i Murygina na jakiś czas się odczepiono. A oni się pokłócili i bili się teraz między sobą. Klasa podzieliła się na dwa obozy i życie stało się bardzo ciekawe – ze szpiegami, zdrajcami, rokowaniami i utarczkami. Duch bojowy ogarnął większość, a mniejszość się odprężyła i wpadła w błogostan.

* * *

Sania przyszedł do szkoły po trzech tygodniach z obandażowaną ręką, chodził przez parę dni, po czym zachorował na anginę i do końca trzeciego kwartału nie pojawił się w szkole. Ilja z Michą odwiedzali go prawie codziennie, przynosili lekcje. Anna Aleksandrowna częstowała ich herbatą z szarlotką, którą nazywała „paj”. Było to pierwsze angielskie słowo, które zapamiętał Micha. Sanię od dzieciństwa uczono angielskiego i francuskiego. W szkole akurat od piątej klasy wykładano wstrętny niemiecki. Ale Anna Aleksandrowna w sprawie języka niemieckiego okazała się nieoczekiwanie wymagająca, zaczęła uczyć Sanię dodatkowo, zapraszając do towarzystwa również przyjaciół Sani. Ilja się uchylał, a Micha przybiegał na lekcje niczym na święto.

Równocześnie Anna Aleksandrowna podarowała Misze stary angielski podręcznik dla początkujących.

– Ucz się, Micha, przy twoich zdolnościach dasz sobie radę. Dam ci kilka lekcji, żeby ustawić wymowę.

W ten sposób z pańskiego stołu sypały się na Michę hojne dary.

Sania był w dziwnym nastroju: nie przeszkadzały mu przygięte do wewnątrz dwa skrajne palce, nawet nie było to zauważalne, bo ludzie zazwyczaj nie trzymają palców rozcapierzonych, ale zawsze nieco przykurczają je do wewnątrz. Oznaczało to jednak całkowitą zmianę życia, całkowitą zmianę planów. Całymi dniami słuchał muzyki i rozkoszował się nią jak nigdy przedtem: nie martwił się już tym, że nigdy nie potrafi grać jak wielcy pianiści... Nie gryzła go już niewiara we własny talent. Liza – jedyna! – go rozumiała:

– Teraz jesteś bardziej wolny od tych, którzy usiłują zostać wirtuozami. Trochę ci tego zazdroszczę...

– A ja tobie – przyznawał się Sania.

Razem chodzili do konserwatorium: Anna Aleksandrowna z Sanią, Liza z dziadkiem, czasem dołączała do nich któraś z babcinych przyjaciółek, czyjaś kuzynka, krewna. Niekiedy przychodził, jeżeli miał trochę wolnego czasu, ojciec Lizy, Aleksiej Wasiliewicz, też chirurg, tak samo jak Wasilij Innokientiewicz. Widać było ich silne rodzinne podobieństwo: wydłużone twarze, wysokie czoła, delikatne nosy z kaukaskim garbkiem. Nawiasem mówiąc, wtedy wydawało się, że wszyscy bywalcy konserwatorium są z sobą spokrewnieni, a już na pewno znają się nawzajem. Był to szczególny, niewielki klan, zagubiony w ogromnym miejskim tłumie – jak zakon, tajna kasta, może nawet tajne stowarzyszenie...

W ogóle na początku roku wiele się wydarzyło.

Z Leningradu przyjechał ojciec Ilji, Isaj Siemionowicz. Przyjeżdżał raz, dwa razy do roku, zawsze z prezentami. W zeszłym roku ojciec też przywiózł piękny prezent – niemiecki przybornik kreślarski, ale oprócz tego, że piękny, żadnego pożytku z niego nie było. Tym razem przywiózł aparat fotograficzny FED-S, przedwojenny, zrobiony rękami chłopców z komuny pracy imienia Dzierżyńskiego, będący wierną kopią niemieckiej leiki. Ojciec bardzo cenił ten stary aparat. Kiedy był podczas wojny korespondentem, niemal przez trzy lata woził go ze sobą – a teraz podarował jedynemu synowi, zrodzonemu z romansu na południu z niepozorną, niemłodą panną Maszą. Masza na nic nie liczyła, do niczego nie pretendowała, spokojnie kochała syna, cieszyła się, że Isaj go nie porzucił, czasem daje pieniądze, niekiedy duże, niekiedy przez dłuższy czas zupełnie nic. Byłemu kochankowi konsekwentnie odmawiała pieśczęt, przez co podgrzewała jego zainteresowanie. Uśmiechała się, częstowała go

ciastem, ścieliła wykrochmaloną bieliznę, odchodziła na kanapkę do syna i kładła się obok niego „na waleta”. Isaj coraz bardziej ją podziwiał i coraz więcej o niej myślał.

Trochę mu było żal aparatu, ale zwalczył w sobie przywiązanie do wiernej i użytecznej rzeczy, przeważyło poczucie winy wobec porzuconego chłopca. Miał inne aparaty, nawet lepsze. A poza tym miał rodzinę i dwie ukochane córeczki, które zupełnie nie interesowały się fotografią. A chłopiec po prostu zatrząśnięty na widok tego prezentu i ojciec poczuł gniew na życie, w którym wszystko jest nie tak, jak powinno być, i zamiast potulnej Maszy, może niepozornej, ale niebrzydkiej, los zesłał mu ordynarną, krzykliwą Simę, i teraz już nawet nie pamięta, jak i dlaczego znalazł się pod jej pantoflem.

Opowiedział synowi, co to jest camera obscura, że wystarczy czarne pudło z małym otworem i płytki pokryte światłoczułą substancją, żeby zrobić zdjęcie, uwiecznić chwilę życia. Maria Fiodorowna siedziała z nimi, podpierając dłońią policzek i uśmiechała się do swojego maleńkiego szczęścia. Wystarczało jej jedno ziarenko, jak sikorce... Isaj to widział, widział też, jak Ilja szybko wszystko pojmuje, jakie zręczne ma ręce – i odjechał z mocnym postanowieniem, że zmieni swoje życie tak, żeby częściej widywać się z synem. No i Masza! Masza pociągała go teraz bardziej niż wtedy, w lecie trzydziestego ósmego, kiedy wziął ją raczej z obowiązku niestarego i sprawnego mężczyzny niż z uświadomionej sympatii. Na zmianę życia było jednak za późno. Ale chociaż trochę: przyznać się wreszcie Simie, że ma przedwojennego potomka, którego wypadałoby przyjąć w domu i zapoznać z młodszymi

siostrami... Było to jednak ostatnie spotkanie ojca z synem: dwa miesiące później Isaj Siemionowicz stracił pracę w „Lenfilmie” i umarł na zawał serca.

Tego ostatniego razu ojciec spędził u nich dwa dni. Matka, jak zawsze po jego wyjeździe, przez kilka dni popłakiwała po kątach, ale potem przestała. Życie Ilji wyraźnie rozpadło się na dwie połowy: przed FED-em i po. Zmysłny aparacik stopniowo obudził drzemiący w Ilji talent. Już wcześniej kolekcjonował wszystko, co znalazło się w jego polu widzenia: jeszcze w drugiej klasie zgromadził kolekcję piór, potem były nalepki od zapalek i znaczki pocztowe. Ale to były przemijające fascynacje. Teraz, gdy opanował cały proces technologiczny – od wyboru czasu naświetlania do nakładania papieru fotograficznego na szybę – zaczął kolekcjonować ulotne chwile życia. Obudziła się w nim prawdziwa pasja kolekcjonerska i nigdy już nie usnęła.

Pod koniec szkoły zgromadził prawdziwe archiwum zdjęć, całkiem profesjonalne: każda fotografia opisana ołówkiem na odwrocie – czas, miejsce, osoby, wszystkie negatywy w kopertach... Aparat fotograficzny zmienił jego życie również dlatego, że wkrótce się okazało, iż oprócz kamery potrzeba wielu rzeczy, które drogo kosztują. Ilja zamyślił się głęboko i wtedy obudził się w nim jeszcze jeden talent: przedsiębiorczość. Nigdy nie prosił matki o pieniądze, nauczył się sam je zdobywać. Pierwszym wiosennym posunięciem tamtego roku była gra w cymbergaja. Był w tej chłopięcej grze najlepszy z całej szkoły, a potem nauczył się też innych gier. Dawało to zarobek.

Sania Stiekłow nie pochwalał tego uganiania się Ilji za pieniędzmi, ale Ilja tylko wzruszał ramionami:

– Czy ty wiesz, ile kosztuje paczka papieru fotogra-

ficznego osiemnaście na dwadzieścia cztery? A wywoływacz? Skąd mam brać?

I Sania milkł. Wiedział, że pieniądze bierze się od mamy i babci, i czuł, że nie jest to sposób najlepszy.

Stary aparat zrobił z Ilji fotografa. Wkrótce chłopiec przekonał się, że potrzebne mu własne laboratorium. Takie domowe laboratoria fotoamatorzy urządzali zazwyczaj w łazienkach, gdzie była bieżąca woda do płukania filmów. Ale w ich komunalnym mieszkaniu nie było żadnej łazienki. Była komórka, w której trzy rodziny przechowywały miednice i balie do prania oraz inne potrzebne rzeczy. Komórka przylegała do klozetu, gdzie był wodociąg, więc Ilja od razu zaczął obmyślać plan, jak stamtąd wodę doprowadzić i odprowadzić. O sąsiadach, którzy mieli takie samo prawo do komórki, początkowo nie myślał.

W mieszkaniu, oprócz Ilji z matką, mieszkały jeszcze nieszkodliwa samotna staruszka Olga Matwiejewna i wdowa Grania Łoszkariowa z trojgiem dzieci; dwoje najmłodszych Maria Fiodorowna często sama odprowadzała do przedszkola, w którym pracowała. I w ogóle Maria Fiodorowna dużo pomagała tej Grani.

Krótko mówiąc, Maria Fiodorowna poprosiła, a sąsiedzi jej nie odmówili – wyciągnęli z komórki swoje balie i teraz przyszła kolej na Ilję. Zdażył jeszcze napisać do ojca, żeby mu pomógł urządzić „ciemnię”. Ojciec się wzruszył, przysłał sto pięćdziesiąt rubli, a na przekazie napisał dwie linijki: „Przyjadę na pierwszego maja, wszystko zrobimy razem”. Był to ostatni list od niego – do majowego święta nie dożył.

Wodę do komórki doprowadzili nie od razu, dopiero po upływie półtora roku, ale Ilja miał teraz swój kącik, gdzie spędzał dużo czasu. Wtaszczył tam znale-

ziona na śmietniku szafkę biblioteczną i rozłożył w niej swój sprzęt fotograficzny.

Piąta klasa ciągnęła się w nieskończoność. Mijał trzynasty rok życia – chłopców stopniowo wypełniał testosteron, najstarszym wyrastały włoski w miejscach intymnych, pojawiały się pryszcze na czole, wszystko swędziało, łamało, ćmiło, częściej zdarzały się bijatyki i kłótnie, chłopców ciągnęło, żeby się dotykać, łagodzić nieznane potrzeby ciała.

Micha katował się łyżwami. Podczas potajemnych porannych treningów zaczął całkiem niezłe się ślizgać. Poza tym zasmakował w czytaniu. Dawniej czytał wszystko, co mu wpadło w ręce, a teraz Anna Aleksandrowna dawała mu wspaniałe książki – Dickensa, Jacka Londona.

Ciocia Gienia dokładnie o dziesiątej wieczór wydawała z siebie isticie końskie chrapnięcie, po czym do rana pochrapywała cicho i miarowo. Minna kładła się spać jeszcze wcześniej, chwilę się wierciła i szybko zasypiała. Wtedy Micha wyslizgiwał się do kuchni i czytał pod wspólną żarówką ile wlezie, i ani razu go nie przyłapano. Siedział, skubiąc twarde pryszcze, z książką dla młodzieży, która nie miała nic wspólnego z niepokojem jego ciała.

Sania jakby pozostawał w tyle za kolegami, nie tylko pod względem wzrostu – czyste czoło, czysty kołnierzyk, delikatny chłopczyk. Ale w nim też odbywał się proces męźnienia. Oznajmił mamie i babci, że już nie będzie chodził na fizykoterapię – wiadomo, że ręki nie da się wyleczyć i że on nigdy nie będzie muzykiem. Mama i babcia grały na pianinie po amatorsku, obie marzyły o karierze muzycznej, ale obie musiały porzucić studia – czasy zupełnie nie sprzyjały muzyce, wyły

trąby, dudniły werble, grzmiały marsze-hymny, udające pieśni uliczne.

Najlepszym, co miały te dwie samotne kobiety, był Sania. Zapowiadał się na muzyka, wszystko pięknie się układało, miał wspaniałego nauczyciela i jasno zarysowaną przyszłość... Teraz, po nieszczęśliwym wypadku z nożem, Sania przestał chodzić do szkoły muzycznej. Anna Aleksandrowna i Nadieżda Borisowna postanowiły z nim poważnie porozmawiać. Anna Aleksandrowna powiedziała, że przy jego muzykalności nie powinien ostatecznie zrywać z muzyką. Profesjonalistą nie będzie, ale co mu przeszkadza grać na pianinie w domu – domowe muzykowanie też ma swój urok. Sania trochę się upierał, ale po jakichś dwóch tygodniach się zgodził. Zaczął ćwiczyć w domu z przyjaciółką babci Jewgienią Daniłowną.

Grał swoimi małymi okaleczonymi rękami na ulubionym czeczotowym pianinie. Podniecał się przy walcach Szopena, jak jego rówieśnicy przy dziewczynach na podwórku, których można było podotykać w ferworze zabaw i bieganiny. Czytał, bawił się, a czasem robił to, co chłopcom w jego wieku przydarza się tylko za karę – spacerował we dwójkę z babcią po pobliskich bulwarach.

Jewgienia Daniłowna przychodziła do nich przez jakieś dwa lata, a potem lekcje się urwały. Częściowo z powodu Lizy: jej sukcesy były tak wielkie, a Sani tak znikome, że zaczął się wymigiwać.

Anna Aleksandrowna była nauczycielką języka rosyjskiego, ale szczególnej specjalności – uczyła rosyjskiego cudzoziemców.

Co to byli za cudzoziemcy? Młodzi ludzie z komunistycznych Chin, którzy przyjechali studiować w akade-

mii wojskowej. Był to ósmy czy dziewiąty zawód spośród tych, które Anna Aleksandrowna opanowała po ukończeniu gimnazjum i tym razem wszystko jej odpowiadało: i stosunek zwierzchników do niej, i niepełny etat, i bardzo dobra pensja z różnymi dodatkami i przywilejami, łącznie ze wspnianiałym wojskowym sanatorium, z którego raz do roku mogła korzystać bezpłatnie.

Nadieżda Borisowna, matka Sani, była rentgenologiem. Zawód mało popularny, szkodliwy, jednak o skróconym dniu pracy i z bezpłatnym mlekiem dla wzmocnienia zdrowia. Można było ich uważać za rodzinę dobrze ustawioną, jednak ich życie nie było łatwe: zbyt wiele tłumionego niezadowolenia nagromadziło się w matce i w córce. Obie niezamężne, straciły zarówno mężczyzn, którzy byli ich mężami, jak i innych, którzy mężami nie zostali. Nikt jednak nie zadawał nietaktownych pytań, gdzie są ich mężowie. Kto powinien wiedzieć, ten wiedział. Na szczęście ich nie niepokoiono.

Micha spędzał dużo czasu u Stieklówów. Sania dotykał palcami klawiszy, a one się odzywały. Wydawało się, że istnieje jakieś porozumienie między chłopcem a instrumentem, ale Micha, choć wyczuwał w tym jakiś ukryty sens, nie potrafił tego do końca zrozumieć.

Siedział w kąci, szeleścił kartkami, czekając na przyjscie Anny Aleksandrowny, żeby z nią porozmawiać. Stawiała przed nim zwyczajne herbatniki, filiżankę herbaty z mlekiem i siadała obok – z papierosem, nie tyle paląc, ile ładnie trzymając go w wygiętych palcach. Czasem i Sania odchodził od instrumentu, siadał na brzeżku krzesła. Jednak swoją obecnością nieco im przeszkadzał. Micha bardzo szybko wyrastał z Dickensa i Anna Aleksandrowna bez zastanowienia przyniosła mu Puszkina.

– Przecież już to czytałem! – oponował Micha.
– To jest jak Ewangelia, czyta się przez całe życie.
– Proszę mi lepiej dać Ewangelię, Anno Aleksandrowno, jej nigdy nie czytałem. .

Anna Aleksandrowna się roześmiała, kiwając głową:

– Twój krewni mnie zabijają. Ale szczerze mówiąc, nie da się zrozumieć żadnej europejskiej książki, jeżeli się nie zna Ewangelii. A o rosyjskiej już nawet nie mówię. Sania, mój drogi, przynieś, Ewangelię. Po rosyjsku.

– Niuta – poufale dociał jej chłopiec – moim zdaniem po prostu gorszysz maluczkich.

Ale przyniósł księgę w czarnej oprawie.

Umówili się, że Micha będzie czytał Ewangelię, nie wnosząc jej z domu i nikomu o tym nie powie. Ileż teraz wszystkiego miał Micha! Dom z własnym składanym łóżkiem, ciocię Gienię z zupą, tłustą debilkę Minnę, która stale trącała go to bokiem, to obfitym biustem, przyjaciół – Sanię i Ilję, Annę Aleksandrowną, łyżwy, książki...

W połowie marca nastąpiła odwilż, ślizgawka stopniała, więc Micha nasmarował łyżwy towotem, jak go uczył Marlen – żeby je zakonserwować. Zrobił to jednak za wcześnie: nadeszły mrozy, ślizgawkę ściął lód, i Micha znów przypiął łyżwy. Było oczywiste, że zima wkrótce się skończy. Teraz już i po południu wychodził na podwórko. Tak się złożyło, że wszyscy zobaczyli jego skarb. Nikt nie miał takich łyżew, wszyscy przykręcali do walonek jakąś tandetę i tylko Micha miał prawdziwe łyżwy, z butami. Momentalnie zrobiło się o nich głośno w całej okolicy. Na trzeci dzień przyszedł je obejrzeć Murygin. Postał, popatrzył i poszedł. Następnego dnia,

gdy Micha wracał z podwórzowej ślizgawki, w bramie przyparli go do muru Murygin i Mutiukin.

Było oczywiste: spodobały im się łyżwy.

– Zdejmuj natychmiast – zażądał Mutiukin.

Murygin wykręcił Misze ręce. Mutiukin podciął mu kolana, Micha się przewrócił. Zręcznie zdjęli mu z nóg łyżwy z butami i uciekli. Micha w wełnianych skarpetkach, migając piętami, rzucił się za nimi. Dopędził ich przy wejściu do domu i wczepił się w Murygina. Ten rzucił łyżwy Mutiukinowi. Mutiukin pomknął z łyżwami Pokrowką. Micha za nim, za swoimi łyżwami w stronę Bramy Pokrowskiej. Biegli, rzecz jasna, do Ogrodu Milutińskiego, była tam ślizgawka.

Z Bulwaru Czystoprudnego powoli wytaczał się tramwaj. Micha już prawie dopędził Mutiukina, ten rzucił łyżwy Muryginowi, ale Murygin je upuścił i upadły między szyny. Wszyscy trzej rzucili się po łyżwy. Tramwaj wrzasnął strasznym głosem, potem zawył, zachłysnął się i zazgrzytał. Micha upadł. Kiedy otworzył oczy, łyżwy leżały przed jego nosem. Mutiukina nie było widać. Przed tramwajem dymił jakiś toból. Szmaty, krew, wykręcona noga. Były to szczątki Murygina. Nadciągnął wrzeszczący tłum. Z tyłu zgrzytały tramwaje. Micha wstał, wziął łyżwy... Nie, to była tylko jedna łyżwa. Przygarbiony poszedł do domu. Szedł boso po lodowatej ziemi, skarpetki gdzieś zgubił, ale niczego nie zauważył. Przy bramie rzucił łyżwę w stronę ślizgawki i szczękając zębami, wszedł do domu, z którego wybiegł dokładnie pięć minut temu.

W bramie podniósł swoje buty, wsunął je na gołe stopy i popędził do Anny Aleksandrowny. Wysłuchała go, nic nie mówiąc, ale naląła talerz zupy grzybowej i postawiła przed nim.

Micha zjadł zupę, Anna Aleksandrowna wyniosła do kuchni brudny talerz.

– Ja tego nie chciałem, przysięgam! – cicho powiedział Micha do Sani.

– A któż by tego chciał? – Sania pokręcił głową.

Wszystko zrujnował straszny zgrzyt tramwaju,
Świat cały rozbił w proch i pył.

Wszystko, co było – jest i dalej będzie.

Tylko Murygin BYŁ*.

Ten wiersz Micha ułożył w dniu pogrzebu Murygina. Sławę Murygina odprowadzała na cmentarz cała szkoła, niczym bohatera narodowego. Dyrektor i dwaj uczniowie starszych klas złożyli na grobie wieniec kupiony za składkowe pieniądze, a napis był złoty na czerwonym tle.

Micha, świadek i, jak uważał, sprawca tej śmierci, wciąż przeżywał tę chwilę, to krótkie przypadkowe mgnienie: oto błysnęły w powietrzu łyżwy, oto metaliczny zgrzyt tramwaju i poszarpana kupa szmat pod kołami zamiast marnego, dokuczliwego chłopaka, który moment wcześniej zgrywał się i biegł przez ulicę. Ogromny żal pochłonał Michę, wypełnił jego serce i ciało, pograżył we współczuciu wobec wszystkich ludzi, i złych, i dobrych, po prostu dlatego, że wszyscy są bezbronni i łamliwi, i zetknięcie z bezsensownym żelastwem natychmiast kruszy im kości, rozbija głowę, a oni broczą krwią i pozostaje po nich tylko bezkształtna masa. Biedny, biedny Murygin!

U nikogo nie zachowało się zdjęcie klasy z pięćdzie-

* Przełożyła Ewa Rojewska-Olejarczuk.

świętego drugiego roku, tylko u Ilji. W swoim archiwum wszystkie zdjęcia miał własne, autorskie, tylko dwa pierwsze zrobił kto inny.

Jedno zrobił Wasilij Innokientiewicz w dniu urodzin Sani. Drugie zrobił zawodowy fotograf: powojenni, niedożywieni chłopczkowie na tym zdjęciu stoją w czterech rzędach. Ci na dole siedzą, a ci u góry stoją na krzesłach, wszyscy w otoczeniu grubych kłosów, fałdzistych sztandarów i wypukłych herbów – dekoracyjnej ramy, która była bazą, a cały ten ogolony na zero drobiazg z wyłupiastooką belferką w centrum – nadbudówką nad krzesłami sali aktowej. Murygin i Mutiukin stoją obok siebie, w górnym rzędzie, z lewej strony. Murygin patrzy w bok, taki mały, ostrzyżony na tyso chłopczyk, niepozorny i niegroźny. Stieklowa na fotografii nie ma – był chory. Micha w samym rogu, u dołu. W środku wychowawczyni klasy, rusycystka, której nazwisko wszyscy zapomnieli, bo po piątej klasie na zawsze odeszła na urlop macierzyński. Mutiukin w piątej klasie został na drugi rok i wkrótce gdzieś zniknął. Karierę kontynuował w zawodówce, a potem także w kolonii karnej. Murygina nie było już nigdzie.

NOWY NAUCZYCIEL

W szóstej klasie rusycystkę, której nikt nie pamiętał, zastąpił nowy wychowawca, Wiktor Juliewicz Szengeli, literat.

Cała szkoła zauważyła go już pierwszego dnia: szybko szedł korytarzem, prawy rękaw szarej pasiastej marynarki miał podpięty nieco poniżej łokcia i pól ręki w marynarce lekko się kołysało. W lewej ręce niósł staroświecką teczkę z dwoma mosiężnymi zapięciami, na oko znacznie starszą niż sam nauczyciel. Przewisko dla niego powstało już w pierwszym dniu: Ręka.

Był raczej młody, twarz przystojna, niemal jak u aktora, ale zbyt ruchliwa: raz się uśmiechał nie wiadomo do kogo, kiedy indziej się chmurzył, pociągał nosem albo poruszał wargami. Nieprawdopodobnie uprzejmy, do wszystkich zwracał się na „pan”, „pani”, ale przy tym był niesłychanie złośliwy.

Na początek powiedział do Ilji, gdy ten swoim niepewnym krokiem przeciskał się między rzędami ławek: „A cóż to pan się tak chybcze?” – więc Ilja momentalnie poczuł do niego silną antypatię. Potem nauczyciel sprawdził obecność w dzienniku. Przy nazwisku Świnin – był taki nieszczęsny uczeń – zatrzymał się, uważnie popatrzył na Świnina, chłopca o drobnej twarzy,

i oznajmił dziwnym tonem, trochę jakby z szacunkiem, a trochę prześmiewczo: „Dobre nazwisko!”. Klasa ochoczo ryknęła śmiechem, a Sieńka Świnin zrobił się czerwony. Nauczyciel ze zdumieniem uniósł brwi:

– Czegóż się śmiejecie? To bardzo szacowne nazwisko! Był stary ród bojarów Świninów. Piotr Pierwszy wysłał jednego Świnina – nie pamiętam jego imienia – na naukę do Holandii. Ale wy pewnie nie czytaliście *Księcia Srebrnego*? Jest tam wzmianka o Świninach. Nawiasem mówiąc, to niezwykle ciekawa książka...

Już po trzech miesiącach wszyscy, włącznie z Ilją, Sienią Świninem, a zwłaszcza Micha, słuchali go z otwartymi ustami, omawiali każde jego słowo, poruszali wargami i brwiami dokładnie tak jak on.

A poza tym Ręka recytował wiersze. Każdą lekcję, zanim wszyscy się rozsiedli i powyjmowali zeszyty, Ręka rozpoczynał jakimś wierszem i nigdy nie mówił, kto go napisał. Dobierał je dziwacznie – to znany wszystkim „Bieleje żagiel w niebios toni”, to niezrozumiały, ale zapadający w pamięć „...powietrze błękitne, jak węzełek z bielizną pacjenta, co wyszedł ze szpitala”*, to znów całkowita, ni z tego, ni z owego, jakaś abrakadabra:

Był mróz, wystawiali *Tristana*
W orkiestrze wyło ranne morze,
Zielony brzeg za niebieskawą mgłą.
Serce szarpnęło się dziko.
Nikt nie widział, jak weszła na salę,
I oto już była w loży,
Piękna jak płótno Briułłowa.
Takie kobiety istnieją tylko w powieściach,

* Borys Pasternak, *Wiosna* (przyp. red.).

Istnieją też na ekranie...
To dla nich kradną i zabijają,
Czyhają na ich powozy
I trują się na poddaszach...*

Misze krew napływała do twarzy, gdy słuchał takich wierszy, chociaż na innych nie robiły wrażenia. Ale nauczyciel spoglądał właśnie na Michę. Micha był prawie jedynym, który łykał wiersze jak łyżkę konfitur. Sania uśmiechał się z politowaniem dla tej słabostki nauczyciela – niekiedy były to te same wiersze, które cytowała babcia. Inni chłopcy wybacжали nauczycielowi tę pasję. Wiersze uważali za coś kobiecego, słabość niegodną frontowca.

Czasem jednak nauczyciel przytaczał wiersz całkiem *à propos*. Gdy rozpoczynali temat „Taras Bulba”, wszedł do klasy i zadeklamował wyraźnie o Gogolu:

Ty, coś przemknął przez te niwy
Jak kapryśna tajemnica,
Nasz szyderco dobrotliwy
Z chmurą smutku na swych licach.

W tobie śmiech i łzy, Hamlecie!
Śmiech na zewnątrz, płacz skrywany,
Ty bolejesz nad sukcesem
Tak jak inni nad klęskami.

Kochasz, cierpiąc w jej promieniach,
Sławę, jej wbrew sobie służąc,

* Michaił Kuzmin „Był mróz...”, przełożyła Ewa Rojewska-Olejarczuk.

Pątnik, skromny syn tej ziemi
Z szalejącą w sercu burzą.

Duchem tyś asceta blady,
Piórem zaś Arystofanes.
Jak bicz smagasz nasze wady
I jak balsam koisz rany*.

Na wszystkie, dosłownie na wszystkie, okazje miał przygotowany jakiś wierszyk!

– Studiujemy literaturę! – oznajmiał stale niczym najświeższą wiadomość. – Literatura jest czymś najlepszym, co posiadała ludzkość. Poezja to serce literatury, kwintesencja wszystkiego, co najlepsze na świecie i w człowieku. To jedyny pokarm dla duszy. I od was zależy, czy wyrosniecie na ludzi, czy pozostaniecie na etapie zwierzęcym.

Później, kiedy wszystkich chłopców znał już po imieniu i rozstawił ich rzędami – nie tak, jak na dorocznej fotografii klasowej, i nie według alfabetu, ale na własny sposób – gdy wszyscy zbliżyli się do siebie przez rozmowy o sprytnym Odyseuszu, o tajemniczym kronikarzu Pimienie, o nieszczęsnym synu Tarasa Bulby, o uczciwym, głupawym Aleksieju Berestowie i smagłej mądrej Akulinie** – nawiasem mówiąc, wszystko to zgodnie z programem szkolnym – chłopcy zaczęli zadawać pytania o wojnę: jak to było? I od razu stało się oczywiste, że Wiktor Juliewicz lubi literaturę, ale wojny nie lubi. Dziwny człowiek! W tamtych cza-

* Piotr Wiaziemski, *O Gogolu*, przełożyła Ewa Rojewska-Olejarczuk.

** Postacie z opowieści A. Puszkina *Panna-włóścianka* (przyp. red.).

sach cała młoda męska część społeczeństwa, która nie zdążyła postrzelać do faszystów, ubóstwiała wojnę.

– Wojna to największa obrzydliwość, jaką wymyśliła ludzkość – mawiał nauczyciel i ucinał wszystkie pytania, które cisnęły się na chłopięce usta: gdzie walczył? jakie ma odznaczenia? ilu faszystów zabił?

Pewnego razu opowiedział:

– Skończyłem drugi rok studiów, kiedy się zaczęła wojna. Wszyscy chłopcy natychmiast zgłosili się do komendy wojskowej i zostali wysłani na front. Z mojej grupy tylko ja jeden pozostałem przy życiu. Wszyscy zginęli. Nawet dwie dziewczyny zginęły. Dlatego ja obiema rękami sprzeciwiam się wojnie.

Podniósł do góry lewą, a połowa prawej się zakotyła, ale nie potrafiła się unieść.

W środy literatura była na ostatniej lekcji i na zakończenie Wiktor Juliewicz proponował:

– No co, pójdziemy na spacer?

Pierwszy taki spacer odbył się w październiku. Wybrało się jakieś sześć osób. Ilja jak zawsze spieszył się do domu. Sania tego dnia był na wagarach, co często praktykował za pozwoleniem babci. Tak więc ich paczkę reprezentował tylko Micha, który później niemal dosłownie przekazał chłopcom wszystkie niesamowite historie, zasłyszane od nauczyciela po drodze od szkoły do zaułka Kriwokolennego. Mowa była wtedy o Puszkynie. Ale Wiktor Juliewicz opowiadał o nim w taki sposób, że powstało podejrzenie, czy aby nie chodzili do tej samej klasy. Otóż Puszkina był karciarzem! Okazało się też, że strasznie zalecał się do dam! Czyli był po prostu babiarzem. W dodatku był wielkim zawadiaką, nigdy nikomu nie odpuścił, zawsze gotów się awanturować, rozrabiać, strzelać się w pojedynku.

– Tak – powiedział ze smutkiem Wiktor Juliewicz – takie zachowanie doprowadziło do tego, że uważano go za brétailleura*.

Nikt nawet nie zapytał, co znaczy to obce słowo, ponieważ i tak było jasne: zabijaka.

Potem nauczyciel zaprowadził ich do odrapanego domu na pierwszym zakręcie za ulicą Kirowa, szerokim gestem lewej ręki wskazał dom i powiedział:

– A teraz wyobraźcie sobie! Nie ma oczywiście żadnego asfaltu, kocie łby. Stamtąd, z Miasnickiej wyjeżdża kareta. No, może nie kareta, ale taki mały powozik z woźnicą. Puszkina bawił w Moskwie częściowo z wizytą, częściowo w interesach, miał tu mnóstwo krewnych i przyjaciół, ale nigdy nie miał tu własnego domu ani ekwipażu. Jeżeli nie liczyć mieszkania na Arbacie, które wynajmował krótko po ślubie. Potem wyjechał do Petersburga. Puszkina nie lubił Moskwy, mawiał, że tu jest „za dużo ciotek”. I oto, wyobraźcie sobie, sto lat po śmierci Puszkina przechodziła tędy pewna dama – było to po rewolucji – i raptem z Miasnickiej – pataj, patataj – wyjeżdża dorożka, zatrzymuje się właśnie tu, z dorożki wyskakuje Puszkina, postukał obcasami po bruku i zniknął w tym domu. Dama – ach! I nagle wszystko znika – i bruk, i dorożka, i woźnica z końmi. Zaczęto mówić, że w tym domu straszy. Cóż, czy tak to było, czy nie – teraz już się nie dowiemy. Ale to, co się odbywało w tym domu – mieszkał tu wtedy poeta Wieniewitinow – w październiku tysiąc osiemset dwudziestego szóstego roku, zostało potwierdzone wieloma świadectwami: tu w salonie Puszkina czytał swoją tragedię *Borys Godunow*. Było ze czterdziestu gości i prawie połowa z nich napisała o tym

* Rębacz, pojedynekowicz (fr.).

w listach do krewnych zaraz potem, albo we wspomnieniach po wielu latach. Przecież wszyscy czytaliście *Borysa Godunowa*, prawda? Kto opowie krótko treść?

Micha zawsze się zgłaszał, ale tu akurat zapomniał, o co tam chodziło, i nie chciał się skompromitować.

Inni skromnie milczeli. Wreszcie Igor Czetwierikow odezwał się niepewnie:

– On zabił carewicza Dymitra Samozwańca.

– Gratuluję panu, Igorze. Nauka historyczna to rzecz dość mętna. W ogóle były dwie wersje. Jedna – że Borys Godunow zabił carewicza Dymitra. Druga – że nie zabił carewicza Dymitra i w ogóle był przyzwoitym człowiekiem. Pańska wersja o zabójstwie innej osoby – Dymitra Samozwańca – całkowicie zmienia wyobrażenia historyków. Niech się pan nie martwi, historia to nie algebra. Nie można jej nazwać nauką ścisłą. W pewnym sensie bardziej ścisłą nauką jest literatura. To, co mówi wielki pisarz, staje się prawdą historyczną. Historycy wojskowi znaleźli u Tołstoja wiele błędów w opisie bitwy pod Borodinem, a i tak cały świat widzi ją właśnie taką, jak ją opisał Tołstoj w *Wojnie i pokoju*. Puszkina też nie stał na tylnym dziedzińcu pałacu matki nieletniego carewicza, Marii Nagoj, gdzie dokonano – albo nie dokonano! – zabójstwa Dymitra. To samo odnosi się do historii z Mozartem. No, *Małe tragedie* czytaliście, mam nadzieję.

– Tak, oczywiście. Geniusz i zbrodnia są nie do pogodzenia! – wypalił Micha.

– Tak, ja też tak sędzę. Ale co do Salieriego, nie ustalono dokładnie, czy to on otruił Mozarta. Jest to jedynie wersja historyczna. A utwór Puszkina to – proszę was – fakt. Wzniosły fakt rosyjskiej literatury. Historycy mogą znaleźć dowody, że Salieri nie otruił Mozarta, a i tak nie mogą polemizować z *Małymi tragediami*.

Puszkina wypowiedział wielką myśl: geniusz i zbrodnia są nie do pogodzenia w jednej osobie.

Zaczął zmierzchać, Wiktor Juliewicz pożegnał się z chłopcami i rozeszli się do domów w różne strony Kitajgradu.

Ta pierwsza wycieczka do miejsc związanych z literaturą była pierwowzorem kółka, które pod koniec roku przybrało nazwę „Mirpis” – miłośnicy rosyjskiego piśmiennictwa.

Ilja, dowiedziawszy się, jak było za pierwszym razem, potem już nie opuścił żadnego takiego „pleneru” – tak Wiktor Juliewicz nazywał te ich środowowe wycieczki literackie. Ilja sporządzał sprawozdania z zebrań kółka, był sekretarzem, i to bardzo odpowiedzialnym. Protokoły „Mirpisu”, wraz ze zdjęciami, przechowywał w biblioteczkę, w swej komórce.

„Mirpisi”, członkowie kółka, w miarę bratania się z literaturą dziewiętnastego wieku, stopniowo poznawali pewne szczegóły wojennego życiorysu nauczyciela.

Z drgającymi nozdrzami i policzkami – to po kontuzji, już o tym wiedzieli – Wiktor Juliewicz opowiedział, jak z kolegami z roku przyszli do komendy wojskowej na drugi dzień po ogłoszeniu wojny.

Skierowano go do szkoły artyleryjskiej w Tule. Chłopców interesowały rzeczy konkretne – walka, odwrót, ofensywa, rany... A jakie to były działa? Jakie pociski? A co mieli Niemcy?

Nauczyciel odpowiadał zwięźle. Wspomnienia były dla niego przykre...

Szkolenie na tulskiej uczelni było bardzo przyspieszone, ale natarcie niemieckie okazało się jeszcze szybsze. W końcu października Niemcy zbliżyli się do

Tuły. Podchorążych rzucono do obrony miasta, każdemu przydzielono pluton pospolitego ruszenia, punkty ogniowe obsługiwali kadeci jako dowódcy i ochotnicy jako szeregowcy. Przypominałoby to zabawę dorosłych „w wojnę”, gdyby w ciągu dwunastu godzin wszystkich, co do jednego, nie zmiotł niemiecki ogień. Wiktora ocaliło dobre wychowanie, które właściwie w żadnych okolicznościach nikogo nie ratowało. Rozkazał żołnierzowi, którego nazwiska nie zapamiętał, żeby przyniósł skrzynie z amunicją. Podstarzały tłuścawy ochotnik obsobaczył dowódcę: komu ty, szefuniu, rozkazujeś? Mam pięćdziesiąt lat, a ty osiemnaście. Sam targaj skrzynie...

Podchorąży, który miał już dziewiętnaście lat, bez słowa pobiegł po amunicję. Sto metrów w jedną stronę bez obciążenia i sto z powrotem z pięćdziesięciokilogramowym jaszczem. Zadyszany dowódca nie zastał załogi działa – w miejscu, gdzie było ustawione, dymił ogromny lej, nikt nie ocalał.

Nie było nawet kogo grzebać – trafienie bezpośrednie. Podchorąży posiedział na skrzyni, o niczym nie myśląc, nie czując spalonej ziemi, roztopionego metalu, kipiącej krwi i opalonych szmat... Potem, zostawiwszy niepotrzebną skrzynię, odszedł stamtąd, nie słysząc gwizdu i wybuchów.

Tuła się poddała, szkołę przeniesiono do Tomska, przynajmniej tych kadetów, którzy zostali przy życiu podczas obrony. Poległa załoga długo mu się śniła, a tłuścawy chłop ponuro mu wymyślał, wcale nie za skrzynię z amunicją, ale za coś innego, poważniejszego. Tysiące razy Wiktor wracał tam w myślach: jak by było słusznie... jak należało postąpić? Przecież gdyby, jak przystoi dowódcy, warknął, to ocalałby tamten tłuścioch...

Uznał, że dowódcą być nie może. Tylko szeregowym. Napisał podanie z prośbą o wysłanie go do armii czynnej. Odmówiono – do zakończenia szkoły pozostało półtora miesiąca. Potrzebne było jakieś niewielkie wykroczenie. Żeby go nie postawiono przed sądem, nie wysłano do batalionu karnego, ale ograniczono się tylko do wysłania na front jako szeregowca, bez nadania stopnia oficerskiego.

I znalazł wykroczenie odpowiedniego formatu. W przeddzień nadania stopni poszedł na samowolkę, upił się w mieście, wlaź do żeńskiego hotelu robotniczego i spędził noc w świetlicy z dziewczyną, która rankiem na jego prośbę wydała podchorążego-hulakę patrolowi żandarmerii. I odmierzono mu jak w aptece: dziesięć dni aresztu, a potem na front jako szeregowiec. I tak aż do końca wojny – dla niego skończyła się w czterdziestym czwartym, po tym, gdy został ranny – ani razu nie musiał wydawać rozkazów. Tylko je wykonywał. Zadanie zawsze było takie samo: dojść żywym od punktu A do punktu B. I jeszcze mnóstwo drobnych trosk – pojeść, popić, wyspać się, nie zmylić kroku i dobrze by było się jeszcze umyć. Kazano – to strzelał. Nie, nic o tym nie mówił, o tym milczał.

– A gdzie został pan ranny? – pytali chłopcy.

– W Polsce, już podczas natarcia. No i ucieli mi rękę.

Nie opowiedział uczniom, co było potem. Jak się uczył pisać lewą ręką – zaokrąglonym, pochyłym piśmem, niepozbawionym elegancji. Trochę sobie pomagał kikutem prawej, ale protezy z różowego celuloиду nie nosił. Nauczył się zgrabnie zakładać plecak – najpierw lewą ręką naciągał pasek na kikut prawej, a dopiero potem wsuwał ją w szelkę. Ze szpitala przyjechał do Moskwy. Uczelnię, na której studiował przed woj-

na, zlikwidowano, a resztki włączono do wydziału filologii. Wrócił tam w mundurze, który zachował zapach wojny, i w oficerkach, które mu się nie należały z uwagi na rangę.

Uniwersytet na Mochowej! Cóż to było za szczęście – przez całe trzy lata sam siebie przywracał do życia: oczyszczał krew Puszkinem, Tołstojem, Hercenem...

W czterdziestym ósmym, niedługo przed końcem studiów, zaproponowano mu doktoranturę: i promotor był wspaniały, mediewista i wielki znawca literatury europejskiej, i temat ciekawy – z wątkami romańsko-niemieckimi, o kontaktach Puszkina z tą właśnie literaturą. Wiktor Juliewicz się wahał – chciał uczyć dzieci – wydawało mu się, że teraz już wie, czego uczyć. Musiał wybierać...

Gdzie jest ten głos, który w decydujących chwilach podpowiada? Żaden głos nie był jednak potrzebny – niedoszły promotor dostał po głowie za służalczość wobec Zachodu i kosmopolityzm, a nieco później go aresztowano...

Nie udało się z doktoranturą. Z nakazem pracy posłano go do szkoły średniej w Kalinowie w obwodzie wołogodzkiem, żeby uczył języka rosyjskiego i literatury.

Dostał mieszkanie przy szkole. Pokój i przedpokój, w którym palono w piecu. Drewno na opał przydzielono. W miejscowym sklepie sprzedawano kraby z Dalekiego Wschodu i cukierki, liche wino i wódkę. Chleb dowożono dwa razy w tygodniu, kolejki ustawiały się od wczesnego rana, a sklep otwierano o dziewiątej, kiedy kończyła się już pierwsza lekcja. Mamusie, zgodnie z dawnym wiejskim zwyczajem, przynosiły mu a to jajka, a to twaróg, a to wiejskie ciasto o zadziwiającej właściwości: niezwykle smaczne na ciepło i zupełnie

niejadalne na zimno... Od wieków stosowano tę naturalną opłatę pracy duchownych, lekarzy i nauczycieli. Tymi dodatkami dzielił się ze sprzątaczką Marfuszą, gburowatą wdową dziwaczką, ale pił w samotności. Nie dużo i nie mało – co wieczór butelkę. Przed snem czytał jedyne go autora, który go nigdy nie nudził.

Oprócz literatury musiał jeszcze uczyć geografii i historii. Matematyki i fizyki uczył dyrektor szkoły, który prowadził też nauki społeczne; choć nazwy się zmieniały, przedmiot ten przez cały czas był historią partii. Pozostałych przedmiotów – biologii i języka niemieckiego – uczyła zesłana Finka z Leningradu. W jej życiorysie, oprócz niedobrej narodowości, była jeszcze jedna plama – przed wojną pracowała z profesorem Wawilowem, który się nigdy nie wyparł potępionej oficjalnie teorii weismanizmu-morganizmu.

W Kalinowie wszystko było ubogie, jedyne bogactwo stanowiła nietknięta, subtelna przyroda. I chyba ludzie byli tu lepsi od miastowych, też prawie nietknięci miejskim zepsuciem.

Kontakt z wiejską młodzieżą rozwiał jego studenckie iluzje: to, co dobre i wieczne, oczywiście pozostawało niezmiennie, ale materia życia codziennego była prymitywna – na cóż te wszelkie wartości kulturalne okutanym w łatane chusty dziewczętom, które przed lekcjami zdążyły oporządzić bydło i młodsze rodzeństwo, oraz chłopcom, którzy latem wykonywali wszystkie ciężkie męskie roboty? Ta nauka na pusty żołądek i marnowanie czasu na zdobywanie wiedzy, która w żadnym razie i nigdy im się nie przyda?

Ich dzieciństwo dawno się skończyło, wszyscy byli niedorosłymi chłopami i babami, i nawet ci, których matki chętnie posyłały do szkoły, niewątpliwa mniej-

szość, czuli się niezręcznie, że zajmują się głupotami, zamiast prawdziwą, poważną robotą. Z tego powodu niezręczność odczuwał też młody nauczyciel – czy rzeczywiście nie odciąga dzieci od powszednich, życiowych spraw, dając im w zamian zbędne luksusy? Jaki Radiszczew? Jaki Gogol? Jaki Puszkina? Nauczyć ich czytać i pisać i co rychlej odesłać do domu, do pracy. Zresztą oni sami chcieli tylko tego.

Wtedy po raz pierwszy zastanowił się nad fenomenem dzieciństwa. Nie budziła wątpliwości kwestia, kiedy się ono zaczyna. Ale kiedy się kończy? Gdzie ta granica, za którą człowiek staje się dorosły? Najwyraźniej dzieciństwo wiejskich dzieci kończyło się wcześniej niż tych z miasta.

Północne wsie zawsze głodowały, a po wojnie zbiedniały ostatecznie. Pracowały tam tylko baby i dzieciaki. Spośród trzydziestu miejscowych mężczyzn, którzy poszli na front, z wojny wróciło dwóch, jeden bez nogi, drugi chory na gruźlicę, rok później zmarł. Dzieci, mali chłopcy uczniowie, wcześniej zaczynali pełne pracy życie, dzieciństwo im ukradziono.

Zresztą, co tu liczyć: jednym ukradziono dzieciństwo, innym młodość, jeszcze innym – wolność. A Wiktorowi Juliewiczowi tylko drobiazg – doktoranturę.

Po trzech latach półzestania – były to te same tereny, na które za caratu zsyłano takich jak on młodych mądrali z poczuciem godności – gdy jego siódmoklasiści ukończyli szkołę, Wiktor Juliewicz wrócił do Moskwy, do mamy, do zaułka Bolszewickiego, do domu z rycerzem w niszy przy wejściu.

Pierwsza zaoferowana w Moskwie posada nauczyciela rosyjskiego w cudowny sposób trafiła mu się dzieś minut od domu, w pobliżu Biblioteki Historycznej,

która stęsknionego za książkami Wiktora pociągała bardziej niż stołeczne teatry i muzea.

Próbował odnowić uniwersyteckie kontakty, szukał dawnych znajomych. Spotkał się z Leną Kurcer, która przeszła wojnę jako tłumacz wojskowy, ale nie udało mu się z nią pogadać od serca. Odszukał jeszcze dwie koleżanki z roku i znowu nic dobrego z tego nie wyszło. Były to czasy milczenia, niesprzyjające szczerości. Rozmawiać zaczęto kilka lat później. Spośród trzech kolegów, którzy przeżyli wojnę, jeden poszedł do pracy partyjnej, drugi uczył w szkole. Kontakty z nimi ograniczyły się do wypicia flaszki i ustały. Trzeci, Stas Komarnicki, był nieosiągalny: dostał wyrok czy to za opowiadanie kawałów, czy to za zwykłe gadulstwo. Jedynym spośród kolegów, z którym Wiktor spotykał się z radością, był dawny sąsiad z podwórka Miszka Kolesnik. Stworzyli pogodną powojenną parę przyjaciół: Miszka bez nogi, Wiktor bez ręki. Nazwali siebie „trzy ręce, trzy nogi”.

Miszka w tym czasie był już biologiem i ożenił się z sympatyczną dziewczyną, też z ich podwórka, ale młodszą.

Była lekarką, pracowała w szpitalu miejskim i bardzo chciała wyswatać Wiktora. Wciąż starała się mu podsunąć którąś z niezamężnych koleżanek. Ale Wiktor nie zamierzał się żenić. Po powrocie z Kalinowa zakochał się w dwóch ślicznotkach naraz – jedną poznał w bibliotece, druga sama do niego podeszła w muzeum, dokąd przyprowadzał swoją klasę. Miszka żartował: masz szczęście, Wika, że baby do ciebie przychodzą parami, bo gdyby była tylko jedna, to na pewno by cię omotała...

Ale w rzeczywistości „omotała” go praca. Najcie-

kawsze okazały się dla Wiktora umysły trzynastoletnich chłopaków. Nie mieli nic wspólnego z wiejskimi rówieśnikami. Ci moskiewscy chłopcy nie orali, nie siali, nie naprawiali końskich uprzęży, ale nie znali też chłopskiej odpowiedzialności za rodzinę.

Byli normalnymi dziećmi – dokazywali na lekcjach, rzucali w siebie kulkami przeżutego papieru, opryskiwali się wodą, chowali jeden drugiemu książki i zeszyty, bili się, tarposili jak szczenięta, a potem raptem się uspokajali i zadawali poważne pytania. Oni, w odróżnieniu od rówieśników ze wsi, mieli jednak dzieciństwo, z którego nieuchronnie wyrastali. Oprócz pryszczycy widać u nich było także inne oznaki dorastania związane z wyższymi czynnościami układu nerwowego: zadawali „przekłête pytania”, zadręczali się niesprawiedliwością świata, słuchali poezji, a dwaj czy trzej nawet pisali coś w rodzaju wierszy. Pierwszy przyniósł nauczycielowi kartkę ze starannie zapisanymi rymowankami. Micha Mełamid.

– Rozumiem, rozumiem – powiedział głośno Wiktor Juliewicz i uśmiechnął się. A pod nosem mruknął: „Żydowski chłopcy są szczególnie wrażliwi na rosyjską literaturę”.

Połowa klasy niezupełnie pojmowała, czego chce od nich ten literat. Druga połowa chodziła krok w krok za nauczycielem. Wiktor Juliewicz starał się traktować wszystkich jednakowo, ale miał też ulubieńców – podatny na emocje, uczciwy aż do absurdu Micha, ruchliwy i zdolny do wszystkiego Ilja oraz zamknięty w sobie inteligent Sania. Nierozłączna trójca.

Sam też kiedyś należał do takiej trójcy, często wspominał dwóch ulubionych przyjaciół, Żenię i Marka, którzy zginęli w pierwszych tygodniach wojny. Jeszcze

dziecinni, pełni fałszywego romantyzmu, powtarzający infantylne wierszyki – „Brygantyna, brygantyna!” – jacy byliby dzisiaj? Ten rudy Micha to jakby ich młodszy brat, i jeżeli uważnie się przyjrzeć, można odczytać jego przyszły koślawy los. Nie, nie miał żadnych ambicji wieszczca, był po prostu niespokojnym duchem...

Na razie był rok pięćdziesiąty trzeci, nie nastąpił jeszcze marzec, trwała na całego kampania antysemiticka. W tych parszywych czasach jedna ósma Żyda w Wiktorze Juliewiczu jęczała i była przerażona, a gruzińska ćwiartka wstydziała się i cierpiała.

Wiktor Juliewicz był mieszańcem wielu krwi, nosił gruzińskie nazwisko, podawał się za Rosjanina, ale rosyjskiej krwi miał w sobie niewiele. Zmieszała się w jego żyłach z niemiecką i polską. Dziadek Gruzin ożenił się z Niemką – razem studiowali w Szwajcarii i tam się urodził ojciec Wiktora, Juliusz. Pochodzenie Ksieni Nikołajewny, matki Wiktora, było nie mniej egzotyczne. Jej ojciec, potomek Polaka-zesłańca i żydowskiej dziewczyny, jednej z pierwszych wykształconych felczerek, poślubił popównę i to właśnie ta krew duchownego stanowiła rosyjską część jego krwi.

Po gruzińskim dziadku odziedziczył muzykalność. Po babce Niemce, która starannie ukrywała swoje pochodzenie i w dwunastym roku, zaraz po przyjeździe do Tyflisu, przewidująco podała się za Szwajcarkę, Wiktor odziedziczył racjonalny umysł i doskonałą pamięć, po żydowskim pradziadku bujne włosy i drobne kości, a po babce z Wołogdy jasne oczy.

Ksienią Nikołajewną, owdowiałą wcześniej matka Wiktora, jedyną żywą potomkini dwóch wymarłych podczas rewolucji rodzin, starannie ścierała kurz z półek na książki, walczyła z molami i podlewała poma-

rańcowe nagietki, które niemal przez cały rok kwitły na parapecie.

Pozostały jej w życiu dwa ulubione zajęcia – opieka nad synem i malowanie jedwabnych chustek dla spółdzielni inwalidów. Poza tym umiała smażyć kotlety i robić grzanki na mleku. Gdy syn wrócił z frontu, szybko nauczyła się robić dla Wiki (to ona od dzieciństwa nazywała go prawie kobiecym imieniem „Wika”, które przyłgnęło doń na zawsze) wszystko to, co niewygodnie jest robić jedną ręką: krajała chleb, smarowała go masłem, gdy je mieli, rano mieszała mu mydlaną pianę do golenia.

Czego Wiktor Juliewicz zdecydowanie nie miał, to poczucia dumy z przynależności do jakiegoś narodu. Czuł się jednocześnie jak parias i błękitna krew, a żydożercze czasy były mu wstrętne przede wszystkim ze względów estetycznych: nieładni ludzie, nieładnie ubrani, nieładnie się zachowywali. Życie poza przestrzenią książek jakoś mu ubliżało, w książkach natomiast znajdował żywą myśl, uczucia i wiedzę. To rozdarcie było nieznośne, więc coraz bardziej zagłębiał się w literaturę. Tylko dzieci, które uczył, godziły go z odstręczającą rzeczywistością.

A poza tym – kobiety. Lubił piękne kobiety. Pojawiały się w jego życiu przelotnie i od święta, częściej jedna po drugiej, czasem równoległe i wszystkie wydawały mu się jednakowo piękne.

Trzeba powiedzieć, że i on podobał się kobietom. Był przystojny i nawet jego fizyczny defekt – o czym się wkrótce przekonał – był pociągający. Piękne panie akceptowały inwalidę nie tylko z tego oczywistego powodu, że w powojennych czasach mężczyzn było mniej, niż trzeba do reprodukcji, jak by powiedział wetery-

narz. Był szczególnie atrakcyjny, gdyż kobiety mylnie sądziły, że kto jak kto, ale on ze swoim defektem będzie należał do nich całkowicie i niepodzielnie.

Niestusznie. Wiktor nie zamierzał nikomu dawać żadnych praw do siebie, co skrycie zakłada związek małżeński.

Bunin, Kuprin i Czechow z jego *Damą z pieskiem* rozwinęli w rosyjskiej literaturze niezbadaną do początków dwudziestego wieku przestrzeń „nieboskiej” miłości – gwałtownie wybuchającej namiętności, cudzołóstwa, romansów, wszystkiego tego, co wiek dziewiętnasty nazywał „brudnym”.

Żaden z tych autorów nie znał najważniejszego problemu naszych powojennych czasów – terytorialnego, który w równej mierze dotyczył zwolenników miłości „po bożemu”, jak i kochanków o najprymitywniejszych skłonnościach. Gdzie? Gdzie może się odbyć miłosna schadzka, jeśli człowiek mieszka w jednym pokoju z matką, w mieście, gdzie nie ma hoteli, do których można by zaprowadzić panią w celu wspólnego przeżycia „słonecznego udaru”. Nie da się znaleźć nawet komórki, w której można by być sam na sam. Chyba tylko latem, na łonie natury, ale lato jest tak krótkie w naszym klimacie...

Niemożliwe było przyprowadzenie dziewczyny do siebie do domu, za gobelinową zasłonę, oddzielającą męską, synowską połówkę pokoju od damskiej, matczynej. Wynająć pokój na randki – obrzydliwe, a przy tym drogo, prosić o klucz od mieszkania samotnego przyjaciela – jakoś głupio... Poczucie obrzydzenia Wiktor Juliewicz stało na straży jego moralności.

Zresztą, szczęście mu sprzyjało, wszystkie jego przyjaciółki miały przestrzeń życiową. Rozwiedziona

Lidoczka, którą odwiedzał, o pięknej szyi i cudownym biuście, mieszkała w samodzielnym pokoju. Potem nadarzyła się Tania – chłopczyca, malutka, cała jakby na sprężynkach, podskakująca nawet na ulicy. Jej mąż był aktorem, występował gdzieś w Saratowie, a ona wynajmowała pokój na Sretience w wygodnej odległości piechotą. Była też Wieroczka, tłumaczka z francuskiego, wykształcona, rozsądna, z którą jeździli na pustą daczę jej rodziców.

Żadna z tych pięknotek nie odwiedzała go w domu – Ksienia Nikołajewna nie znosiła obcych kobiet. Matka z synem spokojnie więc żyli sobie we dwójkę, Wiktor Juliewicz o żadnych zmianach nawet nie myślał.

Rano drugiego marca jedli na śniadanie grzanki, miękkie w środku i mocno przypieczone na zewnątrz. Ksienia Nikołajewna pokroiła je na wygodne dla Wiki kawałki. Ta drobiazgowo, czasem całkiem niepotrzebna troskliwość przypominała jej czasy, gdy Wika był małym chłopczykiem, ona była młoda i piękna, a mąż żył.

Zaparzyła mocną herbatę, taką jak lubił mąż nieboszczyk. Spokojne śniadanie przerwał oficjalny komunikat – o chorobie Stalina. Ksienia Nikołajewna klasnęła w dłonie, Wiktor się skrzywił. Po chwili milczenia powiedział:

– Wyciągnął kopyta, jak nic. Przez tydzień będą nam mydlić oczy, a potem powiedzą.

– To niemożliwe.

– A dlaczego? Tak już było. Kiedy Aleksander I umarł w Taganrogu, kurier z wiadomością o śmierci wyruszył do Petersburga, a kiedy przejechał przez Moskwę, Golicyn kazał roznosić komunikaty o stanie zdrowia cara. Przez tydzień posterunkowi roznosili po domach komunikaty.

– Co ty mówisz! Skąd to wiesz?

– No, najpierw natknąłem się na wzmiankę o tych biuletynach w notatkach księcia Kropotkina, a potem już znalazłem je w bibliotece. Przybierz odpowiednią minę, o pani, wyrażającą ból. Nadchodzą zmiany.

– To straszne – wyszeptwała. – Straszne, Wika.

– To nic. Gorzej nie będzie.

I poszedł do szkoły. W pokoju nauczycielskim trwało napięte, trwożne milczenie. Jeżeli nawet ktoś mówił, to szeptem. Przywitał się, wziął dziennik i poszedł do swoich chłopaków.

Otworzył drzwi klasy i od progu, przy zanikającej wrzawie, zaczął recytować:

Tym się konnica zdaje najpiękniejsza
na czarnej ziemi, tamtym znów piechota,
innym okręty. Ja to nazwę pięknym,
co zachwyty budzi.

Wszyscy tę prawdę pojną. I Helena,
choć ze wszystkich kobiet najpiękniejsza,
dla niej rzuciła małżonka, wśród ludzi
najzaciejszego,

tego, co Troję przywiódł do upadku.
Na córkę i rodziców nie zważała,
lecz dała się prowadzić swej miłości
w daleką drogę*

– No, kto mi powie, co to jest liryka? – zapytał, kiedy ucichło trzaskanie blatami ławek.

* Safona, *Do Anaktorii*, przełożyła Janina Brzostowska.

Klasa zamarła. Nauczyciel rozkoszował się tą chwilą – nauczył się tworzyć tę ciszę myślenia.

– To jest o miłości – powiedział ktoś śmiały.

– Słusznie, ale to niepełna odpowiedź. Liryka mówi o wszelkich ludzkich przeżyciach, o życiu wewnętrznym człowieka. I oczywiście – o miłości. A także o smutku, samotności, rozstaniu z ukochanym człowiekiem. Istnieje bardzo wybitny wiersz, który też napisano przed naszą erą – elegia na śmierć wróbelka. Nie żartuję...

Płaczcie, Rozkosze, płaczcie, Miłości,
I ludzie wszyscy na wdzięki czuli!
Umarł wróbelek mojej dziewczyny,
Wróbelek – rozkosz mojej dziewczyny.
Jego kochała ponad swe oczy,
Bo był tak słodki i swoją panią
Znał on tak dobrze jak córka matkę.
Ani się ruszał na krok z jej kolan,
Lecz skacząc sobie to tu, to tam wokół
Do swojej pani jedynie ćwierkał.
Dzisiaj wędruje już mroczną drogą,
Z której nie dane nikomu wrócić*

To też jest przykład wiersza lirycznego...

Rozmawialiśmy już o Homerze, czytaliśmy fragmenty *Iliady*, wiemy o Odyseuszu. Wiemy już, co to jest epos. Uczeni uważają, że utwory epickie pojawiły się wcześniej niż liryka. Pierwszy wiersz, który zadeklamowałem, napisany w siódmym wieku przed naszą erą, wspomina o Helenie. Domyśliliście się pewnie, że

* Katullus, *Płaczcie, Rozkosze...*, przełożył Jerzy Ciechanowicz.

to ta sama Helena, z powodu której, jak głosi legenda, rozpoczęła się wojna trojańska. Autor porównuje ją do swojej ukochanej. „Piękną Helenę”, żonę króla Meneleosa, porwaną przez Parysa, spotykamy również u współczesnych poetów. W ten sposób z eposu przeszła do liryki – jako piękność zniewalająca serca mężczyzn...

W głębokiej starożytności, gdy ludzka kultura dopiero powstawała, słowo było ściśle związane z muzyką. Wiersze głośno recytowano przy wtórze instrumentu zwanego lirą. Stąd też wzięła się „liryka”. Przez dwa i pół tysiący lat wiele się zmieniło: teraz rzadko deklamuje się wiersze z towarzyszeniem muzyki, natomiast pojawiły się nowe gatunki, w których słowa i muzyka są nierozdzielne... Podajcie przykłady...

Przebrzmiał dzwonek, a oni wciąż siedzieli jak urzeczeni jego słowami. Dlaczego nie trzaskali białymi ławkami, nie zrywali się z miejsc z wrzaskiem, nie biegli pospiesznie do wyjścia, przepychając się w drzwiach – szybciej, szybciej! Na korytarz, do szatni, na ulicę!

Dlaczego go słuchali? Dlaczego on sam z takim zaciekawieniem wbijał im do głów to, co było im zupełnie zbędne? Jakże ekscytujące było poczucie tak subtelnej władzy – uczyli się myśleć i czuć na jego oczach. Cóż to za oaza wśród monotonnej brzydoty!

Trzy dni później obwieszczono śmierć Stalina i Wiktor Juliewicz poczuł trochę małosłowną satysfakcję – domyślił się tego wcześniej niż inni. Poza tym należał do tej absolutnej mniejszości, która nie zamierzała opłakiwać wielkiej straty. Gdy był mały, rodzice wysyłali go do Gruzji na całe lato, a ostatni raz byli w Tbilisi całą rodziną na krótko przed śmiercią ojca, w trzydziestym trzecim roku.

Od ojca wiedział, jak wszyscy ich gruzińscy krewni gardzili Dżugaszwilim, bali się go i nienawidzili.

Umarł tyran. Umarł tytan. Postać iście antyczna z podziemnego świata, straszliwa, sturęka, stugłowa. Z wąsami.

W szkole odwołano lekcje, uczniów spędzono na wiec. Wiktor Juliewicz prowadził swoich szóstoklasistów parami na piąte piętro, a Micha wciąż kręcił się obok niego z jakimś papierkiem, wciskał mu do ręki kartkę z zeszytu zapisaną wielkimi liliowymi literami. Napisał wiersz.

Słowa „Śmierć Stalina” były ujęte w ramkę.

Ludzi pracy, maszynistki i lekarze,
Płaczcie dzisiaj, płaczcie tu i wszędzie.
Umarł Stalin, drugiego takiego
Nigdy już więcej nie będzie*.

„Witaj, Katullusie” – uśmiechnął się pod nosem Wiktor Juliewicz i powiedział cicho:

– No, lekarze, to jeszcze zrozumiałe. Ale dlaczego maszynistki?

– Moja ciocia Gienia była maszynistką. No, mogą być „maszyniści” – poprawił się Micha. – A czy mogę wyrecytować?

Oj, ta aktywność nie doprowadzi do niczego dobrego.

– Nie, Micha, ja panu nie radzę. Nawet kategorycznie nie radzę.

Micha chciał zabrać kartkę, ale nauczyciel zręcznie złożył ją na pół i przycisnął do piersi:

* Przełożyła Ewa Rojewska-Olejarczuk.

– Mogę ją wziąć na pamiątkę?

– Oczywiście – rozpromienił się Micha.

Sala się wypełniła. Radio nadawało Beethovena. Zapłakane nauczycielki ustawiły się wokół gipsowego popiersia. Pąsowy aksamit szkolnego sztandaru spływał fałdami na podłogę. Wiktor Juliewicz stał z tyłu ze stosownym wyrazem twarzy. Przy oknie, przyciśnięty przez kolegów do parapetu, cierpiał ósmoklasista Boria Rachmanow. Parapet boleśnie wbijał mu się w prawy bok, ale Boria nie miał się gdzie przesunąć. Była to lekka próba tego, co stanie się z nim trzy dni później.

Po uroczystym wiecu z ogólnonarodowym szlochem – nauczyciele dawali przykład szczerego bólu, chłopcy wtórowali tragicznej nucie – odprowadzono ich do klas i posadzono w ławkach. Dyrektorka wciąż starała się dodzwonić do kuratorium, żeby się dowiedzieć, czy na pewno należy odwołać lekcje i na ile dni. Telefon był jednak stale zajęty. Dopiero około pierwszej po południu zakomunikowano, że uczniów należy zwolnić z powodu żałoby, a o wznowieniu zajęć zawiadomi się oddzielnie.

Zwalniając swoich do domów, Wiktor Juliewicz poprosił, żeby się nie włóczyli po ulicach, a najlepiej! – żeby poczytali jakieś dobre książki.

Sania Stiekłow z zadowoleniem poszedł za radą nauczyciela. Był chyba jedynym, u którego w bibliotece stały dzieła zebrane Tołstoja, i przez cztery dni żałoby połknął wszystkie cztery tomy *Wojny i pokoju*, chociaż, szczerze mówiąc, niektóre fragmenty tylko kartkował. Pierwszy tom po przeczytaniu oddał Misze, ale ten go nawet nie otworzył: w tamtych dniach miał inne troski – ciocia Gienia dostała ataku serca. Minna, jak zawsze w trudnych okolicznościach, zachorowała na żołądek i Micha przez

trzy dni wykonywał ciągle polecenia ciotki Gieni, która nieco przesadnie odchodziła od zmysłów z rozpaczy.

Ilja miał w nosie i zalecenia nauczyciela, i prośby matki. Ciągnęło go na ulicę trwożne odczucie ważności tego, co się dzieje. Wczesnie rano siódmego marca zabrał aparat i wyszedł z domu w nastroju myśliwego, który zwietrzył wielką zdobycz.

Przez trzy dni Wiktor Juliewicz nie wychodził z domu i nie wypuszczał matki. Nie było chleba, ale on mówił:

– Mamo, jaki chleb? Nawet wódki nie mamy.

Rzeczywiście, schowaną przez matkę butelkę wypił dwa dni wcześniej. Postanowił, że dopóki wódka gdzieś nie wywiozą i nie pochowają, nie będzie wychodził.

Włożył pasiastą piżamę, wziął stertę książek i położył się na tapczanie za gobelinową zasłoną. Szczyt szczęścia.

Dziesiątego marca o dziesiątej nastąpiło wyprowadzenie ciała z Sali Kolumnowej. Niziutcy ludzie w grubych paltach z karakułowymi kołnierzami, przywódcy państwa, wynieśli trumnę na ramionach.

Wtedy Wiktor wyszedł z domu – po chleb i po wódkę. Na ulicy prawie nie było ludzi. Ciężarówka jeszcze stała wzdłuż ulic i wszystko przypominało krajobraz po powodzi – rozdeptane obuwie, czapki, teczki na zawsze rozłączone ze swymi właścicielami, wyłamane słupy latarni, rozbite okna na parterze. W bramie domu – zakrwawiona ściana. I stratowany pies. Wiktor przypomniał sobie Puszkina –

...Nieszczęśliwy

Ulicą znaną pędem gna

Na miejsce, które dobrze zna,
Lecz nie poznaje. O, straszliwy
Widoku!

Z pamięci wyrecytował *Jeździec miedzianego* do końca:

A w progu mój szalowiec leżał
Więc tuż, nie skąpiąc mu pacierza
Dobrzy go ludzie pochowali*.

W tym momencie, dość daleko od domu, znalazł otwarty sklepik. Schodki prowadziły do sutereny.

Kilka kobiet cicho rozmawiało ze sprzedawczynią i zamilkły, gdy tylko wszedł.

Jakby mówiły o mnie – uśmiechnął się Wiktor Juliewicz.

Jedna z kumoszek rozpoznała nauczyciela i rzuciła się do niego z pytaniem:

– Wiktorze Juriewiczu, co to się porobiło? Ludzie powiadają, że to Żydzi urządzili ten pogrom? Czy pan może coś słyszał?

Była to matka dziesiątoklasisty, ale nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska. Proste kobiety często nazywały go „Juriewicz”, co go drażniło. Ale tu raptem ogarnęła go dziwna, obca mu pokora.

– Nie, droga pani, nic takiego nie słyszałem. Wypijemy dziś parę kieliszków za spokój duszy i będziemy nadal żyć, jak żyliśmy. A Żydzi, cóż? Przecież to tacy sami ludzie jak my. Proszę dwie butelki wódki, bułkę i pół czarnego chleba. Aha, i dwie paczki mrożonych pierożków...

* Aleksander Puszkina, *Jeździec miedziany*, przełożył Julian Tuwim.

Wziął zakupy, zapłacił i wyszedł, zostawiając kobiety w niejakim zakłopotaniu: może i nie Żydzi to uknuli, ale jacyś inni... Świat jest pełen wrogów. Wszyscy nam zazdroszczą, wszyscy nas się boją. I ich rozmowa potoczyła się w innym, wzniosłym kierunku.

Siedzieli z matką przy okrągłym stole, upstrzonym nadpaleninami. Między nimi stała karafka. Ksienia Nikołajewna przyniosła z kuchni pierożki, jak zawsze rozgotowane. Postawiła garnek na żelaznej podstawce. Wiktor nalał do kieliszków. Raptem odezwał się dzwonek u drzwi. Trzy dzwonki – do Szengelich.

Wiktor poszedł otworzyć – za drzwiami stała dziwaczna postać – owinięta w czarny koronkowy szal narzucony na futrzaną czapkę, w męskiej jesionce z jenotowym kołnierzem. Z oparów naftalinowo-kocięgo zapachu dawnej przeszłości wyłoniła się kuzynka zmarłego ojca, długonosa piękność, śpiewaczka, hafciarka, niedoszła zakonnica, promieniejąca ciepłem i śmiechem Nina.

– To ty? Czy to możliwe?

Ostatni raz widział ją dwadzieścia lat temu. Mieszkał w jej tbiliskim domu, który w dziecięcej pamięci pozostał pod znakiem podejrzenia: czy dom ten istniał naprawdę, czy też się przyśnił? Ale ona była ta sama, nawet nie bardzo się postarzała, droga Nina, kochana Niniko...

– Wika, mój chłopcze, zupełnie się nie zmieniłeś! Rozpoznałabym cię w tłumie!

– O Boże, Nina, to ty? Skąd?

– Prowadź mnie, prowadź do domu, nie trzymaj na progu!

Całowali się, trzymali nawzajem za głowy, odsuwali, żeby się przyjrzeć i znowu się całowali.

Skonsternowana Ksienia Nikołajewna stała w progu – z kim ten Wika się całuje?

O Boże, Nina! Gruzińska krewna, ulubiona kuzynka zmarłego męża, zjawiała się z przeszłości, z odległej przeszłości.

Czy to możliwe? Wejdziesz, wejdziesz! Do stołu, do stołu! Aha, chcesz umyć ręce!

– A jakże, jak z cmentarza, to przede wszystkim myć ręce! – akcent gruziński, jeszcze silniejszy niż dawniej, w głosie śmiech, radość.

Umyła ręce, potem poszła do klozetu i jeszcze raz umyła ręce. Ksienia Nikołajewna już położyła na stole trzecie nakrycie – wszystkie talerze stare, poobijane i popękane.

Wiktor nalał wódkę.

– Najpierw – za wyzwolenie! To tak, jakby czterdzieści lat tułać się po pustyni... Zdechł! Wydostaliśmy się! – powiedziała Nina wbrew biesiadnemu zwyczajowi, którego w Gruzji zawsze przestrzegano. Kobieta-gość nie mówi pierwsza!

Wypili. Nina oddzieliła widelcem ćwierć pierożka, niezwykle delikatnie włożyła do prawie zamkniętych ust. A Wiktor przypomniał sobie, jak uczyła go jeść, pić, chodzić, siadać, witać się. Wszystko zapomniał. Ale wszystko robił tak, jak go niegdyś uczyła, mimo że samych lekcji nie pamiętał.

– Jakim cudem się tu znalazłaś, powiedz, Ninoczka?

Odchyliła się na oparcie krzesła, splótła dłonie za głową i zachichotała młodzieńczym śmiechem. Potem zgasiła uśmiech, zdjęła z ramion czarną koronkową chustkę, owinęła nią głowę i podniosła w górę swe niezwykle, niestarzejące się ręce i wydała przeciągły

okrzyk, wzlatujący do góry. Potem ten dźwięk opadł w dół, a słów prawie żadnych nie było, ponieważ był to płacz po umarłym – dziwny, żadnych słów niewymagający krzyk żalu, w którym brzmiała i tęsknota, i ból, i tryumf.

Nina zakończyła tę starą wypowiedź bez słów i znów się roześmiała.

„Upiła się, biedactwo” – pomyślała Ksienia Nikołajewna.

Gdy Nina przestała już się śmiać opowiedziała historię, która na długie lata miała się stać jej ulubioną opowieścią dla bliskich.

Piątego marca, kiedy śmierci Stalina jeszcze nie ogłoszono, do domu przyszli dwaj enkawudziści i ją zabrali. Chcieli wziąć też jej siostrę Mananę, ale ta wyjechała do Kutaisi jeszcze w zeszłym tygodniu i nie było jej w domu.

Mama układa rzeczy, płacze, szepcze:

– Nie chce ten szatan, nie chce zostawić nas w spokoju!

Agent zrozumiał i patrząc, jak mama pakuje, powiada:

– Pani córka za trzy dni będzie w domu, może za pięć. Daję słowo.

Przecież pamiętasz mamę, Wika? Ksienia na pewno pamięta! Ma dziewięćdziesiątkę, ale nawet jak była młoda, niczego się nie bała, no to teraz czego ma się bać?

– O, twoje słowo jest teraz jak złoto. A ręce jak żelazo!

– Niepotrzebnie mnie pani obraża, Lamaro Nojewno – mówi jeden z tych drani. – Pani córce okazano wielki honor – mówi.

Zawiózł mnie do komitetu miejskiego partii. Tak,

wielki honor. Wszędzie światło się pali, ludzie kręci się po korytarzach bez liku, jak na Rustawelego w świąteczny dzień. Prowadzą mnie do sali. Pełno kobiet, różnych. Są i całkiem wsiowe, ale są też Wieriko i Tamara, i siostry Menabde, śpiewaczki.

Wychodzi dwóch – najpierw mówi jeden, że niby świat poniósł stratę, społeczeństwo jest pogrążone w bólu, ogólnonarodowa żałoba... Myślę: czy to dla tych słów tu mnie przyprowadzono? Potem mówi drugi – zebraliśmy was, bo według dawnego gruzińskiego zwyczaju kobiety mają oplakiwać ukochanych zmarłych. Tylko kobiety potrafią to robić. Zgromadziliśmy was, żebyście urządziły porządny płacz.

Wika, Ksieniu, o mało od razu nie zaśpiewałam „Niechaj przyjdzie Bóg, niechaj szczyzną wrogowie Jego!”.

O wszystkich was wiemy – mówi ten łysy kret – że śpiewałyście na pogrzebach, znacie płacz gruziński. Z Moskwy nam doniesiono, że przywódcy chcą, żebyście oplakały naszego wielkiego wodza.

Tych płaczów nigdy w życiu nie znałam, często śpiewałam na nabożeństwach żałobnych, ale tych pogańskich lamentów chrześcijanie nie śpiewają. To jest wycie, a nie śpiew. Wszystko jedno, myślę, pojedę! Nie mogę sobie odmówić takiej satysfakcji.

Nie potrafię powiedzieć, ile tam było kobiet. Bardzo dużo, pełny samolot. Jedne płaczą, inne dumnie milczą, ale wszystkie trzęsą się ze strachu. Przyznam, że samolotem nigdy nie latałam i nie poleciałabym za żadną cenę – ale z takiej okazji...

Przylecieliśmy w nocy, autokarami zawieziono nas za miasto, chyba do hotelu. Wyspać nam się nie dano, przyszedł jakiś Gruzin. Mówi, że muzyk. Będzie nami kierował. Twarz znajoma, gdzieś go widziałam. Patrzą

i patrzę, a on odwołał mnie na bok i szepnął cicho do ucha: jestem brat Mikeladze... Ten szatan, iluż ludzi wymordował.

Słowem, płaczemy w dzień, płaczemy w nocy, następnego dnia znowu płaczemy, miałam już dość. Wciąż ćwiczymy!

A ósmego wieczorem komunikują nam, że płacz został odwołany. Dlaczego chcieli, a potem im się odwidziało – diabli ich wiedzą! Wszystkich załadowano do autokarów i zawieziono nie wiem dokąd. A ja leżę w łóżku i krzyczę – oj, mam jakiś atak, oj, jak boli! Pomyślałam, nie pojedę, dopóki się z tobą nie zobaczę. Jakiś urzędnik mi mówi – sama potem będziesz musiała za bilet zapłacić. Oj, krzyczę, jak boli! Kupię sobie bilet.

Nalej jeszcze, Wika! Pierwszy raz w życiu piję wódkę, pierwszy raz w życiu skłamałam, pierwszy raz w życiu grzebiemy wielkiego zbrodniarza!

– Ciszej, Ninko, ciszej – dotknęła jej ramienia Ksienina Nikołajewna.

Nina kiwnęła głową i przyłożyła swoje piękne dłonie do ust. Wiktor ujął jej prawą rękę w swoją lewą i pocałował. Coś się w życiu zmieniało. Na lepsze...

DZIECI PODZIEMIA

Ilja kręcił się po mieście, próbując się dowiedzieć, dokąd zmierza ta niebywała manifestacja. Ustalił, że ma ona wiele ogonów, jeden zaczyna się – albo kończy – przy Dworcu Białoruskim, drugi gdzieś na styku trzech bulwarów: Pietrowskiego, Rozdiestwieńskiego i Cwietnego. Powąłęsał się tam, zrozumiał, że ma za mało filmu w aparacie, i kiedy już całkiem zmierzchało, z trudem przepchał się do domu. W jednym miejscu, przy Pocztce Głównej, trzeba było przeleźć przez ogrodzenie. Nikt, nawet dzielnicowi, nie znał tutejszej geografii lepiej niż miejscowi chłopcy. Bawili się tu przez lata w „policjantów i złodziei”, na pamięć znali wszystkie przechodnie podwórka i bramy, a nawet studzienki kanalizacyjne. W wielu mieszkaniach były kuchenne schody, więc gdy się weszło od frontu, można było zadzwonić do drzwi jakiegoś kolegi, przemknąć długim korytarzem i wyskoczyć tylnym wyjściem – na inne podwórze, a nawet na inną ulicę.

Siódmego marca rano założył film do aparatu i zaraz gdy tylko matka udała się do pracy, wyszedł na ulicę. Rano wszystko było zapchane ludźmi jeszcze gęściej niż poprzedniego dnia. Wyjście z Marosiejki na plac zostało teraz zablokowane nie tylko trolejbusami,

ale też drugim rzędem ciężarówek. Do Sali Kolumnowej można było dojść od strony placu Puszkina, ale nie ulicą Gorkiego, tylko Puszkina. Później tłum puszczano Nieglinką.

Wszystkie trzy pobliskie bulwary były zatłoczone sprasowanymi tłumami ludzi, ale w środku dnia nagle zrobiło się trochę luźniej – ściśnięty ze wszystkich stron tłum ruszył i pobiegł do przodu. Otwarto jakieś boczne przejścia w zaułkach i ludzie tam runęli. Nie wiadomo kto zastawiał te pułapki, otwierał ślepe uliczki, w które ludzie wpadali, ale w końcu jakoś przesączała się przez przechodnie podwórka, przez bramy przelotowe, wlewali się i wylewali jak woda przenikająca przez wszystkie otwory.

Potężne studebakery zagradały ulice, było mnóstwo wojskowych i milicji; Ilja, przyciskając aparat do brzucha, kręcił się między autami, wszedł pod jedno z nich, a gdy się wynurzył, zderzył się z Borią Rachmanowem z ósmej klasy. Boria zamierzał się przedrzeć do Sali Kolumnowej. Ilję w całym tym bałaganie najbardziej interesował sam bałagan.

Podczas manifestacji na Pierwszego Maja i Siódmego Listopada, w śródmieściu zawsze działo się coś podobnego – kolumny, kordony, osłony. Chłopcy mieszkający w centrum znali od małego ten świąteczny rozgardiasz i nigdy nie przepuszczali okazji, żeby się poprzepychać w tłumie. Ale tym razem działo się coś doprawdy ogromnego. Ilję strasznie korciło, żeby się znaleźć ponad tłumem i zrobić chociaż jedno zdjęcie z góry. Zaproponował Borii, żeby wdrapał się z nim na znajomy dach, ale ten odmówił.

„Głupek – pomyślał Ilja. – Po dachach przedostaną się do Kolumnowej wcześniej niż on”.

Postanowił się przebijać przez zaułek Krapiwieński. Ale w tym momencie tłum się zakotłosał, Ilję poniosło gdzieś w stronę Nieglinki, a Borię w odwrotnym kierunku. Mignął ostatni raz, Ilja zobaczył jego czerwoną twarz z otwartymi ustami. Coś krzyczał, ale nie było słychać. Rozległ się hałas, było w nim i wycie, i krzyki, i coś w rodzaju śpiewu, i po raz pierwszy od dwóch dni Ilja poczuł strach.

Musiał się dostać do znanej mu bramy, na podwórzu tego domu znajdowała się szopa, z której dachu łatwo było przejść na dach sąsiedniego domu, trzypiętrowego. Ilja szarpnął się w kierunku bramy i stwierdził, że ludzie starają się trzymać z dala od domów, w środku strumienia, bojąc się, żeby ich nie przyciśnięto do trolejbusów stojących szczelnie jeden za drugim. Ludzie wpadali na trolejbusy, kilka osób leżało nieruchomo, inni po nich deptali. Żeby się dostać na chodnik, Ilja musiał się precyzyjnie przecisnąć między ciałami – martwymi? To niemożliwe... Innego wyjścia nie miał. Zdawał sobie sprawę, że od razu musi się znaleźć pod osłoną brzucha trolejbusu, bo inaczej zostanie rozmażany po jego ścianie. Cały czas pamiętał o „Fiedi”, jak pieczołtliwie nazywał swój aparat fotograficzny – żeby nie zgnieść obiektywu. Wymacał nogami malutką przestrzeń przy kole i wślizgnął się tam. Pod trolejbusem było ciemno i potwornie ciasno – leżały tam miękko splecione ciała w grubych ubraniach, a on czołgał się między nimi, przesuwał się w wilgotnym smrodzie. Ktoś jęczał. Wyczołgał się spod trolejbusu prosto w ręce grubego żołnierza z trzęsącą się moką twarzą. Na rękach zwisał mu bezwładnie kilkuletni chłopczyk, blady i bez życia.

– Dokąd to?

– Mieszkam w tym domu.

– Spieprzaj do domu i nosa nie wystawiaj.

Wojskowy popchnął go ku bramie i Ilja czmychnął na podwórze. Szopa stała na swoim miejscu, a obok drewniany pojemnik na śmieci, przysunięty do ściany. Ilja wdrapał się na śmietnik, z niego na dach szopy, a tam – był tutaj dwa lata temu w lecie, kiedy po raz ostatni bawił się w „policjantów i złodziei” – sterczały wygodne występy, po których łatwo było wspiąć się na dach „pstrokatego domu” z białej i czerwonej cegły, jeżeli tylko szyba w oknie na drugim piętrze nadal była wybita.

Ilja miał tego dnia wyjątkowe szczęście – wyskoczył żywy ze śmiercionośnego tłumu, a teraz znowu miał fart – okno było wybite.

Przeżył jeszcze jedną straszną chwilę, gdy chciał się podciągnąć na ramie okiennej, a ta raptem się zachwiała, jakby miała zamiar wypaść na zewnątrz. Ale nie wypadła i Ilja pomyślnie zeskoczył z szerokiego parapetu do środka. Dalej czekała go niespodzianka: strych był zamknięty na stalową kłódkę na tak potężnych uchwytach, że bez narzędzi oderwać się ich nie dało.

Dom był dziwnej budowy. Okna klatki schodowej wychodziły na dwie strony – na drugim piętrze na podwórze, a na pierwszym i trzecim na ulicę. Ilja wszedł na trzecie i zobaczył ulicę. Była jak czarna rzeka, głowy z góry wyglądały jak kędziory futra i poruszały się jak skóra jakiegoś ohydneho zwierzęcia. Ilja wyciągnął aparat, wiedząc, że z takiej wysokości nic dobrego nie wyjdzie, ale pomyślał, że potem powtórzy zdjęcie z pierwszego piętra. Na pierwszym udało mu się otworzyć okno, z dołu wtargnął nie krzyk, ale jakieś jednostajne wycie, przerywane to gwizdem, to wrzaskiem.

Stąd tłum nie wyglądał już jak futro. Głowy, jak ciemne kamienie szczelnie do siebie przyciśnięte, kołysały się dość rytmicznie, ale nigdzie się nie przesuwaly. Jakaś szalona rzeka z żywych brukowych kamieni falowała tanecznie w miejscu.

Zrobił kilka zdjęć, ale doszedł do wniosku, że z trzeciego piętra obraz będzie bardziej wyrazisty. Zapomniał już o strachu, który przeżył kilka chwil temu.

Wtem z mieszkania wyskoczyła pijana baba w czerwonym szlafroku i wrzasnęła:

– Co ty tam robisz? Nie masz nic lepszego do roboty?

I dodała taką wiązanke przekleństw, że Ilja onie-miał.

Rozsądnie nic jej nie odpowiedział, tylko pokazał dłonią na usta, rękami pomachał koło uszu, że niby jest głuchoniemy i baba splunawszy soczyście, zniknęła.

Na trzecim piętrze Ilja wypstrykał film prawie do końca i zaczął myśleć o tym, jak by tu teraz jak najszybciej dostać się do domu. Doskonale widział, że nie da się przejść zwykłą drogą od placu Trubnego w górę bulwarem Roźdiestwieńskim, przeciąć Sre-tienkę i wyjść na bulwar Czystoprudny. Ale zdawało mu się, że jeśli się precieśnie przez plac i przejdzie na drugą stronę, to tam łatwiej się będzie poruszać. Nie wiedział, że tłum z Roźdiestwieńskiego idzie w dół, na placu Trubnym zderza się z idącym z przeciwka tłumem, płynącym od strony bulwaru Pietrowskiego, i tworzy tam śmiertelny wir.

Nie zamierzał jednak siedzieć na klatce schodowej do końca życia, a poza tym w domu matka na pewno się niepokoi i płacze. Posiedział jeszcze chwilę na parapecie, myśląc, czy zaoszczędzić resztę filmu, czy teraz zaraz zrobić kilka ostatnich ujęć, bo światło dzienne się

kończyło. Potem siedzenie mu się znudziło i postanowił się jakoś wydostać.

Wyjść z podwórka było jeszcze trudniej, niż wejść. Ale ocenił wszystko prawidłowo: zadzwonił do mieszkania na parterze i uprosił staruszka, który mu otworzył, żeby go wypuścił przez drugie drzwi na ulicę. Stary pokręcił głową, coś wybełkotał, że frontowe drzwi są zamknięte, ale można wyjść przez kotłownię.

„Ten stary to przynajmniej nie musi udawać, jest prawie głuchoniemy” – uśmiechnął się Ilja, który umiał się cieszyć z wszelkich zbiegów okoliczności. Podwórce było zupełnie puste, ani żywej duszy, a zza ściany rozlegał się potężny łoskot sprasowanego tłumu. Ilja od razu spostrzegł kotłownię; była zamknięta. Pochodził dookoła, wlaź na dach kotłowni, z niego przedostał się na murek i zeskoczył na pusty chodnik, odcięty od tłumu przez oddziały ochronne. Teraz trzeba było przemknąć obok wojskowej ochrony, żeby wmieszać się w tłum. Podbiegł nieco bliżej skrzyżowania i przemknął obok dwóch żołnierzy na zatłoczoną jezdnię. I od razu uświadomił sobie, że zrobił błąd, lepiej było siedzieć w bramie. Od razu pociągnęła go straszna siła, jak to bywa na morzu podczas wielkiej fali odpływu. Wyłonił się przed nim słup ze światłami ulicznymi.

I wtedy Ilja naprawdę się przestraszył: bał się już nie tylko o „Fiedię” który przy uderzeniu o słup mógł się rozbić w drobny mak. Pomyślał też, co może się stać z jego głową. Rękami chroniącymi aparat przed uderzeniem nie mógł nawet poruszyć. Aparat wbił mu się w brzuch, ale on nie czuł bólu, tylko potworny lęk. Niosło go na słup, który pozostawał jakby nieco z lewej strony. Do słupa był przyciśnięty człowiek ze zmasakrowaną twarzą. Był martwy, ale stał, nie mógł upaść.

W tym momencie ziemia pod nogami drgnęła i się rozstała. Ilja wpadł do studzienki kanalizacyjnej, której pokrywa przesunęła się pod nogami tłumu. Upadł Ilja szczęśliwie, na zapomniany przez hydraulików kłęb paków. Z lewej strony była krata, nieco uniesiona z jednego boku. Ilja szarpnął i odsunęła się całkowicie. Wepchnął się do tej nory i nie wiadomo dlaczego zasunął za sobą kratę. Ten instynktowny ruch ocalił mu życie. Wpadający w ślad za nim ludzie w kilka chwil zapełniliby studzienkę i Ilja, znajdujący się najniżej, na pewno zostałby rozdeptany. Ciała spadających tak się sprasowały, że tysiące ludzi, które po nich szły, nie czuły, że stąpają po ludzkim mięsie. Zza kraty dobiegały wrzaski.

A tymczasem na górze straszna niewidzialna fala nagle poniosła wszystkich, miażdżąc ich o ściany, ogrodzenia, o burty ciężarówek i sznur trolejbusów. To otwarto przejście prowadzące do otoczonej dzielnicy, ale ludziom się zdawało, że nareszcie zdołają się przedostać gdzieś, gdzie skończy się łamiący kości ścisk. Ale tego Ilja już nie widział. W ogóle niczego nie widział. Było całkiem ciemno.

W tej ciemnej norze Ilja przeleżał dość długo, a potem zaczął obmacywać ściany. Znalazł wielką rurę, która prowadziła nieco w dół. Poczłogał się nią. Pełził jakiś czas, po czym rura lekko skręcała i teraz ruszył jakby nieco w górę. Aparat zawinął w czapkę i wsunął za pasek spodni. Potem Ilja zasnął na chwilę, a gdy się obudził z przejmującego zimna, w pierwszej chwili nie bardzo pamiętał, jak się znalazł w tej dziurze. Podniósł głowę i zobaczył, że dwa metry nad nim znajduje się dość duża prostokątna krata. Nie można powiedzieć, żeby z góry przenikało światło – tam ciemność była

tylko nieco mniej gęsta. Bardzo chciało mu się pić. Śmierdziało paskudnie, ale nie kanalizacją, tylko zarzewiałym żelastwem i szczurami. Chociaż żadnych szczurów nie zauważył. Pewnie one też ciasno zbitym stadem podążały w stronę Sali Kolumnowej.

Trzeba się stąd wydostać. W sklepienie ścian prowadzących do kraty były wbite grube klamry, wspiął się. Łatwo doszedł do góry, ale krata okazała się na amen przyspawana do ramy, nie było żadnej możliwości, żeby się wydostać. Opuścił się na dół, zwinął w kłębek i znowu zasnął. Gdy się obudził, światła z góry zrobiło się nieco więcej. Ruszył dalej rurą, która się coraz bardziej rozszerzała.

Następną kratę zauważył po pięćdziesięciu metrach. Od razu znalazł klamry i wszedł po nich. Krata nie była przyspawana, lecz umocowana dość luźno, ale od zewnątrz była zamknięta. Ilja czołgał się dalej. Kraty pojawiały się regularnie co pięćdziesiąt metrów. Minął ich osiem, obejrzał każdą, prawie wszystkie były przyspawane, a tylko dwie zamknięte od zewnątrz. Potem stracił rachubę. Kilka razy zasypiał z wyczerpania, budził się i znowu czołgał. Trzy albo cztery z rzędu kraty wychodziły na nogi tłumy, światła tam nie było, ale słychać było straszny zgiełk, po którym się domyślał, że nie ma co próbować wyjścia. Jedna krata była na wpół wybita i zwisała stamtąd połowa martwego człowieka.

Nie miał pojęcia o kierunku, ale wiedział dokładnie, że rury to jedyna możliwa droga i posuwać się trzeba do przodu, chociaż nie wiedział, dokąd go zaprowadzą.

Nie orientował się, ile czasu upłynęło. Potem zobaczył kratę, przez którą przechodziło jasnożółte światło. Wspiął się po chybotliwych klamrach, dotknął jej, a ona łatwo się otworzyła. Wyszedł i stwierdził, że stoi

pod latarnią w podwórzu domu, gdzie mieszka Sania Stiekłow. Sił mu starczyło tylko na tyle, żeby dojść do drzwi Sani i zadzwonić.

Drzwi otworzyła Anna Aleksandrowna.

Ilja od razu upadł. Ręce przyciskał do brzucha, gdzie pod paskiem od spodni spoczywał ocalony „Fiedia”.

Był 7 marca, godzina jedenasta w nocy. Anna Aleksandrowna zrobiła, co mogła: rozebrała Ilję, z pomocą sąsiada zaniósła do łazienki i zaczęła, aż otworzył oczy. Potem umyła go ogromną kosmatą rękawicą, ostrożnie omijając krwiaki. Siniaki pokrywały całe ciało, brzuch był jednym wielkim sińcem. Zdumiała się, że ten chudziutki chłopiec o zupełnie dziecięcej twarzy jest tak dobrze wyposażony do męskiego życia. Z łazienki wyszedł sam, doszedł do kanapy i padł. Ubrano go w damską nocną koszulę, przykryto pledem, dano słodką mocną herbatę, a potem położono pod plecy wielką poduszkę, usadzono i nakarmiono zupą. Zasnął.

Stiekłowowie w milczeniu usiedli przy stole.

– Niuta, myślę, że dzisiaj zginęło wiele ludzi – wyszeptał Sania do babci.

– Chyba tak...

Potem Sania siedział obok śpiącego Ilji w nadziei, że ten się obudzi i opowie mu, co się tam działo. Jego uczucia do przyjaciela było silne i złożone: był z niego dumny, trochę zazdrościł, że sam nie jest taki jak on, ale chyba wcale nie chciał być taki. Poza tym zdawał sobie sprawę, że Ilja jest już mężczyzną, świadczył o tym nie tylko ciemny meszek pod nosem, ale też ścieżka włosów biegnąca w dół brzucha do dorodnego, wielkiego członka, który był przeznaczony nie tylko do siusiania. Nagiego mężczyzny dotąd nie widział: do publicznych łaźni go nie prowadzano.

Nagich kobiet też nie widział: dlaczego raptem miałyby się obnażać przy chłopcu dwie dobrze wychowane kobiety, matka i babka? Ale tego, co mają kobiety, Sania się domyślał, było to oczywiste – piersi pod sukienką, ciemne gniazdko włosów u dołu brzucha. Nagi mężczyzna, jego przyjaciel i kolega z klasy Ilja, wstrząsnął nim o wiele bardziej – Sania wyraźnie odczuł, że nie jest taki i taki nigdy nie będzie. Nagie kobiety namalowane na obrazach – Sania wiele się ich naoglądał w muzeach i w albumach – jakoś nie wzbudzały w nim takiego niepokoju i skrępowania jak nagość mężczyzny – o mało nie stracił przytomności na widok tej brutalności i siły.

Wojnę i pokój przeczytał prawie do końca, postacie kobiece wcale go nie poruszały – ani Natasza z jej głupią egzaltacją, ani księżna Liza z za krótką górną wargą, ani księżniczka Maria z góry określona jako brzydka, ale mężczyźni... byli piękni – ich siła, szczodrość, rozum, szlachetność, poczucie humoru. Teraz, wpatrując się w twarz Ilji, zastanawiał się, do którego z tych pięknych mężczyzn Ilja jest podobny. Nie, nie do oschłego, szlachetnego Bołkońskiego, nie do grubego, mądrego Bezuchowa i nie do cudownego, kochanego Pietii Rostowa, nie do Mikołaja... Raczej do Dołochowa.

Maria Fiodorowna, matka Ilji, drugą dobę siedziała na krześle przy drzwiach wejściowych. Telefonu jeszcze wtedy nie mieli, więc Anna Aleksandrowna nie mogła jej zawiadomić, że syn żyje. Na ulicę bała się wyjść. Zresztą tak czy owak nie można było przejść przez tory tramwajowe na skrzyżowaniu bulwaru Czystoprudnego i Marosiejki z powodu blokady wojska i milicji.

Miasto ogarnęło przerażenie – pradawne, znane jedynie z greckiej mitologii, pokrywało miasto, zalewając je czarną wodą. Takie przerażenie przychodzi tylko we śnie, w dziecięcych koszmarach, wylaniających się z dna duszy. Jakaś podziemna topiel wylała się na zewnątrz, zagrażając życiu wszystkich ludzi.

W odrętwieniu siedzieli też rodzice Borii Rachmanowa. Nie udało im się dodzwonić do milicji, szpitali, kostnicy. Wszystkie telefony były zajęte.

Borię znajdą dopiero po czterech dniach pośród zwłok leżących na śniegu obok przepelnionej kostnicy Lefortowskiej. Zidentyfikują go po bieliźnianej metce na koszuli – białych koszul Galina Borisowna Rachmanowa nie prała sama, oddawała je do pralni. Na ręce ich syn miał jeszcze jeden numer, napisany fioletową farbą – 1421.

Tych zdeptanych ludzi chowano po cichu, skrycie. Nikt ich nie policzył i tylko numer na ręce Borii świadczył, że było ich co najmniej półtora tysiąca.

Na grobie Borii Rachmanowa nikt nie położył wienca od szkoły. Zresztą w tych dniach żadnych kwiatów nie było – wszystkie poszły na uczczenie wodza. W tych strasznych dniach zmarł jeszcze jeden człowiek, prywatną śmiercią, w domu – kompozytor Sergiusz Prokofiew. Ale tym nikt się w ogóle nie przejmował.

Ze wszystkich zdjęć Ilji wyszły tylko dwa. Jak przewidywał Ilja – niewystarczające było naświetlenie. Ale innych fotografii, oprócz tych oficjalnych, trumiennych z Sali Kolumnowej, które opublikowano we wszystkich gazetach, nie było.

„MIRPISI”

W środy Wiktor Juliewicz zabierał miłośników rosyjskiego piśmiennictwa, „mirpisów”, jak siebie nazywali, na wędrowkę po Moskwie i dmuchając w swoją czarodziejską piszczałkę, wyprowadzał ich z czasów ubogich i chorych w przestrzeń, gdzie działała myśl, gdzie żyła wolność, i muzyka, i rozmaite sztuki. Tam właśnie to wszystko mieszkało! Za tymi oknami!

Wędrowki po literackiej Moskwie miały niezwykle chaotyczny charakter. W byłym zaułku Hendrikowym zaglądali na podwórze domu, w którym, jak błędnie sądzono, zastrzelił się Majakowski, szli ulicą Dzierżyńskiego, dawną Łubianką, do Bramy Sretieńskiej. Przemianowywanie moskiewskich ulic raziło słuch Wiktora Juliewicza, więc stale podawał chłopcom ich dawne nazwy.

Bulwarami dochodzili do placu Puszkina, gdzie nauczyciel pokazywał dom Famusowa, snuli się po adresach Puszkina – dom Wiaziemskiego, dom Naszczokina, dom, gdzie mieściła się szkoła tańców Jogela. Tu Aleksander Siergiejewicz po raz pierwszy zobaczył młodziutką Natalię.

– Twerski jest najstarszy ze wszystkich bulwarów. W dawnych czasach nazywano go po prostu Bulwar.

Był jedyny. Mówi się: Pierścień Bulwarowy, ale w rzeczywistości żadnego pierścienia nie ma i nie było – był półpierścień, dochodzący do rzeki. Wszystkie bulwary wytyczano na miejscu murów Białego Miasta.

Od placu Puszkina wybierali jakąś trasę, którą jeszcze nie chodzili. Szli przez zaułek Bogosłowski do Triechprudnego, do domu Mariny Cwietajewej, na którym tablica pamiątkowa pojawi się za kilkadziesiąt lat, albo przez bulwary Twerski i Nikicki docierali do Arbatu, przecinali Małą Mołczanówkę w pobliżu domku Lermontowa, przez placzyk Sobaczy dochodzili do ostatniego mieszkania Skriabina. Grał tutaj, i żyją jeszcze ludzie, którzy bywali na jego domowych koncertach. Chłopcy zadawali pytania. Nazwiska utrwały się w pamięci. Kręcili się po mieście bez żadnego wcześniej obmyślonego planu i nie sposób było sobie wyobrazić czegoś miłszego od tych wędrówek.

W związku z tymi wycieczkami Wiktor Juliewicz sporo czasu spędzał w bibliotekach, szperając w starych książkach i wyszukując ciekawostki. W Bibliotece Historycznej odkrył stosy rękopiśmiennych pamiętników, albumów, listów. Sądząc z formularzy, niektórych materiałów nikt nigdy nie zamawiał. Dowiadywał się wielu rzeczy cennych i niespodziewanych. Zdumiewające, że wiele osób, prawie wszyscy żyjący w rozproszeniu ludzie dziewiętnastego wieku, byli z sobą spokrewnieni, kilka rodzinnych klanów ciasno przeplatało się z sobą, ich świat wyglądał jak nieprawdopodobnie rozgałęziona rodzina. W listach opublikowanych przed rewolucją stale pojawiały się świadectwa tych niezwykłych wzajemnych powiązań, a wszystkie te więzi, wraz z kłótniami rodzinnymi, skandalami i mezaliansami, w powieściach Tołstoja przeobrażały się w coś ważniej-

szego niż kronika rodzinna. „Rosyjska Biblia” – taka myśl nasunęła się Wiktorowi Juliewiczowi.

Niczym Guliwer w krainie Liliputów niemal każdym włosem był przywiązany do gleby literatury rosyjskiej, a więzy te obejmowały jego chłopców, którzy nabierali smaku, przyzwyczajali się do tej zakurzonej, papierowej, efemerycznej strawy.

W towarzystwie chłopców przechodził ulicą Gorkiego, obok najlepszego w stolicy sklepu spożywczego „Jelisiejew”, opowiadał swoim „mirpisom” o Zinaidzie Aleksandrownie Wołkońskiej, właścicielce tego domu-pałacu przed jego przebudową.

– Tu właśnie mieścił się znany w całej Moskwie salon literacki, do którego zjeżdżało całe moskiewskie towarzystwo. Zapraszano pisarzy, malarzy, muzyków, profesorów. Bywał tu również Puszkina. Niedawno znalazłem w bibliotece pewien ciekawy dokument – doniesienie pułkownika Bibikowa z tysiąc osiemset dwudziestego szóstego roku, w którym czarno na białym napisano: „Śledzę literata P., jak dalece to możliwe. Domy, które najczęściej odwiedza, to domy księżnej Zinaidy Wołkońskiej, księcia Wiaziemskiego, byłego ministra Dmitriewa i prokuratora Żychariewa. Rozmowy obracają się tam głównie wokół literatury”. Czy rozumiecie, co to znaczy?

– Jakże można nie rozumieć? Śledzono go – pierwszy zareagował Ilja.

– No właśnie. Bo w każdym czasie bywają ludzie, których najbardziej ciekawi „obracanie się w kręgach literackich”. Tak jak nas! – roześmiał się. – I są też pułkownicy Bibikowowie, którym polecono ich śledzić. Tak, takie mamy czasy...

Niby niczego szczególnego nie mówił, ale cały czas balansował na krawędzi. Od dawna wiedział, że prze-

szłość nie jest lepsza od terażniejszości. Zresztą, o czym tu mówić? Z każdych czasów trzeba się wyrywać, wyskakiwać, nie pozwolić, żeby nas pochłonęły.

– Literatura to jedyne, co pomaga człowiekowi przetrwać, pogodzić się z czasami – pouczał Wiktor Julie-
wicz swoich wychowanków.

Wszyscy chętnie się z tym zgadzali.

Tylko Sania miał wątpliwości; a muzyka?

Wsluchując się w Mozarta, Chopina, przeczuwał, że jest jeszcze zupełnie inny wymiar, do którego wprowadzały go to babcia, to Liza, to domowa nauczycielka Jewgienia Daniłowna. Tam uciekał codziennie od szkoły, dopóki miał zdrową rękę. Ale i teraz, z przykurczonymi palcami, mimo wszystko nie rozstawał się z muzyką – stale słuchał, trochę brzdąkał. Cóż to za gra bez dwóch palców? Nie miał złudzeń.

Dla Michy te literackie wędrówki były zarazem ucieczką od przygnębiającej cioci Gieni z jej przyziemną wegetacją, a zarazem i lotem na niebiańskie wyżyny, gdzie przebywali szlachetni mężczyźni i piękne damy.

Ilja też nie opuszczał żadnego spaceru po Moskwie. Miał dodatkowe zadanie: dokumentował wszystko, co się działo, i sporządzał sprawozdania ze zdjęciami. Sprawozdania te były przechowywane częściowo u Wiktora Juliewicza, a częściowo u Ilji w komórce.

Upłynie piętnaście lat, zanim nieodrodny potomek pułkownika Bibikowa, pułkownik Czybikow (nieśmiertelny Gogol uśmiecha się za każdym razem, gdy trafia się takie podobieństwo nazwisk), dobierze się do tego dziecięcego archiwum, i pięćdziesiąt lat do tego roku, gdy instytut badań Europy Środkowej i Wschodniej w niemieckim miasteczku o bajecznej nazwie zare-

jestruje to archiwum pod siedmiocyfrowym numerem z ukośną kreską pośrodku, a przyjmie to archiwum na odpowiedzialne przechowanie jeden z „mirpisów”, też uczeń Wiktora Juliewicza, który ukończył szkołę rok później.

Kiedy po wiejskiej szkole Wiktor Juliewicz zetknął się z tymi moskiewskimi chłopcami, powrócił do rozważań na temat dzieciństwa. Brakowało mu wiadomości. Zabrał się więc do czytania książek naukowych.

Zdobywał na wpół zakazane książki o psychologii wieku dziecięcego, sięgał do Freuda, zapomnianego na półkach wielkich bibliotek, do Wygotskiego, wycofanego i umieszczonego w niedostępnych „zbiorach specjalnych”. Prawie wszystkie jego opublikowane prace znalazł u byłej koleżanki ze studiów, której babka, zwolniona w okresie prześladowań „pedagogów”, nauczyła się dziergać swetry i z tego żyła, ale przechowywała wszystkie publikacje Wygotskiego jak skarb i dawała do czytania tylko wybranym, i to nie „na wynos”. Wiktor Juliewicz przychodził w niedzielę rano i siedział do wieczora, odrywając się kilkakrotnie na moskiewskie herbatki.

Wszystko to było bardzo ciekawe, ale zbyt „naukowe”: kwestie same przez się zrozumiałe, jak znany fakt, że w okresie dojrzewania chłopcy przestają szanować rodziców, stają się drażliwi, kłótlivi, wykazują nadmierne zainteresowanie sprawami seksu, i że wszystko to jest spowodowane burzą hormonalną, która szaleje w organizmie – wszystko to podawano jako odkrycia, a autorskie objaśnienia i interpretacje często wydawały się Wiktorowi Juliewiczowi spekulatywne i nie do udowodnienia.

Tego, czego szukał, nie znajdował. Bardzo ważne słowa znalazł u Tołstoja, który nazwał ten dręczący

okres „pustynią pacholeństwa”. Było to najbliższe temu, co obserwował u swoich nieopanowanych, najeżonych wychowanków. Przychodził moment, gdy wydawało się, że tracą wszystko, co dotychczas nagromadzili, i życie zaczynają jakby od nowa. I chyba nie wszyscy wydostawali się z tej pustyni, znaczna część pozostawała w niej na zawsze.

Jedynym bodajże rozmówcą Wiktora Juliewicza był Misza Kolesnik, przyjaciel z dzieciństwa, inwalida wojenny, biolog, śmiały domorosły filozof. Słuchał uważnie, ale nie znosił rozwlekłości, toteż przerywał, warczał „dalej, dalej, już rozumiem”, popędzał przyjaciela, wtrącał dziwne, nie od razu zrozumiałe uwagi, stale wskazując na biologię. Wiktor Juliewicz stopniowo przyzwyczajał się do oryginalnego biegu myśli rozmówcy, wchłaniał idee uniwersalizmu wiedzy, do których doprowadzał go kulawy Kolesnik. To od niego właśnie literat-humanista dowiedział się o zasadach ewolucji, o sprzecznościach lamarkizmu i darwinizmu, a nawet o takich technicznych i odosobnionych zjawiskach, jak przeobrażenie, neotenia, dziedziczność chromosomowa.

Teraz zastanawiał się nad swoimi dorastającymi chłopcami i nad tym, jak zachodzące w nich procesy są zbliżone do przeobrażenia, które przechodzą owady.

Głupiutcy malcy, ludzkie larwy, przyswajają każdą strawę, jaką im się podrzuca, ssą, przeżuwają, połykają wszystkie kolejne wrażenia, potem się przepoczwarzają i wewnątrz poczwarki wszystko układa się w odpowiednim porządku, kształtuje w sposób celowy – wyrabiają się odruchy, przyswajają nawyki i podstawowe wyobrażenia o świecie. Lecz ile poczwarek ginie, nie osiągając ostatniej fazy, nie pęka w szwie, nie wypuszcza motyla ze skorupki? Anima, dusza, duszyczka... Barwna, lata-

jąca, krótko żyjąca – i przepiękna. A jakie mnóstwo na zawsze pozostaje larwami i żyje do samej śmierci, nie domyślając się, że dorosłość wcale nie nadeszła.

U Wygotskiego mowa była o różnicach między procesem kształtowania nawyków a procesem rozwijania zainteresowań. Ale Wiktor Juliewicz widział inny obraz – obserwował u swoich wychowanków rozprostowywanie skrzydeł, na których widniały treści i wzory. Ale dlaczego jedni, jak owad o pełnym cyklu rozwojowym, przechodzą przeobrażenie, a inni nie?

Wiktor Juliewicz po prostu fizycznie wyczuwał chwile, gdy powłoki rogowe poczwarki pękały, słyszał trzepotanie i szelest skrzydeł, i wypełniało go szczęście, jak akuszerkę odbierającą poród.

Ale z jakiegoś powodu owo przeobrażenie wcale nie występowało u wszystkich, raczej u mniejszości jego wychowanków. Na czym polega istota tego procesu? Rozbudzenie poczucia moralności? Tak, oczywiście. Ale dlaczego u jednych to następuje, a u innych nie? Istnieje jakiś tajemniczy moduł przechodzenia: obrzęd, rytuał? A może gatunek *Homo sapiens*, człowiek rozumny, też przeżywa zjawisko podobne do neotenu obserwowanej u robaków, owadów, ziemnowodnych – kiedy zdolność do rozmnażania płciowego pojawia się nie u dorosłych osobników, ale już w stadium poczwarki, a wtedy niedorośle do dojrzałości istoty pładzą podobne do siebie poczwarki, nigdy nie przepoczwarzając się w osobniki dorosłe?

– No, ma się rozumieć, że to tylko przenośnia. Wiem, że fizjologicznie moi młodzieńcy są całkowicie dorosłymi istotami. Można powiedzieć: imago – usprawiedliwiał się przed Kolesnikiem, ale ten wszystko chwycił w lot i nie potrzebował wyjaśnień.

Kolesnik unosił gęste brwi i kładąc akcent na „r”, mówił z udawanym zdziwieniem:

– No, bracie, wielce zmadrzałeś przez tę minioną pięciolatkę! A czy w tej sytuacji potrafisz zdefiniować imago, czyli „dorosłego osobnika”? Jakie są kryteria „dorosłości”?

Wiktor Juliewicz odpowiadał z namysłem:

– To nie tylko zdolność rozmnażania się. Może odpowiedzialność za własne postępowanie? Samodzielność? Stopień uświadomienia?

– To są kryteria jakościowe, a nie ilościowe! – wytykał mu Kolesnik. – Zobacz, co wynika z twojego rozumowania: inicjacja to jakaś nieokreślona rzecz, a odpowiedzialność – jak ją zmierzyć? I co, według ciebie ludzka poczwarka przekształca się w imago po przejściu procesu inicjacji?

Wiktor Juliewicz naciskał:

– Musisz przyznać, Miszka, że żyjemy w społeczności poczwarek, ludzi niedorosłych, nastolatków, którzy udają dorosłych.

– W tym coś jest. Zastanowię się – obiecywał Kolesnik. – Stawiasz problem czysto antropologiczny, a współczesna antropologia znajduje się w głębokim zastoju, oto na czym polega problem. Ale pewien element neotenu można jednak zaobserwować.

Wiktor Juliewicz przeczytał masę książek. Wciąż szukał, czy gdzieś, kiedyś nie praktykowano interesującego go rytuału przejścia od dzieciństwa do życia dorosłego.

Opisano mnóstwo tego rodzaju przekształceń – związanych z dojrzewaniem płciowym i ze zmianą statusu społecznego, i z przystąpieniem do wybranej

wspólnoty wojowników, czarowników i szamanów, ale on szukał takiego, kiedy od dzikości i chamstwa młodzieniec w jednej chwili wchodził w stan kulturalny, w moralnie dorosłe życie... Oczywiście za taki obrzęd można by było uznać ukończenie studiów na europejskich uczelniach przez wykształconych panów, odzianych w togi i idiotyczne czapeczki. Ale czyż to nie oni, wykształceni lekarze, psychologowie i inżynierowie, tworzyli potem najbardziej racjonalny system eksterminacji i utylizacji ludzi w Trzeciej Rzeszy? Zasób przyswojonej wiedzy nie zapewniał dojrzałości moralnej. Nie, to też mu nie pasowało.

Lektura, mimo że nie dawała bezpośredniej odpowiedzi na pytanie, nie była bezowocna: teraz w regułach i zwyczajach codziennego życia rozpoznawał dawne obrzędy i rytuały, wypaczone nie do poznania, wyjąłowione i doprowadzone do absurdu sowieckiego. Nawet wstępowanie do organizacji pionierskiej, któremu towarzyszyła przysięga i zmiana stroju, wyglądało na parodię jakichś dawnych obrzędów. Co prawda nie były to nowe białe szaty starożytnych chrześcijan czy fartuchy masonów, lecz zaledwie trójkątna czerwona szmatka zawiązana pod szyją. Ale blisko, blisko...

Przeczytawszy górę książek, wrócił do rosyjskiej klasyki – do źródła, któremu ufał bezwzględnie. Na nowo przeczytał *Dzieciństwo. Lata chłopięce. Młodość* Tołstoja, *Rzeczy minione i rozmyślenia* Hercena, *Lata dziecięce Bagrowa-wnuka* Aksakowa. Dołączył do tego jeszcze *Wspomnienia rewolucjonisty* Kropotkina i trylogię Maksyma Gorkiego, już poza okresem Złotego Wieku: z jaką udręką dusza dziecięca odbiera świat pełen niesprawiedliwości i okrucieństwa, jak budzi się w niej współczucie i litość.

Prowadził swoich chłopców drogą Nikoleńki Irteniewa, Pietii Kropotkina, Saszy Hercena, nawet Aloszy Pieszkowa – poprzez sieroctwo, krzywdy, okrucieństwa i samotność, do percepcji rzeczy, które sam uważał za zasadnicze – uświadomienia dobra i zła, rozumienia miłości jako wartości najwyższej.

A oni przychylnie odpowiedzieli na jego wezwanie, starali się sami znajdować te najważniejsze epizody: opowiadanie Garina o Tiomie, co – niczym do piekła – opuścił się w czeluść oślizgłej studni po psa, który tam wpadł, o pokonanym strachu, o kocie zabitym przez dozorcę na oczach młodego Aloszy Pieszkowa i – dalej, dalej! – o kaźni dekabrystów, którą przeżywał Saszeńka Hercen. W ich świadomości następowała jakaś zmiana. A może nie?

Sam Wiktor Juliewicz, zmuszony trzymać się ram programu szkolnego, stale szukał tego, co nazywał „strategią przebudzenia”.

Dawał wszystko, co sam posiadał, w istocie rzeczy zwykłe – honor, sprawiedliwość, pogardę wobec podłości i chciwości... I w końcu doprowadzał do tego, co uważał za absolutny szczyt rosyjskiej literatury klasycznej – otwierał drzwi do pokoju, gdzie piętnastoletni wyrostek, zachwycony szerokim, doskonałego gatunku papierem, z którego była zrobiona wisząca na ścianie mapa świata, zrobił z niej latawiec i właśnie przytwierdzał łąziebny wiecheć łyka do Przylądka Dobrej Nadziei. Monsieur Beaupré spał pijany, a ojczulek wyganiał precz niedbałego nauczyciela, ku uciechu pańszczyźnianego piastuna Sawielicza*.

* Scena z opowieści Aleksandra Puszkina *Córka kapitana* (przyp. red.).

I Pietrusza Griniew pokonał okrutne próby i strzegł honoru i godności, które stały mu się droższe niż życie.

A jednak było coś dziwnego w tej przepięknej literaturze: cała ona została napisana przez mężczyzn o chłopcach. Dla chłopców. Wszystko było o honorze, o męstwie, o obowiązku. Jakby całe rosyjskie dzieciństwo było rodzaju męskiego... A gdzie dzieciństwo dziewczynek? Jakże znikomą pełnią rolę! Natasza Rostowa zachwycająco tańczy i śpiewa. Kitty jeździ na łyżwach, Masza Mironowa broni się przed zakusami łajdaka. Wszystkie młode kuzynki i ich przyjaciółki, w których kochają się chłopcy, pięknie wyglądają w lokach i falbanach. A pozostałe to nieszczęsne ofiary: od Anny Kareniny i Katuszy Masłowej do Sonieczki Marmieładowej. Ciekawe, ciekawe. Jak to jest z dziewczętami? Czy są tylko obiektami męskiego zainteresowania? A gdzie ich dzieciństwo? Czy przeżywają ten wewnętrzny przewrót, który zdarza się chłopcom? Czy tylko akt fizjologii? Biologii?

We wrześniu pięćdziesiątego czwartego roku nastąpiło wielkie wydarzenie – wprowadzono koedukację. Na fotografiach w albumie Ilji pojawiły się dziewczynki.

Wszyscy powariowali, głównie doświadczone nauczycielki, przywiązane do swoich chłopców i widzące w dziewczętach zagrożenie moralne.

Dziewczynki wszystkich szalenie podniecały. I to nie tyle te konkretne dziewczynki, ile pociągający i straszny żywioł, który stał za nimi. Chłopcy z „Trianonu” w rozmowach prawie nie dotykali tego tematu, prawdopodobnie z powodu Sani, nieznoszącego „nieprzyzwoitości”, do której zaliczał wiele najrozmaitszych rzeczy: fizyczne niechlujstwo, brudną mowę,

kłamstwo, próżną ciekawość. Ilja, który w innym towarzystwie mógłby sobie pozwolić na przekleństwa i ordynarne dowcipy, w obecności Sani się powstrzymywał. Rozmowy o dziewczynach nie były u nich przyjęte właśnie dlatego, że takie rozmowy o jakimś nieczystym zabarwieniu stale prowadzili koledzy z klasy. Ale chmura przemilczeń nad trójką chłopców wisiała, wczesne przeczucie nieznannej jeszcze zasady: szanujący się mężczyźni nie obmawiają kobiet.

Szkolny drobiazg – pierwszo- i drugoklasiści – nie odczuwał żadnego stresu, natomiast ósmoklasiści po prostu szaleli. Wyprowadzały ich z równowagi dziewczynki jako takie. Dziewczynki były z samej swojej natury nieprzyzwoite. Dziewczynki nosiły pończochy przypięte podwiązkami, spódniczki ich mundurków czasem się zadzierały i migało spod nich coś gołego, różowego i niebieskiego. Pod czarnym fartuszkim nawet u najszcuplejszych rysowały się piersi. To nie znaczy, że chłopcy wcześniej tego nie wiedzieli. Oczywiście, że wiedzieli, ale teraz to było nieznośnie bliskie. A lekcje wf! Była szatnia dla dziewcząt, w której się rozbierały. Może do naga.

Podniecenie wisiało w powietrzu jak kurz podczas remontu. Wszyscy byli jak porażeni prądem, wszyscy dygotali z miłosnej gorączki.

Chłopcy zmienili się też zewnątrz: teraz nosili mundurki podobne do gimnazjalnych, kurtki i bluzki w kolorze gołębim. Wszystkim kupowano na wyrost, dobrze leżał tylko mundurek Sani Stiełowa, który babcia kupiła mu dokładnie w jego rozmiarze. Mimo że podrósł podczas lata, nie miał szans dogonić Ilji czy Michy. Jednak, o dziwo, to właśnie drobny Sania miał powodzenie u dziewcząt. Karteczki latały po klasie jak groźne, ale miodonośne pszczoły, niemal brzęczały.

Do Nowego Roku ustaliły się sympatie i antypatie, a nawet zawiązały pierwsze związki miłosne. Ci, którzy nie mieli sukcesów w podboju osób płci przeciwnej, pokładali wielkie nadzieje w wieczorze noworocznym.

W połowie grudnia wszystkie plany runęły. W szkole pojawiła się odra. Z młodszych klas przeniosła się do starszych, a pod koniec grudnia ogłoszono ścisłą kwarantannę. Zabroniono nawet przechodzić z piętra na piętro i korzystać ze wspólnej stołówki. Przeszło trzecia część uczniów klasy ósmej „A” zachorowała na odrę. Sania wciąż czekał, kiedy zachoruje, rano oglądał twarz w lustrze, ale czerwonej wysypki nie dało się zaobserwować.

Z klas wypuszczano tylko do ustępu. Na dużej pauzie pielęgniarka i bufetowa bezpośrednio do klasy przynosiły paszteciki, sałatkę i słodką herbatę. Najpierw było to ciekawe, ale szybko się przejadło. Najprzykrzejsze jednak w całej tej epidemiologicznej historii było odwołanie wieczoru noworocznego. Drugi kwartał zakończył się dość nudno, rozstali się na ferie zimowe. Trzydziestego pierwszego grudnia Sania jednak zachorował, czym pozbawił przyjaciół jeszcze jednej, najbardziej ulubionej uroczystości – swoich urodzin.

Nudne ferie ubarwił Wiktor Juliewicz. Zazwyczaj podczas wakacji odwoływał spotkania „mirpisów”, ale w tym roku spotykali się niemal co drugi dzień. W każdym razie Ilja zachował wiele zdjęć właśnie z tamtych dni. Były to tłumne wycieczki, przychodzili wszyscy, których nie dotknęła zaraza. Spacerowali po trzy godziny, a potem jeszcze przychodzili do Wiktora Juliewicza do domu, na herbatę. Na tych zdjęciach po raz pierwszy pojawiły się przyjaciółki Katia Zujewa i Ania Filimonowa, pierwsze dziewczynki, które dołączyły do ich dotychczas męskiego grona.

Katia miała jeszcze warkocze z czarnymi kokardkami na końcach, zwisające na kołnierzu palta, a Filimono-wa nosiła narciarską czapkę z dziobkiem nasuniętym na czoło; była podobna do chłopca z pryszczami na czole. To właśnie te pryszczki zasłania czapką – domyślił się Ilja. On też pierwszy zauważył, że Katia jest zakochana w nauczycielu.

Do szkoły chodziła w warkoczami upiętymi w nieładny „koszyczek”, ale na posiedzenia „mirpisów” – tak nazywali spotkania odbywające się nie na ulicy, ale w mieszkaniu Julicza – rozpuszczała włosy i zadziwiająco piękniała. Siedziała przy okrągłym stole, zawsze na tym samym miejscu, z podbródkiem opartym na dłoni i buzię miała prawie całkiem zasłoniętą włosami. Micha wciąż usiłował schylić się jak najniżej, żeby zajrzeć w jej ukrytą twarz. Bardzo mu się podobała, zwłaszcza poza szkołą. Oprócz tego podobały mu się jeszcze malutka Roza Galejewa z siódmej klasy i Zoja Krym z równoległej.

Za każdym razem gdy Julicz zwracał się do Katii, śmiesznie rumieniała się na całej twarzy, tak mocno, że biały pozostawał tylko nos. Katia była zamknięta i milcząca, nawet z Anią, bliską przyjaciółką, nie podzieliła się swoją wielką tajemnicą: była bez pamięci zakochana w nauczycielu, od pierwszego wejrzenia, od pierwszego września, kiedy zobaczyła go na szkolnym podwórku przed uroczystym apelem, otoczonego przez chłopców, ożywionego, roześmianego.

Uganiała się za nim po pensjonarsku, w pewnej odległości szła za nim aż do domu. Czasem przychodziła pod jego bramę wieczorem, ale nigdy nie spotkała go na ulicy. Postanowiła wstąpić do jego kółka, ale poszła tam dopiero wtedy, kiedy udało jej się namówić Anię, choć tę generalnie bardziej interesowała siatkówka.

Na wiosnę wydarzyło się coś, o czym Katia opowiedziała swojemu mężowi dwa lata później. Wystarano się dla niej o bilet do Teatru Wielkiego na balet Prokofiewa *Wojna i pokój*. Cała Moskwa starała się dostać na to przedstawienie, a babcia Katii oddała jej jedyny bilet, zdobyty dzięki znajomości. Po pierwszym akcie Katia w celach poznawczych zajrzała do teatralnego bufetu. Panowały tam ścisk, ciasnota i hałas, do bufetu ustawiła się długa kolejka. Przy najbliższym od drzwi stoliku siedział Wiktor Juliewicz. Obok niego ładna kobieta o wschodnich rysach. Na stoliku leżał bukiet kwiatów. Rozmawiali, a potem on położył lewą rękę na jej ramieniu, Katii zrobiło się słabo. Poszła do domu, nie oglądając spektaklu do końca. Babci powiedziała, że strasznie rozboleła ją głowa.

Tydzień później przydybała Wiktora Juliewicza w jego klatce schodowej i powiedziała, że go kocha. Strasznie się bała, że on ją wyśmieje. Ale nie wyśmiał. Położył jej rękę na ramieniu, jak tamtej orientalnej kobiecie, i powiedział bardzo poważnie, że już się domyślił, ale nie wie, co z tym zrobić.

– Nic. Po prostu umieram, kiedy myślę o tamtej kobiecie, z którą był pan w teatrze. Czy pan się z nią ożeni?

– Nie, Katiu. Nie ożenię się z nią. Ona jest już zamężna – odpowiedział całkiem poważnie.

– W takim razie niech się pan ożeni ze mną! – I uciekła.

– Kiedy pani skończy szkołę! – krzyknął za nią Wiktor Juliewicz.

Trzasnęły drzwi wyjściowe. Wika uśmiechnął się, pokręcił głową i wyciągnąwszy metalową papierośnicę, zręcznie wyjął z niej papierosa. Wiele potrafił robić

jedną ręką – szczęknął zapalniczką, zapalił. Stał, palił i uśmiechał się.

Po stracie ręki od razu postanowił, że nigdy się nie ożeni, nie poniży się zależnością od kobiety i oto już ponad dziesięć lat pomyślnie wymigiwał się od małżeństwa i uciekał – tchórzliwie, zdecydowanie, czasem szorstko, czasem łagodnie – kiedy tylko zaczynała się pojawiać perspektywa małżeństwa.

Ale teraz się uśmiechał: dziewczyna była urocza, namiętne, a zarazem po dziecinnemu w nim zakochana, i żadne niebezpieczeństwo z jej strony nie groziło. Nawet nie przyszło mu wtedy do głowy, że rzeczywiście się z nią ożeni, gdy tylko Katia ukończy szkołę.

Przez cały następny rok dziewiątoklasiści zgłębiali wiek dziewiętnasty. Z dystansu wydawał się wielce pociągający. Zwyczajne rozmowy, tak jak w salonie Zinaidy Wołkońskiej, „obracały się wokół literatury”. I „wokół historii”. Jak w raporcie pułkownika Bibikowa.

Strasznie fascynowali ich dekabryści – serce rosyjskiej historii, najwspanialsza jej legenda. Ilja zgromadził nawet własną galerię portretów dekabrystów (jeszcze jedna kolekcja zapoczątkowana, a potem porzucona na pastwę losu), przefotografował ich portrety z książek i zdobył spore doświadczenie w dziedzinie reprodukcji. W pewnej chwili Sania, oglądając ten amatorski album Iljuszy, wskazał palcem któregoś wąsatego i mocno kudłatego, i zwyczajnie, jak o czymś normalnym i bez znaczenia, powiedział:

– Ten Łunin był jakimś tam bratem prababki. Babcia mówi, że był rycerzem bez trwogi i zmazy. W naszej rodzinie było dwóch dekabrystów. A drugi... jakiś pra-

pra mojego dziadka Stiekłowa... sami wybadajcie o to Niutę. Ona wam powie. Przechowuje nawet jakieś listy.

Micha z Ilją osłupieli: jak to? I natychmiast pomknęli do Anny Aleksandrowny.

Anna Aleksandrowna odsunęła rękę z papierosem i zmarszczyła brew:

– Tak, byliśmy spokrewnieni.

Jak wszyscy ludzie z jej pokolenia unikała rozmów o przeszłości, nawet tak odległej. Mimo to zasypali ją pytaniami. Odpowiadała sucho. Tak, Michaił Siergiejewicz Łunin był bratem jej prababki. A zmarły mąż mamy Sani, Siepan Juriewicz Stiekłow, był potomkiem Siergieja Pietrowicza Trubeckiego. Syn Siergieja Pietrowicza mieszkał na Wielkiej Nikitskiej. Trubeckich było mnóstwo, to ogromny ród. Ten dom przez około stu lat należał do jednego z Trubeckich. Pierwszym właścicielem był Dmitrij Juriewicz, ale to inna linia, nie ta, z której wywodzi się dekabrysta. Ona sama nie jest spokrewniona z Trubeckim, ale Sania jest potomkiem po linii żeńskiej...

Tu Micha się oburzył:

– I ty milczałeś?

– Dlaczego miałbym o tym jakoś szczególnie rozprawić? – skrzywił się Sania.

– Ale numer! Przecież każdy byłby dumny! – Micha spojrzał na Sanię innym wzrokiem. – No, coś ty! To przecież o nich „W głębinie sybirskich rud...”* i inne...

Na gębie rudego malowały się takie rozczulenie i zachwyty, że Sania brutalnie go osadził. Nachylił mu się do ucha i cicho, żeby Anna Aleksandrowna nie usłyszała, powiedział:

* Incipit wiersza Aleksandra Puszkina w przekładzie Juliana Tuwima (przyp. red.).

– Aha! W głębinie syberyjskich rud srają dwa chłopy – robią smród!

Anna Aleksandrowna od dzieciństwa przekarmiła go tymi historiami, więc odnosił się obojętnie do swoich rodzinnych korzeni.

Ilja chyba dosłyszał, a może się domyślił i wybuchnął swoim przeciągłym śmiechem: oszołomiona twarz Michy wydała mu się bardzo śmieszna. Micha zatrzepotał długimi dziecięcymi rzęsami i rzekł drżącym głosem:

– Jak możesz? Jak śmiesz? Za takie słowa wyzywa się na pojedynek...

Anna Aleksandrowna rozkoszowała się tą sceną: jej rudy faworyt, którego przodków nie wpuszczono by nawet na próg arystokratycznego domu, chce wyzywać na pojedynek jej wnuka.

– Głupie dzieciaki z was, chociaż wasy wam się już sypią. Nastaw czajnik, Sanieczka.

Sania posłusznie udał się do kuchni. Anna Aleksandrowna zaszeleściła w kredensie. Dziś nie było tam niczego nadzwyczajnego – obwarzanki i sucharki. Ale zawsze, kiedy otwierano górne drzwiczki, wydobywał się stamtąd zapach wanilii i jeszcze czegoś przedrewolucyjnego, a Micha bardzo to lubił.

Herbatę pili w milczeniu. Micha i Ilja milczeli, przeżywając odkrycie, że dawni i dobrzy znajomi są tak wysoko spokrewnieni, i rozkoszując się chwilową bliskością z wielką historią.

„Trzeba by ich wszystkich sfotografować – postanowił Ilja. – Annę Aleksandrowną, i Nadieżdę Borisownę, i Sanię. Żeby kolekcja była pełna – pomyślał. – Przede wszystkim Annę Aleksandrowną, bo chyba przecież niebawem umrze”.

I już kombinował, że trzeba zrobić prawdziwy portret, żeby wszystko było widać: i nos z garbkiem, i kocyk, podpięty wielką brązową klamrą, i małe loczki siwych włosów, opadające za długimi uszami na pomarszczoną szyję. Szukał takiego kąta, żeby w kadrze znalazł się zapadnięty policzek i długie ucho z brylantem w obwisłym płątku.

Micha chrupał sucharki i zastanawiał się, czy wypada zapytać Annę Aleksandrownę, dlaczego pułkownik Trubeckoj nie wyszedł na plac Senacki i w ten sposób zdradził swoich towarzyszy. Ale się krępował.

Tymczasem Anna Aleksandrowna wstała i wyszła za parawan. Zaskrzypiały drzwiczki szafy, gospodyni wniosła i postawiła na stole sporą, obitą złocistą tkaniną szkatułę i wyjęła z niej drogocenną książkę, wydaną w Londynie w „Wolnej drukarni rosyjskiej” Hercena w 1862 roku – *Zapiski dekabrystów*.

– Macie. Umyjcie ręce, wytrzyjcie nosy i kartki przewracajcie ostrożnie. I nie słuchajcie wszystkiego, co się mówi i pisze o dekabrystach – tak jakby usłyszała niezadane przez Michę pytanie. – Historię mamy w Rosji niewątpliwie parszywą, ale tamte czasy były nie najgorsze. Było w nich miejsce i na szlachetność, i na godność, i na poczucie honoru. Czy ręce czyste?

Micha z szacunkiem przełożył kota z kolan na poduszkę i pognał do łazienki umyć ręce, żeby w sposób godny dotknąć książkowego rarytasu. Po powrocie otworzył książkę na chybił trafił i przeczytał na głos:

– „Ciężka jest myśl, że trzeba coś zawdzięczać człowiekowi, o którym się miało tak złą opinię”.

– Ano, daj mi tu książkę. – Anna Aleksandrowna zerknęła na otwartą stronę i uśmiechnęła się z tryumfem. – Właśnie o tym mówię. To jest Siergiej Trubec-

koj, pisze po przesłuchaniu. W nocy z czternastego na piętnasty grudnia został aresztowany i przesłuchiwał go sam cesarz Mikołaj Pawłowicz. Który nie mógł zrozumieć, jak księżę, potomek Giedyminowiczów, czyli z rodu znacznieszego niż Romanowowie, mógł się „zwąchać z takim paskudztwem”. I pod koniec rozmowy powiedział: „Niech pan napisze do żony, że pańskie życie nie jest zagrożone”. Czyli że cesarz podjął decyzję jeszcze przed przesłuchaniem! Ale Trubeckoj wiedział, że wina jego jest wielka, i brał na siebie wszystko, nawet planowane carobójstwo, któremu w rzeczywistości się sprzeciwiał.

– Wiktor Juliewicz mówił, że wszyscy dekabryści zeznawali, uczciwie o wszystkim mówili, bo myśleli, że car ich zrozumie i zmieni swoją politykę – uściślił Micha. Bardzo chciał dobrze wypaść w tak szlachetnym gronie.

– Tak, mówili prawdę. Trubeckoj gorzko kajał się na przesłuchaniach, ale na nikogo nie donosił. Nie zniżali się do kłamstwa. A co się tyczy Siergieja Pietrowicza, z wielu wspomnień wynika, że na Syberii zesańcy go lubili i szanowali. W ogóle wśród dekabrystów, o ile wiem, był tylko jeden zdrajca, kapitan Majboroda. Trzy tygodnie wcześniej doniósł o przygotowywanej akcji. Nie wiem dokładnie, może był jeszcze jeden czy dwóch. Ale przecież w tej sprawie oskarżono ponad trzysta osób! Sami przeczytajcie! Ostatecznie protokoły przesłuchań są opublikowane. Donosicielstwo wtedy nie było modne, oto w czym rzecz! – powiedziała z naciskiem Anna Aleksandrowna, ale ten nacisk zauważył tylko Ilja.

– To jest historia iście ewangeliczna. Majboroda się powiesił. Po wielu latach, ale jednak...

– Jak Judasz! – wykrzyknął Micha, zdradzając znajomość Pisma Świętego.

Anna Aleksandrowna się roześmiała:

– Brawo, Micha! Jesteś człowiekiem kulturalnym.

Michę ośmieliła pochwała:

– Anno Aleksandrowno, a którego z dekabrystów najbardziej... – zająknął się, chciał powiedzieć „lubiano”, ale to by zabrzmiało zbyt dziecinnie – kochano?

Anna Aleksandrowna przekartkowała książkę. Włożono do niej kilka reprodukcji. Wyjęła wycięty skądś portret na pożółkłym papierze.

– Tego. Michaiła Siergiejewicza Łunina.

Chłopcy pochylili się nad portretem. Widzieli już tę twarz – w kolekcji Ilji. Ale tam był młody, z bujnymi wąsami i wydatnymi ustami, a tu o jakieś dwadzieścia lat starszy.

– Patrz, ordery, widzisz ten krzyż, a obok jeszcze coś, trudno rozpoznać – zauważył Ilja.

– On był uczestnikiem kampanii osiemset dwunastego roku. O orderach wiem tylko, że publicznie wrzucono je w ogień, kiedy został skazany – Anna Aleksandrowna się uśmiechnęła. – Ale z tego powodu nie przestał być bohaterem.

– A to dranie! – wybuchnął Micha. – Odznaczenia bojowe – do ognia!

– Tak. Nie było go w Petersburgu, kiedy wybuchło powstanie. Dowieźli go do Petersburga z Warszawy. Był jednym z organizatorów Towarzystwa Północnego, ale w tym czasie już się rozstał ze spiskowcami. Uważał, że działają nie dość zdecydowanie. Łunin planował zamach na cara, ale inni go nie poparli. Trubeckoj, wybrany później na „dyktatora”, też był przeciwny zabójstwu cara.

– Przecież gdyby Łunin wtedy ich przekonał, to i Rewolucja Październikowa dokonałaby się sto lat wcześniej! – Oczy Michy zaokrągliły się z uniesienia.

Wszyscy się roześmiali.

– Ale w takim razie nie byłaby październikowa – otrzeźwiała Michę Anna Aleksandrowna.

– No tak, Anno Aleksandrowno, o tym nie pomyślałem. A co było dalej z Łuninem?

– Po odbyciu katorgi Michaił Siergiejewicz znowu został aresztowany, tym razem za swoje listy. Było tam też omówienie doniesień przedstawionych carowi przez Tajną Komisję. To jest opublikowane. I za to właśnie aresztowano go powtórnie, znów posłano do więzienia i tam umarł. Mówiono, że nienaturalną śmiercią. Prawdopodobnie zabito go na rozkaz cara.

– Co za nikczemność! – wykrzyknął Micha.

Micha przeżywał śmierć Łunina przez kilka dni. Napisał wiersz *Na śmierć bohatera*.

Była to najpiękniejsza, najbardziej bohaterska karta rosyjskiej historii i pod kierunkiem Wiktora Juliewicza właśnie na niej chłopcy ćwiczyli umysły i serca.

Micha w swoim wypracowaniu przytoczył fragmenty z Hercena: „...byłem na tym nabożeństwie i tu, przed ołtarzem, zbezczeszczonym krwawą modlitwą, zaprzysiągłem, że pomszczę skazanych, i ślubowałem walkę z tym tronem, z tym ołtarzem, z tymi armatami. Nie pomściłem; gwardia i tron, ołtarz i armaty – wszystko pozostało, ale po trzydziestu latach trwam pod tym samym sztandarem, którego nie opuściłem ani razu”.

Dalej chłopiec pisał już własnymi słowami: „I pozostali niepomszczeni do dziś”.

Nauczyciela wzruszyło wypracowanie Michy: oto

jego chłopiec wyczuł ten punkt przeobrażenia, kryzys moralny rówieśnika, żyjącego przeszło sto lat temu.

Nie, życie jest oczywiście bogatsze od przejmującej wiedzy o dekabrystach. Oto zbliżał się Nowy Rok, główne święto, jedyne nie państwowe, nie pod czerwonym sztandarem, całkiem ludzkie święto ze zrehabilitowaną choinką, uprawnioną popijawą (dla dorosłych), prezentami i niespodziankami.

W tym roku nie było żadnych epidemii i wszyscy niecierpliwie czekali na wieczór noworoczny. Dwa tygodnie przed wyznaczoną na 30 grudnia szkolną uroczystością wszystkich ogarnęło podniecenie: lada chwila spełnią się wszystkie miłosne plany.

Był to pierwszy wieczór z dziewczętami. Przyszły bez mundurków, wystrojone – w sukienkach i bluzkach, kolorowe jak motyle, niektóre z rozpuszczonymi włosami. Nauczycielki też się wystroiły. Wiktor Juliewicz z lekkim rozrzewnieniem zauważył, że świąteczne podniecenie ogarnęło wszystkich bez wyjątku. Nawet dyrektorka Larysa Stiepanowna włożyła pantofle na obcasach i do kołnierza przypięła broszkę w kształcie rozpląszczonego motyla, istoty niemającej z nią nic wspólnego.

Uczniowie starszych klas przygotowywali zabawę tak długo i starannie, nie chcąc pominąć niczego z arsenału dozwolonych rozrywek, że przez cały grudzień projekt co chwila się zmieniał. Najpierw wymyślono, że będzie to bal kostiumowy, potem zmieniono decyzję – niech bal nie będzie kostiumowy, ale za to z dobrze przygotowanym programem artystycznym. Rozważano nawet pomysł zaproszenia prawdziwej orkiestry, ale okazało się, że brak pieniędzy. Może kabaret albo,

przeciwnie, program kulturalny z Schubertem w wykonaniu Nataszy Mirzojan i deklamacją wierszy? Albo jakieś przedstawienie teatralne?

Jak zwykle przy takiej obfitości pomysłów wzięto wszystkiego po trochu, od Sasa do lasa. Ci, którzy chcieli przyjść w karnawałowych kostiumach, powdzwiali na siebie coś głupiego i śmiesznego. Katia Zujewa, zgodnie z dawno wypiaastowanym planem, zjawiała się w przebraniu listonosza, z torbą konduktorką, która udawała torbę listonosza. Na piersi miała pomalowaną na kolor mosiądzu tekturkę z cyfrą „5”, która udawała mosiężną blaszkę, a zamiast mundurkowego beretu – trójkątną czapkę z gazety. Dla zupełnie niedomyślnych zawiesiła sobie na plecach niebieską tekturkę z białym napisem „Poczta”. Jej przyjaciółka Ania Filimonowa przebrała się za Cyganek: kwiecista spódnica, kółka w uszach, naszyjnik własnej roboty i wielki szal, który matka wyciągnęła z kufra i kazała na niego uważać – starość. W rękach Ania trzymała talię kart, którą zamierzała puścić w ruch i wróżyć wszystkim chętnym. Ale się krępowała. Początkowo wcale nie chciała się przebierać, ale Katia ją namówiła: potrzebowała wsparcia.

Poza tym zaplanowano montaż poetycki i piramidę gimnastyczną „choinka”, którą przygotowała sekcja gimnastyczna w pełnym składzie. Dwanaście osób, wspinając się jedna na drugą, miało przedstawić choinkę ze świecidełkami.

Nauczyciel zajęć praktycznych, kulawy Itkin, przypiął do marynarki baretki orderów, a wuefowiec Andriej Iwanowicz po raz pierwszy zjawił się nie w zwykłej „mistrzowskiej” niebieskiej fufajce zapinanej na

zamek błyskawiczny, ale wystroił się w biały sweter. Obaj pachnieli wodą kolońską, ten od zajęć „potrójną”, a wuefowiec „chyprem”. Nastawiali płyty ze starymi piosenkami, przy których tańczyć mogły tylko tresowane niedźwiedzie w cyrku. A gdy zabrzmiała *Riorita*, dziewczynki zaczęły przebierać nogami, ale nikt nie odważył się wyjść na środek sali, dopóki wuefowiec nie zaprosił starszej instruktorki pionierów. I tak prze-tańczyli tę *Rioritę* jako jedyna para, przy potępiających spojrzeniach starszych kolegów. Sytuację uratowała przedsiębiorcza dziewiątoklasistka, członkini komitetu Komsomołu, Tasia Smołkina, która zapowiedziała kilka wspólnych zabaw – „strumyczek” i „kóleczek” dla młodszych, i „pocztę” dla tych, którzy wiązali z tym balem romansowe nadzieje.

Listonoszka Katia Zujewa rozdała numerki, wszyscy zaczęli pisać liściki. Katia kręciła się po sali, roz-nosząc pocztę. Wiktor Juliewicz stał przy oknie, cze-kając na moment, kiedy będzie mógł się wymknąć do pokoju nauczycielskiego na papierosa. Kiedy szedł do wyjścia, listonoszka go zatrzymała i wręczyła mu od razu dwa listy. Wsunął je do kieszeni. „Kocham pana” – było napisane na liściku bez adresu zwrotnego. „Czy lubi pan prozę Pasternaka?” – w drugim, przysłanym od numeru 56.

Wiktor Juliewicz zszedł do pokoju nauczycielskiego, gdzie młodziutkie nauczycielki szkoły podstawowej – jedna ładna, druga taka sobie – szeptały i chichotały zupełnie jak ósmoklasistki. Widocznie one też po tym święcie spodziewały się jakichś uciech, swojej części niewielkiego szczęścia.

Wiktor Juliewicz podarł miłosny liścik, strzępki wrzucił do popielniczki. Uczennice starszych klas po-

dzieliły się na dwa obozy – część ubóstwiała Wiktora Juliewicza, druga, mniejsza, wołała wuefowca. Nauczyciel rozwinął drugi liścik – był napisany okrągłym, dziewczęcym pismem, twardym grafitem, bardzo blado. Podjął wyzwanie, napisał odpowiedź: „Oprócz *Dzieciństwa Luwers*”, zwinął, napisał adres „56” i zamyslił się: wydawało mu się, że w rosyjskiej literaturze nie ma niczego o dzieciństwie dziewczynek. Jak mógł zapomnieć o tej wczesnej powieści Pasternaka? Czytał ją jeszcze przed wojną, gdy był małym chłopcem, i wtedy mu się nie spodobała, bo była zawila, rozchwiana, nie dało się uchwycić jej konstrukcji, miała nadmiar słów. Ale przecież to była chyba jedyna w rosyjskiej literaturze książka o dzieciństwie dziewczynki. Jakże mógł ją przeoczyć? Było tam wszystko, co go dziś nurtowało: budzenie się świadomości, załamanie dziewczynki, nieuprzedzonej o wielkim nadchodzącym fizjologicznym wydarzeniu, i pierwsze zetknięcie ze śmiercią! Zapragnął natychmiast, w tej chwili ją przeczytać. W jego domowej bibliotece prozy Pasternaka nie było. Chyba trzeba będzie jej poszukać w bibliotece im. Lenina...

Wiktor Juliewicz poszedł na salę, wsunął liścik Katii listonoszce, która do niego podbiegła. Opuścił piramidę gimnastyczną i Schuberta. Muzyka umilkła – skończył się walc. Tancerze ruszyli do swych miejsc pod ścianą. Z nieoczekiwaną wyrazistością pośród zakurzonej ciszy rozległ się odgłos policzka. Wszyscy się odwrócili. W środku sali stała dorodna para – Ania Filimonowa w swoim niedorzecznym cygańskim stroju i Jura Burkin. Ania przyciskała do piersi zdjęty szal. Jura przyciskał rękę do policzka, gdzie dojrzywał ślad siatkarskiej dłoni jego stanowczej partnerki.

Scena godna Gogola. Ale kurtyna nie opadła. Wszy-

scy zamarli w oczekiwaniu na dalszy rozwój akcji. I akcja się zakończyła – Jura oderwał rękę od policzka, odchylił ją lekko do tyłu i trzepnął partnerkę po twarzy z odgłosem całusowego cmoknięcia.

Rozległo się powszechne ciche „ach!”. Katia rzuciła się do przyjaciółki, zaczął się ruch i zamieszanie. Zaczzerwieniona Ania płakała na ramieniu Katii. Poprzez szloch przebijała się basowa przerywana skarga:

– On... on... wysiąkał nos w szal!

Jura wyskoczył z sali. Katia się obejrzała.

– Czy nie ma nikogo, kto by stanął w obronie honoru...

Była blada, rozwścieczona i widać było, że sama jest gotowa rozszarpać krzywdziciela. Przez cały rok wciąż mówili o szlachetnych mężczyznach i pięknych damach!

Michę wyniosło z sali jak na skrzydłach. Dopędził Jurkę w męskiej ubikacji, gdzie ten drżącymi rękami zapalał papierosa, którego zwędził ojcu poprzedniego wieczoru. W zasadzie nie palił – robiło mu się od tego niedobrze. Od szóstej klasy wciąż próbował, ale w żaden sposób nie potrafił się nauczyć. Ale palenie podobało mu się jako takie i w tamtej chwili przeczuwał, że go nie zemdli.

Micha wyrwał mu z ręki papierosa, złamał go na pół, odrzucił na bok i zimno, spokojnie, z pogardą w głosie rzekł:

– Pojedynek! Wyzywam cię na pojedynek!

Chciał powiedzieć „pana”, ale to byłoby już całkiem głupio. A „ciebie” też jakoś nie pasowało.

– Micha, co ty, ochujałeś? Ona po prostu nie zna się na żartach, idiotka. Cyganka-zasranka! Jaki pojedynek?

– Strzelać się nie możemy, nie mamy pistoletów. I w ogóle nie mamy żadnej broni. Walka będzie na pięści, ale według wszelkich reguł.

– Coś ty, Micha, ochujałeś?

– Mało tego, że cham, to jeszcze tchórz – z ubolewaniem westchnął Micha.

– No dobra, skoro chcesz – niechętnie, ale całkiem pokojowo zgodził się Jurka. – A kiedy?

– Dziś.

– Coś ty, Micha, jest już wpół do dziesiątej.

Micha użył wszystkich swoich zdolności organizacyjnych i pojedynek odbył się godzinę później w Ogrodzie Milutińskim.

Dziesiątoklasiści usiłowali powstrzymać Jurkę, dziewiątoklasiści – Michę. Zasady pojedynku zaimprovizowano w biegu.

Jurka przez całą drogę nudził:

– Micha, no i na cholere ci to mordobicie? Muszę iść do domu, ojciec będzie krzyczał, matka chyba już pobiegła do szkoły.

Ale Micha był nieugięty:

– Pojedynek! Do pierwszej krwi!

Ilja z Sanią wymieniali spojrzenia, mrugali do siebie, nawet po cichu się podśmiewali. Sania szepnął: „Nasz Chrystusik!”.

Sekundantem Michy został Ilja, Jurki Waśka Jegoryczkin. W parku leżało dużo śniegu, sekundanci udeptali mały placzyk do walki. Sania zaproponował pojedynekowiczom, żeby włożyli skórzane rękawiczki, ale takiego luksusu nikt nie posiadał. Sania, nie wiadomo dlaczego, był przekonany, że nie wolno się bić gołymi rękami.

– Starożytni Grecy owijali ręce skórzanymi rzemie-
niami!

Skąd to wiedział? Ale mówił z przekonaniem. Pa-
sków mieli pod dostatkiem. Sekundanci wyciągnęli
paski ze spodni, szczepili po dwa i położyli na śniegu
w charakterze mety. Teraz pojedyńkowicze mieli zbli-
żyć się do siebie po wyliczeniu i zacząć na „trzy”.

Pojedyńkowicze owinęli ręce szkolnymi paskami,
ale sprzączką do środka. Było to bardzo niewygodne.

– Może bez pasków? – z nadzieją zaproponował
Jurka.

Micha nie zaszczycił go odpowiedzią.

Ilja zaproponował Burkinowi, żeby przeprosił. Mi-
cha rezolutnie odrzucił tę propozycję:

– Przeprosić trzeba damę.

Jurka się ucieszył:

– Proszę bardzo! Choćby zaraz!

Z powodu nieobecności damy zawieszenie broni
zostało odrzucone. Micha zdjął okulary i podał je Sani.
Zrzucili palta.

– Może już dość tego? – szepnął Sania.

– Trzymaj! – nieoczekiwanie wrzasnął rozgorączko-
wany Micha.

Ilja zaczął liczyć.

Na „trzy” stanęli naprzeciw siebie: rosły Jura, Micha
szczuplejszy, ale bardziej rozzłoszczony. Micha pod-
skoczył na miejscu i od razu obiema pięściami niemal
jednocześnie, niezręcznie i nieboleśnie uderzył Jurę
w twarz.

Jura się wreszcie zezłościł. Wymierzył jeden, jedyny
cios w nos. Pierwsza krew buchnęła natychmiast. Sania
jęknął, jakby to jego uderzono, i wyjął czystą chustecz-
kę do nosa. Uderzenie było nie tyle mocne, ile celne. Od

tego czasu nos Michy był nieco przekrzywiony w jedną stronę. Długo bolało. Prawdopodobnie było to jednak złamanie.

Pojedynek można było uważać za zakończony.

Gdy uczniowie się rozeszli, dwie młodziutkie nauczycielki i Andriej Iwanowicz wielce kulturalnie kończyli skromną flaszkę, a w szatni pozostały tylko szatniarka i sprzątaczką, która czasem, gdy mąż mocno się upił, nocowała w składziku. Katia Zujewa, już bez gazetowej czapeczki, w brązowym palcie z przedłużonym czarnym flauszem dołem, siedziała na krześle szatniarki, czekając na Wiktora Juliewicza.

Kiedy wszedł do szatni, podała mu karteczkę:

– List do pana.

Spojrzał na nią ze zdumieniem – już zapomniał o zabawie.

– A-a-a, tak-tak, dziękuję – i z roztargnieniem włożył kartkę do kieszeni palta.

Znalazł ten kawałek papieru w kieszeni nazajutrz rano.

„Mogę panu dać jego nową powieść. Chce pan? Katia”.

Nie od razu sobie przypomniał, o co chodzi.

Trzeciego stycznia Katia zadzwoniła do niego i wciąż jeszcze trochę w roli listonosza przyniosła maszynopis.

Nowa powieść Pasternaka miała tytuł *Doktor Żywago*. Już pierwsze strony – pogrzeb Marii Nikołajewny Żywago – głęboko poruszyły Wiktora Juliewicza. Była to kontynuacja tej literatury rosyjskiej, która wydawała mu się całkowicie zakończona, doskonała i wszech-

ogarniająca. Okazało się, że ta literatura wydała jeszcze jeden pęd, współczesny. Każda linijka nowej powieści mówiła wciąż o tym samym – o poniewierce duszy człowieczej w ziemskim świecie, o wzrastaniu człowieka, o zagładzie fizycznej i zwycięstwie moralnym, słowem o „twórczości i cudotwórstwie” życia.

Przez całe ferie Wiktor Juliewicz był całkowicie pochłonięty powieścią Pasternaka. Oczarowały go wiersze tak niezdarnie i bez konieczności doczepione na końcu – łatwo było rozpoznać, że to Pasternak, a równocześnie wydawały się nowe w swej prostocie. Była to najwyraźniej ta właśnie „niesłychana prostota”, o której poeta od dawna marzył...

Gdy doczytał do końca, zaczynał od nowa. Znajdował w powieści coraz to nowe cenne myśli, uczucia i słowa, a równocześnie zauważał słabości, lecz słabości były mu też sympatyczne. Skłaniały do rozważań. Schematyczna Lara, której postępowanie świadczyło o głupocie i samouwielbieniu, nie podobała się Wiktorowi Juliewiczowi. Ale jakże się podobała autorowi!

Wiktor Juliewicz wątpił, czy potrzebne jest takie nagromadzenie przypadków, zbiegów okoliczności i niespodziewanych spotkań, dopóki nie zrozumiał, że wszystkie one łączą się niesamowicie w scenie śmierci Jurija Andriejewicza, w równoległym ruchu tramwaju z umierającym Żywago i mademoiselle Fleury, nieśpiesznie wędrującej w tym samym kierunku, do wyzwolenia – on opuszczał ziemię żywych, ona opuszczała ziemię swej niewoli.

„To wielkie postscriptum do rosyjskiej literatury klasycznej” – podsumował Wiktor Juliewicz.

Dziesiątego stycznia, w ostatnim dniu ferii, Wiktor Juliewicz zatelefonował do Katii. Spotkali się koło skle-

pu „Tkaniny” na Solance. Podziękował dziewczynie za ogromną radość, jaką mu sprawiła.

– Jak tylko przeczytałam powieść, wiedziałam, że jest człowiek, któremu trzeba to dać do przeczytania.

Po czym wyjaśniła mu to, o co w żadnym razie by jej nie zapytał: skąd wzięła ten maszynopis.

– Moja babcia przyjaźni się z Borysem Leonidowiczem niemal przez całe życie. To ona przepisywała powieść na maszynie. To jest egzemplarz mojej babci.

Wiktor Juliewicz gorącą ręką zasłonił gadatliwe usta:

– Niech pani nikomu i nigdy tego nie mówi. Mnie też pani tego nie powiedziała.

Trzymał dłoń na jej wargach, a one leciutko się poruszały, jakby coś szeptały bezdźwięcznie.

Dopiero co skończyła siedemnaście lat. Ledwie wyszła z dzieciństwa, wciąż jeszcze zachowała nawyki dziecka. Długa naga szyja wychylała się z kołnierza palta. Szalika Katia nie nosiła. Czapkę miała dziecięcą – zawiązywany pod brodą kapturek. W jasnopiwnych oczach – uraza, łzawa wilgoć.

– Przecież ja nikomu, tylko panu. Wiedziałam, że panu się spodoba. Czy to nieprawda?

– Nie mam słów, Katiu. Nie mam słów. Takie książki zmieniają całe życie. Jestem wdzięczny do końca życia.

– Naprawdę? – rzęsy się uniosły, oczy zapalały.

Boże, toż to przecież Natasza Rostowa! Wykapana Natasza Rostowa!

Zaparło mu dech.

Gdy Katia skończyła szkołę, pobrali się.

Pierwsi dowiedzieli się o tym oczywiście „mirpisi”. Byli zachwyceni. We wrześniu brzuch Katii stał się

zauważalny dla uważnego oka i wywoływał u „mirpisów” dodatkowy zachwyty.

To zdarzenie zbliżyło ich z nauczycielem do tego stopnia, że po zebraniach kółka niekiedy wspólnie wypijali butelkę dobrego gruzińskiego wina, którego nie brakowało w domu Wiktora Juliewicza. Nawet zaczęli go nazywać „Wika” już nie za plecami. A on się nie sprzeciwiał, choć nadal zwracał się do nich staromodnym „pan”, „pani”.

Zebrania kółka amatorów rosyjskiego piśmiennictwa nadal odbywały się w pokoju Ksieni Nikołajewny, ale Wiktor Juliewicz mieszkał teraz w mieszkaniu krewnego Katii, który wyjechał na północ i zostawił im lokal przy stacji metra „Białoruska”, w domu kolejarza, z oknami wychodzącymi na tory i z całodobowym akompaniamentem: pociąg odjeżdża, pociąg przybywa...

OSTATNI BAL

Były to najlepsze lata Wiktora Juliewicza: pasjonująca praca, mir wśród uczniów, na razie szczęśliwe małżeństwo. Pojawił się też względny dostatek – teraz przez dwa wieczory w tygodniu udzielał prywatnych korepetycji.

Pracował bardzo dużo, ale „mirpisi” nadal zbierali się u niego w środy. Absolwenci z rocznika pięćdziesiąt siedem byli ulubieńcami Wiktora Juliewicza, od szóstej klasy był ich wychowawcą, znał matki i ojców, babcie i dziadków, braci i siostry. Piętnastoletnia różnica wieku już się zaczęła zmniejszać: chłopcy stawali się młodymi mężczyznami, a poza tym ożenek nauczyciela z ich rówieśnicą też zmniejszał dystans.

Koniec roku pięćdziesiątego szóstego upamiętnił się przyjściem na świat córeczki – pierwszego grudnia, po ośmiu miesiącach ciąży, Katia urodziła dziewczynkę, dwukilogramowe maleństwo, bardzo zgrabniutką. Dali jej imię Ksienia, na cześć babci. Ale nawet ten dyplomatyczny krok nie potrafił zabić rany w sercu Ksieni Nikołajewny, którą zadał jej ożenek syna. Nie dopuszczała do siebie myśli, że inna kobieta będzie przygotowywała Wice śniadanie, rozmawiała z nim wieczorami, czekała, aż przyjdzie ze szkoły, budziła

go rano. Oprócz tego żywiła wobec Katii szczególną niechęć – chemiczna reakcja krwi, stosunek teściowej i synowej! – uważała, że smarkata go uwiodła, zdeprawowała, oszukała, zmusiła do małżeństwa.

Grono pedagogiczne miało w tej sprawie inne zdanie. Pokój nauczycielski o mało nie eksplodował od pogłosek i plotek, które w środowisku nauczycieli, a raczej nauczycielek, były szczególnie złośliwe i brudne. A kiedy urodziła się córka, grono pedagogiczne wręcz nie posiadało się z podłej uciechy. Nauczycielka matematyki, Wiera Lwowna, zaginając palce, pogładowo zademonstrowała w pokoju nauczycielskim, w którym mianowicie miesiącu trzeciego kwartału musiała Zujewa zająć w ciążę, żeby urodzić w grudniu.

Sekretarz partii Rybkina, a zarazem wicedyrektorka do spraw nauki radziła się władz zwierzchnich, zarówno po linii inspektoratu oświaty, jak i po linii partyjnej, jak postąpić z nauczycielem-przestępcą, bo oczywisty był fakt deprawacji małoletniej. Z drugiej zaś strony w ciągu minionych miesięcy nieletnia stała się pełnoletnią, a równocześnie przestępca zawarł formalne małżeństwo. Ale przecież nie może pozostać bezkarny!

Zapadało pełne napięcie milczenie, gdy Wiktor Juliewicz wchodził do pokoju nauczycielskiego. Kierownictwo szkoły, jej święta trójca – dyrektorka, sekretarz partii i przewodniczący związku zawodowego – początkowo chcieli zwołać radę pedagogiczną w tej sprawie. Ale Raisa Stiepanowna wolała przeprowadzić wstępny sondaż wśród zwierzchników. Posłano raporty do inspektoratu i do komitetu dzielnicowego partii.

Właśnie tej ostatniej szkolnej zimy Wiktor Juliewicz zaczął pisać książkę, do której kilka lat się przygotowy-

wał. Urodził się już nawet tytuł – „Rosyjskie dzieciństwo”. Nie dbał o to, jaki to będzie gatunek literacki: zbiór esejów czy monografia.

Nie miał zamiaru dokonywać odkryć, ale wiedział dokładnie, że jego zainteresowania dotyczą różnych dyscyplin: psychologii wieku szkolnego, pedagogiki, antropologii w najszerszym tego słowa znaczeniu. W swoich rozważaniach kierował się raczej regułami, którymi posługiwali się lekarze i biolodzy. Był to wyraźny wpływ przyjaciela Kolesnika.

Opisywał, jak mu się wydawało, sferę moralnego przebudzenia nastolatka, będącą takim samym normalnym etapem, jak wyrzynanie się zębów, gaworzenie, pierwsze kroki, które to procesy dokonują się pod koniec pierwszego roku życia. Czyli tę właśnie rutynową kolejność w rozwoju człowieka, którą obserwował teraz u siebie w domu.

Tak się zaczyna. Z rokiem, dwoma,
Od mamki – pęd w melodie mroku.
Szczebiocze, gwizdże się – a słowa
Zjawiają się gdzieś w trzecim roku.*

Ten poetycki model Pasternaka był dla niego bardziej przekonujący niż wszystkie twierdzenia psychologii rozwojowej. Dojrzewanie moralne uważał za równie naturalną cechę człowieka, jak i biologiczne, odbywające się równolegle. Przebudzenie jednak odbywa się różnie, zmienia się w zależności od indywidualnego typu i paru innych przyczyn. Przebudzenie

* Borys Pasternak, *Tak się zaczyna...*, przełożył Julian Tuwim (przyp. red.).

moralne, albo „moralna inicjacja”, jak sądził, u chłopców następuje w wieku od jedenastu do czternastu lat, na ogół w szczególnych okolicznościach: nieszczęście, złe stosunki rodzinne, poniżanie godności osobistej lub godności osób bliskich, strata bliskiej osoby. Słowem, zdarzenie wstrząsające duszą, rozbudzające ją. Każdy człowiek ma własny „bolesny punkt” i właśnie od niego rozpoczyna się ta rewolucja osobowości. W tym procesie niemal niezbędna, zdaniem Wiktora Juliewicza, jest obecność „inicjatora” – nauczyciela, mentora, starszego przyjaciela, a jeżeli krewnego, to raczej dalszego. Podobnie jak z chrztem. W zwykłych warunkach, bez zagrożenia życia, rodzice biologiczni rzadko bywają rodzicami chrzestnymi. W przypadkach wyjątkowych takim „inicjatorem” może stać się nawet książka, która w odpowiednim momencie wpadnie w ręce.

Dalej, po wszechstronnej analizie tego zjawiska, autor opisywał kilka przypadków inicjacji tego rodzaju, zaczerpniętych z rosyjskiej literatury klasycznej, omawiał dojrzewanie współczesnych nastolatków i rozpatrywał przyczyny tak późnego dojrzewania, a przede wszystkim podkreślał katastrofalną tendencję „unikania inicjacji”.

Wiktorowi Juliewiczowi przychodziło też do głowy, że właśnie w tym wieku u luteranów i anglikanów odbywa się uroczystość konfirmacji, czyli „potwierdzenia” świadomego przyjęcia wiary, żydowscy chłopcy przechodzą bar micwę, przyjęcie do społeczności dorosłych, a muzułmanie dokonują obrzezania. Tak więc okazywało się, że społeczności ludzi wierzących nadają szczególne znaczenie temu przejściu od dzieciństwa do dorosłości, podczas gdy świat ateistyczny całkowicie utracił ten ważny mechanizm. Nie można przecież po-

ważnie twierdzić, że zmienia go wstąpienie do organizacji pionierskiej czy komsomolskiej.

Spółeczeństwo spada poniżej moralnego minimum, gdy liczebność tych, którzy we wczesnej młodości nie przeszli procesu moralnej inicjacji, przewyższa połowę populacji – taki punkt widzenia przyjął wówczas Wiktor Juliewicz.

Zdecydowanie nie zgadzał się z Wygotskim w kwestii kształtowania się i zmian kulturowych zachowań, ale nie miało to większego znaczenia: psychologia rozwoju została „zakazana” wraz z genetyką i cybernetyką. Wiktor Juliewicz nie miał właściwie żadnej nadziei na opublikowanie swej przyszłej książki. Ale jakie znaczenie mogły mieć te pragmatyczne poglądy, skoro życie pędziło z ogromną prędkością, a było w nim wszystko, o czym tylko można marzyć: twórczość, cudowna młoda żona, nieodłączna pieluszką z żółtą plamą, małe dzieciątko z zadziwiającymi paluszkami, usteczkami, oczkami, małe zwierzątko, z każdym dniem oraz bardziej się uczłowieczające, uczniowie, których podziw wynosił go na niebywałe wyżyny. Uśmiechał się przez sen, uśmiechał, gdy się budził.

A tymczasem kraj żył swoim zwariowanym życiem – po niewidzialnej kłótni przy trumnie Dżugaszwilego, potajemnej walce o władzę, po powrocie pierwszych więźniów łagrów i zesłańców, po niepojętym, nieoczekiwanym XX zjeździe partii – rozpoczęły się i zakończyły wypadki na Węgrzech.

Wiktor Juliewicz, pogrążający się w swoim nowym życiu, to, co się dzieje, obserwował tylko kątem oka. „Wewnętrzna część” życia była dlań w tym okresie ważniejsza od „zewewnętrznej”.

We wrześniu, w pierwszych dniach szkoły, opiekunka pionierów, sympatyczna studentka wieczorowej uczelni pedagogicznej, z którą Wiktor Juliewicz miał dobre układy, podsunęła mu paczkę odbitek referatu Chruszczowa z XX zjazdu partii. Mimo że od chwili wygłoszenia upłynęło już pół roku, referat dotąd nigdzie nie został opublikowany. Ten połowicznie szczerzy i bojaźliwy tekst rozpowszechniano tylko wyższymi partyjnymi kanałami, szeregowych członków partii zaznajamiano z nim na zamkniętych zebraniach, ustnie. Widział na nim nadruk: „do użytku służbowego”, nie dla członków szeregowych. Była to wciąż ta sama sowiecka fantasmagoria. Tajny referat dla jednej części społeczeństwa, która miała go utrzymywać w tajemnicy przed resztą społeczeństwa. Państwo z uszkodzonym rozsądkiem.

Wiktor Juliewicz uważnie przeczytał tekst, o którym tyle mówiono. Ciekawe, bardzo ciekawe. Historia dzieje się na oczach wszystkich. Tyran padł i dopiero po trzech latach sfora odważyła się przeciw niemu wystąpić. A gdzie byliście wcześniej, mądrze? Dokument, w istocie wielki, jeżeli chodzi o następstwa, był zarazem straszny i demaskatorski dla władz partyjnych kraju. Krążąc wśród ludzi, wielokrotnie przepisywany, stał się pierwszą podziemną publikacją samizdatu, którego w owych latach jeszcze tak nie nazywano.

Referat Chruszczowa już krążył po Moskwie, ale nie nadszedł jeszcze czas dla rękopisu *Doktora Żywago*. Znane były zaś wiersze z tej powieści.

„Dziwna sprawa – myślał Wiktor Juliewicz – jak w czasach Puszkina, z rąk do rąk przekazuje się odpisy wierszy. Co za zmiana! Tylko patrzeć, jak przestaną wsadzać do więzień!”.

Odrętwiały ze strachu naród zaczął odżywać, odważniej szeptano, chwytało w radiu „wrogię” wypowiedzi, drukowano, przepisywano, przeфотографowywano. Po kraju zaczął się rozprzestrzeniać samizdat. To podziemne czytelnictwo jeszcze się nie utrwaliło jako nowe zjawisko społeczne. Stanie się nim w następnym dziesięcioleciu, ale przepisane przez odważnych papierki już szeleściły nocami w rękach spragnionych czytelników.

Chruszczow tak wszystkich zbałamucił tym zde-maskowaniem kultu Stalina, że zamiast dawnej jasności powstało coś niezrozumiałego. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Los nauczyciela literatury, który ożenił się z uczennicą i zrobił dziecko nieco przed terminem, wciąż nie był rozstrzygnięty mimo usilnych starań kierownictwa szkoły.

Wreszcie sprawę rozpatrzono. Inspektorat oświaty okazał się bardziej wymagający niż komitet dzielnicowy partii. Podjęto decyzję o zwolnieniu, ale później się połapano, że najpierw musi doprowadzić uczniów do matury. Żeby nie spłoszyć nauczyciela, postanowiono nie zawiadamiać go o planowanym zwolnieniu – no bo rzeczywiście, gdyby odszedł w środku roku, to kto by go zastąpił?

Do Wiktora Juliewicza stale docierały jakieś nieokreślone nieprzyjemne pogłoski, ale do tego czasu również sam zdecydował się odejść, gdy tylko zakończy się rok szkolny.

Na wiosnę pięćdziesiątego siódmego kółko miłośników rosyjskiego piśmiennictwa przekształciło się w grupę korepetycyjną przygotowującą się do egzaminów – trzy czwarte klasy zamierzało iść na filologię. Micha regularnie uczęszczał na te zajęcia, chociaż z literatury był najlepszy w klasie. Wiedział, że Żydów na

wydział filologii nie przyjmują, ale wiedział też, że nie chce niczego innego.

Starszy kuzyn Michy, Marlen, droczył się z nim, proponował, że pomoże mu się dostać na wydział gospodarki wodnej, utrzymując, że dla Żyda to bardziej stosowny zawód niż literatura rosyjska, czym doprowadzał Michę do wściekłości.

Na wiosnę pogłoski, że Wiktora Juliewicza mają wyrzucić ze szkoły, dotarły już do dziesiątoklasistów. Powiedziano, że nauczyciele napisali na niego jakiś donos w związku z jego ożenkiem z niedawną uczennicą. Młodzież była gotowa iść i pisać do kogo się da, byle tylko wybronić ulubionego nauczyciela. Nie bez trudu udało mu się wmówić im, że on sam zamierza odejść ze szkoły, od dawna chce się zajmować pracą naukową, pisać książki, i że powinni zrozumieć, jak mu obrzydły zeszyty szkolne, baby, zebrania polityczne i wszystkie te nudziarstwa, i że tylko ze względu na nich, ukochanych „mirpisów”, nie odszedł ze szkoły zaraz po ślubie.

– Tym bardziej – dodawał – że wychowałem sobie następców. Sami wiecie, ilu nauczycieli literatury wyda nasza szkoła za kilka lat.

To prawda. Odkąd pracował w szkole, połowa wszystkich absolwentów szła na filologię – jedni na uniwersytecie, inni w wyższej szkole pedagogicznej. Słabsze dziewczęta szły na bibliotekoznawstwo, archiwistykę, do instytutu kultury. Niewielka, ale doborowa armia opanowała rzadką sztukę czytania Puszkina i Tołstoja. Wiktor Juliewicz był przekonany, że jego dzieci w ten sposób zostały zaszczerpione przeciwko ohydzie naszego życia. Ale co do tego chyba się mylił.

O wiele bardziej niż ostatnimi egzaminami „mirpisi” byli przejęci przygotowaniem do balu matural-

nego. Zapowiadała się wspaniała impreza. Zawczasu ogłoszono, że nie będzie dozwolony żaden alkohol. Z jednej strony zakaz ten łatwo było ominąć, z drugiej – nikt się nim szczególnie nie przejmował. Najważniejsze, że wszyscy doskonale wiedzieli, iż pożegnanie szkoły oznacza rozstanie z Wiktorem Juliewiczem. Pożegnanie było więc podwójne: Wiktor Juliewicz opuszczał szkołę wraz ze swoją klasą absolwentów, o czym zdążył ich zawiadomić.

Uczniowie zachowywali w tajemnicy swoje przygotowania, ale Wiktor Juliewicz miał pewne wyobrażenie o rozmachu przedsięwzięcia, ponieważ dotarło do niego, że kilku chłopców, zamiast usilnie przygotowywać się do egzaminów, spędza dnie i noce w pracowni rzeźbiarza Łozowskiego, ojca Wołodii Łozowskiego, i szykują tam coś wielkiego.

Ilja powiększał fotografie i robił przezrocza, które miały być wyświetlane na ścianie. Była to oryginalna scenografia, jakiej nikt przed nim nie wymyślił.

Micha, cisnąwszy w kąt podręczniki, pisał sztukę wierszem. W obsadzie był milion osób, od Arystofanessa do Iwanuszki-głuptasa, od Homera do Erenburga.

Kiedy egzamin maturalny został pomyślnie zdany, nadszedł dzień balu absolwentów. Ta doroczna uroczystość miała ustalone kanony. Dziewczynki szyły sobie sukienki, nawet białe, szły do fryzjera, malowały rzęsy, a pończochy kapronowe też były na ten dzień dozwolone.

Była to próba generalna przyszłego pierwszego balu, którego większość nigdy nie będzie miała, fałszywa obietnica przyszłego wspaniałego życia, którego też nie będzie, rozstanie ze szkołą, które dla wszystkich bez wyjątku było wydarzeniem radosnym, ale

w ten dzień malowanym fałszywymi romantycznymi barwami.

Na krzesłach ustawionych w ciasne rzędy siedzieli rodzice, przeważnie mamy, też wystrojone i nie mniej przejęte niż ich dzieci.

Kiedy, nie bez komplikacji, miejsca zostały prawie zajęte, zdarzył się przykry incydent. Dwaj dziewiętoklasiści, Maksimow i Tarasow, wcisnęli się w tłum absolwentów, zamierzając nielegalnie uszczknąć kawałek uroczystości, która im się nie należała. Natychmiast ich wyprowadzono, a oni oddalili się obrażeni. Myślano, że opuścili budynek szkolny.

Rozpoczęła się część oficjalna. Wręczano świadectwa dojrzałości i wygłaszano przemówienia. Wręczanie rozpoczęto od medalistów, tego roku było ich czworo – trzy srebra, jedno złoto. Złoty medal zdobyła Natasza Mirozjan, wschodnia piękność i lizuska. Srebrne – Połujanowa, Gorszkowa i Sztejnfeld przezywany „Wdzięcznikiem”, które to przezwisko nadano mu jeszcze w młodszych klasach za osobliwe wyrażenie: zamiast ogólnie przyjętego „dziękuję” mówił „jestem wdzięczny”.

„Trianon” nie wspiął się na poziom medalowy. Wszyscy uczyli się przyzwoicie, ale nigdy nie byli prymusami.

Po części oficjalnej nastąpiła nieplanowana przerwa. Według programu miał się rozpocząć spektakl, ale z dziesięciu różnych powodów rzecz się nie kleiła, wykonawcy potrzebowali co najmniej czterdziestu minut, żeby pozbierać z kawałków sypiące się przedstawienie. Puszczono muzykę, lecz do tańców nie było jeszcze nastroju. W sąsiedniej klasie pośpiesznie przyszywano ostatnie kwiaty do wieńców, charakteryzowano się i douczano tekstów.

Wiktor Juliewicz przy oknie rozmawiał z jedną

z matek. Zauważył, że od drzwi macha do niego ręką Andriej Iwanowicz i daje znać, żeby podszedł.

Okazało się, że wyrzuceni z sali Maksimow i Tarasow wcale nie opuścili szkoły, ale przeciwnie, wleźli na strych i wypili tam butelkę wina. Gdy wychodzili ze strychu, przyłapano ich na gorącym uczynku i odstawiono do gabinetu dyrektora. Obaj byli pijani, co dało się stwierdzić na pierwszy rzut oka.

Wiktor Juliewicz wszedł, a dyrektorka zwróciła się do niego teatralnie:

– Proszę spojrzeć, oto nasi uczniowie!

Wyglądali tak żałośnie, że było oczywiste, iż potrzebują bardziej pociechy niż kary.

Wiktor Juliewicz wziął z biurka dyrektorki pustą butelkę, odwrócił ją i obejrzał etykietkę:

– Tak, to jest godne nagany. Okropne paskudztwo.

Dyrektorka prowadziła własną partię:

– A więc: zaraz przyjdą po was wasi rodzice i to będzie osobna rozmowa. Ale jeżeli nie powiecie, kto się tam jeszcze razem z wami łajdaczył na strychu, to zostaniecie wyrzuceni ze szkoły!

Nikogo z nimi nie było, ale Larisie Stiepanownie wydawało się, że tam było całe towarzystwo.

– Co tak patrzysz na mnie bezczelnie, Tarasow? Do ciebie też się to odnosi, Maksimow. Macie podać nazwiska współników. I nie myślcie, że ich osłonicie i że im to ujdzie płazem. I tak ich znajdziemy. Pogorszycie tylko swoją sytuację.

– Tak, nieładnie – odezwał się kwaśno Wiktor Juliewicz. – A gdzie to kupiliście?

– W spożywczym numer sto – chętnie odpowiedział Maksimow.

– No i co, u was w domu też się pija takie wino?

– Przecież matka w ogóle nie pije – skłamał Maksimow.

Mętne dochodzenie trwało, dopóki nie przyjechał służbowym samochodem ojciec Tarasowa, podpułkownik MSW. Larisa Stiepanowna przedstawiła mu sprawę. Ten słuchał coraz bardziej zły.

– Wyjaśnimy to – powiedział stanowczo i było jasne, że chłopcy dostaną za swoje.

– A twoja matka kiedy przyjdzie? – Larisa Stiepanowna wyraźnie też miała dość tego ciągnącego się bezowocnego śledztwa, zwłaszcza że jej miejsce było teraz na sali.

– Matka pojechała do ciotki, do Kaługi:

Na twarzy Larisy Stiepanowny odbił się wysilony proces myślowy.

– Wezmę go pod swoją opiekę, a po koncercie odprowadzę do domu, żeby nie kusić losu, bo jeszcze przypadkiem mogliby go wziąć na milicję. – Wiktor Juliewicz położył lewą dłoń na ramieniu Maksimowa.

– No to idźcie – machnęła ręką dyrektorka. – I bez matki, Maksimow, nie przychodź do szkoły.

Ta uwaga nie miała żadnego sensu, ponieważ lekcje już się zakończyły, a od następnego roku szkolnego dzieliły ich trzy miesiące wakacji.

Wiktor Juliewicz przyprowadził nieboraka Maksimowa na salę i wskazał mu krzesło:

– Niech pan siedzi cicho, Maksimow, i nie zwraca na siebie uwagi.

Maksimow z wdzięcznością kiwnął głową. Matka nie pojechała do żadnej Kaługi, przylazł do niej kochanek z Aleksandrowa i razem pili w domu.

Przygotowując spektakl, Micha usiłował zrymować całą swoją obszerną wiedzę w dziedzinie literatury. Przyszli aktorzy też podeszli twórczo do dzieła Michy, też chcieli to i owo dodać do arcydzieła i scenariusz urósł do dwustu stron.

Dwa tygodnie przed uroczystością, w samym środku egzaminów, gdy wszyscy wkuwali algebrę i chemię, Ilja wziął scenariusz Michy, pociął wszystko na drobne paski, jakoś przetasował i powstała fabuła, którą początkowo trudno było nawet wyczuć, a teraz okazała się śmiesznymi perypetiami grupy idiotów o prawdziwych imionach, co chwila popadających w tarapaty, z których się wyplątują wyłącznie dzięki ingerencji siły wyższej, reprezentowanej przez Wiktora Juliewicza w różnych postaciach, od Zeusa do posterunkowego.

W Wiktora Juliewicza wcielił się Sienia Swinin, najlepszy aktor w klasie. Wybierał się do szkoły teatralnej. Skombinowano mu dość udatną maskę z papier mâché, przedstawiającą nauczyciela, prawej ręki nie włożył do rękawa, rękaw zawinięto do połowy i spięto agrafką.

Wszystko to było okropnie głupie, ale też szalenie śmieszne. Posąg Zeusa przewracał się, rozbijał na kawałeczki, z tych odłamków, otrząsając się, wychodził Swinin-Szengeli, Aleksander Siergiejewicz Puszkina szukał jakiegoś zagubionego przedmiotu i w końcu okazywało się, że szuka zgrabnej nóżki, po czym pięćdziesiąt sztuk manekinowych nóżek z zadartymi czubkami przepływało po scenie, Czechowowska strzelba w postaci drewnianego karabinka dla przedszkolaków trafiała do rąk Turgieniewowskich myśliwych i strzela-

ła, a szmaciana mewa z ohydny wrzaskiem spadała na środek sceny...

A cała ta fantasmagoria obracała się oczywiście wokół drogiego Julicza.

Sanieczka Stiekłow w kędzierzawej peruce i aksamitnym szlafroku siedział przy pianinie i swoim akompaniamentem doprowadzał do doskonałości te miejsca, gdzie tekst był niedoskonały.

Potem chórem odśpiewali hymn, stworzony, ma się rozumieć, przez tegoż Michę, i popełnilibyśmy ciężki błąd, gdybyśmy go nie zacytowali:

Ma wiele ócz i wiele rąk,
Każdego z nas od strasznych mąk
Choć raz ocalił, się nie zląkł.
O nim więc śpiew i o nim tan
Dziś nuci cały szkolny klan.
Tak, profesorze, tak, to pan!
Pokazał pan najwyższą z klas:
Że krew pan w żyłach ma, nie kwas,
Zdobył pan serca szkolnych mas.
Więc kiedy przyjdzie taki czas,
Że będziesz potrzebował nas,
Ruszymy z panem, bór czy las,
Gdziekolwiek rzuci pana los,
Za panem choćby i na stos!*

Gdy śpiew się zakończył, na sali nie było ani jednego nauczyciela. Wszyscy oddalili się do pokoju nauczycielskiego i po cichu się oburzali: zostaliśmy ob-

* Przełożyła Ewa Rojewska-Olejarczuk.

rażeni! Z tego powodu nie zobaczyli końcowej scenki przedstawienia – uczniowie zbili się w kółko i zaczęli dyskutować, co by mogli na rozstanie podarować ulubionemu nauczycielowi. Wysłuchano różnych mniej lub bardziej komicznych propozycji. Postanowiono podarować upominek najlepszy z możliwych, ustalono, że prezent musi być cenny i niebanalny, to znaczy nie do jedzenia i nie do picia. A zarazem ma być użyteczny. I ma dawać satysfakcję! Wreszcie wyciągnęli na scenę ogromne, wielkości człowieka, pudło, zdjęli ściankę. Wyłoniła się gipsowa rzeźba – zgrabna dziewczyna w tunice. Dość naturalnie stała w przepisowej antycznej pozie, dopóki nie padła komenda:

– Naprzód!

Posąg ożył. Była to pomalowana na biało Katia Zujewa-Szengeli. Trzeba powiedzieć, że długo ją namawiano, żeby zagrała tę rolę.

Przeszła przez salę i wśród oklasków usiadła przy nogach Wiktora Juliewicza.

Z sali wynoszono zbędne krzesła, nakrywano stoły. Nauczyciele się nie pokazali. Wiktor Juliewicz udał się do pokoju nauczycielskiego, żeby spróbować „złamać” strajk zespołu pedagogicznego.

Czekano na niego. Larisa Stiepanowna wystąpiła do przodu:

– W imieniu grona pedagogicznego, Wiktorze Juliewiczu, zmuszeni jesteśmy zakomunikować panu... – zaczęła oficjalnie.

Ale Wiktor Juliewicz szybko się zorientował, co mu teraz powiedzą. I uczynił pierwszą rzecz, która mu przyszła do głowy. Wyjął z kieszeni marynarki etui, wyciągnął z niego staromodne okulary w drucianej

oprawie, nasunął je na swój przydługi, kształtny nos, podszedł do Larisy Stiepanowny, nachylił się do jej słynnej broszki w kształcie motyla, przyczepionej do białego kołnierzyka i powiedział z czułością:

– Oj, jakie чудо! Jaki milutki prosiaczek!

– Precz stąd! Jest pan zwolniony! – ochrypłym szep-tem powiedziała Larisa Stiepanowna.

Głosem spurpurowiałym ze złości, pomyślał literat.

Z sali dała się słyszeć muzyka.

– Po cóż te nerwy? Chodźmy, napijemy się lemoniady i potańczymy! Dzieci na nas czekają!

Uśmiechał się swoim czarującym uśmiechem, ale po cichu myślał: „Ależ ze mnie sukinkot! Niepotrzebnie tak ich poniżyłem. A Larisa Stiepanowna, nieboraczka, zrobiła podkówkę jak obrażona dziewczynka. Lada chwila zaszlocha... Jakie niedobre są te dzieci... ale co teraz zrobić – przecież nie będę prosić o wybaczenie!”.

Na biurku Larisy Stiepanowny leżało wymówienie. Zamierzała wręczyć mu je pod koniec wieczoru. Najwyższy czas. Drżącą ręką wymacała na biurku ten ważny papier:

– Jest pan zwolniony!

Zapukano do drzwi pokoju nauczycielskiego. „Mir-pisi” szukali swojego nauczyciela. Prawdę mówiąc, oni też coś przygotowali. Nie kiepskiego sikacza, ale dobre gruzińskie wino.

PRZYJAŹŃ MIĘDZY NARODAMI

Trwał rok pięćdziesiąty siódmy. Moskwa czekała z treścią na Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów, który niebawem miał się rozpocząć. Maturzyści szykowali się do egzaminów na studia. Przechodząc z kategorii zwykłej młodzieży do kategorii studentów, oprócz dobrodziejstw wykształcenia, otrzymywali oni zwolnienie od służby wojskowej. Wszyscy zakuwali od rana do nocy, Wiktor Juliewicz codziennie pracował z abiturientami. Do swoich prywatnych uczniów dołączył kilku „własnych”, bezpłatnych.

„Trianonowi” nie groziło wojsko. Ilja miał wyjątkowe płaskostopie, Micha był krótkowidzem, Sania ze swymi przykurczonymi palcami też nie nadawał się na strzelca. Słowem wszyscy oni mieli niewielkie usterki zwalniające od służby wojskowej. Ilja uczył się leniwie, Sania, który za radą babci złożył dokumenty do szkoły języków obcych, nie uczył się wcale, wylegiwał się na tapczanie, słuchał muzyki i czytał książki, nawet obcojęzyczne. Najgorzej miał Micha: Żydów na wydział filologii nie przyjmowano, a on postanowił ostatecznie i nieodwołalnie – tylko tam. Poza tym był też jedynym, który poważnie myślał o stypendium. Krewni obiecali pomoc tylko do ukończenia szkoły.

W skrajnym przypadku mógł oczywiście pójść na studia wieczorowe, ale bardzo chciał zostać prawdziwym studentem.

– W ogóle nie rozumiem tych waszych humanistycznych ciągot. Czytanie książek, rozumienie tego, co w nich napisano, czerpanie z nich satysfakcji – dobrze, ale dlaczego ta przyjemność ma się stać zawodem? – Ilja wzgardził filologią i podjął decyzję: do Leningradzkiego Instytutu Inżynierii Filmowej, LIIF.

Okazało się, że w Leningradzie ma wujka, który go odszukał wkrótce po śmierci ojca. Wujek zaprosił go, żeby u niego pomieszkał do czasu przyjęcia na studia. Więc natychmiast po otrzymaniu świadectwa dojrzałości Ilja wyjechał do Leningradu. Niezbyt uczciwą drogą zgromadził ogromną kwotę pieniędzy – półtora tysiąca rubli – trzy matczyne pensje. Oprócz zdawania egzaminów na uczelnię zamierzał też się zabawić.

W tamtym roku w związku z Festiwałem Moskiewskim egzaminy wstępne na uczelnie zostały przesunięte na różne terminy, żeby abiturienti nie gromadzili się w stolicy i nie zakłócali uroczystości.

Instytut Inżynierii Filmowej bardzo się Ilji spodobał. Wujek Jefim Siemionowicz powiedział, że przed wojną pracował tam ojciec Ilji i do dziś jest kilka osób, które go pamiętają. Zaczął telefonować w różne miejsca, ale niestety tych, którzy pamiętali Isaja Siemionowicza, tam nie było, a ci, co byli, nie pamiętali.

Ilja uciekł z Leningradu w dniu, kiedy się dowiedział, że początek egzaminów zbiega się akurat z rozpoczęciem festiwalu. Tego wielkiego wydarzenia nie mógł opuścić. Zabrał aparat i wrócił do Moskwy, ścisnąc w ręce dowód osobisty, który okazywał – od chwili zakupu biletu powrotnego w kasie Dworca Moskiew-

skiego aż do własnego domu – pięć razy: milicjantom, kontrolerom, ormowcom i tym, którzy po prostu chcieli obejrzeć ten dokument. Do Moskwy wpuszczano tylko moskwian.

Ilja zajrzał do Michy. Okazało się, że Micha jednak został studentem. Co prawda dostał się na filologię nie na uniwersytecie, lecz w skromnym instytucie pedagogicznym, gdzie – znany to dowcip – statystycznie na osiem dziewcząt przypadało dwóch chłopaków, jeden zezowaty, a drugi kulawy. Ambitni młodzieńcy bez defektów nie kwapili się na te studia.

Micha dostał się łatwo. Jego właściwa płeć i dobre przygotowanie przeważyły nad niedobłą narodowością. Ale tryumf został zatruty: w dniu kiedy znalazł siebie na liście przyjętych, umarła na zapalenie płuc biedna Minna, której ani razu nie odwiedził w szpitalu. Po trzy razy do roku zapadała na zapalenie płuc i skąd można było przypuszczać, że tym razem choroba jest ostateczna.

Teraz pozostał sam na sam ze straszliwą tajemnicą i z wrazeniem, że to zawstydzające brzemie pozostanie na nim do końca życia. Niedorozwinięta Minna była w nim zakochana i stopniowo wciągnął się w dziwne kontakty seksualne, trudno je nazwać inaczej, chociaż tego, co było między nimi, nie da się nazwać seksem w pełnym znaczeniu tego słowa. Minna czatowała na niego w ślepych zakątku korytarza przy klozecie, zapędzała do kąta i przywierała do niego ciepłymi i miękkimi częściami ciała; po chwili z łatwością się wyrywał, czerwony, drżący i w pełni zaspokojony. Za każdym razem po tych wstrętnych uściskach miał ochotę się zabić, przysięgał sobie, że następnym razem odepchnie ją i ucieknie, ale wciąż nie potrafił tego zrobić. Była tkliwa,

łagodna, miejscami podniecająco owłosiona i całkowita niemowa, która to cecha wykluczała rozgłos.

Po prostu umierał z poczucia winy i obrzydzenia, na peryferiach jego świadomości stale były obecne myśli samobójcze. O podświadomości wówczas się jeszcze nawet nie zająkivano.

W tym stanie zastał go Ilja. O nic nie wypytywał, ale wyciągnął go na miasto – żeby się rozerwał!

Moskwa była niezwykle czysta i stosunkowo pusta. Nazajutrz rozpoczynał się festiwal. Po pustym mieście w różnych kierunkach jeździły kolumny samochodów osobowych, ciężarówek z otwartymi bokami, z zamkniętymi bokami, staromodnych autobusów – ZIS-ów i PAZ-ów oraz węgierskich ikarusów.

Wszędzie były flagi i ogromne kwiaty z papieru, a dziewczyny tego lata nosiły szerokie pstrokaty spódnice rozpięte na rozłożystych halkach jak na parasolkach, w talii ścisnęły się szerokimi paskami, a włosy miały utapirowane na czubku głowy.

Minąwszy dwie lekkie zapory, chłopcy weszli na skwerek przed Teatrem Wielkim. Tu było dość dużo ludzi. Ilja pokazał Misze dwie onieśmiałe i niezbyt ładne dziewczyny: poderwiemy?

– Daj spokój – obraził się Micha i odwrócił się, chcąc odejść.

– Przepraszam, przepraszam, Micha, jestem niedelikatny. Chcesz, to pójdziemy się napić, co? Chodźmy! Do „Nacjonalu”!

Jakoś ich wpuszczono do kawiarni hotelu „Nacjonal”. Możliwe że portier poszedł się wysiusiać i zapomniał zaryglować wejście, a może zaufał surowej wywieszce: „Tylko dla gości specjalnych”.

– Pijemy koniak – zdecydował powiedział Ilja i natychmiast zamówił u stropionego kelnera trzysta gramów.

Wypili trzysta gramów koniaku z dwoma ciastkami, po czym powtórzyli zamówienie. I właśnie między pierwszą a następną kolejką, gdy Misze wyraźnie ulżyło, podszedł do nich młody chłopak z kamerą Hasselblad na pasku, z wyglądu Rosjanin, i zapytał, czy może się przysiąść.

– Oczywiście – rzekł Micha i podsunął chłopcu krzesło.

Od razu się rozgadali. Chłopak miał na imię Pietia, ale okazało się, że nie jest to zwyczajny Pietia, tylko belgijski Pierre Zand, z pochodzenia Rosjanin, student Uniwersytetu Brukselskiego. Drugie trzysta gramów wypili już we trójkę i poszli na spacer po mieście. Za radą Ilji Pierre zostawił aparat w hotelu.

Spacerowali po śródmieściu Moskwy, lepszego turysty niż Pierre nie można sobie było wyobrazić. Rozpoznawał miejsca, w których nigdy nie był, ożywały wspomnienia rodziców i babci oraz wspaniała znajomość rosyjskiej literatury.

A wczorajsi „mirpisi” okazali się najlepszymi przewodnikami dla stęsknionego za Rosją Pietii.

W zaułku Triechprudnym, przy małym drewnianym domku, Ilja zatrzymał się i powiedział:

– Na tym domu nie ma tablicy pamiątkowej, ale wiemy, że tu mieszkała Marina Cwietajewa.

Pierre, który coraz bardziej się rozrzewniał, pod domkiem Cwietajewej o mało się nie rozplakał:

– Moja mama dobrze znała Marinę Iwanownę w Paryżu. U was jej nawet nie drukują...

– Nie drukują, a my jednak dobrze ją znamy – powiedział Micha.

Jedni są z gładzi, drudzy z gliny,
A ja błyskam i srebrzę się cała.
Moja rzecz – zdrada, imię – Marina,
Ja – morską pianą niestała*.

Co prawda bardziej lubię Annę Achmatową. A Ilja wręcz uwielbia futurystów.

Nieważne, kto kogo woli, ważne, że oto stoi przed nimi żywy człowiek, prawie w ich wieku, którego matka znała Marię Cwietajewą. Pierre reprezentował ogromny, od dawna już nieistniejący kraj, który wyjechał na emigrację. Podczas spaceru Pietia opowiadał o swojej rodzinie, o tej dawnej Rosji, która jego rozmówcom wydawała się takim samym widmem jak Bruksela czy Paryż. Ale jakże wściekle Pietia nienawidził bolszewików!

Micha i Ilja, którzy często rozprawiali o ułomnościach socjalizmu, po raz pierwszy spotkali kogoś, kto nie mówił wcale o wadach reżimu komunistycznego. Pietia określał go jako zupełnie szatański, ponury i krwawy, i nie dostrzegał żadnej istotnej różnicy między komunizmem a faszyzmem. W jakiś niewiadomy sposób Pietia łączył w sobie miłość do Rosji i nienawiść do jej ustroju.

Przez dwa tygodnie praktycznie się nie rozstawali. Dzięki Pierre'owi, wciśnięci do belgijskiego autokaru, dostali się na otwarcie festiwalu na Łuźnikach, gdzie trzy i pół tysiąca sportowców to rozkwitało w jeden wielki kwiat, to tworzyło figurę geometryczną. Ich

* Marina Cwietajewa, *Jedni są z gładzi...*, przełożyła Joanna Salamón.

ręce, nogi i głowy zgodnie wznosiły się i opadały. Było to niezwykle, porywające widowisko.

– To samo było na hitlerowskich paradach – szepnął Pierre. – Filmy Leni Riefenstahl obiegały kiedyś cały świat. Wielka siła masowej hipnozy. Ale rzeczywiście to jest potężne! I fajne! – wzdychał i pstrykał aparatem. Ilja nie pozostawał w tyle.

Potem był koncert jazzowy i masowe pływanie z pochodniami. Jakies popisy w wodzie, nie licząc niekończących się pieśni i tańców zespołów Armii Czerwonej, floty, przemysłu, handlu, związków zawodowych kucharzy i fryzjerów.

Pierre'a zupełnie nie interesowali ani Egipcjanie skandujący „Naser! Naser!”, ani czarnoskórzy obywatele niezawisłej Ghany, ani Izraelczycy, też mający wielkie powodzenie, zwłaszcza u ludzi sowieckich, naznaczonych piątym punktem ankiety*. Pierre'a interesowała tylko Rosja.

W trzecim dniu festiwalu przyłączył się do nich zmartwychwstały po kolejnej anginie Sania i całe dwa tygodnie spędzili na radosnej bieganiu, tak że Micha prawie zupełnie zapomniał o Minnie.

Ilja ani razu nie wspomniał o niedoszłych egzaminach na studia, a Sania na pewien czas odłożył swoje zmartwienia dotyczące kariery muzycznej, która mu się zawałiła. Wszyscy zakochali się w Pietii, Pierczyku, i żaden z nich nawet nie przeczuwał, jak zagraniczny przyjaciel wpłynie na ich losy.

Jak się okazało, Pierre został wysłany na festiwal jako przedstawiciel gazety młodzieżowej z zadaniem zrobienia cyklu zdjęć o życiu Moskwy. Zrobił wspa-

* Chodzi o punkt: narodowość (przyp. tłum.).

niałe fotografie miasta, w znacznym stopniu dzięki nowym przyjaciółom. Sfotografował sklep z pieczywem w czasie dostawy świeżego chleba, port rzeczny z dźwigami i robotnikami portowymi, żłobek, podwórka ze sznurami na bieliznę i szopami, dziewczyny czytające w metrze, stojące w kolejkach staruszki, facetów pijących i całujących się – i całe morze radości.

Wybiegając naprzód, powiedzmy, że redaktor gazety odrzucił zdjęcia. Doszukał się w nich fałszu i komunistycznej propagandy. Pierre, któremu bynajmniej nie można było zarzucić sympatii do reżimu komunistycznego, oskarżył redaktora o uprzedzenia i się pokłócili.

W przeddzień wyjazdu całe towarzystwo poszło do parku kultury na piwo. Była tam uroczą czeska piwiarnia, udająca restaurację. Kolejka rozpełzała się wokół jak piana wokół kufla, ale oni grzecznie stanęli w ogonku – nigdzie im się nie spieszyło. Miał do nich dołączyć jakiś daleki krewny Pietii, cioteczny czy cioteczno-wujeczny brat matki, który pracował w Moskwie w ambasadzie francuskiej. Nie było nudno stać, wciąż działo się coś ciekawego. Najpierw przeszła obok nich grupa ludzi na szczudłach, potem przemaszerowali szkoccy dudziarze, Meksykanie z kastanietami i ukraińscy przebierańcy.

Sania z Michą trzymali kolejkę, a Ilia z Pierre'em wciąż odbiegali, żeby zrobić ciekawe ujęcie. I złapali zachwycającą bijatykę krzepkiego męskiego Murzyna ze Szkotem w kilcie nieznanego biało-zielonego klanu. Walczących otaczał tłum gapiów. Dodawał im otuchy:

- Walnij czarnucha!
- Dołoż pedałowi!

Słowem, ludzie bawili się w pradawny sposób, dokładnie tak jak na walkach gladiatorów. Walka odby-

wała się przy dźwiękach zagłuszającego to wszystko Sołowiowa-Siedoja – cała Moskwa śpiewała *Podmoskiewskie wieczory*. Murzyn zadał potężny cios i Szkot się przewrócił.

Płyte zmieniono: „Nie zna granic ni kordonów pieśni zew, pieśni zew, więc śpiewajmy, nie zamilknie wolny śpiew...”*.

Szkot się poruszył. „Nie zamilknie, nie zamilknie...” – niosło się z głośnika.

Po dwóch godzinach, kiedy chłopcy już wchodzili do baru, odszukał ich wuj Pierre’a, Francuz imieniem Nikołaj Iwanowicz, o rosyjskim nazwisku Orłow. Była niemłody, różowy i grubiutki, przypominał różowego prosiaczka Nif-Nifa, mówił z petersburskim akcentem, którego już od dawna nie używano. Ubrany był śmiesznie – w słomkowy kapelusz i w ukraińską koszulę z haftowaną stójką – dokładnie jak Chruszczow. Zupełnie nie wyglądał na cudzoziemca. Z wyglądu – księgowy z prowincji z wytartą teczuszką.

Pietia na jego widok zaczął się pokładać ze śmiechu:
– Co to za maskarada!

Pietia poznał ich ze sobą w określonym zamiarze: przez niego mieli utrzymywać kontakt.

Poczcie nie ufali. Wymienili telefony. Dzwonić należało oczywiście tylko z ulicznych automatów, a spotykać się mieli w tym samym miejscu, przy czeskiej knajpce, żeby przez telefon nie omawiać miejsca spotkania.

Został nawiązany przestępczy kontakt z cudzoziemcem.

* Hymn światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, muzyka A. Nowikow, tekst L. Oszanin, tłum. K. Gruszczyński (przyp. red.).

Słynne czeskie piwo było jasne, w zapoconych kufiach, co świadczyło o jego właściwej temperaturze. Co prawda stało ono na sąsiednich stołach, a gdy przyjaciół wreszcie wpuszczono na salę, akurat się skończyło. Kanapki też się skończyły, kelnerzy podawali piwo Żygułowskie i słone obwarzanki – niebywałą wprost zakąskę. Przy sąsiednim stole goście skubali niby szarpie przemycaną rybę woblę, a do piwa dolewali wódkę – pod stołem.

Chcieli to sfotografować, ale, po pierwsze, się bali, a po drugie – było dość ciemno.

W tajemniczy sposób znów pojawiło się czeskie piwo, trzeba było wypić jeszcze po dwa kufle. Wyszli opici, weseli. Pierre na pożegnanie podarował Ilji swojego Hasselbladta. To znaczy Pierre najpierw zaproponował wymianę, ale Ilja nie potrafił pozbyć się „Fiedi”:

– Prezent od ojca, to nie jest rzecz, ale część życia.

A wtedy Pierre zdjął z szyi matowy prążkowany pasek i powiedział:

– Rozumiem. Weź.

Wujek Orłow podarował im swoją teczuszkę księgowego. Była ciężka, pełna książek. Przed wejściem do metra rozeszli się w trzy różne strony: Ilja z Pierre’em postanowili iść pieszo do śródmieścia, Orłow też poszedł pieszo, ale w drugą stronę – mieszkał na placu Oktiabrskim.

Teczkę Orłowa, wyładowaną książkami, niósł Micha. Wraz z Sanią zeszli do metra. Święto jeszcze trwało, chociaż oficjalne zamknięcie już się odbyło.

Tłumy wesołych i pijanych ludzi, trochę zmęczonych dwutygodniowym świętowaniem, kończyły ostatni wieczór zabawy.

Cudzoziemców, którzy ozdobili na jakiś czas moskiewski pejzaż, było bardzo mało. Zapewne poszli pakować walizki, spać, kończyć ostatnie wymiany handlowe, sprzedawać resztki dewiz i całować się na pożegnanie z moskiewskimi dziewczynami, które po raz pierwszy poznały słodczych romansu z Austriakiem, Szwedem i obywatelem niepodległej Ghany.

Przyjaźń narodów tryumfowała. Cudzoziemcy, wbrew wieloletniej propagandzie, okazali się miłymi chłopcami i dziewczętami – nie było żadnych kapitalistów, sami komuniści i sympatycy. W rodzaju gołębiego Picassa i postępowego Federico Felliniego.

Sania z Michą siedzieli po północy na podwórzu domu na Czernyszewskiego, na ławeczce, rozmawiali o poprawie obyczajów w Rosji, chwalili Chruszczowa, który uniósł żelazną kurtynę. Potem przeszli do spraw bardziej osobistych. Micha opowiedział Sani to, co niezbyt wyraźnie opowiedział kpiarzowi Ilji – o biednej Minnie, o ich nieczystych stosunkach, o dręczącym niesmaku, którego teraz zapewne nie wyzbędzie się przez całe życie.

Sania w milczeniu kiwał głową: zawsze sobie wyobrażał tę tajemnicę między kobietami a mężczyznami jako nieczystą i odpychająco-przyciągającą. Do samego sedna nie można było sięgnąć – brak było słów.

Pobiadolili, ponarzekali i rozstali się.

Z ulicy jeszcze dobiegał śpiew: „Śpi wiśniowy sad, zasnął nawet wiatr w okwieconych gałęziach drzew, w dal odplynął dzień, już rozścielił cień...”*

Brązową teczkę z książkami Micha zostawił pod ławką. Zapomniał. Sania też nie pamiętał.

* *Podmoskiewski zmierzch*, tekst M. Matusowski, tłum. M. Łebkowski (przyp. red.).

Dozorca, Fiodor, opiewany przez Julija Kima, gdy wytrzeźwiał, pospiesznie poszedł zamiatać posesję. Znalazł teczuszkę – niczego ciekawego w niej nie było. Jakieś książki. Oddał je przy okazji dzielnicowemu.

Grubasa Orłowa rodzice jego byłej żony uważali za całkowitego nicponia, toteż byli oburzeni jego nominacją na placówkę dyplomatyczną w Rosji. Był pierwszym, który po osiemnastym roku przekroczył granice ojczyzny w odwrotnym kierunku.

W teczuszcze spoczywał bogaty prezent – sześć numerów „Biuletynu Rosyjskiego Związku Chrześcijańskiej Demokracji” oraz świeżo przetłumaczona na rosyjski książka Orwella *1984* wydawnictwa „Posiew”. W tym, że chłopcy przeczytali tę książkę z pięcioletnim opóźnieniem, z kserokopii, było jeszcze pół biedy. Prawdziwa bieda była w tym, że w bocznej kieszeni teczki leżał list od Maszy, żony, która go opuściła. Został przysłany pocztą dyplomatyczną, nazwisko Orłowa figurowało na kopercie, więc łatwo było go odszukać.

Festiwal się skończył. Dziewczyny, które zaszły w ciążę z czarnoskórymi studentami, nie zdążyły jeszcze jej odkryć, a Orłow już zaczął mieć przykrości. Na szczęście nie wsadzili go, ale z kraju natychmiast wysiedlili. Kariera dyplomatyczna się skończyła. Jego była żona i jej rodzice utwierdzili się w przekonaniu, że Nikołaj Iwanowicz jest skończonym łajzą i do niczego się nie nadaje.

Natomiast chłopcy nie ucierpieli wcale.

ZIELONY NAMIOT

Oleńka, żółto-różowa cebulka, jędrna, o jedwabistej skórcie, świeżutka i gładziutka, podobała się i mężczyznom, i kobietom, i kotom, i psom. Niepojęte było, jak taka zdrowa i wesoła dziewczyna, z dołeczkami na uśmiechniętej buzi, mogła zostać splodzona przez ponurych, niemłodych rodziców, partyjnych karierowiczów, mających spore tajne zasługi i jawne odznaki łask władzy – orderzy, służbowe samochody, dacje na osiedlu generalskim i dostawy luksusowych artykułów spożywczych w brązowych torbach oraz tekturowych pudłach, dostarczanych wprost do domu ze specjalnego zamkniętego sklepu.

Jeszcze bardziej zadziwiające i niezrozumiałe było to, jak ufnie przyswoiła sobie dobre rzeczy, o których mówili, i zupełnie nie zauważała zła, które czynili. Wyrosła na uczciwą i zasadniczą dziewczynę, interes społeczny zawsze stawiała na pierwszym miejscu, osobisty – na drugim. Przyswoiła sobie też nienawiść do bogaczy (a gdzież oni właściwie są?) i szacunek dla człowieka pracy, na przykład dla Fainy Iwanowny, służącej, i do kierowcy czarnej ojcowskiej wołgi Nikołaja Ignatiewicza oraz dla kierowcy popielatej, matczynej wołgi, Jewgienja Borysowicza.

Jak to miło i przyjemnie być dobrą radziecką dziewczynką! Pionierski ośrodek Artek z granatowymi nocami i czerwonymi chustami doskonale harmonizował z przydziałami luksusowej żywności, a służbowe auta rodziców, które w soboty woziły ją na daczę – z równością i braterstwem. Wobec nikogo i w niczym nie ponosiła winy i radośnie tudzież beztrosko kochała Lenina – Stalina – Chruszczowa – Breżniewa, Ojczyznę i partię. Była niezachwiana moralnie, jak napisano w jej opinii, gdy w siódmej klasie wstępowała do komsomołu, i w najwyższym stopniu wyrobiona politycznie.

Ojciec Oli Afanasij Michajłowicz służył w jednostce budowlanej, matka była redaktorem czasopisma o charakterze niezupełnie literackim, raczej wychowawczym.

Antonina Naumowna (pochodziła z prawosławnych, nadających dzieciom imiona świętych, a wcale nie z Żydów) ukończyła Instytut Filozofii, Literatury i Historii, więc praktycznie była pisarką. Decyzją rodziców Ola też została umieszczona na studiach filologicznych, na uniwersytecie.

Pierwszy rok akademicki nie zapowiadał niczego złego: dziewczę z wielkim zapętem zabrało się do pracy społecznej, zostało wybrane do komitetu komsomołu, uczyło się świetnie i gorliwie, sprawiło sobie narzeczonego – dzielnego zucha. Z rodziny wojskowych, rozgarnięty chłopiec i nie filolog, lecz student Moskiewskiej Akademii Lotniczej. Ostatniego roku. Antoninie Naumownie Wowa bardzo się podobał – barczysty, słusznego wzrostu, włosy jasną falą spadające na czoło. Nosił się schludnie, chodził w ręcznie robionym swetrze z reniferami, a zimą nosił lotniczą skórzaną kurtkę, wymarzony ciuch lat trzydziestych, czym szczególnie imponował Antoninie Naumownie.

Ślub odbył się, gdy Ola ukończyła pierwszy rok studiów, na początku czerwca – bo maj to nie jest szczęśliwy miesiąc, jak twierdziła Faina Iwanowna, dochodząca pomoc domowa, skarbnica mądrości ludowych.

Wowa wprowadził się do generalskiego mieszkania, do pokoju Oli. W domu było wystarczająco dużo miejsca dla jeszcze jednej osoby, tylko łóżko kupili nowe, szersze. Kupował je, o dziwo, sam generał. Ola stanowczo odmówiła pójścia po tak dwuznaczny sprawunek, a Antonina Naumowna była strasznie zajęta z powodu kolejnego zjazdu sowieckich nauczycieli czy też lekarzy. Afanasij Michajłowicz przypomniał sobie, że na bulwarze Smoleńskim widział sklep meblowy, i powiedział żonie, że sam kupi łóżko. I pojechał tam po pracy. Okazało się, że jest to sklep z antykami. Generał długo chodził między meblami różnych czasów i narodów, i wspominał swego dziadka – stolarza meblowego. Przez pięćdziesiąt lat nawet o nim nie pomyślał i nagle, pośród chwiejnych bambusowych etażerek, monumentalnych biurków ze skrytkami i empirowego biało-złotego zagajnika krzesel oraz foteli, zmartwychwstał chudy, niziutki staruszek o ogromnych brązowo-czarnych dłoniach i bystrych oczach, podbitych delikatnymi wodnistymi workami... Napłynął też zapach warsztatu dziadka – terpentyna, spirytus, lakier – gęsty, niemal jadalny, i jak dziadek uczył go, chłopaczka, polerować, cyklinować, gładzić.

Afanasij Michajłowicz chodził i chodził, i zapomniał, po co przyszedł. Potem sobie przypomniał i kupił dwuosobowe czeczotowe łóżko, dzieło pańszczyźnianego stolarza z fantazją. Wcale nie pomyślał o dwojgu młodych komsomolcach, amatorach namiotów i noclegów pod gołym niebem, którzy między kolumnami w za-

wijasy, otoczeni czterema cherubinami, mieli się teraz trudzić dla przyszłości.

Łóżko rzeczywiście zrobiło duże wrażenie. Ale jego absurdalność i pompatyczność nie wpłynęła hamująco na czynności małżeńskie – wnuk Konstancy zjawił się na świecie dokładnie po upływie dziewięciu księżycowych miesięcy od dnia ślubu.

A generał od tego czasu zaczął chodzić do antykwarriatu i, ku zdumieniu Antoniny Naumowny, wymieniać solidne stalinowskie meble na wymyślne dawne sprzęty, i w dodatku sam je naprawiał.

Afanasij Michajłowicz był starszy od żony o dziesięć lat, ta od dawna wyczuwała w nim zbliżanie się starości i teraz traktowała tę nową jego pasję jako starcze dziwactwo, zresztą nieszkodliwe. Na daczcy urządził sobie warsztat i dłużył tam z przyjemnością, coraz bardziej tracąc wojskową żwawość i polityczną dalekowzroczność, którą żona tak bardzo w nim ceniła.

Antonina Naumowna nie była zachwycona tak wczesnym pojawieniem się dziecka – Oleńka nie miała jeszcze nawet dziewiętnastu lat, kiedy przywieźli z porodówki zawiniątko w niebieskim kocyku. Zawiniątko okazało się wzorcowe, kropka w kropkę jak jego rodzice: jadło, spało i robiło kupkę dokładnie o czasie, uśmiechało się do wszystkich i pozwalało Oli na zajmowanie się nauką, nie musiała więc brać urlopu dziekańskiego do czasu, aż dziecko zacznie chodzić.

Faina Iwanowna, która od lat powojennych pracowała w tej rodzinie i niańczyła Olę od niemowlęcia, postanowiła, że gdy dziecko się urodzi, odejdzie do innej rodziny, dwuosobowej, gdzie pracy było mniej i od dawna ją tam wabiono, jednak Kostia tak zniewolił jej stare serce, że piastowała go do swojej śmierci.

Pod koniec studiów, które przebiegały całkiem pomyślnie, wydarzyło się coś, co naruszyło rodzinny spokój. Ola, dziewczyna nieskazitelna, uległa na uniwersytecie zgubnym wpływom i gdy jednego z wykładowców uniwersyteckich, ukrytego antysowieczonego i wroga, oczywiście ludu, posadzono za opublikowany za granicą paszkwil, wraz z niektórymi kolegami z roku, zbałamuconymi głupcami, podpisała list w jego obronie. I razem z innymi sygnatariuszami wyrzucono ją z uczelni. Antonina Naumowna gorzko pożałowała, że oddała córkę na uniwersytet, ale było już za późno. Mężny ojciec Oli, gdyby wiedział, że taki obrót przybiorą te zaszczytne studia, niewątpliwie by sobie przypomniał: „Kto pomnaża wiedzę, ten pomnaża smutek”. Ale nie znał Eklezjasty, toteż gdy studia uniwersyteckie tak zgubnie podziały na los córki, z goryczą wytknął swojej żonie Toni:

– Że też musiałaś ją pchać na uniwersytet. Mówiłem przecież, że trzeba żyć prościej, bliżej ludu. Zrobiono dziewczynie wodę z mózgu... Gdybyś ją posłała na inżyniera, nie zaraziłaby się całą tą zgnilizną... Nie upilnowaliśmy dziewczyny.

Co do tego Afanasij Michajłowicz może i miał rację. Na uniwersytecie od dawien dawna trwał ferment, a to generał ganił nie z partyjnego obowiązku, ale ze szczerzego serca.

– Wymądrzają się – złościł się za każdym razem, gdy stykał się z czymś, czego nie rozumiał. Coraz częściej nie rozumiał swojej córki: nawet o najprostszych sprawach nauczyła się mówić przemądrzale, jakby specjalnie, żeby rodzonemu ojcu zamącić w głowie. Zięc, trzeba mu oddać sprawiedliwość, poglądów Oli nie podzielał. Od czasu do czasu się kłócili – o kwestie po-

lityczne, bo innych problemów nie mieli: zapewniono im wszystko: nianię, dację, przydziały żywnościowe... Doszło do tego, że wkrótce po usunięciu Oli z uniwersytetu Wowa trzasnął drzwiami i przeniósł się do swoich rodziców.

Gdyby Ola posłuchała rodziców, ukorzyła się na zebraniu, popłakała i napisała podanie, jakiego od niej żądano, nie doszłoby do wyrzucenia. Ale, jak już powiedziano, była uczciwa i zasadnicza – rodzice zaszczepili jej to już w dzieciństwie – toteż kategorycznie odmówiła wyrażenia skruchy, uznania swoich błędów i oczernienia podłego wykładowcy, który był promotorem jej pracy dyplomowej.

Wykładowcę aresztowano na początku września, Olgę wezwano na pierwsze przesłuchanie pod koniec miesiąca i uczciwa dziewczyna mówiła prawdę i tylko prawdę. A jakżeby inaczej? Jej prawda zaś polegała na tym, że wykładowca jest wybitnym uczonym, że ma nastawienie krytyczne do wielu zjawisk sowieckiego życia i jego krytyka jest słuszna, a ona, uczennica, całkowicie podziela jego poglądy na literaturę i życie. Jej zeznania niezbyt zaszkodziły aresztowanemu, ale za błędy córki odpowiedzieli rodzice. Afanasija Michajłowicza wezwano do tajnego gabinetu na ostrą rozmowę, tupnięto na niego nogą i wkrótce podał się do dymisji i zamieszkał na dacy. W głębi duszy nawet się cieszył z tej zmiany: dobrze było za miastem – ćwiczył się w dziedzicznym rzemiośle i choć żywił do córki cichą urazę, nie psuł sobie ani nastroju, ani ciśnienia krwi rozpamiętywaniem rodzinnych kłopotów. Miał też poza tym i inną odskocznię.

Antonina Naumowna wykonała atak uprzedzający: jeszcze zanim szefowie postanowili zmyć jej głowę za

złe wychowanie córki, zdążyła opublikować w swoim piśmie gniewny materiał potępiający książkę byłego wykładowcy i zgodziła się wystąpić jako oskarżyciel społeczny na procesie politycznym tego łajdaka. Stosunki z córką od tej pory zostały całkowicie zerwane.

Ola mieszkała w domu jak osoba obca. Niczego o sobie nie mówiła, przychodziła, wychodziła, spacerowała z Kostią, to znów nagle znikwała na parę dni. W lutym rozpoczął się proces sądowy wykładowcy i jego przyjaciela, również zuchwałego pisarza, który przekazał rękopisy na Zachód. Ola biegła pod budynek Sądu Krasnopriesnieńskiego i stała w tłumie młodych mężczyzn i kobiet o inteligenckich, zuchwałych twarzach. Wszyscy jakby się między sobą znali, od czasu do czasu któryś z mężczyzn wyciągał z teczki butelkę albo z kieszeni piersiówkę i puszczano ją w koło. W takich chwilach Ola czuła się samotna i nieszczęśliwa: jej nie częstowano. Pewnego razu, gdy weszła do pierogarni obok sądu, bardziej żeby się ogrzać, niż zjeść, znalazła się przy jednym stole z tymi ludźmi, a oni uznali ją za swoją, gdy tylko powiedziała, że robiła magisterium pod kierunkiem oskarżonego i z tego powodu wydano ją z uniwersytetu.

Wysoki mężczyzna, którego już wcześniej zauważyła w tłumie, bo mimo tęgiego mrozu był bez czapki, z ośnieżoną czupryną i od czasu do czasu wyjmował aparat fotograficzny albo podawał komuś papiery, a pewnego razu na oczach wszystkich wepchnięto go do autobusu i wywieziono, no więc właśnie ten wesoły człowiek podał jej przemyconą wódkę wprost pod tabliczką, że przynoszenie i picie alkoholu jest surowo wzbronione, i Olga wypła prawie pół szklanki.

I tu nastąpiło szczęście: pachniało rozgotowanymi

pierogami i mokrymi kozuchami, trochę chlorkiem i trochę przetrawionym alkoholem, pachniało niebezpieczeństwem i zuchwałością, i Olga poczuła, że przyjęto ją do partii sympatyzujących z oskarżonymi. Uczucie to było podobne do dziecięcej zbiorowej radości na zbiórkach pionierskich, przy roziskrzonych ogniskach pod niebieskimi elektrycznymi niebiosami; przy komsomolskich wyjazdach na wykopki ziemniaków i śpiewach w pociągu. Tylko że było oczywiste, iż wszystko to z dzieciństwa było namiastką czy zapowiedzią prawdziwego zjednoczenia mądrych, znaczących i odważnych ludzi, którzy robili wrażenie bardzo zużytych, klepali się nawzajem po ramieniu, czasem wybuchali śmiechem, ale najczęściej o czymś tajemniczo szeptali. Najbardziej pociągający przy stoliku był ten wysoki i kędzierzawy. Miał na imię Ilja. To on właśnie rozlewał wódkę.

Stało się więc tak, że rodzina Oli nadał tkwiła w minionym życiu, a Ola znalazła się w zupełnie nowym. Proces sądowy zakończono, antysowieccy dostali zasłużone wyroki i wyjechali odbywać karę, a krąg osób z dziedzińca Sądu Krasnopriesnieńskiego zwał szeregi.

Wyraz „dysydenci” jeszcze nie wszedł do języka rosyjskiego, termin „ludzie lat sześćdziesiątych” kojarzył się tylko z wyznawcami Czernyszewskiego, ale w mądrych głowach leży się myśli ciche jak robactwo i groźne jak bakterie. Ilja wykladał je Oldze w przystępnej formie, w przerwach między uściskami w pokoju na ulicy Archipowa, gdzie przed ślubem mieszkał ze swoją matką, a i po ślubie nie całkiem się wyprowadził. Woził tam Oleńkę od przypadku do przypadku, wyłącznie w godzinach porannych, ponieważ matka,

pielegniarka przedszkolna, pracowała od ósmej do trzeciej.

Ilja dobrze znał zesłanego do łagru wykładowcę, znał prawie wszystkich, którzy tłoczyli się wtedy na dziedzińcu, a oprócz tego wiedział wszystko, zwłaszcza to, co napisano drobnym drukiem w przypisach. Można by pomyśleć, że im drobniejszego druku użyto w tekście, tym bardziej to Ilję interesowało. Szczególnie wiele wiedział o tym, o czym uniwersyteckie książki w ogóle nie mówiły. Wiedzę czerpał z bibliotek, gdzie spędził lata szkolne i lata po szkole. Ku wielkiemu zdumieniu Olgi wszechstronnie odczytany Ilja nie miał wyższego wykształcenia, ukończył tylko dziesięciolatkę i nie chciał pracować dla państwa, a żeby uniknąć prześladowań ze strony władz, figurował jako sekretarz jakiegoś członka akademii nauk.

Romans Olgi i Ilji przebiegał głównie na spacerach po najskrytszych miejscach w Moskwie, które doskonale znał. Czasem zatrzymywał się przy koślawym domku z przekrzywionym gankiem i mówił: to jest dom sprzed pożaru, bywał tu Wiaziemski... Tu Mandelstam zatrzymywał się u brata... a do tej apteki biegła żona Bułhakowa, Jelena Siergiejewna, po lekarstwo dla męża.

Ale najwięcej wiedział o futurystach, o całej tej rosyjskiej awangardzie. Godzinami wystawał przy stoiskach bukinistów, gdzie też znał wszystkich i wszyscy jego znali, kartkował cienkie książeczki drukowane na szarym, surowym papierze. Niekiedy kupował, czasem tylko cmokał językiem. Pewnego razu zmusił Olgę, żeby pobiegła do domu pożyczyć od rodziców stówkę na zakup rzadkiego wydania Chlebnikowa.

I tak upłynął rok, a oni wciąż spacerowali po zauł-

kach, popijali z przyjaciółmi Ilji, szczególnymi, jakby się dobrali: jeden był muzykologiem, drugi dżokejem, do trzeciego, opiekuna rezerwatu, jeździli nad Okę, a jeszcze jeden był autentycznym duchownym. Najsympatyczniejszy był rudy nauczyciel głuchoniemych dzieci! Dawniej Oli nawet do głowy nie przychodziło, że tacy ciekawi ludzie żyją na świecie, i tacy różni, z własnymi filozofiami i religiami. Mignął jej nawet buddysta! Olga czytała książki i były to jakby jeszcze jedno studia uniwersyteckie, ale o wiele ciekawsze, zresztą i książki, które Ilja jej dawał, były albo bardzo stare, albo przywożone z zagranicy. Pewnego razu poprosił Olę, żeby przetłumaczyła z francuskiego niewielką książeczkę – katolicką, o cudach w Lourdes.

Było im razem tak ciekawie i tak dobrze, że Oli trudno było sobie wyobrazić, że on ma jeszcze jakąś żonę, do której odchodzi późnym wieczorem. Potem coś się zmieniło w jego życiu rodzinnym – coraz rzadziej oznajmiał, że musi jechać do Timiriaziewki, aż ostatecznie wrócił do matki, do mieszkania komunalnego. Ola poznała łagodną Marię Fiodorownę.

W miarę jak Olga oddalała się od swoich rodziców, zięć Wowa coraz bardziej się do nich zbliżał: przychodził w niedziele, odbierał z rąk Fainy Iwanowny ubranego na spacer syna, przechadzał się z nim i przyprowadzał na obiad. Sam go karmił, układał do snu, a potem jadł obiad wraz z teściami, za każdym razem na szczególne zaproszenie, trochę się wymawiając i dając do zrozumienia, że wcale nie interesuje go niedzielny obiad, może nie uroczysty, ale półuroczysty, i nie chodzi mu o grube, niedosolone pierogi Fainy, lecz wyłącznie o obcowanie z rodziną.

Oleńka w niedziele była nieobecna i zazwyczaj

o niej nie wspomiano – bolesny punkt był wspólny, z tym samym posmakiem urazy, zdumienia, zupełnie niezrozumiałej zdrady. W dodatku opuszczonemu mężowi mocno doskwierała urażona męska ambicja. Trzeba mu zapisać na plus, że pierwszą kochankę sprawił sobie dopiero po dwóch latach, gdy Ola zażądała rozwodu. Do tej chwili czuł się żonatym mężczyzną, oddelegowanym na czas nieokreślony, dochowywał bezsensownej wierności i płacił czterdzieści rubli alimentów, których nikt od niego nie żądał. Wciąż mu się wydawało, że Oleńka się opamięta i zaczyna dalej żyć zgodnie, od tego samego miejsca, na którym potknęło się ich małżeństwo...

Gdy Antonina Naumowna się dowiedziała, że Olga wystąpiła o rozwód, wpadła we wściekłość. Ale umiała być powściągliwa: emocje kipiały w tajemnych głębiach jej jestestwa. Im bardziej je powstrzymywała, tym mocniej zaciskały się jej szczęki i tym bardziej wychodziły z orbit wyblakłe oczy. Oldze nie powiedziała ani słowa, w domu nie puszczała pary, za to wyładowywała się w redakcji. Podwładne drżały, jedna ze strachu się zwolniła, a oddana jej sekretarka dostała wylewu.

Afanasij Michajłowicz, odkąd przeszedł w stan spoczynku, po cichu cieszył się nieskomplikowanym życiem. Nie posiadał emocjonalnej wrażliwości żony, nie kwapił się więc z kategorycznym skreśleniem córki, jedynie odsunął się od niej i nie cierpiał tak dotkliwie jak Antonina Naumowna.

Ola wyczuła nastawienie ojca: o zmianach w swoim życiu poinformowała najpierw jego, a nie matkę. Ale było w tym też wyrachowanie, którego domyślono się później.

W połowie lutego Olga przyjechała na daczę. Jak

zwykli mieszkańcy, autobusem. W dzień powszedni, ani z rana, ani z wieczora – w południe. Akurat z pobliskiego sanatorium wojskowego przywieziono stołowy obiad z trzech dań i słodką bułeczką własnego doskonałego wypieku. Afanasij Michajłowicz otwierał menażki, gdy właśnie zjawiała się Olga. Ucieszył się, bo dawno jej nie widział, a kłótnia rodzinna z czasem wyblakła. Dziewczyna była wesoła, zupełnie jak dawniej, bez ceregieli podzieliła obiad ojca na dwie części, a nawet towarzyszyła mu przy poobiednim kieliszku. Po obiedzie wtuliła się z nogami w skórzany fotel z aluminiową tabliczką pod oparciem – na dacy były jeszcze resztki biurowych mebli, które generał za grosze odkupił od swojego resortu wraz z całą daczą. Olga tradycyjnie wybrała to znane od dzieciństwa monstrum, a nie odnowiony staroć, cały z drewna, pozbawiony uroku i usypiających właściwości, kupiony przez ojca w tym samym komisie.

– Tatku – Olga zwróciła się do ojca jak w dzieciństwie – chcę z tobą pomieszkać na dacy. Kostię bym przywiozła, co? Co ty na to?

Afanasij Michajłowicz ucieszył się, nie przeczuł żadnego podstępu:

– A mieszkaj sobie, ile chcesz, po co pytasz? Ale co z pracą? Bez auta kiepsko...

Komunikacja z miastem była skomplikowana: do Nachabina autobusem, który chodził nie według rozkładu, ale według natchnienia, a z Nachabina kolejką elektryczną do Dworca Ryskiego...

– To nic – zaśmiała się Ola. – Ja nie pracuję, ja się uczę.

Afanasij Michajłowicz się ucieszył: żona nie mówiła, że Ola wróciła na studia. Nieporozumienie jednak

natychmiast się wyjaśniło – Olga chodziła teraz nie na uniwersytet, ale na kurs języka (nie wiadomo dlaczego) hiszpańskiego. Chodziła na zajęcia nie codziennie, wieczorami, na studia wrócić nie zamierzała.

Afanasij Michajłowicz powoli kombinował, dlatego to nagle córka wymyśliła taką zmianę i jak potraktuje to żona, i czy nie powinien był najpierw naradzić się z żoną. Ale tu Olga wszystko sama wyjaśniła:

– Może i mój przyjaciel tu pomieszka.

Starego generała zatkało z oburzenia: rozwiodła się bez pytania, teraz ma kochanka, chce go wprowadzić do domu i oczekuje przyzwolenia oraz zgody ojca. Ale chwilę pomilczał i machnął ręką:

– A żyj sobie, z kim chcesz, co mnie to obchodzi...

Zasępił się, dojadł szybko przydziałowy kotlecik i udał się na poobiedni zabieg – drzemkę.

Po kilku dniach na ogromną generalską działkę wjechała stara pobieda, wylegli z niej Kostia w puszystym futerku, równie puszysty wielki szczeniak, Olga z paczką książek w rękach i kędzierzawy mężczyzna z nartami. Okna warsztatu, gdzie Afanasij Michajłowicz majstrował w drewnie, wychodziły na drugą stronę, więc nie widział, jak popychając się, przewracając, upuszczając na śnieg rękawiczki i książki, podeszli do ganek. Wszedł na dźwięk dzwonka, otworzył drzwi i zobaczył, jak mu się po tym wiejskim bezludziu wydało, cały tłum. Kostia piszczał, pies szczekał, Olga przesadnie chichotała, a nad tym wszystkim górował długi niezgrabny mężczyzna, w którym kryła się – emerytowany generał od razu to pojął – przyczyna wszelkiego zła.

Przedstawił się jako Ilja Briański. Podał kościstą, nieumięśnioną rękę, zaleciało odeń tanim tytoniem, jakimiś znajomymi chemikaliami i skrywaną wrogo-

ścią. Olga też emanowała jakimś nowym zapachem – zuchwałym i obcym. Tylko wnuk Kostia i jego wielorasowy szczeniak byli swoi. Ale Afanasij Michajłowicz nie wdawał się w analizę własnych doznań. Pocałował córkę i wnuka i poszedł na piętro majsterkować: zapach politory, kleju stolarskiego i drzewnego pyłu robił mu lepiej niż waleriana. Wziął najcieńszy papier ścierny i zabrał się do polerowania boku fotela, usuwając zbędny lakier, rozkoszując się dotykiem płynnej krzywizny ślimaka podtrzymującego poręcz.

Z dołu dochodziły wybuchy śmiechu, parskanie, chichot przechodzący w jęki i popiskiwanie – dźwięki zupełnie nieodpowiednie w cichym i sztywnym domu.

Co za bezwstydnosc: przyjechała z kochankiem i małym synem jakby nigdy nic – myślał z potępieniem generał.

Zaczęli gospodarować na dwa domy: Afanasij Michajłowicz na swoim wojskowo-sanatoryjnym wiktynie, ze zwykłym rozkładem dnia: o siódmej pobudka, o ósmej herbata, o jedenastej spanie. Rodzina Olgi żyła byle jak. Czasem ugotują sobie coś niewielkiego, ale przeważnie jedzą kanapki, przez cały dzień trzaskają lodówką, wstają, kładą się o różnych porach, jak im przyjdzie do głowy, to spacerują, piją w nocy herbatę, śmieją się, stukają na maszynie do pisania niemal do rana. A pracują też nie tak jak inni ludzie, wyjeżdżają raz rano, kiedy indziej w środku dnia. Olga jeździ na zajęcia o czwartej, wraca ostatnim autobusem. On po nią wychodzi. Czasem z Kostią. Po nocy, w mróz? Po co to ciągać dziecko?

Co prawda nie zostawiali Kostii samego, wyjeżdżali na zmianę. A jeżeli z nocowaniem, wzywali Fainę Iwanownę. W ciągu dwóch miesięcy tylko raz poprosili

o opiekę Afanasija Michajłowicza: wziął chłopca do siebie, do warsztatu i ten przez cały dzień mu pomagał. Wcale nieźle.

W soboty popielatą wołgą przyjeżdżała Antonina Naumowna – z tortem i prowiantem. Urządzała niedzielny rodzinny obiad. Nowy kochaś długo nie pokazywał się jej na oczy: na weekend znikał. Zetknęli się dopiero na początku kwietnia. Niechętne nastawienie Antoniny Naumowny się sprawdziło: nie spodobał się jej. Zresztą co w nim się mogło podobać? Chyba tylko te kręcone włosy. A poza tym – twarz wąska, nos jak wroni dziób, a wargi mięsiste, czerwone jak w gorączce. Cały jakiś nieproporcjonalny, ramiona wąskie, nogi chude, tylko patrzeć, a złamie się w pasie, porteczki wąskie, a z przodu mu sterczy, bardzo wypycha. I lodowaty! Tfu!

Antonina Naumowna kiwnęła głową, zaciskając zęby:

– Cóż, poznamy się. Antonina Naumowna.

– Ilja.

– A imię ojca?

– Ilja Isajewicz Briański – powiedział z naciskiem.

Briański to Briański – uznała Antonina Naumowna, specjalistka od spraw kadrowych, ale Isajewicz! Imion proroków używali tylko popi i Żydzi... no i starowiercy. Ta kwestia była jej dobrze znana, przez całe życie się broniła.

I po cóż dziewczynie to było? Takiego postawnego chłopca, Wowę, dobrego męża, zamieniła na koślawą tykę. Kostia też, o zgrozo, oczu od niego nie odrywa, łązi po nim jak po drzewie.

Przy stole młoda rodzinka zaczęła chichotać, Antonina Naumowna zauważyła, jak Ilja rzucił Kostii na talerz kulkę chleba, a ten, niby przypadkiem, wsypał mu

szczyptę soli. A Olga siedzi z głupim uśmiechem, mruży oczy... Natomiast tortu kochaś zjadł dwa kawałki. Krem zlizywał od góry jak kot. I dojadł porcję Kostii. Lubi słodczy. I łyżeczkę wylizał. Obrzydliwe! Złe zrobił Afanasij, że pozwolił im tu mieszkać. Niechby sobie sami radzili. Zbyt łatwo im wszystko przychodzi. I do oczu nabiegły jej złe, suche łzy.

Biedni rodzice Olgi nie mieli zielonego pojęcia, czym się zajmuje cherlawy kochaś, co wystukuje nocami maszyna do pisania i dokąd go nosi, kiedy opuszcza bogatą daczę. O tym wszystkim wiedziała Oleńka: to ona przepisywała antysowiecką na papierosowej bibułce. Chociaż przepisywania większych rzeczy Ola się nie podejmowała: brak jej było szybkości i wprawy. Zajmowała się przepisywaniem wierszy, najczęściej Osipa Mandelsztama i Josifa Brodskiego – uważała to za pracę społeczną – a grubsze książki oddawała lepszym i za pieniądze, to Gali Połuchinej, koleżance szkolnej, to zawodowej maszynistce Wierze Leonidownie.

Czasem Ilja zawoził maszynopisy do oprawy do swego przyjaciela, Artura, a czasem rozprawdzał je bez oprawy, luzem. Artur robił cudowne tomiki poetyckie w płóciennym oprawie. Książki o treści religijnej oprawiał w odpowiedni dla nich solidny materiał – skórę, kaliko. Trudno jednak było z nim współpracować: zapominał o terminach, umowach. Ilja na samizdacie zarabiał. W odróżnieniu od większości innych „gutenbergów” swoich czasów nie był inteligenckim pięknoduchem i za wydatkowany czas pragnął dostawać przyzwoite wynagrodzenie, które wydawał na swoje fotograficzne pasje i kolekcje.

Ile wierszy! Ile wierszy! Nie było innej takiej pory w Rosji ani przedtem, ani potem. Wiersze wypełniały

duszną przestrzeń, same stawały się czystym powietrzem. Być może, jak powiedział poeta – „kradzionym”. Najwyższym uznaniem poety, jak się okazało – nie była Nagroda Nobla, ale te szeleszczące, przepisywane na maszynie i ręcznie bibułki, z literówkami, niemal nieczytelne: Cwietajewa, Achmatowa, Mandelsztam, Pasternak, Sołżenicyn, wreszcie Brodski.

– Nasz nauczyciel rosyjskiego, Wiktor Juliewicz Szengeli – oto z kim cię trzeba poznać. Bardzo ci się spodoba! Co prawda od dawna już nie uczy w szkole. Siedzi gdzieś w muzeum na skromnym etacie, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Władza sowiecka prześladowała bezrobotnych, zaliczając do nich również tych, którym sama nie pozwalała pracować. Pasożyta Josifa Brodskiego już zwolniono z zesłania we wsi Noreńska i nic nie zapowiadało, że za pięćdziesiąt lat w miejscowej bibliotece zostanie otwarta izba pamięci byłego zesłańca i zaniedbana stara panna w średnim wieku będzie oprowadzać wycieczki „Brodski w Noreńskiej”.

Ola zajęła się przekładami początkowo nieśmiało, ale stopniowo coraz pewniej: francuski miała na uniwersytecie, do hiszpańskiego, którego nauczyła się na kursach, doszedł włoski, przyswojony jakoś tak, sam przez się, po drodze na dachę, w pociągu. Nawiązała kontakty, czasem proszono ją o tłumaczenie filmów i świetnie dawała sobie z tym radę. Miała też inne zarobki, uboczne – jakieś referaty, patenty. Zarobki były początkowo niewielkie, potem spore. Ale wszystkie te prace były nieoficjalne, a oficjalnie była zatrudniona jako sekretarz, tak jak Ilja. Był to parawan, wielu z niego korzystało.

Po śmierci byłego teścia znalazł się jeszcze jeden człowiek, który dał Ilji u siebie pracę sekretarza. Oldze

też znalazł starego profesora, który zatrudnił ją jako sekretarkę i oboje figurowali w jakimś tajemniczym związku zawodowym, utworzonym jakby specjalnie dla unikania władzy sowieckiej.

Na daczynie, w komórcie obok łazienki, Ilja urządził sobie laboratorium fotograficzne. Jak w latach szkolnych doprowadził rurę z klozetu i majstrował tam po nocach. Afanasij Michajłowicz niczego jednak nie zauważył – kąpał się w soboty, w inne dni nawet nie spoglądał w stronę łazienki i przylegającej do niej komórki.

Jakie szczęśliwe były te wspólne lata! Ilja rozwiódł się z poprzednią żoną. Z Olą pobrali się po cichu, bez rozgłosu, a ona oddała mu się całą duszą. Wszystko, co mówił i robił, było fascynujące i nowe: i samizdat, i fotografie, i podróże – lubił rosyjską Północ i środkowoazjatyckie południe, często się urywał i jechał Bóg wie dokąd. Czasem zabierał ze sobą Olgę i Kostię.

Pewnego razu pojechali do obwodu wołogodzkiego – do Biełozierska, do Fierapontowa – i Kostia zapamiętał ten wyjazd jako czarodziejską podróż. Wszystko, co się tam działo, każdy dzień i każda godzina były jak film wart ponownego obejrzenia: i łowienie ryb z łódki, i nocleg na sianie, i jak wleźli na rusztowania klasztoru i o mało nie spadł w przepaść, ale Ilja chwycił go za kurtkę, i straszna, ale śmieszna historia z pszczołą, którą włożył do ust wraz kawałkiem wiejskiego placeka z konfiturami, a Ilja natychmiast wyciągnął mu placek z ust i zręcznie usunął z wargi pszczele żądło.

Ola wspominała co innego: zanikające freski Dionizego, zapuszczony monaster, spowolnioną i senną północną przyrodę, którą uznała za swą prawdziwą ojczyznę już przy pierwszym krystalicznym, przezroczystym zachodzie słońca.

Właśnie wtedy, pod Wołogdą, rozczarowana rodzicielskimi ideałami, samymi rodzicami, władzami kraju, w którym się urodziła, państwem z jego brutalnymi i nieludzkimi porządkami – nagle odczuła nową przejmującą miłość do biednej, pokornej Północy, skąd pochodził jej ojciec, i czuła ucisk w gardle, gdy późno zachodzące słońce zanurzało się w wielkim jeziorze, czerwone niebo stawało się stopniowo srebrne i wszystko dookoła się srebrzyło – pola, woda, powietrze. Ten zielono-srebrny odcień też był odkryciem tej wyprawy, to właśnie Ilja pierwszy go zauważył i jej pokazał.

Generał w tych latach ostatecznie przeniósł się do warsztatu, niemal z niego nie wychodził. Matka bała się, że straci swoje stanowisko, ale nikt jej nie wyganiał z redakcji: była partyjno-literacką szyszką dużego formatu.

Kiedy Kostia poszedł do szkoły, przeprowadzili się do moskiewskiego mieszkania, a Antonina Naumowna coraz częściej nocowała na dacy – służbowy samochód kursował niemal codziennie po dwa razy tam i z powrotem – odwoził, przywoził.

W dziesiątym roku małżeństwa coś się zacięło.

Ilja stał się nerwowy i uparty: cudowną wesołą figlarność zastąpiła posepność. Na początku roku osiemdziesiątego oznajmił Oli, że powinni wyjechać. Już od dawna prowadzili rozmowy o wyjeździe, lecz raczej abstrakcyjnie. I nagle Ilja ni z tego, ni z owego zaczął się spieszyć.

– Postaram się o zaproszenie dla całej rodziny. Jeżeli nie chcesz jechać, będziemy musieli się rozwieść.

– Chcę jechać. Ale sam się zastanów. Wowka Kostii za nic nie wypuści. Po prostu żeby mi zrobić na złość.

A jak Kostia skończy osiemnastkę, to zgoda ojca nie będzie mu potrzebna. – Ola uważała, że Ilja kaprysi bez powodu. Skoro nie wyjechali dziesięć lat temu, to co go teraz tak nagle przypiliło?

Ilja nalegał, popędzał. Olga spotkała się z byłym mężem. Bezskutecznie. Wowa okazał się złośliwym tępakiem. Aż dziw, jaki nieczuły wieprz się z niego zrobił. Odmówił zdecydowanie, ostatecznie, i jeszcze jej nawymyślał.

Ola błagała, żeby wstrzymać się na rok, Ilja był jak w malignie: jechać, co rychlej jechać. Rzeczywiście bardzo się denerwował. Z jego nazwiskiem łączyły się nieprzyjemne pogłoski i bał się, że dotrze to do Oli. Któregoś dnia ostro, nie dopowiadając do końca wszystkich szczegółów, Ilja oznajmił: skoro Olga nie może z nim jechać z powodu Kostii, to muszą pilnie wystąpić o rozwód.

Dla Olgi była to katastrofa, ale jakaś dziwna, jakby niekonieczna... Rzeczywiście, było nie całkiem zrozumiałe, dlaczego raptem Iljusza tak bardzo zaczął się spieszyć. Gdyby rok poczekali, pojechaliby razem z Kostią. Mnóstwo przyjaciół wyemigrowało już do różnych krajów. I można byłoby bez pośpiechu...

Doszli do kresu – wystąpili o rozwód. Zaczął się miesiąc miodowy, tylko na odwrót. Oczekiwanie rozłąki – na rok, a może na dwa? – dodawało pikanterii, słodyczy i goryczy, i nawet Kostii udzieliły się te mieszane uczucia. Był młodzieńcem w wieku, kiedy rodzina staje się człowiekowi obca, ale wciąż wisiał na Ilji, zakłócając ich sam na sam.

Miłość w warunkach ekstremalnych tak się rozpaliała, że w jej nocnych płomieniach runęły ostatnie granice – czynili straszne wyznania, składali takie przysięgi

i takie niewykonalne obietnice, jakby mieli po piętnaście lat, a nie po czterdzieści. Poprzysięgli sobie, że gdyby powstały jakieś przeszkody, to całą resztę życia poświęcą, żeby się połączyć...

Mechanizm wyjazdowy został uruchomiony. Formalności załatwiono niezwykle szybko: w dwa tygodnie po złożeniu dokumentów Ilja otrzymał zezwolenie. Leciał znaną trasą: przez Wiedeń, a dalej dokądkolwiek. Punktem końcowym miała być Ameryka. Odległe miejsce.

Pożegnalną biesiadę urządzono w mieszkaniu przyjaciół – moskiewskie generalskie mieszkanie nie nadawało się do tego z wielu powodów.

Pożegnanie było hałaśliwe, z wahaniem nastroju: ni to pogrzeb, ni to urodziny. W pewnym sensie było to i jedno, i drugie.

W Szeremietiewie, w tłumie ludzi na wieki opuszczających kraj, nerwowych i spoconych, obarczonych dziećmi, starcami i ogromnym bagażem, Ilja wyróżniał się spokojnym wyglądem i całkowitym brakiem waliz. Swój księgozbiór zawczasu wysłał za granicę pocztą dyplomatyczną przez przyjaciela z ambasady. Pułkownik Czibikow chyba nie został o tym powiadomiony.

Wiele szczegółów pozostało niewyjaśnionych. Na przykład dlaczego pułkownik Czibikow, który w tym czasie był już generałem, pomagał mu w wyjeździe, jakie miał plany w stosunku do Ilji. Czy praca w radiu „Swoboda” była dla Ilji szczęśliwą ucieczką na wolność, czy kontynuacją dwuznaczonej gry, w którą był zaplątany do samej śmierci.

Chyba nikt nigdy tego się nie dowie.

Ilja odchodził w czarną dziurę, ziejącą między dwoma pogranicznikami. Na szyi kołysał mu się aparat bez

filmu – wyjęli go i naświetlili funkcjonariusze służby granicznej – a na ramieniu niemal pusty turystyczny plecak. Była w nim zmiana bielizny i podręcznik do języka angielskiego, który od dwóch lat stale ze sobą nosił.

W nocy po wyjeździe Ilji Ola dostała krwotoku, pogotowie odwiozło ją do szpitala. Choroba zaczęła się oczywiście o wiele wcześniej, ale właśnie tego dnia się ujawniła.

Pierwszy rok bez Ilji upłynął na korespondencji i atakach choroby. Ola strasznie wychudła, straciła apetyt, jadła z obrzydzeniem, po łyżce owsianki trzy razy dziennie. Dawne przyjaciółki znów ściągęły swoje wojska – żeby się po przyjacielsku uzalać. Antonina Naumowna też trzęsa się nad Olą, i im bardziej się trzęsa, tym bardziej nienawidziła byłego zięcia.

W tym czasie był on już w Ameryce, gdzie wszystko okazało się o wiele gorsze, niż przewidywał. W dodatku Niemiec, który swego czasu wywiózł kolekcję awangardy, zbieraną przez Ilję niemal od lat szkolnych, zwlekał, niczego nie oddawał. Wartość książek według cen aukcyjnych okazała się znacznie większa, niż Ilja sądził.

Listy od Ilji przychodziły rzadko, ale były bardzo ciekawe. Olga żyła od listu do listu. Sama pisała do niego dużo, nie zważając na nieregularność poczty: na każdy jego list przypadało dziesięć listów wysłanych przez nią.

Po roku na Olgę spadł straszny cios. Doniesiono jej, że Ilja się ożenił. Napisała do niego wściekły list. Otrzymała czułą i pełną skruchy odpowiedź: tak, ożenił się, człowiek jest słaby, ożenił się w zasadzie fikcyjnie, z żoną nie mieszka, ponieważ ona mieszka w Paryżu

i Olga powinna go zrozumieć – tu, w Ameryce, bardzo kiepsko mu idzie, musi spróbować sił w Europie. Małżeństwo z rosyjską Francuzką mu to umożliwi. Innego wyjścia na razie nie ma.

I taki lekki przeskok w stronę przeszłości-przyszłości: że niby to wszystko jest tymczasowe, wymuszone, szczęście mamy jeszcze przed sobą... I równie łagodny wyrzut: przecież mogłaś zostawić Kostię na rok, a potem byśmy go zabrali...

Olę ogarnęła zazdrość: kim jest ta kobieta, skąd się wzięła? Przez znajomych dowiedziała się, jak się nazywa. Pochodziła z Kijowa, wyszła za mąż za Francuza, mieszkała wiele lat we Francji, owdowiała. Z pewnością niemłoda. Więcej informacji Olga nie miała. Pozbierała się i pojechała do Kijowa. Wspólnych znajomych – co niemiara. Z natury prawdomówna, nagle od razu zaczęła kłamać kijowianom na prawo i lewo, i wszyscy wszystko jej opowiadali. Udało jej się nawet od głupiej przyjaciółki nowej żony Ilji uzyskać zdjęcie, na którym figurowali nowożeńcy: gruba stara baba bezczelnie trzymała tłustą rękę na ramieniu uśmiechniętego Ilji, a wszystko to działo się w paryskim magistracie. I ta właśnie ręka stała się głównym dowodem oskarżenia.

Olga przeprowadziła staranne śledztwo, dowiedziała się mnóstwa szczegółów. Wróciła do domu ledwie żywa, przytłoczona kupą sprzecznych informacji i pewna, że Ilja ją oszukuje, a to małżeństwo wcale nie jest fikcyjne.

W Moskwie od razu trafiła do szpitala. Znow krwotok. Zoperowano ją, usuwając znaczną część żołądka. Ale najważniejszy wrzód znajdował się w kosmetyczce z przyborami toaletowymi – zawinięta w folię ta właśnie kolorowa fotografia. Mówić teraz Olga mogła

już tylko o podłości byłego męża. Gdy się obudziła z narkozy, powiedziała do siedzącej obok przyjaciółki Tamary, która podjęła się opieki nad nią:

– Ty widziałas te kwiaty na zdjęciu? Ogromny bukiet, co?

Część żołądka została usunięta, ale lekarze nie potrafili usunąć broczącej krwią rany serca...

Od całego świata Olga żądała teraz, żeby w konflikcie stanął po jej stronie. Konflikt był o tyle ciekawy, że nie było w nim żadnej drugiej strony: rozwiedziony mąż, który wyjechał, ożenił się nie wiadomo z kim po drugiej stronie globu. A obietnice, przysięgi, zapewnienia o dozgonnej miłości to tylko słowa...

Tymczasem Kostia szykował się do zadania matce jeszcze jednego ciosu: zakochał się w dziewczynie, z którą zdawał na uczelnię, zakochał na zabój, na całą resztę życia. Najbardziej nieprawdopodobne, choć zarazem banalne jest to, że do dziś Kostia z Lenoczką i dorosłymi już dziećmi mieszka w tym samym generalskim mieszkaniu.

Ola domagała się od Kostii litości i współczucia. Kostia, najbliższy człowiek na świecie, gwałtownie się sprzeciwił, nie okazał współczucia, a w dodatku nie chciał się opowiedzieć po niczyjej stronie. Kochał matkę, ale kochał też Ilję i nie chciał słuchać ciągłych oskarżeń matki wobec ojczyrna. Olga śmiertelnie się na syna obraziła. Dwoma palcami odciągnęła czarny sweter na jego ramieniu i zasyczała:

– Sweter od Iljuszy? Okazuje się, że niedrogo można cię kupić...

Ilja od czasu do czasu przysyłał paczki adresowane do Kostii: oprócz ciuchów dla Kostii były tam nieokreślone przedmioty „dla domu”, „milcząco” adresowa-

ne do Oli. Olga z obrzydzeniem przekazywała matce wymyślne otwieracze do konserw, ceratowe obrusy w szkocką kratkę i inne tandetne drobiazgi.

Antonina Naumowna lubiła wszelkie zagraniczne gospodarskie gadżety, ale umiała też skrytykować bisurmanów:

– W Rosji cały potencjał, cały intelekt naszych uczonych są ukierunkowane na tworzenie rakiet kosmicznych, elektrowni atomowych, a oni zajmują się otwieraczami. No cóż, dobre są te otwieracze, ani słowa...

W całej tej historii ona była jedyną osobą szczęśliwą. Świętowała zwycięstwo, Ola nie mogła na nią patrzeć: gorzała nienawiścią.

Kostia milczał, nie życzył sobie słuchać o Ilji niczego złego. A tym bardziej o zagranicznych otwieraczach. Na razie był zajęty własnymi uczuciami – ukochana Lenoczka była w trzecim miesiącu ciąży, i nie mógł oczu od niej oderwać. Okazało się, że ma taki sam dar miłości jak Ola.

Olga zbierała dossier na Ilję: nie wiadomo dlaczego musiała koniecznie teraz, wstecz, zebrać dowody, że jej mąż był człowiekiem złym pod każdym względem. Zaczęła się kontaktować ze swoją skromną teściową, która dawniej nie wzbudzała w niej szczególnego zainteresowania, z kuzynami Iljuszy, z przyjaciółmi z dzieciństwa i ze wszystkimi, którzy figurowali w starym notesie. Okazało się, że Ilję w siódmej klasie chciano wydalić ze szkoły za kradzież jakiegoś obiektywu w kółku fotograficznym Domu Pionierów, a nawet trafił do jakiejś milicyjnej kartoteki.

Okazało się, że był przypadek, kiedy go przyłapano na fałszowaniu dokumentów – niezbyt ważnych dokumentów, zaledwie legitymacji czytelniczej Biblioteki

Historycznej. Ale to przecież nieuczciwe... Wyjaśniła się też sprawa pierwszej rodziny Ilji. Że dziecko, które porzucił, było chore, a żadnej pomocy swojej pierwszej rodzinie nie świadczył. Że pierwsza żona była cicha i głupkowata, ale przez wszystkie lata ich wspólnego życia ona Ilję utrzymywała.

Tak, tak, oczywiście! – niemal się ucieszyła Olga, gdy jacyś dalecy znajomi, siódma woda po kisielu, opowiadali jej o tych wszystkich świństwach. Przecież i z nią, Olą, postępował jak pasożyt, utrzymanek: ona pracowała w pocie czoła, zarabiała niezłe pieniądze, a on albo siedział w bibliotece, albo coś fotografował, albo jeździł sobie na rowerze lub podróżował, i wszystko to na jej koszt! To znaczy zarabiał na swoich książkowo-fotograficznych interesach, ale do domu nigdy nie przyniósł ani kopiejki: wszystko wydawał na swoje rozrywki. Władza sowiecka nie miała z tym nic wspólnego, to był po prostu pasożyt!

Przyjaciółka Tamara pierwsza się domyśliła, że Olga popada w obłąd. Jakby w szlachetnego i wielkodusznego człowieka wcielił się bies. Kiedy Olga mówiła o Ilji, zmieniała jej się barwa głosu, sposób mówienia, a nawet słownictwo. Dawniej Ola nawet nie znała takich słów. Tamara długo się wahała, jednak w końcu oznajmiła przyjaciółce, że z obłądem trzeba walczyć i jeżeli ona nie potrafi powiedzieć „stop” swojej wybujałej zazdrości, to trafi do psychiatryka.

Ale Olga była bardzo elokwentna i umiała wszystkich przekonać, że nie chodzi tu o chorobliwą zazdrość, lecz o prawdę i sprawiedliwość. Dopóki mówiła, wszystko brzmiało całkiem logicznie i przekonująco, ale wystarczyło tylko wyjść za drzwi, by wszystkie konstrukcje Olgi znów zaczęły wyglądać na wytwór

trawiącego ją obłądu. Tak wielka była siła przekonywania Olgi, i tylko jeden Kostia jej nie ulegał. Nie przestał kochać Ilji i wcale nie miał zamiaru potępiać go za nieludzką podłość.

Zresztą, co tu w ogóle mówić o Kostii? Cały należał do malutkiej kruchej dziewczuszki z obgryzionymi paznokciami. O żadnym wyjeździe nawet nie myślał: całe życie jego było tutejsze, zrozumiałe.

– Mamusiu, jeżeli chcesz, to jedź. Beze mnie.

Inną wielką awanturę urządziła Olga synowi, kiedy odkryła w jego biurku paczkę listów od Ilji, które przyszły nie na adres domowy, ale na poste restante. Poczta była w ich domu, na parterze. Najpierw, przewyciężając drżenie rąk i nóg, przeczytała listy. Długie listy, świetnie napisane – o wrażeniach człowieka, który po raz pierwszy opuścił Związek Sowiecki. Pierwszy wiedeński list do Kostii był mniej więcej o tym samym, o czym pisał do niej: o wyzwoleniu się z mrzonek, o nieufności wobec rzeczywistości tak bardzo odróżniającej się od tego, do czego przez całe życie przyzwyczał się wzrok, węch, smak. W drugim liście, napisanym do Kostii w przeddzień wylotu do Ameryki, przeczytała zdanie, które bardzo ją ugodziło, o tym, że „przetrwanie tu, na Zachodzie, wiąże się bezpośrednio z umiejętnością wyrzeczenia się wszystkiego, czego się nabyło tam, w Rosji”. Teraz i siebie zaliczyła ona do spraw, których trzeba się wyrzec w celu przetrwania. Dalej były listy już z Nowego Jorku, tam wiele rzeczy dublowało się z tym, co pisał do niej – o tragicznej rozbieżności kultur, rosyjskiej i amerykańskiej, o „powierzchnowości” amerykańskiej kultury, nie w banalnym, powszechnie znanym sensie, ale z punktu widzenia powierzchowności jako takiej: umyta powierzchnia

ciała, rzeczy pachnące proszkiem do prania i pralnią chemiczną, błyszczący czystością asfalt, każda okładka, opakowanie, mają znaczenie nie mniejsze niż ich zawartość. O tym, jak cały dzień spędził na poszukiwaniu obiektu do fotografii, aż znalazł w centrum Harlemu wielką stertę odpadków budowlanych i zwykłych ogólnoludzkich śmieci, na której siedział uśmiechnięty bezzębny Murzyn w śnieżnobiałej koszulce, z bandżo w rękach. Ostatni chronologicznie list z Ameryki był smutny i dziwny. Ilja pisał do bardzo jeszcze młodego Kostii: „Tylko całkowita zmiana skóry, nabycie nowej powierzchowności z nowymi receptorami zapewnia przetrwanie. O dziwo, nie dotyczy to treści wewnętrznej. Własne myśli, najbardziej oryginalne, najmniej współbrzmiające z niezrozumiałym dla mnie ich życiem, trzeba trzymać przy sobie. One nikogo nie interesują. Żeby jednak dostać się do tego towarzystwa, trzeba wykonywać jego nieskomplikowane rytuały komunikacji. Idiotyczny balet zachodniego życia. Jestem na to gotów, chociaż zmusza mnie to do wielu trudnych decyzji”.

Te listy wydały się Oli demaskatorskie. Pomyślała nawet, że łatwiej by jej było znieść rozstanie z Ilją, gdyby rzeczywiście zakochał się w jakiejś ładnej i mądrej dziewczynie. I od razu uczciwie się poprawiła: nie, to byłoby tak samo trudne. W końcu czy to nie wszystko jedno, z jakiego powodu ją porzucił, z powodu nowej miłości czy z wyrachowania. Złe było i jedno, i drugie. Prawdziwego motywu jego wyjazdu nigdy nie odgadła. Z miłości, ufności, duchowej czystości.

Olga zarzucała Kostii zdradę, czując, że jej pretensje wobec syna są niesprawiedliwe, ale listy mu skonfiskowała. Kostia to przemilczał.

Jemu też żal było matki, ale nie potrafił się z nią pogodzić. Zwłaszcza z tym, że szperała w szufladzie jego biurka, gdzie oprócz listów, w dalekim kącie, leżały prezerwatywy. Ta okoliczność i krępowała go, i doprowadzała do wściekłości. Nie rozumiał, że pogrążona w zazdrości, w ogóle nie zwróciła uwagi na papierowe opakowania.

Tymczasem okazało się, że kuzynka uniwersyteckiej przyjaciółki Olgi mieszka w Paryżu i dobrze zna tę kijowską Oksanę. Od niej to nadeszły nowe informacje, potwierdzające podejrzenia Olgi. To wcale nie było fikcyjne małżeństwo! Oksana, stara kocica, jest zakochana w Ilji i nawet zamieniła mieszkanie w Paryżu z dwupokojowego na trzypokojowe, w oczekiwaniu na młodego męża...

Tamara zaklinała: Ola, zmień płytę. Wyrwij to z siebie i wyrzuć, tak nie można. Nie ma go, wyobraź sobie, że umarł. Żyj własnym życiem. Olga tylko się opędzała.

Nie minął nawet rok od wyjazdu Ilji, jak umarł Afanasij Michajłowicz. Pochowano go na Cmentarzu Wagańkowskim, w dobrym miejscu, gdzie leżeli wyżsi oficerowie, ale bez salwy. Nikt nie pamiętał, co to był za generał. A przecież w latach wojny przeszedł na własnych nogach całą Europę, zakończył w Wiedniu jako podpułkownik. Nie obijał się po sztabach. Budował mosty, organizował przeprawy.

Olga prawie nie zauważyła śmierci ojca.

Z wściekłością myślała o tym, że teraz zostanie w tym partyjnym mieszkaniu z matką, która lada dzień przejdzie na emeryturę, z Kostią, z jego śliczną Lenoczką. A co będzie z jej życiem?

Głupia, głupia, trzeba było jechać z Ilją! Ale teraz wszystko zostało splugawione, zbrukane, zdeptane.

Z tym właśnie najtrudniej się pogodzić. Gdyby wtedy pojechała, całe życie potoczyłoby się inaczej.

W miarę jak jej burzliwe skargi i pretensje do byłego męża układały się w skostniałe formuły, żywa wściekłość przeradzała się w nie mniej żywą nienawiść. Wciąż chudła i żółkła, stawała się podobna do wyschniętej cebuli, i brzuch ją bolał, do tego przyplątały się inne przykre symptomy.

Tymczasem Ilja przecierał sobie drogę na Zachodzie, jednak sukces wciąż nie przychodził. Korespondencja z nim urwała się po tym, gdy Olga przesłała jego żonie Oksanie list, w którym Ilja pisał o konieczności fikcyjnego małżeństwa w celu ustawienia się w życiu, i zapewniał ją o wiecznej i bezgranicznej miłości.

W drugim roku rozłąki postawiono Oldze nową diagnozę: rak. Zaczęto ją leczyć w instytucie onkologii, czuła się coraz gorzej, przyjaciółce Tamarze lekarze napomknęli, że proces jest nieodwracalny i żeby była przygotowana na najgorsze. Antonina Naumowna przestała przychodzić do szpitala. Najbardziej się bała, że Ola umrze w jej obecności.

Tamara, świeżo upieczona chrześcijanka, starała się wszystko robić po dobroci i do ostatka nie ustawała w próbach naprowadzenia Oli na drogę pojednania i miłości. Ale nic się nie udawało: Cerkwią Olga nie była w najmniejszym stopniu zainteresowana, odmawiała przyjęcia spowiednika, a nawet bała się o nim wspominać, natomiast winę za wszystkie swoje nieszczęścia oraz śmiertelną chorobę zwała na Ilję. On zaś w tym czasie zaczął się wreszcie wydobywać z biedy i zapomnienia, przeniósł się do Monachium, przyjęto go do radia „Swoboda”, nadawał do Rosji. Ola nie przepuszczała żadnej jego audycji. Nocą włączała odbiornik

tranzystorowy, łapała przebijający się przez zagłuszar-
kę głos z Monachium i skamieniała słuchała. Co przy
tym czuła?

Tamara, patrząc na jej zgorzkniałe oblicze, postano-
wiła napisać do Ilji, że Olga umiera, że Bóg oczekuje od
wszystkich przebaczenia i miłości, więc on, Ilja, powi-
nien uczynić pierwszy krok.

Z tego listu Ilja nie dowiedział się niczego nowego,
ponieważ korespondował z Kostią i wiedział o wszyst-
kich smutnych wydarzeniach. Nie był nieczuły. List
pisał długo, nad każdym zdaniem się zastanawiał, ob-
myślał, przymierzał do sytuacji Oli. Był koniec grudnia,
pacjenci gromadnie wypisywali się na Nowy Rok, nie-
których puszczano do domu na kilka dni. Tamara poszła
do lekarza prowadzącego Olę i poprosiła, żeby jej też
umożliwiono spędzenie Nowego Roku wśród swoich.

– Na moją odpowiedzialność – nalegała.

Lekarka spojrzała na nią uważnie i powiedziała:

– Dobrze, Tamaro Grigoriewno, wypuścimy ją. Jeże-
li dożyje...

Wtedy właśnie przyszedł list od Ilji. Nie list, ale ar-
cydzieło. Wyniósł na wyżyny ich przeszłość, opisując
ją jako najlepsze dni swego życia, żałował za grzechy,
prosząc o wybaczenie i napomykając, z pewnym prze-
sadnym patosem, jednak bardzo przekonująco, o ich
nieuniknionym spotkaniu, które z każdym dniem się
przybliża.

I dokonał się przewrót w życiu Oli, i w przebiegu
choroby. Przeczytała list, odłożyła go na bok i poprosiła
Tamarę o kosmetyczkę. Przejrzała się w małym lusterku,
westchnęła i przypudrowała nos. Puder osiadł różową
plamą na woskowożółtej twarzy, Olga to zauważyła. Po-
prosiła Tamarę, żeby kupiła jej inny puder, jaśniejszy.

– A ten różowy przy mojej cerze będzie jak róż do policzków – i uśmiechnęła się swoim dawnym uśmiechem, tak że zarysowały się od razu cztery dołki – dwa okrągłe w kącikach ust i dwa podłużne – na policzkach.

Przeczytała list jeszcze raz, znów sięgnęła do kosmetyczki i coś poprawiła na twarzy. Przed wyjściem Tamary poprosiła ją, żeby jutro przyniosła ładną, dużą kopertę.

Chce pisać odpowiedź, pomyślała Tamara. Ale się omyliła. Rano Ola włożyła zagraniczną kopertę do drugiej i schowała ją na dno szafki. Tamara oczekiwała, że Ola przeczyta jej ten list od Ilji, ale ta nie miała zamiaru. W końcu Tamara nie wytrzymała i spytała, co Ilja pisze. Olga uśmiechnęła się widmowo i odpowiedziała bardzo dziwnie:

– Wiesz, Brinczyk, niczego nadzwyczajnego nie napisał, po prostu wszystko wróciło na swoje miejsce. To mądry człowiek i wszystko zrozumiał. Przecież my nie możemy żyć osobno.

Tego dnia Ola wstała i dojrnęła do stołówki.

Powiadają, że czasem coś takiego się zdarza: w organizmie zaczyna działać jakiś zapasowy program, włącza się zablokowany mechanizm, coś się odnawia, ożywa, diabli wiedzą co... Bóg wie co... To samo dzieje się podczas cudownych uzdrowień. Święci czyniący cuda w imieniu Pana naszego Jezusa Chrystusa nie znają biochemii, a biochemicy doskonale znający procesy destrukcji związane z chorobami nowotworowymi zupełnie nie wiedzą, jaki tajemny guzik, uruchamiający ten program, naciskał Iwan Kronsztadzki czy błogosławiona Matriona.

Po Nowym Roku Olga nie wróciła do szpitala. Zaczęła się leczyć sama, jak chory kot, który ucieka do lasu, żeby zjeść uzdrawiające zioła. Wokół Olgi kręci-

li się teraz jacyś uzdrowiciele i znachorki, przyjeżdżał słynny zielarz z Pamiru, zażywała nalewki, łykała ziemię z tajemnych miejsc, piła mocz. Przychodziły do niej wróżki, jasnowidze. Skąd ona ich brała?

Antonina Naumowna, pogodzona z myślą o rychłej śmierci córki, czuła się bardzo zakłopotana. Śmierć na raka była bardziej zrozumiała niż uzdrawianie takimi metodami, aż nieprzyzwoicie zacofanymi. Lekarka, która przepowiadała rychły zgon, przyjeżdżała do Olgi do domu, osłuchiwała, obmacywała, prosiła, żeby zrobić analizy i badania, ale chora uśmiechała się tajemniczo i kręciła głową: nie, nie... Po co?

Lekarka była zdumiona. Takie nowotwory się nie cofają. Obmacywała pachy, uciskała pachwiny. Gruczoły się zmniejszyły. Skoro jest to rozpad, to powinna być intoksykacja. A u Oli żółtość ustąpiła i chora nawet trochę przybrała na wadze. Remisja? Dlaczego? Skąd?

Po pół roku Ola zaczęła wychodzić na dwór, a przyjaciółka Tamara coraz rzadziej ją odwiedzała. Było jej trochę przykro, że Ola niewystarczająco docenia dokonujący się w oczach cud boski. Tamara wciąż od nowa podejmowała rozmowę o tym, że trzeba się ochrzcić, chociażby z wdzięczności Bogu za ten cud, który uczynił. Ola śmiała się swoim niemal dawnym dziecięcym śmiechem:

– Brinczyk, jesteś mądrą, inteligentną kobietą, wielką uczoną, dlaczego wybrałaś taką śmieszoną wiarę, takiego Boga, który żąda od ludzi wdzięczności albo karze jak szczenięta, albo nagradza piernikami. Zapisałaś się przynajmniej do buddystów, co?

Tamara się obrażała, milkła, ale stawiała świeczki za zdrowie chorej Olgi i pisała karteczki z zamówieniami modlitw. Jednakże, mimo obrazy, musiała za-

uważyć bardzo ważną przemianę. Ola już nie mówiła o Ilji. Wcale. Ani źle, ani dobrze. A gdy Tamara sama skierowała rozmowę na jego temat, Olga mówiła wymijająco:

– Przecież wszystko jest w porządku! On już podjął decyzję, teraz to tylko kwestia czasu. Nie mówmy o tym.

To też był cud. Po tylu miesiącach nieustannych rozmów tylko o nim, tylko o nim...

Zaabsorbowana swoim odnowionym życiem Olga prawie nie zauważyła, że Kostia się ożenił. Wyprowadził się z domu, zamieszkał za miastem, w Opalisze, u teściowej, a wkrótce dzieciom urodziły się dzieci – chłopiec i dziewczynka, bliźnięta. Olga była rozczulona, ale trwało to krótko. Nie miała rezerw na nic więcej oprócz wyzdrowienia. Poświęcała temu wszystkie wewnętrzne siły.

Chociaż choroba szybko ją opuszczała, ona nie przestawała jej zwalczać. Na oknach w stołowym kiełkowały ziarna pszenicy, nie jadła chleba na zakwasie, piekła sobie jakieś placki z otrąb i roztartego siana, parzyła zioła na „srebrzonej” wodzie. Tutaj też, na parapecie, stały dwa dzbany, w których moczyły się srebrne łyżki nadające wodzie z kranu odpowiednią siłę.

Zmyślna opatrzność czymś wstrząsnęła, coś zrewidowała, podkreśliła, w ciągu roku Olga prawie całkiem wyzdrowiała, znów wzięła dużo zleceń, stukwała na maszynie co najmniej po sześć godzin dziennie. Mieszkały teraz w wielkim mieszkaniu we dwójkę z matką.

Olga była tak skoncentrowana na sobie, a dokładniej na obiecanej wspólnej przyszłości z Ilją, że nie zauważyła, jak schudła i zżółkła Antonina Naumowna. Prawdopodobnie zachorowała na tę samą chorobę, któ-

ra opuściła jej córkę. Też zaczęło się od żołądka, potem przerzuciło na jelita.

Kiedy to się stało, Olga zaczęła pielęgnować matkę, umiejętnie i bardzo troskliwie. Miała dziwne uczucie, jakby pielęgnowała samą siebie. Przecież to wszystko niedawno działo się z nią.

Nigdy nie były tak bliskie i czułe wobec siebie. Olga była zadowolona, że nie wyjechała z Ilją i może teraz pogłaskać matkę po rękę, ugotować jej rosół, którego ta raczej nie będzie piła, prześcielić łóżko, otrzeć kąciki ust. Antonina Naumowna wciąż prosiła córkę, żeby ją umieściła w szpitalu, ale Ola jedynie się uśmiechała:

– Mamusiu, w szpitalu może wytrzymać tylko zdrowy człowiek. Czy ci źle w domu? Nie? To zapomnij o szpitalu.

Rozum Antoniny Naumowny słabł. Zapominała całe duże fragmenty życia, a inne, malutkie, nagle skądś napływały. W ostatnich dniach choroby przypominała sobie tylko bardzo odległą przeszłość: jak wszystkie kury babci padły jednego dnia, jak koń poniósł, a ona i matka wypadły z sań, i ostatnie – jak na szkoleniu partyjnym poznała Afanasija. Całego późniejszego życia nie pamiętała – żadnych posiedzeń kolegium redakcyjnego pisma, żadnych odpraw w komitecie obwodowym partii, prezydiów, referatów, konferencji. Tylko drobne zdarzenia rodzinne.

– Ach, z głową coś mi się dzieje, coś się przekręciło – szeptała i siliła się, żeby przypomnieć sobie coś niedawnego. – Wszystko jakby się zapadło w jakiś dół.

W pokoju oświetlonym zieloną biurkową lampą odeszła w samotności, lekko i nieświadomie, mówiąc dość wyraźnie: „Mamo, mamó, tato...”.

Ale nikt nie słyszał tych słów. Rano Olga znalazła

matkę zimną i od razu zadzwoniła do Związku Pisarzy, mieli tam specjalne usługi pogrzebowe.

Wszystko odbyło się godnie. Miejsce już było na Ważańskim, obok generała.

Pogrzeb był niezwykle gorzki. Nie dlatego, że łyzy i szlochy, i smutek, a nawet może straszne poczucie winy. Przeciwnie. Nikt z odprowadzających nie urobił nawet łezki, nie było smutku ani choćby zwykłego ubolewania. Na zmarzniętych twarzach wyraz powagi, stosowny do okoliczności. Organizator pogrzebu z ramienia Związku Pisarzy Arij Lwowicz Bas dostrzegł tę atmosferę – całkowitą obojętność otoczenia na śmierć działaczki literackiej. Kostia, który do śmierci babci mieszkał z żoną i bliźniakami w Opalisze u teściowej, wrócił do Moskwy, bez szczególnej ochoty spełniając prośbę Oli. Studiował w tym czasie na czwartym roku, Lena na trzecim – miała opóźnienie z powodu urlopu dziekańskiego.

Wszystko pozmieniali, przemeblowali. Kostia na prośbę Oli przeniósł się do dawnego pokoju dziadka. Stało tam wielkie wygodne biurko i drugie stanowisko pracy – sekretarzyk z podnoszonym blatem. Był to gabinet. Sypialnię urządzili w pokoju babki, „małym komunistycznym”, jak go nazywał Kostia z powodu asceetycznego wystroju, zielonego abażuru na dębowym biurku i spoglądającego ze ściany Lenina z kłocem na ramieniu. Lenoczka kupiła tapczan w miejsce skórzanej kanapy, sprawiła poduszki z falbankami, a Lenina zastąpiła *Słonecznikami* Van Gogha.

Ola swój pokój odstąpiła wnukom i przeniósła się do dużej jadalni. Słynne łoże z kolumienkami i cherubinami znów powędrowało do komisju na bulwarze Smoleńskim. Jadali teraz w kuchni, jak zwykli ludzie

sowieccy, którzy już się wyprowadzili z komunałek do samodzielnych mieszkań, ale o burżuazyjnych „gabinetach” i „stołowych” nigdy nie słyszeli.

Cicha Lenka niepostrzeżenie wzięła w swoje ręce ster domu, troszczyła się o wszystko, starannie sprzątała i smacznie gotowała. Co rano przyjeżdżała matka Lenki Anna Antonowna, karmiła dzieci, brała na spacer, układała do snu.

Lenka była dzielną dziewczyną. Przybiegała z uczelni, odprawiała matkę i przejmowała zmianę. Olga nie zajmowała się wnukami, ale Lenka wcale nie miała o to pretensji. Przeciwnie, była teściowej wdzięczna. Początek swojego życia rodzinnego spędzili w Opalisze. Gnieździli się tam w pokoju o dwóch oknach, ze spadzistą podłogą, tak że pod kółka dziecięcych łóżeczek trzeba było podkładać drewniane klocki, żeby się nie staczały, a mieszkali w tym pokoju we czwórkę. Ciepłej wody w tym podmiejskim domu nie było. Dobrze, że dwa lata przed urodzeniem się dzieci doprowadzono przynajmniej wodociąg i kanalizację.

W generalskim domu panowało wielkie zamieszanie. Kupione i naprawione przez dziadka meble bezlitośnie przestawiano z miejsca na miejsce. Dwuletni Miszka i Wieroczka chwytali łapkami czeczotową okleinę. Miszka upodobał sobie dłubanie w ptasich głowach salonowego garnituru, aż wreszcie Kostia wywiózł cały komplet do komisju na bulwarze Smoleńskim. Dyrektor sklepu już ich znał, nieoczekiwanie dał dużo pieniędzy.

Dość często zaglądała oddana Tamara. W miarę jednak jak Olga stawała się mocniejsza, stosunki między nimi przyjmowały dawną formę: Olga rozkazywała, Tamara wykonywała polecenia. Przyjaciółka Gala

szycowała się do zmian w życiu, uczyła się języków obcych na kursach wieczorowych i prawie się nie pojawiała. Zresztą jej mąż Giena też był przeciwny tej zażyłości – uważał, że Ola nie nadaje się na przyjaciółkę!

O Ilji Olga jakby nie pamiętała. Tamara się cieszyła, że te diabelskie czary minęły, zdumiewając się, jak mocno były związane z chorobą...

Ale Tamara nie o wszystkim wiedziała. Olga z od dali obserwowowała Ilję. Chociaż po jego liście pożegnalnym stosunki między nimi jakby się znowu urwały, to jednak teraz była przekonana, że Ilja podjął ważną życiową decyzję i do ostatecznego zwycięstwa trzeba tylko czasu. Ola zdawała sobie sprawę, że Kostia nadal koresponduje z ojczymem, dostrzegała oznaki ich kontaktów: w domu pojawiały się niespotykane zabawki dla dzieci i zagraniczne ciuszki. Ale teraz już jej to nie drażniło, przeciwnie, odbierała to jako zapowiedź rychłych przemian.

Poza tym Olga miała tajnego informatora, od którego się dowiedziała, że żona Ilji pije i on się jej wstydzi, nigdzie ze sobą nie zabiera i od czasu do czasu odsyła ją z Monachium z powrotem do Paryża. A ona wlecze się za nim i strasznie mu ciąży.

Te wiadomości były dla Olgi wielką pociechą. Przyczaiła się i czekała, że lada chwila Ilja sam się zjawi. Co będzie dalej, nie zastanawiała się. To jej wystarczało.

Zdrowie Oli się poprawiło, znowu miała mnóstwo zleceń, była zavalona słownikami i papierami, pracowała nawet z większym zapałem niż dawniej. Po nocach łapała radio Swoboda, słuchała wszystkich audycji, w których występował Ilja, i teraz już była pewna, że wszystko dobrze się skończy... Wciąż ją interesowały audycje „przeciwko władzy sowieckiej”,

ale żar dawnego oburzenia znacznie ostygł, gdy Ilja wyjechał.

Tłumaczyła teraz patenty techniczne, były to świetne zarobki. Odpowiednie kursy przeszła jeszcze przed chorobą. Od czasu do czasu jechała do Centralnego Telegrafu i zamawiała paryski numer telefonu. Niekiedy nikt nie odbierał, ale częściej do aparatu podchodziła kobieta: im bliżej nocy, tym bardziej pijackie było jej „*J'écoute! Hallo! J'écoute!*” i Olga od razu odkładała słuchawkę. Ilja nigdy nie podchodził do telefonu. Jasne, że się rozeszli, albo przynajmniej rozjechali!

Tak więc pracując i oczekując zmiany losów, Olga była przekonana, że wkrótce nastąpi rozwiązanie i znowu z Ilją będą razem.

Nastąpił dzień, gdy Ilja sam zadzwonił z Monachium. Głos był znajomy, ale jakiś zakrzepły.

– Olka! Wciąż o tobie myślę! Kocham cię! Całe życie tylko ciebie. Dopędziłem cię i prześcignąłem. Zdiagnozowano u mnie raka nerki, operacja w przyszłym tygodniu.

– Skąd wiesz, że to rak? Dopóki nie zrobiono biopsji, nic nie wiadomo! Wszystko o tym wiem! Wiesz przecież, że się z tego wykaraskałam! O własnych siłach! – krzyczała do słuchawki, a on milczał i nawet nie usiłował jej przerwać. – Najważniejsze, żeby nie dopuścić do operacji!

Ale najistotniejsze było co innego: kocha ją, tylko ją, i kocha na zawsze.

Drugi raz zadzwonił z kliniki, już po operacji. Teraz rozmawiali prawie codziennie. On odczytywał jej wyniki analiz, ona od razu mu mówiła, jakie zioła powinien pić, i kupowała je w moskiewskich aptekach u swoich zielarzy, wyszukiwała okazje, by przesać mu

je do Monachium, posyłała maści i balsamy, szczególnie objaśniała, co, gdzie i kiedy smarować. Kiedy zaczęto mu robić chemioterapię, wściekała się i krzyczała do słuchawki, że on sam siebie zabija, że chemia przynosi więcej szkody niż rak:

– Natychmiast wypisz się i przyjeżdżaj! Ja wiem o tym wszystko! Siebie wyciągnęłam, to i ciebie wyciągnę!

W powietrzu coś wisiało i Olga, mimo że całkowicie odsunęła się od dawnych przyjaciół dysydentów, czuła: lata osiemdziesiąte, nieruchawe, ciężkie, chyła się ku końcowi i jej wrzaski o przyjeździe Ilji już nie wydawały się obłąkane. Odpowiedział jej to, co najbardziej chciała usłyszeć:

– Nie, Oleńka, na razie to niemożliwe. Jeśli wyjdę z tego żywy, zrobimy tak, że ty tu przyjedziesz...

Nadal do niej dzwonił, jego głos był coraz słabszy, a telefony coraz rzadsze. A potem zadzwonił po raz ostatni, jak spod ziemi:

– Olka, dzwonię z komórki! Przyjaciel przyniósł mi ją do szpitala! Pomyśl tylko, do czego doszło! Taki postęp! A ja cały jestem w przewodach i rurkach, jak kosmonauta. Chyba już niedługo dadzą sygnał do startu i odleczę...

I zaśmiał się cicho tym swoim krztuszącym się, nieco piskliwym śmiechem.

Dwa dni później Ola odebrała telefon z Monachium i oznajmiono o jego śmierci.

– A więc to tak – powiedziała tajemniczo i zamilkła.

Wieczorem przyszła Tamara, wypity w milczeniu po kieliszku wódki. Kostia nalewał; nakładał im na talerze ser i kiełbasę.

Kilka dni później Olga znalazła na głowie coś dziwnego, jakby tłuszczaki. Bezboleśnie przetaczały się pod

skórą. I pod pachami też przetaczały się kulki, szczepione z sobą jak kiść winogron.

Wiadomość o śmierci Ilji pozbawiła ją sił, Olga położyła się do łóżka i nie wstawała. Tamara przybiegała co wieczór, siedziała z nią do późnej nocy, ciągle próbując namówić na wizytę u lekarza, ale Olga tylko uśmiechała się blado i wzruszała ramionami. Chociaż Tamara przez całe życie zajmowała się endokrynologią i była już doktorem habilitowanym, właściwą medycyną nigdy się nie parała, nikogo nie leczyła, z chorymi prawie nie miała styczności, niemniej rozumiała, że nastąpiły rozległe przerzuty i trzeba pilnie zastosować chemioterapię. Ale Olga uśmiechała się błogo, głaskała Tamarę po rękę i pogodnie szeptała:

– Brinczyk, niczego nie zrozumiałaś.

Pewnego wieczoru Olga opowiedziała Tamarze sen, który miała poprzedniego dnia: na ogromnej usianej kwiatami łące stoi wielki zielony namiot, a do niego podąża ogromna kolejka, cały tłum ludzi. Olga staje na samym końcu ogona, ponieważ koniecznie musi wejść do tego namiotu.

Tamara, ze swym świeżym zmysłem mistyki, cała zdrętwiała:

– Namiot?

– No tak, coś jak namiot cyrkowy, ale bardzo duży. Rozejrzałam się i widzę w kolejce same znajome twarze: jakieś dziewczynki z obozu pionierskiego, od dzieciństwa się z nimi nie spotykałam, nauczyciele ze szkoły i profesorowie z uniwersytetu, nasz docent... Po prostu cały pochód!

– I Antonina Naumowna?

– Tak, i mama oczywiście, i moja babcia, której w życiu nie widziałam, i wszystkie bliskie osoby – Micha,

obok niego jacyś chłopcy, dzieciaki, Sanieczka, Gałka ze swoim facetem.

– Jak to, i żywi, i zmarli razem?

– No tak, oczywiście. I jakiś pies wpada mi wprost pod nogi i jakby uśmiecha. Patrzę, a trzyma go na smyczy dziewczynka. Była taka urocza dziewczynka Marina. Zapomniałam, jak się wabił ten pies... Giera! Nazywał się Giera! I bardzo wiele innych osób... I nagle, wyobraź sobie, w oddali, przy samym wejściu, zauważyłam Ilję, a on z samego początku kolejki macha do mnie ręką: „Ola! Chodź do mnie! chodź! Zająłem ci miejsce!”.

Więc zaczęłam się do niego przeciskać przez tłum, wszyscy się oburzali, dlaczego bez kolejki, i mama zapytała, czemu się pcham przed innymi. Ale wtedy pojawił się ogromny starzec z brodą, bardzo piękny i zrozumiałam, że to mój dziadek Naum. Zrobił nad tłumem ruch ręką, wszyscy się rozstąpili, a ja pobiegłam w stronę namiotu. A namiot jakby już nie zielony, tylko mieni się złoto. Patrzę – Ilja się uśmiecha, widzę, że na mnie czeka. Wygląda bardzo dobrze, całkiem zdrowy, młody, postawił mnie obok siebie, położył mi rękę na ramieniu. Wtedy zjawiła się ta Oksana, ciśnie się do niego, a on jej jakby nie widzi. Drzwi żadnych nie ma, tylko gruba tkanina jakby portiera, ta kotara się rozchyła, a ze środka rozlega się muzyka, nie potrafię powiedzieć jaka, z jakimś niewyobrażalnym zapachem, i jakby świeci.

– Komnata* – samymi wargami wyszeptała Tamara.

– Ależ, coś ty, Brinczyk! Jaka komnata? Wygadujesz jakieś diabelstwa.

* Z astrologicznego Kalendarza Słowiańsko-Aryjskiego; „komnaty” (czertogi) są odpowiednikami znaków Zodiaku (przyp. red.).

– Co ty mówisz, Olu? – przeraziła się Tamara.

– No dobrze, dobrze, nie bój się, niech ci będzie komnata. Tak czy owak słowami nie da się tego objaśnić. No więc wchodzimy tam razem.

– A tam – co? – tchnęła Tamara.

– Nic. Wtedy się obudziłam. Ładny sen, prawda?

Olga umarła czterdziestego dnia po śmierci Ilji.

EMERYCKA MIŁOŚĆ

Raz w miesiącu Afanasij Michajłowicz wstawał o piątej rano, a nie jak zwykle o wpół do siódmej, golił się szczególnie starannie, wkładał czystą bieliznę, zjadał chleb i wypijał herbatę, na starą bluzę wkładał flauszowe palto, a na głowę czarną uszankę. W cywilnym okryciu czuł się jak w przebraniu. I rzeczywiście nikt go nie rozpoznawał, nawet stróż w bramie wiodącej do osiedla dacz go nie witał.

Po wczorajszej śnieżycy wszystko było czyste i świeże jak po generalnym sprzątaniu. Afanasij Michajłowicz doszedł do przystanku autobusowego. Na zaśnieżonym rozkładzie jazdy nie można było odczytać, kiedy będzie następny autobus. Stał pod wiatą. Na autobus czekały dwie kobiety – pielęgniarka, która go nie rozpoznała, i jakaś nieznajoma. Ale też chyba z miejscowych, ze wsi. Odwrócił się i zaczął patrzeć w drugą stronę.

Jechał na potajemną schadzkę do serdecznej przyjaciółki Sofoczki, żeby z nią pogawędzić – otworzyć duszę nie duszę, no bo coś tam przecież mają i generałowie, usłyszeć od niej, dlaczego jest tak ciężko.

Miała talent do występowania w jego imieniu. Od dnia, kiedy przyszła do niego jako sekretarka w trzydziestym szóstym roku, gdy pracował w Ludowym Ko-

misariacie Obrony w swojej wojskowej specjalności – budownictwie, umiała powiedzieć wszystko, czego on nawet nie potrafił wyartykułować.

Ani razu się nie pomyliła. Mówiła, co należało. Tak było aż do czterdziestego dziewiątego, z przerwą na wojnę. Po wojnie, gdy Afanasija Michajłowicza mianowano komendantem wojskowej uczelni budowlanej, odszukał swoją byłą sekretarkę i znów była przy nim, jak Aaron przy Mojżeszu. Afanasij coś tam pomamrocze, a podwładni biegną do Sofoczki po wyjaśnienia.

Odznaczała się dobrym wychowaniem i taktem. Wychowanie – z gimnazjum, do którego uczęszczała do piętnastego roku życia, dopóki gimnazjów nie zamknięto z powodu rewolucji. A taktowność – z natury. Natura też obdarzyła ją bujną urodą. Głowę z gęstymi brwiami i wielkimi oczami nosiła nieco odchyloną do tyłu, bo ciągnął ją wielki warkocz upięty w prosty węzeł. W czterdziestym dziewiątym warkocz został obcięty. I chociaż Sofoczka była niewielkiego wzrostu, to z powodu potężnych piersi okrytych niebieskimi i zielonymi sukniami, pulchnych rąk z dużymi, czerwonymi paznokciami i zamaszystych, okrągłych ruchów sprawiała wrażenie dużej i dorodnej. Bardzo dużej – nie tylko z racji obfitych kształtów, ale i z racji charakteru. Przezywano ją Krowa. Faktycznie była podobna do krowy. Do krowy Europy. Ale generał o tym nie wiedział. Chociaż – że jest boginią – wiedział. I ubóstwiał ją. Nigdy nie przemknęła mu najdrobniejsza myśl, że zdradza żonę. Żona to jedno, Sofoczka – to co innego. Zupełnie co innego. I gdyby się nie pojawiła w życiu Afanasija Michajłowicza, nigdy by się nie dowiedział, czym jest słodycz kochania, czym jest kobieta i jak głębokie zapomnienie daje ona utrudzonemu budownictwem mężczyźnie.

Przez wszystkie lata, kiedy u niego pracowała, aż do czterdziestego dziewiątego roku, jeden jedyny raz, już przed samym końcem postawiła go w niezręcznej sytuacji. Uklękała przed nim, wtuliła twarz w jego gabardynowe bryczesy i pozostawiła w nieskromnym miejscu ślad swojej czerwonej szminki. A co mógł zrobić? Powiedział: nie, o swoim bracie milcz.

„Jakże mam się wstawiać za twoim bratem – pomyślał wtedy – skoro nie wiem, czy uda mi się uchronić ciebie”. Nie udało się.

Generała wezwano do zarządu politycznego i oznajmiono: ma usunąć sekretarkę.

On, ze swoją zwykłą kaszą w gębie, niezbędny, ceniony pracownik. A rozmówca – młody kapitan, blondyn z resztkami konopnych włosów, oczy blisko siebie, jak wypłowiata ósemka, niebieskie pagony... Co im tam, że był na froncie, że jest zasłużonym generałem, nie uhonorowali go choćby rozmową z pułkownikiem...

– Kochankę kryjcie! Wiecie, że ja wiem, że wy wiecie...

– A róbcie, co chcecie – poddał się Afanasij Michajłowicz w drugiej godzinie rozmowy – wy macie swój resort, a ja jestem od dróg, mostów, dojazdów.

Wypłowiatały uśmiechnął się nieprzyjaźnie, kiwnął głową. Ale dla niego zgoda na zwolnienie to było mało. Targował się dalej. Rozmowa była niby służbowa, ale kapitan wciąż naciskał: wiedział wszystko – i o sprawach służbowych, i o potajemnych schadzkach. Mówił aluzjami, nie wprost, a potem nagle – buch! – co, może nie składacie jej wizyt w zaułku Dajewym? Może nie znacie siostry Sofoczki – Anny Markowny? Profesorka, tak? A Josifa Markowicza, brata, aktora żydowskiego teatru GOSET, też nie znacie?

Chyba chodzi nie tylko o Sofoczkę – dotarło wreszcie do Afanasija Michajłowicza. Cały się spocił.

Czy na tym się skończy? Skończyło się – tylko jeden podpis. Następnego dnia przysłano nową sekretarkę, a Sofoczki już więcej nie widział. Przez ponad cztery lata. Na początku pięćdziesiątego czwartego roku wróciła z Karagandy. Minał rok, zanim się znowu spotkali. I to gdzie! Aż śmieszne! Na bazarze w Nachabinie, wczesnym rankiem, w czerwcu. Afanasij Michajłowicz kupował rzodkiewkę i marchewkę. W niedzielę mieli być goście, Antonina Naumowna w wirze przygotowań zapomniała posłać służącą na rynek. Afanasij Michajłowicz sam się ofiarował – byle jak najdalej od domu, byle uniknąć niedzielnej krzątaniny w kuchni. Pojechał sam, prywatną pociągą, bez szofera.

Ona poznała go pierwsza – i odwróciła się. Warkocza już nie miała, zniknęła pulchność, twarz zasłaniała ręką, wciąż tą samą, dużą, z dołkami u nasady palców. Tylko manicure’u czerwonego nie było – był bladoróżowy. Poznał ją po tej ręce. Tą ręką wiele razy głaskała go po łysinie i jednym takim gestem łatwo usuwała smutek i niepokój. Poszedł za nią, dogonił:

– Sofio Markowno!

– Afanasij! – powiedziała, zasłaniając usta. – Mój Boże!

Jej śnieżnobiałe ząbki – pozostał co drugi.

– Zwolnili cię?

– Jedenaście miesięcy temu, w lipcu zeszłego roku.

– Dlaczego się nie pokazałaś? – Nie wiedział, jak się do niej zwracać: po imieniu czy oficjalnie.

Machnęła swą piękną ręką i ruszyła przed siebie, jakby chciała się znaleźć jak najdalej od niego. Dogonił ją, dotknął jej ramienia. Zatrzymała się i rozplakała.

Zdjął cywilny słomkowy kapelusz i też się rozpląkał. Była inna niż dawniej, bardzo zmieniona, ale po chwili połączyły się w jedno – tamta majestatyczna piękność, i dzisiejsza – wychudła, brzydka, ale i tak najcudowniejsza na świecie.

Mieszkała niedaleko na daczycy u siostry, Anny Markowny. Zostawił auto przy bazarze, by odprowadzić ją do domu. Szli w milczeniu, obojgu dech zaparło. On wciąż myślał o jednym: czy ona wie o tym podpisie? Nie dochodząc na miejsce, zatrzymała się:

– Tu się pożegnamy. Oni nie powinni cię widzieć. Ty też nie powinienes. Wiesz, mojego brata rozstrzelali.

„Wie – pomyślał. Serce zaciążyło mu mdląco. – Ale co wie? Może myśli, że napisałem donos na jej brata?”.

Sofia poznała go z Jefimem, był to wesoły chłopak, pracował w teatrze Michoelsa, a poza tym pisał jakieś historyjki po żydowsku. Widzieli się dwukrotnie. Ale Afanasij Michajłowicz złożył tylko jeden podpis, jeden jedyny. I nie dotyczyło to brata.

– Mieszkasz w zaułku Dajewym, jak dawniej?

– U siostry. Do tamtego pokoju wprowadził się dozorca – powiedziała obojętnie, a on przypomniał sobie ten pachnący perfumami Krasnaja Moskwa pokoi, stertę poduszek, kolekcję flakonów i zbiór kotów – porcelanowych, szklanych, kamiennych. – Obiecali, że pokój zwrócą, dozorcę wysiedlą.

Pokój rzeczywiście wkrótce jej zwrócono. Afanasij Michajłowicz od czasu do czasu telefonował z automatu, na stary, jeszcze przedwojenny numer, chciał ją odwiedzić. Sofia Markowna przez długi czas odmawiała:

– Nie, nie chcę, nie mogę.

A pewnego razu powiedziała: przyjdź.

I znowu wszedł po kuchennych schodach, od po-

dwórka, ponieważ pokój Sofii wychodził tam ścianą. Dawniej też nie przychodził głównym wejściem, gdzie drzwi były duże, obwieszane siedmioma dzwonkami, w dawnych latach pukał do niej w ścianę, a ona podnosiła wielki haczyk, napełniając sobą i swoimi słodkimi perfumami całą ciemną sień, i brała go za rękę, i prowadziła do swojego gniazdka, na swoje poduszki, kołdry, a on pogrążał się w ciepłe jej wspaniałego, poddającego mu się ciała.

I cała dawna bliskość powróciła, i to nawet silniej, bo teraz była na zawsze utracona i przypadkiem odzyskana.

Rozpoczął się drugi odcinek długiego filmu o wielkiej miłości. Tylko jedno co prawda się zmieniło. Ani słowa o pracy. Sofia Markowna, jak zawsze, zachowywała się bardzo taktownie. O nic nie pytała. O swoich ponurych latach nie opowiadała.

Rozmawiali o tym, o czym on sam napomknął. Przeważnie o sprawach domowych, rodzinnych. I wciąż o Oleńce, o córce. A Oleńkę Sofia Markowna знаła od urodzenia, ale z opowieści. I ze zdjęć. Pewnego razu, niedługo przed nieszczęściem, jeszcze w czterdziestym dziewiątym, odważył się pokazać Sofii Oleńkę – kupił trzy bilety do teatru, na dziecięcy balet *Doktor Ojboli*. Dwa bilety do pierwszego rzędu dał Oli i jej koleżance, a trzeci, obok, Sofoczce. Dziewczynki siedziały obok Sofii Markowny. Ona patrzyła na nie, a one – na scenę.

Fotografie małej dziewczynki wisią teraz w ramach na ścianie. I tak trwało nadal – Sofoczka bardzo interesowała się Oleńką. Afanasij Michajłowicz pewnie nie wiedziałby tyle o swojej córce, gdyby nie zbierał dla Sofii tego domowego dossier: jaką ocenę dostała za dyktando, do jakiego muzeum poszła w zeszłą niedzielę.

Lata bieły, Sofoczka dowiadywała się i o wstąpieniu na uniwersytet, i o wczesnym zamążpójściu. Nieudanego małżeństwa Oli nie apróbowała od samego początku. Mówiła: nie, nasza Oleńka przewyższa go intelektualnie, znajdzie sobie kogoś ciekawszego, zapamiętaj moje słowa. Okazało się, że miała rację. A kiedy Ola zaczęła mieć przykrości, Sofia Markowna też mu słusznie doradziła: idź na emeryturę, Fiesza.

Sam by się nie zdecydował, lecz ponieważ poszedł, to ocalił zdrowie. I po przejściu na emeryturę życie się zmieniło, w zasadzie na lepsze. Na dużo lepsze.

Afanasij Michajłowicz nie uprzedzał Sofoczki o swych comiesięcznych wizytach. Nie ustalali tego. Czekała na niego zawsze, do dwunastej nie wychodziła z domu. W lodówce trzymała dla niego zamrożony farsz do naleśników. Szybciotko rozrabiała ciasto, smażyła cieniutkie jak papier naleśniki, zwijała w rurki, dwa z mięsem i jeden na słodko z twarogiem. Do mięsnych podawała kieliszek wódki na cząbrze, a do słodkich – herbatę. Wszystkie potrawy, które przygotowywała, były nieco słodkawe – i mięso, i ryby. I ta słodycz zdawała się pochodzić nie z cukru, ale od niej samej, podobnie jak zapach jej ciała, ubrań, pościeli.

Dwudziestego marca generał jechał do przyjaciółki po raz ostatni, czego się nie domyślał. Wiedział tylko, że od ostatnich odwiedzin nie minął nawet miesiąc, zaledwie dwa tygodnie z ogonkiem, ale nagle ogarnęła go tęsknota i wybrał się wcześniej. Autobus się nie spóźnił, pociąg elektryczny też nie zawiódł. Przybył na Dworzec Ryski zgodnie z rozkładem jazdy, o dziewiętej pięćdziesiąt. Za miastem było spokojnie, ale na placu szalała zamieć. Kiedy kupował kwiaty – mimozę – zamieć raptem się uspokoiła, zaświeciło słońce. Wsiadł

do trolejbusu. Jeżeli chodzi o porę, wszystko odbyło się jak zwykle, ale Afanasij Michajłowicz nie wiadomo dlaczego był niespokojny. A może nie ma jej w domu? Różne rzeczy mogą się zdarzyć – poszła do lekarza albo na zakupy. Wymacał w kieszeni klucz. Sofoczka już dawno dała mu klucz do pokoju, na wszelki wypadek. Było to bez sensu, bo nie miał klucza od drzwi wejściowych. I tak pod jej nieobecność nie wszedłby do pokoju, ponieważ kuchenne wejście zawsze było zamknięte na wielki haczyk.

Gdy zbliżał się do domu, znów powiało śniegiem. Afanasij Michajłowicz zauważył, że koło domu jest dużo ludzi, stoi autokar i kilka samochodów. Ale było to cudze życie, wcale go nie dotyczący. Wszedł po kuchennych schodach, zapukał w ścianę i stał pod drzwiami, czekając na zdjęcie haczyka. Czekał dość długo: nikt nie otwierał. Znowu zapukał – powinien być może uprzedzić, zadzwonić? Ale nie zwykli do siebie telefonować. Sofia Markowna od dawna nie ufała telefonom.

„Wejść od frontu” – postanowił Afanasij Michajłowicz i zszedł na podwórze.

Przy bramie manewrował autokar, podjeżdżając tyłem w pobliże wejścia. Ludzie z kwiatami odskoczyli na boki.

Katafalk – obojętnie zauważył Afanasij Michajłowicz.

Ale zaraz oblał go war: kogo tu chowają?

I w jednej chwili zrozumiał, że ją, Sofię Markownę.

Spojrzał na najdalsze od bramy okno – w tej chwili się otworzyło, jakby potwierdzenie domysłu. Z otwartych na oścież frontowych drzwi wynoszono ogromną otwartą trumnę. Wynoszono nie po ludzku, nie nogami, ale głową do przodu. Głowa, wysoko uniesiona

na poduszce, była ta sama – piękna głowa, bladożółta twarz, wargi pomalowane na czerwono. I uderzył go w nos słodki zapach.

Generał zachwiał się i zaczął się powoli osuwać. Ktoś go podtrzymał, nie dano mu upaść. Pod nos podeknięto amoniak, ocknął się. Twarz kobiety, którą ujrzał wprost przed sobą, była jakaś znajoma. W tym samym typie co Sofia Markowna – duża głowa, duże piwne oczy, szerokie męskie ramiona. Oczywiście, była to jej siostra Anna Markowna, Anieczka.

– To pan! Pan! – gniewnie, ale bardzo cicho powiedziała do niego Anna Markowna. – Co pan tu robi? Jak pan śmiał? Precz stąd!

No więc poszedł precz. Nie widział, jak wynoszą wykonaną na zamówienie trumnę – dla takich tęgich osób gotowych wyrobów nie było – i z trudem wciskają w szeroko otwarte drzwi karawanu, jak ładują się do autokaru liczni żydowscy krewni. Nie widział także swoich dwu dawnych pracowników, z którymi Sofia Markowna utrzymywała stosunki już po powrocie z Karagandy.

Poznały go i zamieniły spojrzenia. Długo jeszcze będą plotkować o nim, o Sofoczce, snuć różne domysły. I w końcu dojdą do wniosku, że Sofoczka mydliła im oczy, opowiadała o wysokim ciśnieniu, o starości, o samotności, a tymczasem spotykała się ze swoją emerycką miłością. Pomyślały, policzyły – wyszło im, że od trzydziestego piątego – trzydzieści dwa lata, jeżeli nie liczyć wymuszonych przerw.

Ściskając w zsiniałej dłoni łodyżkę mimozy, generał szedł do trolejbusu. A więc Sofoczka o wszystkim wiedziała. To znaczy, że wybaczyła.

WSZYSCY SĄ SIEROTAMI

Pogrzeb był niezwykle gorzki – nie dlatego, że łzy i szlochy, i smutek, i żałoba. Przeciwnie: nikt z żałobników nie uronił łzy, nie wyraził bólu. Tę całkowitą obojętność otoczenia wobec śmierci działaczki literackiej odnotował w duchu organizator pogrzebu z ramienia Związku Pisarzy Arij Lwowicz Bas. W ciągu swoich siedemdziesięciu czterech lat przez sześćdziesiąt zajmował się pogrzebami. Rzemiosło to było dziedziczne. Jeszcze dziadek był szefem bractwa pogrzebowego w Grodnie. Arij Lwowicz znał swój fach doskonale. Był nie tylko wybitnym znawcą wymierającej profesji grzebalników, ale również poetą tego prastarego rzemiosła.

Wielki mistrz ceremonii chował najznakomitszych pisarzy – Aleksego Tołstoja, Aleksandra Fadiejewą, nawet samego Gorkiego – częściowo... Pierwszy wielki pogrzeb, w którym uczestniczył jeszcze nie jako główny dyspozytor, ale jako pierwszy pomocnik, odbył się w roku trzydziestym. To wtedy właśnie zetknął się po raz pierwszy z Antoniną Naumowną. Zapamiętał to. Och, zapamiętał!

Tamtego kwietniowego dnia, koło południa, odebrał telefon z poleceniem, żeby pojechał obmierzyć zmarłe-

go samobójcę*. Arij przyjechał do zaułka Gendrikow, ale okazało się, że to nie ten adres. Wybitny poeta zastrzelił się gdzie indziej – na Łubiańskim Przejeździe, gdzie miał pracownię. W mieszkaniu zamiast nieboszczyka Arij zastał troje żywych: dwóch mężczyzn z Głównego Zarządu Politycznego i tę właśnie Antoninę, podobno pisarkę.

Mężczyźni wytrząsali papiery z biurka, a ona coś pisała. Mężczyzna z wielką czarną czupryną łypnął na Arija cygańskimi bezczelnymi oczami – precz stąd! Arij, śmiertelnie wystraszony, stoczył się ze schodów i dopiero na dole doszedł do siebie. Nauczony doświadczeniem, nie bał się umarłych. Bał się żywych. Po dwóch godzinach nieboszczyka przywieziono, na noszach zaniesiono na trzecie piętro, i dopiero gdy ci troje, z dwiema teczkami, wyszli z bramy, Arij znowu poszedł na górę.

Kilka osób, wśród nich dwie panie, jedna bardzo zapłakana, stały w korytarzu. Drzwi do pokoju były otwarte na oścież, przy drzwiach klóciły się dwie osoby. Chodziło o pieczęć, którą jeden z nich dopiero co zdjął z drzwi. Drugi robił mu wymówki:

– Odpowiesz za to! Skoro pomieszczenie jest opieczętowane, to znaczy, że nie wolno tam wchodzić.

Ten pierwszy pyskował:

– A gdzie mam zostawić nieboszczyka? Na korytarzu? Co to jest, że robicie w portki przy każdej pieczęcie? Ja dostałem polecenie: odstawić na miejsce!

Arij zmierzył nieboszczyka – wzrost sto dziewięćdziesiąt jeden. Trumna na zamówienie. Pogrzeb był niezwykły. Tysiące ludzi zalały ulicę Worowskiego, a potem cały ten tłum szedł piechotą do Monasteru

* Włodzimierza Majakowskiego, który zastrzelił się 14 kwietnia 1930 r. (przyp. red.).

Dońskiego za ciężarówką, na której wieziono trumnę i jeden wieniec, żelaznego potwora z dziwnych elementów, sierpów i młotów. Ani jednego kwiatka. Dziwny i wspaniały był ten pogrzeb. Bardzo wspaniały. Smutku tak powszechnego nigdy wcześniej nie widział. Zresztą potem też nie. Chyba że trzydzieści lat później, na pogrzebie Pasternaka.

Arij okrzepł na swoim pogrzebowym stanowisku. Teraz bez jego udziału nie chowano żadnego z pisarzy. Chyba że się zdarzyło, iż zgon nastąpił daleko od Moskwy. W latach powojennych stale spotykał Antoninę na warcie honorowej przy trumnach pisarzy, a nawet wśród przemawiających.

Czy mógł wtedy, będąc jeszcze chłopcem, wiedzieć, ilu ich pochowa? Arij lubił swoich nieboszczyków. Czytał tylko tych zmarłych. Dopóki żyli, nie miał głowy do tego, żeby ich czytać, a tym bardziej lubić. Zresztą ich prawdziwą wielkość można ustalić dopiero na pogrzebie.

Antonina zaś okazała się teraz zupełnie nikim. A odprowadzających ją było tyle, co kot napłakał – sześć osób: córka Olga i wnuk zmarłej Kostia z żoną, przyjaciółka córki, sąsiadka z klatki schodowej i rodzona siostra nieboszczki Walentyna, której rodzina nie widziała od dziecięciu lat. Córka była głęboko usatysfakcjonowana: pod koniec pogodziła się z matką, swój dług spłaciła co do grosza, zresztą Antonina Naumowna odeszła spokojnie, bez szczególnych cierpień, przytępią morfiną. A trzeba przyznać, że miłości między nimi nie było od dawna.

Tego dnia Arij Lwowicz chyba cierpiał bardziej niż inni. Takiego marnego pogrzebu nie miał od dawna. Antoninę Naumownę chowano oczywiście według rytuału pisarskiego, trumnę wystawiono w Centralnym Domu Literatów, gdzie urządzano nawet prawdziwe

świeckie ceremonie pogrzebowe dla tysięcy osób. Ustawiono ją w małej sali, ale i ta była pusta. Nie było ani przyjaciół, ani osób oficjalnych. Nowa redaktorka pisma nie cierpiała poprzedniczki i nie puściła zespołu na pogrzeb, wyznaczając na ten dzień zebranie. Jednak przez starą sekretarkę posłała wieniec z pogrzebowego świerku i białych wstążek: „Od zespołu...”. Arij Lwowicz sam wygłosił urzędową mowę, umiał to na pamięć: że żarliwa komunistka, wierna Leninowi. Poprosił obecnych, żeby ją pożegnali.

Potem trumnę odwieziono do Dońskiego Krematorium. Sekretarka redakcji, jako osoba starsza, nie pojechała. Trumnę ustawiono na platformie, i na tym podwyższeniu szara twarz Antoniny Naumowny, z zapadniętymi ustami i sterczącym nosem, wyglądała jak z kartonu. Zjechała w dół przy dźwiękach muzyki, i drzwiczki podziemia się zamknęły.

Kostia trzymał matkę pod rękę i przez palto wyczuwał, jak chude jest jej przedramię, jaka zrobiła się mała i jak znikomy jest czas życia ludzkiego, nawet tak długiego jak babci. I jak smutny jest pogrzeb człowieka, którego nikt nie lubił...

„Wyrzucili ją jak stary but do zsypu na śmieci” – pomyślał Kostia z goryczą. Zdał sobie sprawę, że on sam babci nie kochał...

Po tym, jak trumna zeszła do sztucznego piekła, Arij Lwowicz uścisnął ręce Oldze i Kostii i oznajmił, że jeżeli napiszą podanie o pomoc materialną, to on postara się ją załatwić.

Po kremacji urnę należało zabrać za dwa tygodnie.

„Jednak lepiej od razu do ziemi – pomyślał Kostia. – Bo nie wiadomo, gdzie ona będzie przez te dwa tygodnie, jakby w przechowalni bagażu...”

Olga zaprosiła wszystkich do domu na stypę po zmarłej. Synowa Lena prosto z krematorium pojechała do dzieci. Arij Lwowicz uważał, że jego obowiązki trwają do końca wieczoru; otworzył drzwi autobusu, wpuszczając pochmurne kobiety. Kostia wsiadł ostatni. Chciał usiąść koło matki, ale ona już zajęła miejsce obok świeżo objawionej ciotki. Ciotka była trochę młodsza od Antoniny Naumowny, ale podobna do niej, miała tak samo surową twarz z wydatnym nosem. Arij Lwowicz wyglądał przez okno. Miał co wspominać.

Olga nakryła do stołu jeszcze przed wyjściem. Ciało zmarłej zaraz po śmierci zabrano do kostnicy, a Olga bez pośpiechu, starannie, dokładnie wysprzątała cały dom, przewietrzyła mieszkanie. Ale nawet po trzech dniach zapach lekarstw przebijał przez zapach pasty do podłóg.

Siedzieli przy długim owalnym stole, odnowionym przez ojca, i Olga, kładąc umyte ręce na jego blacie, przykrytym szorstkim lnianym obrusem, nagle zażęskniła za ojcem. Przypomniała sobie jego porowaty nos, wysuniętą górną wargę, chłopięcą powagę, z którą strugał swoje drewnienka na dacz, i idący od niego zapach politory oraz wiórów. Było to pod koniec życia, na emeryturze. Przez nią, idiotkę, przez tę uniwersytecką historię... Jak się wtedy wściekała i wrzeszczała matka i jak surowo, z opuszczonym wzrokiem, milczał ojciec. Milczał, milczał – i podał się do dymysji.

– Tato, tato – wyszeptała Ola.

Usłyszała to siedząca obok przyjaciółka Tamara. Wrażliwa dusza, wszystko przeinaczyła na swoją modłę i szepnęła jej:

– Tak, Olenko, ja też tak sędzę – teraz twoi rodzice się spotkali.

Arij Lwowicz, obejrzawszy ze znajomością rzeczy wykwiłntne meble odrestaurowane rękami zmarłego Afanasija Michajłowicza, dokonał rewizji statusu. Empirowe meble były teraz w modzie w bogatych domach, więc nie spodziewał się, że napotka takie unikaty w domu tej prostacko-partyjnej nieboszczki. Ciekawa, ciekawa sprawa. Odczekawszy, czy nie znajdzie się ktoś znaczniejszy, wstał:

– Starym zwyczajem uczcijmy pamięć drogiej Antoniny Naumowny. Nie, nie trącamy się kieliszkami!

Wszyscy wypili. Kostia upił łyk i odstawił kieliszek. Nie lubił wódki. Napiłby się wina, ale mu nie zaproponowano.

Natomiast Ola wypła i od razu się wstawiła. Ciepło uderzyło jej do głowy, poszło w nogi, Ola dziwnie osłabła. Siedziała, podpierając zwiotczały policzek ręką z wyraźnymi piegami, zaróżowiła się, jak w młodości, wręcz odmłodziła. Włosy, które po chemioterapii doszczętnie jej wyszły, teraz odrastały nowe, młode, nawet kręciły się nad czołem, i ich poprzedni kolor – świąteczny, wielkanocny, cebulowej łupiny – znów się pojawił po tym straszliwym leczeniu. Przyjaciółka Tamara patrzyła na nią ze zdumieniem, zauważyła, jaka jest ładna, ucieszyła się: Olga odrodziła się wreszcie po tej ciężkiej chorobie. Pomyślała również: Antonina Naumowna wzięła na siebie chorobę Oli. Takie myśli wypływały ze świeżej wiary prawosławnej Tamary: teraz wszystkie wydarzenia życiowe, zwroty losu wydawały się jej nie przypadkowe, lecz pełne sensu, mądre i celowe.

Myśli Oli biegły w innym kierunku, myślała o czym innym: gdyby wtedy wyjechała z Ilją, to kto by pochował matkę? A teraz, gdy rodzice zmarli, Kostia się oze-

nił, nastał czas, żeby pojechać do Ilji. Jak długo teraz będzie musiała czekać, żeby połączyć się z Ilją?

Siostra Antoniny Naumowny, Walentyna, siedziała na brzeżku krzesła, nieśmiało. Wygląd miała może nie całkiem wiejski, ale prostaczkowaty. Mieszkała w Protwinie, sto kilometrów od Moskwy, w miasteczku naukowym i bynajmniej nie była tam sprzątaczką, na jaką mogłaby wyglądać, lecz szanowanym doktorem biologii. Ale Ola o tym nie wiedziała. Pamiętała, że matka ciotki nie lubiła, a nawet ironicznie mówiła coś o owcach, z którymi ta przez całe życie miała do czynienia. Była to prawda. Walentyna ukończyła jakąś uczelnię weterynaryjną. Ale w ustach starszej siostry, ważnej szefowej, brzmiało to zawsze pogardliwie.

Walentyna siedziała po prawej ręce Oli, nie rozglądała się na boki, patrzyła tylko w talerz. Potem raptem odwróciła się do siostrzenicy i powiedziała:

– Niedługo pójdę, Oleńko. Nocuję dziś tu, w mieście, u przyjaciółki. Ale przywiozłam ci coś. To jest nasza rodzinna pamiątka...

Ola się zdziwiła, ale wstała od stołu i zaprowadziła ciotkę do gabinetu, gdzie matka przez całe życie spała krótkim snem i pracowała – pisała swoje eseje o bohaterkich tkaczkach, prządkach i dojarkach, referaty i przemówienia, rozporządzenia i nagany. Kiedyś napisała powieść i o mało nie otrzymała nagrody Stalina. Stara maszyna do pisania w pokrowcu z dermy, którą sama pisarka czule nazywała „męczennicą”, stała jak mała trumna pośrodku biurka. Underwood. Obok żelwny komplet do pisania z muskularnym robotnikiem, popiersie Tołstoja i fotografia Antoniny Naumowny – najlepsza w całym życiu: dziewczyna w skórzanej kurtce, z zaciśniętymi ustami.

Antonina Naumowna do swojego gabinetu nie dopuszczała żadnych męzkowskich antycznych mebli. Tu wszystko było stalinowskie, nawet z metalowymi tabliczkami w dyskretnych miejscach ciężkich sprzętów, które kiedyś otrzymała z przydziału. Pisarka umarła na skórzanej służbowej kanapie.

Gdy tylko zabrano ciało, Olga zdjęła materac. Kostia wyniósł go na śmietnik. Wyrzuciła fiolki i flakoniki po lekach, i oprócz zapachu nic tam już nie pozostało.

Walentyna Naumowna weszła do pokoju siostry i zdziwiła się w duchu jego bezosobowym wyglądem. Trzy urzędowe portrety na ścianie – Lenina, Stalina, Dzierżyńskiego. Usiadła na brzegu skórzanej kanapy i równiutko położyła na kolanach teczkę.

„Mama miała dokładnie taką samą teczkę” – zauważyła w myślach Olga. Ciotka była jeszcze niższego wzrostu niż matka, też sucha, też długonosa. I ubrana była podobnie: podniszczony włóczkowy sweterek, szara bluzka pod nim, spódnica w kociej sierści.

„Trzeba jej dać rzeczy mamy, futro, płaszcz” – postanowiła Ola.

– Oleńko, nie wiem, czy twoja mama byłaby zadowolona... raczej nie. Mimo to postanowiłam ci oddać fotografie rodzinne, które się u mnie zachowały.

„Jakież uroczysty wstęp... Aha, jeszcze buty. Żeby nie zapomnieć o kozakach na futrze, które piętnaście lat temu mama przywiozła z Jugosławii...”.

A tymczasem Walentyna podważyła zameczek i wyjęła cienką paczuszkę zawiniętą w gazetę.

– To jest, jeśli można się tak wyrazić, nasze rodzinne archiwum, wszystko, co się zachowało.

Ostrożnie odwijala warstwy gazet, jedną po drugiej, aż się pojawiły fotografie. Wtedy wstała i rozłożyła na

biurku jedno zdjęcie na sztywnym kartonie, pochodzące ze staroreżimowego zakładu fotograficznego, i dwa wyblakłe zdjęcia amatorskie.

– Na odwrocie cieniutko napisałam ołówkiem, kto i kiedy. – Delikatnie pogłaskała naklejoną na karton fotografię, a te mętne, amatorskie wciąż się zwijały, więc je prostowała. – Gdybym i ich nie oddała tobie i Kostii, to nie miałyby kto nawet wspomnieć o naszych przodkach...

„Co za przodkowie, co za potomkowie? Matka mówiła, że wcześniej została sierotą, krewnych nie pamiętała, a ci, których pamiętała, zginęli albo poumierali...”.

– To jest nasz ojczulek, Naum Ignatowicz z mamusią. Czyli twój dziadek i babcia. – Wykoślawionym starczym palcem dotknęła fotografii. W fotelu siedział duchowny z włosami do ramion i z brodą prawie do pasa, i z czarnymi, jakby przyklejonymi brwiami. Za nim sympatyczna kobieta w ciemnej, po wiejsku zawiązanej chustce i w miejskiej jedwabistej sukni, wyszytej na kołnierzu jakimiś paciorkami. Obok ojca – trzech wyrostków, obok matki – dwaj malcy. Dwuletni siedzi jej na kolanach, drugiego, starszego, trzyma za rękę czarniawa dziewczynka z poważną, dorosłą miną. – Nasza mateczka, Tatiana Anisimowna, z domu Kamyszyna, też pochodzi z duchownych. Jej ojciec był inspektorem Seminarium Nizegrodzkiego. Wszyscy, wszyscy w rodzinie byli stanu duchownego – dziadowie, pradziadowie, wujowie.

– Mama nigdy nie mówiła... – wyszeptała Olga. Głos jej zamarł.

– Miała powód – absolutnie wszyscy byli duchownymi – przytaknęła ciotka, nadal stukając palcem w zniszczony sepiowy obrazek. – Ojciec Naum Ignatowicz był podobny do swojej matki Praskowii – czarny,

czarnooki, była Greczynką, też z popów. Po Praskowii rasa się popsowała, rodzili się czarni.

– A mama nic nie mówiła...

– Tak, tak, pewnie, że nie mówiła. Bała się. Opowiem ci wszystko, co wiem. Kiedy Antonina była malutka, dużo pomagała w domu. Była dobrą dziewczynką, jedyną siostrą na pięciu braci. Trzej byli starsi, a dwaj młodszy, ona ich niańczyła. Andriej i Pantelejmon obaj wdali się w matkę, jasnowłosi. I umarli w tym samym roku, już na zesłaniu. Ona była o dziesięć lat starsza ode mnie. Ja jestem z piętnastego roku, na tej fotografii jeszcze mnie nie ma. Ale pamiętam, że ona mnie karmiła, ubierała. Dobra była – powtórzyła ciotka z naciśnięciem.

Walentyna głąaskała uroczystą fotografię. Amatorskie zwijały się w rulonik.

– W roku dwudziestym naszego ojca Nauma Ignatiewicza, popa cerkwi kosmodemiańskiej, skazano na zesłanie. – Pokazała palcem na dziewczynkę o surowej twarzy trzymającą rękę na ramieniu malca.

– Rodziców nie bardzo pamiętam. Bardziej z opowiadań cioci Katii. Ojca widziałam ostatni raz, gdy wrócił z zesłania w dwudziestym piątym. Mama umarła wcześniej. Ciocia Katia mnie do niego zawiozła.

– Jaka ciocia Katia? – Olga spojrzała na ciotkę i odkryła raptem, że wcale nie jest ona prostaczkowata i uboga. Jest cicha, spokojna, a wystawia się bardzo prawidłowo.

– Ciocia Katia, siostra mamy, Jekaterina Anisimowna Kamyszyna wzięła mnie, najmłodszą, kiedy rodziców zesłano. Piotr i Serafim byli już dużymi chłopcami, od razu się odcięli od rodziców, na zesłanie nie pojechali. Z ojcem poszedł Nikołaj – w tym czasie ukończył już seminarium i był diakonem w niewielkiej wsi nad Woł-

gą. Na zdjęciu jest w sutannie, studiował wtedy w seminarium. Został wyświęcony, był duchownym, zginął w łagrach, nie wiem, w którym roku, niczego o nim nie wiem. Ciocia Katia straciła z nim kontakt. Z rodzicami na zesłanie poszli dwaj młodsi, Andriej i Pantelejmon, obaj tam umarli.

– A mama? – Olga już się domyślała, co usłyszy.

– Antonina odeszła za braćmi. Odeszła, kiedy miała piętnaście lat. Piotr i Serafim wyjechali do Astrachania jeszcze przed nią, i wszyscy oni odcięli się tam od ojca popa. Napisali do gazety, że ich ojcem jest Lenin, a matką – partia.

Ze ściany, z drewnianej ramy spoglądała na nie dziewczyna w skórzanej kurtce. Potwierdzała te słowa.

– A co się dalej stało z dziadkiem?

– Pięć lat zesłania w obwodzie archangielskim, a potem wrócił do Kosmodemiańska. W dwudziestym ósmym go wsadzili, potem jeszcze raz wypuścili, a w trzydziestym czwartym – koniec, zginął bez wieści. Ciocia Katia nie mogła go odszukać. Przyszliśmy z ciocią Katią do twojej mamy już w trzydziestym siódmym. Na klęczkach prosiłyśmy, żeby się tym zajęła, żeby się przynajmniej dowiedziała, czy żyje. Ale Antonina powiedziała, że nie ma się o co starać.

Do przymkniętych drzwi grzecznie zapukano. Arij Lwowicz zajrzał, żeby się pożegnać. W dużym pokoju przy stole toczyła się cicha rozmowa: Tamara z sąsiadką rozmawiały o tajemniczej chorobie, która opuściła Olgę i przerzuciła się na Antoninę Naumownę. Sąsiadka Zoja wypytywała Kostię o Ilję. Olga, mimo całej sąsiedzkiej zażyłości, pytań o byłego męża jakby nie słyszała.

Olga podziękowała mistrzowi ceremonii. Ten z szacunkiem skłonił głowę. Już w drzwiach, trzymając

w ręce futrzaną czapkę, ukłonił się szarmancko i wy-
rzekł z godnością:

– Do pani usług, Olgo Afanasjewno. Zawsze do pani
usług.

„Co za bezmózgi dureń. Akurat potrzeba mi jego
usług!” – pomyślała i wróciła do Walentyny.

Idąc korytarzem, przygotowywała się, że usłyszy to,
co mogła z góry przewidzieć. Zesłania, aresztowania,
prześladowania, rozstrzeliwania.

Ale ciocia niczego takiego nie powiedziała. Roz-
prostowała dwie wyblakłe fotografie: na jednej starzec
w obwisłej marynarce stał koło płotu, na którego szta-
chety były nadziane dwa dzbanki, a twarz miał taką, że
Olgę zatkało. Na drugiej ten sam człowiek – w czarnej
sutannie siedział w jakimś pomieszczeniu przy stole,
pośrodku którego wznosiła się niewielka biała pirami-
da i trzy ciemne jajka na talerzu.

– To jest Wielkanoc trzydziestego czwartego roku.
Widocznie odprawiał rezurekcję.

Siedziały i milczały. Potem Walentyna zawinęła
wszystko w gazetę, włożyła do brązowej koperty.

– Oleńko, nie mam komu tego zostawić. Ty ze swo-
im Kostią jesteście wszystkim, co zostało z naszej ro-
dziny. Nic o tobie nie wiem. Nie wiem, może nie chcesz
brać tych fotografii. Przez całe życie je przechowywa-
łam. Najpierw ciocia Katia, potem ja.

– Wezmę oczywiście, ciociu Walu. Dziękuję ci. Jakiż
to koszmar! – Ola wzięła gazetowe zawiniątko ze star-
czych rąk i ciotka od razu zaczęła się spieszyć.

– No, na mnie czas, najwyższy czas. Muszę jechać
do Ciepłego Stanu.

– Ciociu Walu, a starsi bracia, co z nimi?

– Różnie. Piotr się zapił, Serafim zaginał podczas

wojny. Piotr chyba miał rodzinę, ale żona od niego odeszła i zabrała córkę. A o Serafimie nie wiem, czy ktoś po nim pozostał.

– Co za historia. A ty przychodź do nas. Chciałabym ci dać jakieś rzeczy mamy... – I zająknęła się, bo zobaczyła taką twarz cioci Wali, że nie można już było mówić o jugosłowiańskich kozaczkach. – Zadzwoń do cioci, zadzwoń – mamrotała, odprowadzając ciotkę do przedpokoju; nie trafiła z pocałunkiem, dotknęła szarej włóczkowej czapki. – Koniecznie musimy się zobaczyć, ciocia opowie mi wszystko, co pamięta.

– Tak, tak, oczywiście, moje dziecko. Tylko nie gniewaj się na mamę. To były straszne czasy. Okropne. Przecież wszyscy byliśmy sierotami. Teraz życie jest całkiem dobre...

Kostia stał za plecami matki i nie pojmował, czemu się tak nagle załamała, rozplakała. Przecież tak dobrze się trzymała przez cały ten ciężki dzień. Olga wróciła do pokoju matki. Znow rozłożyła zdjęcia, które wynurzyły się z otchłani niebytu.

Odeszła matka, która już dawno przeobraziła się w wyschniętą powłokę człowieka, w zbiór higienicznych nawyków i automatycznych słów. A na jej miejsce wkroczył nagle nieznajomy o pięknej twarzy, który przeżył zdradę dorastających dzieci, śmierć żony i malców, więzienie i Bóg wie co jeszcze. Niewyraźna fotografia ze stołem wielkanocnym uwolniła strumień łez. Olga siedziała w gabinecie matki i przeżywała jakąś niepojętą operację. Jak sadzonkę w nacięte nożem miejsce wszczepiono ją w rodzinne drzewo, którym był dziadek Naum i ci wszyscy brodaci, długowłosi, miejscy i wiejscy, uczeni i niezbyt uczeni popi, ich matule i dziatki, dobre i nie za bardzo. Nie potrafiła znaleźć

słów, żeby wyjaśnić sobie samej wstrząs, który się dokonał. A nie było Ilji, by wypowiedział owe trafne słowa, które stawiały wszystko na właściwe miejsca.

Trolejbus „B” wyłonił się zza zakrętu, podzwaniając pentagrafem. Arij Lwowicz przyspieszył kroku, wieczorem trolejbusy chodziły rzadko. Już zapomniał o dzisiejszej nieboszczce. Umierający był jeden z sekretarzy Związku Pisarzy. Arij zawczasu planował wielką ceremonię żałobną, dobrze by było w przyszłym tygodniu, żeby w ten piątek móc wyjechać na daczę. Spieszył się do domu, do młodej żony. Dziesięć lat temu, będąc młodym wdowcem, na kolejnym pogrzebie poznał cudowną, miłą Klarunię i zakochał się, i ożenił, i spłodził nową córkę, Emmoczkę, a życie jego tak się odnowiło, stało się tak szczęśliwe, iż nie do pomyslenia było, że i on będzie musiał umrzeć. A stosunki ze śmiercią ma tak dawne, tak bliskie, służy jej tak sumiennie. Przecież chyba należy mu się jakieś odroczenie?

„Może dożyję do dziewięćdziesięciu pięciu lat, jak dziadek. Czemu nie? Dzieci starszej córki Wiery z pierwszego małżeństwa są już dorosłe, tylko patrzeć, a będą prawnuki. A jeżeli dociągnę do dziewięćdziesięciu pięciu, to doczekam się wnuków i od Emmoczki. Dlaczego nie? Zdrowie, tfu, tfu, dobre, posada świetna, daje godziwy zarobek i szacunek. No i praca ciekawa, wciągająca. Tak, dobrze by było, gdyby ten sekretarz – nawiasem mówiąc, podły człowiek – umarł nie dziś i nie jutro, i nie w poniedziałek, ale dociągnął do wtorku, wówczas wszystko można by było zorganizować bez pośpiechu w przyszły piątek. I stypę w sali dębowej na sto nakryć”.

WESELE KRÓLA ARTURA

Od dzieciństwa Olga miała uspokajającą świadomość, że ludzie są przewidywalni. Z góry wiedziała, co powie przyjaciółka, nauczycielka, mama. Zwłaszcza mama. Od dzieciństwa Antonina Naumowna kultywowała w córce rzadką cnotę – umiejętność poświęcania własnych interesów dla dobra społecznego. Poczucie sprawiedliwości społecznej dziewczynka miała chyba wrodzone. Kiedy któreś z dzieci wynosiło na podwórko pajdę chleba z masłem, posypaną cukrem, Oldze i tylko Oldze powierzano podział na zadaną liczbę gąb, a w przypadku szczególnie nieforemnej pajdy ona jedna z całego podwórka potrafiła dokrawać po kawałku, żeby ostatecznie podział był równy. Z racji wieku Ola nie wiedziała o przydziałach chleba – urodziła się pod koniec wojny – nie wiedziała też o obozowych porcjach chleba. Ale jej rdzeń kręgowy wiedział.

Antonina Naumowna rozkoszowała się widokiem swojego późnego dziecka – udała się! Odziedziczyła po rodzicach wszystko, co najlepsze: po matce zasadniczość, nieustępliwość, po ojcu – dobroduszość i blond urodę. Ani krzty greckiego dziedzictwa ze strony matki – czarnych włosów, wydatnego nosa. Ani krzty

ojcowskiej skłonności do tycia, jaką Afanasij Michajłowicz miał od wczesnej młodości.

W dziecięcych latach Oli Antonina Naumowna kierowała pismem dla młodzieży i swoje naukowo-pedagogiczne koncepcje wprowadzała w życiu osobistym, wpajała córce, a doświadczenie wyniesione ze stosunków z córką przenosiła do swoich artykułów. I tak, obserwując zabawę dzieci w piaskownicy – polewały piasek wodą i lepiły koślawy zamek – stworzyła nawet obraz artystyczny: piasek to poszczególne rozsypane jednostki, a woda to ideologia, która spaja ciasto i z tego budulca tworzy się wielki gmach. Tę przenośnię wykorzystowała zarówno w artykule redakcyjnym, jak i w referatach. Jej przemówienia zawsze wyróżniały się obrazowością, zwłaszcza gdy zdarzało się jej przemawiać w środowisku partyjnym. W tych kołach była to rzadkość. Pisarzy tym się nie zadziwi, każdy potrafi znaleźć celne słówko, ale wobec nich miała inne atuty. Natomiast w środowisku partyjnym szanowano ją jako mistrzynię słowa.

A jednak Antonina Naumowna nigdy nie czuła się w kolektywie tak dobrze jak jej córka. Z ręką na sercu musiała przyznać, że jej zazdroszą. Niestety – są jeszcze ludzie małostkowi, którzy zazdroszą jej stanowiska, autorytetu, szacunku ze strony zwierzchników.

A mała Ola zawsze czuła się dobrze w kolektywie. Dziecięcy kolektyw ma zdrowsze zasady – doszła do zupełnie błędnego wniosku Antonina Naumowna. A tymczasem sprawa polegała na czym innym: Oleńka urodziła się na przywódczynię i korzystała z tego talentu, zupełnie się nad tym nie zastanawiając. Podporządkowywano się jej bez żadnych z jej strony nacisków,

dziewczynki i chłopcy gotowi byli pójść za nią choćby na koniec świata... Ładna, naładowana wesołą energią, życzliwa, zawsze miała mnóstwo przyjaciółek. Lubiła płynąć ze wspólnym prądem, znajdując się jednak na jego czele, lubiła poczucie wspólnoty i jedności, osiąga-
jące apogeum w majowej manifestacji ludzi pracy.

Kiedyś mama zabrała córkę na honorową trybunę mauzoleum i Olga od pierwszej do ostatniej minuty chłonęła widowisko, a później powiedziała matce:

– Ale fajnie! Ale kiedy się idzie razem ze wszystki-
mi, to jednak jest lepiej!

O, słodkie poczucie wspólnoty i jedności! Równość i współwymiennosc ziarenek piasku, ich zdolność do łączenia się w jeden potężny, zmiatający wszystko na swojej drodze strumień. I szczęście bycia jego drobną cząsteczką. Ukochany Majakowski! Ukochany Władimirze Władimirowiczu!

Ale zjawił się Ilja i otworzył jej oczy. Wszystko, co wiedziała Olga, on wiedział inaczej. Wczesny Majakowski był najlepszą częścią kolekcji Ilji: na papierze gazetowym, żółty i szeleszczący, kruchy, zmurszały, płomienny Majakowski... Ileż Ilja opowiedział ponad to, co drukowano w podręcznikach szkolnych! Trybun rewolucji – z jego strachem przed zarazą, z dziecięcą fanfaronadą, dozgonną miłością do kobiety związanej z tajną policją – okazał się o ileż bardziej skomplikowany i ciekawszy, niż postrzegala go Ola i kilka milionów jej rówieśników. Ale najważniejszy był oczywiście sam Ilja: przy nim wszystko stawało się inne, ujawnia-
ło nowe cechy, nawet pogoda. A jak fotografował! Na przykład, deszcz... drzewa oglądane przez okno, zdeformowane kroplami ciekącymi po szybie, futrzany kołnierz z uwiecznionymi w nim paciorkami wody, kału-

ża, pośrodku której pływa gazeta z zatopionym wyrazem „komunistyczna”.

Dawnej Oldze nawet do głowy nie przychodziło, jacy ciekawi ludzie żyją na świecie i jacy różni, z własnymi filozofiami i wyznaniem. W całym swoim życiu Ola napotkała jedną nadzwyczajną, może nawet genialną osobę – tego uniwersyteckiego wykładowcę, promotora jej pracy dyplomowej, podziemnego pisarza, publikującego swoje książki za granicą, za którego wyrzucili ją z uczelni. A wokół Ilji wszyscy byli właśnie tacy – szczególnie. Nie każdy oczywiście był pisarzem. Ale każdy był jednostką wybitną, o dziwnych zainteresowaniach, rzadkiej wiedzy i oryginalnych, w normalnym życiu zupełnie zbędnych dziedzinach: starsza pani interesująca się kominami kimberlitowymi, kulawy specjalista od nieistniejącego teatru, artysta z przedmieścia malujący śmietniki i płoty, badacz UFO, układacz horoskopów i tłumacz z języka tybetańskiego. I wszyscy, oprócz damy z diamentami, byli dozorcami, windziarzami, tragarzami, fikcyjnymi sekretarzami literatów, utrzymankami pracujących żon lub matek, twórczymi zapracowanymi nierobami, trutniami, pariasami, niebezpiecznymi i pociągającymi. Nie całkiem jasne było, czy to oni odmawiają pracy dla kraju, czy to kraj nie chce mieć z nimi nic wspólnego...

Najpierw Ilja zaciągnął Olgę do Artura Korolowa przezwiskiem Król Artur, byłego marynarza. Mieszkał w Tarasowce w dużym koślawym domu z piecem, ze studnią przy furtce i wychodkiem z desek w odległym kącie działki. Furtka była zamykana na zardzewiały haczyk i Ilja dość długo stukał w blachę podpierającą furtkę od wewnątrz. Wreszcie na ganku pojawił się ogromny łysy człowiek w czarnym oficerskim frenczu.

Bez pośpiechu, marynarskim rozkołysanym krokiem podszedł do furtki, pchnął ją palcem, a ona łatwo się otworzyła. Podał Ilji dłoń wielką jak łopata, każdy palec był jak dorodna marchew i w kolorze żółtawo-różowym jakby dopiero co po praniu. Takich niezwykłych ludzi Ola nie widziała nigdy w życiu. Przyjrzała mu się: na twarzy coś dziwnego; nie ma brwi. A twarz rumiana, chłopska, nawet łysina opalona. Głos basowy, dudniący, ale śmieje się cieniutko, jakby to był śmiech z innego gardła. Na Olgę ledwie spojrzał, zupełnie go nie interesowała. Nawet się nie przedstawił. Ola zmieszła się – co za brak wychowania! I to ma być były oficer marynarki!

Weszli do domu – gospodarz szedł pierwszy. W japonskach – po roztopionym śniegu. Oryginał. Dom też: zakurzony, zagracony. Stanęli w drzwiach i usłyszeli szuranie: ognia w piecu, myszy w ścianach, starych książek, które piętrzyły się wszędzie górami, tobołami, wiązkami. Książki na podłodze, na stole, na warsztacie, który też stał tu, w pokoju.

Ilja zdjął z pleców wielki turystyczny plecak, wyciągnął butelkę wódki. Gospodarz usiadł w fotelu z obwiązaną szmatą poręczą, spojrzał na butelkę z nieprzychylnym zainteresowaniem. Ilja przechwycił spojrzenie:

– Królu, możemy nie pić, to nie jest konieczne.

Król prychnął:

– A jeżeli nie pić, to co z nią zrobić? Pani, moja piękna, niech nakryje do stołu, tam w sieni są widelce, talerze... wszystko co trzeba. Szczerze mówiąc, nie lubię się zajmować gospodarstwem.

Olga aż zachłysnęła się z oburzenia! Co za bezczelny! Moja piękna! Szkoda, że nie zwrócił się do niej „kochanie”!

Łypnęła z wściekłością na Ilję, a ten nie wiadomo, czy się śmieje czy mruga porozumiewawczo...

Nie znalazłszy wsparcia, Ola się uśmiechnęła, drgnęły jej słynne dołeczki. Spojrzała w twarz Króla wprost i zwyczajnie.

– Przyznam się, że ja też nie lubię. I to jeszcze w cudzym domu.

– Rozumiem – kiwnął głową gospodarz i wyszedł do sieni. Bardzo naturalnie.

– Zuch, Olka. Brawo! – szepnął Ilja, i ta pochwała nappełniła Olę szczęściem, dumą i poczuciem słuszności.

Król Artur przyniósł żeliwny garnek, na nim trzy głębokie talerze, a na szczycie tej piramidy wielki kiszony ogórek, grubo pokrojony chleb i trzy stopki. Widelce sterczały mu z kieszeni kurtki. Poruszał się z precyzją sportowca czy tancerza – małe przedmioty lgnęły do jego rąk jak namagnesowane. Nic mu nie upadło, wszystko ustawił równo, starannie. Poszperał w kieszeni, wyjął z niej cebulę i wielki składany nóż. Odciął czubek cebuli, rozkroił, nie zdejmując skórki, na cztery części, które rozpostarły się na drewnianej desce jak płatki białej lilii wodnej. Postawił przed każdym talerz – w garnku były nieostygłe jeszcze ziemniaki w mundurkach. Nie patrząc, sięgnął długą ręką za siebie i postawił na stole malutką srebrną solniczkę w kształcie łabędzia. Wszystko to było takie celowe i ładne. Szczęście w duszy Oli rosło jak na drożdżach, cała wręcz pęczniała bąbelkowym ciastem.

– No, otwieraj – łagodnie powiedział Artur do Ilji, a ten zerwał kapsel z zielonkawej butelki.

Olga z lekka przykryła dłonią kieliszek:

– Nie, dziękuję. Nie chcę wódki.

– Koniak? – spytał gospodarz.

– Nie, dziękuję. W dzień – nie piję.

Kiwnął głową. Pociął cienko ogórek, wziął ziemniak, obrał, pokroił. Wypił z Ilją. Jadł rękami, solił ziemniak palcami, ale wychodziło mu to ładnie, wręcz dystyn-gowanie.

– Co z Lisą? – zapytał Ilja. Olga już widziała, jesz-cze po drodze Ilja jej opowiedział, że Artur ma piękną żonę, niedawno od niego odeszła.

– A co ma być? Była tu niedawno.

– Chce wrócić? – zaciekawiał się Ilja.

– Nie, Ilja, wrócić nie wróci, ale nie potrafi odejść. Załatwiła rozwód, wybiera się za męża, ale jest za słaba, żeby odejść. Zobaczymy. Spędziliśmy razem piętnaście lat. Ona by chciała wyjechać za granicę. Mówi, że zna-lażła sobie faceta, Fina.

– Coś ty? – zdziwił się Ilja. – Podobno był jakiś z Iraku?

– Był. Bogacz. Odtrąciła go. Mówi, że Europejka nie potrafi żyć na Wschodzie. A ten nowy jest z Laponii. Lisa przywykła do zimna, pochodzi przecież z Dalekie-go Wschodu. W ogóle to ona celowała do Włoch, ale Włoch się jej nie trafił.

Olga, słuchając tej rozmowy, wytrzeszczała oczy. Co to za dziewczyna, która przebiera w cudzoziem-cach? prostytutka? Trzeba będzie później wypytać Ilję.

Potem pili herbatę – zaparzał ją Artur powoli, z ca-łym ceremoniałem wokół czajnika. Czajnik był, trzeba przyznać, oryginalny, metalowy, emaliowany, w smo-ki i w języki błękitnego płomienia.

– Chiński. – Artur czule pogłaskał zaokrąglony bok. I popatrzył równie czule, jak facet na dziewczynę. – Ku-piłem go w Singapurze. Piękny!

No tak, Ilja mówił przecież, że Artur służył we flo-

cie handlowej, pływał po wszystkich oceanach. Wzrok Olgi już przywykł do tej niezwykłej postaci, podobał się jej coraz bardziej. Chociaż przyjrząwszy się lepiej, spostrzegła, że ten brak włosów u niego jest dziwny – jakby włosy nigdy nie rosły mu ani na głowie, ani na dziecięcej skórze twarzy. Poza tym drżały mu ręce; bardzo lekko, nie od razu można to było zauważyć.

Potem Król wyniósł talerze, tym samym sposobem, układając je na garnku, wytarł stół, a wtedy Ilja wyłożył na blat wielką stertę zapisanych na maszynie przebitek. Oraz kilka poszarpanych starych książek. Zaszleścił papier.

– Nie mam odpowiedniego materiału, mogę oprawić tylko w kreton – powiedział Artur.

– Byle nie w kwiatki – poprosił Ilja.

– Oprawię w niebieski – kiwnął głową Król.

Potem, z uroczystą miną, wyniósł z sąsiedniego pokoju, trzymając na rękach jak dziecko, starą księgę w ciemnej skórzanej oprawie i pokazał ją Ilji.

– Niesamowite! Osiemnasty wiek. Rok tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty dziewiąty! *Kompletny gorzelnik i destylator*.

– Coś wspaniałego! – Ilja wypuścił powietrze z płuc i radośnie się roześmiał. – Jak pędzić samogon?

– Nie o to chodzi. Popatrz tylko na stronę tytułową! Dopiero wtedy podziwiał! – I Król Artur uniósł okładkę.

Ilja aż gwizdnął:

– No, no! Ze składnicy makulatury?

– Aha. Ex libris – Bierdiajew. Co prawda, trzeba jednak sprawdzić.

– Tu potrzeba specjalisty. Można pokazać Saszce Gorelikowi – poradził Ilja.

– Nie, z domu tego nie wypuszczę. Przywlecż Sasz-
kę tutaj. Flaszkę mu postawię – zaproponował Artur.

– Ależ to on tobie postawi. A może jeszcze i książkę
kupi.

– Ani myślę sprzedawać.

Olga wyciągała szyję przez ramię Ilji – fioletowym
atramentem było wypisane: „Nikołaj Bierdiajew”.

Nazwisko jakby znajome, wymieniano je w towa-
rzystwie, pomyślała Olga. Ale nie pytała, żeby nie na-
razić swojej ugruntowanej reputacji. Zresztą i tak było
jasne, że Ilja, chociaż nie miał żadnego formalnego wy-
kształcenia, znał historię i literaturę o wiele lepiej niż
ona, która niemal ukończyła uniwersytet. Ten emeryto-
wany marynarz, sądząc po książkach, które zapępniały
dom, też jest człowiekiem wykształconym. Co od razu
potwierdził, wyciągając spod tapczanu malutkiego,
wielkości dłoni, angielskiego Dickensa.

– To jest cudowny autor, Iljo. Jakież to głupoty czy-
taliśmy w dzieciństwie! – machnął ręką, roześmiał się. –
Zresztą ja w dzieciństwie prawie niczego nie czytałem,
w całym mieście Izjumie nie było pewnie ani jednej
angielskiej książki. Kozackie kraje. U nas chłopców na
koniu sadzano, jeszcze zanim zaczęli chodzić. Szablą
wymachują, a liter nie znają.

Ola, chociaż stanowczo zakazała sobie zadawania
wszelkich pytań, nie wytrzymała:

– To pan i szablą potrafi?

– Nie, moje dziecko, ja tego kozactwa od dziecka
nienawidziłem, uciekłem z domu, jak miałem trzyna-
ście lat, wstąpiłem do szkoły kadetów morskich. Byłem
romantykiem. Czyli idiotą. Nie wiedziałem, co to jest
prawdziwa armia.

„Moje dziecko” – to było oczywiście obraźliwe, ale

ton mowy Artura – całkiem przyjazny. I spojrzał jej w oczy, a nie gdzieś w bok.

Wkrótce zaczęli się zbierać: Ilja włożył do opróżnionego plecaka zawiniętą w gazetę i starannie przewiązaną paczkę książek, dał Królowi Arturowi zwitek pieniędzy i ruszyli na stację – dochodziła dziesiąta, o tej porze pociągi podmiejskie chodziły rzadko. Po drodze Ola wypytywała Ilję, a on krótko odpowiadał. Tak, on jest byłym oficerem marynarki, który przeżył jakiś wybuch. Przez psychiatryk zwolniono go z floty, jest rencistą, pracuje jako pomocnik w punkcie skupu makulatury.

Początkowo nie bardzo znał się na książkach, ale przez lata się wprawił. Nabrał wyczucia. Zresztą nie trzeba szczególnego wyczucia – ludzie przynoszą książki całymi workami. Wśród starych gazet i zabazgranych podręczników wyławiał niezwykle rzeczy – to tom Karamzina wydany jeszcze za jego życia, to Chlebnikowa. Znalazł Steinera. A jego nawet u bukiniistów się nie znajdzie, wydanie z początku wieku.

Nie znasz? Mnie to nie bardzo interesuje, ale znać to trzeba. A ostatnio Artur po uszy wlaźł w jogę. Znalazł w makulaturze Vivekanandę. Praktykuje, medytuje.

– Ja też chcę... Vivekanandę. – Ola chciała wszystko: wszystkich książek, wszystkich rozmów i muzyki, i teatru, i kina, i Bierdiajewa, i indyjskiego Vivekanandę, i natychmiast przeczytać Dickensa po angielsku, i, jak w dzieciństwie – kiedy to chciała jak najprędzej wstąpić do pionierów i do komsomołu, żeby być w przodującym oddziale – teraz chciała, żeby ją przyjęto do nieokreślonego towarzystwa Ilji, Króla Artura i tych, których jeszcze nie znała, ale o których już słyszała. To oni stali na dziedzińcu sądu, gdy są-

dzono ich docenta. Być wśród nich było o wiele ciekawiej, niż zasiadać w Komitecie komsomołu wydziału filozofii.

Ilja przyniósł Oli i Vivekanandę, i Bierdiajewa, i Orwella, który ją całkowicie poraził. Czasu wolnego miała teraz Ola co niemiara – z uniwersytetu ją usunięto. Całymi dniami wylegiwała się w swoim pokoju, podczas gdy Faina karmiła, wyprowadzała na spacer, układała do drzemki Kostię, a pod wieczór, gdy matka wracała z pracy, Ola wychodziła na randkę. Mieli kilka ulubionych miejsc spotkań: obok pierwszego drukarza Iwana Fiodorowa, przy murach Kitaj-gorodu, w sklepie bukinistycznym, w starej aptece na placu Puszkina. Gdy nadeszło lato, zaczęli się spotykać w Ogrodzie Aptekarskim, malutkim ogrodzie botanicznym, założonym jeszcze przez Piotra I.

Minęło pół roku, zanim Ilja znowu zaprosił Olę do Tarasowki, tym razem na wesele. Ola się zdziwiła: ktoś chciałby wyjść za takiego dziwaka?

Tu zdziwił się z kolei Ilja:

– Olu, coś ty? Zanim się ożenił z Lisą, ustawiała się do niego kolejka bab – marzyły, żeby prac jego gacie. Pewna sławna aktorka dwa razy w miesiącu latała do niego z Moskwy do Władywostoku, żeby się bzyknąć. Przylatuje, a on do niej: wybaczone, nie mam przepustki. I do bufetowej. A potem, kiedy pojawiła się Lisa – koniec. Został jej wiernym mężem. Nie oglądał się za babami. A wtedy Lisa zaczęła się kurwić – Ilja się roześmiał.

Ola zawsze się zachwycała, jak swobodnie i zwyczajnie mówił o rzeczach, których dawniej nie potrafiła nawet nazwać. Nawet słowa „gówno” Ola dawniej nie wymawiała na głos, więzło jej w gardle, a w ustach Ilji

choćby i najgorsze wulgaryzmy brzmiały naturalnie i śmiesznie...

– Z kimże on się teraz żeni? – zaciekawiała się Ola.

– To zajmująca historia. Żeni się ze starszą siostrą Lisy. To jej intryga. Sama zobaczysz.

Ślub Króla wypadwał w połowie czerwca. Lato było jeszcze chłodne, pierwszy słoneczny dzień po miesiącu deszczów. W przeddzień matka Ilji Maria Fiodorowna wyjechała do siostry do Kiriacza. Olga wieczorem przyjechała do Ilji i po raz pierwszy przeżyli długą noc, całkowicie należącą do nich, bez pośpiechu, przeszkód i niezręczności, które odczuwała Ola w cudzych łóżkach, dokąd od czasu do czasu zaciągał ją Ilja. Rano oboje byli wyciszeni, czuli wewnętrzną lekkość i ta cudowna lekkość wprawiała ich ciała i dusze niemal w stan nieważkości. Oboje przeżywali wyjątkowość tego, co się dzieje: przez owo szczytowe, na granicy możliwości, cielesne zespolenie dokonało się przejście uznanej za ostateczną granicy – jakby objaśnienie nastąpiło tam, gdzie się go nie spodziewali. Wraz z doznaniem najwyższej rozkoszy seksu objawiło się coś jeszcze: niewysłowiona błogość rozpląnięcia się własnego „ja” w niewiarygodnej swobodzie lotu w przestworzach.

– Tak mi dobrze, że aż się boję – szepnęła Olga, kiedy już siedzieli w pociągu.

– Nie, nie ma się czego bać. Ukazało się nam siódme niebo. Czuję, że trzeba zrobić jakiś szlachetny uczynek.

– Jaki? – zdziwiła się Olga. – Jaki to może być uczynek?

– No, nie wiem. Może się pobrać? Wtedy będę cię jebał uczciwie. – I zachichotał, jak gdyby powiedział Bóg wie jak dowcipny kawał.

Olga poczuła, że niecenzuralny wyraz ją oparzył,

ale jej ciało odpowiedziało natychmiastową zgodą. Zaczzerwieniała się – „zupełnie zwariowałam, tak nie wolno”. I powiedziała niezręcznie:

– Nie. Sądzę, że po czymś takim trzeba urodzić dziecko.

Ilja przestał się śmiać. Miał potworne doświadczenie ojcostwa, nie chciał go powtórzyć.

– Nie, tego nie wolno. Za nic i nigdy. Zapamiętaj to sobie.

Coś runęło i się zawaliło: taka amerykańska karuzela: góra – dół! Co to jest? Okrucieństwo? Tępota? Jak mógł coś takiego powiedzieć? Ale nie był ani okrutny, ani tęp: od razu zrozumiał, że ją zranił, mocno uściśnął jej rękę:

– Nie rozumiesz. Ze mnie rodzą się potworki. Sam jestem potworem. Nie mogę być ojcem.

Olga wczepiła się w jego rękę – przykrość momentalnie przemieniła się w najwyższe współczucie, przedtem też jej wspominał, że jego dziecko nie jest całkiem zdrowe. Teraz rozumiała, że to nie jest zwyczajna dziecięca przemijająca choroba, lecz katastrofa nie do naprawienia. Zamilkli i wpatrywali się w okno. Za oknem przesuwiała się taka świeża, obmyta długimi deszczami zieleń liści, że można było pomilczeć. Po tym wyznaniu stali się sobie jeszcze bliżsi, jeżeli to w ogóle było możliwe.

Stoły nakryto na ścieżce prowadzącej do domu. Działka tak zarosła łopianem, maliniakiem, pokrzywami, że innego miejsca nie było. Gości kłębiło się ze czterdzieści osób, a jeszcze nie wszyscy przyjechali. Na tyłach działki dopalały się szczapy w domowej roboty ruszcie, ciągnęło dymem, pachniało wilgotną trawą i jaśminem. Przy szaszłykach krzatali się dwaj młodzieńcy w typie turystyczno-gitarowym.

Do stołu na razie nie siadano, chociaż miski i miednice z sałatkami zajmowały cały środek stołu. Goście tu i ówdzie już popijali: w altance, która dawno powinna się była rozwalić, przy beczce z deszczówką, na belce za ustępem. Z domku dochodziły głośnie rozkazujące okrzyki – wszystkim kierowała Lisa. Raptem wyszła na ganek: piękność, seksbomba, gwiazda – od cienkich krzywych nóg na bardzo wysokich szpilkach, do wzburzonej na czubku głowy fontanny, w wielkich przyciemnionych okularach, z uśmiechem obnażającym ostre kły. Wampirzyca? Wiedźma?

– Panienska!* – szepnęła Ola Ilji do ucha. – No, po prostu od razu na plan filmowy. Powinna grać Panienkę.

– Chyba tak – łatwo zgodził się Ilja.

Wtem Ola zobaczyła Króla. Rozwalił się na leżaku – nie wiadomo, czy spał czy medytował: oczy zamknięte, wielki, gładki podbródek wymierzony w niebo.

– Królu! Czas siadać do stołu! – krzyknęła Lisa, a Król otworzył jedno oko. – Coś się tak rozwalił? Bez ciebie nie zaczniemy!

Zaczął się ruch w zaroślach – goście, już trochę podpici, wypełzali do stołu, rozsiadali się na ławkach. Ilja przerzucił długą nogę przez ławkę, usiadł niemal pierwszy. Ola obok. Niektórych już знаła, ale nie wszystkich.

Ale cóż to były za postacie! W różnym wielu – młodzi i średni, dwaj całkiem starzy i jedna niezwykle zabawna starsza pani. Wszyscy jak jeden mąż – niesowieccy. Co więcej – antysowieccy! Zachwycająco antysowieccy! Oczywiście odsiadujący wyrok docent należał do tego samego towarzystwa.

* Panienska – wampirzyca z noweli M. Gogola *Wij* (przyp. red.).

– Powiedz mi, *who is who*... – szepnęła Ola.

– Kto cię interesuje?

– No, ten tam rudy?

– A, Wasia Ruchin, filozof, teolog. Człowiek o encyklopedycznej wiedzy. Bardzo ciekawie się z nim rozmawia. Co prawda szybko się upija, a jak się upije, to od razu o spisku żydomasońskim ...

Filozof-teolog był całkiem trzeźwy i widocznie to mu doskwierało. Nalewał do szklanki jakąś nieokreśloną ciecz alkoholową, a siedząca obok niego kobieta, co chwila poprawiająca z tyłu na karku twardy warkocz-kiełbasę, spokojnie temu przeciwdziałała. Zgarbiony, niemal garbaty mężczyzna o kaukaskiej pomarszczonej twarzy i dekoracyjnych wąsikach, podniósł prawą rękę do góry i odsunawszy lewą w bok, wolno recytował coś w rodzaju wiersza pełnego kalamburów.

– A to Damiani – jest geniuszem. W rodzaju Chlebnikowa. Palindromy, akrostychy, różne formalne sztuczki. Ale ma też przepiękne wiersze. Jest geniuszem doskonałym. Za późno się urodził. Gdyby żył na początku wieku... Zakasowałby Chlebnikowa. Na razie nie widzę Saszy Kumana, to jego serdeczny wróg, zawsze chodzą we dwóch. Tamten też jest poetą, ale zupełnie innego rodzaju. Jak tylko się spotkają – gwarantowana awantura na gruncie poetyckim.

Ilja już nie czekał na pytanie Oli, sam opowiadał:

– A ci dwaj to obrońcy praw człowieka, gruby to matematyk, na imię ma Alik. Teoretyk o żelaznej logice. Moim zdaniem jest jedynym, z którym KGB boi się mieć do czynienia. Z nim wcale nie da się rozmawiać – udowodni, co chce. Nikt za nim nie nadaża, łeb ma jak automat szybkostrzelny. A ten co obok, w kurtce kowbojskiej, pełnokrwisty Żyd – na imię ma Łazarz – twór-

ca przekładu maszynowego. Lingwista i cybernetyk. A obok, ta w niebieskiej sukience, to jego żona. Anna Reys, też poetka. Moim zdaniem nic szczególnego.

– Skąd Korolow ma takich znajomych? – zapytała Olga.

– To jest określone grono. Wszystko tu wiąże się z książkami. Król jest świetnym introligatorem, wszyscy go znają, serdecznie traktują. Kilka różnych towarzystw porozumiewa się tylko przez Króla. To jest takie właśnie grono – powtórzył Ilja z naciskiem, jakby ten wyraz wszystko tłumaczył.

Wtem Lisa z okrzykiem „Szura! Szura! Gdzie pieróg?” pomknęła na ganek. Otworzyły się drzwi i na progu ukazała się tęga czerwonolica kobieta w białej sukni, która była na nią za mała o dwa numery i groziła pęknięciem. Na wyciągniętych rękach trzymała brytfannę, z której wystawał gruby wiejski placek. W poprzek różowego przedramienia czerwieniło się świeże oparzenie, a spoza ramienia wychylała się młoda dziewczyna, tak samo czerwonolica, też w białej sukni, z dwoma pełnymi wiadrami. Olga wyciągnęła szyję – wiadra były pełne pokrojonego mięsa. Chłopcy od szaszłyków podskoczyli, zabrali wiadra i zniknęli.

– Oleńko, a ten chudy, czarnooki, to słynny Sińko. Jego piosenek z taśmy słuchaliśmy u Bożenowa – przypomniał Ilja.

– Tak, oczywiście, pamiętam. Wspaniałe piosenki.

– Ma gitarę. Więc zaśpiewa.

– Szura, postaw placek i przynieś śledzie. Zapomniałaś czy co? – krzyknęła Lisa do grubaski. Ostry koniuszek nosa Lisy poruszał się jak u zwierzątka. Ola się domyśliła, że przezwisko jej nie pochodzi od imienia Jelizawieta, ale od tego ruchliwego nosa (jak u lisa),

żyjącego samodzielnym życiem. Grubaska pobiegła do domu, potrząsając tyłkiem. Lisa pokiwała głową z po-błażliwym uśmiechem – jakaś nieporadna i nierozgar-nięta jest ta jej pomocnica. Młoda w bieli podeszła do Lisy i coś po cichu powiedziała, ale ta się opędziła:

– Twoje zadanie to pomagać. Zimnych nówek nie przyniosłaś!

I młoda też truchtem pobiegła do domu.

Król wstał wreszcie z leżaka i zasiadł u szczytu sto-łu. Stał tam jego fotel z obwiązany podłokietnikiem i wiedeńskie krzesło. Dziewczyna o wyrazistej wschod-niej twarzy, wielkich oczach, wargach, nozdrzach, krótko ostrzyżona, w białych dżinsach i białej koszulce usiadła obok Artura na wiedeńskim krześle. Objął ją za ramiona.

– Jaka stylowa panna młoda – szepnęła Olga do Ilji.

– Nie, to jest Lenka Babilon, nie ma nic wspólnego z Arturem. Osetynka, ukończyła Szkołę Języków Wschodnich, zna języki kaukaskie. I farsi. A narzeczo-nej Korolewa ja sam nigdy nie widziałem.

W tej samej chwili Lisa podeszła do stylowej i wy-rwała spod niej krzesło:

– Lenka, zwolnij miejsce.

Lenka wcale się nie stropiła:

– Lisa, ty mi nie rozkazuj.

– A ty nie zajmuj miejsca, to miejsce panny młodej! – krzyknęła kłótliwie Lisa, a Lena odwróciła krzesło oparciem do stołu, a sama usiadła Arturowi na kola-nach.

Wyglądało na to, że on nie ma nic przeciwko temu.

– Szura, zaczynamy! Chodź do stołu! – krzyknęła Lisa. Drzwi otworzyły się na oścież i zjawiała się Szura z rącznikiem w rękach.

– Idę, idę! – Wytarła ręce, potem powachlowała się ręcznikiem i powiedziała cicho, ale Ola usłyszała: – Lizoczka, posadź Maszę, wiesz przecież, że jeżeli się jej nie powie, to sama nie usiadzie.

Masza, z rozcapierzonymi palcami, niosła na każdej ręce po dwa półmiski ze śledziami.

Szura podeszła do wiedeńskiego krzesła, odwróciła je do stołu, powiesiła ręcznik na oparciu i ciężko usiadła. To ona była panną młodą. Lenka Babilon tymczasem zniknęła z kolan Artura, jakby tam nigdy nie siedziała. Szura była nieczesana – wcześniej rano pobiegła do fryzjera, gdzie ułożono jej takiego barana, że Lisa się wściekła, długo krzyczała i kazała jej natychmiast umyć głowę: zmyć i loki, i lakier. Szura zużyła całą butelkę zagranicznego szamponu siostry i teraz włosy miała czyste jak nigdy w życiu. Rozsypywały się tak, że żadnymi szpilkami nie dało się ich upiąć. Szura co chwilę poprawiała rudawe proste włosy, pokazując ściemniałe pachy białej sukni. Twarz miała rozpaloną jak po łaźni. Wiadomo, od pieca.

I znów rozległ się przenikliwy głos Lisy z metalicznym podźwięciem:

– No, nalewajcie! Nalewajcie! Artur, co się tak rozsiadłeś? Wstań, panie młody! Kto coś powie? Siergieju Borisowiczu, pan u nas gra główną rolę!

Niewysoki, szczupły człowiek, z wyglądu około pięćdziesiątki, w okularach, o skupionej i niezadowolonej twarzy, opędził się od niej:

– Wciągnęłaś wszystkich w tę komedię, to sama się męcz!

– Kto to jest? – ocknęła się Olga.

– Czernopiatow. Od niego wiele zależy. Niezłomny człowiek. Od czternastego roku życia w łagrach, po raz

pierwszy go posadzono, jak jeszcze był uczniem. Potem ci o nim opowiem.

Lisa, niezadowolona, machnęła ręką:

– No, dobra! Wesele w końcu jest moje! Mój mąż żeni się z moją siostrą.

Zrobiła lekki gest w stronę siostry – że niby odsunąć się trochę na bok. Szura wstała, a Lisa wskoczyła na zwolnione krzesło. Ubrana była jak ostatnie dziwadło: biała bluzka jedwabna, na niej czarny koronkowy biustonosz, spod bluzki wystawały krótkie szorty. Chwiejnie stała na krześle, bo i nóżki krzesła kołysały się lekko na miękkiej i nierównej ziemi i wysokie obcasy też się kiwały. Lekki wiatr unosił pasma nieujarzmionych włosów. Artur patrzył czujnie, gotów w razie czego złapać mówczynię. Z drugiej strony z rozpostartymi rękami dreptała Szura, zmartwiona tą ryzykowną sytuacją. A nie przypuszczała nawet, jak bardzo ta sytuacja jest ryzykowna: nagle się okazało, że Lisa jest zalana w pestkę!

– No, no, gdzie to jest? Szampana!

Lisie usłużnie wsunięto do ręki szklanę, wzniosła ją i wrzasnęła piskliwie:

– Go-o-rzko!

Artur ją złapał, ona uczepiła się go za szyję i zaczęła obcałowywać: w łysinę, w policzek, w nos – aż dotarła do ust i wpiła się w niewzruszonego Króla.

– Ukochanego męża za mąż wydaję! Za ukochaną siostrę! Masza! Gdzie moja siostrzenica? Chodź tu, Maszka! Zmalowałam ci tatusia!

Masza już stała przy matce, a minę miała bynajmniej nie rozbawioną.

Awantura, nie awantura, w każdym razie zanosilo się na coś groźnego.

Olga patrzyła szeroko otwartymi oczami. Nie zauważyła, kiedy zniknął Ilja. Zjawił się po trzech minutach z rękami pełnymi różnów, w towarzystwie chłopca od ogniska.

Lisa wyrwała rożen i wepchnęła go Królowi:

– Szura! Uważaj, kurwa! Pierwszy kęs – zawsze jemu! Maszka! I ty zapamiętaj! Jakby co, to oczy wam wydlubię!

Ale Szurze na pewno nie trzeba było wydlubować oczu – i tak były pełne łez i gotowa była zapaść się pod ziemię, zakłopotana stała jak pień. Ilja rozdał różny, szaszłyki odwróciły uwagę od głównej ceremonii weselnej – gorzkiego całowania.

– Iliusza, przecież to po prostu chuliganka! – oburzyła się Olga, kiedy Ilja podszedł do niej z szaszłykiem.

– Oczywiście, że chuliganka. Genialna chuliganka! To przecież ona Króla z więzienia wyciągnęła, wsadziła do psychiatryka, zdemobilizowała. Jednym płaciła, innym dawała. Została prawnikiem. Nie, naprawdę! Skończyła prawo na wieczorówce. Nie wyobrażasz sobie, co ona wyczynia. Najpierw poznałem ją, a dopiero potem Króla. Dziewczyna z Dalekiego Wschodu, jej ojciec jest myśliwym. Od dzieciństwa chodziła z nim do tajgi. Pije jak chłop. Żelazna baba, co prawda, ma słabość do tych rzeczy. A Król jest impotentem, ale ona to teraz sama ogłosi...

I rzeczywiście. Niewielka przerwa, podczas której goście zgodnie żuli szaszłyki, dobiegała końca. Lisa, skończywszy z szaszłykiem, wymachiwała szpadką:

– Dzieci, żegnam się z wami. Koniec. Wyjeżdżam. Wyjeżdżam do krainy Finów! Białego milczenia. Obrzydliście mi! – zakręciła nosem, zachichotała. – Ale was ubóstwiam. Miejcie się na baczności, bo wrócę i wszystko sprawdzę! Przede mną nic się nie ukryje! To nie KGB! Ja sama sobie jestem agentką! Króla proszę

mi nie krzywdzić! I Szurki nie krzywdźcie. Krowa, ale dobra z kośćcami. Głodnego nakarmi, chorego wyleczy. Pielęgniarka. Zastryk, czy w dupę, czy w żyłę – zrobi jak anioł. Ale nie zaczepiajcie jej! Ona tego nienawidzi. Zero hormonów. Wszystkie mnie przypadły! Idealna para – dwoje impotentów!

Zawisła Królowi na szyi i zaniósła się cudownie wsiowym lamentem:

– Oj, ty mój biedaku nieszczęsny! Mój ty impotencie! No, czemu szczerzycie zęby? Przecież on jest lepszy od was wszystkich! Gdyby miał kutasika stojącego, byłby bezcenny!

Król cierpliwie i pobłażliwie znosił lament byłej żony. Wcale nie reagował na śmiertelną dla każdego mężczyzny obrazę i górował ponad wszystkimi i wzrostem, i godnością, i nawet przywilejem bycia impotentem pośród wszystkich znających seksualne pożądanie, cierpiących, zakochanych, kochanych i niekochanych mężczyzn i kobiet.

Prawdziwy król – pomyślała Olga.

Szura z Maszą ukryły się ze wstydu w kuchni. Szura ryczała, córka ją uspokajała:

– Mamusiu, co ty, nie znasz ciotki? Wyjedzie i wszystko będzie normalnie!

Masza miała w nosie całe to stołeczne zbiegowisko, miała własny projekt na życie – urządzić się w Moskwie, wyjść za mąż z mieszkaniem i skończyć studia. Miała tak samo wytyczony cel jak ciotka, ale była wyciosana siekierą, a nie delikatnym narzędziem.

Wesele nabierało obrotów. Wielką butelkę absolutu kupioną w Bieriozce* opróżnili w ciągu paru minut,

* Odpowiednik polskiego Peweksu (przyp. tłum.).

za to samogonu w trzylitrowych gąsiorach, kupionego od sąsiadki, było w bród. Bułgarska kwaśna gamza w ładnych oplatanych butelkach nie miała powodzenia, w odróżnieniu od portwajnu, którego skrzynkę już wydudlono. Na przysuniętym do okna stole stał magnetofon Ampex, zdobycz Króla, przywieziona przez niego z ostatniego zagranicznego rejsu, i wylewał na podwórze wspaniały be bop, co tworzyło niestosowny, a nawet obraźliwy dysonans. Nie pasowało do siebie: amerykański magnetofon, osobliwość, arcydzieło, chłopięca zabawka, wyczelowana muzyka obcej kultury i absurdalne pijackie wesele na tle delikatnej czerwcowej zieleni, w którym było wszystko, oprócz najbardziej niezbędnej części składowej – wzajemnej miłości kobiety i mężczyzny... Wkrótce zmęczony magnetofon zatrzeszczał i umilkł.

Wtedy Sińko wziął do rąk gitarę i wszyscy przysunęli się bliżej niego. Trącił w struny długimi palcami z długimi, obłamanymi paznokciami i gitara wydała jakieś kobiece gruchanie, znów dotknął strun, a ona znów mu coś odpowiedziała.

– Jakby rozmawiali ze sobą – zachwyciła się Olga.

Ilja położył rękę na jej ramieniu, a ona się ucieszyła – już od kilku godzin siedzieli przy stole i tak bardzo chciała przytulić się do Ilji, znów poczuć to „ciepło ciała”, które zaczęło wyparowywać... Krępowała się pierwsza dotknąć jego ręki, ramienia. Ale on dotknął jej i to było dowodem, że nic nie wywietrzało.

– A ty go nie słyszałaś na żywo?

– Nie, tylko nagrania.

– No, to jest całkiem co innego. Jest prawdziwym artystą. Piosenki Galicza śpiewa lepiej niż sam Aleksander Arkadiewicz.

Lisa tego wieczoru wyjeżdżała do Helsinek. Pociągiem. O wpół do dziesiątej Siergiej Borysowicz Czernopiatow, który przez cały wieczór z daleka obserwował Lisę, podszedł, położył jej rękę na ramieniu i powiedział:

– Już czas, Liso. Jedziemy.

Lisa jakoś tak się skuliła, weszła z Czernopiatowem do domu, i wkrótce wyszli z walizką. Siergiej Borisowicz miał odwiedzić Lisę na Dworzec Leningradzki, tak się umówili. Wszyscy wylegli za furtkę i Siergiej Borisowicz zakrzętnął się energicznie, wyglądał na poirytowanego. Otworzył bagażnik starego niebieskiego moskwicza, ale Lisa nagle zabuczała, zakręciła się, znowu zawisła na Królu, wypominając mu bełkotliwie stare grzechy i znów napomykając o impotencji. Artur gaskał ją po głowie bezwłosą różową ręką i raptem zaczął namawiać, żeby została:

– A rzućże tego Fina, Lisa, zostań z nami, nikt cię nie wygania!

Lisa raptem zawyła i zaczęła wymyślać byłemu mężowi:

– Nie wygania?! A Szurka? Ja ci Szurkę sprowadziłam! Dokąd teraz pójdzie? Nawet dom sprzedała! Dziewczynę ze sobą zabrała! Nie, nie jestem już twoją żoną! Dostyc! Szurka jest twoją żoną!

Rzuciła się na Szurkę:

– No, co się tak gapisz? Co? Zbieraj się, odprowadzisz mnie! Arturowi i tak będzie miał kto drapać pięty! O, Lenka Babilon! Lenka, będziesz drapać? Szurka, no co tak stoisz? Jedziemy.

Czernopiatow zatrzymał Lisę:

– Słuchaj, ja nie wracam. Jak ona się dostanie do Tarasowki z dworca w środku nocy?

Lisa wyciągnęła z torebki pieniądze, dość grubą paczkę, pomachała:

– Moja siostrzyczka odprowadzi mnie do Pitra. Prawda, Szuroczka?

Szura wyglądała na kompletnie wykończoną – przez cały dzień nic nie zjadła, wypła kieliszek szampana, bolała ją głowa i skręcało w brzuchu.

– Zaraz, tylko wezmę sweter! – i zgarbiona podrepotała do domu.

Siergiej Borisowicz coraz bardziej posepniał. Stał przy aucie z otwartymi drzwiczkami, potem zdecydowanie wsiadł, zatrzasnął drzwi od strony kierowcy i zapuścił silnik. Lisa otrzeźwiała, popchnęła Szurę ze swetrem do samochodu, Szura wsiadła. Potem wsiadła też Lisa. Odkręciła szybę i krzyknęła:

– A wy się bawcie, bawcie! W naszej wsi na wesełach mniej niż trzy dni się nie bawią!

Samochód ruszył, uwożąc żony Króla. Król dobrodusznie pomachał im ręką.

Olga dotknęła ramienia Ilji:

– Jedźmy do domu. Jakoś mi cała ta historia obrzydła.

Ilja z trudem odszukał swój plecak i opuścili uroczystość całkowicie po angielsku – z nikim się nie żegnając. Przyszli na stację tuż przed odjazdem pociągu, nie musieli czekać. Usiedli, objęli się i od razu zasnęli. Spali aż do Moskwy.

Wcześniej rano Król w swoim barłogu majstrował przy magnetofonie.

W różnych nieoczekiwanych miejscach spali umęczeni hulanką goście. Lena Babilon obudziła się, wyszła na dwór i zobaczyła nieznanego faceta sikającego koło wychodka. Zdziwiła się, bo był całkiem blisko wygodki, więc mógłby przecież tam wejść. Potem we-

szła sama i zrozumiała, dlaczego facet sikał na dworze. Poszukała w malinach wygodnego miejsca i przekonała się, że nie ona pierwsza bada teren w poszukiwaniu przytulności i intymności.

Na stole ucztowało stado wróbli, a na gałązkach osiki wisały dwie sikorki i szacowały, czy znajdzie się dla nich miejsce wśród wulgarnego pospólstwa. Lena Babilon zebrała ze stołu brudne naczynia, wylała resztkę wody z wiadra do garnka, włączyła butlę z gazem i zaczęła zmiatać resztki ze stołu do wiadra z pomyjami, wyławiając niedopałki w trosce o sąsiedzkiego prosiaka.

Szura odprowadziła Lisę do Pitra. Lisa kupiła jej bilet, co prawda nie w wagonie sypialnym, lecz w wagonie z miejscówkami. Szura była obrażona, ale milczała. Ułożyła siostrę do snu i poszła do swojego wagonu.

„Głupia jestem, bez charakteru, całe życie żyję pod komendą Lisy, a przecież jestem o sześć lat starsza” – wyrzucała sobie.

Szura spała jak zabita, ale rano pierwsza wyszła na peron. Ostatnia ze swojego wagonu wyszła Lisa. Jeszcze nie całkiem trzeźwa, przeproszała, całowała szorstkie ręce Szury, obcałowywała zwłaszcza wczorajszą szramę po oparzeniu. Szura zawsze się spieszyła i była niezręczna. Zawsze w tym miejscu parzyła rękę, kiedy wyjmowała wypieki z piekarnika. Lisa, sama nieświeża, była w świeżej bluzce – Szura nie zapomniała wcześniej jej wyprasować. Tym razem nie włożyła na wierzch biustonosza, ale powiesiła na szyi długi naszyjnik własnej roboty, z mnóstwa podłużnych paciorków skręconych z podartego na drobne kawałki magazynu „Ameryka”. Palce z niedorozwiniętymi paznokciami

niemal łamały się pod ciężarem taniego srebra i groszowych kamyczków, spódnica niebieska, krótka. Nowe rajstopy, które Winar przywiózł na wesele – całą paczkę przywłókł, tuzin! – puściły szerokie oczko na łydce, na widocznym miejscu.

Siostry ucałowały się po raz ostatni, Lisa krzyczała do Szury, dawała ostatnie wskazówki.

Półtorej godziny później na granicy sowiecko-fińskiej Lisa przechodziła kontrolę celną. Najpierw kontrolowali nasi, przetrząsali walizkę, torebkę. Lisa, jeszcze pijana po wczorajszym, wyciągała paczki fotografii, pokazywała celnikom: tu mama, tu tata, tu starsza siostra, tu trofea myśliwskie, tu krajobrazy dalekowschodniej przyrody. Waluty nie miała, rosyjskie pieniądze – wszystkie! – oddała siostrze. Dokumenty były w porządku – nowy zagraniczny paszport, wiza, świadectwo ślubu. Pogranicznicy dobrodusznie się z niej podśmiewali – barwny ptak! Puszczalska, która znalazła swoje fińskie szczęście.

Jeden, dość chwiejny moralnie, próbował nawet położyć rękę na jej chudym tyłku. Zachichotała. Drugi, starszy, poradził jej po ojcowsku:

– Nie przesadzaj tam z alkoholem, kochana, wszyscy Finowie to pijanice, chociaż jest prohibicja!

Pociąg przetoczył się przez granicę – była niezauważalna, po jednej i po drugiej stronie rzadki, niepozorny las, polanki, głązy.

Potem pociąg się zatrzymał. Przyszli fińscy pogranicznicy, celnicy, wszystko się powtórzyło, tylko rzeczy z walizki nie wytrząsano. I odbywało się o wiele szybciej. Finowie odeszli, pociąg ruszył. Lisa chybotliwym krokiem, wymachując torebką na cienkim pasku, poszła do toalety. Powiesiła torebkę na haczyku. Przej-

rzała się w lustrze, nie spodobała się sobie – wysunęła język. Potem kucnęła nad sedesem, z tajemnego miejsca wyjęła rulon o wymiarze znacznie mniejszym niż to, co zazwyczaj się tam mieściło, zdjęła z niego prezerwatywę. Prezerwatywę wrzuciła do klozetu, a rulon, nie rozwijając, włożyła do torebki. Potem jeszcze raz wysunęła język. Trzy mikrofilmy – sfotografowana książka – jechały skomplikowaną trasą. Ale główny odcinek, najgroźniejszy, był już poza nią.

Winar ubóstwiał swoją rosyjską żonę. Od samego początku jej mówił: „Wiem, że mnie rzucisz. Ale niktogo nie kochałem przed tobą i po tobie nikogo nie pokocham”.

Swego czasu pracował jako dziennikarz w Rosji, teraz stracił pracę. To nie miało znaczenia. Pojutrze polecą do Sztokholmu, stamtąd do Paryża, i zakazany rękopis, którego autor siedzi w łagrze, znajdzie się na biurku wydawnictwa, które na tę książkę od dawna czeka.

Winar nienawidził komunizmu, kochał Rosję i ubóstwiał żonę Jelizawietę. Ilja znał się na robocie: mikrofilm wywieziony z łagru przez żonę autora książki we wstydlwym miejscu został zrobiony znakomicie. Siergiej Borisowicz Czernopiatow, szef tej co najmniej trzystopniowej analno-ginekologicznej manipulacji, wiedział, że wszystko będzie w porządku. Lisa nigdy nikogo nie zawiodła.

ZA MAŁE KOZACZKI

Po odprowadzeniu siostry Szura wróciła do nowego męża i zastała tam resztki swojego wesela. Większość gości oczywiście już się rozjechała, ale szczególnie zawzięci balowicze bawili się jeszcze na trzeci dzień, zapomniawszy o gospodarzu, a tym bardziej o nowej gospodynie. Szura wzięła się do sprzątanía. Dwie stare koszule Artura zamieniła na szmaty, zaczęła od kuchni i niby cichy, ale potężny traktor sunęła po domu, zeskrobując archeologiczne pokłady brudu. Masza pomagała jej w milczeniu: nosiła wodę ze studni, myła okna i prała rozpadające się firanki. Do swojego pokoju Artur ich nie wpuszczał, ale Szura wiedziała, że i do niego kiedyś się dobierze. Chociaż teraz Artur był jej mężem, nadal traktowała go jak ulubionego szwagra.

Na czwarty dzień, kiedy goście, oprócz jednego Tolika, który wciąż w żaden sposób nie mógł wytrzeźwieć, jakoś odjechali, Artur wezwał ją do swojej gawry, otworzył szufladę biurka i wsunąwszy w jej czeluść ogromny palec, powiedział:

– Szura, stąd bierz pieniądze.

Leżało tam mnóstwo pieniędzy, Szura się stropiła, machnęła ręką:

– Sam mi dawaj.

Nie patrząc, wziął do ręki, ile się zmieściło, i podał jej. Zdziwiła się: okazuje się, że jest bogaty. A Lisa zawsze mówiła, że pustki w kieszeni, sama się uwijała, jak mogła... Nie zgadzało się.

Było jej niezręcznie i samej brać, i tak, z rąk...

Wiele lat żyła za własne pieniądze: mąż zginął przy spławianiu drewna, kiedy Masza miała zaledwie dwa lata.

– Chciałabym posłać tacie – wpadła na pomysł Szura, chociaż przedtem nawet o tym nie myślała.

– Poślij, poślij Iwanowi Łukjanyczowi. Weź więcej. – Znowu do szuflady i wyciągnął jeszcze jeden pęk papierków. Bawiło go, że żonę zmienił, a teść pozostał ten sam.

– Dziękuję, Artiusza. Ojciec ostatnio ma się kiepsko.

Następnego dnia Szura posłała Maszę do Centralnego Telegrafu, żeby wysłała pieniądze ojcu do Ugolnego. Masza, mimo że nie miała jeszcze osiemnastki, w mieście lepiej się orientowała niż Szura. Lisa dwa razy brała siostrzenicę do Moskwy. Ostatni raz Masza przemieszkała u Lisy w wynajętym mieszkaniu półtora miesiąca i przez całe półtora miesiąca spacerowała sama od rana do nocy. Lubiła sama spacerować i poznawać miasto.

Teraz Masza pospieszyła do telegrafu, żeby wysłać przekaz i pójść na plac Czerwony, jeżeli się uda, to i do Mauzoleum. Właściwe okienko w telegrafie okazało się jednak zamknięte, widniał na nim odręczny kłamliwy napis: „Przerwa techniczna 15 minut”. Masza odstała piętnaście minut w kolejce i poszła w stronę placu Czerwonego. Nic się tu nie zmieniło przez trzy lata, tylko, jak wydawało się Maszy, przybyło ludzi. Jakoś

tak nagle, bez uprzedzenia otworzył się widok na plac. Od razu pomyślała o przyjaciółkach z Ugolnego, Katii i Lence – żeby tak mogły choć jednym okiem zerknąć na to cudo.

„Jak się tu urządzimy, to zaproszę. Najpierw Lenkę, a potem Katię” – postanowiła Masza.

Do Mauzoleum stała ogromnie długa kolejka, Masza skrzyła do GUM-u. Tam też była kolejka, wylewała się z bocznych drzwi. Dziewczyna w wieku Maszy wyciągnęła z długiego białego pudła kozaki i pokazywała drugiej. Ta z zawiści aż pobladła. Maszę też zatkało: czegoś takiego jeszcze nie widziała! Wysokie jak filcaki, niemal do kolan, miały niewielki obcas, zrobione były z pięknego brązowego zamszu; dziadek – chociaż dobrze znał się na skórze – nigdy w życiu by tak nie wyprawił.

Masza nie miewała żadnych szalonych pragnień, ale tu nagle się zapaliła: oddałaby wszystko za takie kozaki. Co prawda nie miała czego oddawać. W tej chwili nawet zapomniała, że zawiązane w chusteczkę do nosa pieniądze leżą w kieszeni zapiętej na agrafkę.

– Pani ostatnia? Ja za panią! – lekko popchnęła ją dziewczyna z obfitą fryzurą.

Wtem Masza przypomniała sobie, że przecież ma pieniądze, sto rubli! I że znalazła się na końcu kolejki, ale nie ostatnia.

Stała cztery godziny. Dwa razy po kolejce przeszła plotka – kończą się! Okazało się, że kończy się numer trzydziesty siódmy, a inne rozmiary jeszcze były. Kiedy przyszła kolej Maszy, skończyły się wszystkie – i małe, i duże. Ale na ladzie stały góry pudeł: kobiety bez pieniędzy podpisywały paragony na dwie godziny i pędziły zdobywać pieniądze. Te, które nie zdąży-

ły wykupić kozaków we właściwym terminie, traciły je na zawsze, ponieważ inne, z banknotami w spoczynnych rękach, stały w nerwowym tłumie w oczekiwaniu na szczęście. Masza też stała. I doczekała się. Dostała cienkie kartonowe pudełko z brązowymi, delikatnymi cudami... Przez całą drogę wkładała ręce do środka, pieczołtliwie dotykała w ciemności pudełka cholewek...

„Zwariowałam, całkiem zwariowałam” – powtarzała sobie, ale była bezsilna. Wracając podmiejskim pociągami na daczę w Tarasowce, do swojego nowego domu, Masza płakała: co ona teraz powie mamie, wujkowi Arturowi? Pieniądze dziadka wydała na kozaki, co za wstyd. Co, no co ma im teraz powiedzieć?

Podeszła do domu, zatrzymała się. Decyzja była prosta, chociaż nie ostateczna. Przemknęła przez furtkę, prześlizgnęła się w kąt podwórza, za wychodek, i zakopała pudło w kupie zeszłorocznych liści.

Szura tak się niepokoiła, że córka zgubiła się w mieście, że jej nawet nie skrzyczała. Zapytała tylko, czy wysłała pieniądze. Masza kiwnęła głową:

– Mamo, zabłądziłam. Wysiadłam na niewłaściwej stacji. A potem jeszcze pojechałam obejrzeć uniwersytet.

Tak kłamała prawdomówna Masza, i sama się sobie dziwiła, jak łatwo jej to przychodzi. Następnego ranka Szura z Arturem poszli do sklepu AGD. Szura postanowiła zrobić remont. Artur nie chciał remontu, ale miał łagodny charakter, więc zgodził się, tym bardziej, że Szura wszystko robiła sama: kleiła tapety i bielila sufity. Siostra zawsze się z niej wyśmiewała, mówiła, że Szura swoje potrzeby seksualne zaspokaja za pomocą dobrej szmaty do podłóg, ona zaś, Lisa, za

pomocą pokaźnego... Lisa nie przebierała w wyrażeniach.

Gdy Masza została sama, wyciągnęła pudełko z kupy zleżałych liści i, tuląc do piersi, zaniosiła do domu. Wyjęła kozaki z pudełka, obtarła stopy dłońmi i zaczęła wpychać gołe nogi do butów, ale nie wchodziły. Znalazła mamine pończochy w walizce, naciągnęła je i wepchnęła nogi w kozaczki. Kozaki okazały się za małe, cisnęły. Ale ponieważ były miękkie i delikatne jak dziecięca skóra, nogi jakoś wlażyły.

W lecie noga jest rozparzona, w zimie szczuplejsza – pocieszała się Masza. Ale postanowiła wypchać je mocno papierem, żeby się trochę rozciągnęły. Gdziekolwiek spojrzeć, w całym domu same brudne gazety. Przecież nie wepchnie ich do tych niebiańskich kozaczków! Weszła pod stół, znalazła tam grubą paczkę odpowiedniego papieru – cienkiej przebitki. Masza każdy arkusik zmięta osobno, ugniotła w kulkę i tymi kulkami wypchała buty aż do samej góry. Wcisnęła w kozaki całą paczkę, do ostatniego arkusika. Stały jak wypełnione żywymi nogami. Masza przytuliła but do policzka – no, zupełnie jak dziecięca skóra. „Dorndorf” – było napisane na pudełku. Gdzie ten Dorndorf? W Niemczech? W Austrii? I gdzie je teraz schować, przecież nie w kupie liści za wychodkiem...

Myślała, myślała, ale w domu nie odważyła się ich zostawić. Tym razem zaniosiła je do wychodka. U góry, pod samym sufitem, była przybita półka, cała w pajęczynie. Nikt tam nie zaglądał. Dawno postawiono na niej dwie puste puszkę po farbie i zapomniano. Masza sprawdziła: było tam sucho. Na dachu wychodka leżał porządny kawał papy, nawet trochę zwisał z dachu.

„A poza tym – postanowiła Masza – pójdę do pra-

cy, zarobię pieniądze i poślę dziadkowi. Nikt się nie dowie. Przyjdzie zima, a ja w kozakach! A studia? Do diabła z nimi, zapiszę się w przyszłym roku”.

Taka oto rewolucja odbyła się w ciągu jednego dnia w głowie Maszy. Nawet zrobiło się jej lżej na duszy – szkołę skończyła dobrze, prawie na medal, planowała, że od razu pójdzie na studia, potem wyjdzie za mąż, z czasem zdobędzie mieszkanie w Moskwie, żeby nie siedzieć na karku matce i wujkowi, ale dla kozaczków wszystko odłożyła na rok. Wepchnęła pudełko na półkę, w sam kąt, z przodu ustawiła puszki... Pudełko zmieściło się tam doskonale. Nie da się zauważyć.

Matka z Arturem wrócili nieprędko. Z Tarasowki musieli pojechać jeszcze do Puszkina, do tamtejszego wielkiego sklepu AGD. Kupili tam tapety, klej i farbę na sufit, i biały lakier do okien. Przyjechali autem już pod wieczór. Szura była zadowolona, promieniała jak mosiężna miednica, krzątała się, taszczyła rolki tapet. Artur, jak zawsze, się nie spieszył, dobroduszny, zmęczony.

Panisko – pomyślała Masza nieźyczliwie.

Nie zdążyli jeszcze przenieść wszystkiego do domu, gdy nagle zwalili się nieproszeni goście: trzech w mundurach, dwóch w cywilu. Spytałi o Artura Iwanowicza Korolowa. Starszy, o wyblakłej twarzy, mignął legitymacją, potem wyjął papier i podsunął go Arturowi pod nos.

Artur usiadł w swoim fotelu, uśmiechnął się swoim bezosobowym uśmiechem.

– No, dalej, dalej, pracujcie, chłopcy. A ty, Szuroczka, przygotuj coś do jedzenia. Podczas gdy ludzie pracują, my coś sobie zjemy.

* * *

Przeszukanie trwało prawie pół doby – od wpół do piątej do trzeciej w nocy. Wchodzili na strych, schodzili do piwnicy, obstukali wszystkie ściany. Poszli do altan-ki, połamali tam stół, z szopy wyrzucili całe drewno, wszystko przetrząsnęli. Zagląдали do ustępu, świecili latarką. Zabrali mnóstwo książek, wszystkie narzędzia introligatorskie. Artur nawet legitymację inwalidzką im pokazał, i papiery odznaczeniowe.

– Poniesiecie odpowiedzialność karną – ponuro mruzczał kapitan. – Nie macie licencji, nie płaciec podat-ków. Oprawiacie diabli wiedzą co, jakąś antyso-wiecczyznę.

Stery starych książek w nowej oprawie piętrzyły się na warsztacie.

– Jakaż to anstysowiecczyzna – rozkładał ogromne ręce Artur. – Hamsun, Leskow, a to w ogóle książka kucharska... Co wy, chłopcy, nie widzieliście antyso-wiecczyzny?

Masza też się trochę niepokoiła: co będzie, jeżeli te-raz znajdą na półce w wychodku kozaki i jej występek się wyda.

Dzielni junacy poszli sobie, gdy już wschód się prze-jaśniał. Zabrali i książki, i narzędzia.

– Zaparz herbatę, Szuroczka – poprosił Artur.

Masza siedziała i martwiła się: co będzie, jeżeli Artu-ra teraz wsadzą i będą musiały z mamą jechać z powro-tem do Ugolnego; czy starczy pieniędzy na samolot, bo pociągiem to przecież cztery doby...

Artur sięgnął pod stół – przedtem leżało tam mnóstwo książek, a teraz było pusto, poszukiwacze wszystko wyrzucili. Artur siadł w swoim obandażo-wanym fotelu, podrapał się w bezwłosy, różowy pod-bródek:

– Czary, po prostu jakieś czary! Szura, tu pod stołem leżał egzemplarz *Archipelagu*. Na pewno po niego przyszli. Jakiś drań doniósł. No i gdzie on się podział? Leżała tu wielka paczka! Przecież nie zwariowałem!

Cóż, Szura akurat wiedziała, że jest wariatem: bez powodu do psychiatryka nie wsadzają. A Masza już spała wycieńczona obuwniczymi zmartwieniami, nocną rewizją i szczęśliwym poczuciem tajnego posiadania.

WYSOKI REJESTR

Dom w zaułku Potapowskim, który zmienił setki lokatorów, przeżył na swoich ścianach tapety jedwabne, empire, w paski, w róże, ordynarną farbę olejną, zieloną i niebieską, warstwy gazet, tanie tapety z porowatego papieru, wielokrotnie zdzierane, dom, który w ciągu stu pięćdziesięciu lat swojego istnienia doświadczył bogactwa i nędzy, narodzin i śmierci, zabójstw i wesel, zagęszczenia i komunalizacji, remontów gorszych niż pożary oraz drobnych pożarów i potopów, w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku zaczął się przyozdabiać wewnątrz czeskimi meblami i trójkątnymi stolikami. Dom był w powolnym, niemal geologicznym ruchu, i tylko jeden lokal – komórka dozorczy pod schodami – całkowicie zachował swój dawny wygląd, przeznaczenie i zawartość: ściany były tak samo jak po zbudowaniu, z naturalnej cegły, nawet nieotynkowane, i nadal przechowywano tam miotły, łomy, wiadra z piaskiem. Był tam też zwinięty w kłębek bardzo długi szlauch, najcenniejszy sprzęt.

Komórkę zamykano na kłódkę. Ogromna żelazna kłódka mogłaby chronić nawet większe skarby, ale dozorca Ryżkow, znany w okolicy z wścieklej miny i wyjątkowo krzywych nóg, lubił rzeczy solidne, między

innymi również ośmiokilową kłódkę. Jego wnuczka Nadźka za każdym razem, gdy sprowadzała do komórki kawalera, długo dłubała przy kłódce. Nadźka lubiła te rzeczy, czyli wszelkie dłubanie. Była dziewczęciem o wczesnym zapłonie i nagannym prowadzeniu, i już nie pamiętała, kiedy opanowała to pasjonujące zajęcie. Zanim przeszła do dziewiątej klasy, była już mistrzynią swego fachu i jak każdy mistrz, miała swoistą manierę i własne słabostki. Nie lubiła dorosłych facetów, którzy się do niej kleili, wołała chłopaków. Koledzy z klasy i podwórka, często nawet o rok–dwa młodszy, cenili ją, nie pozwalali jej skrzywdzić, nikt złego słowa o niej nie powiedział, bo była wspólnym i cennym dobrem.

Dziadek Nadźki wstawał wcześnie, kładł się spać z kurami, których dawno już nie trzymano, ale jego organizm pamiętał te czasy, gdy na podwórzu piętrowej wili była stajnia, dwie przybudówki, a w jednej trzymano kury. I wtedy właśnie, gdy dziadek uderzał w kimono w porze kur, Nadźka zdejmowała z haka klucz i na parę godzin oddalała się do swojego buduaru pod schodami.

Tam, w czeczotowym fotelu z zepsutym oparciem, na zwojach szlauchu i między miotłami działo się wiele ciekawych rzeczy – szczupli chłopcy, którzy jeszcze nawet nie dorosli do wieku pryszczy, próbowali swoich sił i ostrzyli oręż na przyszłość. Połowa chłopców z okolicznych domów zdobywała pierwsze doświadczenia tutaj, w komórce dozorczy, i trzeba powiedzieć, że Nadźka żadnego z nich, poza jednym jedynym, nie zniechęciła do tego prostego i zdrowego zajęcia.

Ilja wstępował tutaj, korzystał z życzliwości Nadźki na zasadzie ogólnej i uczciwej kolejności.

Nadźka, jak się rzekło, miała słabość do nietkniętych chłopców i z właściwą sobie bezpośredniością mimo-

chodem zapytała Ilję: „A czemu Stiekłow do mnie nie przychodzi? Przyprowadź go”.

Sania był akurat w jej guście – jasnowłosa, szczupła, rączki czyste, chłopiec najgrzeczniejszy ze wszystkich.

Ilja zaprosił Sanię. Ten, zaczerwieniony nie mniej niż rudy Micha, natychmiast odmówił. A gdy odmówił, zaczął się dręczyć. Zanim doszło do tej oferty, w ogóle nie zainteresował się Nadźką – gruba, ordynarna dziewczka z równoległej klasy, z czarnymi oczami pod grzywką, nawet dwóch słów z nią nie zamienił. Ale po zaproszeniu Ilji przez cały tydzień chodził jak struty, Nadźka nie wychodziła mu z głowy i postanowił, że gdyby Ilja jeszcze raz zaproponował, to zgodzi się pójść – wiadomo już było dokąd i po co.

Ilja zaproponował i tym razem się umówili. Przyszli o wpół do dziesiątej. Nadźka czekała na nich, czytając książkę – *Zorany ugór*, lekturę obowiązkową.

Ilja od razu wyszedł, a Nadźka zamknęła drzwi od środka.

– Mam ci pokazać? – zaproponowała doświadczona Nadźka, która mogła pokazać, a mogła i bez pokazywania.

Sania milczał: bardzo chciał zobaczyć na żywo to, co widział tylko w atlasie anatomicznym Urbana i Schwarzenberga z maminej szafy. Ale milczał.

– Nie bój się, to bardzo przyjemne.

Odpięła guziki niebieskiego sweterka, doleciał go zapach ciepłego potu, a pod sweterkiem zobaczył górną część jej piersi wylewającej z ciasnego stanika, spod różowej kombinacji z białą koronką.

Sania się cofnął. Nadźka pokazała białe zęby i perłowy pasek dziąseł:

– Nie bój się, daj rękę.

Sania wyciągnął rękę jak na przywitanie. Odwróciła jego dłoń i wsunęła sobie za pazuchę. Pierś była jak świeża bułka – twarda i ciepła.

– Jesteś jakiś obcy – mruknęła Nadźka z niezadowoleniem i aby usunąć tę obcość, zgasła światło.

Była doświadczoną uwodzicielką, ale w swej zwierzęcej niewinności nawet się tego nie domyślała. Sama też się podnieciła, gdy zgasła światło. W komórce nie było okna, ciemność zapanowała całkowita, nieprzenikniona.

– No co ty, Sanieczka, jak kłoda, rusz się.

Rzeczywiście był jak kłoda. Ujęła jego zimne ręce w swoje, ciepłe i duże, i zaczęła nimi wodzić po swoim ciele, jak po drzewie. Chciał uciec, ale dokąd... w jaką inną ciemność z tej nieprzeniknionej?

Coś zachrobotło z boku, pisnęło, złapał Nadię za ramię. Okazało się, że cała jest obnażona i cała jak świeża bułka – nie tylko pierś.

– Nie bój się, to szcurzyca z małymi, mają tu gniazdo. Potem ci pokażę.

Szczur, nie wiadomo dlaczego, uspokoił Sanię. Bał się, że Nadźka przestanie wodzić po sobie jego rękami i sama się do niego dobierze. Tak też się stało. O, jak strasznie chciał uciec, ale teraz było już za późno, za późno... Już go trzymała miękkimi dłońmi i przygadywała:

– Mój maleńki, milutki...

Uwaga była mocno nietaktowna, ale w istocie podniecająca, wyrażała bezgraniczną sympatię. Uwodzicielka dodawała mu otuchy, trzymając w rękach jego nieśmiałą męskość mocno i pieszczotliwie.

– Widzisz, jak dobrze – głęboko westchnęła niewidzialna Nadźka.

Zwyciężyła – oto co czuła. Znów zwyciężyła. Przytuliła głowę Sańki do swojej piersi – co za władza, tak właśnie wszystkich ona zniewala.

„Nie chcę, nie chcę” – powtarzał Sania w myślach, ale to nie pomogło. Był już w środku, nie było ucieczki.

Cichy śmieszek zadowolenia:

– No, tak – woda znajdzie dziurkę.

To, co mogło być początkiem, stało się jednocześnie zakończeniem.

Ścisnęło i wytrysnęło. Lepko i gorąco. I szalony wstyd. Czy to właśnie jest to?

Nadźka szukała ustami jego warg. Grzecznie je podsunął. Oblizwała jego usta wielkim językiem i lekko wsunęła język pod górną wargę. Wessała powietrze. Rozległ się odgłos cmoknięcia.

– Umrzyj, ale nie dawaj pocałunku bez miłości – szepnęła.

To na pewno. Lepiej umrzeć niż to wszystko...

Na dworze trwała niekończąca się mżawka. Ilja czekał na niego po przeciwnej stronie zaułka. Poszedł.

– Wszystko w porządku? – zapytał bez uśmiechu, rzeczowo.

– W porządku. Dość obrzydliwie – odpowiedział Sania lekkim głosem, więc Ilja nawet się nie domyślił, jak wielkie czuje obrzydzenie.

W milczeniu doszli do domu Sani, pożegnali się pod bramą.

Nazajutrz Sania nie przyszedł do szkoły. Zachorował. Choroba ta sama co zawsze – temperatura około czterdziestu i nic więcej. Przez sen majaczyło mu się, że umiera, że ma syfilis albo coś jeszcze gorszego. Ale niczego takiego nie miał. Po trzech dniach gorączka spadła, ale jeszcze przez kilka dni wylegiwał się w łóż-

ku, babcia zaparzała mu malinową herbatę, robiła rurki z kremem i ucierała zielone jabłka na bardzo drobnej tarce, a on walczył z powtarzającymi się atakami wstępu do siebie, do własnego ciała, które go zawiodło i odpowiedziało na cudzy zew wbrew jego woli... A może nie wbrew?

Leżał i czytał *Odyseję*. Doczytał do miejsca, gdzie towarzysze podróży Odyseusza wiosłowali obok wyspy syren, a uszy mieli zalepione woskiem – boby powskakiwali do wody i popłynęli za tymi syrenimi głosami – a Odyseusz, przywiązany pasami do masztu, wił się i usiłował zedrzeć z siebie więzy, by rzucić się do morza i popłynąć ku nieznośnie przyzywającemu śpiewowi. Był jedynym, który usłyszał te dźwięki i przeżył. Skaliste brzegi były zasypane zeschniętymi skórami i kośćmi podróżników, którzy złapali się na przynętę czarującego dwugłosu i zostali wyssani przez chciwe krwi syreny.

– Niuta, jak myślisz, czy epizod z syrenami mówi o władzy libido nad mężczyzną?

Anna Aleksandrowna zamarła ze spodkiem w ręce:

– Sanieczka, nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Masz absolutną rację. Ale nie tylko nad mężczyzną – nad kobietą też. W ogóle – nad człowiekiem. Światem rządzą miłość i głód – to straszny banał, ale tak właśnie jest.

– I w żaden sposób nie można tego uniknąć?

Anna Aleksandrowna się roześmiała:

– Chyba można, ale mnie się to nie udało. Zresztą nie chciałam, żeby się udało. Wszystkich wcześniej czy później zasysa ten wir.

Położyła mu chłodną, szorstką dłoń na czole, a dotknięcie było najczystsze, lecznicze:

– Nie masz gorączki.

Sania ujął jej kościstą upierścienioną rękę i pocałował.

„To już dorosły chłopiec. I taki dobry. Ale zbyt delikatny, zbyt wrażliwy... – ze smutkiem pomyślała Anna Aleksandrowna. – Trudno mu będzie w życiu...”.

Ale trudności Sani rozpoczęły się o wiele wcześniej, niż przewidywała Anna Aleksandrowna. Od najwcześniejszego dzieciństwa, jeszcze w wieku przedszkolnym męczyło go podejrzenie, że odróżnia się od rówieśników i w ogóle od innych ludzi jakąś wadą. W najlepszym razie jakąś cechą szczególną. Nie było wątpliwości, że w jakiś nieokreślony sposób wiąże się to z muzyką. Mama i babcia, niczym archanioły z mieczami, odgradzały go od obcego świata i na trzydziestu dwóch metrach ich bajecznie ogromnego pokoju stworzyły mu wspaniałą rezerwat, i same się wystraszyły: jak on będzie żył bez nich, za progiem pokoju i jeszcze dalej – po ich śmierci? Początkowo chciały go uczyć w domu, nie posyłać do szkoły, ale nie odważyły się na tak radykalny krok.

Wasilij Innokientiewicz, wezwany na naradę, żeby to przedyskutować, nie zawiódł; wysunął zabójcze argumenty, a najmocniejszy był taki: jeżeli chłopiec od dzieciństwa się nie przystosuje, w szkole się nie dotrze, to będzie tak kłuć w oczy swoją społeczną niewinnością, że nie uniknie więzienia.

Matka z babcią popatrzyły po sobie i posłały go, żeby się docierał. Pierwsze pięć lat nauki spędził prawie jak w pojedynczej celi. Jakoś dziwnie go nie zauważano, jakby był przezroczysty. A on chronił tę swoją przejrzystość, od grubiaństwa chłopców odgradzał się uprzejmym uśmiechem i oprócz obcości nie miał z kolegami absolutnie żadnego kontaktu.

Cud się zdarzył na początku szóstej klasy – kociak, zaszczuty przez psa i kolegów z klasy, złożył życie na ołtarzu przyjaźni Sani i Ilją i Michą. Została ona wzmocniona wzajemnymi wyznaniem najskrytszych, kryjących się w ich sercach tajemnic.

Pod koniec lat szkolnych narosły jednak nowe tajemnice, niewyznane. Przyjaciele byli już prawie dorośli i pogodzili się z tym, że każdy ma prawo do utajonej części życia. Tajemnica Sani nie miała nazwy, ale bał się on jakiegoś zdemaskowania: a nuż Ilja i Micha dowiedzą się o tym, czego on sam w duchu nie umiał nazwać. Jego przyszłość nie zdążyła jeszcze zakiełkować, dojrzeć i nie przynosiła na razie ostrych przeżyć, lecz jedynie zamglony smutek. Wszędzie roiły mu się przemilczenia, chociaż te przemilczenia nie przeszkadzały ich przyjaźni. Nigdy się nie kłócili, wszelkie różnice zdań potrafili obrócić w zabawny dialog, w chwilowy teatr, którego prawa znane były tylko im trzem – „Tranonowi”.

Gdyby jednak Sania nawet chciał, nie potrafiłby wyznać przyjacielom tajemnego odkrycia – brakowało mu słów. A mówić, ot tak sobie, pierwszymi słowami, które się nawiną, nie potrafiłby z powodu wrodzonej pedanterii.

Potrafiła go zrozumieć tylko Liza, pod każdym względem pokrewna dusza, wnuczka Wasilija Innokientiewicza, już niemal prawdziwa pianistka, chociaż nie wstąpiła jeszcze do konserwatorium. Ale wstąpi. A on, Sania, nigdy.

Tylko z nią mógł się podzielić podejrzeniem, że świat, w którym rano czyści się zęby proszkiem miętowym, gotuje jedzenie, je się, potem pozbywa się tego jedzenia w klozecie, czyta się gazety, a wieczorem kła-

dzie się spać z głową na poduszce – nie jest światem prawdziwym. Przekonującym dowodem na istnienie innego świata była muzyka, tam się rodziła i w tajemniczy sposób przenikała tutaj. I to nie tylko ta, która wypełniała salę konserwatorium lub bezładnym zgiełkiem rozbrzmiewała w korytarzu szkoły muzycznej albo kryła się na czarnych ścieżkach płyt. Nawet ta, która wypływała z odbiornika radiowego z zakłóceniami i załamującymi się nutami – też przenikała przez szczelinę między światami.

Sania truchlał na potworną myśl, że świat tutejszy, w którym babcia, proszek do zębów i klozet w końcu korytarza – to oszustwo, iluzja, i jeśli szczelina nieco się rozszerzy, wszystko, co tutejsze, pęknie jak bańka mydlana w balii.

– Zrozum, tu jest mi mdło, nie do wytrzymania, a tam mnie nie wpuszczają. Czy ja jestem jakimś kaleką, czy co?

Liza tylko wzruszyła ramionami i rzekła:

– No tak, oczywiście! A że kaleka – to bzdura! Oczywiście, że jest granica między tymi światami... Graj, a znajdziesz się tam.

Była przekonana, że wiele osób o tym wie. Pewnie dlatego, że uczyła się w Centralnej Szkole Muzycznej i jej koledzy wszyscy grali po osiem godzin dziennie na fortepianie, na skrzypcach, na wiolonczeli i byli przykuci do pięciolinii niewidzialnymi łańcuchami.

Sania w ostatnim roku szkoły prawie nie dotykał instrumentu. Oczywiście, dla niego wszystko się skończyło. Zrezygnował z prywatnych lekcji, a Anna Aleksandrowna tylko westchnęła.

Chodzili na koncerty.

Chodzić na koncerty z Lizą było nawet przyjemniej

niż z babcią. Słuchali i porównywali, wysyłali drobne znaki porozumienia – półkiwnięcie, półwestchnienie, wstrzymanie oddechu, co najwyżej dotknięcie ręki. Później odprowadzał ją do trolejbusu, czasem jechał z nią aż do stacji Nowosłobodska i rozmawiali o Chopinie i Schubercie, a po jakimś czasie już o Prokofiewie i Strawińskim, o Szostakowiczu. I nie przypuszczali nawet, że te muzyczne rozmowy będą prowadzić przez całe życie, do śmierci pierwszego z nich – o Bachu, o Beethovenie, o Albanie Bergu. I będą przylatywać na jeden, jedyny koncert jakiegoś wielkiego muzyka do Paryża, do Madrytu, do Londynu, żeby razem nacieszyć się najpierw muzyką, a potem rozkoszować się rozmową do rana, aż do pożegnania przed odlotem w różne strony świata.

I cóż – czyż można opowiedzieć Lizie o dozorcówce, o ciemności, o spółkowaniu w tej ciemności, o smutku, który go ogarnął po tym słynnym męskim wyczynie? O Nadźce z błyszczącymi dziąsłami?

Wkrótce po Nowym Roku Nadźkę wyrzucono ze szkoły, co było niesprawiedliwe: uczyła się całkiem przyzwoicie. Natura obdarzyła ją nie tylko bujnym ciałem, ale też pojętną głową. Jej zachowania w szkole też nie można było nazwać złym – sennie siedziała na lekcjach, wobec nauczycieli nie była niegrzeczna, odpowiadała na mocne czwórki. Dyrektorka wezwała ją, przedstawiła wszystkie, jakie do niej dotarły fakty na temat dozorcowskiej komórki, i kazała zabrać dokumenty. Nadia rozplakała się i zabrała – przeszła do szkoły dla pracujących, co zresztą okazało się słuszne.

Dawni przyjaciele do niej zaglądali, co prawda czasu miała teraz mało – od rana pracowała w piekarni na Pokrowce, wieczorem chodziła do szkoły.

Mimo że przez wiele lat nadal mieszkali w jednej dzielnicy, to spotkali się jeszcze tylko raz przy kinie „Uran” na Srietience, zupełnie przypadkowo – Sania był z Anną Aleksandrowną, a Nadia z przyjaciółką Lilką. Sania ukłonił się jej z daleka, a ona zaczęła coś z ożywieniem szeptać na ucho przyjaciółce i chichotać.

Sania się odwrócił: zapomnieć... zapomnieć... Nikomu ani słowa... Nigdy... Odplynęło jakby, ułożyło się na samym dnie pamięci.

Ach, Lizka, Lizka, jaka ty jesteś – słów brak!

Była kryształowa, krucha i aż głupio przypuścić, że jest tego samego rodzaju co pełnokrwista Nadzka, że ma na sobie tę samą gumową uprząż – stanik, pas z podwiązkami, przypięte pończochy. Błuznierstwem zdawało się nawet myślenie o tym. Sania odrzucił niskie podejrzenia: anioły, rzecz jasna, nie noszą żadnych gumek.

Tu Sania okrutnie się mylił. Anioł nosił te wszystkie fatałaszki i wcale nie był mu obcy ten żywioł, który odkrył się Sani w dozorcówce. Powoli, lecz zdecydowanie rozwijał się romans Lizy z młodym skrzypkiem, studentem konserwatorium ze sławnej rodziny muzycznej. Niedźwiedziowaty, o czerwonej dziobatej twarzy i czarnej kędzierzawej czuprynie, gruby Borys – trudno w to uwierzyć! – podobał się Lizie. Może dodawało mu uroku nazwisko jego dziadka na marmurowej tablicy w foyer Małej Sali konserwatorium. Sania dowiedział się o ich związku dopiero po czterech latach, niedługo przed ślubem i poczuł się mocno zraniony: wszystko, co cielesne, męsko-damskie, miało brudny posmak dozorcówki i było absolutnym przeciwieństwem przystępnego świata dźwięków. Więc jak to się mogło od-

nosić do Lizy? Grała coraz lepiej, zupełnie wyrosła z lat uczniowskich, nabywała własnej maniery, osobistej intonacji. A tu ten gruby Borys? Nie, nie była to zazdrość, raczej – zdumienie...

Dwa tygodnie przed ślubem Liza i Borys grali duet – sonaty Mozarta na skrzypce i fortepian. Sania usiadł w niewypełnionej sali i cierpiał: znał te sonaty i przeżywał fałszywość dwóch partii – nie wzajemne wsparcie, nie sojusz głosów, ale niepokojące wzajemne niestyszenie. Między partią fortepianową a skrzypcową nie było żadnej duchowej zbieżności. Nienawidził Borysa za to, że ten jest tępy, egoistyczny i strasznie zakochany w sobie. Nie wolno, nie wolno Lizie wychodzić za niego za mąż!

Wyszedł, nie wręczywszy kwiatów. Trzy czerwone goździki zawinięte w biały papier i zatknięte w rękaw palta wyrzucił do śmietnika przy pomniku Czajkowskiego.

Obiad weselny był domowy – skromny, ale wytworny. Zaproszonych było niewielu: rodzice, najbliżsi przyjaciele. Ogółem dwadzieścia cztery osoby, zgodnie z liczbą sztuk odświętnego serwisu, zachowanego w całości prezentu ślubnego, podarowanego babci i dziadkowi Borysa na ich ślub.

Dziadek Grigorij Lwowicz, znany skrzypek i pedagog, wisiał w ramach obok portretu młodej babci Eleonory, pędzla Leonida Pasternaka. Dziadek stracił życie z powodu kosmopolityzmu, a babcia, w zamierzchłej przeszłości śpiewaczka, przeżyła i kosmopolityzm, i męża, i syna, i do dziś żelazną ręką prowadziła swój świetnie zorganizowany dom na najwyższym towarzyskim poziomie – jak nikt już nie potrafił.

Stół błyszczał niczym góra lodowa w słońcu. Mi-

gotowały wyczyszczone do białości srebra, mrugały do siebie kryształami kielichów, na okrągłych i owalnych półmiskach leżały przezroczyste płatki ryb i sera. Jak znany Nauczyciel, ona też potrafiłaby pięcioma chlebami nakarmić mnóstwo ludzi, ponieważ umiała bardzo cienko kroić. Co prawda nigdy nic nie zostawało. Jedzenia zawsze podawano przymało, za to naczyń wiele. Państwo młodzi w strojach koncertowych – Borys w smokingu, Liza w bladożółtej sukni z koronkami, w której zupełnie nie było jej do twarzy.

Wśród zaproszonych – czterej najlepsi muzycy tej części świata z żonami. Błyszcząca łysa czaszka wielkiego pianisty, wielki skrzypek pulchnym ciałem wbił się w fotel. Piąta wykonawczyni, też należąca do geniuszów muzycznych – jedyna bez towarzystwa, nigdy niemająca męża – postawiła podartą torebkę ze sterczącą z niej zieloną przykrywką kefiru na stole, obok lśniącego nakrycia. Wielki wiolonczelista, najbliższy przyjaciel zmarłego gospodarza domu, dłubał w zębach zaostrzoną zapałką. Słynny, ale niezbyt wybitny wielki dyrygent mlaskał cienkimi wargami, rozglądając się, co na jakim półmisku leży, i udając, że nie zauważa groźnych spojrzeń żony. Jeżeli nie liczyć nowych krewnych, niemuzyczną część towarzystwa reprezentowała para najbliższych sąsiadów z dacy – członek Akademii, chemik z małżonką. Eleonora Zorachowna, geniusz zebrań towarzyskich, była zmartwiona – żona wielkiego kompozytora właśnie zadzwoniła i oznajmiła, że nie będą mogli przyjść.

Stworzona przez nią kompozycja wieku została zaburzona.

– *Déjà vu* – szepnęła Anna Aleksandrowna do wnuka. – Byłam na weselu Eleonory pięćdziesiąt lat temu. W tym samym mieszkaniu... W roku jedenastym...

– Z tymi samymi gośćmi? – uśmiechnął się Sania.

– Mniej więcej. Był Aleksander Nikołajewicz Skriabin. Akurat przyjechał z zagranicy.

– Skriabin? Tu?

– Tak, przyszedł, w odróżnieniu od Szostakowicza, który nie raczył przyjść. Wszyscy lubili Grigorija Lwowicza, a nikt Eleonory.

– A kto jeszcze był?

– Leonid Osipowicz i Rozalia Isidorowna Pasternakowie. Ona była cudowną pianistką, Antoni Rubinstein zauważył ją, jeszcze gdy była małą dziewczynką. Wąski krąg. Pokrewieństwo dusz, profesja... Byłam w tym domu, będąc w twoim wieku, nie, młodsza, oczywiście. Na całe życie zapamiętałam to wesele. A ty zapamiętasz to... – westchnęła.

– A jak ty tu trafiłaś? – przyszło Sani do głowy.

– Miałam pierwszego... męża, muzyka. Był przyjacielem pana młodego. Kiedyś ci opowiem.

– Dziwne, że dawniej nie opowiadałaś.

Anna Aleksandrowna była na siebie zła: przecież już dawno postanowiła, że nie będzie całej swojej przeszłości wyznawać wrażliwemu chłopcu. Przyjaciół pana młodego w tej chwili siedział naprzeciwko niej i dłubał w zębach. Rozczuliła się, za dużo powiedziała.

– A Lizie będzie tu trudno – dość gwałtownie zmieniła temat.

Liza zachowywała się wspaniale. Wasilij Innokientiewicz i jego syn, Aleksiej, ojciec Lizy, obaj tu obcy, byli jednak znanymi lekarzami, co w pewnym stopniu zrównywało ich w prawach z muzykami. Za to mamusia Lizy była zupełnie nie na miejscu: gruba, źle ufarbowana blondynka, sama nawet czuła się skrępowana w tym salonie. Kiedyś była instrumentariuszką w szpi-

talu polowym. Frontowe małżeństwo, przypadkowe i niedobre, okazało się trwałe dzięki córce. Na twarzy nowej teściowej wypisane było wszystko: duma, chamstwo, zakłopotanie, niezręczność. Liza posadziła matkę obok siebie, od czasu do czasu głaskała jej dłoń i pilnowała, żeby ta się nie upiła.

Anna Aleksandrowna siedziała z prawej strony Sani, a po jego lewej stronie – z lwia, rozkładającą się na dwie strony grzywą, siedział mężczyzna wyglądający na przedstawiciela bohemy, w apaszcze w czarno-żółte lamparcie cętki. Śpiewak? Aktor? Przedstawił się jako Jurij Andriejewicz.

Przed podaniem gorącego dania, gdy obiad przekroczył pierwszą połowę i wyniesiono bulionówki oraz pusty półmisek po dwudziestu czterech, zgodnie z liczbą zaproszonych, małych pasztecikach – sąsiad wstał z kieliszkiem w ręce.

– Drodzy Lizo i Bobo!

„Aha, bliski przyjaciel domu, Borysa nazywa Bobą” – zauważył Sania.

Mówiący miał niezwykle ruchliwe usta, górna warga z wyraźnym wycięciem, dolna lekko wysunięta.

– Wkroczyliście na niebezpieczną drogę małżeństwa! Może nie tyle niebezpieczną, ile nieprzewidywalną. Życzę wam tego, co moim zdaniem najważniejsze w małżeństwie: żeby nie przeszkodziło wam w słuchaniu muzyki. To jest największe szczęście: słuchać na czworo uszu, grać na cztery ręce, tworzyć nowe dźwięki, których przedtem nie było na świecie. Muzyka wychodząca spod rąk żyje tylko przez chwilę, dopóki jej fale nie zagasną, nie rozplyną się w przestrzeni. Ale ulotność muzyki to odwrotna strona jej wieczności. Proszę wybaczyć, Mario Wieniaminowno, że mó-

wię przy pani takie głupstwa... Boboczko, Lizo, moi drodzy! Życzę wam z całego serca, żeby muzyka was nie opuszczała, żeby się otwierała przed wami głębiej i szerzej.

– Nora! – rozległ się niski, nieco skrzeczący głos. – Cudowne paszteciki! Daj mi, proszę, ze dwa do domu!

Eleonora odpowiedziała złym spojrzeniem:

– Każę pani zapakować, Mario Wieniaminowno!

– To do pamiętników, Sanieczka. Nie zapomnij – szepnęła Anna Aleksandrowna.

Sania i tak siedział jak w pierwszym rzędzie parteru, mając przed sobą tyłu wielkich naraz, i sąsiad w lamparciej apaszcze był kimś niezwykłym, nie przypadkowym współbiesiadnikiem, wiedział o czymś ważnym – widać to było po jego twarzy – ale kto to, kto? Staruszka, która prosiła, żeby jej zapakowano paszteciki do domu – Maria Wieniaminowna – była bożyszczem Sani od pierwszego jej koncertu, na który zaprowadzono go w dzieciństwie.

Po obiedzie – bez żadnych staroruskich „gorzko!” – przeniesiono się do gabinetu. Było to jedno z ostatnich pańskich mieszkań na ulicy Marksa i Engelsa, w dawnym Małym Znamieńskim zaułku, na tyłach muzeum Puszkina, i była to może jedyna w całym kraju rodzina mieszkająca w domu od zbudowania go, od roku szóstego – pradziadek, dziadek, ojciec, Borys – nikogo nie wysiedlono, nie zagęszczano, nie aresztowano. Rodzinna legenda głosiła, że właśnie w tym mieszkaniu, a wcale nie w mieszkaniu Pieszkowej, Lenin słuchał *Sonaty nr 23* Beethovena w wykonaniu Isaja Dobrowejna, młodszego brata Eleonory Zorachowny. Tu, w sąsiednim pokoju wypowiedział wódz, czy może Gorki nie wiadomo po co wymyślił, słynne słowa: „Niesamo-

wita, nieludzka muzyka... Ale nie mogę często słuchać muzyki, działa mi na nerwy, chciałoby się mówić miłe głupstewka i głaskać po głowie ludzi, którzy mieszkając w brudnym piekle, potrafią tworzyć takie piękno...”.

Głupstewka okazały się wcale nie miłe i główki leciały od tego głaskania tysiącami...

Wszystkie te legendy, które stały się teraz jej rodzinnymi, Liza cichutko opowiadała Sani, wyciągnawszy go na balkon. A poza tym: Dobrowejn grał tamtego wieczoru wcale nie *Appassionatę*, ale *Sonatę fortepianową nr 14! Księżycową!* Znawcy się pomylili.

W gabinecie mężczyźni zapalili. Służąca wniosła kawę na tacy.

– Wszystko jest bardzo *British* – szepnął Sania do babci.

– *No, Jewish* – poprawiła Sanię Anna Aleksandrowna.

– Niuta, to brzmi jakoś antysemitcko. Nigdy tego u ciebie nie zauważyłem.

Anna Aleksandrowna zaciągnęła się głęboko, rozdymając cienkie nozdrza. Wypuściła dym, pokiwała głową:

– Sania, antysemityzm w naszym kraju jest przywilejem sklepikarzy i wyższej arystokracji, a nasza rodzina jest w każdym calu inteligencka, chociaż pochodzenia szlacheckiego. Przecież wiesz, że ja lubię Żydów.

– Wiem. Lubisz Michę. Mnie jest zupełnie obojętne – Żyd, czy nie Żyd. Tylko tak się jakoś składa, że z dwóch moich najbliższych przyjaciół – to półtora Żyda.

– I o to chodzi. Może to większa wrażliwość.

Anna Aleksandrowna rzeczywiście brzydziła się antysemityzmem, przyczyna jej niechęci była inna. Kiedyś, w młodości, odprawiła śmiertelnie zakochane-

go w niej Wasieńkę, a teraz dokonała się zemsta losu: Lizka, jego wnuczka, odprawiła jej subtelного wnuka, wolała żydowskiego młodzieńca nieciekawej powierzchowności.

Wyobrażenia Anny Aleksandrowny niezupełnie odpowiadały rzeczywistości, ponieważ Sania niczego Lizie nie proponował, oprócz wiernej przyjaźni i duchowej bliskości, więc Liza nie miała czego odmawiać. Ale Anna Aleksandrowna od ich wczesnych lat była pewna, że te dzieci są dla siebie stworzone. Wybór Lizy w duszy potępiała, uważała za karierowiczowski i wyrachowany. I żydowskość była tylko jedną z niemiłych jej cech narzeczonego Lizy.

Podeszła Liza z kielichem – na jej palcu błyszcząca nowa obrączka. Prowadziła pod rękę sąsiada Sani od stołu.

– Czy znacie już państwo Jurija Andriejewicza? Jest profesorem teorii muzyki, Sanieczka. Oto człowiek, który potrafi rozwiązać wszystkie twoje muzyczne problemy.

– Nieczęsto spotyka się ludzi, którzy w ogóle mają problemy muzyczne. – Jurij Andriejewicz patrzył na Sanię z najwyższym zainteresowaniem.

– Co za głupstwa, Lizo. – Sania zmieształ się i obraził na Lizę: jak można być tak nietaktowną?

Nie zdążył jednak nic powiedzieć, ponieważ do fortepianu podeszła ona – tęga stara kobieta z torebką pod pachą, z butelką kefiru sterczącą z otwartej paszczy torebki.

Eleonora Zorachowna nie planowała jej występu. Zgodnie z jej planem dalej miał być deser – kawa, lody i małe ciasteczka, które służąca już wносиła z kuchni. Ale gość, nie zważając na tacę z ciastkami, szedł do

fortepianu jak bokser na ring – z pochyloną masywną głową i rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Z prawej strony pedałów rzuciła wypchaną torebkę, pogrzebała w niej, wyciągnęła nuty i ustawiła je na pulpicie. Potem usiadła na obrotowym taborecie, trochę pokotysała na nim swoje wielkie ciało, spojrzała w górę, jakby wypatrując na suficie niewyraźnie napisanej zapowiedzi. Przymknęła oczy, jakby otrzymała oczekiwany sygnał, i wzięła akord, mocny jak uderzenie. Potem drugi, trzeci. Akordy były dziwne same w sobie i przygotowywały do czegoś niezwykłego.

– Usiądźmy – szepnął Jurij Andriejewicz. – Osiemnaście minut w dobrym tempie.

Takiej muzyki Sania dotychczas nie słyszał. Wiedział, że istnieje, dziwnie wroga, odrzucająca romantyczną tradycję, łamiąca prawa i kanony, docierały do niego fale dezaprobaty, negacji, ale po raz pierwszy słuchał jej na żywo. Słyszał coś zupełnie nowego, ale nie rozumiał, jak jest zbudowane. Przywykł do słuchania innej muzyki, „normalnej” – o wiele bardziej wyrazistej, zwykłej, lubił jej wewnętrzne przejścia, niemal narzucające się połączenia dźwięków, czuł przedsmak rozwiązania, odgadywał zakończenie muzycznej frazy...

Wiedział, jak głupie i bezowocne są próby przekazania treści muzyki specjalnie wypracowanym pseudo-poetyckim językiem – zawsze brzmiało to napuszenie i fałszywie. Treści muzyczne były nieprzekładalne na obrazy literackie bądź plastyczne. Nienawidził tych koszmarnych komentarzy na programach – jak należy rozumieć Chopina lub co miał na myśli Czajkowski.

W taki sam sposób małe dziecko patrzy zdumione na zajęcia dorosłych – jakże są głupie!

To, co słyszał teraz, wymagało napięcia i zaostrzo-

nej uwagi. „To jest tekst w nieznanym języku” – przemknęło Sani przez myśl.

Muzyka płynąca spod rąk starej kobiety oszałamiała. Takie cielesne przeżywanie muzyki zdarzało się Sani już wcześniej. Czuł, że dźwięki wypełniają czaszkę i ją rozszerzają. Jakby w ciele włączał się jakiś nieznan proces biologiczny – coś jakby tworzenie hemoglobiny albo działanie we krwi potężnego hormonu. Coś jak oddychanie albo fotosynteza, związane z samą naturą.

– Co, co to jest? – zapominając o przyzwoitości, szepnął do sąsiada.

Tamten się uśmiechnął wygiętą wargą:

– Stockhausen. Nikt u nas go nie wykonuje.

– To jest koniec świata...

Sania nie miał na myśli końca świata w sensie religijnym czy naukowym. Było to popularne młodzieżowe powiedzonko, rodzący się żargon dziesięciolecia. Ale Kołosow spojrzał na młodzieńca z zainteresowaniem. Jako teoretyk uważał, że ta nowa muzyka oznacza koniec jednej epoki i początek nieznannej nowej, i nadawał ogromne znaczenie tej niewidzialnej, ukrytej przed większością ludzi przemianie, a szczególnie cenił tych, którzy tak jak on wyczuwali przełom – może przełom w całej ewolucji świata, w świadomości człowieka. Było ich niewiele, tych rzadkich ludzi, którzy wyprzedzili swój czas, którzy nie tylko przeczuwali nowy świat, lecz potrafili go analizować, badać.

– Nie rozumiem, jak ta muzyka jest zbudowana – celnie trafiając w tok myśli Kołosowa, powiedział Sania. – Może to nie jest nawet nowy styl, ale jakieś inne myślenie. Oszałamiające.

Kołosow poczuł się szczęśliwy:

– Pan jest muzykiem, oczywiście?

– Nie, nie. Miałem być... ale to uszkodzenie... Głupia historia w dzieciństwie. Teraz tylko słucham muzyki – uniósł prawą rękę z dwoma podkurczonymi na zawsze palcami. – W przyszłym roku kończę Instytut Języków Obcych.

– Proszę przyjść do mnie, porozmawiamy. Myślę, że mamy o czym...

Wszystko, co się działo po Stockhausenie, zostało całkiem zapomniane, nawet Maria Wieniaminowna nieco przyblakła. Sania pamiętał tylko, że odprowadził państwa młodych na dworzec – wyjeżdżali w podróż poślubną do republik nadbałtyckich.

Ważne było co innego: przecucie niezwykłego wydarzenia. Już następnego dnia Sania przyszedł do Jurija Andriejewicza do pracy po zajęciach, które ten prowadził w konserwatorium. Rozmowa rozpoczęła się od miejsca, w którym przerwali ją wczoraj.

Potem pojechali na peryferie, od stacji metra Wojkowska pół godziny tramwajem – do smutnej luki między zanikającą wsią i niepowstałym jeszcze miastem, na pozbawione indywidualności nowe osiedle. Umówili się, że Jurij Andriejewicz będzie mu udzielał lekcji.

W poniżającej, niemal Zamiatinowskiej, jednopokojowej klitce z żelaznym numerem na drzwiach – Sania właśnie przeczytał powieść *My* – nie było nic oprócz pianina, półek, stelaży i szaf z książkami oraz nutami. Brak było stołu, przy którym się jada, tapczanu, na którym się sypia, szafy, gdzie wieszają się ubrania. Jurij Andriejewicz wyglądał w swoim domu, jak gdyby przyszedł tu z wizytą – w odprasowanym ubraniu, w pstrokatej apaszce, w estradowych lakierkach. Przez długi czas

Sania myślał, że to mieszkanie jest tylko gabinetem nauczyciela, a mieszka on w jakimś innym, bardziej ludzkim miejscu. Potem dostrzegł w kuchni ceramiczny imbryk i drewnianą szkatułkę z chińską herbatą. Jeszcze później Sania się domyślił, że Jurij Andriejewicz w wyprasowanym ubraniu, ze swymi apaszkami, wymuskany niczym oficer, jest w istocie odludkiem, a pod jego maskaradowym kostiumem kryje się prawdziwy asceta.

Jak udawało mu się być muzycznym mnichem w świecie wulgarnym i brudnym, w natłoku mdlącej i groźnej sowieckizny? Nie do wiary, nie do wiary...

Tego pierwszego wieczoru właśnie zaczęły się przygotowania Sani do egzaminów do konserwatorium na wydział teorii. Jurij Andriejewicz uczył tak, jak cieśla uczy jednym uderzeniem wbijać gwóźdź, kucharz kroić z milimetrową dokładnością cebulę i marchewkę, chirurg – prowadzić cięcie skalpelem lekko i artystycznie. Uczył rzemiosła. I teorii kompozycji! Nauczał z taką samą rozkoszą, z jaką Sania chłonał wiedzę.

– Jeszcze pan nie wie, jak się panu udało z tą ręką. Prawdziwy muzyk to nie jest wykonawca, ale kompozytor, teoretyk. Nawet w większym stopniu teoretyk. Muzyka jest kwintesencją, skrajnie zwięzłym komunikatem, jest tym, co istnieje poza naszym słuchem, postrzeganiem, świadomością. To najwyższy stopień platonizmu, eidos, który spada z niebios w najczystszej postaci. Rozumie pan?

Sania nie całkiem rozumiał, raczej odczuwał. Podejrzewał jednak, że nauczyciel trochę przesadza – zbyt dobrze pamiętał dziecięce szczęście, gdy muzyka rodziła się wprost pod palcami.

Był to najszczęśliwszy rok w życiu Sani. Skorupa

brutalnego i brudnego świata pękła, a w szczeliny napłynęło nowe powietrze. Powietrze konieczne do oddychania duszy. Taki sam wstrząs, jaki dziesięć lat temu przeżyli szóstoklasiści, gdy w szkole zjawił się Wiktor Juliewicz z wierszami, które wygłaszał, wchodząc do klasy. Przywracał im „skradzione powietrze”. Różnica polegała na tym, że Sania teraz był dorosły, zdążył boleśnie przeżyć rozstanie z muzyką na zawsze – a teraz okazało się, że po rozłace miłość stała się tylko głębsza. Jego talent, który przeleżał na dnie, po dziesięcioletniej śpiączce przebudził się i poszybował wzwyż. Dość nudny dziecięcy solfeż zamienił się w pociągającą naukę o konstruowaniu muzyki. Kilka lat później Sania zrozumie: solfeż najprostszymi słowami, w wielkim przybliżeniu mówił wtedy o konstrukcji świata.

Po półtorej godziny dwa razy w tygodniu Sania spędzał u Jurija Andriejewicza: pisał niezwykle złożone dyktanda, bez końca wykonywał ćwiczenia rozwijające pamięć muzyczną. Jurij Andriejewicz grał na fortepianie, a Sania określał ze słuchu poszczególne interwały i akordy, ich kolejność, przechodzenie z jednej tonacji do drugiej.

Znów zaproszono Jewgienię Daniłownę, a ona wykroiła dla Sani dwie godziny tygodniowo ze swego napiętego harmonogramu. W tym czasie kształciła cudowne dzieci, co najmniej kilkunastu jej wychowanków rozstawiło w przyszłości Centralną Szkołę Muzyczną. Wybitna nauczycielka, nastawiona na tworzenie superwykonawców, z okaleczonym Sanią tylko traciła cenny czas, ale w tym pokoleniu – przyjaciółek Anny Aleksandrowny – nie do pomyslenia było, żeby odmówić bliskiemu dziecku, choćby niemającemu perspektyw. W końcu po opanowaniu nowej aplikatury,

uwzględniającej dwa okaleczone palce, Sania nauczył się bardzo pomysłowo zestawionego programu, który kończyło wykonanie *Chaconne* Bacha w opracowaniu Brahmsa na lewą rękę.

Anna Aleksandrowna sprzedała tego roku resztki kosztowności – brylantowe kolczyki i naszyjnik. Na opłatę lekcji.

Sania leciał na spotkania jak na randki, zresztą Jurij Andriejewicz też był zafascynowany nowym uczniem, który chwycił wszystko w mig, a czasem zadawał pytania wyprzedzające przerabiany materiał i Jurij Andriejewicz wtedy się rozjaśniał, uśmiechał, ale zaraz robił surową minę: nie traćmy czasu. Zajęcia kończył zazwyczaj co do minuty, lecz gdy Sani zdarzyło się kiedyś spóźnić o kwadrans z powodu awarii autobusu, nie podarował mu dodatkowych piętnastu minut.

Oprócz solfeżu, harmonii i historii muzyki Sania musiał zdawać zwykle ogólnokształcące: wypracowanie, język obcy, historia ZSRR. Te egzaminy wcale go nie niepokoiły. Najbardziej skomplikowany dla Sani był „ogólny fortepian”. Trzeba było zagrać przygotowany program i przeczytać utwór z nut a vista. Oczywiście od teoretyków nie wymagano opanowania programu na profesjonalnym poziomie pianistycznym, jednak Sania się niepokoił: od czasu gdy ścięgno zostało zniszczone z winy Murygina, stracił odwagę do wykonywania utworów.

Dyscypliny teoretyczne Sania zdał bardzo dobrze, zresztą i „ogólny fortepian” przeszedł całkiem zadowalająco: trud Jewgienii Daniłowny nie poszedł na marne. Najwspanialsze, że nikt z komisji nawet nie zauważył, że dwa palce prawej ręki są kalekie. To było największe zwycięstwo.

Jesienią, kiedy koledzy z Instytutu Języków Obcych

przeszli na piąty rok, Sania został przyjęty na pierwszy rok sekcji teoretycznej konserwatorium. Anna Aleksandrowna była szczęśliwa. Jewgienia Daniłowna – tym bardziej. Z radości podarowała Sani nuty z autografem Skriabina. Ale w tym czasie Sania w Skriabina już zwątpił.

Miał rację, po tysiąckroć miał rację Wiktor Juliewicz i Sania w pełni się z nim zgadzała: mieć właściwego nauczyciela to jakby drugi raz się urodzić. Tylko że teraz nie Julicz, ale inny nauczyciel wprowadzał w życie ucznia nowy system wartości, wskazywał nowy sens, rozszerzał pojęcie o świecie. Najwrażliwsi uczniowie z dreszczem przebiegającym po krzyżu odkrywali, że idzie nie tylko o muzykę, ale o strukturę całego wszechświata, o prawa fizyki jądrowej, biologii molekularnej, o spadanie gwiazd i szelest liści. Mieściła się tu, oprócz nauki, również cała poezja i wszelkie rodzaje sztuki.

– Forma jest tym, co przeobraża treść utworu w jego istotę. Rozumiecie? Charakter muzyczny unosi się z formy jak para z wrzącej wody – mówił Jurij Andriejewicz. – Jeżeli dobrze się pojmuje ogólne prawa formy, po sformułowaniu wszystkiego, co poddaje się formułowaniu, można, wykrywając to, co wspólne, dostrzec to, co indywidualne, charakterystyczne. I wtedy, odejmując to, co wspólne, można wyczuć pewną pozostałość, która właśnie kryje cud w niezmałconej postaci. Taki jest cel analizy: im lepiej rozumiemy to, co da się zrozumieć, tym wyraźniej widzimy to, co niepojęte.

– Słuchajcie i starajcie się wczuć!

Zakładał czarną płytę na gramofon. Igła wydobywała nie całkiem doskonałe dźwięki, a wspólne wpatrywanie się w nuty, wchłanianie ich wzrokiem, a poprzez

oczy również uszami i mózgiem, stwarzało nowy opis świata, prowadziło myśl ku nieodkrytym przestrzeniom.

Równocześnie nauczyciel gardził patosem, górnolotnymi wyrażeniami, pustostłowiem i odrzucał wszelkie próby omawiania muzyki za pomocą literatury pięknej.

– Nie sprawdzamy harmonii algebrą! Harmonię badamy! Jest to nauka ścisła, tak samo jak algebra. A poezję tymczasem odsuńmy na bok! – mówił zapalczywie, jakby polemizował z niewidzialnym oponentem.

Uczniowie go ubóstwiali, czujni zwierzchnicy traktowali podejrzliwie: było w nim coś potencjalnie antysowieckiego.

Jurij Andriejewicz Kołosow był strukturalistą w czasach, kiedy termin ten jeszcze się nie przyjął. A władze zawsze szczególnie ostro reagowały na to, czego nie rozumiały.

Kołosow wychodził poza granice szkolnego kursu harmonii, historii muzyki, historii systemów muzyczno-teoretycznych, to zagłębiając uczniów w umykającej starożytności, to znów otwierając przed nimi nową, najnowszą muzykę. Była to druga awangarda, dopiero co zaczynająca przenikać do ZSRR – dzieci Weberna: Boulez, Stockhausen, Nono. A tuż obok, po korytarzach konserwatorium, już chodzili miejscowi awangardyści – Edison Denisow, Sofia Gubajdulina, Alfred Schnittke...

Wszystko było jeszcze płynne, nierozstawione na właściwych miejscach, i nowe, zupełnie nowe. Zresztą i Schönberg brzmiał jeszcze nowatorsko.

Sani w głowie się kręciło: wszystko napływało potężną falą jednocześnie – barok, wczesna klasyka,

wszechogarniający Bach, odrzucony, ale po latach powracający romantyzm, Beethoven, który zbliżył się do ostatniej, wydawałoby się, granicy muzyki klasycznej – i wszyscy ci nowi kompozytorzy, i nowe dźwięki, i nowe znaczenia...

Na dworze padał deszcz, sypał śnieg, leciał puch z topoli, trwało nieznośne polityczne trajkotanie o dokonaniach i zwycięstwach – już doganiano i prawie prześcigano inne kraje. W kuchniach pito herbatę i wódkę, szeleściła przestępcza bibuła, szemrały taśmy magnetofonowe z Galiczem i młodym Wysockim. Tam też rodziły się nowe dźwięki i nowe znaczenia. Ale Sania prawie tego nie zauważał. To był świat Ilji i Michy, jego szkolnych kolegów, którzy coraz bardziej się od niego oddalali.

Chruszczowowskiej odwilży jeszcze nie odwołano, ale Chruszczow już się zaczął wycofywać, na jakimś partyjnym odczynianiu uroków oznajmił publicznie: „Pojęcie odwilży zręcznie podrzucił ten szalbierz Erenburg!”.

W ten sposób dano sygnał, że zaczęło się ochłodzenie.

Urzędowych znawców muzyki na tym historycznym etapie zastąpili znawcy sztuk plastycznych. Do Sani docierały tylko echa batalii w sali wystawowej Maneżu*, głównie za pośrednictwem Ilji.

Micha niemal zniknął z horyzontu, przeniósł się do podmiejskiego internatu. Częściej niż inni widywała

* 1 grudnia 1962 r. w sali wystawowej moskiewskiego Maneżu otwarto wystawę malarstwa awangardowego, ostro skrytykowaną przez Chruszczowa, co stało się początkiem nagonki na niepokornych artystów (przyp. red.).

go Anna Aleksandrowna – to właśnie jej opowiedział o swojej pracy z głuchoniemymi dziećmi, do których przyłgnęło jego nierozważne, szeroko otwarte serce. Ale nie oddał go im całkowicie, druga połowa jego serca biła dla Alony, która raz raczyła się z nim spotykać, a kiedy indziej znikwała, jak Śnieżynka w deszczu. Ten bajeczny żywioł rzeczywiście do niej pasował: lodowata, wodna, zmienna, z nieoczekiwanymi pluskami i przygasaniem.

Micha poznał Sanię z Aloną. Sania poczuł jej urok, zaniepokoił się: niebezpieczna dziewczyna. W żaden sposób nie chciałby doznawać nerwowego zakochania Michy. Ale również niezawodne podboje Ilji, przypominające mu o koszmarnej dozorcówce, nie wywoływały zazdrości. Bał się kobiecości. W konserwatorium więcej obcował z młodymi mężczyznami, chociaż z nikim bardziej się nie zaprzyjaźnił. Zerkających ku niemu chłopców Sania bał się nie mniej niż atakujących dziewcząt, kojarzących mu się z komórką w zaułku Potapowskim. A środowisko muzyczne, musujące za brązowymi plecami Piotra Czajkowskiego, skłaniało do grzechu potępionego w Biblii. Chociaż bardziej – do zawiści i próżności. Ale za to nie wsadzano do więzienia.

Sania nie angażował się w uczelnianie spory. Zresztą wiatry z zewnątrz też prawie do niego nie docierały. Ani odwilż, ani ochłodzenie nie budziły w nim najmniejszego zainteresowania.

Bojaźliwi ludzie we władzach konserwatorium drżeli, ale na szczęście Chruszczow nie interesował się muzyką, „niesamowitą i nieludzką”, „niespokojna” też mało go obchodziła. Całkowicie zadowalała go prościutka melodia „I w ogrodzie, i na polu...”. Prymityw-

ny, niewykształcony, upojony władzą, rządził ogromnym krajem, jak potrafił: porwał się na Stalina, wyrzucił trupa z Mauzoleum, wypuścił więźniów, zaorał ugory, obsiał północny obwód wołogodzki kukurydzą, posadzał do więzień nielegalnych producentów dzianiny, opowiadaczy kawałów i pasożytów, zdusił Węgry, wystrzelił sputnik, wsławił ZSRR Gagarinem. Burzył świątynie i budował ośrodki maszynowe, coś łączył, coś rozłączał, coś powiększał, coś rozdrabniał. Niechcący podarował Krym Ukrainie... Ulicznym językiem uczył rozumu inteligencję twórczą i nawet prawie się nauczył wymawiać trudne słowa ze słownika wyrazów obcych. Natomiast spikerzy w radiu zmieniali wymowę na chruszczowowskie „komuniźm”, „socjaliźm”. Wszędzie dopatrując się zgnilizny, podstępny i burżuazyjnych wpływów, promował zrozumiałego dlań Ły-senkę i tępił genetyków, cybernetyków i wszystkich, których zrozumienie przekraczało jego możliwości. Wróg kultury i wolności, religii i talentu dławił tych, których potrafił dostrzec krótkim wzrokiem nieuka... Nie dostrzegał głównych wrogów: ani wielkiej literatury, ani filozofii, ani malarstwa. A już tym bardziej nie widział Beethovena, Bacha, w prostocie ducha przegapił Mozarta. A przecież wszystkich należało zakazać!

W roku sześćdziesiątym czwartym nastał Breżniew. Odbywały się partyjne przetasowania, jedne wampiry zastępowały inne. Ich rozpaczliwy poziom kulturalny nadawał styl życiu kraju i ustawiał poprzeczkę, powyżej której wznosić się było niebezpiecznie. Literacki i artystyczny jadłospis wzbudzał smutek. Nieznaczną pod każdym względem garstką ludzi – niedobitki uczonych, przyczajonych w matematyce, biologii, wśród których było też paru członków Akademii, ale o wie-

le więcej nieznanymi, wegetującymi na małych posadkach, ukrywającymi się w trzeciorzędnych instytutach naukowo-badawczych; paru studentów chemii, fizyki czy konserwatorium – ci niewidzialni ludzie o duchowych aspiracjach istnieli nielegalnie.

Zresztą było ich niewielu, nieznających się nawzajem, stykających w szatniach bibliotek, w garderobach filharmonii, w zaciszu pustych muzeów. Nie była to partia, nie było to kółko, tajne stowarzyszenie, nawet nie zgromadzenie jednakowo myślących. Chyba jedynym wspólnym ich mianownikiem była odraza do stalinizmu. I oczywiście czytanie. Łapczywe, niepowstrzymane, maniackalne czytanie – hobby, nerwica, narkotyk. Dla wielu książka przekształcała się z nauczyciela życia w jego erzac.

W owych latach epidemia czytania – szczególniego rodzaju – dotknęła również Sanię: całkowicie oparował czytanie wyciągów fortepianowych. Cały czas wolny od zajęć spędzał w bibliotece nutowej. Niestety nie wszystko wypożyczano do domu. Jego niesprawna ręka nakładała takie ograniczenia, że jedynie z rzadka pocieszał się nawiedzającym go snem, który ukazał mu się co najmniej pięć razy w ciągu ostatniego dziesięciolecia: grał i poprzez grę doznawał najwyższej rozkoszy fizjologicznej. Jego ciało przeobrażało się w instrument muzyczny. W jakiś nieznaną flet o wielu otworach – muzyka wypełniała mu czubki palców, biegła kanalikami kostnymi i gromadziła się w rezonatorze czaszki. Jego możliwości bezgranicznie się rozszerzały. Instrument, na którym przy tym grał, przypominał fortepian, jakiś szczególny, skomplikowany, o niezwykłym brzmieniu. Jednocześnie Sania miał poczucie, że słyszy muzykę doskonale znaną, lecz nigdy wcześniej

niesłyszana. Była pierworodna, dopiero co stworzona, a zarazem jego własna...

Swobodne czytanie nut umożliwiało ogarnięcie od razu całego tekstu muzycznego, dawało nawet pewną przewagę: „czytanie” wzrokiem okazało się idealne, trudności techniczne jakby przestawały istnieć – muzyka wlewała się z karty bezpośrednio do świadomości.

Sania z przyjemnością analizował partytury. Rozkoszował się sztuką instrumentacji, ogromnymi możliwościami interpretacji. Postrzeganie muzyki wzrokiem, a poprzez wzrok – myślą, sprawiało też dodatkową rozkosz: dźwięk łączył się w jedno ze znakiem i powstawał przejmujący obraz, posiadający być może jakiś własny, niepoddający się odczytaniu sens. Jeszcze zanim nauczył się odczytywać nuty, Sania dostrzegał niewyraźnie jakiś wzór faktury i sensu, przeplatanie się warstw faktury, i wydawało mu się, że gdzieś bardzo blisko tkwi rozwiązanie tajemnicy muzyki. Muzyka, jak mu się wtedy wydawało, podlegała prawu ewolucji, temu samemu, które sprawiało, że świat się samoorganizował, przechodząc od form najprostszych do skomplikowanych. Owa ewolucja dawała się zauważyć nie tylko w brzmieniu, ale nawet w zapisie nutowym, w wyraźnym odzwierciedleniu myśli muzycznej epoki. Wykrył – niewielkie to odkrycie, ponieważ dokonano go na długo przed nim – że sam zapis nutowy, notacja, aczkolwiek ze sporym opóźnieniem, odzwierciedla zmiany, jakie zaszły w myśli muzycznej w ciągu wieków. Stąd niedaleko było do postanowienia, by spróbować znaleźć zasady rozwoju tego myślenia – inaczej mówiąc, zasadę ewolucji systemów dźwiękowych. Kiedy Sania bardzo ostrożnie zaczął wyłuszczać

Kołosowowi swoje przemyślenia o ewolucji muzyki, ten przerwał jego zająkliwe wywody, precyzyjnym ruchem wyjął spod sterty nut amerykańskie czasopismo, i błyskawicznie otworzył na właściwej stronie: był to artykuł o kompozytorze Earle' u Brownie. Pismo reprodukowało partyturę utworu zatytułowanego *Grudzień 1952*. Była to kartka papieru, na którą naniesiono mnóstwo czarnych prostokątów. Podczas gdy zdumiony Sania oglądał tę stronę, Kołosow, chichocząc, oznajmił, że nie jest to koniec drogi. Później Earle Brown napisał utwór zatytułowany *25 stron*, i rzeczywiście było to dwadzieścia pięć zarysowanych stron, które w dowolnej kolejności mogła wykonać dowolna liczba muzyków. Obraz, który usiłował stworzyć Sania, przybierał w jego oczach wspaniałą perspektywę...

Gdyby tylko Jurij Andriejewicz nie wydawał przy tym złośliwych, kaszających i ironicznych dźwięków. Sania zrozumiał, że nauczyciel nie traktuje go serio, spieszył się i umilkł.

Mgliste idee ewolucyjne jednak go nie opuszczały. W przypiływie niezwykłej odwagi potajemnie porwał się na stworzenie jednolitej zasady, pewnej ogólnej teorii systemów muzycznych. To śmiałe zamierzenie można było chyba porównać z tworzeniem ogólnej teorii pola. Jak jedwabnik, który stale wysnuwa z siebie drogocenną nić, Sania tworzył wokół siebie błyszczący kokon i gotów był przepoczwarzyć się w nim, żeby się w końcu przedrzeć do kontemplacyjnego, ale prawdziwego świata. Było to niebezpieczne, ponieważ potknięcie groziło czystym obłędem.

Kołosow, z którym Sania nadal spędzał mnóstwo czasu, w końcu roku sześćdziesiątego siódmego, gdy Sania kończył konserwatorium, załatwił mu posadę

asystenta w katedrze historii muzyki zagranicznej. W katedrze teorii nie znalazło się dla niego miejsce. Od jesieni Sania zaczął wykładać, ale nadal był pochłonięty swymi teoretycznymi konstrukcjami. Stosunki z Kołosowem się popsuły. Sania oczekiwał od niego wsparcia, a napotkał jedynie sceptyczny uśmiezek. Było mu przykro.

Do serca Anny Aleksandrowny zakradała się czasem obawa o Sanieczkę: czy jej chłopiec nie wybrał w życiu zbyt wysokiego rejestru?

KOLEŻANKI Z KLASY

Gala Połuchina, w skrócie „Połuszka”, i Tamara Brin, którą Ola nazywała pieszczotliwie „Brinczyk”, od najmłodszych lat czuły się trochę skrepowane w towarzystwie Oli, jedynej przyjaciółki każdej z nich. Żeby tylko czegoś niepotrzebnie nie chlapnąć – myślały. Przyczyną tego była wyłącznie przyjaźń, bały się dotknąć przyjaciółkę nie dość wzniosłymi albo zgoła mieszczańskimi poglądami.

Obie przyjaciółki z oddaniem kochały Olę i oprócz nieracjonalnej strony miłości, której nie ma sensu omawiać, każda miała własny, całkiem zrozumiały powód do adoracji.

Gala Połuchina pochodziła z ubogiej rodziny, mieszkała w suterenie szacownego domu Oli, była niezbyt ładna i uczyła się ledwie ledwie średnio. Olę jeszcze w trzeciej klasie wyznaczono, żeby podciągnęła Galę w nauce, i Ola zaczęła jej współczuć. Wielkoduszność Oli była bezgraniczna. Całkowicie stopniała w niej protekcyjność, odczuwana przez bogatych i przystojnych wobec biednych i brzydkich, a owa biedna i brzydka istota niczym powój owijała twarde pień, zapuszczając weń naziemne korzonki i powolutku go wysysając. A Ola, ze swymi darami i talentami, tego nie zauważała.

Połuszka była pokorną duszą, nie znała zawiści, nie miała pojęcia o wzajemnej ludzkiej energetyce i czuła wdzięczne ubóstwienie.

Z Tamarą Brin było inaczej. W odróżnieniu od Oli, starannej i pilnej, Tamara była prymuską „łatwą” – szkolne mądrości oceniała bystrym, czarnym okiem i wchłaniała, trzepocząc smutnymi skrzydełkami rzęs. Wyglądała dziwacznie: przypominała asyryjskiego króla z podręcznika historii starożytnej, tylko że faliasty pęk włosów u niej sterczał w górę nad niewysokim czołem, a nie zwisał spod dolnej wargi jak u tego króla. W pewnym sensie była piękna. Piękna dla amatora. Będąc, ma się rozumieć, Żydówką, przebywała w kokonie nietykalności, gorzko i godnie znosiła powszechną wzgardę, a dla Oli żywiła szczególnego rodzaju wzniosłą wdzięczność: w zimie pięćdziesiątego trzeciego roku, kiedy straszne słowo stale szeleściło za plecami dziesięcioletniej Tamary, Ola, jedyna spośród koleżanek, rzucała się w obronie ideałów internacjonalizmu, między innymi w obronie Tomoczki. Słyszając rzucany Tomoczce epitet „żydówica”, gniewnie krzyczała przez łyzy:

– Jesteście faszyci! Potwory! Ludzie sowieccy tak nie postępują! Jak wam nie wstyd! W naszym kraju wszystkie narodowości są równe!

Tamara nigdy nie zapomniała tej najczystszej wściekłości i tylko dzięki temu sprawiedliwemu gniewowi najlepszej dziewczynki w klasie godziła się z potworną szkołą, ze światem wrogości i poniżenia.

Z biegiem lat Tamara coraz bardziej ceniła w Oli niezależność i odwagę. Poza tym Ola nigdy nie kłamała, mówiła, co myśli. Co prawda, myślała prawie zawsze słusznie, jak ją nauczono w domu. Tamara, ze względu

na pochodzenie, historię rodziny i nie całkiem sowieckie wychowanie, nie mogła podzielać ani Olinej prawdy, ani jej entuzjazmu i patosu. Ale nigdy nie ośmieliłaby się choćby jednym słowem jej przeczyć – z obawy, że straci przyjaciółkę, z pragnienia, żeby nikt, a przede wszystkim Ola, nie roztkliwił się nad jej tragiczną obcością.

Tak się w trójkę przyjaźniły przez wszystkie szkolne lata. Była to przyjaźń mocna, ale bardzo nierówna: Olga mówiła, a przyjaciółki słuchały i milczały, jedna z bezkrytycznym zachwytem, druga z rezerwą i krytycznie.

Tamara pozwalała sobie na wypowiedzi – samodzielne i ciekawe – tylko w dyskusjach teatralno-literackich oraz przy omawianiu drobnych, choć podniecających szkolnych zdarzeń: nowe pantofle nauczycielki historii albo perfidne postępowanie Zinki Szczipachiny, oszustki i donosicielki. Połuszka i Brinczyk tolerowały siebie nawzajem ze względu na Olę.

W piątej klasie Gala zapisała się do sekcji, w której wykielkował jej własny talent – sportowy. Trenowała gimnastykę, po szóstej klasie wzięto ją na obóz kondycyjny. Zdobyła drugą, a potem pierwszą kategorię sportową. W ósmej klasie przyjęto ją do programu mistrzów sportu, zaliczyła go w wieku lat piętnastu, ale jeszcze pół roku czekała na wręczenie odznaki, bo „mistrza” dawano dopiero od szesnastu. W ten sposób została szkolną znakomitością, chociaż do prawdziwej sławy brakowało jej postępów w nauce. Uczyła się zawsze kiepsciutko, z pomocą Oli.

Po ukończeniu szkoły stało się coś nieprzewidywalnego – wszystkie trzy przyjaciółki dostały się na studia: Olga na uniwersytet, i w tym akurat nie było żadnej

niespodzianki, Tamara ze swoim srebrnym medalem na medycynę, na studia wieczorowe, co w tamtych czasach było wyjątkowym osiągnięciem, a Gala do akademii wychowania fizycznego. W tym czasie Połuszka należała do młodzieżowej reprezentacji Moskwy w gimnastyce sportowej, ale z gramatyką była nadal na bakier.

Z okazji tego potrójnego zwycięstwa urządziły w mieszkaniu Oli wielką imprezę dla kolegów i koleżanek z klasy. Antonina Naumowna osobiście zamówiła w bufecie Domu Literatów różne drobne przekąski – paszteciki, tartaletki, tartinki – nikt nie wiedział, co to takiego! – i wielkodusznie wyjechała na daczę. Wierny rycerz Oli, Rifat, który skończył szkołę dwa lata wcześniej, zaofiarował się, że dostarczy prawdziwy pilaw, przywiózł go do mieszkania dokładnie na godzinę ósmą wieczór w ogromnym, wypożyczonym z restauracji saganie. Jego ojciec był przedstawicielem władz Azerbejdżanu w stolicy, więc miał liczne kontakty od góry do dołu.

Zabawa była bardzo udana – dwaj chłopcy i jedna dziewczyna zalali się w trupa; Wika Trawina i Boria Iwanow docałowali się do pomyślnego finału, co nie udawało im się przez półtora roku gorliwych ćwiczeń; na śmierć pokłóciła się inna klasowa para – czego przez całe późniejsze życie oboje żałowali; Rajeczce Kozinej zdarzył się pierwszy w życiu atak pokrzywki, z którą miała żyć aż do śmierci.

Wiele, bardzo wiele doniosłych zdarzeń przyniosła ta noc, a tylko jedna osoba, gospodyni domu Ola, niczego nie zauważyła. Tej nocy uświadomiła sobie, że od urodzenia była szczęściarą – z natury, z układu gwiazd na niebie albo genów w chromosomach – ale do

tego dnia nie przypuszczała, że trafił się jej taki rzadki los. Teraz była już zupełnie pewna, że i w przyszłości spotka ją mnóstwo sukcesów, zwycięstw, nawet tryumfów i trzech najprzystojniejsi chłopcy – perski książę Rifat z wąsikami jak nawias klamrowy, jego przyjaciel Wowa, którego przyprowadził, student akademii lotniczej, barczysty, słusznego wzrostu, z jasną czupryną, jaką miał Siergiej Jesienin na tych wczesnych zdjęciach, gdzie jest jeszcze w koszuli, a nie w marynarce z krawatem, i Witia Bodiagin, który odsłużył cztery lata na łodzi podwodnej, świeżo zdemobilizowany, w marynarskim podkoszulku, w śmiesznych portkach z dziecięcymi zapinkami po bokach, który wraz z Olą dostał się na filologię – wszyscy oni patrzą na nią męskim pożądliwym wzrokiem, z różnymi odcieniami: żądaniem, prośbą, pytaniem, bezczelnością. Z miłością, propozycją, obietnicą.

„Ale będzie numer, jak wezmę i wyjdę za mąż. Za któregoś z nich. Za którego zechcę!“. Upojona sukcesem Ola powróżyła sobie, że wyjdzie za tego, który zaprosi ją do następnego tańca. Tańczyła najlepiej ze wszystkich – i rock and rolla, i tango. Talię miała najwęższą i włosy najdłuższe, chociaż podcinała warkocz, który jej obrzydł, to i tak sięgały jej do pasa, rudawe, połyskliwe, piękne. Patrzyła na siebie z boku i strasznie się sobie podobała. Wszystkim innym też. Wszyscy ją lubili, i chłopcy, i koleżanki, i sąsiedzi, a nawet mamusię z komitetu rodzicielskiego.

Nastawili nową płytę *Rock around the clock* Billa Haleya – przyniósł ją Rifat. I nastąpiła eksplozja. Pomknęli w takt muzyki jak uniesieni wiatrem, przenikały ich szalone dźwięki, nie było żadnych pieszczotliwych dotknięć, tylko zderzenia, odbicia i znów zderzenia,

a barczysty Wowa wręcz przerzucał ją z jednej ręki do drugiej. Ale czy zaprosił ją do tańca? Cztery miesiące później wyszła za niego za mąż.

Tańczyli i pili, palili na balkonie i w kuchni. Potem wszyscy się zmęczyli. Jedni wyszli w nocy, inni nad ranem. Wika i Boria zasnęli w sypialni rodziców, oszłamieni wielkim wydarzeniem, czyli stosunkiem. Mieli przed sobą długie i szczęśliwe małżeństwo, ale na razie jeszcze o tym nie wiedzieli. W salonie na dywanie spało w gromadce z pięć osób, którym się tak nie poszczęściło. Z lekka śmierdziało wymiocinami.

Potem wszyscy się rozeszli, oprócz najwierniejszych – Brinczyka i Połuszki. Przyjaciółki pomogły posprzątać, zatrzeć wszelkie ślady młodzieńczej hulanki. Ola zaparzyła kawę. Piły ją jak dorośli z odświeżających małych filiżanek, choć trochę się jeszcze bawiły serwisem dla lalek, zwłaszcza Gala. Rozstały się pod wieczór z zamiarem spotkania w przyszłym tygodniu. A zobaczyły się dopiero na początku następnego roku. Życie po szkole potoczyło się z ogromną szybkością.

Wysiedlono dom Tamary na placu Sobaczym, który dożywał ostatniego roku. Rodzinę Tamary przesiedlono na dalekie peryferie, do Osiedla Robotniczego za Kuncewem. Stacja metra Mołodiożnaja istniała wówczas dopiero w planach architektonicznych.

Tamara miotała się energicznie między nowym domem, nową pracą i akademią medyczną. W roku przeprowadzki umarła ukochana babcia Tamary, Maria Siemionowna, przyjaciółka Jeleny Gniesinej, mieszkająca przez całe życie obok słynnej rodziny i pracująca jako sekretarka w tym muzycznym gnieździe. Staruszka z Arbatu nie zniosła katastrofy przesiedlenia.

Świecką ceremonię żałobną urządzono w Instytucie

Gniesinów. Tamara, która od dzieciństwa znała prawie wszystkich żyjących przedstawicieli tej niezwyklej rodziny, ostatni raz zobaczyła jej resztki – w fotelu inwalidzkim wielką Jelenę Fabianownę, twórczynię jedy- nego imperium, muzycznego, które się oparło władzy sowieckiej i – o czym wtedy nawet im się nie śniło – przetrwało.

Zebrali się muzycy, ale wśród żegnających byli też „ludzie z publiczności”, współuczestnicy życia muzycznego istniejącego jakby ponad życiem sowieckim, ponad kolektywizacją i industrializacją, ponad całym politycznym harmidrem, ledwie dostrzegalnym na tle muzyki Beethovena, Schuberta, Szostakowicza, a nawet Miszy Gniesina, zupełnie zapomnianego kompozytora, młodszego brata sławnych sióstr.

Oszołomiona Tamara, która znała wiele babcinych „staruszek-przyjaciółek”, teraz, przy jej trumnie, zdała sobie sprawę, w jakim świecie żyła babcia, chodząca w rozciągniętym swetrze z jajeczną przylepioną do kołnierzyka i kolekcją różnokolorowych plam na spodnicy.

„Staruszki-przyjaciółki” prawie wszystkie, może oprócz Anny Aleksandrowny, która mieszkała na Pokrowce, były tutejsze, z Arbatu, przyszły pieszo i stały w kółeczku nieopodal. Były to osoby nie „swoje”, nie pedagodzy i wykonawcy, ale „sympatyzujące”.

Pożegnanie było muzyczne – grano muzykę Michała Gniesina, napisaną do sztuki Gogola *Rewizor* w reżyserii Meyerholda. Był to wyraz miłości wymierających Gniesinów dla zmarłej Marii Siemionowny.

Potem do Tamary i Raisy Iljiczny podchodzili starzy muzycy, każdy z dobrym słowem o Marii Siemionownie, o muzyce i o przyjaźni. I zdawało się, że

zwyczajnym słowom nadają zupełnie nowy sens. Po-
deszła również Anna Aleksandrowna i poprosiła, by
Tamara nie zapomniała przyjaciół Marii Siemionowny
i by przychodziła z wizytą. I pogładziła ją po szorstkich
włosach.

W nowym mieszkaniu całkowicie odtworzono sta-
re. Teraz w dużym przechodnim pokoju stało pianino,
zakurzony tapczan przykryty czerwonym wytartym
kilimem, a nad nim wciąż te same obrazy i w tym sa-
mym układzie jak w starym domu na Arbacie. Nie było
tylko babci, która grywała na pianinie. Tamara wkrót-
ce przeniosła się z tapczanu w pokoju przechodnim do
pokoju babci, najlepszego ze wszystkich. I niespodzie-
wanie stała się gospodynią tego nowego domu, który
starał się nie różnić od poprzedniego.

Raisa Iljiczna, która przez całe życie usiłowała
zajmować jak najmniej miejsca, zamieszkała w małym
pokoiku przy wejściu. Nieśmiała i pechowa, dokona-
ła w życiu jednego, jedyne go wyczynu: urodziła nie-
ślubne dziecko, Tamarę. Przeprowadzka i śmierć matki
nadwerężyły serce Raisy Iljiczny. Zawsze umęczona
życiem, teraz już ledwie się poruszała. Nie miała jesz-
cze pięćdziesiątki, ale córce wydawała się stara i niein-
teresująca. Raisa Iljiczna była o sobie takiego samego
zdania.

Na nowym miejscu, bez kierownictwa matki, była
zagubiona, długo nie mogła się przyzwycząić do od-
ległej dzielnicy, po chleb jeździła na Arbat, a po powro-
cie, w tajemnicy przed córką, płakała w swoim dzie-
więciometrowym pokoiku.

Tamara jednak tego nie zauważała, a gdyby nawet
zauważyła, nie przejęłaby się tymi słabymi i bezrad-

nymi łzami. Nowe życie Tamary płynęło w pośpiechu, wypełnione wydarzeniami. Od razu skończyła się senność ostatnich lat szkolnych, wszystkie kółka zaczęły się kręcić, trybiki się zazębiały i wszystko popędziło, zamigotało, tak że ledwie mogła złapać oddech. Po szczęściu się jej nieprawdopodobnie: studia były ciekawe, praca jeszcze ciekawsza. Pracownik naukowy, do którego ją przydzielono, Wiera Samuiłowna Winberg, po prostu spadła jej z nieba: niemłoda, mądra kobieta, która przeszła łagry, okazała się głównym elementem skomplikowanego obrazu życia Tamary. Szczeliny się zamknęły, wszystkie kwestie wyjaśniły, strachy rozwiąły.

Malutka i sucha jak pchełka Wiera Samuiłowna porząsała kędzierzawymi sprężynkami, wymykającymi się z wielkiego koka na czoło i policzki, i uczyła nową laborantkę tak, jakby z góry wiedziała, jaka wspaniała będzie z niej specjalistka. Wiera Samuiłowna patrzyła na bujne włosy Tamary, na drobne, zręczne palce, dostrzegała jej bystrość – dziewczynka mogłaby być jej córką, a raczej wnuczką.

Wiera Samuiłowna zamierzała nawet zaprosić Tamarę do domu, poznać ją z mężem, wprowadzić do rodziny. Ale na razie się nie odważyła. Mąż Edwin, mimo że pozornie towarzyski, nie lubił wpuszczać do domu nowych ludzi.

A tymczasem los zapobiegliwie szykował rezerwowe ścieżki, na których Tamara mogłaby się spotkać ze swoją wielką miłością. Dom Winbergów należał do tych, gdzie przyszła miłość Tomoczki regularnie bywała.

Na razie jednak wszystko co najciekawsze skupiało się w starym podręczniku endokrynologii, który Wiera Samuiłowna dała swojej laborantce, mówiąc:

– Tomoczka, to trzeba wykuć na pamięć. Na początek. Chemią zajmiemy się później. Najpierw musisz się zorientować w związkach, które istnieją w tym najmańdrzejszym z systemów.

Wiera Samuiłowna była zwariowana na punkcie swojej endokrynologii, w laboratorium syntetyzowano sztuczne hormony, z którymi badaczka wiązałaomalże nieśmiertelność gatunku ludzkiego. Wiera Samuiłowna wierzyła w hormony jak w Boga. Wszystkie problemy światowe rozwiązałyby za pomocą adrenaliny, testosteronu i estrogeneru.

Tamara ujrzała nowy obraz świata: człowieka wyobrażała sobie teraz jako marionetkę, sterowaną molekułami hormonów, od których zależał nie tylko wzrost, apetyt, nastrój, ale i działanie mózgu, nawyki i obsesje. Głównym reżyserem tego spektaklu Wiera Samuiłowna mianowała szyszynkę, małeńki gruczoł, ukryty wewnątrz mózgu. Cudowny obraz, dostępny tylko wtajemniczonym! Inni uczeni oddawali pierwszeństwo przysadce, ale w tej sferze błędów nie karano więzieniem.

Osobisty system endokrynologiczny Tamary działał jak w zegarku: szyszynka, czy co to tam było, wysyłała sygnały pobudzające, nadnercza produkowały superdozy adrenaliny, tarczyca wysyłała serotoninę w celu natychmiastowego wypełnienia ubytków: bo niby skąd brałaby się energia, której Tamara miała aż nadto? Nadwyżki estrogeneru wykwitwały drobnymi pryszczami na czole. Nie było ich wiele, można by je zasłonić grzywką, ale ta sterczała do przodu i do góry, trzeba więc ją było przypinać spinkami. Wszystko szło znakomicie. Brakowało tylko czasu...

Czasu brakowało też Połuszcze. I nie miała dodatko-

wych sił – wszystkie zużywała na treningi. Sportowców na uczelni niespecjalnie uczono, przecież nie wychowywano ich na pedagogów, ale na mistrzów. Początkowo wszystko szło dobrze, od niewielkiego zwycięstwa do większego, marzyło się olimpijskie złoto, ostatecznie srebro. I było tak aż do poważnego urazu.

Na czwartym roku Gala brała udział w mistrzostwach Moskwy i po idealnym wykonaniu programu przy zeskoku z poręczy wylądowała tak nieszczęśliwie, że w jednej sekundzie nie tylko złamała nogę, ale uszkodziła sobie też staw kolanowy. O karierze mistrzowskiej można było zapomnieć. A przecież o mało nie weszła do reprezentacji kraju. Trzy miesiące przeleżała się w instytucie traumatologii, gdzie Mironowa, najlepszy chirurg, zrobiła jej dwie operacje. Kolano się zginało, ale do uprawiania sportu już się nie nadawało, ruchomość stawu była ograniczona.

Skończyło się kolorowe życie z obozami, zawodami, obietnicami. Z uczelni jej jednak nie usunięto. Gala wzięła się do podręczników i przygasła. Nadal mieszkała w swojej suterenie, ale nikt się już nią nie interesował, krótka sława się skończyła, Gala znowu poczuła się nieważną, nieładną, bezwartościową Połuszką.

Ola ze swoją nieustającą energią postanowiła zaopiekować się przyjaciółką. Nawet poradziła się matki. Antonina Naumowna, uczynna na miarę możliwości, rozwiązała kwestię: załatwiły Gali wieczorowy kurs maszynopisania.

– Naucz się dobrze pisać na maszynie, to wezmę ją do siebie do redakcji. – Ale od razu się zastrzegła: – Chociaż Gałka jest chyba niedouczona?

Po ukończeniu akademii Gala została w dziekanaście. Dano jej posadę nie do pozazdroszczenia – sekre-

tarki. Stanowisko niewielkie, pensja też kiepska. Natomiast dzięki wieczorowym kursom maszynopisania pojawiła się możliwość dorobienia. Gala pisała szybko, brała dodatkową robotę. Niestety nie miała własnej maszyny, musiała więc chałturzyć na służbowej i do późna siedzieć w biurze.

Kiedy sprawy Gali się ułożyły, Ola się oddaliła: jej życie było barwne, znaczące. Nawet przykrości zdarzały się jej jakieś wyjątkowe, nie takie jak wszystkim. W atmosferze skandalu wylali ją z uniwersytetu, potem rozeszła się z mężem Wową, straszna głupota, jak uważała Gala, lecz od razu pojawił się nowy facet. Ola trochę jej o sobie opowiadała, ale lakonicznie, bez szczegółów. O dziwo, mimo tych wszystkich przykrości wciąż promieniała – oczy, włosy, uśmiech z dołeczkami...

Wtedy Gala po raz pierwszy jej pozazdrościła. Bo po tym swoim nieszczęściu jakoś się zagubiła, od razu zbrzydła, a nawet przedwcześnie zaczęła się starzeć. Biedna Połuszka.

Połuszka oczywiście nie wiedziała o tych strasznych tajemnicach i niebezpieczeństwach, którymi wypełnione było teraz życie Olgi. Jej nowy mąż-nie mąż, na gust Gali, ustępował poprzedniemu. Ten Ilja też był wysokiego wzrostu, kędzierzawy, ale nie miał tej dziarskości co Wowa. Natomiast synek Oli Kostia chodził za nim krok w krok. W stosunku ojca do dziecka przeważała wojskowa surowość i dyscyplina, a Ilja bawił się z nim hałaśliwie, woził jak na koniu i fikał koziołki, stale razem coś wymyślali. Ilja stał się dla Kostii ulubionym starszym przyjacielem. Całą tę dziecięcą radość, której nie mógł mu dać nieszczęsny synek Iljuszka, dawał mu Kostia. Kostia go uwielbiał. Rodzony ojciec, widując się z synem co tydzień, spostrzegł, że chłopczyk „trafił pod

złe wpływy”, oburzał się więc i coraz mniej mu zależało na spotkaniach. Kostia też nie bardzo się do tego rwał.

Żadnych tych rodzinnych szczegółów Gala nie znała. Nie wiedziała też, że Ola z Ilją po cichu, bez rozgłosu, wzięli ślub. Obraziła się, gdy po pół roku przypadkowo się o tym dowiedziała. Zdarzenie wydawało się jej kosmicznie ważne, a oni tymczasem nie urządzili nawet najskromniejszego wesela! O urządzeniu sobie własnego życia już nawet nie marzyła. Miała dwadzieścia dziewięć lat i odkąd jej kariera się zawaliła, nie spojrzał na nią z zainteresowaniem choćby któryś z kolegów, student czy przechodzień... A tymczasem los w sposób pośredni, przez Olę, szykował Gali prezent drogocenny, na całe życie.

Ciekawie będzie prześledzić trajektorię nieuniknionego spotkania dwóch osób. Czasem do takiego spotkania dochodzi jakby bez przygotowania, naturalnym biegiem zdarzeń. Powiedzmy, mieszkają na jednym podwórku, chodzą do tej samej szkoły, poznają się na uczelni lub w pracy. W innych przypadkach staje się coś niespodziewanego – spóźnienie pociągu, zaprogramowana na wysokościach niewielka przykrość w postaci drobnego pożaru albo przeciekania wody z górnego piętra, albo odkupienie od kogoś biletu do kina na ostatni seans. Albo tak po prostu – przypadkowe spotkanie, stoi sobie człowiek na ulicy, kogoś śledzi, a tu nagle obca dziewczyna przemyka raz, drugi, trzeci. Błyska wątry uśmiech, i nagle olśnienie – ukochana, moja, żona...

Czy każdy zasługuje na taki wysiłek opatrności? Olga niewątpliwie tak. Ale Gala?

Los nie był hojny dla nieważnej i nieładnej pary: córki miejscowego hydraulika, pijaka i syna takiego samego hydraulika z Tweru, ale już nieżyjącego. Zresztą ojciec Gali, o przydomku „wujek Jura od kranów”, też wkrótce umrze. Kiedy tylko dadzą im wszystkim nowe mieszkanie, weźmie i umrze, ku zmartwieniu i złości mieszkańców wieżowca na placu Powstania, którzy już nigdy nie będą mieli tak zręcznego mistrza hydrauliki, znającego każdy wentyl i każdą uszczelkę z wyglądu i z dotyku. W jego obecności rury same się prostowały, zanieczyszczenia z chrząkaniem same się usuwały.

Czy wart jest wysiłeków losu płowy, nieufny, mściwy chłopczyna, mistrz podwórka w sikaniu na odległość: jeśli chodzi o zasięg strumienia, nie miał sobie równych na całym podwórku i w całej szkole.

Czy to możliwe, by on też, jak Olga, był wybrańcem losu i los go prowadził, plótł dla niego sieci, wyznaczał mu służbę na te dni, gdy płowowłosa jak on dziewczyna wślizgiwała się w bramę domu, w którym mieszkał obiekt jego obserwacji.

Niezwykłe, nieprawdopodobne, ale szczodrość losu obejmuje również i takich trzeciorzędnych statystów.

Ilji nie udało się dowiedzieć, który z jego grzechów – kolportaż książek, drobne usługi łącznościowe między różnymi niezaprzyjaźnionymi grupami, bliskość z posadzonymi w tym czasie Michą i Edikiem – ściągnął na niego baczną uwagę bezpieki. Na wiosnę siedemdziesiątego pierwszego roku zauważył, że jest śledzony.

Dla Połuszki było to zrządzenie losu.

Po raz pierwszy Gala go zobaczyła, gdy zderzyli się w bramie. Niewysokiego wzrostu, ale zgrabny i sympatyczny, w szarej cyklistówce i długim palcie. Przy-

trzymał drzwi, a ona się uśmiechnęła. Dosłownie naza-
jutrz spotkała go na podwórzu. Tym razem siedział na
ławeczce z gazetą w rękach, widocznie na kogoś cze-
kał. Gala znów się do niego uśmiechnęła. A potem, za
trzecim razem, stał w bramie, przywitali się i zapytał,
jak jej na imię. Wtedy Gala zrozumiała, że nie stał so-
bie tak po prostu, ale czekał tu na nią, więc się ucieszy-
ła. Teraz spodobał się jej jeszcze bardziej. Miał na imię
Giennadij. Ładne imię. Powierzchność – nic specjal-
nego. Ale też nic brzydkiego. Jak się później okazało,
byli z Galą do siebie podobni, jeżeli się dobrze przyj-
rzeć: oczy blisko osadzone, dość długie nosy, cofnięte
podbródki. Karnację też mieli podobną, on odrobinę
jaśniejszą, włosów, co prawda, nie za wiele. Gładko le-
żały na głowie. Ale schludny – wyjątkowo. Wyglądał
na człowieka kulturalnego. Gdy tylko Gala się rozma-
rzyła, zniknął na tydzień. Co wieczór, wracając z pracy,
wciąż wypatrywała go na podwórku, ale już więcej go
nie było.

Ot, i cała miłość – pomyślała zmartwiona i przez
cały tydzień żyła z dojmującym uczuciem, że nigdy nic
się jej nie zdarzy, że życie minie jej w suterenie, chociaż
wszystkich już przesiedlono, a ich rodzina jest ostat-
nia i ona sama też ostatnia i nieszczęsna, jak mawiała
babcia.

Szła sobie, obojętna na wszystko, z uczelni w kie-
runku Dworca Kurskiego, była ulicą Kazakowa, obec-
nie Gorochowską, żeby pojechać do domu metrem
pięć przystanków. Tu piechotą jakieś piętnaście mi-
nut, tam przebiec od stacji Krasnopresnienskaja – zaj-
mie godzinę. Pogoda kiepska, Gala idzie w kiepskim
nastroju, ale wyprostowana, jak wyuczyły się mięśnie,
główkę w niebieskim bereciku trzyma wysoko, na so-

bie ma stary płaszcz, który dostała od Oli w zeszłym roku, a tu z tyłu ktoś mocną dłonią bierze ją pod rękę. Pomyślała, że to któryś ze studentów. Obejrzała się – a to on!

– Galu – mówi – dawno na panią czekam. Chodźmy do kina!

Jak ją odszukał? Widocznie bardzo chciał! Dalej wszystko się potoczyło jak w kinie. I zamigało z taką samą prędkością. A najważniejsze, że wszystko działo się tak, jak Gala tego chciała: najpierw pod rękę, ostrożnie, mocno, potem za rękę, potem pocałował ją przyzwoicie, bez żadnego obłapiania. Objął – znowu dobrze, bez sprośności. Miesiąc później się oświadczył. Chciał pójść do rodziców z tortem i butelką wina, w swaty. Gala zawczasu uprzedziła ojca:

– Jeżeli wyciągniesz wódkę i się upijesz, to w ogóle odejdę z domu.

Ojciec brunatną spuchniętą ręką pokręcił koło skroni:

– Ale mnie nastraszyłaś! I gdzież by się podziała?

Oczywiście miał rację. Tylko nie wiedział, że jego Gałka ma teraz obronę przed życiowymi nieszczęściami.

Swaty się nie udały: matkę na wyznaczony wieczór wezwano niespodziewanie na dyżur, a brat z żoną przez cały tydzień kłócili się, dochodziło aż do bójek, więc Gala uczciwie wszystko opowiedziała o swoim życiu rodzinnym. Giennadij był wyrozumiały:

– Galusza, moi są tacy sami. Do diabła z rodziną... Przez całe życie tylko przeszkadzają. Zarejestrujemy ślub i nic im nie powiemy.

Giennadijowi wszystko w niej odpowiadało: małomówna, pytań nie zadaje, mistrzyni sportu, nawiasem mówiąc, z wyższym wykształceniem, pochodzenie

rodzinne znane. A o takich krewniakach można zapomnieć, jakby nie istnieli.

Giennadij spieszył się do ożenku z własnych powodów, które przedstawił Gali. W jego miejscu pracy od dawno dom, obiecano mu mieszkanie jednopokojowe, a jeżeli się ożeni, to może dadzą i dwupokojowe o niewielkim metrażu, jako rodzinie rozwojowej.

Złożyli wniosek, wyznaczono termin ślubu. Gala przyszła do Oli, oznajmiła, że wychodzi za mąż, i zaprosiła ją na świadka. Ola w tym czasie była już oficjalną żoną Ilji, a obie jej szkolne przyjaciółki wędły w samotności: Brinczyk przynajmniej zgłębiała te swoje hormony, a Połuszka żyła w ogóle bez sensu.

Ola się ucieszyła, ale i zdziwiła:

– Co z ciebie za przyjaciółka, nawet nie powiedziałaś, że masz romans!

Gdyby jeszcze i Brinczyka wydać za mąż, to wszystkie będą urządzone!

Ola nie podejrzewała, że wpłynęła przypadkiem również na los Brinczyka: Tamara już od roku spotykała się ze starszym przyjacielem Ilji, wspaniałym Marlenem.

Olga w swoje urodziny posadziła Tamarę obok Marlena; wyszli razem i Marlen odprowadził ją na stację Mołodiożnaja. Okazało się, że są niemal sąsiadami. Tamara zakochała się bez pamięci, wybuchła prawdziwą namiętnością i przez wiele lat Marlen chodził między dwoma domami, na szczęście o pięć minut drogi. W każdym z domów trzymał szczoteczkę do zębów, golarkę, majtki, koszule. Jego życie upływało w rozjazdach, w delegacjach, i niekiedy na kilka dni wypisywał sobie delegację do sąsiedniego domu, gdzie przebywał w cichym azylu i w miłości. Oczywiście w największej

tajemnicy. Tamara niemal od pierwszego dnia ich znajomości zobowiązała się milczeć: o Marlenie nigdy nikomu ani słowa, zwłaszcza Oldze i Ilji. W ten sposób Ola, mimowolny konstruktor cudzych losów, urządziła i umiejscowiła wszystkich, nawet nie dostrzegając swojej roli organizatora.

Gala nie miała żadnego wesela. Giennadij powiedział, że nie ma co szastać pieniędzmi, czekają ich duże wydatki – kupno mebli. Gala przytaknęła głową – oczywiście. Trochę żal jej było wesela, ale Giennadij miał rację. Co do mebli. Pobrali się i Gala pojechała do męża, do hotelu pracowniczego. Pokój był ładny, stare łóżko Giennadij oddał kierownikowi, kupił wersalkę. W ten wieczór na nowej wersalce Giennadij przyjął od żony niespodziewany prezent, nad którym musiał się trochę napracować. Gala Połuchina była dziewicą. Strzegła cnoty dla męża. Jedna tylko okoliczność przygasiła radość wielkiego dnia w jego życiu: przyjaciółka Gali, Olga. Jakże mógł dopuścić, by świadkiem na jego ślubie była żona jego podopiecznego Ilji Briańskiego, którego on od dwóch lat od czasu do czasu śledził. Powstało osobiste powiązanie, z jednej strony zupełnie niepotrzebne, z drugiej interesujące.

Baraszkowali na nowej wersalce, Giennadij wykonywał swoją męską powinność, pokonując naturalne przeszkody, ciesząc się z łagodnego udziału żony, ale wręcz dokuczała mu zadra: czy ta Olga go rozpoznała.

Olga rozpoznała. Po powrocie z USC oznajmiła Ilji, że Połuszka wyszła za mąż za Szczura. Tak nazywali Giennadija od czasu, gdy wykryli, że Ilja jest śledzony. Szczur był jednym z tych trzech funkcjonariuszy wydziału obserwacji zewnętrznej, których Ilja znał z twarzy.

Ilja najpierw się śmiał – to znaczy, żeśmy się spokrewnili! Potem podrapał się w głowę – a co ty jej dawałaś do przepisywania?

W ostatnich latach Gala często brała od nich robotę. Pisała szybko, dobrze. I jakoś nie wnikała w treść.

– Oj! Nawet o tym nie pomyślałam! Do diabła!

– Ale co jej dawałaś? – naciskał Ilja. – Ona ma moją ericę i *GUŁag* Sołżenicyna! Natychmiast zabieraj. Od razu, dzisiaj.

Olga pobiegła do sutereny, już po drodze uprzymniając sobie, że Gala przeniosła się do męża. Pijany wujek Jura, obrażony na córkę, że nie urządzili wesela, tylko wszystko załatwili po cichu, był nieprzyjemny. Ola zapytała, czy Gala nie zostawiła jej maszyny do pisania.

– Zabrała wszystkie manatki, niczego nie zostawiła. Adresu też – uciął wujek Jura i zatrzaskał Oli drzwi przed nosem.

Ola wróciła zmartwiona, stropiona, a wtedy Ilja zaczął ją pocieszać:

– Dobra, Olu, jakoś to będzie. Gala przez całe życie kręciła się w waszym domu, nie pobiegnie przecież od razu z donosem. Zobaczysz, jeszcze z jej mężusiem będziemy razem pić herbatkę – mruknął.

W sprawie herbaty Ilja niezupełnie się pomylił, ale do wspólnego jej picia trzeba było jeszcze dożyć. Wiele lat.

Brinczyk została zawiadomiona o szybkim małżeństwie Połuszki ze Szczurem, szczegóły o maszynie i przepisywaniu zostały opuszczone. Ale i tak była przerażona:

– Nie wpuszczajcie Połuszki do domu!

– Zwariowałaś! Jest moją przyjaciółką prawie od urodzenia! Jakżebyś mogła? – rozgniewała się Ola.

– To niebezpieczne. Że też ty sama tego nie rozumiesz? Będziesz miała kapusia w domu – ponuro przepowiedziała Tamara.

– Co za głupota! To wstrętne – wszystkich podejrzewać. W takim razie i ciebie też mogę podejrzewać! – wybuchnęła Ola.

Brinczyk zaczerwieniła się, rozbeczała i wyszła.

Nazajutrz Ola zatelefonowała do Gali do pracy, gdzie jej powiedziano, że od dzisiaj jest na urlopie. To dziwne, Połuszka nic jej nie wspominała o urlopie. Sama nie wiedziała, był to prezent od męża. Miodowy miesiąc! Urlop potwierdziła matka Gali, dodała też, że młodzi pojechali na wczasy do Kisłowodzka. Ola zapytała o maszynę – dała ją Gali, a teraz jest jej pilnie potrzebna. Matka Gali, ciocia Nina, kazała poczekać, potem wróciła – żadnej maszyny w domu nie ma. Nie jest to mała rzecz, znalazłaby ją.

Pojawiło się podejrzenie, czy maszyny nie przepił wujek Jura. Ale jak się tu dowiedzieć!

Nowiutka erica kosztowała majątek, a przede wszystkim nie można jej było dostać. A taka była potrzebna! Ola sama też dobrze pisała na maszynie, ale nie z zawodową szybkością, więc do większych rzeczy się nie zabierała, dawała do przepisania Połuszcze i innym maszynistkom.

Ale zaginięcie *Archipelagu GUŁag* wydawało się nie-szczęściem jeszcze większym.

Po dwóch tygodniach Gala przybiegła sama, odświeżona, prawie ładna, ale w wielkim popłochu, we łzach, ze szczerym wyznaniem: maszyna i rękopis zginęły z domu rodzicielskiego bezpowrotnie, gdzie się podziały – nie wiadomo. Ona to odpracuje, za jakieś trzy miesiące zwróci równowartość. Wszystko zginę-

ło najpewniej wtedy, kiedy nowożeńcy spędzali swój miodowy miesiąc na wczasach.

– Wcześniej, jeszcze wcześniej! – powiedziała na to Ola. – Połapałam się tego dnia, kiedy braliście z Gennadijem ślub. Następnego dnia wieczorem pobiegłam do twoich rodziców!

– Nie może być! – westchnęła Gala.

Domowe śledztwo, które Gala natychmiast przeprowadziła, nic nie dało. Ojciec akurat zapił, co pośrednio wskazywało na jego udział w kradzieży. Z drugiej strony ojczulek zapijał co kwartał, według własnego ścisłego harmonogramu, a właśnie nadszedł ten czas.

Brat Nikołaj, którego usiłowała wypytać, nagle się wściekł, zaczął się trząść i wrzeszczeć, żeby się odczepił. Chorował na głowę, był zarejestrowany w przychodni psychiatrycznej jeszcze od szkolnych lat.

Olga musiała więc jeszcze pocieszać Galę, poić ją herbatą. Grzecznościowo spytała, jak się toczy jej małżeńskie życie. Z tym życiem było akurat wspaniale, mąż niepijący i poważny, ma dobrą posadę, nawet obiecał się dowiedzieć, czy uda mu się Gali też załatwić dobrą pracę.

Potem ze ślizgawki przyszli Ilja z Kostikiem, obaj zmarznięci, oblodzeni. Zwykle chodzili na Pietrowkę, a tym razem poszli na zalane wodą podwórko obok i tam jeździli do syta. Co prawda pod koniec zabawy któryś z chłopców przywalił Kostikowi pigułą w nos, polatała się krew, ale szybko ją zamrozili kawałkiem lodu.

Na sam widok Ilji Gala zawsze miała ochotę czmychnąć, więc od razu wyszła. Olga wyprała szalik i chusteczki do nosa. Jedli kolację w trójkę – najmiłsze dni, kiedy matka zostawała na daczce. Potem Olga posłała Kostię spać.

– Iljuszka, i maszyna, i rękopis Połuszcze zginęły. Nie wiadomo gdzie – przekazała mężowi alarmującą wiadomość.

– Na pewno Szczur! Trzeba wyczyścić cały dom – szybko zareagował Ilja. Rzucili się przeszukiwać półki i skrytki, zbierając niebezpieczne papiery – numery „Kroniki wydarzeń bieżących”. W szafach matki, za Romai-nem Rollandem i Maksymem Gorkim, też było schowane to i owo. Do trzeciej w nocy wszystko co niebezpieczne zapakowali do starej walizki, wsunęli pod wieszak i odłóżyli do rana ostateczną decyzję: czy wywieźć na daczę, czy też, żeby nie kusić losu, na wieś do ciotki Iljuszy.

Długo nie mogli zasnąć, snuli różne fantastyczne domysły co do nieznannej przyszłości, zastanawiali się, czy nie trzeba by zakomunikować przez Rożę Wasiliewną autorowi, że być może maszynopis trafił do KGB. Postanowili, że wcześniej rano pojedą do Rozy Wasiliewny z dokładnym raportem o tym, co się stało. Potem Ilja spostrzegł, że Ola zasnęła w pół słowa. I wtem jakby go piorun strzelił – jutro go aresztują! Aż się spocił. Tyle śladów zostało – nie usunął notesów ze wszystkimi telefonami i musi natychmiast pojechać do matki, żeby wynieść i gdzieś schować kolekcję zdjęć. A negatywy osobno. Najlepiej będzie do ciotki do Kirzacza. Żeby tylko zdążyć! Trzeba wstać koło szóstej i od razu do matki – z tą myślą mocno zasnął.

Po ósmej Ola wręczyła Kostikowi jabłko i wyprawiła go do szkoły. Ilja jeszcze spał. Ola nastawiła kawę i tu, dziesięć po dziewiątej, rozległ się wesóły trzask telefonu, a równocześnie dzwonek do drzwi. Ilja się obudził, spojrzął na zegarek i zrozumiał, że nie zdążył.

– Idź szybko do łazienki – poleciała Ola. Ilja przemknął do łazienki i zasunął zamek.

Olga poszła otworzyć, zastanawiając się, co mówić, a czego nie mówić.

Od dawna wiedziała, jak to wygląda, ale pierwsze, co przyszło jej na myśl, to zadzwonić do mamy, żeby ratowała. Od razu się jednak zawstydziła.

Weszło ich sześciu. Żaden nie był w mundurze. Wysoki, nie zdejmując czapki, podał Oli jednocześnie legitymację i nakaz rewizji. Bardzo rzeczowo, nie tracąc czasu. Otworzyli wszystkie drzwi, oprócz łazienki.

– Czy tam jest wasz mąż? – zapytał wysoki, zdejmując czapkę. Zdjął ją razem z pożyczką włosów, które mechanicznie przyklepał do głowy. „Podobny do Kosygina” – przemknęło Oldze przez głowę i raptem uwolniła się od strachu.

– Mąż – potwierdziła kiwnięciem głowy.

Podskoczył niższy facet, zapukał do drzwi.

– Wychodzić!

– Zaraz – odezwał się Ilja.

Wyszedł po kilku minutach w starym szlafroku generała, z łatami na rękawach, ogolony w wyraźnym pośpiechu.

„Świetnie” – pomyślała Olga z uznaniem.

– Pojedziecie z nami tam, gdzie jesteście zameldowani – powiedział ten w kurtce. Porozumiał się wzrokiem z wysokim. Znacząco.

Ilja ubierał się bez pośpiechu.

Trzej stali przy półkach na książki.

– Czy to wasza biblioteka? – zapytał najdrobniejszy.

– Ależ skąd, większość książek należy do matki. Przecież jest znaną pisarką. A w tamtym pokoju są książki o budownictwie wojskowym. Ojciec jest generałem, ma dużą bibliotekę militariów.

Olga poweselała, poczuła, że jej głos brzmi dobrze,

bez wstrętne drżenia. Ilja od razu odgadł, że jej strach zastąpiło rozpaczliwe, złożone uczucie, w którym było wiele różnych emocji, w tym także i wesołość.

„Zuch dziewczynka” – pochwalił ją ze swej strony Ilja i sam nabrał otuchy. Pomachał żonie ręką i wyszedł – z prawej jeden smutny, z lewej drugi.

Rewizję przeprowadzili trzej, jeszcze jeden stał przy drzwiach.

Świadek – domyśliła się Olga.

Było to pierwsze w jej życiu bezpośrednie zetknięcie z kagiebiestami, ale słyszała wiele opowieści o tym, jak to się odbywa. Okazali się znacznie uprzejmiejsi, niż sądziła. Jeden miał sympatyczną twarz – traktorzysty czy parobka. Nawet cerę miał wiejską, czerwoną, jak u ludzi, którzy dużo czasu spędzają na mrozie. Ospałe dotykali książek, od razu pojęli, że wszystko zostało posprzątane. Potem coś wykryli – wynieśli z klozetu popielniczkę, pełną wypalonych zapalek i spinaczy.

– Co paliliście? – uśmiechnął się ten z pożyczką. Przedstawił się jako Aleksandrow, śledczy z prokuratury, ale Ola od razu zapomniała jego nazwisko. Nie wiedziała, kim właściwie są goście: milicja, służba bezpieczeństwa czy prokuratura. Nie wiedziała, że takie grupy kompletowano różnie, z subtelnymi niuansami: jednych interesowali wyłącznie antysowieccy, sygnatariusze, innych książki, trzecich w ogóle tylko Żydzi.

– Paliliśmy papier toaletowy, żeby w toalecie nie śmierdziało – zuchwale odpowiedziała Olga.

– A spinaczami się podcieraliście? – Aleksandrow bystrze wskazał na popielniczkę. Domyślił się, co takiego łączono spinaczami: listy protestacyjne, pod którymi zbierano podpisy, zbiory „Kroniki”.

– W domu jest pełno przyborów kancelaryjnych, nic dziwnego, moja matka jest redaktorem magazynu.

„Zarozumiała suka” – pomyślał Aleksandrow. Był człowiekiem doświadczonym.

Olga starała się nie patrzeć na wytartą walizkę stojącą pod wieszakiem, na w pół przykrytą długim starym wojskowym płaszczem ojca i futrem matki. Zauważą? Nie zauważą?

W tej chwili ją zauważyli. Podobny do Kosygina Aleksandrow poprosił Olgę, żeby otworzyła walizkę. Otworzyła, zajrzał pobieżnie do środka, od razu wszystko zrozumiał i rozpląnął się w uśmiechu.

– Teraz widzę, że się dobrze przygotowaliście.

Pogrzebali dla przyzwoitości jeszcze z półtorej godziny. Oprócz walizki zabrali dwie należące do matki maszyny do pisania, lornetkę ojca, ulubiony aparat fotograficzny Ilji, wszystkie notesy, łącznie z notesami matki, zdjęli nawet ze ściany kalendarz. Prócz tego zabrali fotografie ze „złotej kolekcji” Ilji, portrety wybitnych ludzi tego czasu: Jakira, Krasina, Alika Ginzburga, duchownych Dmitrija Dutki, Gleba Jakunina, Nikołaja Eszlimana, pisarzy Daniela i Siniawskiego, Natalii Gorbaniewskiej.

Było to jedyne wówczas archiwum fotografii, które po wielu latach zaczęto nazywać dysydenckim. Wśród zdjęć były takie, które opublikowano w zachodnich gazetach. Te, które Ilja sprzedał niemieckiemu dziennikarzowi Klausowi i pewnemu Amerykaninowi, oraz te przekazane przez belgijskiego przyjaciela Pierre’a, który rozporządzał nimi na Zachodzie.

Kiedy Aleksandrow wyciągnął teczkę z biurka Kostii, Olga zrozumiała, że Ilja mocno podpadł.

Pod bramą stała czarna wołga, a na ulicy jeszcze jed-

na, popielata. Walizkę, maszyny i worek z papierami załadowano do popielatej, a samą Olę – do czarnej. Siedziała na tylnym siedzeniu ściśnięta przez dwóch funkcjonariuszy. Zawieźli ją niedaleko, na Małą Łubiankę, do parterowego budynku, na którym było uczciwie napisane: „Wydział Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego Moskwy i Obwodu Moskiewskiego”.

Po drugiej godzinie rozpoczęto, jak się Oli wydawało, prawdziwe przesłuchanie. W gabinecie siedział Aleksandrow, którego Ola w duchu nazywała Kosyginem, oraz milkliwy kapitan. Pierwszy w ciągu całego dnia człowiek w mundurze. Nie miała pojęcia, że to wcale nie było przesłuchanie, a tylko zaledwie rozmowa.

Co mówić? Czego nie mówić? Ola nie umiała kłamać. Iłja ją uprzedzał: zachowywać się mądrze – znaczy nie mówić nic. To jednak okazało się najtrudniejsze. I Ola, wbrew zamiarom, zaczęła mówić – godzinę, drugą, trzecią. Pytania wciąż były jakieś nieistotne. Z kim się przyjaźni, gdzie bywa, co czyta. Wspomnieli o emigrancie docencie, wiedzieli oczywiście, że podpisywała protesty, że w sześćdziesiątym piątym wyrzucono ją z uniwersytetu. A nawet spytali ze współczuciem: cała ta fura antysowieckizny, po co to pani? Przecież jest pani człowiekiem sowieckim, z kim się pani związała?

Olga trochę udawała głupią, coś plotła o przyjaciółkach, z których prawie żadna się nie ostała, wszystkie mają rodzinę, dzieci, pracę... Wśród bliskich przyjaciół mściwie wymieniła tylko Galę Połuchinę, żadnego trefnego nazwiska nie wymieniła, jak się jej wydawało.

Aleksandrow zaskoczył ją, pytając o Tamarę Brin.

– Nie, nawet się nie widzimy. Dawniej się przyjaź-

niłyśmy, a teraz całkowicie pograżyła się w nauce, z nikim się nie kontaktuje.

– Jak to z nikim? Na przykład widuje się z Marlenem Koganem. Uczy się hebrajskiego.

Olga uniosła brwi:

– Co pan mówi? Naprawdę?

– Tu ja zadaję pytania, a pani odpowiada. Zdaje się, Olgo Afanasjewno, że uważa się pani za wielce przenikliwą i mądrą. – Uśmiechnął się, pokazując duże zęby, i Olga przez chwilę poczuła się nieswojo. Obnażona, podatna na ukąszenia i ukłucia, miękka jak mięczak bez skorupy – tak się poczuła. Ale natychmiast zrozumiała, że powinna zrobić przerwę, i poprosiła o pozwolenie pójścia do toalety.

Aleksandrow zadzwonił, weszła funkcjonariuszka z tłustym zadem, zaprowadziła Olgę do toalety dziwnie krętym korytarzem. Na gwoździu w kabinie wisiał gazetowy papier pocięty na kwadraty. Kucając nad czysto wymytą muszlą bez deski, Olga pomyślała: ciekawe, jak wygląda klozet w CIA? I roześmiała się tak głośno, że funkcjonariuszka aż drgnęła. Ta chwilowa przerwa jej pomogła: zebrała myśli, nawet i siły. Ciekawe, czy on kłamie o Tamarze? Chyba nie kłamie. Dlaczego ona nic o sobie nie mówiła? Dziwne to, dziwne. Naprawdę coś ją łączy z Marlenem? Nigdy nie mówiła ani słowa. Partyzantka! A Marlen też dobry! Ma taką nieskazitelną rodzinę, która przestrzega obrzędów, całych tych koszernych bzdur. Przypomniała sobie, że u nich w domu Marlen nic nie je, tylko pije wódkę. Wódka, powiada, zawsze jest koszerna. Broda niechlujna, kudłata, figura niezgrabna – duża głowa w sfilcowanych kędziorach, szerokie bary, krótkie nogi. Ale mądry – w głowie cała biblioteka, poukładana wiedza – historia, geografia, li-

teratura. Błyskotliwy, tak, ale... dziwne, że Tomka na niego poleciała! Cóż – wszystko jest możliwe.

Potem kapitan spojrzął na zegarek, wyszedł, po jakichś pięciu minutach wrócił, znów spojrzął na zegarek i coś mruknął do Aleksandrowa; ten zmienił ton – jakby na zegarku kapitana napisano dla niego rozkaz.

– Tak. Wystarczy już. Czy to pani książki, czy pani męża?

– Oczywiście, że moje. W swoim domu mam własne książki.

– Wszystkie książki są pani?

– No, może niektóre ktoś u mnie zostawił. Ale głównie moje.

– Które z tych książek nie są pani?

– Ależ one są moje – poprawiła się Olga.

– Skąd je pani ma?

Olga, przygotowana na to właśnie pytanie, odrzekła z gotowością:

– Kupujemy książki. Jesteśmy ludźmi czytającymi, kupujemy dużo książek.

– Gdzie?

– No, wie pan, w Moskwie jest czarny rynek, wszystko tam można kupić, i zagraniczne ciuchy, i perfumy, i książki...

– Gdzie ten rynek się znajduje?

– Różnie. To i owo kupowałam na Kuznieckim Moście.

– Dokładniej, dokładniej. Gdzie na Kuznieckim?

– To jest moskiewski bazar ze starymi książkami. Sprzedają tam wiele różnych rzeczy.

– Tak po prostu stoją ludzie na Kuznieckim Moście i oferują – wyciągnął ze sterty Awtorchanowa – *Technologię władzy*?

– No tak. – Ola kiwnęła głową.

Potem wyciągał książki jedną po drugiej, aż do znużenia. Kapitan dwa razy wychodził i wracał.

– No, cóż ja pani mogę powiedzieć, Olgo Afanasjewno? Cała ta księgarska działalność kwalifikuje się jako antysowiecka i podpada pod artykuł 191.1, część pierwsza, kodeksu karnego. Kara od trzech do pięciu lat. Pani o tym nie wiedziała? – Ostatnie słowa wypowiedział nawet ze współczuciem.

Olę, od najmłodszych lat rozpieszczaną powszechną sympatią, miłością i podziwem, najbardziej teraz dręczyło to, że zupełnie nie potrafi określić nastawienia rozmówcy. Był to człowiek nieprzyjemny, wróg z definicji, instynktownie jednak próbowała używać swego uroku osobistego. Przez powściągliwość, którą sobie narzuciła jako linię postępowania, mimo woli przebiły kokieteria i pewność siebie. Ale rozmówca był na to wszystko głuchy i nieczuły, i Olga wciąż się łapała na wewnętrznej niekonsekwencji i strasznie ją to męczyło, bo absolutnie nie mogła przewidzieć, czym to wszystko się skończy: wypuszczą, aresztują, zabiją... Nie, oczywiście nie zabiją, ale chwilami ogarniał ją lęk, zwierzęcy, fizjologiczny, ponad ludzką wytrzymałość. I trwało to wszystko potwornie długo.

Dużo pytali o Ilję. O jego pracę. Chroniło go trochę zaświadczenie, że pracuje jako sekretarz. Miał już trzeciego chlebodawcę. Po rolniczym teściu, członku Akademii, przez krótki czas był kapryśny staruszek pisarz, który go zatrudnił, ale już po pół roku zerwał umowę. Teraz jego pracodawcą był człowiek przyzwoity, też pisarz, lecz mieszkający w Leningradzie. Tak się umówili – gdyby coś, to Ilja pracuje dla niego w moskiewskich bibliotekach.

Na wszystkie pytania związane z Ilją Ołą wykręcała się jednym, trudnym do zakwalifikowania frazesem: nie wiem, mąż mi tego nie mówił. Stwarzała obraz popularnej i uległej żony.

– Niech pani się namyśli, Olgo Afanasjewno, proszę się namyślić. Może nie warto się ze mną kłócić. Jestem pewien, że pani rodzice będą zmartwieni. Porozmawialiśmy dziś sobie, poznaliśmy się. Książeczki zostaną tu, ma się rozumieć. Jest ich aż nadto, starczy na pięć lat. Oto spis, proszę. Tak, tak, już pani podpisała. Proszę wszystko przemyśleć, wkrótce się spotkamy, mamy o czym rozmawiać. Rozumiemy, że to mąż wciągnął panią w tę antysowiecką działalność. Powinna się pani zastanowić, zdecydować, z kim pani jest... Tu proszę podpisać. Zobowiązanie do nieujawniania treści naszej rozmowy.

Wyglądało na to, że sprawa zmierza ku końcowi. Wiszący w gabinecie zegar wskazywał za piętnaście jedenastą.

Aleksandrow podpisał się na świstku papieru i wręczył go funkcjonariuszce, która od dawna już tu siedziała. Była to, jak się okazało, przepustka do wyjścia. Korytarz, prawdziwy labirynt, załamywał się pod dziwnymi kątami i długość drogi do wyjścia jakoś nie odpowiadała niewielkim zewnętrznym wymiarom budynku.

Po wyjściu Olga chciała wziąć taksówkę. Żadne auto się nie zatrzymało, więc powlokła się przez plac Dzierżyńskiego do metra.

Dom był cały wypatroszony, rozszarpany i upodlony. Jak w tak krótkim czasie zdążono zburzyć dostojność i godność ich zadbanego mieszkania? Na parkiecie ślady butów, książki zwalone na kupę, złożona w stosy bielizna generała – zwyczajne kalessony i koszu-

le, chyba od czasów wojny gromadzone na półkach – krzywym wachlarzem rozjechała się po długim korytarzu. Dobrze, że matka już trzecią noc śpi na daczcy i tego nie widziała.

Ilji nie było. Na stole leżała kartka od gosposi Fainy Iwanowny: „Olu, Kostika zabrałam ze szkoły do siebie. Przenocuje u mnie, rano odwiozę go do szkoły. Zatelefonuj, kiedy przyjedziesz. Faina”.

Gdybyż mieć taką mamę jak Faina – nigdy żadnych pytań i zawsze robi właśnie to, co należy. I Olę wypia-stowała bez jednego zbędnego słowa, i przy Kostii pomaga jak nikt w świecie. Jakie to szczęście, że matka dziś pojechała na daczę, nie wstępując do domu.

Zatelefonowała do Fainy.

– Fafoczka, całe życie mnie ratujesz. Po prostu brak mi słów.

Faina pozzrędziła, pokleła pod nosem i powiedziała, że jeżeli Ola tak się będzie zachowywać, to ona od nich odejdzie.

– Przynajmniej dziecka byś pożałowała! – wysyczała na koniec i odłożyła słuchawkę. Złoto, czyste złoto, nie człowiek.

Po chwili wahania Olga zdecydowała się zadzwonić do Marii Fiodorowny, matki Ilji. Wykręciła numer, ale nikt nie odpowiadał i Olga odłożyła słuchawkę. Zmęczenie było silniejsze od lęku. Ola padła na tapczan i natychmiast usnęła. Po piętnastu minutach obudziła się z łomotem serca aż w gardle. Senność wywietrzała.

O wpół do trzeciej zabrała się do sprzątania. Nad ranem doprowadziła dom do porządku.

„Co będzie z Ilją?” – ćmiło ją w duszy.

Zadzwoniła do Gali do pracy: pilnie musi się z nią zobaczyć. Po godzinie Gala siedziała w kuchni Oli.

– Galu, była u nas rewizja. Zdajesz sobie sprawę, że cała historia zaczęła się od maszyny do pisania? – zaczęła Olga, ale Połuszka już cała się trzęsła i zalewała łzami. – Powiedz uczciwie, czy swojemu mężowi mówiłaś, co przepisujesz? Że maszynę wzięłaś od mnie?

Połuszka zaklinała się, że mąż niczego nie wie ani o maszynie do pisania, ani o tym, że ona dorabiała sobie przepisywaniem. I w ogóle nikomu o tym nie pisała ani słowa. Przysięgła tak gorąco, że nie sposób jej było nie wierzyć. Pozostawało zagadką, jak wszystko trafiło do KGB. I dlaczego, u diabła, z tym czekali, nie przyszli od razu.

– Oleńko, zrozum, że właśnie teraz powinnam Gienie o wszystkim powiedzieć. I w ten sposób narażę wszystkich: i ciebie, i Antoninę Naumownę, i Gienę. Przecież on też może mieć przykrości! I co, mam się teraz powiesić? Może sądzisz, że jestem niewdzięczna, nie wiem, ile twoja rodzina dla mnie robiła przez całe życie? Ale Giena tego nie wie, to w ogóle go nie dotyczy. On ma zupełnie inne życie i inne pojęcie o wszystkim. On jest ideowy! Och, ale ty przecież też kiedyś byłaś ideowa! Kto był sekretarzem organizacji komsomolskiej w szkole, przecież nie ja! Ty w ogóle byłaś najbardziej sowiecka ze wszystkich! Tamarka, chociaż milczała, była antysowiecka, a ja w ogóle się tym nie interesowałam. Odkąd skończyłam dwanaście lat, całym moim życiem były poręcze i belka, i to wszystko!

Zachrobotał klucz w zamku, wszedł Ilja. Objęli się jak po długiej rozłące, przytulili do utraty tchu.

Połuszka taktownie szybko się ubrała i wymknęła.

– Kiedy cię wypuścili? – zapytał Ilja, nie puszczając Oli z uścisku.

– O jedenastej wieczór. A ciebie wciąż trzymali?

- Najpierw zawieźli mnie do matki, zabrali wszystko bez reszty. Wszystko. Już nie mam laboratorium. Potem na Małą Łubiankę i do tej pory trzymali.

Odkąd Kostia poszedł do szkoły i przenieśli się do moskiewskiego mieszkania Oli, laboratorium przeniósł do matki, do komórki.

- Parterowy budynek? Ja też tam byłam.

- No tak, Moskiewski Urząd. Do diabła z nimi, do diabła - mruzczał Ilja i wszystko było nieważne. Wszystko oprócz jasnookiej Oleńki, żony, ukochanej, która warta była wszystkiego, wszystkiego... Ochraniał ją, jak potrafił, wszystko wziął na siebie. Zresztą przecież rzeczywiście. To on przynosił do domu książki! Wyplątywał Olę, jak mógł. Sam jakoś się wykręcę, żeby tylko nie zawieść Oli.

Teraz Oleńka ze spękanyimi wargami, z piegami wyraźnie odbijającymi od bladej cery, najważniejsza część życia, sam jego rdzeń - głaskała go po twarzy. On jeszcze miał przed sobą rozprawę z urzędem, ale mocno postanowił, że Olę musi ochronić za wszelką cenę.

Antonina Naumowna po powrocie z pracy otrzymała od córki wyczerpujący raport o tym, co się stało. Złapała się za serce, a potem chwyciła słuchawkę telefonu. Umówiła się na następny dzień z generałem Iljenką, opiekującym się Związkiem Pisarzy Sowieckich z ramienia śmiertelnie ważnych organów. Byli w przyjaznych stosunkach od lat trzydziestych, kiedy ona dopiero zaczynała swoją wielką karierę, przeżyli czystki, potem sami je pomyślnie przeprowadzali, wytrzymali starcia z formalistami, współpracowali też w sprawie Erenburga.

Praca była skomplikowana i bardzo niewdzięczna. Ale arcyważna, jak uważała Antonina Naumowna.

Iljenko pomagał swoim, tym razem pomógł też Antoninie Naumownie.

Zadzwoił i umówił ją z innym generałem. Porozmawiali w sposób ponizający dla pisarki, ale w końcu się udało: zwrócili wszystkie jej maszyny, starego underwooda i nową optime, notesy, rękopisy zabrane podczas rewizji. Wśród rzeczy zwróconych znalazły się nawet książki Ilji – jakieś religijne, przedrewolucyjne, które Antonina Naumowna brzydziła się wziąć do ręki. Ilji, nawiasem mówiąc, zwrócono też aparaty i powiększalnik. Tylko ericę Oli oddano dopiero po trzech miesiącach na specjalne podanie. Jak tam trafiła, kto zakapował, tego nie powiedziano.

Antonina Naumowna nie była kłótniwa, w dodatku, po wyrzuceniu Olgi z uniwersytetu, doświadczyła całej goryczy konfliktu na znanej rosyjskiej linii „ojcowie i dzieci”. Toteż nie robiła córce żadnych wymówek, wyrwała już z serca nadzieję na jednomyślność. A przecież wychowywała córkę dla siebie, według najlepszych wzorców. Gdyby Olga miała rodziców takich jak ona, ciemnych religijnych fanatyków – co na to by powiedziała?

Oczy jej pałały suchym ogniem, wargi były zaciśnięte – w żyłach Antoniny Naumowny płynęła surowa grecka krew. W młodości często brano ją za Żydówkę, co niezmiernie ją irytowało. Natomiast teraz nabrała podobieństwa do bizantyjskiej ikony: gniewne uduchowione oblicze, bez współczucia i łaski. Praskowia albo święta Irena. Tylko zamiast aureoli – włóczkowy beret lub toporna karakułowa czapka z pracowni przy Związku Literatów.

Pierwszą myślą Antoniny Naumowny było: zamienić mieszkanie na dwa oddzielne. Żeby nie widzieć

ani córuchny, ani zięciulka. Potem się opamiętała: drugie mieszkanie po jej śmierci zabierze sobie państwo. A wnuk? Chłopczyk grzeczny, dobry, przywiązany do dziadka. Dlaczego pozbawiać go spadku? Nie, nie. Poza tym trzeba na nich uważać, doszła do wniosku pisarka. Chociaż i wcześniej wiedziała, że oko państwa od dawna ma pod obserwacją tego parszywca, męża, a zarazem i Olgę.

Od tego czasu Antonina Naumowna zmieniła tryb życia: na daczę jeździła zawsze w dni wolne i święta, a w dni powszednie nie co dzień, i parę razy w tygodniu odwiedzała młodą rodzinę. Nigdy nie uprzedzała, żeby zawsze spodziewali się jej przyjścia i nie urządzali żadnych antysowieckich konwentykli, hałasów i skandali.

Faina nadal pełniła swoją służbę, pozwalała lekko-myślnym rodzicom wychodzić wieczorami, zostawała nawet na noc. Ola z Ilją często wałęsali się po znajomych, wszystko to byli nowi interesujący ludzie.

Szkolne koleżanki rozdzieliło życie. Widywały się teraz raz w roku, 2 czerwca na urodzinach Oli. Telefonowały do siebie z rzadka. Rozluźnienie kontaktów nastąpiło z przyczyn naturalnych: każda miała teraz własne życie, własne prywatne tajemnice.

Tamara, oprócz ukochanej nauki, miała jeszcze ukochanego Marlana, Gala, oprócz męża i pracy, miała jeszcze potajemne zajęcie: leczyła zdiagnozowaną bezpłodność we wszystkich możliwych lecznicach, u homeopatów, zielarzy, a także wszelkiego rodzaju szarlatanów.

Wspólna była tylko szkolna przeszłość, która stawała się coraz bardziej odległa i coraz mniej znacząca.

Trwały najszcześniejsze lata życia Oli. Wszystko to-

czyło się jak po cienkim lodzie: niebezpiecznie i wesoło. Docent pisarz, który połączył Olę z Ilją pod drzwiami sądu, odsiedział siedmioletni wyrok i czmychnął na emigrację.

Ani Ola, ani Ilja nie spotkali się z nim w miesiącach przed odjazdem i potem długo tego żalowali. Ale okazał się niedostępny. Może on sam nie chciał nikogo widzieć, może żona osłoniła go żelazną kurtyną. A wyjechał jakoś niezauważalnie, bez większej awantury – widocznie władze wołały się go pozbyć. Poza tym rozeszły się jakieś złe wieści o jego kontaktach z bezpieką.

Wszyscy konspiratorzy tamtych lat, czytelnicy oraz twórcy samizdatu, skłócili się i rozbili na drobne grupy, na ziarna i plewy. Co prawda nie udawało się ustalić, gdzie plewy, a gdzie ziarno. W drobnych stadach też brakło jedynomyślności. Daleko im wszystkim do „zapadników”, „słowianofilów”, „sześćdziesiątników” dziewiętnastego stulecia. Teraz była większa różnorodność. Teraz jedni opowiadali się za sprawiedliwością, ale przeciwko ojczyźnie, drudzy przeciwko władzy, ale za komunizmem, trzeci chcieli prawdziwego chrześcijaństwa, a znaleźli się także nacjonaści, marzący o niepodległości swojej Litwy czy własnej Ukrainy Zachodniej, oraz Żydzi, którzy mówili tylko o wyjeździe...

Była też jednak wielka prawda literatury – Sotżenicyn pisał książki, jedną po drugiej, dostarczano je do samizdatu, rozchodziły się po ludziach w postaci przedgutenbergowskiej, rozsypane, miękkie, ledwie czytelne arkusiki przebitki. Nie można się było oprzeć tej bibule: była w niej zabójcza prawda, naga i straszna, o sobie, o własnym kraju, o zbrodni i grzechu. Wtem, już z emigracji, uniwersytecki docent, podziemny pi-

sarz z nadszarpniętą reputacją, z zachodnią sławą, mądry, zjadliwy, złośliwy jak diabeł, napisał bezwstydnie zabójcze słowa, nazywając Rosję „suką”, a wielkiego pisarza „niedokształconym patriotą”.

Herbata i wódka lały się strumieniami, kuchnie bulgotały parą politycznych dyskusji tak, że wilgoć pełzła po ścianach obok płyty kuchennej do góry, do ukrytych mikrofonów.

Ilja znał wszystkich i wszystko wiedział, był spokojny i ugodowy w sporach, ponieważ zawsze miał harmonizujące „z jednej strony” i „z drugiej strony” ... A Oldze mówił:

– Rozumiesz, Olusza, każde stanowisko ogłupia. Nie wolno się trzymać czegoś jednego. Nawet taboret ma cztery nogi!

Ola raczej się domyślała, co Ilja ma na myśli, ale w duchu się z nim zgadzała.

Brinczyk pod wpływem Marlena chwilowo wpadła w syjonizm, ale endokrynologia przeszkadzała jej w całkowitym oddaniu się ruchowi żydowskiemu. Rozprawa doktorska była prawie gotowa, a wyniki okazały się wstrząsające. Hormony syntezowały się, pracowały w probówkach, aż furczało, pozostawało tylko nauczyć je działać na poziomie żywego organizmu, przynajmniej króliczego.

Wiera Samuiłowna nie mogła się nacieszyć swoją byłą asystentką, która, otrzymawszy po ukończeniu uczelni małą posadkę starszej laborantki z pensją osiemdziesięciu rubli, wyrosła na prawdziwą uczoną.

Tamara przesiadywała do nocy w laboratorium, przy stacji metra „Mołodiożnaja” czekał na nią Marlen; od jedenastej do dwunastej spacerował z ukochanym seterem Robikiem, którego pokochał jeszcze bardziej

za to, że psi porządek dnia pozwolił panu wychodzić wieczorem z domu.

Trwała wielka i potajemna miłość z wszelkimi oznakami wyjątkowości tudzież boskości: pełnia wszelkiego zbliżenia, świeże oparzenia od każdego dotknięcia, porozumiewanie się bez słów, błogość wspólnego milczenia oraz rozkoszowanie się rozmową. Marlena zadziwiła niespotykana wielkoduszność Tamary: akceptowała zarówno jego zalety, jak i wady, bez ustanku zachwycała się jego rozumem, wiedzą, a zarazem szlachetnością.

Tę ostatnią cechę dostrzegła w jego oddaniu dzieciom, rodzinie, żydowskim tradycjom, które wprowadził do swojego domu. Od pewnego czasu jego rosyjska żona w piątek wieczorem nakrywała szabasowy stół i odmawiała modlitwę po hebrajsku nad dwiema świecami. Komunistyczni przodkowie Marlena przewróciliby się w trumnach, ale więźniów Kołymy nie chowano w trumnach. Tylko matce, która cudem uniknęła łagrów, lecz zwariowała ze strachu, udało się leć w trumnie na Cmentarzu Wostriakowskim.

Rodziców Lidy, sympatycznej żony Marlena, strasznie by zadziwiło „zżydzenie” córki. Ale, po pierwsze, nic nie wiedzieli o piątkowych rodzinnych rozrywkach, a po drugie, lubili Marlena za wesołość, pogodę ducha i za to, że zawsze potrafił w miarę, nie po rosyjsku, wypić i napoić innych. Prości sowieccy ludzie bez szczególnych ambicji, poczciwi inżynier i nauczycielka, na razie nie zostali poinformowani, że Marlen zamierza wywieźć rodzinę do Izraela.

Natomiast Marlen po odprawieniu szabasu brał na smycz Robika i prowadził do stojącego nieopodal czteropiętrowego domu, do Tamary, żeby spędzić sobotę w pełnej zgodzie z zaleceniami Talmudu. Robik

leżał na dywaniku i też miał swoją frajdę: gryzł kostkę przygotowaną na tę okazję. Raisa Iljiczna siedziała jak myszka w swojej dziewięciometrowce, nawet do toalety nie wychodziła, jakby jej w ogóle nie było.

Życie Gali pięło się wzwyż. Mąż znalazł jej odpowiednią posadę, pracowała teraz w klubie sportowym CSKA – zgodnie ze swą specjalnością i za dobrą pensję. Giennadij niczym żony nie rozczarował: okazał się wierny, uczciwy – co obiecał, zawsze spełniał. Życie miał niełatwe. Wiele pracował, jeździł w delegacje, studiował zaocznie. Powiadał, że to potrzebne do awansu. I zmierzał do awansu przez jakieś pięć lat. Dorósł do mieszkania w Kuncewie, w domu z cegły, do dobrego stanowiska. Wskazania wodza – uczyć się, uczyć się, uczyć się – nigdy nie zapomniał: chodził na różne kursy dokształcające, zrobił drugi dyplom.

Jedyne, co się nie udało, to potomstwo. Jakaś złośliwa kpina losu. W kraju zajmującym pierwsze miejsce na świecie pod względem liczby aborcji na głowę żeńskiej populacji właśnie Połuszka nie mogła zająć w ciążę, pospolity cud jej właśnie się nie zdarzył.

W tych szczęśliwych dla Olgi latach Tamara rzadko się z nią kontaktowała – przeszkadzały przemilczenia: potajemna miłość Brinczyka od dawna przestała już być sekretem, ale w rozmowach z Olą Tamara nigdy nie wspominała o Marlenie i to było nie po przyjacielsku, nie po kobiecemu, i w ogóle to było dla Olgi obraźliwe. Kobięca przyjaźń, niepodsycana omawianiem życia intymnego, jakoś przygasła i straciła urok. I nawet gdy nieoczekiwanie wyproszono do Izraela Marlena z rodziną, Tamara ani słowa Oli nie powiedziała. A miała-
by o czym.

Potem nastąpiły ciężkie czasy dla Oli. Wyemigrował Ilja. W życiu Oli wszystko się zmieniło: to, co było dotychczas, zupełnie straciło sens. A nowy sens się nie pojawił. Nieobecność Ilji okazała się nawet silniejsza niż jego obecność. Stał się obsesją i myśli Oli, jak wskazówka zwariowanego kompasu, wciąż wyrywały się w stronę Ilji. W tych miesiącach, kiedy Ola jeszcze nie doszła do siebie po pierwszym ciosie, Tamara była przy niej. Początkowo wyglądało to jak klasyczny atak choroby wrzodowej. Ale Tamara dostrzegła też wszelkie symptomy depresji: twarzą do ściany, milcząca, Ola prawie nie wstawała z łóżka, nie jadła i prawie nie piła. Medycznym instynktem Tamara wyczuła nieszczęście.

– Olu, zaklinowało cię, musisz się ratować, zwariujesz, zachorujesz, wyrwij to z siebie, wyrzuć, z tym nie da się żyć.

Tamara usiłowała wyciągnąć Olę z depresji. Najpierw zaprowadziła ją do psychologa, przyjmującego pacjentów w pod każdym względem podziemnej piwnicy. Potem zabrała ją do psychiatry. Instynkt samozachowawczy, opieka Tamary i antydepresanty wyciągnęły Olę z dołka. Ale wkrótce po wyjeździe Ilji dostała krwotoku. Tamara niemalże się ucieszyła: wydawało jej się, że porażona somatyka uratuje psychikę. Obsesyjne myśli i rozmowy o Ilji trwały jednak nadal. Choroba przygasała, jednak płomień krzywdy, zazdrości i złości nie wygasł. Z dawnej Oleńki, uśmiechniętej i zrównoważonej, prawie nic nie pozostało – łzy, wrzaski, histerie.

Przyjaciółki brały na siebie wszystkie te ciężkie wyziewy. Połuszka regularnie Olę odwiedzała, cicho współczuła i potakiwała. Okrutny postępek Ilji, który zostawił Olę, doskonale wpisywał się w jej obraz świata, w którym wszyscy mężczyźni są podli, pięk-

ne kobiety to kurwy, zwierchnicy niesprawiedliwi, a przyjaciółki zawistne. Olga, piękna przyjaciółka, stanowiła wyjątek. Tak samo jak i własna historia samej Połuszki: jej mąż był przyzwoity – za babami się nie oglądał, całą pensję oddawał żonie. Ale na wszelki wypadek o rodzinnym szczęściu, jakie na nią spadło, przesądnie milczała – żeby przypadkiem przyjaciółki nie zapeszyły.

Brinczyk widziała wszystko w innym świetle. Prościutkie idee Połuszki wzbudzały w niej tylko pogardę. Tamara nie miała głowy do Połuszki, miotała się z Olą po specjalistach. Wykryto raka, który rozwijał się na wyścigi z badaniami lekarskimi. Diagnozę postawiono bardzo wczesnie, ale komórka była bardzo agresywna. Być może chorobę podsycaly złość i poczucie krzywdy. Jednak o tym nauka nic nie mówiła.

Czasem Ola odmawiała leczenia, pewnego razu nawet uciekła z najlepszej kliniki, gdzie umieściła ją Tamara, wykorzystując medyczne kontakty własne i Wiery Samuiłowny. W końcu pod silnym naciskiem Tamary Olga przeszła ciężką chemioterapię i teraz powoli dochodziła do siebie.

Układ sił między przyjaciółkami się zmienił: Olga utraciła najwyższą władzę i jakby tego nie zauważała. Teraz dowodziła Tamara. Połuszka tę zmianę ignorowała. Doskonale opanowała sztukę milczenia, utrzymywania dystansu, puszczanie pytań mimo uszu, nieokreślonego kiwania głową. Tamara, która zawsze miała Połuszkę za nic, ledwie ją znosiła.

Historię z maszyną do pisania, dawno zapomnianą, pamiętała tylko Tamara.

* * *

Ostatni raz przyjaciółki spotkały się we trzy na urodzinach Oli na generalskiej dacy w osiemdziesiątym drugim roku. Wszystkie miały po trzydzieści osiem lat. Połuszka i Brinczyk przyjechały na daczę osobno, jedna autobusem, druga zwykłą trasą – elektrycznym z Dworca Ryskiego. Spotkały się przy bramie daczy. Drewniana brama wyglądała na zmurszałą, działka była ogromna, a teraz wydawała się jeszcze większa. Weszły przez przekrzywioną furtkę. Na działce był staw, od dawna nieczyszczony, więc zarośnięty rzęsą po brzegach. Na wpół spróchniała łódka odbijała się w czarnym środku stawu. Piętrowy dom uroczo się zestarzał. Generał umarł. Antoninę Naumownę zdjęto z kierowniczego stanowiska, dacza wyglądała jak zrujnowany dworek szlachecki. Przyjaciółki przywitał Kostia, wysoki, z jesieninowską falą jasnych włosów, które wciąż usiłował odgarnąć z czoła. Z figury i z twarzy – wykapany rodzony ojciec, Wowa, z mimiki i całego sposobu mówienia – Ilja. Ale bez dowcipu Ilji. Ucałowali się.

– Mama jest tam – i poprowadził je na werandę.

Olga siedziała w wolterowskim fotelu, głowę oparła o kanapową poduszkę, małe stopy w grubych kapciach – o podnózek. Ręka, bardziej podobna do kościanej rzeźby niż do żywej ludzkiej dłoni, spoczywała na stoliku do czytania przymocowanym do fotela. Wszystko co zbędne zniknęło z twarzy Oli, pozostało tylko nagie, surowe piękno i choroba. Jedwabna chustka ściśle obejmowała małą główkę. Potem Ola ściągnęła ją z głowy i wyjrzał śliczny rudy język. Po chemii odrosły jej dziecięce włosy – nowe i wesołe.

Minęło pół roku od czasu, gdy Olga wypisała się z kliniki i kategorycznie odmówiła kontynuacji leczenia.

nia. List od Ilji zrobił swoje. Teraz wszystko powierzyła nie nauce, ale czarom.

Kostia wyniósł na werandę kanapki z kawiosem i kiełbasą. Przydziałów żywnościowych Antoninie Naumownie nie odebrano, pomyślała spostrzegawcza Gala, która już też przywykła do specjalnej aprowizacji. Tego dnia przyjechała pożegnać się z Olą – jak się wtedy wydawało – na zawsze. Ale wciąż nie znajdowała słów, żeby to oznajmić: jak zawsze krępowała ją obecność Tamary.

Powiedziała tuż przed odejściem, że żegna się na długo, bo wyjeżdża z mężem za granicę. Ola dość obojętnie spytała dokąd.

Gala się uśmiechnęła:

– Wyobraź sobie, na Bliski Wschód. Konkretnie nie powiem. Tamara by mi pozazdrościła.

Aluzja była całkiem zrozumiała. Tamara odwróciła kulistą głowę we fryzurze „afro”. Szyję miała bardzo długą, wręcz nieproporcjonalną i odwracała się, jak Olga kiedyś żartowała, o całe trzysta sześćdziesiąt stopni.

W szkolnym dzieciństwie Brinczyk odbierała Połuszkę jako niezbędny dodatek do ukochanej Oli, rodzaj podatku od przyjaźni. Obojętnie ją tolerowała. I nigdy by się Oldze nie przyznała, jakiego o Połuszcze jest zdania: podła plebejska dusza, lizus i pasożyt, nieinteligentna, niezdolna, niedobra... A w dodatku niebezpieczne stworzenie. Tamara zawsze pamiętała o maszynie do pisania.

Tamara patrzyła w stronę stawu. Tam też siedzą tajniacy, wszędzie, wszędzie... W Izraelu też! Nigdzie nie można się przed nimi ukryć!

– A-a-a – przeciągnęła Ola – na Bliski Wschód. Ucz się francuskiego...

– Dlaczego francuskiego? – zdziwiła się Gala. – Chodzę na kurs angielskiego...

– Na długo wyjeżdżasz? – spytała Ola.

– Chyba na trzy lata...

Później Gala, przyjeżdżając na urlop, dwa razy odwiedziła Olę podczas bajecznej remisji, która trwała u Oli przez cztery lata, od otrzymania przez Olę listu od Ilji do samej jego śmierci.

Przywoziła prezenty – jerozolimskie krzyżyki, ikonki, amulety z kadzidłem. Oli nie interesowały te religijne śmieci, wszystkie te dary stopniowo przekoczowały do Tamary, która się nimi cieszyła. Olga znów stawała się dawną sobą, wesołą i energiczną.

Po raz trzeci Gala przyjechała do Moskwy, kiedy Oli już nie było wśród żywych. Wiedziała o jej śmierci. Zadzwoiła do Kostii, zajrzała do ich domu, który zupełnie się nie zmienił od odejścia Oli. Tylko straszny był nieład. Gala przyniosła bliźniętom Kostii drogie prezenty: plastikowych żołnierzyków z mechanicznymi trzewiami, autka na baterie i długonogą lalkę z ubraniami.

Wróciła do domu, długo płakała za Olgą, a potem zadzwoniła do Tamary.

– Kiedy? Mogę teraz?

Wzięła taksówkę i przyjechała po kwadransie. Nie można powiedzieć, że rozmawiały – po prostu przepłakały cały wieczór w objęciach, nad wystygłą herbata, nie zapalając światła. Najpierw płakały nad Olgą, którą obie bardzo kochały, potem nad sobą, nad tym wszyst-

kim, co życie im obiecywało, a nie dało, przerywając milczenie płaczem, płacz milczeniem. Potem płakały, współczując sobie nawzajem w tym, o czym nawet nie mówiły, i znów nad Olgą. Potem Tamara znalazła pół butelki koniaku, wypity po kieliszku i Tamara jednak zadała pytanie o maszynę do pisania. Przecież od tej maszyny zaczęła się główna zdrada.

– A Ola ci nie opowiedziała? Ja, gdy tylko się dowiedziałam, od razu jej powiedziałam. Brat Nikołaj, Boże świeć nad jego duszą – Gala przeżegnała się szeroko, od pępka do ramienia – zaniósł maszynę i rękopis *Archipelagu GUŁag* do dzielnicowego wydziału KGB. Sam by nigdy czegoś takiego nie zrobił. Rajka, jego żona, Boże świeć nad jej duszą też – znowu się przeżegnała, ale oszczędniej – nienawidziła mnie i to ona go namówiła. Giennadijowi nawet potem pokazano jego donos. „W celu udaremnienia spisku antysowieckiego wrogów ludu i wysiedlenia z mieszkania mojej siostry Galiny Juriewny Połuchinej” – napisał. Suterene wysiedlano i Rajka myślała, że dadzą im więcej metrów. No i w tym nowym mieszkaniu oboje spłonęli. Po pijanemu. – I znów uroczyście się przeżegnała.

Widocznie wspólnie przelane łzy zmiękczyły niewidzialną skorupę na sercu Tamary. I opowiedziała Gali to, o czym tak długo milczała. Opowiadała, wołając w myśli: „Boże, Boże, wybacz mi!”.

Po wyjeździe Marlena do Izraela, a może i wcześniej, mocno pokochała Jezusa Chrystusa, a przez to wiele się w niej zmieniło:

„Za cóż ja tę nieszczęsną głuptaskę nienawidziłam?”.

Połuszka napiłaby się jeszcze, ale się krępowała. Po raz pierwszy przyjaciółka Oli, mądra Tamara, która

zawsze ledwie ledwie ją zauważała, była z nią tak serdeczna.

„Widać Oleńka nas pogodziła” – z rozrzewnieniem pomyślała Połuszka.

Potem Tamara pokazała Połuszce nowe mieszkanie, które już stało się stare. W poprzednim pokoju, na Sobaczym placyku, Połuszka parę razy była, a do tego jej nie zapraszano. Wszystkie rzeczy były z dawnego życia – pianino, fotel, szafy z książkami i fotografie. Brakowało tylko obrazów. Gala spytała, gdzie się podziały... Tamara zaśmiała się:

– Zauważyłaś? Obrazy wyszły.

– Pamiętam je – był taki anioł z dużą głową, niebieski. Przecież byłam u ciebie, Brinczyk, nawet dwa razy albo trzy. Ola mnie do ciebie przyprowadzała. Pamiętam i obrazy, i twoją babcię.

Po pierwszej Tamara poszła odprowadzić Galę do taksówki. Obie, niczym butelki na mleko w rękach dobrej gospodyni, omal że nie brzęczały jak czysto wymyte szkło. Rozpuściła się i zmyła wieloletnia wrogość. Jeszcze nie wiedziały – to dopiero miały sobie nawzajem opowiedzieć – jakimi dziwnymi drogami doszły do tego wieczoru: Tamara, Żydówka, była syjonistka, która jednak nie wyjechała do Izraela, a teraz prawosławna chrześcijanka, oraz Gala, żona urzędnika przy rosyjskim kompleksie w Jerozolimie, na pozornie skromnej, ale w istocie bardzo ważnej posiadzie, Gala, która w ciągu ostatnich lat znienawidziła wszystkich „religiantów”, popów, rabinów i innych mułłów, a zarazem cały Wschód z jego sprytnymi podstępami, tajemniczością, podłością i fałszem. Nabrała natomiast ciepłego uczucia do Jezusa Chrystusa osobiście...

– A sam Izrael to cudowny kraj. Szkoda, że nie wy-

jechałaś. Oczywiście bez tych wszystkich religii – podsumowała Połuszka.

Tamara się śmiała:

– To dlaczego robisz znak krzyża na tym swoim głupim czole? Głupia jesteś, Połuszka. Jaka głupia byłaś, tak i zostałaś. Jak można czcić Chrystusa i nie uznawać chrześcijaństwa?

Połuszka napięła biedną twarzyczkę i odpowiedziała po raz pierwszy w życiu przecząco:

– A właśnie że można!

Ich stosunki – po tylu latach wrogości – stały się łatwe i zażyłe. Połuszka wcale się nie obraziła i rezolutnie odpowiedziała:

– Sama jesteś głupia, chociaż masz habilitację. To ty masz niedobrze w głowie.

Mieli tam z mężem pracować jeszcze trzy lata, ale zdarzyło się nieszczęście, mąż ciężko zachorował i Połuszka wróciła na dobre, wypłowiata, białowłosa, pokryta drobnymi pęknięciami zmarszczek od suchego słonecznego skwaru. Nie było bliższych przyjaciółek niż Połuszka i Brinczyk.

Historię jednak trzeba opowiedzieć do końca. Tamara Grigoriewna Brin, doktor habilitowany i szanowany członek towarzystwa naukowego, zaprowadziła jednak Połuszkę na badanie endokrynologiczne nie do przychodni, ale do instytutu naukowo-badawczego, gdzie znaleziono jakąś substancję – hormon, nie hormon, którą wstrzyknięto prosto w tętnicę, raz i drugi, i Połuszka zaszła w ciążę. W wieku czterdziestu sześciu lat – po raz pierwszy. Gdyby się urodziła dziewczynka, nazwaliby ją Olga, ale urodził się chłopczyk, i dali mu na imię Juroczka.

Tamara ochrzciła go za milczącym zezwoleniem

ubeckiej rodziny. Co niedziela Tamara przyjeżdża do Połuszki, żeby pospacerować z chrześniakiem. Miły chłopczyk, potomek dwóch hydraulików – blondasek, jasnooki. Tamara ciąga go a to do cerkwi, a to do muzeum. On mówi do niej „szesna”.

Po powrocie ze spaceru Tamara pije herbatę z Gienadijem. Jak przepowiedział to kiedyś Ilja. Giena oczywiście jak był Szczurem, tak nim pozostał. Bóg z nim. Po zawale przeszedł również wylew i był żywy tylko w połowie – zdrowa część ciągnęła sparaliżowaną chorą. Biedna Gałka. Ale Tamara cóż – wymamrocze swoje: „Panie, daj mi ujrzeć moje przewiny i nie potępiać brata mego...”. I jest jej lekko na duszy.

BRODNIK

Ilja wysiadł z taksówki i spojrzął na zegarek – trzy minuty po piątej.

„Trzy minuty to nie jest spóźnienie” – uspokoił sam siebie.

Przy wejściu do hotelu zwolnił kroku. Padał słaby deszcz. A równocześnie było duszno.

„Zwariowałem! Boję się spóźnić? Od kiedy to zrobiłem się taki punktualny?”. Zatrzymał się naprzeciw portiera, podobnego do śpiewaka operowego o szerokiej klatce piersiowej i nalanym karku. Tamten spojrzął na niego podejrzliwie.

Wtedy, po rewizji, trzymano Ilję na Małej Łubiance osiemnaście godzin. Trzej rozmówcy zmieniali się: dwaj pierwsi straszili, trzeci werbował prymitywnie, choć całkiem przekonująco. Rozstali się z tym, że jeszcze się spotkają.

Teraz, po tygodniu, wezwano go telefonicznie i wyznaczono spotkanie w lokalu operacyjnym. Hotel Moskwa, szóste piętro, pokój numer 724.

Teraz Ilja kłął siebie za głupotę: mógł nie podejść do telefonu, nie iść na spotkanie, powiedzieć, żeby przysłano wezwanie. A na pewno nie przychodzić dokładnie o wyznaczonej porze.

„Nic im nie jestem winien – przekonywał sam siebie. – Jak będą chcieli mnie wsadzić, to i tak wsadzą. Trzeba się uwolnić od strachu. Trzeba. Jestem beztrocki, lekkomyślny, lekki jak powietrze... i przygłupi”.

„Przepraszam? Nie zrozumiałem. Co pan powiedział? Ależ skąd! To niemożliwe! Czyżby? Nigdy bym nie powiedział!” – przygotowywał się Ilja na spotkanie.

Portier go przepuścił, ale podskoczył drugi, glistowaty, w szarym garniturze:

– Przepraszam, pan do kogo?

– Do pokoju siedemset dwadzieścia cztery.

– Psze bardzo – powiedział z prostackim moskiewskim akcentem i wyszczerzył się w uśmiechu.

Ilja, ćwicząc się na idiotę, odpowiedział radośnie:

– Dzień dobry!

W windzie jechały z nim dwie Francuzki, jedna prawdziwa dama w czarnym, długowłosym futrze z nieznanego zwierza, zupełnie nie na tę porę roku, druga – młodziutka, o jasnej wąskiej buzi i też ubrana nie na tę porę – w biały, cienki, niemal muślinowy płaszcz. Opowiadały sobie nawzajem coś wesołego, i co drugie słowo – *très bien, très bien*. A młoda przy tym trochę zerkała na Ilję z lekkim kobiecym zaciekawieniem. A jego tak pochłonęło przyglądanie się im, że zapomniał, po co jedzie na szóste piętro.

Przed drzwiami spojrzął na zegarek – był spóźniony dziesięć minut i teraz nawet go to ucieszyło: „A co? Zawsze się spóźniam, i do was też. W czym jesteście lepsi od innych?”.

Zapukał i wszedł.

– Proszę wejść, proszę. Dzień dobry... dobry wieczór.

Człowiek siedział przy biurku pod światło, twarz miał w cieniu.

– Spóźnia się pan, Iljo Isajewiczu, spóźnia się pan. Jak panienka na randkę – zauważył pobłaźliwie.

– Tak, tak – uśmiechnął się Ilja – złe przyzwyczajenie, zawsze się spóźniam. – I poczuł, że nadał właściwy ton, bez strachu i pochlebstwa.

– No cóż, wolny artysta może sobie na to pozwolić. Ja, jako wojskowy, zależę i od czasu, i od okoliczności – intonacja ironiczna, wymowa staromoskiewska, rzadka u kagiebistów. – Proszę siadać. Przy tym stoliku, żeby nie było zbyt oficjalnie.

Wyszedł z za biurka i odsunął jeden z foteli.

Taki numer hotelowy nazywał się „pół-lux”, sowiecki wynalazek, dwa połączone pokoje, drzwi do sypialni uchylone, wystawała z nich bordowa gobelinowa zasłona.

W salonie oprócz biurka był okrągły stolik, dwa fotele i obraz. Ilja rzucił okiem na obraz: toporna sowiecka sztuka, gęsty olej, pozłacana rama – dwaj chłopcy po kolana w wodzie ciągną brodnik*.

– Poznajmy się – kagiebista wyciągnął rękę. – Anatolij Aleksandrowicz Czibikow.

Ilja uścisnął wyciągniętą dłoń, czując, że zaczyna przegrywać. Nie zamierzał nikomu tu podawać ręki.

Chudy, ale pysk nalany, worki pod oczami. Wyciągnął napoczętą paczkę bułgarskich papierosów Słońce – palce palacza, zażółcony środkowy i wskazujący.

„Palący, i pali mój gatunek – zauważył Ilja. – Nie wygląda na Rosjanina – włosy czarne, błyszczące, spa-

* Brodnik – sieć do połowu ryb w płytkiej wodzie (przyp. tłum.).

dają krzywo na czoło, na czubku głowy sterczący kosmyk. Oczy trochę azjatyckie. Ciekawa twarz, jakby sprana i sfilcowana jak wełniany sweter, a pod brodą jakby niewielkie wole”.

– Pan i ja, Iljo Isajewiczu – bez wstępu, rzeczowo zaczął Anatolij Aleksandrowicz – mamy wspólne zainteresowania – zrobił intrygującą pauzę, zakładając prawdopodobnie, że Ilja od razu zapyta, jakie to mianowicie zainteresowania.

Ilja połknął przynętę, ale natychmiast ją wypluł:

– Nie sądzę.

– Mamy, mamy. Kolekcjonowanie. Nie mam tu na myśli pańskiej kolekcji futurystów, zacnej kolekcji. Mam na myśli historię. Tak, tak, historię współczesną. Jestem z zawodu historykiem i mam ulubione tematy również spoza współczesnej historii. Z dziedziny historii najnowszej!

Ilja czuł, że jego głowa staje się ciężka, zapulsowało w potylicy, i nawet w głębi za oczami coś się napięło: chodzi o Michę i ich robione z Edikiem czasopismo. A może o „Kronikę”?

Od razu zapomniał o roli głuptasa, jakiego zamierzał udawać. Obaj równocześnie zapalili bułgarskie słońce, bez filtra.

– Wspólna sfera zainteresowań, podobne gusta – uśmiechnął się Czibikow, kładąc swoją paczkę papierosów obok paczki Ilji.

– Co do gustów – to jeszcze pytanie – odparował Ilja i trochę mu ulżyło. Był z siebie zadowolony: niezależna, dość zuchwała replika.

– Nie wiadomo... – westchnął kagiebista. – Mam taki stopień i takie stanowisko, że praca operacyjna jest poza moimi zainteresowaniami. Mimo to jednak

właśnie na moje biurko trafiły zarekwirowane u pana materiały.

„Pułkownik, co najmniej” – orzekł Ilja.

– Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem pana młodzieńcze prace. Nie ukrywam, że historia „mirpisów” mnie poruszyła. Miał pan szczęście, że czasy są łagodniejsze i owo zgłębianie literatury nie doprowadziło pana do takich miejsc, gdzie posługują się oskardem i łopata, a nie długopisem i gęsim piórem. Ale te protokoły ze spotkań „mirpisów” z lat pięćdziesiąt pięć – pięćdziesiąt siedem, zdjęcia, sprawozdania, opracowania – to profesjonalna praca historyka i archiwisty i nie mogę nie docenić, że to wszystko robiło dziecko, uczeń. Wspaniała robota! A ten wasz nauczyciel – co to za wyrazista postać! Znałem go trochę w młodości. Czy nadal spotyka się pan z nim, z kolegami z klasy?

– Praktycznie nie – odbił Ilja nawet nie uderzenie, raczej małą piłeczkę. „Wszystko jasne, teraz przejdzie do Michy”.

– To bardzo ciekawe obserwować, jak się układają ludzkie losy. Nawet na przykładzie ludzi z jednej klasy, z jednego podwórka...

„Jak nic, dobiera się do Michy. A może do Wiktora Juliewicza?” – pomyślał Ilja. Naturalnie, korespondencja z więźniem i przesyłki w jego imieniu... Ale ten wciąż rozprawiał i o Misze nie wspominał.

– Przez cały rok pięćdziesiąty szósty wasze kółko zajmowało się dekabrystami. Chłopcy pisali piękne wypracowania. Wszystko oczywiście zależy od nauczyciela. Moja córka kończy teraz dziesięciolatkę, literaturę wyklada u niej staruszka, która mało co kojarzy. Toteż dzieci nie wykazują najmniejszego zainteresowania przedmiotem.

– Tak, oczywiście, bardzo dużo zależy od nauczyciela – zgodził się Ilja.

– Ale pan miał pod tym względem szczęście!

„Pauza. Dla nabrania oddechu. Zapytać o maszynę do pisania czy nie? I tak nie zwrócić!”.

Na twarzy „pułkownika” zaduma:

– Swego czasu ja też interesowałem się dekabrystami. Przede wszystkim interesowały mnie akta śledztwa. Notatki Komisji Śledczej – niezwykle wciągająca lektura. We wspomnieniach dekabrystów napisano bardzo wiele o twierdzy, o etapach, o katordze i zesłaniu, ale prawie nic nie ma o przesłuchaniach. Wszyscy dekabryści, może z wyjątkiem Trubeckoja i Basargina, o tym milczą. Jak pan myśli, dlaczego, Iljo Isajewiczu?

Ilja wcale o tym nie myślał – niepokoiło go co innego: w żaden sposób nie mógł pojąć, do czego zmierza ta rozmowa o katordze i zesłaniu...

– A czy po tych, których przesłuchiowano w latach trzydziestych dwudziestego wieku, zachowało się wiele świadectw? – zapytał wykrętnie.

– Z procesów okresu stalinowskiego zachowała się ogromna liczba materiałów! Chociaż od dekabrystów nie żądano podpisywania zobowiązań do zachowania tajemnicy przesłuchań, a sto lat później stało się to ogólnie przyjętą praktyką. Przeczytałem wszystko, co było dostępne w archiwach Komisji Śledczej, i mogę powiedzieć, dlaczego dekabryści unikali relacji z przesłuchań.

Worki pod oczami drgnęły, na twarzy ukazał się smutny uśmiech:

– Oni zeznawali przeciwko sobie nawzajem. Tak, tak. I nie ze strachu, ale z poczucia honoru. Jakkolwiek w naszych czasach brzmi to śmiesznie, oni kierowali się zasadą, że nieładnie jest kłamać.

„A to drań, będzie mi tu mówił, że nieładnie jest kłamać! Specjalnie tak zawile gada, żeby mnie zbić z pantaląku...”.

Ale Ilja był całkowicie opanowany.

– Uczono nas w szkole, że dekabryści zachowywali się bohatersko, że ich spisek był skazany na niepowodzenie, ponieważ był to spisek szlachecki, że nie mieli żadnej więzi z ludem, z chłopstwem... – zauważył ospale.

Czibikow się skrzywił:

– No, tak piszą w podręcznikach szkolnych! Nie o to chodzi. Niestety, to ich bohaterstwo doprowadziło do rezultatów zupełnie sprzecznych z tym, co zamierzali: zahamowali reformy, które już przygotował car. Ci, którzy sądzili dekabrystów, a byli to ich krewni, koledzy z pułku, przyjaciele – dążyli do umocnienia państwa, a oni – do jego osłabienia. I jedni, i drudzy wiedzieli, że reformy są konieczne, ale te reformy wprowadzali nie dekabryści, tylko ich przeciwnicy. Historia jest dialektyczna, jak i samo życie, i niekiedy wydaje się paradoksalna. Ale politykę państwową prowadzili nie radykałowie, lecz konserwatyści!

„Znowu: do czego on zmierza? Czy wezwali mnie po to, żeby rozmawiać na tematy teoretyczne? Uwaga, uwaga” – Ilja nie tracił kontroli.

– Rosja nigdy nie była tak silna jak w naszych czasach. Tylko jeden okres w historii Rosji można porównać z dzisiejszym – Rosja cesarza Aleksandra Oswobodziciela*. Na początku dziewiętnastego wieku Rosja wyzwoliła Europę, tak samo jak w połowie dwudziestego. Powstanie dekabrystów odrzuciło Ro-

* Aleksandra II Romanowa (przyj. red.).

sję wstecz o dziesiątki lat. Ale w historii sławę zyskał Murawjow-Apostoł, a hańbę – Murawjow-Wieszatiel. A przecież to była jedna rodzina, ten sam krąg! Czy pan wie, że ksiązę Siergiej Wołkoński, dekabrysta, już jako stary człowiek, po zesłaniu, przed wyjazdem za granicę, poszedł się pożegnać na grób Benkendorfa, szefa Wydziału Trzeciego, swojego przyjaciela i kolegi pułkowego?

Czibikow mówił jak inteligent. Słownictwo, intonacja... Rzeczywiście jest pułkownikiem? Oj, to poważna sprawa...

– Pan i pańscy przyjaciele macie wypaczone pojęcie o historii i o państwie rosyjskim.

W tej chwili historia państwa rosyjskiego wcale Ilji nie interesowała. Zajmowało go co innego: skonfiskowano mu zbiór portretów, część tych portretów została przekazana na Zachód i opublikowana tam w gazetach i czasopismach. Jeżeli im dostarczą te wydawnictwa, to jego autorstwo zostało wykryte. Spośród mnóstwa zdjęć, które odleciały i odpłynęły, opublikowano co najmniej jedenaście. Albo dwanaście. I tutaj nie będzie się można wykręcić.

Ilja westchnął.

„Pułkownik” chyba czytał w jego myślach.

– Galeria portretów, którą panu skonfiskowano, za sto lat będzie zamieszczona w podręcznikach historii. Jak portrety Karakozowa albo Kalajewa. A może i nie. W każdym razie należy to do historii.

Wciąż jeszcze nie jest jasne, czy porównali jego archiwum z zachodnimi publikacjami, czy nie. Dobrze, skoro jesteś taki mądry, to masz...

(Zapomniał, zapomniał Ilja, że miał udawać głup-tasa).

– Historia to jedna sprawa, a KGB – druga. Nie można jednak wszystkiego zwać na jedną kupę. To jest moja prywatna kolekcja i te portrety robiłem bynajmniej nie dla tajnej policji – odezwał się Ilja.

– Obawiam się, Iljo Isajewiczu, że nie ma pan żadnego pojęcia o tym, jaką funkcję ma tajna policja. Ale mogę pana zapewnić – z bibliotek, z prywatnych archiwów, z muzeów eksponaty znikają. Kradnie się je, sprzedaje, wymienia, czasem świadomie niszczy. A z archiwów tajnej policji nic nigdy nie ginie. Inna sprawa, że dostęp do nich ma ograniczona liczba osób. Ale proszę mi wierzyć, jest to najpewniejsze miejsce do przechowywania. Tam nic nie ginie! I właśnie tam jest przechowywana prawda historyczna.

– Przepraszam, ale wolałbym swoją kolekcję przechowywać we własnym domu.

– O to trzeba się było zatroszczyć wcześniej. Teraz pan już jej nie ma. – „Pułkownik” wstał z głębokiego fotela z grymasem bólu – korzonki albo hemoroidy – i odchyliwszy teatralną kurtynę, wyszedł do drugiego pokoju.

Ilja spojrział na zegarek. Rozmowa trwała prawie dwie godziny, a on nawet tego nie zauważył. Wypalił pół paczki papierosów, dym wisiał pod sufitem. Kiepska wentylacja. Chłopcy na obrazie, którzy znaleźli się w cieniu, wciąż jeszcze wyciągali sieć z wody.

Z sąsiedniego pokoju dał się słyszeć niezupełnie papierowy szelest i Ilja dopiero teraz zrozumiał, że w sypialni od samego początku ktoś siedział. W zasadzce. Po minucie Czibikow wrócił z teczką w rękach.

– Macie tam zasadzkę? – Ilja nie stracił rezonu.

Anatolij Aleksandrowicz z uśmiechem pokiwał głową:

– Policja, Iljo Isajewiczu, jest rośliną pnącą, oplata

wszystkie części konstrukcji państwowej i zarządzania. Tak określił tajną policję pewien mądry człowiek. A tam jest niewielki pęd, gałązka, że tak powiem. – Kiwnął głową w stronę sypialni.

I wyjął z teczki egzemplarz emigracyjnej gazety w języku rosyjskim: na pierwszej stronie był portret Anatolija Marczenki*.

– Widzi pan, jakie to ciekawe! Fotografia z pańskiego archiwum. Historia zupełnie absurdalna. Pewna dziewczyna, bardzo aktywna, rozpowszechniała apele w obronie tego Marczenki, którego pan sfotografował. Rozwinięto całą kampanię, żeby uwolnić zwykłego kryminalistę. Proszę sobie wyobrazić, że ta dziewczyna zapomniała w taksówce torby z paczką apeli i z własnymi dokumentami. To ją powinien pan sfotografować. Wielka konspiratorka! A portret Marczenki jest dobry. Czy pan go zna od dawna? Przecież to jest zdjęcie dość wczesne, czyż nie? Między sześćdziesiątym szóstym a sześćdziesiątym ósmym? Po pierwszym wyroku się gdzieś ukrył. Dobra fotografia! Oczywiście w przedruku gazetowym traci się jakość. Mam tu jeszcze kilka innych pana prac, nie wszystkie dobrej jakości. No, ale co do tego jakież można mieć pretensje? W magazynie „Stern” jakość jest lepsza.

„Tu nie chodzi o Michę. Jest o wiele gorzej. «Russkoje słowo» i «Stern». Co on tam jeszcze ma?”.

Grzbiet teczki jest dość twardy i szeroki. Nie wiadomo, czy jest pełna, czy są tam tylko dwa papierki...

– W jakiś tajemniczy sposób zdjęcia trafiają do za-

* Radziecki dysydent, działacz na rzecz praw człowieka. Spędził 20 lat w więzieniach i obozach pracy, a panujące tam straszliwe warunki opisał później w książkach. Zmarł w więzieniu w wieku 48 lat w wyniku głodówki (przyp. tłum.).

chodnich gazet. Może to dzięki pana przyjacielowi Pierre'owi Sandowi? To bardzo śliski osobnik, nawiasem mówiąc, pracuje dla zachodniego wywiadu. A czasem pomaga również nam.

„Oj, ale wpadłem! Co do Pierre'a, to oczywiście kłamstwo. Ale połączyli, dranie, wszystkie nici. A ja, głupi, miałem nadzieję, że przegapią. Ci z Łubianki to były prymitywne szpicle, a ten – wysoka klasa”.

– Nie, mnie ta kwestia zupełnie nie interesuje. Niepokoi mnie co innego: ten materiał trzeba koniecznie zachować. To, co panu zabrano, już nie przepadnie. Będzie przechowywane wiecznie. Albo stosunkowo wiecznie. Ale co będzie z tymi pana pracami, które wykona pan jutro, pojutrze, za rok? Oczywiście jeżeli pana jutro nie posadzą. Muszę się przyznać, że czuję do pana sympatię, Iljo Isajewiczu. Nie życzyłbym panu doświadczeń ani więziennych, ani łagrowych. Ale to jest kwestia pańskiego wyboru osobistego. W bardzo krótkim czasie będzie decyzja. Zresztą, ściśle mówiąc, już jest.

Pauza.

Ilja siedział nieruchomo, nawet mu powieła nie drgnęła, ale w potylicy znów zastukało. Miał uczucie, jakby serce mu się zatrzymało, a potem załomotało strasznie mocno. „Ja mam przecież wadę serca – przemknęło mu przez głowę. – Oni mogą mi przykleić wszystko, co chcą, aż do szpiegostwa. A to nie są trzy lata. Co tam jest najgorsze? Może portret Sacharowa? W domu go nie ma. Kiedy profesor wysłał «Memoriał do Rządu Sowieckiego», przekazałem tę fotografię Klausowi. Ale w niemieckich gazetach tego nie publikowano. A może już gdzieś puścili?”.

– Ale ja, szczerze mówiąc, mam pewne szczególne możliwości. Złożę teraz panu propozycję, nad któ-

rażę niech się pan zastanowi. Może ta propozycja pana zdziwi. Nie wykluczam, że nawet w pierwszej chwili oburzy. Ale najpierw niech się pan zastanowi.

Pauza. Żeby się zastanowił?

– Pan ma fałszywe pojęcie o naszej instytucji. Ona nie jest już taka, jaka była w latach trzydziestych czy czterdziestych. Mamy nowe pomysły, nowe siły, nowych ludzi. W kraju trwają głębokie przemiany, które na razie nie wszyscy odczuwają. I te przemiany mogą być o wiele głębsze i bardziej radykalne, niż pan sobie wyobraża. Nie wszystko jest takie proste, jak pan sądzi. Chcę, żeby ta galeria portretów nie urwała się na ostatnim portrecie, który pan zrobił. Mam na myśli portret akademika Sacharowa. Chcę, żeby pan kontynuował swoją pracę. Gotów jestem zostać pana gwarantem. Mam jednak warunek: wszystko, co pan robi, powinno być w dwóch egzemplarzach. Jeden u pana, duplikat – u mnie. Podkreślam – u mnie. Powiedzmy, że w moim osobistym archiwum. To będzie w interesie historii, jeśli pan chce. I w pańskim interesie też.

„Chyba wpadłem. Tu już nie chodzi o maszynę do pisania. Wygląda na to, że rękopis *GUŁagu* też ich nie interesuje. Jestem im potrzebny ja, cały ja”. W potylicy już nie pulsowało. Teraz trzeba było pracować głową, szukać jakiegoś wyjścia. Ilya panował nad mimiką, twarz miał zamysłoną, ale dłonie spoczone.

– Gra pan w niebezpieczną grę, więc mam dla pana szacunek, chociaż zna już pan moje poglądy na radykalne ruchy w naszym społeczeństwie. Po siedemnastym roku wszystkie one zostały skazane na zagładę i, co najważniejsze, pozbawione sensu. To jest zwyczajna dialektyka. Zrozumie pan to za jakiś czas, mam nadzieję, że nie za późno. Szczerze mówiąc, niezbyt się martwię,

w jaki sposób będzie pan rozporządzał tą pracą, którą pan będzie wykonywał w przyszłości. Już pan wie, że robota operacyjna to nie mój szczebel. Jeżeli przyjmie pan moją propozycję, to będzie mógł robić wiele ciekawych rzeczy. Poza tym wiem, że człowiek, który potrafił stworzyć taki wspaniały materiał archiwalny w wieku piętnastu lat – mam na myśli pańskich „mirpisów” – potrafi również pracować na poważniejszym poziomie.

Spojrzał na zegarek:

– Mam nadzieję, że pan rozumie, iż nasza rozmowa ma charakter ściśle poufny. W pana i moim interesie.

– Nie mogę uznać naszej rozmowy za poufną, Anatoliju Aleksandrowiczu. – Ilja przełknął ślinę i uczynił gest w stronę uchylonych drzwi.

– Tym niech się pan nie niepokoi. Nikt tu pana nie widział. I nie zobaczy. Proszę stanąć twarzą do okna. Tak, tak, właśnie tak. – I podnosząc głos, Anatolij Aleksandrowicz powiedział władczym tonem: – Wiero Aleksandrownno, możecie odejść.

Zastukały obcasy, drzwi wejściowe zaskrzypiały, zamek się zatrzasnął.

– Nie wszystko jest takie łatwe, jak się panu wydaje, Iljo Isajewiczu – powiedział ze smutkiem Czibikow.

Ilja milczał.

– Musi pan zdecydować dzisiaj. Dziś jeszcze mogę coś dla pana zrobić – głębokim, czarnoaksamitnym głosem powiedział „pułkownik”. – Jutro już nie będę mógł.

„No tak, teraz mówię «nie» i już mnie stąd nie wypuszczą. A wszystkie moje materiały i tak już mają. Chodzi jedynie o to, że dalej żyję sobie, jak żyłem, ale pracuję już nie dla siebie, tylko dla nich. Nie, nie mogę sobie tego wyobrazić...”.

– Poza tym – dodam, żeby obraz był pełny – jeżeli ja teraz się nie wtrączę, sprawa wróci na...

Pauza...

– ...poziom rutynowy, a pan i pańska żona zostaniecie pociągnięci do odpowiedzialności. Powiedzmy, że książki przyniósł jej pan do domu osobiście, ale maszyna do pisania – obciąża ją. I rękopis Sołżenicyna też. Przecież nie tylko siebie, ale i ją. Między nami mówiąc, to przecież pan ją wciągnął w tę podejrzaną działalność. A to jest poważny argument. Na razie mam możliwość powstrzymać tę sprawę.

„Trafił. Nie ma wyjścia. Dziecinny mat. Dziewczynko moja kochana, ciebie nie wydam”.

– To jest nasza dżentelmeńska umowa. Podam panu numer telefonu. Domowego. Nasze kontakty nie będą regularne. Może pan dzwonić za każdym razem, kiedy będzie pan miał coś ciekawego. Pan robi tyle egzemplarzy, ile uważa za potrzebne do pańskiej pracy, a mnie przekazuje negatywy.

– Negatywy? To już za wiele – uciął Ilja.

Ale „pułkownik” już wiedział, że wygrał. Roześmiał się:

– Przecież pan mi chce związać ręce!

– Nie, ale jeśli mówimy o biznesowej umowie, to muszę bronić swoich interesów.

Czibikow spojrzał na niego z szacunkiem.

– Dobrze. Negatywy zostają u pana. I ostatnie – pański podpis.

– Ale umowa jest dżentelmeńska! – oburzył się Ilja.

– Ale ja też muszę bronić swoich interesów! – roześmiał się Anatolij Aleksandrowicz.

Wypalili obie paczki. Rozmazani chłopcy w migotliwej zasłonie dymu wciąż jeszcze ciągnęli sieci.

Kiedy Ilja wyszedł, już się ściemniło. Wciąż padał jesienny, drobniutki, dokuczliwy deszcz.

WIELKOGŁOWY ANIOŁ

„To niesłychane i nieprawdopodobne” – obudziwszy się wcześniej rano, nie otwierając oczu, Tamara rozmyślała o wczorajszym wieczorze. Tyle lat, jak konserwę w puszcze, trzymała w sobie parszywą tajemnicę o swojej wielkiej i zakazanej miłości, i raptem jakby przerwała się tama: wyznała wszystko osobie, która przez całe życie wydawała się zbędna, obca, która przypadkiem weszła do jej życia. Tyle lat ani słowa: ani matce – żeby jej nie martwić, ani Oldze – żeby nie naruszyć zakazu, ani najlepszej przyjaciółce i nauczycielce Wierze Samuiłownie Winberg – żeby tajemnica nie wtargnęła do cudzego życia, nie naruszyła szczęśliwego bytu obcej rodziny... I nagle, ni z tego, ni z owego, zwierzyła się Połuszce, żonie kagiebisty. Choć teraz całe to zdarzenie straciło aktualność.

Nie, ściśle mówiąc, Tamara już raz wszystko wyznała – spowiednikowi przed chrztem. Ten wysłuchał cierpliwie, bez żadnej reakcji, a potem powiedział z uśmiechem:

– Teraz to wszystko jest już przeszłością. Wraz z chrztem rozpoczyna się nowe życie, staniesz się jak niewinne dziecko. To w pewnym sensie zaleta – chrzcić się w wieku rozumnym, świadomie. Jest ci dana nowa czystość, szanuj ją.

Nowa czystość dość szybko zbladła. Przeszłe życie nie zniknęło, rzucało długi cień w przyszłość, i nawet pozostawiony przez Marlena stary Robik jeszcze przez dwa lata, zanim zdechł, przeleżał na dywaniku, na którym przez wiele lat w soboty czekał na swego pana. Milczał pies, milczała też Tamara.

A wczoraj wieczorem jakby coś w niej pękło – wszystko z siebie wyrzuciła. Po co? Nie, nie – jest tak, jak ma być. Gdyby zaczynała wszystko od nowa, postąpiłaby dokładnie tak samo. Biedna mama. Raisa Iljicznina płakała. Żałowała nie Korowina, nie Borysa Musatowa, a właśnie tego małego szkicu Wrubla, na którym była tylko wielka głowa i skrzydło, zadarte wbrew prawom anatomii. Chociaż jaką anatomię mogą mieć anioły, kto ją badał? Były to obrazy babci z domu Gniesinów, otrzymane w prezencie w różnych latach. Jelena Fabianowna była jej dozgonną przyjaciółką od czasów gimnazjalnych. Babcia poświęciła życie tej rodzinie i w domu do dziś pozostało wiele śladów ich dziewczęcej przyjaźni: filiżanki, widokówki, piórka, książeczki z dedykacjami drobnym pismem, z zamaszystym podpisem. Ale tych trzech obrazów już nie ma. Odeszły. Nie, nie, wcale ich nie żałuje. Złe jest coś innego – gorączka, wieloletnie zaćmienie, gorąca namiętność, z których nie pozostało nic oprócz uczucia, że zostało się okradzioną. Nie, nie, nie o to chodzi.

Wszystko było wtedy potworne: Marlena wyrzucono z pracy, odmowa paszportu za odmowę, ciągal go na Łubiankę, grozili, że go wsadzą, aż wreszcie, pod sam koniec, wyznał: żona jest w ciąży, lada dzień urodzi. Zawsze tak lekceważąco mówił o żonie i tak gorąco o córkach, że Tamara stworzyła sobie taki obraz ich życia rodzinnego, że nowe dziecko jakby nie miało się

z czego począć. Przecież był jej mężczyzną, jedynym. A tu raptem: żona w ciąży...

Schudł i zżółkł na twarzy. Tamara zaprowadziła go nawet do laboratorium, żeby zrobiono mu badania. Ale krew była w porządku, wątroba na swoim miejscu. Nie dawano mu tylko zezwolenia na wyjazd. Poprzednie przeszkody od dawna już nie istniały. Dawno umarła biedna siostra inwalidka, potem cichutko odeszła matka, która o Izraelu nie chciała słyszeć. Nienawidziła tego wrogiego kraju, przynoszącego wszystkim same zgryzoty. Nie dało się wybić jej z głowy tego przekonania. A synowi nigdy nie dałaby zezwolenia na wyjazd...

W przedostatnią sobotę grudnia Marlen przyjechał do Tamary. Pies ledwie się dowlókł. Robik, jedyny świadek ich miłości, całkiem się zestarzał. Nie krępowali się przy nim.

Raisy Iljiniczny też można się było nie wstydzić – przez wszystkie te lata nigdy nawet nie zobaczyła Marlena na oczy. Kiedy przychodził, zaszywała się w swoim dziewięciometrowym pokoiku. Reanimowała nawet babciny nocnik i wstawiała go pod łóżko.

Im gorsza była sytuacja, tym gorętsze stawały się uściski. Teraz, po latach, Tamara dziwiła się poniewczasie: dlaczego tak szalała, zapominając o wszystkim na świecie wskutek tej prościutkiej mechaniki: tam i z powrotem, tam i z powrotem? Dlaczego wzbijała się na jakieś nieprawdopodobne wyżyny? A przecież cała rzecz działa się za sprawą dwóch sterydowych pierścieni, przyklejonych jeden do drugiego i jeszcze jednego z górnej prawej strony, i półpierścienia z boku, oraz na aktywności rodników, tworzących się przy tych pierścieniach. Nikt tak jak ona nie znał na pamięć

biologicznego wzoru, sprawującego całkowitą władzę nad ciałami i duszami...

A teraz właśnie ma poczucie niezręczności i spóźnionego wstydu. Za niego też: biedny Marlen, dlaczego tak źle się prowadził? Nim też kierowały hormony.

W tę przedostatnią grudniową sobotę, kiedy jeszcze kołatały im się serca i jego włochata pierś wciąż była przyciśnięta do niej mocno i wilgotno, powiedział rzeczowo:

– W środę znów wezwano mnie na rozmowę. Teraz wymyślili nową politykę – nie jesteście po prostu syjonistami, pchacie się jeszcze w szeregi obrońców praw człowieka. To *à propos* mojego podpisu na petycji w sprawie zezwolenia na emigrację. Wściekli się oczywiście po demonstracji. Łysy, ten co zawsze, powiedział: tym razem nie wykręcicie się piętnastoma dniami. Weźcie kartkę i w formie pisemnej opowiedzcie, jak to pismo do was trafiło. Kto je przyniósł? Może akademik Sacharow? A tam było z pięćdziesiąt podpisów. Powiedziałem, że nie zamierzam pisać donosu sam na siebie. Powiedzieli, że dają trzy dni do namysłu. Jeżeli nie napiszę, kto przyniósł list, to mnie aresztują. Tak więc, Tomik, może bardzo długo się nie zobaczymy.

Ciężar grubokościstego męskiego ciała, wypełnienie nim, nierozdzielność... właśnie dziś zajdę w ciążę i urodzę... niech będzie, co chce... żadnych aborcji już nie będzie... dziś... a jeżeli go zamkną, dam sama radę... wychować chłopca...

– I wtedy wynikła nowa okoliczność.

Podparł się na ręce, uniósł, wytarł się skrajem poszwy, usiadł, opuszczając na podłogę włochate nogi.

Tamara ledwie go słuchała. W tamtej chwili wsłuchiwała się w coś innego: jak dryfują ku sobie dwa

mikronowe ziarenka, powoli, niezawodnie, pewnie. Niech ta jego gruba Lida urodzi jeszcze jedną dziewczynkę, a ona, Tamara, urodzi chłopca i sama, sama go wychowa... teraz już na pewno. Nikogo nie będzie pytać. Leżała na wznak i gładziła się po brzuchu. „Głupia, jaka ja jestem głupia, tyle czasu straciłam. Chłopiec chodziłby już do szkoły, gdybym się od razu zdecydowała” – wyobrażała sobie inne życie, które nigdy nie było jej pisane.

– Bardzo ciekawa okoliczność. Dawno już słyszałem, że te dranie wypuszczają Żydów za pieniądze. Nie mogłem uwierzyć. Po prostu tak jak w trzydziestym dziewiątym w Niemczech: bogaci wtedy wykupywali się z obozów koncentracyjnych. Ale potem stało się to już niemożliwe. Wyobraź sobie, że i teraz ten mechanizm działa.

– Co ty mówisz? U nas? – zdumiała się Tamara, w mig zapomniawszy o swoim domniemanym zarodku.

– U was, u was! U kogo by innego? – zachmurzył się Marlen. – Wyobraź sobie, moją ciotkę odwiedził sąsiad ze wsi. Człowiek z ich miasteczka, krawiec, jak należy. Bardzo dobry krawiec. Szyje dla pewnego wysokiego urzędnika. Bardzo ważnego, nie chcę wymieniać nazwiska. – Leciutko zapukał w ścianę. Potem nachylił się do ucha Tamary i coś wyszeptał.

– Zwariowałaś! Nigdy nie uwierzę.

– Uwierz! Tak to jest, wyobraź sobie! A ten krawiec szyje dla niego od czasów przedwojennych i całą jego rodzinę obszywa. Tamten nawet dał mu w Moskwie mieszkanie. No, nie swoje własne, ma kilka mieszkań dla potrzebnych ludzi. Facet jest w porządku, w pewnym sensie...

– Ten krawiec? – spytała Tamara.

– Co ma do tego krawiec! Ten prominent, mister Iks, jest w pewnym sensie porządnym człowiekiem. Nie krwiożerczy, po prostu lubi pieniądze. Właściwie nawet nie pieniądze jako takie. Zbiera obrazy. Poważne obrazy, wybitnych artystów. Sierow, Pierow, no, ci wasi pieredwiżnicy*. Z Niemiec po wojnie wywiózł tego cały wagon, ale niemieckich. A teraz zbiera rosyjskich artystów.

– Kolekcjoner? – Tamara wciąż nie potrafiła ogarnąć nowych wiadomości o prominentach.

– No, jeśli chcesz, to kolekcjoner – skrzywił się Marlen. – Ten krawiec to nasz daleki krewny. Powiedział, że ma dostęp do tego prominenta. On nie od każdego weźmie, sama rozumiesz. A ten nasz krewniak wie, jak do niego trafić, bo kiedyś sam wykręcił taki numer. Za Sawrasowa wypuszczono czteroosobową rodzinę. Taki niewielki obrazek. – I Marlen rozstawił ręce, mniej więcej tak, jak pokazywał mu krawiec.

Tamara zrozumiała natychmiast:

– Marlen, my nie mamy pieredwiżników. Najcenniejsze – to jeden Korowin i jeden Borysow-Musatow.

– Tych nie wymienił. Powiedział, że tamten ostatnio poluje na Wrubla.

– Wrubel nie był pieredwiżnikiem – odpowiedziała Tamara. – Mamy Wrubela, ale nie obraz, tylko szkic.

– Co za różnica? Najważniejsze, że trzeba działać szybko. Jeżeli mnie wsadzą, żadne obrazy już nie pomogą, to jest inny resort.

Tamara zapaliła światło. Anioł z nadłamanym

* Pieredwiżnicy – Towarzystwo Objazdowych Wystaw Artystycznych – rosyjska grupa artystyczna, powstała w 1870, skupiająca malarzy i rzeźbiarzy (przyp. tłum.).

skrzydłem wisiał nad wezłowiem jej łóżka. Głowa wielka, czoło zbyt wypukłe, twarz nienaszczkowana, tylko maźnięcie, nerwowe i pośpieszne. Natomiast skrzydło niebieskawe, pierzaste, mieniające się i migotliwe. Skrzydło się udało.

– Bierz – lekko powiedziała Tamara. – Bierz wszystko.

– Ale rozumiesz, jest ryzyko, że może się nie udać... – Jakby wątpił, czy należy się wdawać w tę awanturę, ale Tamara czuła, że oko mu rozbłyło i myślał już do przodu – dokąd zawieźć, jak przekazać obrazy, i co dalej, co potem...

– To możliwe. Ale przecież mogą cię też wsadzić.

Nie przykrywając nagości – zresztą już nie istniała – wzięli się do obrazów. Wszystkie trzy pośpiesznie zdjęli ze ściany, zawinęli w prześcieradła, potem się ubrali.

– Wybacz mi, Tomoczka, ale sprawa jest pilna. Złapię teraz taksówkę, odwiozę obrazy do ciotki, ten krawiec obiecał przyjść do niej około dziesiątej. Żeby wszystko było u niej do tego czasu. Zostawię Robika do rana.

Dalej wydarzenia popędziły z nienormalną szybkością.

Trzy dni później zamiast obiecanego aresztowania Marlen został wezwany do wydziału KGB, gdzie wręczono mu decyzję o pozbawieniu obywatelstwa i zgodę na wyjazd z całą rodziną w ciągu trzech dni. W następną sobotę nie przyszedł na zwykłe spotkanie do Tamary. Przybiegł w piątek rano. Przyprowadził na smyczy Robika. Oznajmił, że jutro wylatują do Wiednia.

– Jestem twoim dłużnikiem do końca życia – powiedział Marlen. – Jesteś najlepszym, co w życiu miałem. Jeżeli jednak zdecydujesz się wracać – zawsze mówił

„wracać”, a nie „emigrować” – skomunikujemy się przez Ilję i natychmiast wyślę zaproszenie. Zostawiam ci Robika na pamiątkę.

Tamara nie poszła się pożegnać. Ola opowiedziała jej potem, jakie mnóstwo ludzi przybiegło, żeby pożegnać Marlena, jak oszołomieni byli rodzice Lidy, jakim to wszystko było zaskoczeniem: wydalenie zamiast obiecane go aresztowania. Radość zamiast pogrzebu. A jednak był to trochę pogrzeb.

– Ale ty przecież nigdzie nie wyjedziesz, prawda? A może myślisz, że wszyscy Żydzi w końcu wyjadą z Rosji? – Ola zaglądała w zastygłą twarz Tamary.

– Nie, jeśli o mnie chodzi, to nie wyjadę. Nawet jeżeli wszyscy wyjadą. Możesz być pewna.

A zatem w samym końcu roku osiemdziesiątego pierwszego Marlen wyjechał. W listopadzie osiemdziesiątego drugiego zmarł Breżniew. Wysokiego urzędnika, amatora malarstwa i przyjaciela wodza o gęstych brwiach i z mnóstwem orderów na piersi, zdjęto ze stanowiska ministra, wszczęto dochodzenie w sprawie jakichś ogromnych nadużyć, wykorzystywaniu stanowiska służbowego do osobistych korzyści. Krawiec szybko się wyprowadził z udostępnionego mu mieszkania i zniknął. W ten sposób w kiepskich powieściach znikają postacie podrzędne, służące do tego, by ożywić nieumiejętnie zbudowaną akcję. Majątek byłego promienta skonfiskowano, a on sam się zastrzelił z dubeltówki Gastine Renette. A może zastrzelili go jego ludzie, żeby zamknąć sprawę, z której mogło wyniknąć wiele niepotrzebnych przykrości.

Tamara pogrążyła się w nauce, napisała pracę habilitacyjną.

Marlen z rodziną mieszka w Rechowocie, miastecz-

ku naukowym nieopodal Jerozolimy. Wszystko u niego w porządku.

Nie wiadomo tylko, kto w końcu został właścicielem anioła z wielką głową i błękitnym skrzydłem. Podobnie jak malutkiego Korowina i Borysowa-Musatowa.

DOM Z RYCERZEM

Kiedy Ilja wyszedł, już się ściemniało. A deszcz wciąż padał. Dziwne uczucie. Przegrał potwornie. Ale też wygrał – niesamowicie. Czy można jednocześnie i przegrać, i wygrać? Szedł powoli ulicą Gorkiego. Rzeczywiście nie miał wyjścia. Zresztą, było jedno – wpis o ojcu w jego metryce. Ojciec Ilji był w połowie Żydem, można by odtworzyć dokumenty, wyciągnąć na wierzch swoją żydowską ćwiartkę i spróbować złożyć podanie o wyjazd. Ale wtedy dopiero by go zgnoili.

Skręcił w kierunku restauracji Aragwi – był tam automat telefoniczny. Znalazł dwukopiejkówkę, wybrał numer:

– Katia! Cześć! Czy Wiktor Juliewicz jest w domu? Na Bolszewickim? Dziękuję. U was wszystko w porządku? No, to na razie.

Zadzwoił na dawny telefon. Ilja wiedział, że po śmierci matki Wiktor Juliewicz często nocuje w dawnym mieszkaniu. Odebrała sąsiadka. Ilja długo czekał, aż Wiktor weźmie słuchawkę. Zapytał, czy może zaraz przyjść.

Wstąpił do sklepu „Jelisiejewa”. Kupił pięciogwiazdkowy ormiański koniak. Dawniej nauczyciel częstował ich dobrymi gruzińskimi winami, teraz oni nauczyciela ormiańskim koniakiem.

Na Puszkińskiej wszedł do trolejbusu i dojechał do bulwaru Czyste Prudy. Potem piechotą, jak do własnego domu, do rycerza, który stał we wnęce nad bramą wejściową. Żelazny człowiek pod pseudogotyckim daszkiem przestał tu rewolucję, przeżył zmianę nazwy zaułka z Gusiatyńskiego na Bolszewicki i nie wiedział, że w przyszłości, nie ruszając się z miejsca, wróci pod dawny adres. Ilja wszedł na trzecie piętro. Pięć guzików. „Szengeli” na jednej z wizytówek. Zadzwoił. Sześć tabliczek na wysokich drzwiach, dość wysoko – czyżby dawniej mieszkali tu ludzie wyżsi niż teraz? Wszystkie zamki zepsute, oprócz jednego.

Od ilu to lat tutaj przychodzi? Od pięćdziesiątego szóstego? Albo nawet pięćdziesiątego piątego. Gdy miał jakieś trzynaście lat. A teraz ma tyle, ile wtedy miał nauczyciel. Albo mniej więcej tyle. Dziwne, długo nie otwiera. Otworzyła drzwi sąsiadka w fartuchu:

– Jest w domu, na pewno nie słyszy.

Mosiężna klamka asymetrycznie okrągła – dom w stylu „moderne” – ileż razy ją naciskał. Wszedł. Na kanapie, z nieładnie odchyloną głową i otwartymi ustami śpi nauczyciel, nieco pochrapując. Rękaw swetra podszyty do wewnątrz. Ciekawe, jak wygląda kikut?

Śpi nieogolony, poźółkły starszy człowiek. Ciemnoczerwona serweta odrzucona z połowy stołu. Na gołym poplamionym blacie gruby zeszyt, pióro, szklanka herbaty ciemnej jak jodyna. Tak, na tej pluszowej serwecie nie da się pisać.

Ilja zdjął płaszcz, usiadł przy stole. Nie będzie przecież budzić staruszka. Tak, wygląda staro. Jak szybko się posunął. Starszy od nas o jakieś piętnaście lat. No tak, niedawno obchodziliśmy czterdzieste urodziny. Czyżby już minął rok? Biedaczysko. Taki był wspania-

ły, elegancki, połączenie Don Kichota z Cervantesem. Chłopcy chodzili za nim tabunem. Zresztą dziewczynki też. Wszystkich nauczył rozumu, a sam przygasł. Postarzał się. Katia go rzuciła. A może on ją rzucił? Ze szkoły go wylano. Potem wiele lat był dozorcą w muzeum Armii Sowieckiej. Mówił, że pisze książkę. A tam, w muzeum, jest przebogaty materiał – dokumenty drugiej wojny światowej. Nawiedził go nowy pomysł: inicjacja przez strach. Tam, gdzie nie ma inicjacji dojrzewania poprzez pozytywne bodźce, działa inicjacja strachem.

Porewolucyjnym pokoleniom w bardzo wczesnym wieku wszczepiono strach i ta szczepionka była tak mocna, że inne impulsy już nie działały – takiego odkrycia dokonał Wiktor Juliewicz. Omawiał to z przyjaciółmi, byłymi uczniami. Michę ten pomysł wprowadził w wielkie podniecenie. Ilji też się podobał. Ciekawie byłoby przeczytać. Proponował mu, że prześle na Zachód. Ale Wiktor Juliewicz książki nie ukończył. Może zbyt długo o niej rozprawiano i dlatego cała uszła w powietrze. I wisi w powietrzu, i niewidzialnie coś zmienia w świadomości tych, którzy w ogóle nad tym się zastanawiają.

W zasadzie we wszystkim nauczyciel ma rację. Ilja zamknął oczy. Tak, genialny pechowiec. A Micha – poeta bez talentu, idealista. Sania – niedoszły muzyk. A ja teraz kapuś... Doborowe towarzystwo.

„Zresztą, ja po prostu robię swoją robotę. Mnie chodzi o to, żeby to wszystko się zachowało. Jeżeli nikt niczego nie będzie wiedział, to wszystkiego tego jakby nie było. Moje archiwum przechowa ten marny czas zarażony pełzającą dżumą. A strach? Był, jest i będzie”.

Coś w tym jest, tylko nie wiadomo, co się stało z samym Wiktorem Juliewiczem. Trzeba jakoś zapytać, co

się stało z nim samym: dlaczego leży tu sam, na wpół pijany, pośród najlepszych rosyjskich książek.

Może świat uratuje piękno albo prawda, albo jeszcze jakaś inna przepiękna bzdura, ale strach i tak jest najsilniejszy, strach wszystko zniweczy – wszystkie zarodki piękna, kielki urody, mądrości, tego co wieczne... Pozostanie nie Pasternak, ale Mandelsztam, ponieważ u niego jest więcej obawy przed tymi czasami. A Pasternak wciąż chciał się z nimi pogodzić, wyjaśnić je w sposób pozytywny.

Miał dość siedzenia. Cicho postukał w blat stołu. Śpiący się ocknął, zamknął usta.

– A, Ilja, czekam na pana.

Ilja wyciągnął z kieszeni płaszcza butelkę, postawił na stole. Wiktor Juliewicz wstał, zataczając się.

– Tak, tak – zakrzętnął się. – Zaraz.

Wyjął z kredensu dwa kieliszki, uśmiechnął się słabo:

– W domu nie ma żadnego jedzenia.

Ilja sięgnął do kieszeni i wyjął cytrynę:

– No to niech pan da choćby cukier...

– To mam.

Rozlali do kieliszków – koniakowych, brzuchatych. Ręka nauczyciela jest piękna, o długich palcach, bez kłykci kostek, z równymi paznokciami. Trzyma kieliszek za nóżkę, delikatnie.

– No i co, mój drogi przyjacielu! Widzi pan, dokąd zajechaliśmy? – uśmiechnął się Wiktor Juliewicz. Z lewej strony nie miał dwóch zębów. A o co on, Ilja chciał go zapytać? Co chciał powiedzieć? A nic. Tego właśnie chciał: siedzieć, pić, odczuwać wzajemne współczucie, litość, bezinteresowną miłość. Pili w milczeniu. Robiło im się lepiej.

PLAMA Z KAWY

Irka Troicka, sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, o przezwisku Wiorsta, o męskich rękach i nogach, nikomu nie mówiła, że jej ojciec jest generałem. Tym bardziej – w jakim resorcie. Ubierała się tak jak wszyscy. Chociaż w szafie ich generalskiego domu obok stacji metra „Sokoł” wisiało wszystko, o czym marzą dziewczęta.

I w ogóle miała wszystko, o czym one nie śmiały marzyć, a nawet więcej. Ale w czasach studenckich nikt nie chciał się z nią przyjaźnić. Gdy się zbliżała – milkli. Nie tylko w stołówce, również w palarni, aczkolwiek na nią zerkali. Ale w milczeniu. To znaczy nie wszyscy jej unikali, lecz właśnie ci, z którymi ona chciała się przyjaźnić: Olga, Richard, Lala, Ała i Woskobochnikow. Najbardziej przykre było to, że Ola sama pochodziła z rodziny generalskiej, ojciec Richarda był ministrem na Łotwie, ojciec Lalki – ambasadorem w Chinach. Dlaczego spoglądają na nią z góry i pogardliwie? Nie będzie przecież wszystkim tłumaczyć, że ojciec, chociaż generał KGB, to gracz najwyższej ligi – przez całe życie służył w wywiadzie zewnętrznym.

Starsza siostra Lenka kończyła MGIMO (stosunki międzynarodowe), tam nic podobnego nie dało się

zaobserwować, wręcz przeciwnie: latorośle wysokich urzędników bardzo szanowano. Zwłaszcza dziewczęta. Wszystkie wychodziły za mąż przed skierowaniem do pracy, i to za chłopców ze swego kręgu. Było to dobrze widziane. Samodzielnej kariery żadna z nich nie robiła, ale każdemu dyplomacie dobrze wykształcona żona liczy się na plus.

Do Lenki niemal w kolejce stali najlepsi chłopcy z roku i z wyższych lat również. Ojciec żartował: u nich jak u popów – chłopców bez ślubu nie wyświęcą. I rzeczywiście, takie pary otrzymywały bardzo dobre nominacje.

Ojciec w ogóle był dowcipny, wesoły i przystojny. Mama ustępowała mu we wszystkim. Z wyjątkiem wzrostu. Igor Władimirowicz zawsze tak właśnie mówił: ożeniłem się z Ninoczką dla poprawy rasy, żeby synowie byli postawni, a ona urodziła mi dziewczuchy. Po co im taki wzrost, żeby choć grały w koszykówkę!

Prawdę powiedziawszy, obie córki przerosły go o pół głowy, a obuwie nosiły większe o dwa numery. Swojego niewysokiego ojca uwielbiały. Było z nim ciekawie. O cokolwiek go zagadnąć – wszystko wie: zna historię, geografę, literaturę. Mieli w domu bibliotekę, jakie mają profesorowie uniwersytetu. Ojciec nie był profesorem, ale profesorem był dziadek, wykładał prawo rzymskie na uniwersytecie w Kazaniu w tych przedpotopowych czasach, kiedy o marksizmie-leninizmie nikt nie słyszał, a twórca drugiej części tej przyszłej nauki siedział na ławie studenckiej przed profesorem i mało interesował się przedmiotem.

Igor Władimirowicz wpajał swoim córkom: uczyć się, ludzie wykształceni mają ciekawsze życie niż nieuki.

Prowadził do półek, pokazywał palcem:

– Jeżeli nie potraficie czytać, to przynajmniej oglądajcie grzbiety książek: Arystoteles, Platon, Plutarch. Ciebie, Irka, na uniwersytecie może czegoś nauczą, a ty, Lenoczko, poczytaj czasem książeczki, to ci nie zaszkodzi...

Lena i Irka w roztargnieniu błądziły wzrokiem po drogich książkach, od dzieciństwa wiedziały, gdzie co stoi.

Szafy były stare, szwedzkie, dół zamykany, a na górze półki z opuszczanymi szklanymi żaluzjami. W dolnej części szafy ojca stały książki szczególne: w języku rosyjskim, ale wydane za granicą; przynosił je z pracy.

Lena wcale się nimi nie interesowała, a Irka czasem brała do przeczytania. Było tam wiele ciekawych rzeczy, których w bibliotekach się nie znajdzie: i Gumilow, i Achmatowa, i Cwietajewa, i Mandelsztam.

I to właśnie te książki zmieniły status Iry na wydziale. Ta od dawna niewznawiana poezja okazała się takim haczykiem, że całe towarzystwo dało się na niego złapać. Potem zaczęła przynosić również z ojcowskich półek i inne książeczki – po jednej. Ojcu oczywiście o tym nie mówiła. Nawiasem mówiąc, on też tę rzadką poezję lubił, wiele utworów znał na pamięć.

Prestiż Iry Troickiej wzrósł, zachowywała się mądrze, nie odkrywała od razu całego bogactwa, ale karmiła chętnych małymi dawkami. Przynosiła do palarni również niebezpieczne rarytasy i rzadkie skarby – wszystkie z tamizdatu^{*}, nowiutkie, jak spod igły. Przede wszystkim książki wydawnictwa YMCA-Press.

^{*} W odróżnieniu od nielegalnych książek drukowanych w ZSRR („samizdatów”) była to literatura rosyjska drukowana „tam”, czyli na Zachodzie (przyp. tłum.).

To właśnie wtedy po raz pierwszy Oli mignęło przed oczami nazwisko Bierdiajewa, ale w tym czasie wołała poezję. Wzięła tomik Chodasiewicza i zalała go przypadkiem kawą – na okładce utworzyło się drzewo i droga – można by wróżyć z tego obrazka. Ola się zmartwiła, spłoszyła, ale Ira tylko wzruszyła ramionami: nie martw się!

Potem przyszedł do Rosji pierwszy Nabokov. Było to *Zaproszenie na egzekucję*. Czytali „sami swoi”. Oszalałmiające. Wystrzępiona książeczka, wydana po rosyjsku w Berlinie w roku trzydziestym. Na okładce – dedykacja po niemiecku: „Drogiemu Edwinowi na urodziny. Anna”. Została skonfiskowana przy aresztowaniu u pewnego niemieckiego Żyda, który wyemigrował z Niemiec do Rosji w latach trzydziestych. Wspomniany Edwin uczył się z tej książki języka rosyjskiego. Na marginesach widniało zapisane ołówkiem niemieckie tłumaczenie poszczególnych słów.

Generałowi Troickiemu przyjaciel przyniósł tę książkę w prezencie, też na urodziny, ale wiele lat później. Książki miały różne losy. Niektóre zostały zniszczone, inne rozeszły się po ludziach. *Dar* przekazywano z rąk do rąk – odkryto nowego autora, którego nie było w żadnych bibliotekach ani w podręcznikach.

Olę rozpierało pragnienie zanieśienia książki ulubionemu docentowi. Zapytała go ostrożnie o Nabokova. Uniósł brew.

– A co konkretnie? – zapytał.

– *Dar*.

Docent też sam dopiero niedawno zapoznał się z książką – pewien student, Kanadyjczyk pochodzenia rosyjskiego, przyniósł mu pierwszego Nabokova.

– Tak, tak – kiwnął powściągliwie głową. – Niezwykły autor. W języku rosyjskim od dawna niczego podobnego nie było.

Ale nie zapytał: czy ma pani coś jeszcze?

Zaproszenie na egzekucję też przechodziło u młodych filologów z rąk do rąk. Otworzyła się wyrwa w żelaznej kurtynie. Ręce się trzęsą, serce przestaje bić. Jak to umiejscowić? To przewrót w całej hierarchii. W Galaktyce zjawilo się nowe ciało niebieskie, naruszając wszystkie powiązania, cała mechanika niebios zmieniła się w oczach: połowa literatury samoistnie się zapaliła i przeobraziła w popiół...

A to czysty diament. Wszystko przyniosła Ira Troicka.

Przypadkowym zbiegiem okoliczności u docenta podczas rewizji skonfiskowano ten właśnie generalski egzemplarz *Daru*, który dotarł do niego łańcuszkiem, z zaufanych rąk. Ira zresztą nie wiedziała, że rzadka książka trafiła w godne ręce. Znaleziono u docenta także notatki, które robił podczas lektury. Już zaczął pisać artykuł „Powrót do ojczyzny”. Nie zdążył. Ale nawet te niedokończone, niepełne notatki, ku zmartwieniu docenta, też zabrano.

Wybuchł skandal, docenta i jego współautora skazano – nie za Nabokova oczywiście, ale za ich własne książki wydane na Zachodzie pod pseudonimami. Zaczęła się kampania podpisów, poleciały głowy, studentów ciągnano na przesłuchania, Olgę wydalono z uniwersytetu za podpis na petycji w obronie docenta. Iry Troickiej nikt nie tknął. Ona nie podpisywała żadnych petycji, nikt z otoczenia Oli nie wskazał na nią jako na źródło antysowieckich działań.

Ira ponieważ opowiedziała ojcu o swojej dzia-

łałości oświatowej. Ojciec mało czego się bał w tym życiu, ale aż go zatkało. Potem, kiedy już wszystkich, kogo należy, wsadzono, zesłano i wydalono, i wszystko ucichło, odzyskał utracony egzemplarz. Ale to było już wydanie amerykańskie. Generał też wysoko cenił Nabokova, podobnie jak docent.

Książki skazanych pisarzy żadny wiedzy generał też przeczytał i rzekł córce: niezłe, ale na taki skandal nie zasłużyli. Ira głęboko przeżyła tę historię, chociaż wyszła z niej bez szwanku. Oli nigdy więcej nie spotkała i żałowała, że koleżanka zniknęła. Wszyscy się teraz z Irą przyjaźnili, chociaż książek na uniwersytet już nie przynosiła – ojciec jej zabronił.

Ukończyła uniwersytet, dostała świetną pracę: komisja zagraniczna przy Związku Pisarzy. Dawny kolega ojca „opiekował się” Związkiem, i to on załatwił posadę.

W roku siedemdziesiątym Igor Władimirowicz umarł nagle na zawał. Niedługo przed śmiercią doszły go słuchy, że kandydaturę Sołżenicyna wysunięto do Nagrody Nobla. Nie był zadowolony:

– Co to za komitet? Tolstojowi nie dali, a dają Sołżenicynowi?

Po śmierci ojca Ira wpadła w depresję: miała dość wszystkiego, świetnej pracy też. A siostra Lena mieszkała w Sztokholmie. Jej mąż był attaché kulturalnym w ambasadzie radzieckiej w Szwecji.

Było jasne, że nominacja komitetu noblowskiego wróży same przykrości.

Irce w tamtym roku przydarzyła się przeciwna rzecz: na ulicy wyłowiała ją z tłumu niemłoda elegancka dama i zaprosiła na casting. Dama okazała się najwybitniejszą w kraju projektantką mody. Oferta rozbawiła

Irinę. Przyszła na casting i natychmiast ją zatrudniono. Tak wysokich modelek wtedy jeszcze nie było, ona była pierwsza.

Dzięki dobremu pochodzeniu Irina Troicka już w pierwszym roku wyjechała za granicę. Najpierw był Belgrad, potem Paryż i wreszcie Mediolan. I w Mediolanie już pozostała, po błyskawicznych oświadczeniach dziennikarza prowadzącego rubrykę mody w prowincjonalnej gazecie. Nie był przystojny, nie był milionerem, ale żyli sobie szczęśliwie na południu, pod Neapolem, skąd pochodził. Włoski mąż wkrótce porzucił partię komunistyczną, a zarazem i kiepskie dziennikarstwo, otworzył restaurację, później zaś został nawet burmistrzem mikroskopijnego miasteczka. Irina nie została ani sławistką, ani tłumaczką i nigdy już nie odwiedziła Rosji.

Historia jednak na tym się nie skończyła, w każdym razie dla rodziny Troickich. Skandalu z komitetem Nobla młody dyplomata uciszyć nie mógł, po prostu było to ponad jego siły, ale szefowie MSZ lubili obwiniać nie wysokich urzędników, tylko tych niższych. Uznano, że mąż Leny niewystarczająco się starał. A tu jeszcze ucieczka Irki! I dyplomata, mąż Leny, dostał po głowie za Nagrodę Nobla, czemu nie był winien, za ucieczkę Irki i za własną nieobrotność. Młoda para o wspaniałych danych ankietowych została ze Szwecji odwołana.

Pechowy dyplomata z rodziną wrócił do Moskwy. Dzieciom – chłopcom bliźniakom – podobało się w Moskwie. Lena gotowała zupę na przyjście męża z MSZ, gdzie był piątym zastępcą siódmego asystenta w wydziale, który od dwudziestu lat zamierzano zlikwidować. Potem z braku pieniędzy Lena zaczęła uczyć w szkole języka angielskiego. Babcia Nina jak zwykle

pomoc domowa spacerowała z dziećmi w parku Czajewskim, aż się przeziębila i umarła na zapalenie płuc. Działo się bardzo źle, dopóki Lena nie odwiedziła wróżki. Wróżka była szczególna, z nurtu indyjskiego, kazała Lenie „oczyścić karmę”, ale przede wszystkim zaleciła oczyszczenie domu, w którym nagromadziło się wiele „brudu”. Poradziła, żeby zrobili remont.

Mąż był bardzo niezadowolony. I tak ledwie wiazali koniec z końcem, a tu – masz ci los! – remont.

Dla zmniejszenia wydatków wstępne stadium zrobili własnymi rękami. Na początek wyjęli książki, żeby odsunąć od ścian szafy w gabinecie zmarłego Igora Władimirowicza. Część staroci w skórzanych oprawach oddali do antykwariatu i otrzymali nieoczekiwanie ogromne pieniądze. Aczkolwiek nie wszystko tam przyjęto. Okazało się, że generał miał dość dużo książek z pieczęciami bibliotek i muzeów, a tych bukiniści nie brali.

W zamkniętej części szaf mąż Leny znalazł ogromną kolekcję książek antysowieckich, między innymi zbiór, wówczas pełny, noblisty, który napsuł mu tyle krwi.

– Tak, ojciec zbierał książki – wyjaśniła Lena. – Miał dostęp do książek, które skonfiskowano podczas rewizji. To i owo przywozili też z zagranicy przyjaciele. Zbierał wiele rzeczy – monety, banknoty, znaczki.

Mąż Leny nie zajmował tak wysokiego stanowiska jak zmarły teść, nie mógł sobie pozwolić na trzymanie takiej kolekcji w domu. Późną nocą wywieźli niebezpieczne książki na wysypisko śmieci.

Następnego wieczoru zdzierali tapety. W ścianie nośnej znaleźli sejf. Klucza do niego nie mieli. Nie udało się go otworzyć domowym sposobem, ale łatwo dał się wyjąć ze ściany w całości. Tylna część niewielkiej

skrzynki była po prostu z dykty. Oderwali ją – leżało tam kilka paczek przedpotopowych dolarów, nawiasem mówiąc, do dziś będących w obiegu, i dwadzieścia pięć złotych carskich „świnek”.

Mąż chwycił się za głowę – ale na śmietnik tego nie wywiózł.

Na tym kończy się historia rodziny Troickich.

To, co się działo później, nie miało już z tą rodziną nic wspólnego.

Zmiana w kotłowni Igora Czetwiernikowa kończyła się o ósmej rano i zazwyczaj po szóstej dokonywał porannego obchodu okolicznych śmietników. Rejon metra „Sokoł” nie był zbyt zasobny, starych mieszkańców pozostało niewiele, do tutejszych domów wprowadzano się przed wojną i po wojnie, tak więc czeczotowe meble i francuskie mosiądze tutejsi mieszkańcy albo wyrzucili podczas poprzedniej przeprowadzki, albo w ogóle ich nigdy nie mieli.

Tu, na byłej wsi Wsieswiatskoje, jeżeli coś się trafiało z rzadka na śmietnikach, to były to rzeczy mieszczańskie. Niedawno wyrzucono kufer z ubiorami kobiecymi z połowy dziewiętnastego wieku. Większość zdążyły wywlec małe dziewczynki. Igorowi udało się zdobyć brązowy robbron, futrzaną etolę i kompletny mundurek gimnazjalistki.

Tym razem Igor aż krzyknął – obok drewnianej skrzyni, do której wrzucali śmieci mieszkańcy domu, leżały starannie ułożone stosiki „tamizdatu”. Nie oglądając ich dokładnie, zaniósł je do kotłowni i pobiegł do metra, żeby zatelefonować. Były kolega z klasy Ilja spał i odezwał się niezadowolony:

– Zgłupiałeś – tak wcześnie dzwonisz?

– Przyjedź szybko do kotłowni. Samochodem.

Ilja doskonale znał tę kotłownię, bo to on właśnie załatwił tu Igorowi pracę przez znajomych rok temu, kiedy Igora wyrzucono z awanturą z Instytutu Kurczatowa.

Ilja przyjechał. Załadowali książki do auta i wywieźli do mieszkania innego generała, którego kiedyś pasjonowały nie monety i nie książki, lecz meble. I mieszkał na daczce, a nie w miejskim mieszkaniu.

Kostia już poszedł do szkoły. Olga zaparzyła panom kawę i usiadła na podłodze, żeby przejrzeć książki. Wszystkie kiedyś czytała. Wśród schludnych tomów znalazła Chodasiewicza z płamą po kawie na okładce – drzewo i droga.

– Igorku, czy ta twoja kotłownia jest na Sokole, w generalskim domu?

– Tak, a co?

– Nic. Wszystkie te książki przeczytałam jeszcze na uniwersytecie. Pewnie właściciel umarł. Był generałem.

ZBIEG

Burza rozpętała się o wpół do trzeciej, jak opera lub symfonia – z uwerturą, motywami przewodnimi, duetem wody i wiatru. Błyskawice wzbijały się słupami przy nieprzerwanym łoskocie i błyskach, potem antrakt i drugi akt. Marię Nikołajewnę od razu przestało boleć serce, które przez cały dzień jej doskwierało, kapitana Popowa przestała boleć głowa, który to ból dręczył go prawie przez dobę. Nawet udało mu się przespać ze dwie godziny, zanim poszedł do pracy. Jedyne, czego nie zdążył zrobić, to przybić pieczęć na dokumencie. Ale to można było zrobić później.

Punktualnie o dziewiątej zadzwonił do drzwi. Długo nie otwierano, potem za drzwiami usłyszał jakąś krzątanię.

– Kto tam? Kto? Kto? – jakiś kapryśny kobiecy głos coś tam mówił do niewidzialnego rozmówcy.

Wreszcie drzwi uchylono, ale łańcucha nie zdjęto. Siwcew i Jemieljanienko przestępowali z nogi na nogę – chcieli szybko zacząć i jak najprędzej skończyć. Nierozgarnięci chłopcy. Popow przez szparę pokazał legitymację. Znowu szuranie i wreszcie otwarto drzwi.

Nadszedł świadek, swój człowiek z administracji domu.

– Czy tu mieszka Borys Iwanowicz Muratow?

Natychmiast zjawił się Muratow. Zażywny czterdziestolatek, z brodą, w granatowym szlafroku, chyba aksamitnym.

„Takich szlafroków u nas nie ma – pomyślał Popow nieprzyjaźnie. – Zagraniczny. Skąd oni je biorą?”

– Proszę o dowód osobisty – powiedział uprzejmie.

Muratow przeszedł do sąsiedniego pokoju, skąd akurat wyszła jego żona, oczywiście piękna i też w granatowym szlafroku! Coś takiego – dwa jednakowe!

– Proszę się zapoznać. – Popow wyciągnął do Muratowa nakaz rewizji. Nie dał mu go do rąk – tylko pokazał z daleka.

– Pozwoli pan? – Muratow wyciągnął rękę.

Ale Popow odsunął papier:

– Nie ma co oglądać – nakaz rewizji. I tak wam powiem. Z moich rąk, proszę.

– Widzę, że nakaz. Tylko pieczętka brak.

– Do diabła – rozzłościł się Popow. – To nie ma znaczenia. Nakaz to nakaz, a pieczętkę przybijemy, nie obawiajcie się.

– Najpierw przybijcie, a potem przyjdźcie – powiedział zuchwale Borys Iwanowicz.

– Ja bym na waszym miejscu był... uprzejmiejszy. Kłótnia z nami się wam nie przysłuży. Proszę nie przeszkadzać nam w pracy... – Ruszył w głąb mieszkania, Siwcew za nim. Jemieljanienko stał w małym przedpokoiku – drzwi wejściowe i duży pokój miał pod obserwacją.

– Chwileczkę – powiedział Borys Iwanowicz i wyszedł do małego pokoju.

Rozkład mieszkania znany na pamięć: pierwszy pokój, przechodni, za nim następny, w ścianie komórka,

tam wszystko trzymają. Kapitan Popow widział wiele takich mieszkań.

Zagroził drzwi. Muratow się zaczerwienił, odsunął kapitana i zaczął szperać w górnej szufladzie biurka. Popow się rozzłościł. W tej drobnej walce rację miał Muratow. Nakaz był w gruncie rzeczy nieważny.

Ale kapitan nie mógł dopuścić do porażki, więc krzyknął:

– Nie ruszać szuflad! Teraz my będziemy je przeglądać.

Ale Muratow widocznie od razu znalazł to, czego szukał. Rozprostował gruby papier, żółtawy z czerwonym urzędowym nadrukiem i profilem „wodza”.

„Dyplom honorowy”.

Artysta podetknął papier pod sam nos kapitana, na taką odległość, z której niczego w ogóle nie widać.

Popowa znów załupało w głowie.

– Na co sobie pozwalacie?

Żona w granatowym szlafroku, oczy błękitne, blada, patrzyła na męża błagalnie, a teściowa Maria Nikołajewna, jakby nigdy nic, nalewała herbatę do filiżanek.

Borys Iwanowicz odsunął arkusz na rozsądną odległość: kapitan może czytać, ale nie złapie ręką.

– Z moich rąk, proszę, z moich rąk.

Kapitan przeczytał. Kapitan zrozumiał. Kapitan wyszedł i wyprowadził swoją ekipę. Nie mówiąc ani słowa.

Muratow cisnął w kąt zbawczy dyplom.

Maria Nikołajewna okrągłym gestem postawiła przed Borysem Iwanowiczem filiżankę z herbatą i talerzyk z kanapką.

Borys Iwanowicz lubił teściową, widoczne było podobieństwo Nataszy do niej, teściowa jednak miała bar-

dziej zdecydowany charakter. A w żonie, Nataszy, widział cechy teściowej – zaczynając się lekką pulchność, zaczątki zmarszczek przy ustach i delikatne bruzdki. Dobra, zdrowa rasa. Trochę nadmiaru jak u Kustodijewa*, ale jakież to pociągające.

Natasza podniosła odrzucony dyplom.

– Co to jest, Boria?

Borys wytwornie zrobił kółko palcem, kończąc je pionowym wzlotem ku sufitowi – podsłuchują.

– Ten dyplom, Nataszeńko dostałem za to, że w kombinacie powierzono mi wykonanie obiektu o nazwie „SL”, a nawet dwa egzemplarze tego wspaniałego obiektu, który przedstawiał, dzieciństwo, sarkofag wodza i nauczyciela wszech czasów i narodów, Włodzimierza Iljicza Lenina. Zwróć też uwagę na podpis. Najwyższa władza wyraża mi wdzięczność.

Po tym głośnym oświadczeniu wzniósł do sufitu dwie wielkie figi. Duży palec Borys Iwanowicz miał okazały i mocno wysunięty spomiędzy zgiętych wskazującego i środkowego.

Maria Iwanowna się uśmiechała. Natasza położyła białe ręce na jeszcze bielszej szyi.

– Co teraz będzie? – zapytała cicho.

Borys wziął kartkę szarego papieru, których mnóstwo walało się w pokoju, i napisał ołówkiem:

„Pobiegł w niewiadomym kierunku”.

I na tejże kartce narysował umownie, jak zawsze rysował siebie – duża głowa zagłębiona w ramiona, krótka, rosnąca wszerek broda i czoło z zakolami.

* Borys Kustodijew – rosyjski malarz przełomu XIX i XX wieku, portrecista, malujący kobiety o dość pełnych kształtach (przyp. tłum.).

– Proszę mi nalać jeszcze jedną filiżankę herbaty, Mario Nikołajewno! – i brzęknął filiżanką.

Natasza siedziała na krześle jak skamieniała. Maria Nikołajewna poszła znowu nastawić czajnik.

Borys objął żonę.

– Wiedziałam. Jakie to wszystko straszne.

Potem wzięła ołówek i z boku na kartce napisała:

„Aresztują cię”.

„Wyjdę z domu za pół godziny” – napisał i narysował siebie, jak koziołkuje ze schodów.

Kartka się skończyła, podarł ją i podpalił. Począł, aż skrawki się dopalały prawie do koniuszków palców, i wrzucił szczątki do popielniczki.

Wziął nową kartkę i narysował siebie biegnącego po ulicy. U góry napisał „Dworzec”, pokazał Nataszy i Marii Nikołajewnie, która nadeszła. Teściowa pojęła prędzej niż żona, kiwnęła głową.

– Teraz zaraz – powiedział Borys.

– Sam? – spytała Natasza.

– Aha – przytaknął Muratow.

Potem Muratow sięgnął do komórki, którą zamierzał szczegółowo przebadac kapitan Popow, i wyciągnął stamtąd teczkę, gdzie przechowywał właśnie to, po co przyszedł kapitan.

Wyjął stosik zarysowanych arkusików i poszedł do kuchni.

Maria Nikołajewna poszła za nim w milczeniu, ale ze współczuciem. Muratow wyciągnął z piecyka blachę, położył na niej kilka kartek i przyłożył zapałkę. Maria Nikołajewna zręcznie wyrwała mu zapałki.

– Ile razy prosiłam, Borysie Iwanowiczu, żeby nie mieszać się do mojego gospodarstwa...

Siedział w kucki na podłodze, zajmując prawie całe

wolne miejsce w kuchni, i patrzył na nią z dołu do góry. Maria Nikołajewna odsunęła go, potem lekko wypchnęła na korytarz i odciągnęła spod progu brzeg zniszczonego linoleum. Borys Iwanowicz tylko z zachwytem rozłożył ręce. Zgodnie i sprawnie, jakby tylko tym się zajmowali, wepchnęli rysunki pod linoleum i znów podetknęli jego zniszczony brzeg pod próg. I wszystko było jak przedtem, jakby nigdy nic. Borys Iwanowicz serdecznie pocałował Marię Nikołajewną w policzek: szkoda by było spalić.

Potem w dolnej szufladzie komody znalazł płóciennie spodnie, szerokie w pasie i krótkie, w komórcie zdjął z wieszaka stary słomkowy kapelusz, rzeczy zmarłego teścia. Wszystko to czynił bez słowa.

– Zwariowałaś, zwariowałaś... – powtarzała Natasa, a teściowa, wskazując na telefon – tak samo jak i Borys była przekonana, że jest tam podsłuch – powiedziała głośno:

– Boria, na obiad kotlecików nasmażę, dobrze?

– Kotlecików – bardzo dobrze.

Po dalszych dwudziestu pięciu minutach wyszedł z domu. Brodę zgolił, ale wąsy zostawił. Włosy skrócił. Przeszedł przez podwórze zalane wodą tak, że można by pływać łódką. Z gigantycznej kałuży sterczały połamane gałązki, jak po potopie. Borys dźwigał dużą torbę na zakupy, w której była zmiana bielizny, sweter i ulubiony jasiek, jak również wszystkie co do kopiejki pieniądze, jakie znalazł w domu.

Siwcew i Jemieljanienko, zostawieni na obserwację, siedzieli w podwórkowej altance i palili. Naradzali się, czy nie pójść po piwo.

Kapitan Popow z wyraźną pieczęcią na nakazie przyszedł o dziewiątej piętnaście. Natalia Muratowa,

żona i główna lokatorka, tym razem otworzyła od razu i powiedziała, że Muratow poszedł do pracy. Popow rzucił złe spojrzenie w kierunku swoich nicponi.

– Przecież on nie pracuje! Do jakiej pracy?

– Jest artystą, do biura nie chodzi, ale dużo pracuje. Przecież sam pan widział, że robił sarkofag Lenina – wtrąciła się teściowa.

– Po tym go zwolniono – ujawnił spóźnioną wiedzę Popow.

– No więc poszedł szukać pracy – znowu wtrąciła Maria Nikołajewna.

– A nie zamierza przyjść na obiad? – zainteresował się kapitan.

– A jakże, na pewno. – Nabrali się na kotleciki, przekłęci podstuchiwacze, i to jak szybko! – Nawet kotleciki na obiad zamówił. Spodziewamy się go na obiad.

Kapitan przystąpił do czynności. Nie żałował sił, przeglądając góry rozmaitych papierów: samizdat był zwyczajny, jaki mają wszyscy. Ale tym razem interesował Popowa nie samizdat.

To, czego szukał, leżało u niego w gabinecie w postaci fotokopii stron z pisma „Stern”. Były to karykatury: gigantyczne litery składające się w wyrazy „Chwała KPZR”, a pod tymi gigantycznymi literami stał tłum ludzi i psów próbujących osiągnąć świętych wyrazów. Litery były utworzone z kiełbasy – kiełbasy z krążkami białego tłuszczu w miejscach nadkrojonych z ogonkami ze sznurka, a nawet z metką „2 rub. 20 kop.”.

Na drugiej karykaturze z takich samych kiełbas ułożono mauzoleum, wyraz „Lenin” tworzyły wiązki parówek.

Na trzeciej – burłacy z obrazu Riepina wprzęgnięci w lejce ciągnęli nie barkę, ale raketę kosmiczną.

Funkcjonariusze długo szukali złośliwego rysownika i zupełnie przypadkiem go wykryli. Teraz pozostało tylko: znaleźć oryginały, szkice albo coś innego, podobnego...

Kapitan Popow wyszedł późno wieczorem. Wywlekli trzy worki samizdatu. Rysunków, które Popow spodziewał się znaleźć, nie wykryto.

W tym czasie Borys Iwanowicz urządzał się na nocleg u babiny, która bezskutecznie starała się sprzedać na przystani w Kimrach szczypiorek i pietruszkę, ale całą jej zdobyczą był podróżny spóźniony na ostatni statek do Nowo-Akatowa. Przenocował za rubla w szopie na sianie przykrytym prześcieradłem, o świcie umył się przy studni i o szóstej rano wsiadł na statek. Babka okazała się święta – nie doniosła z samego rana.

Na drugi dzień wieczorem siedział w dalekiej i trudno dostępnej wsi Daniłowe Gorki, w starej chłopskiej chacie swego przyjaciela Nikołaja Michajłowicza, też artysty plastyka. Opowiedział mu, jak się rzeczy mają, i spytał, czy mógłby pomieszkać jakiś czas tu, w ich letnim domu albo w łaźni. Jako kuzyn czy ktoś taki. Nikołaj Michajłowicz pokręcił głową, chrząknął, jednak nie odmówił. Tak się zaczęła ucieczka Borysa Iwanowicza.

Daniłowe Gorki nie były nawet wsią, ale przysiółkiem, pięć domów. Jeden dom należał do Nikołaja Michajłowicza, drugi stał pusty po śmierci gospodyni, czekał na nabywcę, a w trzech, oprócz gospodarzy, przez całe lata mieszkali letnicy. Pod koniec sierpnia się rozjeżdżali, tylko nieliczni pozostawali na wrzesień.

Matka Nikołaja Michajłowicza pochodziła z rodziny księżęcej, a ojcem był rozstrzelany w trzydziestym siódmym duchowny, toteż Nikołaj wszystko pojmował w lot. Powiedział, że do września, dopóki we wsi jest

wiele obcych osób, można mieszkać mniej więcej bezpiecznie, ale kiedy letnicy wyjadą, każdego człowieka widać na dziesięć wiorst.

Chata była pełna. Dzieci, starcy, dwie niezamężne krewne, goście rezydenci. Wszyscy dużo pracowali, ale jakby niezbyt się przykładając: zajęci od rana do wieczora, ale swobodni.

Dla Borysa to życie wiejskie było nowością. Był mieszczuchem – jego dziadek, z chłopów pańszczyźnianych, od 1883 roku pracował w litografii u Sytina, ojciec, grawer drukarski, proletariusz pracy artystycznej, jak sam siebie nazywał, został prawdziwym moskwianinem i utracił wszelki kontakt z rizańską rodziną.

Borys Iwanowicz nie znał wsi i bał się jej, a miasta nie lubił. Od dzieciństwa mieszkał na Zamoskworieczju, w pobliżu drukarni, a kiedy się ożenił, przeniósł się do żony do zaułka Charitoniewskiego.

Najlepiej czuł się nad Morzem Czarnym, w Soczi albo w Gagrach, co roku jeździł do kurortów. Żadnej wsi nigdy nie widział. I nagle ukazał mu się cały urok zacisznej wioski, w pobliżu wielkiej rzeki, wśród lasów i bagien. Potomkowie książęcej rodziny też bardzo mu się spodobali – w pałacach już nie mieszkali, luksusów nie wachali, pół wieku przeżyli między nędzą a biedą, między zesłaniami a więzieniami, ci, co przetrwali, zahartowali się i schłopieli, nie znali już obcych języków, zachowali jednak coś takiego, czego Borys Iwanowicz nie potrafił określić.

Córki Nikołaja gotowały kaszę na ruskim piecu, piekły kulebiaki, pracowały w warzywniku, prały w rzece bieliznę, wnuki łowiły ryby, wnuczki i dwie ciotki chodziły na jagody i grzyby. Wszyscy malowali, śpiewali, urządzali dziecięce przedstawienia.

Na trzy dni przyjechała kuzynka Nikołaja Michajłowicza, ruchliwa i głośna Anastazja. Z miejsca spodobał się jej Borys Iwanowicz, zawróciła mu w głowie. Stał się łatwą i ponętną zdobyczą, nie tracili czasu, chyba tylko pierwsza noc mogła być dłuższa, gdyby do późna nie przesiedzieli przy stole, śpiewając pieśni. A Anastazja śpiewała nader pięknie – z jakimś cygańskim szykiem, dźwięcznie i wyzywająco. Anastazja, drobna, o małych, niemal dziecięcych piersiach, nie umywała się do jego żony Nataszy i Borys Iwanowicz długo potem wspominał i nie mógł się nadziwić: ta baba, chuda i kanciasta, była niczym żywa woda: miał wrażenie, jak gdyby go całego wymyła, rozebrała na kości i żyły, a potem zlepiła na nowo. Borys nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się tak silnym i nieustrudzonym mężczyzną. Anastazja odpłynęła łódką w czwartym dniu ich romansu, musiała objąć dyżur – okazała się lekarką, i do tego ordynatorem oddziału. Odprowadzała ją cała rodzina, na brzegu jeszcze zaśpiewała swoim czystym głosem „Myła Marusieńka nogi” i długo machała chusteczką z łódki, która ją wiozła na wielką przystań, na statek rejsowy.

„Kulturalna kobieta, a co za kurwa!” – z pełnym zachwytem niedowierzaniem myślał o niej Borys Iwanowicz. Takiej kobiety nigdy jeszcze nie spotkał.

A Nikołaj Michajłowicz, jakby czytając w jego myślach, powiedział cicho tylko do Borysa Iwanowicza:

– Nastia ma już taką krew – prababka czy praprapra... zadawała się z Puszkinem.

Na Przemienienie Pańskie pojechali pod wieczór w dużym towarzystwie do Kaszyna, do cerkwi. Najpierw statkiem, potem autobusem. Męcząca podróż.

Ludzie kulturalni, a wierzący – takich też dawniej nie spotykał.

– Wasze życie jest jakieś antysowieckie – zauważył ze zdumieniem.

– Nie, Borysie, ono jest mimosowieckie – roześmiał się Nikołaj Michajłowicz.

Borys wciąż rozglądał się wokół, przyglądał wschodom słońca, wodzie na mieliźnie, w której energicznie i jakby rozumnie śmigają drobne rybki, przyglądał się piaszczystemu brzegowi z muszlami małżów, goryczkom, o których – choć widywał je na ikonach – nie wiedział, że rzeczywiście istnieją; podziwiał wszystko i się radował. Chodził do lasu z całą gromadą, zbierał grzyby, których w lipcu było mało, a w sierpniu wysypały się obficie wraz z drobnymi słodkimi deszczami.

Borys Iwanowicz okazał się zagorzałym amatorem wszystkiego – i grzybów, i ryb, a nawet przydawał się w wieśniaczej robocie: łatwo nauczył się posługiwać siekierą, pomógł Nikołajowi Michajłowiczowi naprawić szopę i podeprzeć bramę.

Dni były długie, wieczory z długimi herbatkami przyjemne, noce błyskawiczne: zasypiasz – budzisz się, jakby w jednym mgnieniu. Na Borysa Iwanowicza spłynął niezwykły spokój, jakiego dawniej, w moskiewskim życiu, przed tą zuchwałą ucieczką, nie doznawał.

Minęło półtora miesiąca, nie miał żadnych wiadomości z domu, ale jakoś dziwnie nie szukał sposobu skontaktowania się z żoną. Tłumaczył to sobie tym, że nie chce jej wpędzić w kłopoty. A w głębi ducha czuł, że spokojniej bez jej nerwów, kaprysów, obaw i strachów.

Jedną kartkę od Borysa Iwanowicza wrzuciła do skrzynki pocztowej w Moskwie krewna Nikołaja Michajłowicza: wszystko w porządku, nie martwcie się. Kocham, tęsknię.

W sierpniu przyjechała żona Nikołaja Michajłowi-

cza, córka słynnego rosyjskiego artysty malarza, ze starszym synem Kolą. Obie córki obskakiwały matkę, usługiwały jej jak honorowemu gościowi, wciąż „mamusiu, mamusiu”, a syn, rosły trzydziestoletni chłop, wciąż trzymał się ojca. Stosunki Nikołaja Michajłowicza z żoną też były niezwykle: serdeczni, ale traktujący się z takim szacunkiem, że niemal na „pan”, „pani”. Mówili cichymi głosami, grzeczni i uprzejmi, aż się wierzyć nie chciało, że sami zrobili swoje dzieci.

Dorośle dzieci wciąż pozostawały dziećmi i zabawny był widok wnuków powtarzających za rodzicami te drobne gesty – zrywają dla rodziców piękne jabłko albo wiązkę późnych poziomek. Borys Iwanowicz, przysięgły przeciwnik posiadania dzieci, nabrał nawet trochę wątpliwości co do swojej ugruntowanej teorii: dawno doszedł do wniosku, że nie wolno płodzić nowych ludzi w tym nieludzkim i bezwstydnym państwie, do nędznego, brudnego i bezsensownego życia. I taki warunek postawił Nataszy, kiedy się pobierali.

Byli po ślubie już osiem lat, Natasza za dziećmi nie tęskniła. Był inny szkopuł – czy zabrakło jej poczucia humoru, czy z czasem zaczął jej ciążyć sposób myślenia męża – ale krzywiła się na jego rysunekczki, które stawały się coraz ostrzejsze i bardziej złośliwe. W porównaniu z innymi żyli bardzo zamożnie. Borys ukończył uczelnię Stroganowa*, wydział rzemiosła, więc do prawdziwego artysty było mu daleko, był wykonawcą, zarabiał jednak więcej niż prawdziwi artyści w kom-

* Założona w XIX w. przez barona S. Stroganowa uczelnia z dziedziny sztuki użytkowej i projektowania przemysłowego, wówczas Moskiewski Instytut Sztuki Dekoracyjnej i Użytkowej, obecnie Moskiewski Państwowy Artystyczno-Przemysłowy Uniwersytet im. S.G. Stroganowa (przyp. red.).

binacie, gdzie trafiały się duże zamówienia, na tysiące rubli.

Niekiedy najmował się prywatnie do wybitnych twórców, pomagał robić metalowy wystrój i panneaux dla rozmaitych domów kultury – kolejowych lub hutniczych, ale zawsze socjalistycznych. Ta praca wzbudzała w nim złość, brali go diabli i wymyślał zjadliwe karykatury z życia w socjalizmie, które lada chwila zmieni się całkowicie w komunistyczne.

Coraz bardziej oddawał się pasji rysowania. Jego zawodem było wykonawstwo prac artystycznych w metalu, a rysunek stał się radością i relaksem, i w nim dawał upust irytacji. Pewnego razu zaproszono go do udziału w wystawie w prywatnym mieszkaniu i od razu został zauważony w tym bardzo wąskim kręgu wybrańców, artystów podziemia.

Pojawili się też wielbiciel jego podziemnej twórczości – pierwszy sukces przynieśli mu robotnik i kołchoźnica wykonani z upragnionej kiełbasy, w postaci rysunku oczywiście. Dzięki przyjacielowi Ilji owa kiełbasa trafiła nawet do Niemiec Zachodnich i została opublikowana w złośliwym antysowieckim magazynie. Po tym zdarzeniu Borys zobojętniał wobec wielkich zarobków i coraz więcej czasu spędzał na skrobaniu ołówkiem.

Tu, w Daniłowych Gorkach, zupełnie odechciało się Muratowowi rysować kiełbasę. Tu jej nie było i nikt za nią nie tęsknił. Wcale nie pociągało go też spokojne malowanie spokojnej przyrody, którym pasjonowała się cała rodzina Nikołaja Michajłowicza – od najstarszego do najmłodszego. Tak więc przez całe lato prawie nie rysował.

Zbliżał się wrzesień, zaczęli się zbierać do miasta:

pakowali do poszewek wianki suszonych grzybów, suszone w piecu maliny i poziomki. Konfitur w tym roku nie smażyli – bo zabrakło cukru, zresztą większej liczby słoików też nie dałoby się przewieźć. Wstawili do piwnicy kiszone ogórki i solone grzyby, zakopali młode ziemniaki.

Zimą Nikołaj Michajłowicz z synem zawsze przyjeżdżali „na inspekcję” – sprawdzić dom, wywieźć zapasy do Moskwy. Podróż w zimie, w odróżnieniu od letniej, wodą, była trudniejsza: pociągami, potem autobusem i jeszcze sześć kilometrów przez las.auta nie docierały do Daniłowych Gorek, bo nie było dróg, dało się dotelepać tylko traktorem.

Kiedy pora wyjazdu była już bliska, Nikołaj Michajłowicz zapytał Borysa:

– Czy masz zamiar tutaj zimować, Borysie Iwanowiczu?

Muratow, chociaż mieszkał tu dwa miesiące w całkowitym spokoju, trochę jednak patrzył w przyszłość, toteż od razu odparł:

– Nikołaju Iwanowiczu, ja się boję. Nie milicji – obawiam się twojego pieca, twojej chaty, to trzeba znać od dzieciństwa, a mnie jakoś za późno się z tym wszystkim oswajać.

– Tak, nasz ojciec był proboszczem, wszyscy spędziliśmy dzieciństwo w chacie. Niewielka to filozofia, ale jednak filozofia.

Nikołaj Michajłowicz podrapał się w rzadką brodę, chwilę milczał i zaproponował:

– Od babci Niury wyjechali letnicy, jest słabsza w tym roku. Może pan u niej zamieszkać, Borysie, załatwię to z nią. Pomoże jej pan przezimować. Przyjadę w grudniu. Bóg da, jakoś to będzie.

Przyjęli taką formę zwracania się do siebie: jeśli „Nikołaj”, „Borys”, to na pan, a jeśli z patronimikiem, to na „ty”.

Muratow dał Nikołajowi Michajłowiczowi dwa zadania. Przyjść do niego do domu bez telefonu czy jakiegś innej zapowiedzi, po prostu wieczorem, oddać list, ale nie podawać miejsca pobytu. I jeszcze jedno. Spotkać się z przyjacielem Ilją, przekazać pozdrowienia i powiedzieć mu tylko jedno słowo – „naprzód”, a on już będzie wiedział, co robić.

Przed wyjazdem na wieś znowu się z nim spotkać, wziąć pieniądze, połowę oddać rodzinie, a połowę przywieźć tutaj. Ile będzie tych pieniędzy, nie wiadomo, może dużo, może niewiele, a może w ogóle nic...

Nikołaj Michajłowicz wykonał wszystko dokładnie już w pierwszym tygodniu po powrocie do Moskwy.

Muratow przeniósł się do Niury. Babka była zgarbiona, z krzywymi ustami, powykręcanyimi palcami i ogromnymi bezkształtnymi dłońmi, które nosiła przed sobą i wciąż się wydawało, że trzyma w rękach kubek czy miskę. Dłonie się jej nie rozginały i posługiwała się nimi jak kleszczami.

Muratowa wpuściła do domu nie za pieniądze, ale za wódkę. Babka okazała się wielką amatorką jednego głębszego i dowcipnisią. Budziła się wcześnie rano, stęskając złażyła z leżanki, żegnała przed świętym miejscem w kącie, gdzie stała na półce zupełnie czarna ikona, i wychylała pierwszy naparsteczek. W południe wypijała drugi, o nieokreślonej porze w ciągu dnia jadła kaszę lub „ziemniaczków”, a inne niezbędne zwyktemu człowiekowi tłuszcze, białka i węglowodany przyjmowała w postaci jeszcze trzech naparstków wódki. Butelka starczała jej na tydzień, dawno to już wypraktykowała.

Rano była ledwie żywa, a pod wieczór rześka, wykonywała nawet jakieś domowe roboty, tylko mamrotała coraz niewyraźniej.

Kilka lat wcześniej doprowadzono im do osady radio i elektryczność. Elektryczność babka ignorowała, światła nie zapalała, kładła się o zmierzchu, a wstawiała o świcie, natomiast bardzo polubiła radio. Kiedy Muratow nauczył się rozumieć jej bełkot, uchwycił w nim bezlitosny i śmieszny komentarz do audycji, których słuchała rankami. W owym roku nastąpiła kolejna ofensywa przeciw pijaństwu, wydano rozporządzenie, rozpoczęto kampanię i w radiu zaczęto piętnować alkoholizm.

– Wódka im wadzi, a widzi tę wódkę tu kto, nawet samogonu nie uświadczysz. Nie trzeba nam tego waszego, zostawcie nam nasze. No i niech będzie BAM* wam, a wódka nam.

Kiedy Borys Iwanowicz zaczął pojmować jej niezupełnie zrozumiałą mowę, docenił dowcip i żywość jej myśli.

– Wiesz, lokator, ten terażniejszy Stalin czy jak go tam zwać, będzie jeszcze gorszy od tamtego – podzieliła się kiedyś z Borysem Iwanowiczem swoją opinią.

– A dlaczego?

– Tamten zabrał wszystko, a ten i resztki wymiata. Och, od wszystkiego nas uwolnili, kochani – najsamprzód od ziemi uwolnili, potem od męża, od dzieci, od krowy, od kur... Jak od wódki uwolnią, to będzie pełna wolność.

Mąż Niury zginął w trzydziestym podczas kolek-

* BAM – Bajkalsko-Amurska Magistrala Kolejowa, budowana w latach 70. ubiegłego wieku (przyp. tłum.).

tywizacji. Trzej synowie, którzy dorośli przed rozpoczęciem wojny, ginęli jeden po drugim – najstarszy w czterdziestym pierwszym, średni w czterdziestym drugim, najmłodszy w czterdziestym piątym.

– I od Boga nas uwolnili – spojrzała na ciemną ikonę i wymamrotała: – A może On sam na nas machnął ręką, nie wiem...

Wieczorami czasem przychodziły sąsiadki – Marfa i Zinaida, obie, mimo że młodsze, tak samo zgorzkniały. Piły herbatę Borysa Iwanowicza, a Niura wychwalała:

– Lokatora mi Bóg zesłał dobrego, to wódeczkę postawi, to herbatkę...

Borys Iwanowicz od dawna nawet nie myślał o kiełbasie – w tych stronach całkowicie straciła ona symboliczny sens, jako rzecz zupełnie zapomniana, która kompletnie wyszła z użytku. Tutejsze staruszki nie miały za co jeździć pociągami do Moskwy po kiełbasę, a pomarańczy nie widziałyby do końca życia, gdyby rodzina Nikołaja Michajłowicza nie częstowała ich z rzadka takimi rarytasami.

Muratow rysował teraz wyłącznie uczy staruszek. W ubóstwie odślaniało się wielkie bogactwo: drobne koślawe ziemniaczki, gotowane „w mundurkach”, wymięty ogórek z beczki, grzyby – małe maślaczki, wielkie koźlaki, rdzawe rydze. I królowa stołu – butelka mętnego samogonu, zatkana korkiem własnej roboty. Albo nawet wódka, jeśli się nadarzy. Chleb w zimie pojawiał się nieregularnie, a kiedy nie dostarczano go do wiejskiego sklepu dużej wsi Krużyłino, sześć kilometrów od Gorek, babki piekły chleb po kolei.

Borys Iwanowicz prędko zużył zapas papieru, który odkrył w domu Nikołaja Michajłowicza. Ale na szczę-

ście znalazł kilkanaście rolek tapety, przygotowanych do wyklejenia izby gościnnej. Remont odkładano od kilku lat i jakoś o nim zapomniano, a Borysowi Iwanowiczowi tapety bardzo się przydały: najpierw rysował na odwrotnej stronie, miękkiej i szarej, potem na zewnętrznej, na drobno nakrapianym żółtym tle, na którym twarze staruszek ożywały.

Były ostatnie we wsi. Inni już powymierali, zużyci jak ich stara odzież, pokorni jak ziemniaki, ich jedyne pożywienie, wolni jak obłoki.

Gdy wypłyły – nie posępniały, ale weselały. Wyśpiewywały pieśni, sięgały do wspomnień, śmiały się, przykrywając bezzębne usta czarnymi palcami. Miały dwa zęby na trzy baby. Ból zębów uśmierzały szatwią i pokrzywą, a wyrywał zęby wiejski pastuch Losza, i gdy mu się zmarło, wszystkie pozostałe zęby mieszkańców wsi wypadały same, bez pomocy z zewnątrz.

Opowieści staruszek podczas każdej biesiady były wciąż te same, nowe dodawały z rzadka. Borys Iwanowicz rysował te scenki cienkim ołówkiem wraz z pięknymi przemowami, które dymkami wysuwały się z bezzębnych ust. Cóż to były za historie! Jak jeszcze przed wojną przyjechali partyjni szefowie, żeby zapędzić do kołchozu. Ludzie poszumieli, poszumieli i do kołchozu się zapisali, co było robić? A starszy synek Niury, Nikoła, narwany chłopak, znalazł zleżące jajka. Mieli jedną kurkę, która tak chytrze się niosła, że jajek od niej nie można było znaleźć, a kiedy się już zaśmierdną i pękną, to smrodu przez miesiąc wywietrzyć się nie da. Nikoła przyłożył się, znalazł: niepęknięte zbuki i podłożył przyjezdnym na furmankę, tak, żeby po drodze rozgnietli je tłustymi zadkami. I już pierwszy partyjny szef, wsiadając do wozu, rozgniół zbuka.

Rozległo się lekkie puknięcie – i smród na całą wieś. Śmiechu było co niemiara! Kiedyś znowu Zinaidę rozboleł ząb, a pastuch Losza był pijany, więc poszła do Kaszyna, żeby wyrwać ząb. Usiadła w fotelu u dentystry i ze strachu się posikała... Od Kaszyna biegła tak z osiemnaście wiorst. Przybiegła do domu i ból minął: po drodze fluksja pękła!

Wspominały też swoich chłopów, raz się nawet pokłóciły: Marfa przypomniawszy sobie, jak w dwudziestym szóstym Zinaida zabawiała się z jej chłopem. Zinaida z kolei opowiedziała, jak pastuch Loszka całe stado po złodziejsku doił. A pastuch Loszka był rodzonym bratem Marfy. Słowo za słowo – o mało się nie pobiły. Sytuację uratowała Niura: zaśpiewała nieprzyzwoitą czastuszkę o tym, kto się do kogo dobierał, i obie się uśmieły. I znów wspominały sprawy dawne, choć nie całkiem zapomniane – jak „kumuniści” całą wieś obskubali, jak chłopów wywieziono. Pomilczą, wypiją naparstek. Pośmieją się, jeszcze wypiją. Ale smutnych rozmów nie prowadziły – cieszyły się z drobiazgów, śmiały z byle powodu albo i całkiem bez powodu, kpili, docinały sobie, tańczyły i śpiewały, trochę na pokaz, dla Borysa Iwanowicza, ale głównie dla siebie samych, ze szczerego serca.

Borys Iwanowicz dostał jeszcze jeden prezent od domu Nikołaja Michajłowicza: trzy pudełka szkolnych kolorowych kredek. Swą pracę przy obróbce metalu uważał za chałturę, a siebie za grafika, i te zwykłe kredki obudziły w nim malarza. Szkicował na przemian niebieską, czarną i powstawało wielowarstwowe dziwne piękno.

Teraz czuł się jak uczonec, który szkicuje zanikający świat. Staruszki opowiadają swoje wymyślne historie, śmieją się, twarze pomarszczone, radosne, a Borys Iwa-

nowicz siedzi przy stole i skrobie swoje cudne obrazki. Zużył już nawet prawie wszystkie tapety.

Spadł śnieg, jesienne ubóstwo, bury, mokry smutek ustąpiły śnieżnobiałej zimie, która pozostała w pamięci Borysa jako plama światła, słoneczny prześwit na tle szarzyzny życia.

Gdy było pogodnie, a niedługa to pora w końcu listopada, Borys chodził wokół wsi. Bagna pozamarzały, można było pójść dalej, ale śniegu napadało tak dużo, że zapadał się powyżej walonek.

Przyszedł kiedyś do domu przemarznięty do szpiku kości, a tu na podwórku krzątająca – staruszki postanowiły z okazji jutrzejszego święta urządzić sobie kąpiel.

– Co to za święto? Ani „siódmy listopada, czerwona data wypada”, ani piąty grudnia, dzień sowieckiej konstytucji? – pyta Borys Iwanowicz.

– Mamy – mówią – wielkie święto Wprowadzenia*.

Dokąd wprowadzenia i kogo – wyjaśnić nie potrafią, ale podjęły jednogłośnie decyzję, żeby się porządnie umyć. Zresztą i czas już nadszedł. Ostatni raz myły się na Pokrowę**, akurat kiedy śnieg spadł.

Dobrą łaźnię miał tylko Nikołaj Michajłowicz, banie staruszek dawno się rozwały, ale w ogrodzie Nikołaja Michajłowicza nawiało mnóstwo śniegu, trzeba by zgarniać cały dzień. Postanowiły się myć jak zeszłym razem, w chacie Niury. Kiedy były młode, to włożyły do pieca i tam się myły, ale teraz bały się poparzyć.

Borys Iwanowicz nie zadawał zbędnych pytań. Wto-

* Święto Wprowadzenia (Ofiarowania) Bogurodzicy do Świątyni (4 grudnia) (przyp. red.).

** Święto Opieki (Pokrow) Matki Bożej (14 października) (przyp. red.).

czył do chałupy każdą z sieni. Nanosił wody ze studni. Narąbał im drew, zaniósł – sień była pełna. Od rana zaczęły mocno palić, grzać wodę. W chacie tak było gorąco, że wszystkie okna odtajały, szyby się zapociły, oczyściły.

Wszystko przygotowały, nawet różgi zaparzyły. I zaczęły się zastanawiać, gdzie podziąć lokatora – na strychu zimno, na podwórzu nawet koza marznie, przecież nie wypędzą go na dwór? Na piec się go nie wsadzi, bo się upiecze. Izba nie podzielona, bez przepierzeń, jest tylko jedno miejsce – za piecem. A jeśli zaczną stamtąd podglądać? Potem same się z siebie wyśmiały: po co taki młody chłop miałby oglądać ich stare kości?

Posadziły Borysa Iwanowicza za piecem, zasłonkę zaciągnęły. Siedzi tam z książką, ale nie czyta. Światło słabe, żarówka nie mocniejsza od świecy, tylko trochę dalej sięga. Siedzi i słucha łąziebnych rozmów starych bab.

Najpierw chichotały, że się porobiły za suche, nawet brud się ich nie ima. Potem Zinaida powiedziała, że i śmierdziec przestały: jak były młode, to pachniały piździanką, a teraz tylko kurzem i pleśnią. Potem zaczęło się mycie – stękały, jęczały, lały wodę, brzęczały miednicami. Potem któraś z nich się pośliznęła, wpadła i pisnęła – Borys Iwanowicz poderwał się: czy nie trzeba jej podnieść. Wyprostował się na cały okazały wzrost i spojrzał ponad zasłonką. Zinaida z Marfą podnosiły z podłogi Niurę i zanosily się dziecięcym śmiechem.

Borys Iwanowicz osłupiał. Przyzwyczaił się do ich pomarszczonych twarzy, do ciemnych wykoślawionych rąk, do rozdeptanych nóg, do wszystkiego, co wystawało ze starej, wypłowiałej odzieży. Ale teraz – Boże

święty! – zobaczył ich ciała. Nie mógł oczu oderwać. Rozpuszczone szare włosy spływały wzdłuż guzowatego kręgosłupa. Dłonie i stopy wyglądały na jeszcze większe i bardziej bezkształtne – rozczłapane robotą w ziemi, poskręcane jak korzenie starych drzew, palce nabrały barw ziemi, w której przez dziesięciolecia grzebały. Natomiast ciała były białoskóre i bladoniebieskawe, niby odciągane mleko. Marfa zachowała piersi ze zwierzęco ciemnymi sutkami, a dwóm pozostałym piersi jakby się rozpuściły, jedynie przezroczyście słabe woreczki zwisały do brzucha. Zinaida miała długie ładne nogi – resztki nóg. Tyłki wszystkim się wytarły, stały się całkiem płaskie, tylko fałdy skóry wskazywały miejsca, nad którymi niegdyś były krągłe pośladki.

– Mówię ci przecież, Niura, że nie mogę podnosić nic ciężkiego, bo od razu macica mi wypada – z wyzwaniem, a nawet jakby z utajoną dumą powiedziała Marfa, i wtem Borys Iwanowicz spostrzegł, że między nogami majta się jej szary woreczek wielkości kapciucha na tytoń. Zmrużył oczy, ale nie mógł ich oderwać od tych trzech gracji-harpii.

Marfa przykucnęła i zręcznie wepchnęła woreczek pod bezwłosy pomarszczony wzgórek w głąb tego, co kiedyś było kobiecym ciałem.

Borys Iwanowicz nie był samoukiem, ukończył studia, no i bądź co bądź pochodził z rodziny artysty grawera. Od dzieciństwa znał ilustracje Dorégo do *Boskiej Komedii*. Oglądał tę opasłą księgę w półdziecięcych latach, kiedy obnażone ciało kobiety samo w sobie wywoływało palącą ciekawość. Ale te koślawe istoty, kłębiące się dwa metry od niego, były żywymi szczątkami ciał, i tylko przy wielkim wysiłku wyobraźni można się było w tych kościach i obwisłej skórze dopatrzeć kobiecości...

„Na starość płeć zanika – pomyślał Borys Iwanowicz i nagle się przeraził: – A ja? Czy ze mną też stanie się coś takiego? Nie, nie, nie chcę, lepiej sam odejdę, niż miałbym wpaść w taką starość, w taką nicość”.

Wtem rozległ się wybuch śmiechu: staruchy go spostrzegły!

– Oj, Niurka, twój lokator dziewczki podgląda!

– Wysmagamy go różgą, żeby nie rozrabiał!

Niura zapiszczała:

– Pokrzywą, pokrzywą smagali, kiedy ktoś podglądał!

– Uspokójcie się, baby, akurat was potrzebuję. Myślałem, że trzeba podnieść tę, która upadła. Ucieszyłyście się!

I schował się za zasłonką. Kilka dni później w tajemnicy namalował tę kąpiel białych łabędzi, jak nazwał podpatrzoną scenę.

Zużył na tę dziwną pracę ostatnie resztki tapet. Przypominał sobie, jak w szkole Stroganowa uczono rysować nagie ciało, ale to tutaj nie miało nic wspólnego z tym niewolniczym odwzorowywaniem, walką światła i cienia, szkicowaniem kształtu dzieciennym ołówkiem. Obrazki były straszne. Ale jakoś też i śmieszne.

Narysował ich ze dwadzieścia, papier się skończył, Borys Iwanowicz zaczął się nudzić. Wtedy właśnie przyjechał Nikołaj Michajłowicz z synem, żeby zrobić przegląd swego gospodarstwa. Przywiózł Borysowi Iwanowiczowi mnóstwo pieniędzy od Ilji. Więcej, niż Borys się spodziewał. Pozdrowienia z domu i list od żony.

Razem wybrali się do sklepu do sąsiedniej wsi, odległej o sześć kilometrów. Znajoma sprzedawczyni Wierka, która bardzo szanowała Nikołaja Michajłowicza, sprzedała spod lady zachomikowaną wódkę. Ni-

kołaj Michajłowicz przywiózł z Moskwy dwie butelki, ale Borys Iwanowicz nie mógł przepuścić okazji, by nie wydać swoich dużych pieniędzy. Unikał chodzenia do sklepu, obawiał się miejscowych: a nuż doniosą, że włóczy się tu obcy człowiek?

Ładowali do dwóch plecaków cały ubogi asortyment sklepu – herbatniki, cukierki ciągutki bez papierków, kilki, olej, kaszę perłową, paczkę suszonego grochu, wiśniowy kisiel w kostkach, ser topiony, dwie torebki soli. Borys Iwanowicz wciąż szperał wzrokiem po półkach w nadziei, że zobaczy jakieś prawdziwe jedzenie. Wierka oglądała klienta, czyby się jej nie nadał. Sądząc z wszystkiego, nadałby się, tylko że oczy świecą mu się do produktów żywnościowych, a nie do niej, krasawicy...

Nikołaj Michajłowicz zarzucił plecak, wstrząsnął ramionami, żeby zakupy się ułożyły; butelki lekko, przyjemnie brzęknęły.

– Na długo pan przyjechał? Zapraszam w gości! – Wierka podparła pyzaty policzek buraczkową pięścią.

– Nie, Wiero, dziękuję, nie przyjdę. Przyjechałem na jeden dzień. Nawet nie przepaliłem w piecu, po co trać drewno. Przenocujemy u Swistunichy i do domu.

– No to chociaż przyjaciela by pan do nas oddelegował – zachichotała Wiera – bo nudzimy się my, dziewczyny. Już tyle czasu tu mieszka, a z nikim się nie zaznajomił...

Aha, czyli że wiejski telegraf działa i w pobliskich wsiach wiedzą, że mieszka tu jakiś obcy. Artyści wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Ale my jutro już wyjeżdżamy. Jak wrócimy na wiosnę, to się poznacie.

Niura na przyście mężczyzn napięła pierogów

z ziemniakami, a sama poszła do siebie za piec. Zinaida z Marfą nie przyszły, z delikatności.

– Może trzeba je zawołać? – zapytał Borys Iwanowicz, który już podjął decyzję: wyjedzie z tego cudownego i zbyt już zasiedzianego miejsca.

– Nie, dziś nie przyjdą. To są kobiety dobrze, po chłopsku wychowane, pierwszego dnia nigdy nie przychodzą, nawet nie wiem dlaczego, czy żeby nie przeszkadzać, czy żeby nie napraszać się o prezenty. Nauczono je delikatności, dzisiejsze młode baby już takie nie są. Sprzedawczyni Wierka, złodziejka i kombinatorka, jest siostrzenicą Zinaidy, w zasadzie powinna odwiedzać ciotkę, przynosić prezenty, a nie chce. Syn Zinaidy siedzi, siedzi już dwa lata, synowa popija, jeden wnuczek zeszłego roku utonął, została niedorozwinięta dziewczynka... – Nikołaj Michajłowicz machnął ręką. – Zresztą, co cię, Iwanycz, obchodzą te nasze wiejskie okropieństwa...

Przyszedł Kola – przyniósł całe naręczce zapasów z piwnicy.

– Wszystko w porządku, tato, nic nie wymarzło. I ziemniaki dobrze ułożone. Tylko myślę, że na takim mrozie nie doniesiemy ich do stacji, zamarzną. Zapakowałem ogórki i grzyby, a ziemniaków bym nie ruszał.

– Oczywiście szkoda. Ale masz rację, Kola. Mrozy coraz silniejsze, ziemniaki i w autobusie zamarzną.

Usiedli do stołu, sami mężczyźni, pojedli pierogów, różnych wiejskich przekąsek, z okazji spotkania obrali ziemniaki, omaścili olejem, a konserw nie otwierali – zostawili je staruszkom na Boże Narodzenie. Post adwentowy dopiero się zaczął, ale one miały post przez okrągły rok bez przerwy, co najwyżej tylko chorą kureę czasem ugotowały.

Już w nocy, około dziesiątej rozległo się pukanie do drzwi. Nikołaj Michajłowicz szybko wstał, wetknął Borysowi do ręki talerzyk z kieliszkiem i wepchnął go za piec, do babki Niury. Słusznie uczynił: za drzwiami stał posterunkowy Nikołaj Swistunow, daleki krewny. Zresztą pokrewieństwa tu już dawno nie wyliczano, ponieważ trzy wsie w okolicy to byli w połowie Swistunowowie, a w połowie Jerofiejewowie. A Nikołajem był tu co drugi chłop.

Swistunow zdjął czapkę, rozpiął milicyjny kozuch. Nikołaj Michajłowicz bez słowa wziął czystą szklanę, nalał trochę więcej niż połowę.

– Przyszedłem do was, do Gorek, widzę, pieca nie rozpalacie, światło w chacie się nie pali – zauważył Swistunow.

– Przecież trzeba by w nim trzy dni palić, żeby dom się ogrzał. Przyjechaliśmy tu sprawdzić i wziąć z piwnicy ogórki i grzyby. Przenocujemy u Niury – i do miasta.

Drogi od Daniłowych Gorek nie było, nawet śladu dla nart nie przetarto. Była ścieżka, którą wydeptali na nowo Nikołaj z Borysem, właśnie tą ścieżką przydreptał posterunkowy. Co prawda nowy śnieg już przyprószył niedawne ślady.

– Drogi powrotnej będzie ponad godzina – oszacował Swistunow i zaczął się spieszyć. W Troickim w zeszłym tygodniu widziano wilki. Nie chciał się z nimi spotkać. Więc nie rozsiadał się u babki na długo: nieważne, kto kogo gdzieś widział i co kto gada. On przyszedł osobiście, sprawdził dokumenty, letnicy swoi, znani, mieszkają w kupionym domu, żadnych obcych nie widział.

Dla porządku jednak zapytał:

– Nikołaju Michajłowiczu, czy żadnych obcych tu pan nie widział?

– Obcych? – powtórzył malarz. – Nie, obcych nie wi-
dać, sami swoi.

I posterunkowy Swistunow odszedł wąską ścieżyn-
ką, przez las do siebie, do domu. Nikogo obcego nie
spotkał, wilków też nie.

Borys Iwanowicz wyszedł z za pieca, gdzie, nie
budząc się, na wąskiej ławce spała jak dziecko babka
Niura, sama też rozmiarów dziecka. Mężczyźni dopili
drugą flaszkę wódki, potem napili się jeszcze herbaty,
a następnie Borys wytarł stół i ułożył w trzech stosach
swoje rysunki. Na jednej kupce biesiady i gawędy sta-
ruszek, na drugiej – martwa natura, gdzie przeważa-
ły bulwy ziemniaczane i kiszone ogórki przemieszane
z przedmiotami bez nazwy oraz wiadomego przerna-
czenia, które już dawno wyszły z użytku – jakieś chwyt-
tacze, drewniane szczypce, łopatki, gliniane naczynka –
nie wiadomo czy do picia, czy do dziecięcych zabaw.
A na trzeciej kupce, największej, na pociętych tapetach,
z obu stron – gołe staruchy, ich gnaty, obwisłe worki
i skóry, fałdy, zmarszczki. Żadne „Piekło” – uśmiecha-
ły się, śmiały, chichotały. Było im dobrze – dzięki wo-
dzie, dzięki długo wyczekiwaniemu myciu.

Nikołaj Michajłowicz oglądał długo, stękał, wresz-
cie odezwał się powściągliwie:

– Nawet nie wiedziałem, Borysie, że z pana taki ry-
sownik! Oczywiście, dłużej zostać pan tu nie może. Nie
wiem, jakie pan tam ma zamiary, jak dalej żyć, ale te ry-
sunki zawiozę do Moskwy. Przechowam je do pańskiego
powrotu... – Uśmiechnął się. – Jeżeli sam się uchowam...

– Naprawdę są takie dobre? A ja nawet o tym nie
myślałem – dobre czy złe. Niech ich pan nie trzyma
w domu, niech pan odda Ilji. Może on je gdzieś upchnie –
poprosił Borys Iwanowicz.

Był niezwykle zadowolony. Nikołaj Michajłowicz, człowiek szanowany wśród artystów, był znany z surowych sądów i nieskory do pochwał.

Następnego dnia się rozstali. Nikołaj Michajłowicz z synem pojechali w stronę Moskwy, a Borys Iwanowicz – do Wołogdy.

Przez całe cztery lata Borys Iwanowicz ukrywał się przed aresztowaniem. Już się oswoił z myślą, że w końcu i tak go schwytają, więc żył, ryzykując i bawiąc się, najpierw w obwodzie wołogodzkiem, potem jakieś trzy miesiące w Twerze u ruchliwej, głośnej Anastazji, potem się rozzuchwalił i przeniósł w pobliże Moskwy, mieszkał po prostu w podmoskiewskiej dacy dalekiego kuzyna. Potem przyszło mu do głowy, że może w ogóle nikt go już nie szuka.

Przyjaciel Ilja bardzo mu pomagał – zachował całą kolekcję, oprócz tych prac, które korzystnie sprzedał za granicę. Tam wszystko szło znakomicie, pod koniec roku siedemdziesiątego szóstego urządzono w Kolonii wystawę prac pod tytułem „Naga rosyjska natura”. Staruszki, gołe, potworne staruchy weseliły się. Było im dobrze...

I wtedy go właśnie znaleźli. Po czterech latach od pomyślnego zniknięcia.

Dali mu zaledwie dwa lata, a artykuł dobrali przedziwny – za pornografię! Nie za antysowiecką kiełbasę, nie za mauzoleum z serdelków, nawet nie za straszny portret wodza z farszu kiełbasianego z odciętym kawałkiem ucha na widelcu. Akurat za pornografię! Jeśli weźmiemy pod uwagę, że za pornografię w ZSRR w ogóle nigdy nikogo nie wsadzano, był to swoisty rekord.

Odsiedział dwa lata w archangielskim łagrze, wyszedł i wkrótce z nową żoną Rajką, małą Żydówką, ruchliwą i zwrotną jak łódeczka, trochę podobną do tamtej dawnej Anastazji, wyemigrował do Europy, gdzie do niedawna mieszkał.

Piękna Natasza też nie była przegrana: w czasie gdy Borys Iwanowicz się ukrywał, znalazła sobie całkiem zwyczajnego inżyniera i miała z nim córkę zupełnie jak z portretów Kustodijewa, który tak się niegdyś podobał Borysowi Iwanowiczowi. Maria Nikołajewna niańczyła wnuczkę i gotowała skromne obiady. Obecny zięć był niczego sobie, porządny człowiek, ale gdzie mu tam do Borysa Iwanowicza!

Wszystkie staruszki z Daniłowych Gorek dawno pomierały. Wszystko jest w porządku.

POTOP

Dziewczynka najwidoczniej dzwoniła z automatu obok bramy, bo pod drzwiami była po dwóch minutach.

Ilja przed aresztowaniem jej rodziców był u nich kilka razy, ale jej jakoś nie zauważył, może wyszła z domu albo spała.

Ola na pewno widziała dziewczynkę po raz pierwszy. Takich twarzy się nie zapomina: pyszczek malutki i chudziutki, oczy, w porównaniu z twarzą, za duże o kilka numerów – jasne, płaskie, nosek malutki, wklęsnięty u nasady. Dziwny wygląd! Ilja coś o niej opowiadał – że charakter ma koszmarny i nikt nie może dać sobie z nią rady. Ola wiele natomiast słyszała o jej ojcu, Walentinie Kułakowie, marksiście, który ogłosił się jedynym prawdziwym marksistą, a wszystkich innych, okopanych w murach Instytutu Ruchu Robotniczego oraz Instytutu Marksizmu-Leninizmu, uważał za zdrajców wypaczających tę ideę.

Olga nie pamiętała szczegółów, skąd i za co wyrzucono go przed aresztowaniem. Wrogów piętnował wszystkimi dostępnymi sposobami, napisał kilka listów do KC partii, jednak nie chciano go słuchać, a wtedy Kułakow własnoręcznie powielił swoje wrza-

ski o prawdzie na służbowej kopiarce i zaczął pisać zuchwałe i nieodpowiedzialne listy do zagranicznych partii komunistycznych, do Włochów czy Austriaków, a może do jednych i do drugich.

Trzeba przyznać, że długo go tolerowano, a kiedy go wydalono z partii i instytutu, zupełnie jakby się urwał z łańcucha – zaczął wydawać podziemne marksistowskie czasopismo i nawet usiłował przesyłać je za granicę, a tego już organy absolutnie nie mogły tolerować. Właśnie wtedy go posadzono. Przy okazji wsadzono też jego żonę Zinę, która swoimi niezręcznymi rękami pismo przepisywała, oprawiała byle jak, krzywo, ale w sensie ideowym nie pozostawała w tyle za mężem.

Ten był podobno świetnym specjalistą od Marksa i Engelsa, i w instytucie niewielu mu dorównywało pod względem poziomu tej wiedzy. Języka niemieckiego nauczył się swego czasu ze względu na Marksa-Engelsa. Koniecznie chciał przeczytać w oryginale *Paryskie rękopisy 1844 roku*. Było w nich coś takiego, o czym w latach późniejszych Marks już nie mówił. Gdy Hitler doszedł do władzy, niemieckim nacjonalistom udało się przywieźć te rękopisy do Moskwy.

– No i co z tego? Leżą pod kluczem i nikomu do rąk się ich nie wydaje – skarżył się Walentin Ilji.

W tym czasie spotykali się przeważnie w palarniach bibliotek. Wtedy też Ilia po raz pierwszy trafił do ich domu i nawet sfotografował Walentina z jego żoną Ziną. Ola przypomniała sobie tę fotografię, była w teczkach Iljuszy. Zabawna para – on miał gęste włosy opadające dwiema grubymi falami od czubka głowy do uszu, a ona miała rzadziutkie, króciutkie kosmyki, jak dziecko po długiej chorobie, oraz buzię lalki.

Umorusana dziewczynka w dziecinnej kurteczce

z za krótkimi rękawami i wytartym kołnierzem stała za drzwiami, a obok niej pokornie siedział średniej wielkości pies – sierść bardzo gęsta, jasnopopielata, ogon zakręcony. Pies wyglądał przyzwoicie, w odróżnieniu od pani. Łajka. I obroża, i smycz skórzane, solidne.

– Jestem Marina. Ilja panią uprzedził? – Wciąż stała za drzwiami i nie wchodziła.

– Tak, tak, proszę wejść.

Marina wydała jakiś cichy odgłos, jakby kasznięcie, i pies wszedł do domu przed nią. Dziewczynka miała na ramionach plecak.

Ilja wyszedł na korytarz, przywitał się.

– Siedzieć! – rzuciła dziewczynka. Pies usiadł i spojrzał na panią z wyrazem mówiącym: co jeszcze raczy pani rozkazać?

Marina odpięła smycz i wręczyła ją Ilji.

– Teraz będzie wychodził tylko z panem. Z nikim więcej. Powie mu pan zawsze to samo słowo, *spazieren...* i pójdzie.

Na to niemieckie słowo suka zastrzygła uszami.

– Zrozumiała – uśmiechnęła się Ola. – Mądra suka.

– Giera? Mądra? Ona jest genialna. To przecież łajka. A łajki są najmądrzejsze ze wszystkich!

Ola zaproponowała herbatę, a potem się zreflektowała – jaką herbatę? Przecież trzeba dziewczynkę nakarmić. Zaproponowała jedzenie.

– Tylko uprzedzam, że mięsa nie jadam.

„Ale bezczelna” – pomyślała Ola, ale Marina się uśmiechnęła, pokazując drobne rybie ząbki, i obróciła zuchwalstwo w żart:

– Tak się umówiliśmy z Gierą: mięso dla niej, a cała reszta dla mnie.

I zaczęła opowiadać, jakimi to wspaniałymi psami

są łajki i że zawsze mieli je w domu, od czasów przedwojennych, ponieważ jej dziadek badał życie ludów Północy i pierwszą łajkę, szczeniaka, przywiózł prawie czterdzieści lat temu, i od tego czasu...

Ola coś tam mgliście pamiętała o jej dziadku – filologu, który sporządził słownik jakiegoś wymierającego północnego plemienia... I sam też umarł potem w północnych łagrach.

Marina jadła kaszę gryczaną. Chleb grubo posmarowała masłem. Ręce miała podrapane, jakby wychowywała nie psa, ale cały miot kociąt, paznokcie obgryzione prawie do skórek. Zjadła kaszę, cztery kromki chleba z masłem, sera ile było i ze dwadzieścia deka suchej kiełbasy z zamówień specjalnych, widocznie zapominając, że mięsa nie jada...

„Biedna dziewczynka” – pomyślała Ola i natychmiast się zerwała:

– Oj, konfiturę z moreli lubisz?

Okazało się, że bardzo.

We dwójkę zjadły więcej niż pół słoika konfitur, potem do kuchni znów zajrzał Ilja, oburzył się: „Jak to, beze mnie?” – i dojadł resztę.

Przyszedł ze szkoły Kostia, ucieszył się z psa, ale Marina go ostrzegła, że wprawdzie to pies, ale bawić się z nim nie wolno: rozszarpie.

Kostia bardzo się zdziwił: po co w takim razie taki pies?

Ola trochę się zaniepokoiła – rzeczywiście, przecież może ugryźć dziecko.

– Nie ugryźć, ale rozszarpać – cicho poprawiła ją Marina.

Suka grzecznie siedziała w miejscu, w którym zastała ją pierwsza komenda.

– Olu, dasz jej jakąś podściółkę? – dziewczynka bezceremonialnie przeszła na „ty”.

Gdy wypita herbatę, powiedziała, że musi na godzinkę wyjść. Powiedziała suce „leżeć!” – i ta położyła się na starym dziecięcym kocyku, który dała Ola.

Przez cały czas, gdy dziewczynka była nieobecna, Ilja opowiadał Oli o tym Walentynie Kułakowie.

– O dziwo, mamy jeden, zaledwie jeden punkt widzenia – na Stalina. Ale on go nienawidzi nie za krew, nie za terror, ale za sponiewieranie ideałów. Ma dość skomplikowaną koncepcję jakiejś wielostopniowej zdrady: Stalin zdradził Lenina, ale Lenin jeszcze wcześniej wypaczył Marksa, a ten, o ile pamiętam, miał jakieś nieporozumienia z Heglem, którego Marks też rozumiał niewłaściwie, nie według Kułakowa... Więc żeby życie toczyło się właściwie, zgodnie z prawami materializmu dialektycznego, trzeba wszystko sprowadzić do wspólnego mianownika, wszędzie wnieść poprawki, a Stalina zdemaskować jako przestępcę wobec idei socjalizmu. Mają tam, wyobraź sobie, całe stowarzyszenie ludzi, którzy gotowi są iść na stos za jakieś cytaciki z *Państwa i rewolucji*.

– No, tego mi nie musisz tłumaczyć, moja matka jest taka sama – zauważyła Ola.

– Nie ma z nimi nic wspólnego! To zupełnie inny typ! Ona wierzy, w co każą. A ten na własną rękę, samodzielnie poszukuje prawdy, sprawdza teksty i porównuje wypowiedzi – sprecyzował Ilja podstawową różnicę.

– Nie, moja też w coś wierzy – Ola próbowała bronić honoru rodzicielki.

Ilja prychnął:

– Wierzy. W polecenia zwierzchników. Wszyscy wiedzą, jak szczełała na Pasternaka.

Stosunki między zięciem a teściową były wyraźnie określone: czuli do siebie trwały wstręt. Ilja nie potrafił wybaczyć Antoninie, że wypędzała Pasternaka ze Związku Pisarzy. zaproponowano jej wtedy, żeby była sekretarzem zebrania, a ona z głupoty, próżności, a może ze strachu się zgodziła. Taka hańba!

Natomiast teściowa nie mogła patrzeć na zięciulka – zamaszystego, źle wychowanego. Raził ją jego głośny śmiech i nawet zapach po nim w klozecie wydawał jej się szczególnie obrzydliwy. „Śmierdzi jak zwierzę. Jakiś żydowski zapach – i za każdym razem, gdy wchodziła po nim do klozetu, paliła strzępek papieru gazetowego. – Też sobie wybrała moja dziewczynka śmierdzącego ogiera...”.

Dla Oli, która duszą i ciałem była oddana mężowi, przykre były te fluidy nienawiści wstrząsające każdym pomieszczeniem, w którym matka i Ilja znajdowali się razem, i starała się, jak potrafiła, neutralizować przestrzeń.

– Dobra, Iljuszka, co do mamy wszystko jasne od dawna, to głupstwo, ale jak możemy pomóc dziewczynce? Może fundacja jej pomoże?

Fundacja pomocy więźniom politycznym, założona przez najwybitniejszego więźnia, największego pisarza skandalistę, najbardziej kłótliwego emigranta*, już przepompowywała z Zachodu do Rosji jego honoraria i rozchodziły się one po łagrach w postaci paczek żywnościowych, a na inne adresy – jako pomoc dla rodzin osadzonych, dla jednych na zwolnienie, dla innych na leczenie. I chociaż wszyscy, którzy mieli do czynienia z fundacją, byli ludźmi uczciwymi i pewnymi, to jednak

* Aleksandra Sołżenicyna (przyp. red.).

byli też, jak to w Rosji, bałaganiarzami, toteż wszystko to czyniono chaotycznie, z błędami, mylono listy, kwoty, przesyłki, nie wszystko trafiało do właściwych rąk, zresztą i organa nie spały – łapaj złodzieja! – i toczyła się ogromna gra, na cały kraj, z pocztą, posłańcami, szyframi, rozgardiaszem...

– Komu pomagać, jeśli nie tej dziewczynce? – nalegała Olga.

– Nie, Oleńko, nie rozumiesz, jak to wszystko jest zorganizowane. Pieniądze rzeczywiście są, i to właśnie na potrzeby więźniów politycznych i tych po odsiadce. Ale rozumiesz, najpierw musi to zaakceptować Klasyk.

– Jak to, trzeba pytać o każde pojedyncze przekazanie pieniędzy?

– Niezupełnie. O ile wiem, odbywa się regularne rozsyłanie, na przykład, żywności, i ta lista jest tutejsza, tam jej nie zatwierdzają, ale jeżeli to coś specjalnego, wtedy trzeba pytać.

– A tutaj kto decyduje?

– Różne osoby. Sława, Andriej, Witia – czy to nie wszystko jedno? Ludzie się zmieniają, a rzecz się robi. Tylko gdy chodzi o takie indywidualne rozdawnictwo – to za każdym razem pytają.

– Myślisz, że nie dadzą dziecku?

– Skąd mam wiedzieć? Klasyk chyba nie zechce pomagać marksistom. Nienawidzi komunizmu. Z drugiej strony, ona jest córką więźniów politycznych, prawda?

– Oczywiście, trzeba jej pomóc. Szkoda dziewczynki. Obdarta, wygłodzona, mięsem karmi psa, sobie nie kupuje.

Marina zjawiała się pod wieczór. Przyniosła tort Praha.

Resztki kindersztuby – oceniła Olga.

Jeszcze raz napili się herbaty i Marina poszła się przebrać na podróż. Wyszła z łazienki i Ola aż jęknęła. W jasnym płaszczu zamiast dziecięcej małej kurteczki, w butach na szpilkach. Oczy wysmarowane – jak na balangę w podmiejskim hotelu robotniczym.

– Nie poznaliście mnie? Oni też nie poznają. Wiele razy już to sprawdzałam. Specjalnie w tych łachach chodzę, tak się do nich przyzwyczaili, że w ogóle mnie nie widzą, kiedy się przebiorę. Mogę kurtkę na razie zostawić u was?

Wepchnęła do plecaka zwiniętą kurtkę oraz rozdeptane bezpłciowe sandały i wsunęła plecak pod wieszak.

– Marina, może cię odprowadzić na dworzec, co? – zapytał Ilja.

– Nie, to nie będzie dobre. Po co robić im takie prezenty? – potrząsnęła głową, włosy rozdzielity się na dwoje. Marina przeczesła je od czoła do czubka rozczapierzonymi palcami, podpięła spinkę. Grzywka opadła na nos. Dmuchnęła w górę, znów potrząsnęła główką.

Ilja spojrział na nią z podziwem: taka kruszyna, a zna się na rzeczy...

– Tylko najpierw wyjdź na spacer z Gierą. Po raz pierwszy – przy mnie, dobra?

I znów było to mądre i ostrożne. Zuch dziewczuszka!

Ilja zdjął smycz z wieszaka i powiedział: „Spacer!”. Pies spojrział na Marinę, Marina potwierdziła: „Spacer!”. I suka posłusznie wyszła za zaufanym człowiekiem.

Marina odwróciła się do Oli:

– Wiesz, nigdy nie byłam w Pitrze. Jeden kumpel mnie tam ciągle zaprasza, mówi, że będzie fajnie, przyjeżdżaj na białe noce. Znam trochę te petersburskie imprezy, przyjeżdżali kiedyś do mnie chłopcy. Obiecali mi tam chatę.

W jaki to sposób w ciągu kilku minut Marina przeobraziła się z kanciastego podlotka w wyzywającą dworcową zdziwę? – zdziwiła się Olga i nieco przestraszyła: – Żeby się tylko nie doigrała! Ale Marina połapała się natychmiast:

– Olu, nie jestem ani jednym, ani drugim. Jestem – czymś trzecim! – Zaśmiała się ochryple. – Albo nawet czwartym.

I nie zmieniając intonacji, poinstruowała Olę:

– Jak oni wrócą, to ja pójdę. Wychodzę z nią dwa razy, wcześniej rano i późno wieczorem. Wcześniej, to znaczy koło godziny dwunastej. Wcześniej nie wstaję. Tylko że ona musi się dobrze wybiegać. W zasadzie łajki nie są psami domowymi. Zimno im służy i potrzebują wysiłku fizycznego. W przyszłym roku może całkiem przeprowadzę się na wieś. Dostałam taką propozycję... – I spojrzała tajemniczo, jakby oczekiwała pytań, na które nie odpowie.

Ola to wyczuła i nie zadała żadnych pytań. Ta Marina jednocześnie jej imponowała swoją niezależnością i irytowała bezczelnością, z jaką ją okazywała.

Potem dziewczynka wyszła, wszyscy położyli się spać, Kostia – w małym pokoiku przy kuchni, za zamkniętymi drzwiami, Giera na kocu w przedpokoju, a Ola z Ilją spoczęli na czeczotowym łożu z ozdobnym wezgłowiem. Ten mebel godnie służył i pierwszemu, i drugiemu małżeństwu Oli.

Noc była niespokojna: najpierw dopadł Olgę katar i kaszel. A kiedy się nad ranem obudziła, działo się coś dziwnego: twarz miała jakby ociężałą i było jej trudno oddychać. Szturchnęła Ilję, długo się budził, potem wreszcie przetaił oczy i aż podskoczył.

– Co ci jest?

– To jakiś atak. Może wezwać pogotowie?

Pogotowie przyjechało bardzo prędko, po dwudziestu minutach. I „atak” Oli też zdiagnozowali bardzo szybko. Stwierdzili: obrzęk Quinckiego. Zrobili zastrzyk dożylny, posiedzieli jeszcze dwadzieścia minut, przekonali się, że preparat działa, a przed odjazdem oznajmili, że to najpewniej z powodu psa, że to on wywołał u Olgi Afanasjewny atak alergii. Trzeba natychmiast usunąć psa z domu!

Ola doczekała do siódmej rano, zadzwoniła do Tamary i zasmarkanym głosem poprosiła, żeby zaraz do niej przyjechała. W ich szkolnych latach można było dobiec w pięć minut z placu Sobaczego do Oli, ale teraz, od Mołodiożnej, droga zabierała czterdzieści minut. Tamara nie zastanawiała się długo i o nic nie pytała: jak trzeba, to trzeba. Ubrała się szybko i po godzinie była u Olgi. W przedpokoju przywitał ją średniej wielkości pies. Nie, nie przywitał. W przedpokoju siedział pies, który nawet uchem nie poruszył na przyjście gościa. A przywitał ją Ilja. Powiesił płaszcz Tamary i otworzył drzwi do sypialni, do Oli. Pies nadal siedział przy drzwiach jak kamienny posąg.

Tamara, spojrzawszy na twarz Oli, jeszcze obrzękłą, aż jęknęła:

– Co się stało?

– A, to jest obrzęk Quinckiego – odparła Olga. – Posłuchaj, Tamarko, co to za historia! To jest pies Kułakowów. Nie znałaś Kułakowów? No, ale na pewno słyszałaś? Jak to? Nie słyszałaś? Walentin i Zina Kułakowowie? Nie, jaki plac Czerwony? On jest filozofem, marksistą, wydawał czasopismo. No, więc już ponad rok, jak oboje siedzą, a ich piętnastoletnia córka została sama. No, teraz ma już szesnaście, ale tylko pomyśl...

Na szczęście, nie zabrali jej do domu dziecka. Najpierw ulokowano ją u ciotki, ale dziewczę jest z charakterem, od ciotki odeszła po tygodniu i zamieszkała sama. Mamy jakichś wspólnych znajomych, ale nie bliskich. Poprosili, żebyśmy na jakiś czas wzięli psa, bo dziewczynka jedzie na tydzień do Pitra, nie ma go z kim zostawić. Zgodziliśmy się naturalnie. Wczoraj zjawiała się u nas – praktycznie z ulicy. Z psem. I okazało się, że mam uczulenie na psią sierść, sama widzisz. Można by psa wysłać na daczę, ale matka się nie zgodzi, na pewno. Matka jest przecież z pochodzenia wieśniaczką, rozumiesz? Dla niej pies w domu to nonsens. A na podwórku nie mamy nawet budy! Suka by uciekła i zginęła. A trzeba ją upilnować.

Tamara milczała. Nie pochodziła ze wsi, w trzymaniu psa nie widziała żadnego nonsensu, ale pracując w instytucie medyczno-biologicznym, obserwowała psy albo w klatkach, albo w wiwarium. W domu nigdy nie trzymały zwierząt. Mama Tamary psów panicznie się bała, a kotów nie lubiła. Za czasów babci był stary kot Markiz, ale po jej śmierci – żadnych zwierząt.

– Więc, Tamaroczka, potrzyмай na razie psisko u siebie, właścicielka przyjedzie lada dzień. Pies nazywa się Giera.

– Dopóki mama nie wróci z sanatorium, potrzymam, ale potem nie będę mogła, Olu – nieoczekiwanie twardo oznajmiła Tamara.

– A kiedy? Kiedy Raisa Iljniczna wraca?

– Za trzy dni. – Tamara mówiła wciąż tak samo stanowczo.

Ola pociągnęła nosem i pocałowała Tamarę w kręcone włosy:

– Jesteś niezawodna, Tomka. Ty i Gałka – więcej ta-

kich nie ma! Potrzyjmy ją do przyjazdu mamy, potem coś wymyślimy.

– A może Gałkę poprosić? Może ona weźmie psa? – w oczach Tamary błysnęła iskierka nadziei.

– Co ty mówisz! To nie jest zwykły pies, tylko dysydencki. Można nawet powiedzieć – marksistowski! I takiego psa do jaskini kagiebisty? – roześmiała się Ola już prawie zwykłym dźwięcznym głosem. – A poza tym Gałka jest na urlopie.

Z przewiezieniem nie było łatwo. Giera za nic nie chciała wleźć do moskwicza Iljuszy. Z niewzruszoną miną usiadła obok otwartych drzwiczek i przezroczytymi, żółtymi oczami patrzyła w dal. Już mieli zamiar ruszyć do metra, ale nagle Tamarę olśniło:

– Ilja, wsiądź sam do auta i kaź jej wejść.

– Chytrze – ocenił Ilja, siadł przy kierownicy i kładąc rękę na siedzeniu, polecił:

– Leżeć!

W psich oczach pojawiła się chwilowa rozterka, suka wstała, lekko wskoczyła na siedzenie i położyła się, wyciągając przed siebie łapy. I westchnęła jak człowiek. Miała wyraźnie za mało miejsca, ale jej psie oblicze przybrało wyraz godnej pokory.

Tamara usiadła z tyłu i pojechali.

Wieczorem Tamara zadzwoniła do Oli i oznajmiła, że pies uciekł, wyrwał się razem ze smyczą, której Tamara nie zdołała utrzymać, i gdzieś pognał.

Tamara długo biegała po okolicznych podwórkach, wypytywała psiarzy, ale nikt nie widział łajki. Na drugi dzień rozwiesili ogłoszenia w okolicznych domach i przy stacji metra Mołodiożnaja. Czekali. Nikt nie odpowiadał na ogłoszenia.

Tymczasem Ilja spotkał się z dysponentem funda-

cji i zapytał, czy będą mogli jakoś pomóc dziewczynce, której rodzice siedzą w łagrze. Obiecali, że rozpatrzą sprawę.

Trzy dni później wcześniej rano do drzwi zadzwoniła Marina.

Olga od razu powiedziała jej o zaginięciu psa. Marina usiadła na podłodze w przedpokoju i chwyciła się za głowę. Kiedy odjęła ręce, okazało się, że całą twarz ma pokrytą czerwonymi krostkami.

– Boże, co ci jest? Alergia? – wykrzyknęła Olga.

– Nie, muszę do łazienki! Niepotrzebnie pojechałam.

– Było okropnie – pociągnęła nosem Marina i wpadła do łazienki, nie zdejmując płaszcza.

Pluskała się długo, dopóki nie obudził się Kostia. Musiał umyć zęby, zbierać się do szkoły. Ola zapukała do łazienki – drzwi od razu się otworzyły. Chuda jak rybi szkielet, cała w czerwonych plamach, zadrapaniach i siniakach, stała przed nią Marina w mokrych majtkach i staniku. Cała jej odzież pływała w wannie, a powierzchnia wody była pokryta drobnymi bordowymi grudkami. Boże miłosierny, to były pluskwy!

Ola kazała Kostii umyć się w kuchni. Pospiesznie dała mu śniadanie i wyprawiła go do szkoły. Potem wyciągnęła z komody nocną koszulę i dała Marinie.

– Chodźmy napić się kawy.

Ilja wyjechał. Pewnie gdyby był w domu, nie znalazłyby takiego porozumienia: były jak siostry – dorosła Ola i młodsza, zagubiona i pogryziona przez armię pluskiew Marina.

– Pierwszej nocy było nieprzerwane pijaństwo. Był tam mój kumpel, straszna świnią, przedtem mnie zapraszał, zapraszał, a w środku nocy poszedł sobie z jakąś dziwką, zostawił mnie z nieznanym towarzy-

stwem. Rano chodziłam z tym towarzystwem po Pitrze, deszcz, zimno, piliśmy wódkę w barach, kupiłam jakiś pasztecik, włóczyliśmy się przez cały dzień, na nocleg nikt mnie nie zapraszał, mój kumpel w ogóle przepadł. Dzwonię do niego, a tam mi mówią, że od tygodnia w domu go nie ma. Co robić? Poszłam na dworzec, biletów żadnych nie ma. Zadzwoiłam do jeszcze jednej dziewczyny, przyjaciółki mojej koleżanki. Zaproponowała, żebym się z nią powłóczyła. Trzy godziny czekałam na nią na Dworcu Moskiewskim. Pysk koszmarny – poszłam za nią.

Przyprowadziła mnie do Sajgonu, to taka knajpa, coś w rodzaju naszej Mołodiożnej. Tam mi się spodobało, poznałam grupę chłopaków. Pojechaliśmy za miasto, do Peterhofu, dwa dni się tam szwendaliśmy. Pieśniadze mi się skończyły. Wszyscy się rozjechali, gdzieś się podziali, zostali dwaj chłopcy – zaprowadzili mnie do uniwersyteckiego akademika, był pusty. Studentów nie ma, wszyscy na feriach, ale przemykają jakieś bandyckie mordy. No i w ogóle... Krótko mówiąc, zostaliśmy na noc w jednym pokoju. Tutaj to i owo opuszczę, żeby cię nie przerazić. Do ostatniej chwili niczego nie rozumiałam, ale nie wrzeszczałam. Po co wrzeszczeć? – sama sobie jestem winna. Porwałam się z motyką na słońce i dostałam za swoje. No, przez chwilę się broniłam, ale byli silni, nie dałam rady. Potem padłam jak martwa. Szczerze mówiąc, upiłam się. Budzę się w nocy – jakby mnie ktoś polał wrzątkiem. A tu jasno, przecież to te pieprzone białe noce. Bardzo nieprzyjemnie, ja w ogóle lubię noc, a tam ani dnia, ani nocy, jakiś półmrok bez końca. Całe ciało mnie pali. Wytrzeszczam oczy – ściany całe w groszki, a te groszki się ruszają – idą na mnie. Patrzą – cała jestem w pluskwach.

Takiej ilości nigdy w życiu nie widziałam. Całe chmary, stada. Nie ma się gdzie umyć, w ubikacji w końcu korytarza tylko muszla klozetowa. Jakoś się pozbierałam. Wtedy zobaczyłam, że jeden chłopak zwiął, a drugi śpi jak kamień. Przetrasnęłam mu kieszenie, wzięłam całą forszę, jaką miał – na bilet powinno starczyć, nawet na dwa, myślę. Dziwisz się? A co? Dobrze zrobiłam... Myślę, kto mnie wczoraj bzykał – ten czy tamten? Zdaje się, że obaj. Nie pamiętam. A, to i tak bez różnicy. No i dałam nogę. Od razu na pociąg podmiejski, potem na Dworzec Moskiewski. Biletów nie ma, ale zapłaciłam konduktorce, umieściła mnie u siebie. Przespałam całą drogę. Tyle że się czochrałam jak świnia. Dopiero teraz to zobaczyłam – pluskwy powłaziły w podpinkę płaszcza, powolutku stamtąd wypęłzają i żrą mnie. Nie bój się, wszystkie utopiłam, zalałam wrzątkiem. Ola, co ty? Czemu ryczysz? Nie rycz, proszę cię, bo ja też się rozryczę. A teraz jeszcze to – Giera przepadła!

Łzy obficie pociekły po wgłębieniach policzków do małego podbródka. Strumienie spotkały się i rozlały szeroko. Łzy były mocne i słone, jak krew.

– To nic, to nic, wszystko będzie dobrze – szeptała Olga. – Znajdziemy Gierę, rodziców zwolnią, wszystko będzie dobrze...

Marina, która już nieco ucichła, nagle zawyła:

– Co dobrego? Co? Ci idioci wrócą i znowu się wezmą za swoje. Oni są chorzy, trzeba ich posłać do domu wariatów, a nie do pierdła. W moim życiu tylko to jest dobre, że ich nie ma. Pierwszy raz uciekłam z domu, jak miałam dziesięć lat. Nie potrafiłam wytłumaczyć dlaczego. A teraz potrafię. Nie byłam im potrzebna, tylko przeszkadzałam! Wszystkie dzieci miały normalne życie, a u mnie tylko posiedzenia w kuchni: Marks,

Lenin, Lenin, Marks! Nienawidzę. Teraz też nie wiem, jak mam żyć. A kiedy wyjdą, to już w ogóle...

Kawa dawno wystygła.

– Podgrzej – poprosiła Marina.

– Zaparzę świeżą...

– Zwariowałaś? Podgrzej, wystarczy... Nie masz papierosów?

Ola nie paliła – jakoś nie nauczyła się przy Ilji. Rozejrzała się po pokoju, czy Ilja nie zostawił papierosów. Wypiły starą, podgrzaną kawę, zaparzyły jeszcze jeden ekspres. Ola chciała zatrzymać Marinę u siebie, ale akurat dziś nie mogła – matka miała nocować w domu, rano wybierała się do przychodni na badania.

– Odprowadzę cię – zaproponowała Olga. Wsiadły do trolejbusu nr 15 i pojechały na Cwietnoj Bulwar, gdzie w oficynie dawnej Truby, w dwupiętrowym domu na parterze, mieszkała rodzina Kułakowów.

Przykrości tego dnia się nie skończyły. W bramie nie było światła – ciemno i smród. Drewniana podłoga cała w kałużach. Drzwi wejściowe strzeliły sprężyną i zatrzasnęły się.

– Ola, przytrzymaj drzwi, ni cholery nie widać.

Marina przyjrzała się: drzwi do jej mieszkania wyłamane, a do futryny przyklepiona jakaś kartka.

– Znowu tu byli...

Weszły do mieszkania. Marina przekręciła kontakt – światła nie ma. Całe mieszkanie zalane. Było widać, że awaria zdarzyła się nie dziś, lecz kilka dni wcześniej. Woda częściowo spłynęła, wcześniej sięgała wyżej. Napęczniałe książki leżały w wodzie jak topielcy. Zapach też był śmiertelny.

Marina nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem. Olga się przestraszyła: chyba nie zwariowała?

– Cztery dolne półki regału przemokły! Patrz, Olu, dokąd woda sięgała! Tapczan cały przemókł, poduszki, kołdra! To szczęście! Szkoda, że nie pożar! Nie, potop jest lepszy! Olu, zaraz to wszystko wyrzucimy! Wszystko wyrzucimy do diabła! Wszystko, czego ubecy nie zabrali! Platona! Arystotelesa! Hegla! I po niemiecku też! I Karla-Marla, i Engelsa!

Podskoczyła do regałów, zaczęła zrzucać z nich i przemoknięte, i zupełnie suche tomy, które spadały w płytką zaśmierdłą wodę z ciężkim pluskiem, leciały jakieś strzępki obrazków, kawałki tapet, wazoniki...

– „Nad równiną morza siwą wichur kłęby chmur gromadzi. Między morzem i chmurami dumnie ptak szybuje chyży, rzekłbyś: czarna błyskawica. To skrzydłami fale muśnie, to się w chmury strzałą wzbije, krzyczy ptak – i chmury słyszą pieśń radosną w śmiałym krzyku”*.

W pożyczonym ubraniu (czarnym swetrze Oli i w spodniach, ściągniętych paskiem Iljuszy), włożonym po zatopieniu pluskiew, Marina miotła się po pokoju, ciskała książki z półek i wrzeszczała:

– „Jest w tym krzyku żądza burzy. Siłę gniewu, płomień pasji, ufność w tryumf i zwycięstwo słyszą chmury w krzyku owym. Niech potężniej zagrzmie burza!”. Do kurwy nędzy! Oleńko, niczego nie rozumiałaś? Ja przecież jestem cudownym dzieckiem! Wszystko to czytałam! Nawet *Państwo* Platona! Mając czternaście lat, czytałam Arystotelesa. Hegla nie czytałam, ale *Manifest komunistyczny* tak! Żeby zdechł! Potop! Mamy potop! Wreszcie mamy potop! Wszystko wy-

* Tu i dalej Maksym Gorki, *Pieśń o zwiastunie burzy*, przełożył Julian Tuwim.

rzucę i zrobię remont! Sama! Wszystko umyję, wybie-
lę! Wszystko będzie białe jak śnieg!

Olga zrozumiała, że tak właśnie będzie, i zaczęła wnosić rozmokłe książki na śmietnik. I niebieskiego Lenina, i czerwonego Stalina, i cały materializm historyczny i materializm dialektyczny, i całą ekonomię polityczną...

– Razem z pluskwami! Nie myśl sobie, u nas też są pluskwy. Mniej niż w Peterhofie... ale też wystarczy! – krzyczała Marina.

I Oldze także zrobiło się wesoło. Oto oni: ojcowie i dzieci! Kułaków wypuszczą – Walentina za dwa lata, Zinę za rok, potem jeszcze trzy lata zesłania, a kiedy wrócą – będzie tu życie czyste i białe.

Jedno nie było jasne: jak ona przetrwa sama tyle lat, ta narwana, śmiała, zuchwała dziewczyna, cała pokąsana przez pluskwy, zgwałcona przez dwóch alkoholików, bezlitosna dla siebie, bezlitosna dla rodziców... delikatna mała dziewczynka.

Za trzecią wizytą w śmietniku, przy ogromnej zbitej z grubych desek skrzyni Ola odkryła siedzącego dużego psa. Była to Giera... sama wróciła do domu z Mołodiożnej na Cwietnoj Bulwar. Prawdziwie dysydencki pies.

CIEŃ HAMLETA

Ilja przyniósł wejściówkę na pokaz przedpremierowy. Zdobył ją Alik, oświetleniowiec z teatru, przyjaciel Ilji z dawnych czasów. O premierze nie było mowy, wszystkie bilety, co do jednego, od dawna wyprzedano. Przepustka była na jedną osobę. Na osobę Oli. Ola nie posiadała się z wdzięczności.

Przedstawienie grano dla „rodzin”, wszystkie miejsca zajęte, siedziano w przejściach. Ale pierwsze dwa rzędy były wolne – tam siedzieli twórcy: Lubimow – wspaniały jak wódz przed bitwą, sam mógłby grać władnego króla albo wielkiego łotra, albo Pana Boga, ponury scenograf o wielkich żabich ustach, młody chudy kompozytor, asystent reżysera i jeszcze kilka osób.

Wchodząc na salę, Ola poczuła chłodnawy zachwyt i niepokój, jakby miała zdawać ważny egzamin. Wszystko było jakieś powiększone, pisane wielką literą: Teatr, Reżyser, Hamlet, Szekspir, sam Wysocki. Usiadła w przedostatnim rzędzie, z boku i długo jeszcze kręciła głową, bo i publiczność była odpowiednia do wydarzenia, wszyscy pisani wielką literą i niemal piękni. Nagle poczuła, że ktoś z tyłu położył jej rękę na ramieniu, a głęboki, przyjemny głos odezwał się na wpół pytająco:

– Olga?

Odwróciła się. Gruby facet we wschodnim typie miał w sobie coś znajomego.

– Karik? Mirzojan? – ucieszyła się na widok dawnego kolegi z roku, w pierwszej chwili zapominając, że to on wyrzucał ją najpierw z komsomołu, a potem z uczelni. Tak, właśnie w takiej kolejności.

Rozpłynął się ze szczęścia i teraz Ola rozumiała: myśli, że zapomniałam. Zresztą, przecież rzeczywiście zapomniała. A, do licha z nim!

Wtem ziemistobrązowa kurtyna zakołysała się i popłynęła, wzbijając tumany kurzu, wszystko zamarło i ukazał się niewysoki, ubrany w coś czarnego, jakby dres, Wysocki-Hamlet, i nie patrząc na salę, z głębi sceny powiedział sam do siebie:

– Ucichł gwar. Wyszedłem z za kulisy...*

Oli ciarki przebiegły po rękach, po plecach. I tak wszystko trwało do samego końca, na jednym oddechu, a tekst jakby dopiero co się urodził, jakby pierwszy raz go usłyszała.

Olga całkiem zapomniała o Kariku i gdy się spotkali w zatłoczonej szatni, jakby na nowo go rozpoznała.

– Olga, ty ani trochę się nie zmieniłaś – uśmiechnął się do niej masywny orientalny typ o łysym czole. Olga bardzo mu się podobała w latach studenckich, nawet próbował się do niej zalecać, ale wtedy znajdowała się na prawie nieosiągalnej wysokości. A teraz on też zajmował przyzwoity szczebel. I podobała mu się bardziej niż w młodości. Twarz zapłakana, a oczy błyszczą. Szczupła jak dziewczynka. W młodości pociągały go kobiety o obfitych kształtach, żonę też wybrał okrągłą

* Borys Pasternak, *Hamlet*, z Wierszy Jurija Żywagi, przełożyła Ewa Rojewska-Olejarczuk.

jak bałwanek śniegowy. Ale ostatnio zaczęły mu się bardziej podobać właśnie takie – szczupłe i promienne. Bardzo rzadkie ptaki.

Wziął z jej ręki numerek, przyniósł jej kurtkę. Kurtka z kapturem, lekka, nie na tę porę roku.

– Odprowadzę cię – nie zaproponował, ale oznajmił, a ona kiwnęła głową:

– Dziękuję.

Wziął ją pod rękę:

– Do metra czy przejdziemy się trochę? Nie zmarzniesz? Za lekko się ubrałaś.

– Ależ ja nie marznę. Ojciec z Wołogdy, więc jestem z Północy.

– A ja z Baku. Od tylu lat mieszkam w Moskwie, a nie mogę się przyzwycząić do zim.

– Ach, co za przedstawienie! Po prostu genialne! W ogóle bardzo lubię Teatr na Tagance, bardziej niż Sowriemiennik. Nawet nie da się porównać, ale to – po prostu brak mi słów!

Szli długo, od Taganki wyszli na Kotielniki, przecięli tory tramwajowe przy Ustińskim Moście, przeszli przez Solankę i wciąż rozmawiali o Lubimowie, o Wysockim, o sztuce współczesnej, tym jedynym, co jeszcze oddycha i rozwija się w dusznym zastoju codzienności...

Karik potakiwał, potem zszedł na tematy powszednie: co u ciebie, jak żyjesz?

– Wciąż to samo, tyle tylko że męża mam innego.

– A co z pracą?

– No, jak by ci powiedzieć? Oczywiście, pracuję. Nie w biurze, mam zlecenia – referaty, lekcje, czasem prelekcje.

– A jakie znasz języki? Francuski, tak? – zainteresował się Karik.

– Francuski bardzo dobrze, mogę przekładać synchronicznie, na piśmie, z hiszpańskim trochę słabiej, ale też nieźle. Moją ostatnią miłością jest włoski. To nie jest język, ale śpiew, sam wchodzi do głowy. Opanowałam go praktycznie w ciągu roku. Ale sam rozumiesz, stałej pracy nie mam, tylko tak – raz więcej, raz mniej.

– A twój hiszpański jest hiszpański czy hiszpański kubański? – spytał.

– Mój hiszpański jest hiszpański – westchnęła Ola. – Ale dyplomu nie mam. Może pamiętasz, że mnie wyrzucono z piątego roku?

Karik się roześmiał:

– Jak mam nie pamiętać, skoro sam cię wyrzucałem. Byłem przecież sekretarzem komsomołu, właśnie wstępowałem do partii. Sama rozumiesz, dyplom na karku, pięciu języków jak ty nie znałem. Zresztą, języki zawsze szły mi trudniej. Ormiański to mój język ojczysty, azerski znam z podwórka, a rosyjski ze szkoły. Z podwórka też. Ale my, z Kaukazu, mamy niemożliwy do usunięcia akcent. Powiem ci szczerze, miałem roczny staż w Anglii, ale nie pomagało, więc nie zostałem szpiegiem.

– To nic! Za to zostałeś kagiebią – roześmiała się Ola.

– Olu, a czy twój ojciec nie jest z tego resortu? – uśmiechnął się Karik, wcale nie obrażony.

– Nie, ojciec jest wojskowym, budowlańcem, już na emeryturze. W naszej rodzinie mama jest mocno partyjna, to prawda.

– Tak, pamiętam, że twoja rodzina była jakos wysoko postawiona. Mój dziadek był pastuchem, ojciec na bazarze piekł podpłomyki, a dzieci było ośmioro. Wyczuwasz różnicę?

Oli zrobiło się niezręcznie: różnicę wyczuwała.

– A w sprawie pracy mogę ci pomóc. Jestem referentem w Komisji Zagranicznej. Etabu nie załatwię, ale do doraźnych prac zatrudnić mogę. Właśnie zwolniła się u nas tłumaczka – ty ją przecież znasz, z naszego roku, Irka Troicka! – a za dwa tygodnie przyjeżdża pewien południowoamerykański pisarz, niemal klasyk. Co prawda będzie się to wiązać z wyjazdem albo do Leningradu, albo do Taszkientu. Towarzyszenie, spotkania, sama rozumiesz. Chcesz, to cię zatrudnię? Nie zawiedziesz mnie?

Mój ty Boże, a jednak facet nie jest całkiem bez sumienia! Chce mi zrekompensować to, że mnie wyrzucił z komsomołu...

Doszli już do placu Dzierżyńskiego. Olga zmarzła i chciała wejść do metra. Odprowadził ją do samej bramy, pożegnali się, nie wymieniając telefonów.

Karik zadzwonił po dwóch dniach, kiedy Olga zapomniała o ich rozmowie, tylko o *Hamlecie* wciąż pamiętała, opowiadała, nie mogła się powstrzymać. Zresztą cała Moskwa huczała – premiera sezonu, wielkie wydarzenie teatralne. Wszyscy spieszyli, żeby jak najprędzej obejrzeć spektakl, bo Lubimow zawsze miał jakieś kłopoty: a to zdejmują z afisza gotowe przedstawienie, a to zakazują wystawienia jeszcze na etapie prób.

Karik poprosił, żeby wpadła do niego w godzinach pracy. Ola mieszkała o trzy minuty pieszo, jeżeli iść głównym wejściem, a jeśli przez podwórze, to jeszcze mniej.

Miał prążkowany garnitur w paski, uszyty w atelier Domu Literatów, Ola od razu się domyśliła. Krawat też w paski. Potem, kiedy zeszli do kawiarni i usiadł, zakładając nogę na nogę, okazało się, że skarpetki też ma

w paski. Ale tu już Ola się powstrzymała, nie pozwoliła sobie na żadną złośliwość. Pamiętała: dziadek pastuch, ojciec na bazarze piekł placki...

– Przyjeżdża ich dwóch. Jeden to pisarz, a drugi profesor, obaj są bardzo znani. Pisarz jest z Kolumbii, a ten drugi z Hiszpanii, sławny profesor. Podpiszemy umowę zlecenia, sam udzielę ci instrukcji, i do przodu! Przyjeżdżają pierwszego lutego.

Tego dnia w Komisji Zagranicznej panował wielki zamęt. Poprzedniego dnia przyjmowano zachodnio-niemieckiego poetę, sławnego młodego lewaka. Wizyta była pożegnalna, wieczorem odleciał do swoich Zachodnich Niemiec. W ZSRR wybitnego Niemca o wyzywająco esesmańskiej spłowiałej gębie zawieziono do Baku na konferencję pisarzy, gdzie nawiązał romans z córką tłumaczki i teraz cała Komisja Zagraniczna była bardzo wzburzona.

Wczoraj owa młoda bezwstydnica, którą przywłókł ze sobą na oficjalny rytuał pożegnalny, wisiła na nim jak smark na brodzie, a pod koniec posadził ją sobie na kościstym półtorametrowym kolanie. Jej matka zaś, sama również poetka, laureatka Nagrody Stalinowskiej, tłumaczka jego wierszy „à la Majakowski” z przekładów filologicznych, z twarzą w przedwylewowym buraczkowym kolorze udawała, że niczego nie zauważa.

W tej nerwowej sytuacji na Olę w ogóle nie zwrócono uwagi. Nawiasem mówiąc, Ola dobrze знаła córkę pisarki z obozu pionierskiego w Arteku, dokąd posyłano latorośle wybitnych postaci, potem z młodzieżowego towarzystwa podmoskiewskiego osiedla literatów Pieriedielkino, a wreszcie też z wydziału filologii.

Wtem zjawił się Karik ze starszą panią o niezadowolonej minie:

– Olu, to jest nasza bogini księgowości, Wiera Aleksiejewna. Da ci pewną kwotę pieniędzy do rozliczenia, wszystko wyjaśni, a potem wpadnij do mnie.

Tych dziesięć dni zupełnie wstrząsnęło światem Oli. Pisarz, ogromny i brodaty, podobny równocześnie do Hemingwaya i do Fidela Castro, z zachwytem przywitał ją słowami, które zrozumiała dopiero poniewczasie:

– O Madonna! Myślałem, że będzie nam towarzyszyć drużyna kagiebistów, a przydzielono nam anioła. Szkoda, że jednego na dwóch!

Ola oficjalnie wyciągnęła do niego rękę, a on pocałował ją w głowę. Profesor patrzył z dezaprobatą, nie biorąc udziału w skeczu.

Ola odwiozła ich służbowym samochodem do hotelu Metropol. W holu spytała, czy nie trzeba im czegoś, i wsunęła im do rąk dwie teczki i dwie koperty z niewielką kwotą pieniędzy – na drobne wydatki. I poprosiła o podpis.

Pisarz szepnął coś na ucho profesorowi, tamten zzieleniał i wysyczał coś, czego Ola nie zrozumiała.

Jedyne słowo, które zrozumiała, to było „mierda” – gównno.

Pisarz się roześmiał i lekko szturchnął profesora łokciem w brzuch. W recepcji Olga wypełniła potrzebne papierki i wydano im klucze.

– Poczekam tu na panów, a potem pójdziemy na kolację.

Ola usiadła na aksamitnej kanapce pod ścianą i zamysliła się: wszystko to było dosyć zajmujące, jednak nie trzeba było brać tej pracy. To jakieś dziwactwo, siedzi tu jak służąca. Poniżająca praca.

Pierwszy zszedł brodaty i od razu rozwiązał jej wą-

pliwości. Uśmiechnął się po przyjacielsku, konfidentycznie nachylił do jej ucha:

– Zauważyłaś, jaki był skwaszony? Szepnąłem mu, że to nasze diety od KGB! I trzeba podpisać, że przyjęliśmy pieniądze! Jest takim sztywniakiem, że lubię się z nim trochę podroczyć.

Po dziesięciu minutach zszedł też profesor. Poszli do restauracji. Goście rozglądali się dookoła, podziwiając stiuki i lustra. Pisarz cmoknął językiem:

– Prawdziwy komunistyczny luksus!

Okazał się żarłokiem, zamówił i przekąski, i zupę, i dwa drugie dania. Wypił do tego półtorej butelki wina, domagał się informacji o miejscowej kuchni. Profesor zachowywał się powściągliwie, wyglądał na zmęczonego. Po kolacji pisarz zażądał, żeby Ola natychmiast zaprowadziła ich na plac Czerwony.

– Ja też bym się trochę przeszedł – podniósł się profesor.

– To tuż obok, jesteśmy o dwie minuty drogi od placu Czerwonego – zapewniła Ola.

– No, ja bym ci nie radził. Byłem tu w pięćdziesiątym siódmym na Festiwalu. Jest tu taka narodowa osobliwość – do Mauzoleum można podchodzić tylko na kolanach.

Profesor, przestraszony, zatrząsł obiema rękami:

– Nie, nie, Pablo, nigdzie nie pójdę! Zostanę w pokoju.

Ola połapała się błyskawicznie, że uczestniczy w dowcipie. Pisarz lekko do niej mrugnął: pomóż!

– To już jest zniesione! Można nie iść na kolanach. Na kolanach – tylko ci, co chcą...

Pisarz zarechotał tubalnie. Profesor pokręcił głową, roześmiał się:

– A idź do diabła, wiecznie mnie... – następnego słowa Ola nie zrozumiała, ale uchwyciła sens.

Program był bardzo napięty. Codziennie po dwa spotkania z pisarzami, śniadania, obiady, kolacje, Teatr Bolszoi, Galeria Tretiakowska... i z każdym dniem pisarz zdawał się coraz bardziej znudzony, jakby spodziewał się po tej wizycie czegoś innego.

Wtedy nadszedł czas wyjazdu do Leningradu. W Leningradzie pisarz się ożywił: za pierwszym pobytym nigdzie go nie wożono, a teraz zachwycił się miastem, które – słusznie – przypominało mu Amsterdam, a równocześnie – z pewną przesadą – Wenecję.

Ola nie mogła tego skomentować, bo wszystkie miasta po drugiej stronie granicy ZSRR znajdowały się w sferze wyobraźni, literackiego mirażu, a ten mieszkaniec bananowej republiki, gdzie diabeł mówi dobranoc, był obywatelem świata – studiował w Paryżu i Nowym Jorku, jeździł po całej Europie, wszędzie dużo jadł, pił, dużo czytał, pisał, co chciał... I cieszył się, wszędzie i nieprzerwanie cieszył się życiem. Sprawiał mu przyjemność nawet śnieg z deszczem, który w Leningradzie ani przez chwilę nie przestawał padać. Rano w korytarzu hotelowym Ola zauważyła wychodzącą z jego pokoju potężną niczym gladiator dziwkę.

„To nie moja sprawa” – i poszła do windy.

Ostatnią częścią programu był Taszkient. Lot był nieudany, z przesiadkami, opóźnieniami. Marzli na lotniskach. Wreszcie dotarli. Wyszli – świt, ciepło, słońce wypłynęło spoza horyzontu po prostu na ich oczach.

Ola nigdy nie była w Azji Środkowej, od dawna chciała zobaczyć tę nieznaną stronę świata. Ilja lubił te

strony, w ogóle mieli zamiar pojechać tam razem, ale wciąż się nie udawało. Nie wyjeżdżali dalej niż nad Bałtyk.

Tak się jednak złożyło, że nie udało im się nic obejrzeć – wylecieli z Taszkientu wieczorem następnego dnia w pośpiechu i z awanturą.

Rano pierwszego dnia zaprowadzono ich do rządowego gmachu w stylu barakowo-stalinowskim i wprowadzono do długiej sali ze stołami nakrytymi w orientalnym guście. Wzdłuż wielometrowego stołu siedzieli – ci ze wschodu w tiubietijkach i ci nie ze wschodu bez tiubietijek – sami mężczyźni w średnim wieku w jednakowych ubraniach i jednakowych krawatach. Był ciepły, prawie upalny luty, w sali mocno śmierdziało zeszłorocznym potem. Przyjęcie było według pierwszej kategorii: działacze partyjni, władze miejskie.

Prawdopodobnie zaszło jakieś nieporozumienie – nie wiadomo dlaczego władze lokalne doszły do wniosku, że podejmują delegację rządową zaprzyjaźnionego kraju.

Chile, Peru, Kolumbia – dla partyjnych funkcjonariuszy to jedno i to samo. Pracowali. A ich praca polegała na tym, że wygłaszali mowy.

Już pierwsza wprawiła Olę w rozpacz: nie nadawała się do przekładu. Nachyliła się do Pabla i powiedziała mu to. Kiwnął głową i poprosił, żeby zaczęła mu recytować jakieś rosyjskie wiersze – brzmienie rosyjskiej mowy bardzo mu się podobało i szybko wszystko zapamiętywał.

– Dobrze, powiem ci *Eugeniusza Oniegina*, powieść wierszem Puszkina.

I zaczęła się artystyczna deklamacja na ucho, do-

kładnie zgrana z przemówieniami mówców. Ola dzieliła strofy w taki sposób, żeby odpowiadało to pauzom w przemówieniach i zmianom mówców.

Przy rozdziale czwartym Pablo poczuł się zmęczony. Profesor siedział bliski omdlenia.

– Dobra, starczy, trzeba skończyć ten skandal. José, błagam, przyłącz się, chociaż raz w życiu! – poprosił profesora.

Kiedy kolejny, ale wcale nie ostatni mówca skończył i wszyscy zaklaskali, Pablo wyszedł ze swojego honorowego miejsca, ciągnąc za sobą lekko opierającego się kolegę i Olę, której nie trzeba było ciągnąć, sama pobiegła. Stał przy mównicy udekorowanej czerwonym pluszem i powiedział mocnym głosem oratora:

– W moim kraju jest taki obyczaj – śpiewa się przyjaciółom pieśni dziękczynne. Więc zaśpiewam wam naszą ulubioną pieśń, którą Kolumb przywiózł do Ameryki z Hiszpanii pięćset lat temu.

I zaśpiewał. Była to *La Macorina*, szlagier, który jeszcze nie dotarł do Moskwy, a tym bardziej do Taszkientu. Pablo skakał, wymachiwał rękami, przyciągał do siebie José, który tym razem, zmęczony wziętą na siebie rolę starego i mądrego przyjaciela, zawsze wystawianego na pośmiewisko, całkowicie oddał się do dyspozycji śpiewaka.

Refren piosenki – „Połóż mi rękę tu, Macorino!” – powtarzał się z dziesięć razy i Pablo pomysłowo przykładając rękę José do różnych części swojego ciała, stopniowo przybliżając się do miejsca maksymalnej męskiej odpowiedzialności.

Na zakończenie występu Pablo podniósł zaciśniętą pięść w przestarzałym, a w tej części świata wcale nieznanym geście i powiedział do Oli:

– A teraz tłumacz! Niech żyje nauka Marksa-Engelsa-Lenina-Stalina! Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

Zaklaskał sam sobie, poparły go zgodnie zupełnie zbite z tropu tiubietejki. Obok Oli stał pracownik odpowiedzialny za przeprowadzenie spotkania na najwyższym szczeblu, tak blady, że można to było zauważyć nawet na twarzy ogorzałej od azjatyckiego słońca, i szeptał:

– Olgo Afanasjewno! Co się tu dzieje? Dokąd on idzie? Przecież my za niego odpowiadamy! Rozwala nam imprezę!

– Olu, powiedz im, że wylatujemy dziś, niech zmienią bilety. Powiedz mu, żeby poszedł w cholere, że jutro mamy spotkanie na najwyższym szczeblu! – Kolumbijski pisarz wydał mięsiste policzki, tak że poruszyły się jego bujne wąsy, i wzniosł oczy ku niebu. – Powiedz, co chcesz!

Olga przetłumaczyła.

– A co z Azją Środkową, którą tak chciałeś zobaczyć?

– Już się napatrzyłem, starczy! Do dupy!

– Pokoje w Moskwie na dziś nie są zamówione! – wysunęła Olga rozsądny argument przeciw przedwczesnemu wyjazdowi, ale Pablo nawet nie chciał słuchać:

– Przenocujemy u ciebie w kuchni!

– Zwariowałeś? W jakiej kuchni?

Rozejrzał się dookoła, piętnastu działaczy stało z tyłu wyczekująco, niczego nie rozumiejąc.

– Nasi goście proszą o wybaczenie, ale będą musieli wylecieć dzisiaj, ponieważ jutro zostaną przyjęci w KC partii.

– Skandal! Skandal! Czy on rozumie, co robi? – szeptał Oldze Afanasjewnie na ucho odpowiedzialny specjalista...

Scena finałowa rozegrała się po trzech dniach, kiedy Olga oddawała rachunki w księgowości. Zadzwoił telefon.

– Karen Awetisowicz prosi panią do siebie – przekazała Oli księgowa.

Karik siedział przy biurku z królewską miną:

– Co się tam u was stało, możesz mi powiedzieć?

Olga wszystko uczciwie opowiedziała.

– No tak, weź papier i pisz sprawozdanie.

– Jakie sprawozdanie? Przecież oddałam.

– To było finansowe, a to do KGB – chłodno oznajmił Karik.

– Coś ty? – oburzyła się Olga. – Nie będę pisać żadnych sprawozdań. Tak się nie umawialiśmy.

– A jak się umawialiśmy?

Olga oparła czoło na dłoniach. Co z niej za idiotka! Oto teraz napisze sprawozdanie i straci na wieki dobre imię. Tak właśnie ludzie stają się kapusiami.

Wyjęła z torebki dopiero co otrzymane w księgowości duże pieniądze – czyste sumienie jest droższe.

– Powiedzmy, że tu nie pracowałam. Oto moje honorarium i zamykamy sprawę.

– Przejdźmy się, taka ładna pogoda – zaproponował Karik i grubym palcem wykonał okrężny ruch nad głową.

„Aha – ze złośliwą satysfakcją pomyślała Ola. – Też się boisz podsłuchu!”

Wyszli w milczeniu, Ola szła przodem, a on za nią. Przecięli ulicę Worowskiego, skręcili w pierwsze lepsze podwórze w zaułku Trubnikowskim. Usiedli na ławce.

– Czego ty się boisz? Są zasady gry i zgodnie z nimi

należy grać. Najważniejsze, żeby być porządnym człowiekiem. Ja w swoim życiu jeszcze nikomu nie zrobiłem nic złego. I wszystkim pomagałem. Ale zgodnie z regułami.

Olga wymyślała sobie w duchu: „Idiotka! Kretynka! Tandeciara!”.

– A ten Pablo ma inne zasady, tak? Taki komunista, a ze wszystkimi swoimi się pokłócił, i nic mu nie zrobili. Nie boi się, bo go nie bili, nie zarzynali. A moja rodzina uciekła z Turcji, wyrznęli tam wszystkich Ormian, ilu ich było. Wiesz, co ci powiem? Biedni zostali, bogaci uciekli. Pieniądze uratowały im życie. Teraz nie ratują. Teraz życie chroni władza. Kim jest ten Pablo? Zwykłym chuliganem! Chwiejny moralnie. Fakt! Trzy razy żonaty, w Leningradzie kurwy do pokoju sprowadzał! Ty nie widziałaś, więc nie pisz! Politycznie jest... szkoda słów. Ale on słów nie mówi, wygłupia się, piosenki śpiewa. Prawdę mówię czy nie? No więc pisz – wygłupia się, śpiewa piosenki. Ale pamiętaj – tylko prawdę! No, może nie całą prawdę! Ale zasady trzeba szanować. Myślisz, że jestem taki ideowy? Ideowy, oczywiście, ale swoich przyjaciół nie wydam. Milczysz. Przypominasz sobie, jak cię wyrzucałem z komsomołu? To był twój błąd. Po co się pchałaś do obrony docenta, po co podpisywałaś petycje? Naruszył zasady, to on wszystkich zdradził! Ilu ludzi z jego powodu straciło pracę i tak dalej... Skąd się taki wziął? Pewnie nie wiesz, że z nami współpracował? Od lat pięćdziesiątych! I pisał raporty. Sam je widziałem, przysięgam na moją mamę. I gdzie on teraz jest?

Olga wiedziała, że puszczono taką paskudną plotkę. Wzruszyła ramionami.

– Odsiedział swoje – i do Paryża! Bo zasady są ta-

kie: swoich się nie wydaje. Ukarano go za sprawę, ale sprawiedliwie, a potem wypuszczono. A z jego powodu ilu ludzi siedzi jeszcze do dziś! To nie jest porządny człowiek! Nie szanuję go! Ty dziękuj, że cię w porę powstrzymano. A skąd wiesz, czy ten twój wspaniały Pablo nie siedzi teraz i też nie raportuje, jak go tu podejmowano, kto co mówił. Bo wszyscy żyją według zasad, i to jest właśnie podstawowa zasada: żyć według zasad.

„On to wszystko mówi szczerze, głowę daje. Biedaczysko, powinien jarzynami handlować albo dywanami, a jego – proszę, jak wysoko wyniosło” – Olga patrzyła na jego zaczerwienioną twarz. Otarł pot z czoła. Chociaż nie było gorąco na tej ośnieżonej ławeczce.

– Ja od ciebie niczego specjalnego nie wymagam, tylko raportu. Byli tam, widzieli to i to, powiedzieli to i to. A ten José to też ananas. Rodzina jego brata mieszka w Rosji. Brat zginął w wojnie domowej, a jego bratanków wywieziono i on się z nimi spotkał w Moskwie. Nie wiedziałaś o tym? Przecież nie mówię ci, żebyś pisała o tym, czego nie widziałaś. A do hotelu przed wyjazdem przyszedł jakiś facet do niego. Nie widziałaś? Bratanek. José zostawił mu pieniądze, swoje rzeczy. Nie widziałaś? Przecież ci nie mówię, żebyś o tym pisała...

Aha, oni wszystko wiedzieli. José zresztą nie ukrywał przed nią, że ma w Rosji bratanków. Na jego prośbę telefonowała do jednego z nich. Zresztą w ogóle Pablo zorganizował tę całą wycieczkę, żeby hiszpańskiego przyjaciela przywieźć do Rosji i żeby ten zobaczył się z krewnymi.

Ale Karik wyraźnie daje jej do zrozumienia, że wie, co ona wie, i że nie żąda, żeby o tym pisała w raporcie.

– Idziemy. Napiszesz jedną stroniczkę, wszystko jak jest. Co uznasz za potrzebne. Jeśli nie chcesz – to cię już nigdy nie zaproszę do pracy. Jeśli zechcesz – będę miał na uwadze. Ale raport napisać trzeba.

Szli do gabinetu Karika pustym korytarzem. Wszyscy pracownicy już wyszli. I nikt jej nie widział, i nikt niczego nigdy się nie dowiedział. Oczywiście najważniejsze, żeby nie dowiedział się Ilja.

DOBRY LOS

Przed ukończeniem trzydziestu lat Ludmiła pogodziła się z losem starej panny i widziała w tym stanie wiele zalet: przyjaciółki, które wyszły za mąż, urodziły dzieci, rozwiodły się albo ponuro ciągnęły domowy wóz – nie wzbudzały w niej żadnej zawiści. Lata, kiedy biernie czekała najpierw na księcia, potem na jakąkolwiek miłość i wreszcie po prostu na porządnego człowieka, zamieniła na unormowane i nudnawe, ale za to całkiem pogodne życie.

Ilja pojawił się jakoś stopniowo. Zaczęła rozpoznawać jego długą sylwetkę i kędzierzawą głowę wśród kilkudziesięciu czytelników, bywalców biblioteki. Rozpoznające spojrzenia, potem lekkie ukłony. Pewnego razu, przed samym zamknięciem biblioteki spotkali się w szatni i wyszli razem – przypadkowo. Poszli w stronę metra, zdawkowo rozmawiając. Przedstawili się imionami: Ludmiła, Ilja.

Pół roku później Ilja odprowadził Ludmiłę do domu – dźwigała pięć dość grubych książek wypożyczonych dla ojca. Okazało się, że ojciec jest członkiem Akademii Nauk, co prawda nie pełnowartościowej, z punktu widzenia Ilji, ale rolniczej. Ludmiła mieszkała zresztą w okolicy Akademii Timiriaziewskiej, dokąd od

stacji metra Nowosłobodska autobus jechał prawie godzinę. Okazało się, że mieszka nie w zwykłym domu, ale w obszernej starej willi, zbudowanej jeszcze w końcu dziewiętnastego wieku dla profesorów rolnictwa.

Była już noc, autobusy zjechały się na nocleg do zajezdni przy podmiejskiej stacji akademii, więc Luda zaproponowała, żeby Ilja przenocował. Profesor, który nie utracił wiejskiego nawyku kładzenia się spać niemal z zachodem słońca i wstawania o świcie, dawno już błogo pochrapywał. Niania Kława, która wypiaستowała Ludę i zastąpiła jej wcześniej zmarłą matkę, wyjechała tego dnia w odwiedziny do siostry. Gdyby niania Kława pozostała w domu, scenariusz mógłby się rozwinąć w zupełnie innym kierunku.

Po niewyszukanej kolacji, którą podano w stołowym – stolik z samowarem, kredens z kolorowymi szybkami, etażerki i serwetki – Luda pościeliła Ilji na kanapie, pokazała, gdzie jest toaleta, i wyszła, życząc dobrej nocy, ale po jakimś czasie wróciła z ręcznikiem.

– Zapomniałam od razu położyć – powiedziała z uśmiechem. Już się przebrała do spania, była w niebieskim flanelowym szlafroku, spod którego puszystą falbanką wystawała błękitna nocna koszula. Kok zdążyła już rozpuścić, bujny warkocz spadł jej na pierś, gdy się pochyliła, żeby położyć ręcznik na krześle obok kanapy. Światło pełni księżyca, niebieskawe i mocne, iskrzący się śnieg za oknem oraz staromodna przytulność („Jak w szlacheckim dworku” – pomyślał Ilja mimochodem) wywołały w nim romantyczny odruch: przyciągnął do siebie Ludę. A ona ulegle się przytuliła...

Rano Ilja wyjechał, wcale nie rozpamiętując nocnej przygody. Spotkał Ludę w bibliotece w końcu tygodnia

i odprowadził do Timiriaziewki. I znów został na noc. Niania, jak i poprzednim razem, była nieobecna.

Żadnego romansu między nimi nie było. Przynajmniej tak sądził Ilja, który znał się na zalotach, często zakochiwał się w ładnych dziewczynach, a nawet słynął wśród swoich przyjaciół jako uwodziciel. Ale ten przypadek – niepozorna, więdnąca dziewczyna, która chyba nigdy nie zaznała rozkwitu – nawet nie wymagał starań, sam wpadł mu w ręce.

Ilji nawet nie przyszło do głowy, że nieczęste spotkania pozbawione uroczystej oprawy i wyrazistości zaowocują nudnawym, lecz całkiem znośnym małżeństwem.

W trzecim roku ich ospałych stosunków Luda zaszła w ciążę – miała trzydzieści cztery lata, o dziesięć lat więcej niż Ilja. Zarejestrowali związek na krótko przed narodzinami dziecka i, trzeba przyznać, bez szczególnej aktywności ze strony Ludy. Gdy Ilja zaproponował małżeństwo, nie wyraziła zachwytu, czym go nawet rozczarowała; mimo to doświadczał czegoś w rodzaju dumy, że postępuje tak szlachetnie.

Wraz z urodzeniem się chłopca, któremu nadali imię Ilja – może na cześć wielkodusznego ojca, a może obojętnego dziadka Ilji Iwanowicza – Ilja prawie całkowicie przeprowadził się do Ludy, nawet przewiózł na daczę najcenniejszą część swojej kolekcji książek. Niania nie odstąpiła młodemu mężowi swojego pokoju – obok pokoju Ludy. Przydzielono mu pokój na piętrze, gdzie było dość zimno, ale przestronnie.

Luda kierowała laboratorium jakiegoś specjalnego gleboznawstwa. Dawno już obroniła pracę doktorską i gdyby nie ciąża, napisałaby też habilitację. Ale niemowlę, chociaż ciche i grzeczne, i w ogóle pod całkowi-

tą opieką niani Kławy, jakoś pozbawiło Ludę dawnego entuzjazmu do nauki i jej rozprawa habilitacyjna, już zgłoszona, utknęła w połowie drogi.

Ilji coraz bardziej podobało się życie w domu Ludy. Z jednej strony do niewielkiego osiedla zbliżało się miasto, a z drugiej strony sąsiadowały z nim poletka doświadczalne, nieopodal zaś rozpościerał się ogromny Park Timiriaziewski ze starymi szpalerami lip i świerków, ze stawami i starymi paśnikami dla zwierząt kopytnych, których dawno już tu nie widziano.

Czasem Ilja przez tydzień nie ruszał się z domu, czasem wyjeżdżał na kilka dni. Luda nie żądała od niego sprawozdań, pieniędzy zresztą też. Gdy przychodził – chyba się cieszyła, gdy odchodził – nie wypominała mu tego. Prosiła tylko, żeby ją uprzedzał w miarę możliwości.

Maluch wdał się w Ilję, kędzierzawy i z pociągłą buzią. Rzadko płakał, mało się uśmiechał, Ilja uważał, że temperament odziedziczył po matce. Gdy miał trzy lata, zaczęli zauważać coś dziwnego: chłopczyk mówił wszystko, nawet nauczył się na pamięć prostych wierszyków, które mu czytano, ale na pytanie „Czy chcesz jeść?” odpowiadał: „Chcesz”. Niania Kława uważała, że wszystko w porządku, a dziwić może tylko to, że jest najmądrzejszy ze wszystkich, zostanie uczonym. Skończył już pięć lat i bajki Puszkina, ku zachwytowi niani, recytował na pamięć całymi tomami, a ten nieznaczny defekt mowy wciąż mu nie mijał. Wezwano specjalistę. Postawił diagnozę: autyzm. Nim właśnie tłumaczyły się wszystkie niewielkie odchylenia w rozwoju – pochmurna koncentracja, zamknięcie w sobie, nieumiejętność prowadzenia dialogu... Doktor nie wróżył nic dobrego.

W roku, kiedy malutkiego Ilję miano posłać do szkoły, jego ojca nie było już w domu na Timiriaziewce.

Stopniowo – tak samo jak stopniowo zawierał małżeństwo – oszedł z domu.

Tego samego roku umarł ojciec Ludmiły Ilja Iwanowicz, członek Akademii, i zjawił się nowy akademik, który chciał zająć willę zmarłego. Po niedługim sporze – mimo że Ludmiła była kierowniczką laboratorium, służbowa willa jej się nie należała – w zamian za odebraną dachę dostała przydział na trzypokojowe mieszkanie w pobliżu, na Przejeździe Krasnostudienckim. Ilja aktywnie pomagał w przeprowadzce, wiązał książki w paczki, pakował skrzynie z naczyniami, ładował na ciężarówkę.

W nowym mieszkaniu nie zatrzymał się nawet na jeden dzień. Zabrał walizkę ze swoją kolekcją i zamierzał przewieźć ją do mieszkania nowej żony, której istnienia Luda mgliście się domyślała. Wyszedł do przedpokoju i pocałował syna w czoło:

– Zachowuj się grzecznie, nie dokuczaj mamie – pożegnał się z synem.

– Nie dokuczaj mamie – odrzekł syn.

Ilja się wzdrygnął, który to już raz? – te żałosne powtórzenia, słabe echo cudzych słów zbyt często brzmiały jak drwina.

Korpulentna Ludmiła, z włosami przyprószonymi kurzem przeprowadzki i siwizną stała w drzwiach, Ilja, ponad swój wiek wysoki, przytulił się do matki.

– Czy jak przyjedziesz następnym razem, nie powiesiłbyś pótek? – spytała Ludmiła.

– Nie powiesiłbyś, nie powiesiłbyś – powtórzył syn.

Ola – żółto-różowa cebulka, ze śmiechem ukrytym w kącikach ust, w dołeczkach dziecięcych policzków... Autobusem do Nowosłobodskiej, stamtąd do Ryskiej

i – w pociąg podmiejski do Nachabina, potem wypełnionym autobusem na daczę, a tam radość, szczerzenie piski, śnieżki, narty, górka, rozgadany Kostia... I maszyna do pisania terkocząca nocami, i komórka z czerwoną lampką i czarnymi kuwetami, i śmiech Oli, łaskotki, i miłość...

Ilja z rzadka odwiedzał syna. Z książkami i klocekmi. Za każdym razem wszystko było tak samo, jednak trochę gorzej: otyła milcząca Ludmiła, wyschnięta żłaniania Kława i Ilja, który wyciągał się kędzierzawą głową do góry, ale ciało miał szczuplutkie, wątłe jak wyrastająca w ciasnocie roślina. Smutnie powtarzał końcówki cudzych zdań. Jego ulubioną zabawką był magnetofon, słuchał poezji, jego pamięć łatwo wchłaniała wiersze. Nikt nie wiedział, co z nich rozumie. Ale gdy go proszono, godzinami potrafił deklamować, kopiując manierę radiowego wykonawcy. Książek nie nauczył się jednak czytać. Natomiast bardzo szybko liczył w pamięci. Chętnie słuchał muzyki i lubił audycje o zwierzętach. Żywego kota, którego mieli w domu – bał się. Bał się też psów, które widział na ulicy, kiedy spacerował z nianią.

Ilja i Luda się rozwiedli. Wkrótce po rozwodzie umarła niania, a po upływie pół roku, co odpowiadało dwóm wizytom Ilji u syna, Luda poprosiła o zgodę na wywiezienie dziecka do Izraela. Było to w tym samym czasie, gdy całe otoczenie Ilji zabiegało o wyjazd za granicę, ale ta prośba ze strony Ludy go oszołomiła.

– Luda, jaki Izrael? Co ty masz wspólnego z Izraelem?

– Moja nieboszczka matka była osobą niezwykle pedantyczną, nie zapodział się jej żaden papiererek. Już po

jej śmierci znalazłam świadectwo zgonu mojej babci ze strony matki, która zmarła w 1922 roku. Nazywała się Barbanel. Ałta Pinchasowna Barbanel. Znana rodzina rabinów. Mama zachowała wszystkie papiery – i metrykę babci, i zapis o zmianie nazwiska przy zawarciu małżeństwa. Po ślubie babcia nazywała się Kitajewa. Mamy papiery też się zachowały... Kiedy Żydzi słyszą nazwisko Barbanel, kiwają głowami i aż cmokają z uznaniem. – Mówiła jak zwykle bezbarwnym głosem, bez żadnego wyrazu, tylko twarz miała miłą, ze stałym półuśmiechem. Czysto słowiańską twarz, krągłoustą i krągłobrewą...

– Co za Barbanel? Skąd?

– To jest przekręcone nazwisko, naprawdę brzmi Abrabanel, teraz się dowiedziałam, to bardzo znany ród sefardyjski, byli w nim różni uczeni, talmudyści.

– A to dopiero! W głowie się nie mieści! Ty – i Izrael! To jakaś bzdura! Co ty tam będziesz robić? – Ilię po prostu zatkała ta niespodzianka.

– Mnie jest wszystko jedno, może i nie do Izraela. Zaproszenie dostałam z Izraela, a gdzie trafię, nie wiem. Może do Ameryki?

– No, dobrze, dobrze... Powiedz mi tylko, skąd ci to strzeliło do głowy! – Ilja w żaden sposób nie mógł się uspokoić.

– Czego nie możesz zrozumieć, Ilja? Pięćdziesiątka na karku, serce kiepskie. Moja mama umarła na atak serca w wieku czterdziestu trzech lat. Nie mam komu powierzyć Iljuszy. A tam są doskonałe lecznice, wezmą go, nie zginie. A tu czym będzie beze mnie?

Do pokoju wszedł Iljusz. Był nadmiernie wysoki i zdeformowany chorobą: ręce o mocno wydłużonych dłoniach i cienkich, wiotkich palcach, cofnięty podbródek i zapadnięte oczy... Biedny, biedny... Oprócz au-

tyzmu wykryto u niego jakiś rzadki zespół chorobowy, ale autyzm też by całkiem wystarczył...

– ...beze mnie, beze mnie... – groźnie powtórzył mały Ilja.

Luda posadziła go i wetknęła mu do ręki jabłko.

– Dobrze kliniki, ludzkie traktowanie, opieka – nie mamy innego wyjścia – mówiła bardzo spokojnie.

– Nie mamy innego wyjścia – z nedorzecznie radosną intonacją powtórzył Iljusza.

Tego samego wieczoru Ilja podpisał dokument przygotowany przez Ludmiłę: nie wyrażał sprzeciwu.

Jeszcze kilka razy widział syna. Ostatni raz – gdy odprowadzał ich na samolot.

Przed odjazdem na lotnisko Ola podała Ilji wielkiego pluszowego misia.

– Daj go swojemu chłopcu, niech ma pamiątkę.

– Ale ogromny miś – zważył Ilja zabawkę na ręce.

– Twój synek, o ile wiem, to też jest kawał chłopca.

Ilja nigdy nie dawał synowi miękkich zabawek, zresztą chłopak już wyrósł z pluszaków. Iljusza rozpromienił się na widok misia, zdarł celofanowe opakowanie i przytulił się całkiem już dorosłą twarzą do miękkiego brzucha.

– To Ola z Kostią przesyłają ci niedźwiadka – mruczał Ilja, sam sobie się dziwiąc: dlaczego wymienił imiona swoich bliskich, których jego niewydarzony synek w ogóle nie znał.

– Niedźwiadka, niedźwiadka – cieszył się Iljusza, i Ilja-ojciec krzywił się z niezręczności i bólu.

Ilja już dojeżdżał do stacji metra Riecznoj Wokzał, kiedy Ludmiła poprosiła stewardesę, żeby przesadziła ich do pierwszego rzędu, gdzie dla długich nóg chłop-

ca było więcej miejsca, a Iljusz się sadowił, powtarzając ostatnie słowa, jakie usłyszał w ojczyźnie:

– ...dobry bilet, dobry bilet...

W Ameryce Ludmiła długo się męczyła, zanim zdecydowała się oddać Iljuszę do zakładu. Może by i nie oddała, ale z czasem stał się agresywny, nie mogła sobie dać z nim rady. Dwa lata trzymano go w lecznicy, a potem przeniesiono do zakładu, czegoś w rodzaju internatu, gdzie przechodził specjalną terapię, po zakończeniu której mógł wykonywać jakąś prostą pracę.

Luda odwiedzała go w niedziele. Przywoziła mu białą czekoladę, którą bardzo lubił, i duże butelki coli. Droga w jedną stronę zabierała około dwóch godzin – od Brighton Beach, gdzie ją umieścili w domu dla ubogich, do odległej części Queens. Przez sześć lat co niedziela odwiedzała syna i za każdym razem, wracając do domu, padała na dwuosobowe łóżko, przydzielone przez instytucję dobroczynną, zamykała oczy i dziękowała Bogu, że chłopiec jest syty, w ciepłe i ma zapewnioną pomoc lekarską. W jedną z niedziel nie przyjechała, ale on chyba nawet tego nie zauważył.

Program socjalizacji przebiegał bardzo dobrze i Ilja dostał pierwszą w życiu pracę: dwa razy w tygodniu sprzedawał gazety w kiosku w odległości jednego przystanku od zakładu. Za pracę dostawał dziesięć dolarów, szedł do sklepiku, gdzie go znano, i kupował sobie prezenty – tabliczkę białej czekolady, butelkę coca-coli i los na loterię. Pokazywał palcem tabliczkę, a czarny sprzedawca mówił:

– Czekolada?

– Czekolada, czekolada – odpowiadał Ilja.

Potem wskazywał bilet na loterię, a sprzedawca podawał mu zaklejoną papierkę, mówiąc:

– Masz tu dobry los...

– Dobry los – powtarzał Ilja.

Miał uporządkowane życie, przyjaciół, z którymi spędzał czas przed telewizorem. Od czasu, gdy Luda przestała przyjeżdżać, rosyjskie słowa jakby zupełnie wyparowały z jego dziwnej pamięci. Zachowało się w niej wprawdzie wiele wierszy, ale te z biegiem lat stały się dlań obcojęzyczne.

W ostatnią niedzielę maja Ilja przepracował w kiosku do południa, wziął swoją dziesiątkę i kupił tabliczkę czekolady, colę i los na loterię. Los okazał się więcej niż dobry – przyniósł główną wygraną, 4 miliony 200 tysięcy dolarów.

Internat, w którym mieszkał, był przeznaczony dla ubogich. Milionerów w nim nie trzymano.

Milioner zaś kiepsko wyobrażał sobie skomplikowane zadanie, które przed nim stało. Prawnie miał status ubezwłasnowolnionego. Jego matka nie żyła. Próbowano odnaleźć Ilję Briańskiego. Po długiej korespondencji ustalono, że ojciec mieszka w Monachium. Gdy natrafiono na jego ślady, okazało się, że niedawno zmarł. Adwokaci odszukali przyrodniego brata Konstantina.

Kościę wezwano i przyleciał do Nowego Jorku. Mgliście pamiętał, że Ilja miał syna z pierwszego małżeństwa. Lekarze uprzedzili go o chorobie nowo objawionego brata. Kostia przeraził się na jego widok, ale tego nie okazał. Poklepał chudego giganta po ramieniu i powiedział po rosyjsku:

– Cześć, bracie.

Tamten rozpromienił się w uśmiechu:

– Cześć, bracie!

Kostia wyjął z portfela zdjęcie Ilji:

– To jest Ilja.

Ilja wziął do ręki fotografię i znów się rozpromienił:

– Ilja.

– Ja jestem Kostia.

Ilja trochę się zastanowił i skojarzył:

– Niedźwiadek.

Ale Kostia nic nie wiedział o ostatnim prezencie Oli.

Ilja jeszcze parę razy powtórzył „niedźwiadka”, a potem zaczął recytować...

Gdy się za miastem nieraz błąkam – i po drodze
Na nasz cmentarz publiczny, dumy snując, wchodzę,
Gdy widzę kratki, słupki, szeregi pomników...*

Wygłosił wiersz do końca.

– Jeszcze – poprosił Kostia.

I Ilja, marszcząc czoło, wyłowił ze swojej chorej, ale niezwykle pojemnej pamięci następne wiersze.

Deklamował długo – wszystkie ulubione wiersze nieboszczyka Ilji, z tą samą intonacją i podobnym głosem.

Kostia patrzył na tego chorego, niemłodego już chłopca i wspominał ojczyzna – dowcipnego, energicznego, utalentowanego – a równocześnie rozmyślał, że trzeba będzie teraz znaleźć analogiczny zakład, nie socjalny, tylko komercyjny, dla ludzi bogatych, załatwić kuratelę prawną, zorientować się w rachunkach, na nowo zorganizować to osobliwe życie.

Potem zabrał nowo uzyskanego brata do kawiarni. Tamten wskazał palcem wielki tort jagodowy.

– Chcesz kawałek czy cały? – spytał Kostia.

* Aleksander Puszkina, *Gdy się za miastem...*, przełożył Julian Tuwim.

– Cały – odpowiedział Ilja, wstydliwie spuszczaając oczy.

Kostia zastanawiał się przez chwilę, po czym zapytał jeszcze raz:

– Chcesz cały tort czy jedną porcję?

Ilja jeszcze bardziej zażenowany skierował wzrok na swoje adidasy niewyobrażalnie wielkiego rozmiaru i milczał.

– Rozumiem. Jest w tym pewna logika – kiwnął głową Kostia.

– Logika – radośnie potwierdził Ilja i usiadł przy stoliku jak grzeczne dziecko.

Kelnerka przyniosła tort i colę dla Ilji oraz wodę mineralną z lodem dla Kostii. Była dopiero połowa czerwca, ale nowojorskie upały już się zaczęły, a klimatyzacji w tym marnym lokalu oczywiście nie było.

Ilja z poważną dziecienną rozkoszą jadł plastikowym widelczykiem kawałek po kawałku. Głowę miał jota w jotę jak zmarły ojciec – ciemnokasztanową, kędzierzawą, z wczesną szpakowatością. W twarzy też było podobieństwo, ale nieco karykaturalne.

Z filmową wyrazistością Kostia przypomniał sobie, jak siedzą we trójkę – on, ośmiolatek – na brzegu jeziora – Wałdaj? Ilmeń? Pleszczejewo? – o zachodzie słońca, przy ognisku, ojczym długimi brudnymi palcami obieira ziemniaki z przypalonej skórki, a po jeziorze snują się smugi światła, różowe, malinowe, żółte od zachodzącego słońca, mama, z rudymi blikami we włosach, śmieje się, ojczym też się śmieje, a on, Kostia, jest szczęśliwy i kocha ich nad życie.

Biedny Ilja! Biedna Ola!

NIESZCZĘSNY KRÓLIK

Doktor Dmitrij Stiepanowicz Dulin, kiedy miał czas, żeby się zastanowić nad swoim życiem, oceniał je jako udane, nawet jako niezasłużenie udane. Ale rzadko myślał o sprawach abstrakcyjnych. Natomiast w soboty, gdy w obecności podskakującej niecierpliwie córeczki Marinoczki wyciągał z teczki za uszy zawiniętego w stary ręcznik króliczka, odczuwał pełne wdzięczności zadowolenie. Córeczka była podobna do króliczka, mięciutka, popielata, z wykrojoną trochę po króliczemu górną wargą, a tam gdzie u króliczka sterczały płowe uszka, u niej zwisały niebieskie wstążeczki. Szkoda, że nie zrobił zdjęcia: Marinka z królikiem...

Dmitrij Stiepanowicz oddawał króliczka córce, a ręcznik z suchymi bobkami żonie Ninie, ta wytrzymywała je do śmieci, a ręcznik zabierała do łazienki do prania. Był to specjalny króliczy ręcznik, w którym króliczek wędrował w każdą sobotę do domu, a w każdy poniedziałek z powrotem do laboratorium.

Króliczek za każdym razem był inny – pierwszy, jaki się trafił, z klatki, gdzie trzymano zwierzęta doświadczalne. Dulin brał oczywiście nie te, których używano do eksperymentów, ale „kontrolne”. Doświadczalne też były mniej więcej zdrowe, ale urodziły je królice

alkoholiczki, którym doktor od małego wstrzykiwał roztwór, później krzyżował je z królikiem alkoholi-kiem i obserwował potomstwo. Taki był temat jego roz-prawy: wpływ alkoholu na potomstwo królików. Bo wpływ alkoholu na potomstwo człowieka nauka знаła już bardzo dobrze. Laborantka Masza Wierszkowa, na pólétacie, którym dysponował Dulin, należała właśnie do tej części społeczeństwa: gałki oczne spazmatycz-nie, płytko drżały – oczopląs, palce się trzęsły – tremor. Urodziła się w siódmym miesiącu, z pijących rodziców, ale – na szczęście! – umysłowo nieupośledzona. Co świadczyło o tym, że pijakom też się czasem coś udaje.

Marinoczce nigdy nic takiego nie groziło – jej ojciec po prostu nie znosił alkoholu, nie pijał nawet piwa, również nie palił, prowadził życie zdrowe pod każdym względem. Matka wypijała trzy kieliszki na rok, przy uroczystych okazjach.

Marinoczka niosła sobotniego króliczka do swojego kąta, układała go do łóžeczka dla lalek, na niby myła, ścisłała, całowała i karmiła marchewką.

Dmitrij Stiepanowicz pochodził ze wsi, był zżyty ze zwierzętami, i pozostawał człowiekiem ze wsi do cza-su aż miasto Podolsk, rozrastając się, pochłoneło ich brzydką wioskę i sielskie życie stopniowo uległo rozpa-dowi. Chociaż życie miejskie rozpoczęło się dla Dulina nie od razu. Czteropiętrowe bloki budowano według dziwaczego planu, zgodnie z którym burzono nie wszystkie chłopskie chaty po kolei, ale tylko te, które zajmowały miejsce przyszłych nowych bloków. Domu Dulinów wtedy nie zburzono, lecz gospodarstwo się rozpadło, pozostały tylko kury, kot i pies, a kozy i pro-siaka oddali siostrze babki na daleką wieś.

Krowy w tym czasie już nie trzymali.

Studnię koło domu nie wiadomo dlaczego zasypa-
no, a wodociągu nie doprowadzono. Chodzili półtora
kilometra do pompy. I tak sobie żył mały Mitia między
miastem a wsią: chodził w nędznym wiejskim ubraniu
do miejskiej szkoły, uczył się kiepsko, był pogardzaną
wiejską mniejszością wśród miejskiej większości.

Matka karciała go za to, że się źle uczył: kiedy mia-
ła więcej sił, biła go chudymi piąstkami gdzie popadło
i wrzeszczała wysokim rwącym się głosem, póki sama
nie padła. Wiele lat później, gdy Mitia został lekarzem,
postawił jej wsteczną diagnozę – histeria. Miała na to
wpływ również tarczycza. Ale kiedy Mitia nauczył się
stawiać diagnozy, matki nie było już na świecie.

Dostawało się Mitii także od wujka Koli – ten, co
prawda, nie bił go, ale ciągnął za ucho, zręcznie ściska-
jąc czubek ucha dwoma palcami. Mitii było przykro,
że matka mu na to pozwala. Broniła go jednak babcia.
Wujek Kola, wyschnięty z pijaństwa wiejski chłop, za-
glądał do wielu samotnych, babcia nazywała go „do-
chodzący”, gardziła nim, ale trochę się go bała. Umarli
niemal równocześnie: wujek Kola z pijaństwa, a babcia
ze starości. W odróżnieniu od Mitii matka była bardzo
pechowa: gdy przyszła kolej, żeby zburzyć jej chałupę,
a jej dać mieszkanie w nowym domu – kawalerka z ga-
zem i gorącą wodą wydawała jej się istnym rajem – na-
gle upadła i umarła, podobnie jak jej matka. Otrzymała
przysługujący jej rajski zakątek, tylko nie na podstawie
wszystkich zebranych już zaświadczeń – że wdowa po
żołnierzu, że inwalidka trzeciej grupy, że przodownica
pracy komunistycznej – lecz tak po prostu. Za nic. Za-
tem Mitia niepotrzebnie planował, że zabierze matkę
do Moskwy, sprytnie zamieniając nowe nieotrzymane
jednak mieszkanie w Podolsku na pokój w Moskwie.

Tak więc, w wyniku swego pecha matka uwolniła syna od kłopotów zamiany i przeprowadzki.

Zawsze było mu żal bieduli. Ale wcześniej, bardzo wcześniej, postanowił, że nie będzie żyć tak jak matka, odejdzie, w jakiś sposób się wydostanie, odetnie od tej wstrętnej wiochy. Po podstawówce poszedł do szkoły felczerskiej. Chłopców było tam niewiele, doceniano go, a on starał się wykazać. Potem wojsko, gdzie służył już zgodnie ze specjalnością, w jednostce sanitarnej. A po wojsku nie został w Podolsku, poszedł w Moskwie na akademię medyczną, gdzie przyjęto go na warunkach ulgowych, bez egzaminu konkursowego. No i od tego czasu stał się prawdziwym człowiekiem z miasta.

Z całego wiejskiego dzieciństwa pozostało Dulinowi przyzwyczajenie obcowania ze zwierzętami. Nawet tęsknił trochę za kotem w domu i sobotniego królika przynosił Marinnie, bo wiedział, jaką przyjemność sprawia dłoniom dotyk zwierzęcego ciepła. Ale Nina nie chciała trzymać w domu zwierząt, nawet kota. A Dulin nie robił tego, czego nie chciała Nina.

Pobrali się jeszcze na trzecim roku akademii. Dmitrij był starszy od Niny o sześć lat i oczarował ją, chucherko, wysokim wzrostem, powagą i skromnością. Nie zawiodła się na nim, a on już tym bardziej. Mitia wszystko zawdzięczał swojej żonie: i meldunek moskiewski, i staż na neurologii, a potem też studia doktoranckie. Sam o tym nawet nie marzył, a Nina przez znajomych załatwiła mu posadę w instytucie naukowym. Sama natomiast pracowała jako lekarz w przychodni rejonowej, za co też dano im mieszkanie bez kolejki.

Dulin co do doktorantury początkowo stawiał opór – nie mógł zrozumieć, po co mu to. Jeżeli już o to chodzi,

to niechby sama zrobiła doktorat. Ale Nina postanowiła inaczej. Ponieważ instytut, do którego się dostał, był psychiatryczny, a Dulin specjalizował się w neurologii, musiał się poduczyć psychiatrii – zrobił konspekt z podręczników i zdał egzamin wstępny. Przydzielono mu temat o alkoholizmie – przestudiował wszystko, co mógł w owych czasach: o zmianach w psychice, typach zachowań alkoholików, o delirium i innych ciekawych rzeczach.

Przez trzy lata Marinoczka bawiła się z królikami na przychodnię, a Dulin poił swoje króliki roztworem spirytusu, wlewając go przez lejek, bo obiekty odmawiały dobrowolnego przyjmowania alkoholu. Potem obronił pracę doktorską i został młodszym pracownikiem naukowym. Królików już do domu nie przynosił, ale Marina teraz czasem chodziła z ojcem na wycieczki do wiwarium instytutu: były tam zarówno króliki, jak białe szczury, psy i koty. Przez pewien czas nawet małpy.

Kiedy Dulin kończył dysertację, nagle ogarnęły go wątpliwości: wyniki były dokładnie takie, jakich się spodziewano, i praca nie zawierała żadnego, ale to żadnego odkrycia. Szef laboratorium Karpow, który był też jego promotorem, uspokajał go:

– Wymagania wobec siebie to wspaniała cecha uczonogo. Zapewniam pana, można przez całe życie godnie przetrwać w nauce, nie dokonując żadnych odkryć. Jesteśmy końmi pociągowymi nauki, to właśnie my posuwamy ją do przodu, a wcale nie ci, którzy dokonują odkryć, nierzadko wątpliwych. A geniusze... Znamy tych geniuszy!

Dulin doskonale wiedział, pod którym adresem była ta aluzja. Chodziło o Winberga. Dulin zbliżył się do niego przypadkiem, dzięki pożarowi, który miał miejsce

w laboratorium Winberga. Dwa lata temu, gdy Dulin siedział sam na swoim piętrze i podliczał swoje cyfry, zapalił się przewód. To właśnie on wykrył pożar swym wrażliwym węchem, wezwał straż pożarną, sam jeszcze przed przybyciem strażaków zdążył odłączyć zasilanie i wszystko ugasił. A strażaków już nie wpuścił do laboratorium, bo wiedział, że to mogłoby za sobą pociągnąć różne nieszczęścia i kradzieże. Zdecydowanie porozmawiał z komendantem straży, pozwolił mu wszystko obejrzeć i podpisał protokół. Winberg to docenił. Od tej pory Dulin czasem do niego zaglądał.

Winberg był profesorem z prawdziwego zdarzenia, znakomicie wykształconym. I wielce dziwnym: lubił pogadać o nauce. Wystarczyło tylko o coś zapytać, a on wygłaszał cały wykład. Dulin, z powodu swojej skromnej funkcji i intelektualnej niewinności, dawniej w żaden sposób nie mógł liczyć na obcowanie ze znaną wszystkim gwiazdą. Epizod z pożarem dał jednak Dulinowi prawo do wpadania wieczorami do Winberga „na herbatkę”.

Od niego doktor Dulin usłyszał coś, czego nie było w sowieckich podręcznikach: o doktorze Freudzie, o archetypie i o psychologii tłumy. Sam Winberg zajmował się gerontologią, jakimiś starymi psychozami, ale wiedział wszystko, i o wszystkim miał bardzo ciekawe teorie. Między innymi o alkoholizmie.

Dla wielu Winberg był osobą podejrzaną, uciekł z Niemiec przed faszystami do ZSRR jeszcze przed wojną. W Rosji już po miesiącu go aresztowano, potem chroniono przed faszystami prawie dwadzieścia lat w łagrach, a po śmierci Stalina zrehabilitowano – jak się okazało, aresztowano go przez pomyłkę. Wyszedł i bardzo prędko, w ciągu kilku lat zajął należne

mu stanowisko – nie w sensie kariery, oczywiście, ale w sensie naukowym. Tyle lat spędził w łagrach! Wydawałoby się, że będąc tam lekarzem w izbie chorych, niczego nie mógł dokonać jako uczony, a tymczasem nie tylko dotrzymywał kroku współczesnej nauce, ale poniekąd nawet ją wyprzedzał: od razu napisał dwie monografie i przyznano mu habilitację bez kolokwium. Psychiatry z całego kraju przyjeżdżali do niego na konsultacje. Niekwestiowany autorytet! Ale nie dla wszystkich. Nieżyczliwych też miał wystarczająco wielu. Nie wszystkim się podobało, że ten całkowicie obcy człowiek, mało że Żyd, to jeszcze i Niemiec, rozwija swoje bajeczne teorie i zachowuje się z takim europejskim poczuciem godności, jakie prawie nie występuje w ojczystych szerokościach.

– Dmitriju Stiepanowiczu! – zwracał się do Dulina z przeraźliwym niemieckim akcentem, ale nienaganie pod względem gramatycznym. – Nikt jeszcze nie zbadał społecznej natury alkoholizmu i szczególnych cech zachowań socjalnych alkoholików. Do studiowania tego problemu nie ma lepszego miejsca niż Rosja. Tu cały kraj jest polem do badań laboratoryjnych. Ale gdzie jest statystyka korelacji między spożyciem alkoholu a agresywnymi reakcjami? Nie ma takiej statystyki. Gdybym był młodszy, niewątpliwie zająłbym się tym tematem. Niech pan pracuje, tu ma pan niezwykle interesujące perspektywy! Co się zaś tyczy somatyki, nie jest to zbyt ciekawe. Tu warto by badać rzecz na poziomie genetycznym. Ale pana króliki to kiepski obiekt. To nie są muszki drozofile! Z drugiej strony, alkoholodehydraza jest to prosty enzym, wszyscy mają ten sam. Nie, nie, ja na pańskim miejscu zająłbym się agresją alkoholową.

Ale Dulin nie zaobserwował żadnej agresji alkoholowej. Pijane króliki najpierw wpadały w drobny dygot, a potem zasypiały. Traciły apetyt, traciły na wadze, pozostały jednak spokojnymi stworzeniami: nie gryzły się, nie rzucały na ludzi. Słowem, nie przejawiały żadnej agresji. Co więcej, główny królik, władca tego alkoholowego haremu, wbrew twierdzeniom profesora, nie tylko nie stawał się bardziej agresywny, ale przeciwnie, tracił słynną króliczą potencję. Co trzy miesiące na stanowisko poprzedniego reproduktora mianowano któregoś z jego dorosłych synów.

Kiedy zaś Dulin ośmielił się powiedzieć profesorowi Winbergowi, że jego doświadczenia w żaden sposób nie potwierdzają agresywności alkoholików, profesor się tylko roześmiał:

– Dmitriju Stiepanowiczu, a wyższe funkcje układu nerwowego? Człowiek jest jednak istotą wysokorozorganizowaną, nie królikiem! Poza tym zwracam pańskiej uwagę na to, że króliki to wegetarianie, a ludzie są raczej drapieżnikami. Pod względem sposobu odżywiania ludzie są najbardziej zbliżeni do niedźwiedzi, które są wszystkożerne! Proszę zwrócić uwagę: żaden gatunek nie może się pod tym względem – mam na myśli różnorodność pożywienia – równać z *Homo sapiens*. Narody Północy są mięsożerne, gdy tymczasem na przykład w Indiach spotykamy ogromne populacje wyłącznie wegetariańskie. Ani jedni, ani drudzy, o ile można sądzić bez naukowych doświadczeń, nie przejawiają wysokiego stopnia agresywności.

Profesor napawał się swymi wywodami, zacierał czyste, łuszczące się dłonie jak lekarz przed badaniem pacjenta:

– Zabawne, zabawne! Sądzę, że trzeba zaczynać od

biochemii. *Der Mensch ist, was er isst*. I pije! – i znienacka wybuchał śmiechem, ukazując swoje metalowe zęby, wstawione jeszcze w Workucie przez tamtejszego stomatologa pochodzącego z Wiednia. Dulin przypomniał sobie czy też odgadł – w szkole uczył się niemieckiego: człowiek jest tym, co je.

Winberg wiedział wszystko, czegokolwiek tknąć: znał i antropologię, i łacinę, i samą genetykę. Ale żeby doprowadzić do porządku zęby – na to nie miał czasu. Śpieszył się żyć, czytać, myśleć, śpieszył się, by zapisać wszystkie swoje dziwaczne i niewczesne myśli, które przyszły mu do głowy na północy.

Opowiadał wszystkim po kolei, między innymi Dulinowi, wiele różnych rzeczy, to i owo jednak ukrywał przed obcymi.

– Dziecinny kraj! – mawiał do żony, którą znalazł sobie w obozowym szpitaliku. – Dziecinny kraj! Kultura blokuje naturalne reakcje u dorosłych, ale nie u dzieci. A gdy brak kultury, brak również blokady. Istnieje kult ojca, posłuszeństwo, a równocześnie niesterowalna dziecięca agresja.

Wiera Samuiłowna opędzała się lekceważąco – była jedyną osobą, która mogła sobie pozwolić na coś takiego:

– Edwinie, mówisz głupstwa! A Niemcy? Najkulturalniejszy kraj Europy, czyż nie? Dlaczego im kultura nie blokowała prymitywnych reakcji?

Wiera Samuiłowna atakowała męża z zapałem, młodzieńczo, a Edwin Jakowlewicz nawykowym gestem poskubał nos, jakby właśnie w tym organie skoncentrował się jego niezrównany intelekt:

– Tu zadziałał inny mechanizm, Wiero, inny mechanizm. *Das ist klar. Selbstverstaendlich*. Można to uza-

sadnić. Poziom samoświadomości, oto, o czym należy myśleć!

Milkł na długo, obmyślając teoretyczne argumenty. Dzieci nie mieli. Swego czasu w łagrze urodził im się chłopiec, ale wtedy nie udało się ocalić niemowlęcia. I cały ich potencjał, cały ładunek talentu, który przetrwał, został skierowany na pracę zawodową. Wiera Samuiłowna miała hyzia na punkcie swojej endokrynologii, pracowała w laboratorium, gdzie syntetyzowała sztuczne hormony, z którymi wiązała niemal nieśmiertelność ludzkości. Edwin Jakowlewicz nie akceptował pasji żony. Nieśmiertelność zupełnie go nie pociągała. Tu ścierały się ich naukowe zainteresowania – gerontologia kategorycznie odrzucała nieśmiertelność. Tego Winberg był pewien. Ale Wieroczka wierzyła w hormony.

Małżonkowie mieli więc o czym rozmawiać w późne wieczory. To było właśnie ich szczęście: po utracie wszystkiego, czym żyli przed wojną – konserwatoriów, bibliotek, nauki i kultury – po łagrowych barakach, szpitaliku, leczeniu wszystkiego bez niczego – siedzieć w nocnej ciszy własnego małego mieszkania, zastawionego i zawalonego książkami i płytami, w ciepłe, w sytości, we dwoje.

Dulin nadal zajmował się alkoholizmem, teraz już nie tylko od strony naukowej, ale również stosowanej. W oddziale prowadzono terapię, aczkolwiek nie otrzymywano szczególnie dobrych wyników. Miał przyzwoitą pensję – sto siedemdziesiąt plus premia.

Minęły trzy lata – jeszcze raz mu się powiodło, tym razem bez pomocy Niny. Pewna stara pracownica poszła na emeryturę, zwalniając stanowisko starszego

pracownika naukowego, oraz niespodziewanie odszedł rokujący największe nadzieje lekarz Ruzajew, który już przygotował pracę habilitacyjną – skuszonego stanowiskiem szefa katedry w Kazańskiej Akademii Medycznej.

Ogłoszono konkurs od razu na dwa stanowiska. Dulinowi nie przyszło nawet do głowy, żeby kandydować, ale kierownik oddziału powiedział: niech pan przygotowuje dokumenty, Dmitriju Stiepanowiczu. Jesienią siedemdziesiątego drugiego roku Dulina przeniesiono na stanowisko starszego pracownika naukowego! Była to oszałamiająca kariera – przez całą zimę Dulin się przyzwyczajał. Rano, gdy golił się w łazience, zgarniając maszynką spieniony pagórek brunatnego zarostu z policzków ku podbródkowi, patrzył na siebie w lustrze i sam do siebie mówił: Dmitrij Stiepanowicz Dulin, starszy pracownik naukowy. Myślał, że przez dziesięć–piętnaście lat będzie się dochrapywał takiego stanowiska, a tymczasem – proszę bardzo!

Duma, a zarazem niepewność...

Na oddziale sprawy układały się dobrze. Teraz miał nowy temat: paranoja alkoholowa, dwie sale chorych, których badał i leczył. Opanowani szaleńczą zazdrością, dotknięci halucynacjami, udręczeni manią prześladowczą, pobudzeni albo przeciwnie, przytłumieni, pozbawieni godności, gwałtowni albo przyćmieni neuroleptykami – mało przypominali ciepłouchy, miękkie króliki. Czego jak czego, ale agresji było tu co niemiara. Niektórych przywiązywano do łóżka, innych przytłumiano preparatami, a zdarzało się, że chory w furii wybijał szybę, żeby wyjść ze swej choroby wprost na zewnątrz, do Boga Ojca. Na całym oddziale tylko dwa okna były niezakratowane, w gabinecie kierownika

i malutkie w zabiegowym. To właśnie stamtąd na początku wiosny wyskoczył jeden taki pacjent. Dobrze, że piętro było niewysokie – pierwsze. Ale złamał rękę. Duża przykrość dla wszystkich – chory był zasłużonym artystą, ulubieńcem ludu. Delirium też miał prawdziwie ludowe: goniły go małe ludziki, wciąż zdejmował je z siebie, strącał z lęklwym obrzydzeniem.

Te ludziki Dulin odpędzał za pomocą amitalu i haloperidolu.

Potem artysta wyzdrowiał i przyjechała po niego piękna żona, też artystka. Podarowała pielęgniarce sześć pudełek czekoladek, a ordynatorowi oddziału portret pacjenta – wisiał teraz u niego w gabinecie z zamaszystym autografem. Niepijącemu Dulinowi – butelkę koniaku. Dulin był bardzo zadowolony – nie z koniaku oczywiście, ale z tego, że nie doszło do awantury: artysta przyszedł cały, a wychodził w gipsie. Nie upilnowali.

Swoich paranoików Dulin nie tylko nie lubił – gardził nimi. Wszystkich uważał za straconych, a sam alkoholizm w głębi duszy traktował nie jak prawdziwą chorobę, ale jak zwykłe ludzkie rozpasanie. Żona Nina od rana do nocy chodziła po przychodniach, osłuchiwała stetoskopem, umiała opukać brzuch, wypisywała zwolnienia i recepty i to była prawdziwa praca lekarza. Natomiast tu, jak podejrzewał Dulin, było to naukowe „zawracanie głowy”. Ale ogólnie był z pracy zadowolony.

Pewnego razu, w środku lata, w pełni sezonu urlopowego, Dulina wezwano do dyrekcji – sekretarka, Eleonora Wiktorowna, dojrzała piękność, o czarnych włosach, bujnych nieruchomych brwiach i nieograniczonej władzy w granicach instytutu, skinęła mu głową i uśmiechnęła się kwaśno:

– Dmitriju Stiepanowiczu, jest pan proszony o konsultację z pańskiej dziedziny, na oddziale specjalnym.

Dulin się zdenerwował. Prośba była w rzeczywistości poleceniem. Na oddziale specjalnym trzymano „politycznych”, wszyscy o tym wiedzieli, a pracowali tam wyłącznie ludzie „z dostępem”, szczególnie, milczący. Zresztą nikt z zewnątrz nie chciał się do tego wtrącać. Zazwyczaj gdy niezbędna była konsultacja, zapraszano ordynatora Karpowa, ale teraz akurat był na urlopie. Pojechał na konferencję do Leningradu również zasłużony Kulczenko, starszy pracownik naukowy. Dulin próbował się wykręcić:

– Eleonoro Wiktorowno! Ja oczywiście z przyjemnością. Ale nie mogę. Nie mam dostępu.

Eleonora Wiktorowna poprawiła włosy – modną fryzurę typu „spuchnięta głowa” – i uśmiechnęła się.

– Ależ zrobiliśmy panu dostęp. O, tu proszę podpisać.

Podowała mu malachitowe pióro, sterczące z malachitowej podstawki. Dulin wziął pióro, wciąż jeszcze się opierając.

– Przecież nigdy nie uczestniczyłem w ekspertyzach. Karpow wróci za dwa tygodnie, a Kulczenko w ogóle w następny poniedziałek wraca do pracy.

Usta Eleonory Wiktorowny wyraziły niezadowolenie:

– To pan nie wie, że każdy dyplomowany specjalista może być wezwany do ekspertyzy? Takie mamy ustawodawstwo. A w tym przypadku w ogóle chodzi o konsultację. – Eleonora uczyniła pauzę, która trwała dokładnie tyle czasu, żeby Dulin zrozumiał, że opór jest daremny. Podpisał się na dokumencie...

– W czwartek, proszę, na jedenastą do oddziału spe-

cialnego. Przepustkę zamówimy. A teraz chciał z panem porozmawiać szef oddziału specjalnego profesor Dymszyc. Proszę tu na niego poczekać, zaraz wyjdzie od dyrektora.

– Oczywiście, oczywiście – kiwnął głową Dulin; miał złe przeczucia.

Usiadł na krześle, zauważając jego alarmujące purpurowe obicie. Słyszał już o tym Dymszycu coś złego, ale teraz nie mógł sobie przypomnieć, co mianowicie.

Czekał dość długo. Wreszcie drzwi się otworzyły, z gabinetu dyrektora wyszedł gruby kurdupel z pożyczką szarych rzadkich włosów zaczesaną z prawej strony na lewą przez białą łysinę.

– Jefimie Siemionowiczu, czeka na pana doktor Dulin, chciał pan się z nim widzieć. – Eleonora podniosła się na jego widok.

Stara piękność, o głowę wyższa, pochyliła się, a on stał przed nią jak krasnoludek, ale od niej emanował strach, a od niego groźba. Niepokój Dulina wciąż się wzmagał: czegoś nie rozumiał w tym, co się dzieje, jakby oglądał spektakl, grany w obcym języku.

Nikt nie powiedział Dulinowi, że Eleonora była przed wojną żoną Dymszyca, tuż przed wojną odeszła od niego do całkiem młodego człowieka, który zaginął bez wieści, w czterdziestym szóstym wróciła do Dymszyca, pożyła z nim trochę i znów go rzuciła. Tak więc Dulin okazał się przypadkowym obserwatorem układów zagmatwanych i dziwnych.

Dymszyc przeniósł wzrok na Dulina:

– Tak, tak, dobrze. Czy pan kiedykolwiek brał udział w ekspertyzie psychiatrycznej?

Dulin przeprowadzał ekspertyzy setki razy, na alkoholikach, ma się rozumieć. Ale raptem się zmieszał, nie

wiadomo czemu tak się przestraszył, że spocił się pod pachami, na plecach i piersiach.

– Tak, oczywiście.

Karzeł szacował go. Ocena nie wypadła pochlebnie:

– Chciałem z panem porozmawiać wstępnie, ale teraz się spieszę. Niech pan przyjdzie w czwartek o wpół do jedenastej i zanim pan zbada pacjenta, proszę zajrzeć do mnie.

I Dymszyc poszedł schodami na górę, na drugie piętro, głośno stukając małymi półbutami.

„Buty chyba kupuje w domu towarowym «Świat Dziecka»” – z irytacją pomyślał Dulin. I nie omylił się. Profesor nosił numer trzydzieści sześć...

Po siódmej wieczór, wychodząc z instytutu, spocorny, obeschnięty, choć jeszcze otoczony oparami potu Dulin wpadł na Winberga. Wyprostowany, chudy, w podniszczonym popielatym garniturze z jedwabnym krawatem w paski, w chmurce wody kolońskiej – jak zawsze elegancki...

„Nie o krawat chodzi, oczywiście – zauważył w duchu Dulin. – To już taka natura. Wysuszony jak sucharek”.

Sam Dulin roztył się przez ostatnie kilka lat: jadł dużo – za matkę, za babkę, za cały ten dziecięcy głód, który nagromadził się w jakichś głębiach, znanych tylko psychiatrom.

Razem poszli do metra.

– Wezwano mnie na konsultację na oddziale specjalnym – od razu zameldował Dulin.

Winberg uniósł przystrzyżoną brew:

– Ach, tak? To dowód zaufania. A czy pan jest członkiem partii, Dmitriju Stiepanowiczu?

– Oczywiście. Przecież po liceum służyłem w wojsku. Wtedy przyjmowano wszystkich.

– Tak, tak, dyscyplina partyjna. Musi pan iść – mruknął Winberg.

– Zwykle chodził Karpow... ale jest na urlopie – Dulin jakby się usprawiedliwiał i sam sobie dziwił. – Widocznie mają tam alkoholika albo po prostu alkoholowy epizod w sprawie. Przecież w naszym kraju, Edwinie Jakowlewiczu, wszyscy piją: i artyści, i uczeni, i kosmonauci. U nas niedawno... – I Dulin opowiedział o wybitnym artyście: – W łagrze siedziałem z pewnym niezwykle utalentowanym literatem. Wyjątkowo wykształcony człowiek – tłumaczył w więzieniu Rilkego, żeby się nie stoczył. Chociaż pan nie zna Rilkego. Tu, w Instytucie Serbskiego, tenże literat, jeszcze na początku lat trzydziestych, przechodził ekspertyzę – marzył, żeby go uznano za alkoholika. Uznano. Więc wtedy go nie wsadzono, ale wysłano na leczenie. Trzy lata spędził w lecznicy. Dziękował Bogu i czytał książki. Ale potem jednak go zamknęli. Tak, Rilke, Rilke... Oto ma pan paradoksy czasów: przed wojną ludzie ukrywali się w lecznicy psychiatrycznej przed prześladowaniami, a teraz właśnie w szpitalach psychiatrycznych... Dymszyc wezwał mnie na rozmowę... – cicho poskarżył się Dulin.

Ale Winberg jakby nie usłyszał. Nagle odwrócił się gwałtownie:

– Przepraszam, muszę wpaść do księgarni, całkiem zapomniałem! Wszystkiego dobrego!

I pomaszerował w stronę Metrostrojewskiej.

Winberg czuł się nieswojo. Ten eneryczny młody człowiek, który sam poradził sobie z pożarem, ograniczony, mało inteligentny, chociaż rzetelny i na swój

sposób przyzwoity, chyba zwrócił się do niego po radę.

Co można powiedzieć prostodusznemu i uczciwemu idiocie? Tu i mądry się nie wykręci. Winberg minął księgarnię. Wcale się tam nie wybierał.

Jego ojciec, słynny berliński adwokat Jacob Winberg, po dojściu Hitlera do władzy powiedział: „Jako adwokat zawsze szukam wyjścia i wiem, że w każdej sprawie jest przynajmniej jedno wyjście. Częściej bywa ich kilka. Ta władza nie da żadnego”. Jacob Winberg umarł, nie dowiedziawszy się, jak dalece miał rację. „Tutejsza władza też nie daje człowiekowi wyjścia. Żadnego. Zawsze pokonuje tych, którzy mają honor i sumienie” – ze smutkiem rozmyślał Winberg.

Oddział specjalny znajdował się w innym budynku, w odległości trzech przystanków trolejbusowych. W czwartek o wpół do jedenastej Dulin zadzwonił do drzwi. Otworzyła portierka w białym kitlu.

– Pan do kogo?

Dulin pokazał przepustkę:

– Na konsultację. Mam się spotkać z profesorem Dymszym.

– Chwileczkę – machnęła kobieta i zatrzasnęła drzwi przed nosem. Po kilku minutach drzwi otworzyła już inna kobieta, wysoka, modnie uczesana. Nie w kitlu, ale w różowej sukience.

„Dżersej – zauważył Dulin. – Ninka o tym marzy. Nie wypada zapytać, gdzie kupiła”.

– Czekamy na pana, dzień dobry, dzień dobry! – i podała mu silną rękę. – Margarita Glebowna, jestem lekarzem prowadzącym. Jefim Siemionowicz czeka na pana. A potem pokażę panu chorego.

Korytarz, drzwi – pozornie wszystko jak na zwyk-

łym oddziale szpitalnym. Jedynie w korytarzach pusto.

Wreszcie dwuskrzydłowe drzwi, ciężkie, z mosiężną tabliczką. Gabinet zdumiewał rozmiarami i całkowitą sterylnością. Na zadbanym blacie ani papierka, ani pyłku. Karzeł był tym razem prawie życzliwy:

– Proszę bardzo, Dmitriju Stiepanowiczu.

Dulin usiadł na niewygodnym krześle stojącym pośrodku pokoju. Od kierownika oddzielało go morze błyszczącego parkietu. Ze trzy metry.

„Jak na przesłuchaniu” – pomyślał Dulin. Kiedyś zdarzyło mu się siedzieć na takim samotnym krześle w dzielnicowym urzędzie KGB. Pewien jego kolega z roku coś przeszkrobał; Dulina wezwano, ale bystry chłopcy szybko się zorientowali, że jest on daleki od takich rzeczy, i go wypuścili.

Dymszycowi też w różnych latach życia zdarzało się siedzieć na takim właśnie oddalonym krześle. Nie spodobało mu się to. Ale wywarło na nim silne wrażenie.

– A więc – prawie nie otwierając ust, powiedział Dymszyc. – Mamy bardzo ciekawego pacjenta.

Raptem, nie wiadomo skąd, pojawiła się tekturowa teczka. Dymszyc kusząco pomachał nią z daleka.

„Widzicie go, bawi się” – pomyślał Dulin z irytacją.

– Człowiek zasłużony. Był generałem-majorem – dobitnie, z naciskiem, powiedział Dymszyc. – Z frontowym życiorysem. Dwa razy ranny, kontuzja, proszę zwrócić uwagę. Z wielkimi zasługami. Z odznaczeniami. Stracił wszystko. Zachowanie nieadekwatne. Pijący... Psychika wyraźnie zaburzona. Zbyt wysoka samoocena, mania wielkości. Jest tu orzeczenie komisji ambulatoryjnej. Myślę, że niezbyt się na tym poznali. Ale pan się, jak sądzę, pozna!

Ostatnie słowa wypowiedział z naciskiem, akcentując każdą sylabę.

Dulina ogarnął niepokój, głęboki aż do mdłości.

„Właściwie, dlaczego histeryzuję?” – zadał sobie pytanie. Ale nie było czasu na zastanowienie.

– Tu jest historia choroby, proszę – epikryza. Projekt orzeczenia komisji. Pan dla uzasadnienia diagnozy powinien ocenić rolę epizodu alkoholowego. I wnieść odpowiedni zapis do historii choroby. – Dymszyc otworzył teczkę i zaczął przerzucać kartki: – Jest tu jeszcze też poprzednia ekspertyza, wykonana w warunkach ambulatoryjnych. Tak, orzeczenie wydane w roku sześćdziesiątym ósmym. Budzi nasze wątpliwości. Chcielibyśmy, żeby pan zbadał chorego i uzasadnił swoją opinię. Nasze wstępne wrażenia... No, słowem, proszę obejrzyć akta.

Podszedł do Dulina, ten wstał, wziął teczkę.

– Opinia komisji jest niekorzystna... pewne cechy paranoidalne. Czy to nie alkoholowy zespół paranoidalny? Ostatnie słowo należy do pana, pan jest specjalistą. Jest jednak opinia wstępna. Słowem, proszę zbadać chorego. Margarito Glebowno!

Margarita Glebowna zjawiała się jak spod ziemi.

– Czy są epizody alkoholowe? – nieśmiało zapytał Dulin.

– T-t-tak – niewyraźnie odparł Dymszyc. – W każdym razie mamy niewątpliwie jeden epizod: był pijany podczas zatrzymania.

Dymszyc wstał. To był koniec audiencji.

Margarita Glebowna wypchnęła Dulina na korytarz.

Dwoma palcami otarła kąciki warg, jakby zdejmując nadmiar szminki:

– Tu, w pokoju lekarskim, może się pan zapoznać z dokumentami, a potem pokażę panu chorego.

Dulin otworzył teczkę i zaczął studiować papiery. Pacjent Piotr Pietrowicz Niczyporuk, sześćdziesiąt dwa lata. Był dwa razy ranny i raz kontuzjowany, zaburzenia organiczne... Któż ich nie ma? Zapis rozmowy z psychiatrą... Protokół... Dmitrij Stiepanowicz nie wierzył własnym oczom: to, co mówił ten generał, nawet czytać było strasznie! Po prostu jakiś obłąd! „W jakim celu utworzyliście podziemną organizację?”. Antysowiec, prawdziwy antysowiec! Dalej... „Organizacja nazywa się ZPL – Związek Prawdziwych Leninowców”... A więc nie antysowiec, wręcz przeciwnie... Przeciwnie, to znaczy kto? „Jakie mieliście pobory, Piotrze Pietrowiczu?”. Dziwne pytanie jak na psychiatrę. A-a, rozumiem... rozumiem. Siedemset rubli. Dulin nawet nie wiedział, że bywają takie pensje... Dalej, dalej... „No, więc czego wam brakowało, Piotrze Pietrowiczu, przy takich poborach? Przecież władze dały wam wszystko”. Tak. Dziwne. Rzeczywiście, przy takiej pensji co mu zawiniły władze? Aha, aha... nie spodobało mu się wkroczenie sowieckich wojsk do Czechosłowacji... Przemawiał... Oszczyście... No, to zrozumiałe. Tylko po co on takie rzeczy mówi psychiatrze, po co?

Migały podkreślone czerwonym ołówkiem słowa „braterstwo duchowe”, „doskonalenie moralne”, „antyludowa władza partokracji”, i, wreszcie, „święta sprawa socjalizmu”. „Dziwny facet, nie wariat, ale po prostu stuknięty” – wyciągnął wstępny wniosek Dulin. Przez czterdzieści minut studiował notatki.

Wtem przyprowadzono chorego – wysoki, chudy facet w szpitalnej piżamie i filcowych kapciach. Wszedł i stanął przy drzwiach, trzymając ręce za plecami i z lekka opuściwszy głowę. Wszedł z nim jeszcze jeden, mniejszy i usiadł na krześle przy drzwiach.

– Dzień dobry, Piotrze Pietrowiczu, jestem psychiatrą, doktorem medycyny, nazywam się Dmitrij Stiepanowicz Dulin. Chciałbym pana zbadać i z panem porozmawiać. Proszę podejść tutaj – i Dulin wskazał mu krzesło obok siebie. – Jak pan się czuje? Na co się pan skarża?

Były generał uśmiechnął się i spojrzał na Dulina. Spojrzenie było zbyt długie i zbyt uważne.

– Stosownie do wieku. Na nic szczególnego się nie skarżam. – Splótł na kolanie wielkie dłonie, całe pokryte czerwonymi łuskami.

Dulin to zauważył:

– Czy od dawna cierpi pan na łuszczycę?

– Od wczesnej młodości. Zaczęło się po wojnie. Podczas wojny ludzie mało chorowali na ludzkie choroby. Co innego mieli na głowie. A po wojnie się zaczęło: serce, żołądek, wątroba.

Wyraz „wątroba” wymówił, rozciągając sylaby, drwiąco. Dulin badał Niczyporuka, tak jak go uczono w akademii: twardówki oczu, stan powłok skórnych, stan błony śluzowej... niedożywienie, najpewniej anemia... analiza krwi... no tak, anemia...

– Jaki dziś mamy dzień, Piotrze Pietrowiczu? – zapytał cicho.

– Parszywy – krótko odpowiedział pacjent.

– Datę pan pamięta? – powtórzył Dulin.

– A – roześmiał się pacjent – chodzi panu o mieszanie dat? Dziś mamy dwudziesty drugi lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku. Dokładnie trzydzieści dwa lata i jeden miesiąc od napaści niemiecko-faszystowskich wojsk na ZSRR.

Jakby kpił. Nie, po prostu niestosownie dowcipkuje – humor alkoholowy! Zresztą Dulinowi były generał

raczej się podobał. Dulin położył go na kanapce, opukał brzuch. Wątroba była powiększona. Chyba stłuszczenie alkoholowe. Przy znacznym wyniszczeniu organizmu.

– Wzrost? Waga?

– Dokładnie sześć stóp. Waga – nie wiem.

Margarita Glebowna i ten przy drzwiach ani drgnęli. Zastygli niczym kamienne posągi.

– Dobrze! Proszę zamknąć oczy i dotknąć palcem wskazującym prawej ręki czubka nosa. Teraz lewej... Rok urodzenia? Proszę podać datę urodzenia.

Uśmiech:

– Dziesiąty wrześnie tysiąc dziewięćset dziesiątego roku od narodzenia Chrystusa. Według kalendarza juliańskiego oczywiście.

– Rozumiem – dziarsko odpowiedział Dulin. – Czy pan zawsze posługuje się tym kalendarzem?

– Oczywiście, że nie. ZSRR przeszedł na gregoriański w lutym osiemnastego roku i wszystkie daty po czternastym lutego najlepiej oznaczać według kalendarza gregoriańskiego, a przed – według juliańskiego. Logiczne?

– Tak, chyba tak – zgodził się Dulin. Trzeba by sprawdzić w encyklopedii, jak to jest z tymi kalendarzami. Facet jest oczywiście bardzo wykształcony, a z wykształconymi zawsze są dodatkowe komplikacje. Rozszerzenie strefy odruchotwórczej, można to traktować różnie. Jako następstwo alkoholizacji, a nawet paranoję alkoholową. Zależy jak na to spojrzeć.

– A pańskie miejsce urodzenia, Piotrze Pietrowiczu?

– Wieś Wielkie Topole, w powiecie gadiackim, guberni półtawskiej. Mój ojczulek należał do inteligencji wiejskiej, był nauczycielem w szkole ludowej.

– Rozumiem, rozumiem. A jak wygląda u pana kwestia dziedziczności, Piotrze Pietrowiczu? Czy pana ojciec pił? – przeszedł Dulin do głównego tematu.

– Ja też rozumiem, doktorze. Pił. I dziadek pił. I pradziad. Ja też piłem, kiedy stawiali. – Uśmiechał się przy tym, uśmiechał się wręcz promiennie. Uśmiech miał sympatyczny – bez odrobiny szyderstwa czy utajonego jadu.

– A kiedy zaczął pan pić, Piotrze Pietrowiczu? – uprzejmie zapytał Dulin.

– A tego to nie pamiętam. W święta wszystkim nalewano, dzieciom też. Ojczulek zawsze do obiadu wypijał, to święta rzecz – szklaneczka przy obiedzie. Ja też, przyznam się, szanuję ten zwyczaj.

– A teraz pan pije?

Piotr Pietrowicz całkiem rozpułynał się w uśmiechu:

– Mój gołęboczku! Przecież tu nie podają! Przyznam się panu, doktorze, że od początku wojny nie było dnia, żebym się nie napił spirytusu, wódki, czy co tam Bóg dał. Bardzo mi tego brakuje!

Dulin instynktownie wyczuwał cel podejrzanego: Piotr Pietrowicz zachowywał się zbyt ufnie.

– Czy odczuwa pan potrzebę picia? Pociąg do alkoholu?

– Pociągu nie mam wcale. A potrzebę – tak. Rozumną potrzebę.

„Jak twierdzi badany – wieloletnie, regularne nadużywanie alkoholu, bez ekscesów...” – zanotował Dulin z czystym sumieniem.

Margarita Glebowna, która cały czas milczała przy drzwiach, była wyraźnie niezadowolona – zaczęła o czymś szeptać z facetem siedzącym na krześle.

– Rosjanin, doktorze, bez tego nie potrafi się obejść. Wódka koi duszę, łagodzi życie. A pan o tym nie wie?

Wtedy Dulin zrozumiał: Piotr Pietrowicz nawet chce, żeby go wysłano na kurację. Dulin jeszcze raz uważnie przekartkował akta: z zapisków lekarzy dowiedział się, że cztery lata, od sześćdziesiątego ósmego do siedemdziesiątego drugiego, Piotr Pietrowicz spędził w więzieniu i jego stan fizyczny w tej chwili jest kiepski. Leżała tam stara ekspertyza ambulatoryjna, wykonana w Rydze, gdzie czarno na białym napisano: „Świadomość jasna, reakcje prawidłowe, rozumuje logicznie, mówi z sensem”. Uznany za poczytalnego. A nowy papier, gotowiec, który miał podpisać, stwierdzał paranoję alkoholową. I wielki znak zapytania.

Z tym sumienie Dulina nie mogło się pogodzić. Wyteżył się jak uczeń na klasówce i stając na uszach, znalazł właściwe rozwiązanie – przed wyrazami „paranoja alkoholowa” wpisał jeszcze jeden wyraz: „nietykowa”. To słowo stawiało wszystko na właściwych miejscach – przypadek nietykowy! Ten cały Piotr Pietrowicz nie był wariatem, tylko dziwakiem. Ale na kurację dobrze byłoby go jednak posłać. Jest to przecież zakład leczniczy – tam go odkarmią. Teraz jasne, dlaczego tak radośnie opowiadał mu o swoich doświadczeniach alkoholowych. W ten sposób jakby daje do zrozumienia, że zgadza się na leczenie. Zresztą Winberg też wspominał o jakimś Rillem, który chciał, żeby go uznano za niepoczytalnego i posłano na leczenie.

Porozmawiali jeszcze trochę i Dulin z lekkim sercem wpisał swoje orzeczenie: „Alkoholowe uszkodzenie organów wewnętrznych. W centralnym układzie nerwowym szereg zmian: encefalopatia alkoholowa, amnezja wsteczna. Diagnoza: nietykowa paranoja alkoholowa...”.

Dulin złożył swój piękny podpis.

I spojrzął na zegarek – wpół do trzeciej.

„Wpół do trzeciej. Obiad mi przepadł przez tego cholernego eskulapa. Ale może salowa mi zostawiła?” – z niepokojem pomyślał głodny generał.

Dulin przyszedł do siebie na oddział, wyjął z teczki kanapki Niny i nalał sobie szklanekę mleka. Miejscowa kucharka zawsze zostawiała mu pół litra. Zjadł, przejrzał dwa czasopisma, które długo leżały na biurku i przyszła pora, żeby je oddać do biblioteki. Potem poszedł do Winberga. W dawnym magazynie bielizny, gdzie urządzono ni to gabinet, ni to składzik, wszystko było zavalone książkami, przeważnie zagranicznymi.

„Oto skąd Winberg czerpie swoją wiedzę. Ma tę przewagę, że zna języki” – pomyślał prostoduszny Dulin.

Miało się ku wieczorowi, dzień pracy lekarzy dawno się skończył. Na biurku Winberga, na stercie czasopism, listów i szarych kartek zapisanych ostrym, nieco gotyckim pismem, leżała płyta w białej papierowej kopercie.

– Przynieśli mi Daniela Szafrana. Unikatowe nagranie – sonata na wiolonczelę i fortepian Szostakowicza z czterdziestego szóstego roku, prawykonanie. I sam Szostakowicz też gra. – Profesor czule pogłaskał płytę smagłą ręką z długimi paznokciami. – A Daniel Szafran miał wtedy zaledwie dwadzieścia trzy lata. Genialny, genialny wiolonczelista...

„Co to za naród, jak oni wszyscy lubią swoich – pomyślał z niechęcią Dulin, ale się zmiarkował: – Zresztą co w tym złego? Wszyscy ludzie są tak skonstruowani, że swoi są im bliżsi”.

– Udzieliłem konsultacji – zameldował Winbergowi. Ale ten chyba nawet nie pamiętał o poprzedniej rozmowie. Minę miał roztargnioną.

– Wrobiłem go w alkoholizm. Na pewno teraz pojedzie się leczyć.

– Co? – zapytał Winberg. – Co pan powiedział? Skierował go pan do lecznicy specjalnej?

– Co to za różnica, Edwinie Jakowlewiczu? Jest wyczerpany, więc pomyślałem, że w zakładzie stacjonarnym przynajmniej go podkarmią. Wszystko jest lepsze niż łagier. – Dulin nie czuł już zadowolenia z dobrze wykonanej pracy.

– Pan udaje głupiego, Dulin? Czy może rzeczywiście jest pan durniem? – spytał kulturalny profesor.

Teraz Dulin już całkiem się stropił: zawsze uważał za honor, że Winberg z nim rozmawia, prowadzi dysputy naukowe, a tu ni z tego, ni z owego wymyśla mu od głupców. Dulin poczuł się strasznie obrażony.

– Jakże to, Edwinie Jakowlewiczu, przecież pan sam mówił o tym Rilke, że marzył o tym, żeby uznano go za niepoczytalnego i nie wysyłano do łagru... Przecież pan sam... – tłumaczył się bełkotliwie.

– Co ja sam? W latach trzydziestych nie było haloperidolu! Aminazyny! Stelazyny! Nie było! Pan go wyprawił do celi tortur, Dmitriju Stiepanowiczu. Może pan iść i napisać na mnie donos.

Opuścił głowę i wlepił wzrok w płytę – „W wykonaniu Daniela Szafrana...”

Zamilkł, wykrzywił usta. Co za podłość... co za podłość wszędzie...

– A co? Co powinienem był zrobić? – z cichą rozpaczą zapytał Dulin. – On przecież rzeczywiście... no, nie całkiem... tego... Jak powinienem był postąpić?

Ale Winberg poobracał płytę, położył obie ręce na biurku.

„Wyjechać, wyjechać, jak najprędzej wyjechać – po-

myślał. I jeszcze: – Co to za naród! Tak się nienawidzić!”.

Potem uśmiechnął się kwaśno i powiedział coś zupełnie niezrozumiałego:

– Nie wiem. Pewien chiński mędrzec mówił, że na każde pytanie istnieje siedem odpowiedzi. Na to pytanie każdy odpowiada sam. Przepraszam, że byłem taki ostry, Dmitriju Stiepanowiczu.

Wiera Samuiłowna od razu się zorientowała, że mąż jest poirytowany i przygnębiony: po zamaszystym geście, jakim zdejmował palto, po zachmurzonej twarzy i drewnianym skinieniu „*Danke!*”, kiedy postawiła przed nim zupę. Była, mądrą kobietą i milczała, o nic nie pytała, a on później zawsze był jej wdzięczny za to arystokratyczne milczenie.

Edwin Jakowlewicz przeżywał swój wybuch i wyrzucał sobie poniewczasie: jak mógł sobie pozwolić na poniżenie tego miłego, głupiego i gorliwego człowieka? Czyż nie on sam, uczciwy Winberg, uczestnicząc w ekspertyzie psychiatrycznej kilka lat temu, na tym samym oddziale specjalnym, wydał orzeczenie o niepoczytalności więźnia, którego poglądy polityczne na naturę tej władzy całkowicie podzielał? Ale z klinicznego punktu widzenia choroba psychiczna była niewątpliwa. Rozległy i wyraźny obraz psychozy maniakalno-depresyjnej. Nie mógł z tym nic począć były więzień Winberg! Prawie wszyscy tutejsi ludzie inaczej myślący, ci, co podpisywali apele, domorośli buntownicy, byli szaleńcami w potocznym, a częściowo też w medycznym znaczeniu tego słowa. To oczywiście rosyjski radykalizm. Taka jest jego natura, nigdy nie opiera się na zdrowym rozsądku – rozmyślał Winberg, uspokajając się powoli.

Nawet nie zauważył, jak od rozmyślań przeszedł do monologu:

– Kiedy Hitler doszedł do władzy, poczytalni inteligenci wyemigrowali, a lojalni... Nie ma wyjścia, nie ma wyjścia. Ale lekarz jest w sytuacji szczególnej – on tylko leczy. Wyjście poprzez profesję. Obozowy szpitalik. Urazy, wrzody, gruźlica, zawały. Honor zawodowy przede wszystkim. Jest ważniejszy od polityki. Niewątpliwie, niewątpliwie, ale... Wieró, Wieró! Wszyscy, których widziałem spośród obecnych walczących z reżimem, znajdowali się na granicy, na kruchej krawędzi między zdrowiem a chorobą. Czy pamiętasz tę kobietę, która wyszła na plac z dzieckiem w wózku? Istnieje instynkt samozachowawczy. Istnieje instynkt macierzyński, który zmusza matkę do obrony swego dziecka. Ale nie istnieje w naturze instynkt sprawiedliwości społecznej! Sumienie działa przeciw przetrwaniu, Wieró!

Żona siedziała naprzeciw niego na taborecie w ich pięciometrowej kuchni, gdzie drugie krzesło się nie mieściło, był natomiast stół, kuchenka z dwoma palnikami, ciepłe w zimie kaloryfery i bujne zarośla jakichś chwastów pod oknem w lecie.

Wiera patrzyła w czarną szybę, w której nic nie było widać oprócz jej własnego mętnego odbicia. Ona też wiedziała, że sumienie działa przeciwko przetrwaniu. Tak, biologiczna ewolucja gatunku wypłukuje tych, którzy mają żywe sumienie. Przeżywają najsilniejsi. Nie chciała wracać do tego tematu: łagier, głód, poniżenie, piekło.

– Edwin, powiedz, czy Graczewski przyniósł ci tę płytę?

Edwin Jakowlewicz ocknął się, roześmiał i wyszedł z kuchni. Tak, porozmawialiśmy sobie, wystarczy.

Wyjął z teczki sonatę wiolonczelową i nastawił. Wiera już siedziała w fotelu w pokoju, który umownie nazywali dużym.

Było to najwcześniejsze wykonanie. Później, w pięćdziesiątym, Szostakowicz nagrał tę sonatę z Rostropowiczem i trochę ją nawet zmienił w porównaniu z pierwszą wersją.

Wielkie uszy Winberga z kępkami włosów, odziedziczone po przodkach, nawet jakby się poruszały w napięciu. Wiera Samuiłowna, wytrawna słuchaczka, już dawniej uważała, że interpretacja Daniela Szafrana jest bogatsza i barwniejsza niż Rostropowicza. Ale tu był Szostakowicz, który wydawał jej się oschły i twardy. Jej mąż słyszał w tej muzyce co innego: bezkompromisowość, dramat wewnętrznej konfrontacji. Fortepianowa kadencja trzeciej części przypominała późne sonaty Beethovenowskie.

– Beznadzieja. Kosmiczna beznadzieja. Prawda, Wiero?

Od Winberga Dulin poszedł prosto do wiwarium. Miał tam zamykaną szafkę, gdzie w tajemnicy trzymał spirytus medyczny. Wziął stamtąd półlitrową kolbę, rozcieńczył w menzurce wodą z kranu, pół na pół, tak jak podawał królikom, i z obrzydzeniem wypił wprost z menzurki całe dwieście gramów. Włożył kolbę do teczki, kiepsko się tam mieściła, ale korek był dopasowany, niezawodny, tak że można było ją położyć. I poszedł do trolejbusu. Pijany poczuł się dopiero w trolejbusie. W domu nie było nikogo, ponieważ Nina pojechała po Marinoczkę, która wracała z kółka biologicznego w miejskim Domu Pionierów, dokąd ją przyjęto dzięki wielkiemu pociągowi do biologii, mimo

że nie osiągnęła odpowiedniego wieku: do pionierów jeszcze nie należała.

W domu Dulin rozcieńczył jeszcze trochę, wypił następne dwieście gramów. Paskudztwo, świństwo. Jak oni mogą to pić? Teraz go rozebrało, pokój wirował paskudnie wokół jego biednej głowy. Ale nie mógł zasnąć. Tylko jedna myśl, jak odłamek drzazgi w mózgu, kłuła i kłuła: co to za siedem odpowiedzi, co może być jeszcze oprócz „tak” i „nie”?

Potem przyszła Nina, długo nie mogła zrozumieć, co się dzieje z mężem. Potem się zorientowała, że jest w trupa pijany.

Najpierw się roześmiała:

– Nieszczęsny pijany królik!

Usiłowała napoić go herbatą, położyć, ale on nie chciał spać, bełkotał coś o siedmiu odpowiedziach czy o siedmiu pytaniach i dopiero późno w nocy uświadomiła sobie przyczynę jego cierpienia.

Do tego czasu Dulin rozcieńczył resztkę spirytusu, ale wypić nie mógł – zwymiotował wśród spazmatycznych skurczów. Potem się położył, wstrząsany dreszczami.

Nina przestała się nim zajmować. Usiadła na krześle i wymamrotała coś cicho i ze złością. Nie położyła się do łóżka. Potem weszła Marinoczka w nocnej koszulce i poskarżyła się, że boli ją głowa. I wtedy Dulin przypomniał sobie od razu całe zło, jakie go spotkało w życiu: jak szydzili z niego chłopcy z wiejskiej szkoły, jak wrzeszczała nauczycielka Kamzołkina, jak biła go matka, jak ciągnął za uszy pijany „dochodzący” wujek Kola... I rozplakał się.

Płakał – bo był królikiem, a nie mężczyzną.

Tak mu powiedziała Nina.

DROGA W JEDNĄ STRONĘ

Na szyi Ilji majtał się aparat fotograficzny bez filmu – wyjęli go i prześwielili pogranicznicy – a na ramieniu na wpół pusty plecak. Była w nim zmiana bielizny i podręcznik języka angielskiego, który stale nosił z sobą już od dwóch lat. Miał na sobie nową pikowaną kurtkę i stare dzinsy. Na szyi szalik, wydziergany przez Olgę z czarnej i szarej włóczki, dokładnie w takim samym odcieniu jak jego siwiejąca głowa.

Przy trapie stała kolejka, a byli sowieccy obywatele, stanowiący więcej niż połowę kolejki, różnili się od niesowieckich kiepskim ubraniem i różnym stopniem oszołomienia: stojący obok staruszek w karakułowej czapce miał czkawkę, a jakaś niewidoczna dla Ilji kobieta w tłumie nerwowo chichotała. Ilja z utęsknieniem czekał na chwilę, kiedy znajdzie się wreszcie w samolocie, siądzie w fotelu i samolot wystartuje. Chociaż było oczywiste, że granica została przekroczona bezpowrotnie, to jednak chciał jak najszybciej oderwać się od ziemi. Poza tym pilnie musiał do toalety.

Wiedział, że za jakimś oknem, machając rękami, stoją Ola z Kostią i inni żegnający, i spodziewają się zapewne, że on też pomacha im ręką, wchodząc po trapie, ale nawet nie usiłował odszukać wzrokiem tego

oszkłonego przejścia, gdzie mogli stać. I tak by ich z takiej odległości nie rozpoznał. Kiedy jednak stanął na samej górze, odwrócił się w nieokreślonym kierunku i pomachał ręką, jak Breżniew na trybunie, w geście partyjnego pozdrowienia.

Oto filmowy moment życia – uśmiechnął się do siebie Ilja i uspokoił się. Miejsce miał w przedostatnim rzędzie, przy oknie. Samolot był całkowicie wypełniony.

Gdy z wysiłkiem oderwał się od ziemi, Ilja powiedział do siebie: „Jestem wolny! Wolny od wszystkiego!”.

Samolot z trudem nabierał wysokości. Wszystkich trochę przygniotło, Ilja jakby tracił na wadze. Wydawało mu się, że sam mógłby się wzbić w powietrze, bez żadnego samolotu, uniesiony samym poczuciem bezgranicznej wolności.

Kobieta, która nerwowo chichotała przy trapie, a teraz siedziała nieco z przodu przy przejściu, zaczęła się głośno śmiać i pochlipywać. Stewardesa o wzroście koszykarki przeszła ze szklanką wody.

„Tak, tak, wysoka kobieta... to dobrze – wysoka kobieta” – ale nie dokończył myśli, która przemknęła mu przez głowę.

Szara mgła w oknie rzedła, samolot wreszcie przedarł się w jaskrawobłękitne niebo, w dole pozostały grube białe chmury, gęste jak gotowany ryż, grube jak teatralna dekoracja. Samolot wciąż nabierał wysokości i szybko zmierzał na zachód, pozostawiając za sobą ruiny przeklętego życia, grząski galimatias, strach, wstyd, kłamstwo, a Ilja wdychał sztuczne samolotowe powietrze – wysokogórskie powietrze wolności. Przed nim rysowała się zachwycająca pustka, życie zaczynało się od czystej kartki, wszystkie uwagi wytarto gumką.

Szarpała go za rękę sąsiadka – stara Żydówka z nowymi złotymi zębami:

– Przepraszam, czy mógłby pan zamienić się ze mną miejscami?

Pewna odpowiedzi, ciągnęła pas w złą stronę, próbując go rozpiąć.

– Nie – krótko odpowiedział Ilja.

– Ale dlaczego? – spytała urażona.

– Bo nie chcę – odpowiedział, nie odwracając głowy.

– Ale dlaczego? – nie wierzyła własnym uszom.

Nie raczył jej odpowiedzieć. Była częścią przeszłości, od której się nie odwrócił.

– Ale tak – to ani tu, ani tam – powiedziała zdetonowana kobieta i zwróciła się do sąsiada siedzącego przy przejściu.

– Przepraszam, czy pan nie mógłby zamienić się ze mną miejscami?

– Przepraszam, nie rozumiałem. Co pani sobie życzy? – powiedział mężczyzna z wyraźnym obcym akcentem.

Ilja spojrzał w jego stronę. Siwy staruszek, w kościastej ręce – niemiecka gazeta. Ciekawe. To było właśnie to, co Ilja najbardziej lubił: pytanie, zagadka, szczegóły, szczegóły... Jedwabny zagraniczny krawat w paski, biała koszula z tłoczonej nieznanej tkaniny, znoszona marynarka, a zwłaszcza niemiecka gazeta – od razu zwróciły uwagę.

– Chciałam się przesiąść do okna. Ten pan mnie nie puścił, więc przynajmniej siadłabym przy przejściu. – Wciąż jeszcze wściekle szarpała pas, ale Ilja jej nie pomógł. Patrzył z nieprzyjaznym zainteresowaniem: co za bezczelna baba!

Staruszek wstał, okazał się bardzo wysokim, chu-

dym i z wyglądu doskonałym cudzoziemcem. Chociaż marynarka...

– Chwileczkę, pomogę pani odpiąć pas. – Sąsiad wypuścił kobietę z pułapki, stanął w przejściu. Ona natychmiast opadła na jego miejsce.

– Od razu widać, że kulturalny człowiek – pochwaliła głośno, z potępieniem pod adresem Ilji.

– Przepraszam, najpierw niech mnie pani przepuści na swoje miejsce, a potem pani usiądzie. – Stał w przejściu z pochyloną głową, w wyczekującej pozie.

– Aha, aha – pokiwała głową i uniosła zadek.

Ilja się uśmiechnął, spotkał się wzrokiem ze starszakiem, takie muśnięcie oczu, bez słów – a to zabawne, taka bezczelna idiotka – ale w oczach sąsiada nie napotkał żadnego odzewu.

Zamienili się miejscami. Starszerek usiadł i kiwnął Ilji głową. Rozłożył gazetę. Tytułu nie było widać.

Baba nie zostawiła go w spokoju:

– Oj, pan czyta po zagranicznemu?

– Tak – skinął głową.

Ilja odwrócił się do okna. Niebo jaśniało, ale zachwytnik znikł. Miał ochotę porozmawiać z tym niezwykłym sąsiadem, ale teraz, po zaczepkach tej baby, było mu niezręcznie.

Baba nie dawała za wygraną:

– Oj, a po jakiemu?

– Teraz akurat po niemiecku – uśmiechnął się starszerek, już nie odrywając wzroku od gazety.

Po niewielkiej pauzie znów zadała mu pytanie – głośnym szeptem:

– Przepraszam, czy pan jest Żydem?

– Tak – uśmiechnął się starszerek.

– A dokąd pan jedzie – do Izraela czy do Ameryki?

„No, gudłajska morda” – pomyślał Ilja. Po prostu delektował się tą sceną.

– Do trzydziestego trzeciego roku żyłem w Niemczech. Wracam do ojczyzny. Bardzo długo mieszkałem w Rosji.

– To pan jest cudzoziemcem – zachwyciła się baba.

On się uśmiechnął:

– Teraz tak.

– No właśnie myślałam, na naszego nie wygląda. A ja do Wiednia, a potem do Ameryki. Syn już tam jest. Najpierw nie chciałam, a potem myślę – dobra. Szkoda, oczywiście, wszystko trzeba było zostawić. – Chciała pogadać i rozmówca wydał się jej odpowiedni.

Niemiec był człowiekiem dobrze wychowanym, odpowiadał na głupie pytania tej prostytutki, Ilja od razu sobie wyliczył – wyjechał w trzydziestym trzecim, kiedy Hitler doszedł do władzy. Zapewne był komunistą. W Rosji oczywiście siedział. To jest życiorys! Pewnie wrócił do zachodnioniemieckiego obywatelstwa. Naprawdę ciekawie byłoby z nim porozmawiać.

Ilja odwrócił się do okna, ale czarodziejskie uczucie, które opanowało go podczas startu, wywietrzało, zszedł myślami na ziemię, zastanawiając się, czy Pierre, który obiecał przylecieć do Wiednia, będzie na niego czekał, czy też będzie musiał jechać do jakiegoś obozu przesiedleńczego – wspólnych baraków zatłoczonych przez emigrantów.

Nie, nie, on się przebije. W końcu ma znajomych, nawet przyjaciół, zatelefonuje, może mu przysła pieniądze. Pierre też oczywiście pomoże. Może do Włoch... albo machnąć się do Francji. Tam była Nicole, dobra znajoma. Przecież ma się w końcu do kogo zwrócić.

A potem może uda się sprzedać część kolekcji. Wracał poprzedni, świeży zachwyty.

Podano samolotowy posiłek – cudowny. Minęła jeszcze godzina.

W iluminatorze widać było góry – czyżby Alpy?

Nawet wymówił na głos: „Alpy”.

Stary sąsiad, który zdawał się drzemać, nieoczekiwanie podniósł głowę i zwrócił się do Ilji:

– Proszę zawołać stewardesę. Źle się czuję.

Ilja nacisnął guzik. Staruszek zamknął oczy. Był żółtobiały, otwartymi ustami chwycił powietrze.

– Szybko... lekarza – wychrypiał.

Spazmatycznie, ochrypłymi wdechami wciągał powietrze, potem odchylił się na oparcie fotela i znieruchomiał z otwartymi ustami.

Baba patrzyła na niego z przerażeniem.

Podeszła stewardesa. Wzięła staruszka za rękę. Szukała tętna.

Baba, stojąca w przejściu, zrozumiała wcześniej niż inni i zawyła wsiowym, silnym głosem: „A-a-a”.

I wtedy Ilja pojął, że jego sąsiad nie żyje.

Emigracja Edwina Jakowlewicza Winberga dobiegła końca.

GŁUCHONIEME DEMONY*

Każdemu zdarza się w życiu taki szczególny rok, a może pora roku, kiedy pękają pączki potencjalnych możliwości, następuje życiowo ważne spotkanie, krzyżują się kontakty, zmieniają tory, poziomy, życie z nizin wzbija się na niebotyczne szczyty. Mając dwadzieścia dwa lata, Micha spotkał Alonę i pokochał ją tak nieodwołalnie i ostatecznie, że całe jego dotychczasowe życie z miłymi dziewczynami, z lekkimi i niezobowiązującymi randkami i pracowitymi nocami w akademiku rozbiło się niczym szklanka i po dawnych namiętnościach pozostały tylko marne odpryski.

Drugie wydarzenie, nie mniej ważne, które miało miejsce nieco wcześniej i sięgało bardzo głęboko, wiązało się z jego zawodowymi zainteresowaniami. Na początku czwartego roku studiów Micha nie tyle stracił wiarę w rosyjską literaturę, ile zaczął niemal codziennie robić skoki w bok, na wydział defektologii, i słuchać wykładów z nauczania głuchoniemych prowadzonych przez słynnego specjalistę Jakowa Pietrowicza Rinka, przedstawiciela całej dynastii pedagogów, którzy pra-

* Nawiązanie do tytułu tomiku poetyckiego Maksymiliana Wołoszyna (przyp. red.).

wie od stu lat opracowywali metody rozwoju mowy u głuchych, głuchoniemych i niedosłyszących.

Na pierwszy wykład Rinka przyprowadziła go koleżanka, a po paru tygodniach Micha zapalił się do nauczania głuchoniemych i postanowił studiować tę dyscyplinę, nie opuszczając wydziału filologii. Za specjalnym zezwoleniem profesora Rinka zdał kilka przedmiotów specjalistycznych i w ten sposób stał się „bigamistą”: filologia i defektologia doskonale się uzupełniały.

Biegał z wydziału na wydział, coraz bardziej się skłaniając ku defektologii.

Skrupulatny psychoanalityk może znalazłby prawdziwą motywację nowej pasji Michy, ale tak się nie stało – cień bełkoczącej Minny go nie prześladował, a właściwe mu poczucie winy wobec wszystkich w tym przypadku go nie niepokoiło. Pojawienie się Alony, wraz z drobnymi miłosnymi osiągnięciami ostatnich lat, zmyło również i ten na wpół dziecięcy uraz. Co tu zresztą wspominać?

Niedorozwinięta, ledwie obracająca językiem istota, Minna, przeżyła swoje dwadzieścia siedem lat niepostrzeżenie, nikomu nie będąc ciężarem i tak samo niepostrzeżenie odeszła. Ciocia Gienia przeżyła śmierć córki raczej jak śmierć domowego zwierzątka. Inni w ogóle nie zauważyli, że zniknęła nieśmiała, słabo uśmiechająca się karliczka, która nigdy nikomu nie wyrządziła nic złego. Micha przypomniał sobie wróbelka Katullusa, jak go opłakiwała ta, jak jej tam – Lesbia?

Wkrótce po wyniesieniu z domu leżanki i dziecięcego krzeselka, na którym Minna składała przed snem swoje ubranie, ciocia Gienia uwolniła się od przykrych trosk i z głęboką satysfakcją oraz z cieniem patologicznej

dumy od czasu do czasu powtarzała: przydarzyło mi się w życiu tyle nieszczęść, że to się w głowie nie mieści!

Z Michą mieszkało jej się dobrze: od kiedy się wprowadził – gdy miał dwanaście lat! – do jego obowiązków należały zakupy, sprzątanie pokoju, dyżurne sprzątanie wspólnych pomieszczeń i kuchni, jak również – czego najbardziej nie lubił – wykonywanie drobnych poleceń cioci Gieni, które wymyślała, to po trzy razy goniąc go do apteki, to posyłając z połową ciasta do siostry Fani albo do innej siostry, Rajeczki, po salaterkę zimnych nóżek.

Już prawie od dziesięciu lat spełniał rodzinną posługę z niezwykłą łatwością, potulnie i radośnie. Ciotka, tak jak potrafiła, polubiła przybranego wychowanka i nie zamierzała się z nim rozstawać. Ale powolna żydowskiemu instynktowi swatania – kojarzenia, jak w chemii, wszystkich wartościowości wolnych, żeby nie pałętały się luzem – od czasu do czasu zapoznawała go z porządnymi żydowskimi pannami z szerokiego kręgu rodzinnego. Tu właśnie trafił się jej zupełny niewypał: jej własny syn Marlen wymknął się, ożenił z Rosjanką. Po dziś dzień nie mogła pogodzić się z tym faktem, chociaż „«ta Lida» okazała się całkiem porządna” ...

Na początku października ciocia Gienia zaprosiła na obiad swoją daleką kuzynkę Ellę, milczącą, całą opływowych kształtów, jak butelka, i na takich samych butelkowatych nogach. Ella przyniosła wielką owalną bombonierkę czekoladek, których ciocia Gienia nie brała do ust w obawie przed cukrzycą – wśród jej licznych przesądów był też taki: cukrzyca powstaje ze spożywania czekolady. Bombonierkę z biegnącym jeleniem postawiła na kredensie i podała rosół.

Micha odsiedział pokornie wszystkie trzy dania, każdemu oddając sprawiedliwość, a markotna Ella poruszała łyżką bez entuzjazmu, w milczeniu, nie podnosząc wzroku. Widocznie i jej ciążyły te bezowocne, rzekomo przypadkowe spotkania z młodymi krewniakami, te zawsze nieudane swaty. Po obiedzie – na ruch brwi cioci Gieni – Micha odprowadził Ellę do metra. Gdy wrócił, niezadowolona ciocia, kiwając podzieloną na pół cienkim przedziałkiem głową lalki, wytknęła mu:

– Lepiej zwrócićbyś uwagę na tę Ellę. Wykształcona, jedynaczka i mają takie mieszkanie w Marinej Roszczy, że ci się nawet nie śniło! Owszem, trochę starsza, to prawda! Ale przecież to swoja dziewczyna!

Przy tym wszystkim wcale nie chciała pozostać sama w komunalnym mieszkaniu, wśród sąsiadów, którzy dawniej byli przyzwoici, a teraz, ci nowi, jakby się dobrali: sami antysemita i złodzieje.

Ale Micha zwrócił w tej chwili uwagę wyłącznie na bombonierkę. Chodziło o to, że zaprosiła go na urodziny śliczna Alona, studentka pierwszego roku wydziału artystyczno-graficznego. Dopiero co zjawiała się na uczelni, a od razu ją zauważono. Wyróżniała się nie tylko urodą – twarz w typie Botticellego, świetlisty spokój i młodzieńcza bezpłciowość – ale i dystansem i wyniosłością. Wszyscy chcieli się z nią przyjaźnić, a ona była jak woda: nie dało się jej utrzymać w rękach. A poprzedniego dnia sama podeszła do Michy i zaprosiła go na urodziny!

Micha nie był głównym bożyszczem wydziału, bo w owym czasie studiowało tam kilku gitarowych młodzieńców, których wielka sława bardów dopiero się rozpoczynała. Micha nie mógł stanowić dla nich

konkurencji – mimo że też pisał wiersze, nie umiał ich śpiewać przy gitarze. Był natomiast wyraziście rudy, wyjątkowo zgodny, miał powodzenie u dziewcząt, zwłaszcza tych przyjezdnych, i żadna studencka impreza nie mogła się bez niego obejść.

O, tak, pobiegłby pędem na urodziny Alony, ale nie miał pieniędzy nawet na najskromniejszy prezent i duma nie pozwalała mu iść. Nie miał od kogo pożyczyć: Ilja wyjechał, a Annie Aleksandrownie był winien z ubiegłego miesiąca piętnaście rubli. Od cioci Gieni ani razu nie brał pieniędzy od czasu, gdy zaczął dostawać stypendium. Ale tym razem wydał wszystko wcześniej.

Ta ozdobna bombonierka na kredensie byłaby w sam raz! Co prawda banalny to prezent, ale przynajmniej nie przyszedłby z pustymi rękami...

Wysłuchał ciotcznych pouczeń w kwestii ożenku z żydowską dziewczyną. Przecierpiał starą śpiewkę i zapytał, czy nie mógłby wziąć tej bombonierki jako prezentu. Ciocia miała co do czekoladek inne plany, ale Micha użył swego małego fortelu – nadmienił jakby niechcący:

– Pojutrze rano odwiozę ciocię na cmentarz, nie zapomniatem!

Przejażdżka na Cmentarz Wostriakowski zastępowała jej wszelkie możliwe rozrywki: teatr, kino, spotkania z żyjącymi krewnymi. Ale tak daleko nigdy nie jeździła sama.

Ciotka umiała kalkulować. Micha dostał bombonierkę i wraz z rączym jeleniem pobiegł na ulicę Prawdy, gdzie mieszkała Alona. Przybiegł – i stało się! Zakochał się. Bezpowrotnie i totalnie, jak to już kiedyś zdarzyło mu się w dzieciństwie, kiedy po raz pierwszy

przyszedł do Sani. Tym razem zakochał się w domu, w gospodarzu, ojcu Alony, Wiktorze Borysowiczu, jego żonie Walentynie, w kulebiaku z kapustą, w sałatce jarzynowej, w muzyce na kościach* – staw biodrowy z ognistym Gershwinem – jakiej nigdy przedtem nie słyszał. No i przede wszystkim – w Alonie, która u siebie w domu wcale nie była ani wyniosła, ani dumna, przeciwnie – spokojna i miła, uosobienie kobiecego wdzięku.

Całowali się zapamiętale na balkonie i szalona czułość powściągała równie szaloną namiętność, która wybuchła, gdy tylko Micha dotknął cienkiej kosteczki przedramienia, kruchej dłoni, dziecięcych bezwolnych palców.

Ludzie miewają talenty zwyczajne jak jabłko, oczywiście jak jajko – do matematyki, do muzyki, do rysunku, nawet do zbierania grzybów czy gry w ping-ponga. Z Michą sprawa była bardziej skomplikowana. Na pierwszy rzut oka talentów nie miał, ale miał spore zdolności: do poezji, muzyki, rysunku.

Jego prawdziwy talent, z którym przyszedł na świat, nie był widoczny gołym okiem. Micha był obdarzony taką duchową wrażliwością, tak wielką empatią, że wszystkie inne jego zalety zdawały się podporządkowane temu wszechogarniającemu współczuciu.

Filologię studiował z łatwością i zadowoleniem, ale jego zainteresowanie defektologią pochodziło z samej głębi jego osobowości, z jego daru empatii. Od samego początku nastawił się na nauczanie literatury, pragnął

* Płyty z Zachodu były w tym czasie w ZSRR niedostępne, więc przywiezione egzemplarze nagrywano na zużyte zdjęcia rentgenowskie (przyp. tłum).

kontynuować tradycję, już widział siebie wchodzącego do klasy i recytującego, jak czynił to niegdyś Julicz, najlepsze rosyjskie wiersze... rzucając w przestrzeń, w powietrze, w kosmos. A siedzący w rzędach chłopcy i dziewczynki – niektórzy! niektóre! – chwytają te dźwięki, ziarna sensu.

Przed rozdzieleniem przydziałów do pracy Micha poszedł na audiencję do Rinka, żeby ten mu pomógł uzyskać skierowanie do szkoły dla niesłyszących. Bo któż ukaże im skarby poezji i prozy?

Jakow Pietrowicz uważnie spojrział na Michę spod okularów, wypytał go raczej o życie niż o zawód i oznajmił, że jest to pierwszy przypadek w jego praktyce, gdy student filologii pragnie się zajmować defektologią.

– Jest pewna bardzo dobra szkoła z internatem dla głuchych i głuchoniemych, gdzie będzie pan mógł przynieść pożytek i rozszerzyć swoją wiedzę. To wspała placówka korekcyjna. Położona w niewielkiej osadzie w obwodzie moskiewskim, ale trzeba tam mieszkać na stałe. Potrzebują nauczyciela języka rosyjskiego i literatury. Proszę tam pojechać i się rozejrzeć. Jeżeli będzie to panu odpowiadało, wrócimy do naszej rozmowy – zaproponował Jakow Pietrowicz.

Jechał tam Micha około trzech godzin – najpierw elektrycznym do Zagorska, potem autobusem, na który dość długo czekał, potem pół godziny pieszo leśną drogą.

Była wczesna wiosna, padał lekki deszcz, przez który las przeświecał bladą zielenią. Deszcz cicho szeleścił w zeszłorocznej trawie, a świeża trawa już się unosiła z opadłych liści i zdawało się, że słychać, jak rośnie. Jakiś ptak nerwowo pokrzykiwał z równymi przerwami. A może to nie ptak, tylko zwierzę? Misze przyszło do

głowy, że tutejsi mieszkańcy nie słyszą tych dźwięków. Z drugiej strony, mieszkańcy miast też tego nie słyszą, bo zagłusza wszystko hałas miasta.

A w nim samym już zaczął się rodzić wiersz:

Z ciszy, deszczu, i rośnięcia traw
rodzą się jakieś dźwięki
ta-ra-ra-ta... ta-ra-ra-ta...
i łuki, i haki, i męki...

Nic się nie układało...

Z ciszy, deszczu, i rośnięcia traw
powstają zarodki symfonii...
ta-ra-ra-ra... ta-ra-ra-ra...
przyboru wód, agonii...

No, mniej więcej... Lubił dokładne rymy i ubolewał, że wszystkich wielokrotnie użyto już przed nim. I tak skakał po dawno ułożonych w języku torach, rozkoszował się tym procesem, ale już czuł, że daleko po nich nie ucieknie. Zresztą i Brodski nie rozpoczął jeszcze tryumfalnego podboju świata i nie zmusił go swoją strofą o długim oddechu i całkowitej pogardzie dla tych „tik-tak” i „büm-büm”, do zaprzestania ubożuchnego, ale natchnionego klęcenia wierszy.

Skończył się las, ukazał się dwór. Drewniany piętrowy dom stał na pagórku w otoczeniu dziesięciu małych na wpół wiejskich budynków. Po dawnym ogrodzeniu pozostało niewiele, niskie kolumnienki z wyszczerbionymi przez czas kulami uzupełniono kawałkami płotu z szarych sztachet. Bramy już dawno nie było. Grube lipy w nierównych odstępach – resztki starej alei. Pora

była poobiednia, ludzi nie widać. Micha przeszedł po grząskiej, jeszcze nagiej ziemi do werandy, zapukał do drzwi: nie otwierano. Począł, drzwi się otworzyły na oścież: stanęła w nich starsza kobieta z wiadrem i pływającą w nim szmatą.

Roześmiał się i przywitał. Ciocia Gienia, niewolnica przesądów i tajemnych znaków, uznałaby taki początek za bardzo udany: wiadro było pełne, chociaż z brudną wodą.

Rzeczywiście, dalej wszystko szło jak najlepiej. W gabinecie dyrektora trzy panie i starszy pan z małym wąsikiem pili herbatę z konfiturami. Micha wiedział, że dyrektorem jest kobieta, i doszedł do wniosku, że dyrektorką jest Ormianka, też z niewielkim wąsikiem.

– Dzień dobry, chciałbym rozmawiać z Margaritą Awietisowną. Jestem z polecenia Jakowa Pietrowicza... – Nie zdążył nawet wymienić nazwiska, gdy wszyscy zaczęli się uśmiechać i rzucili się, żeby nalać mu herbaty, i nałożyć konfitur na spodeczek.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi i wszedł dwunastoletni chłopiec, który oznajmił coś w języku migowym.

– Co się stało, Sasza? – zapytali niemal chórem. – No, powiedz, potrafisz. Mów, mów, dobrze ci wychodzi.

– Su-ka u-te-kła – wymówił z trudem.

Wszyscy czworo otoczyli go, a niziutka kobieta z cienkim warkoczem wokół głowy spytała, bardzo mocno artykułując każdy dźwięk:

– Jaka suka? Noczka czy Ryżyk?

– Bo-tka – rozpromienił się chłopczyk.

– Nocz-ka. Nie martw się, Sasza. Ona wróci.

Chłopiec znowu wykonał gest – ręka o rękę i do góry. Było to pytanie.

– Zachce jej się jeść, to wróci – powiedziała kobieta z wąsikiem.

„Tak myślałem, to jest dyrektorka” – uznał Micha.

Chłopiec znowu powiedział coś na migi.

– Słuchaj mnie, Sasza. Jak zechce jeść, to przyjdzie.

Wymawiając „u”, mocno wysuwała wargi do przodu.

Chłopiec kiwnął głową i wyszedł.

– Sasza jest u nas dopiero pół roku. I bardzo późno zaczął się uczyć – z dumą powiedziała kobieta z wąsikiem.

– Tak, dopiero pół roku – potwierdziła wąsata.

– Pięć miesięcy, Margarito Awietisowno – sprecyzował Gleb Iwanowicz z wąsikami. Z wielkim szacunkiem, więc Micha zrozumiał, że się nie pomylił, to właśnie jest dyrektorka.

Po dziesięciu minutach picia herbaty Micha postanowił, że jeśli nie przyjmą go na nauczyciela, to zostanie tu jako ktokolwiek: dozorca, palacz, nauczyciel wf.

Oprowadzili go po klasach – były cztery. A dzieci zaledwie czterdzieści dwoje.

W jednej z klas przy tablicy stała dziewczynka i opowiadała coś rękami. Inni słuchali-patrzyli.

– W zasadzie nie rezygnujemy z języka migowego. Ale uważamy, że jeśli wcześniej rozpocznie się naukę według naszych metod, większość naszych dzieci nauczy się mówić.

– Chciałbym tu pracować. Mieszkałem w domu dziecka od drugiego do siódmego roku życia, dopóki krewni mnie nie zabrali. Oczywiście wiem, nie nadaję się tu... Zacząłem się już uczyć języka migowego, ale na razie jeszcze nie bardzo... Jeżeli mnie państwo przyjmiecie...

Przyjęli go z otwartymi ramionami.

Pokwitował nakaz pracy, który każdy absolwent uznałby za bardzo kiepski, i przystąpił do pracy, nie wykorzystawszy nawet urlopu przysługującego po ukończeniu studiów.

Wszyscy byli niezadowoleni z wyjazdu Michy do internatu: ciocia Gienia, która płakała w dniu jego wyjazdu jak po zmarłym, chociaż miał zamiar wrócić w niedzielę; Marlen, na którego spadał teraz obowiązek usługiwania matce; Alona, z którą przerywany romans regularnie to się rozpałał, to przygasał, a teraz był akurat w strefie stanów niskich, też wzruszyła szczupłymi ramionami: internat? po co? Ojciec Alony, mądry Czernopiatow, uważał, że praca im bliżej centrum, tym właściwsza, a prowincja w ogóle nie jest miejscem do życia.

Niepokoїła się też Anna Aleksandrowna, ale nie karierą Michy, tylko higieną. Uważała, że Micha natychmiast zarosnie brudem i dostanie wszy. Sania myślał o tym, jak długo trzeba by jechać z takiego zapadłego kąta do konserwatorium, ale nic nie powiedział. Ilji było przykro, że traci przyjaciela akurat w takiej chwili, kiedy mogliby doskonale pracować razem.

Micha uczył teraz głuchonieme i głuche dzieci języka rosyjskiego i literatury. Pracował w parze z logopedą i od razu wszystko poszło bardzo dobrze. Wymyślił coś takiego, że zasłużył nawet na pochwałę samego Jakowa Pietrowicza. Wprowadził do nauki rytmikę, podkreślał klaskaniem różne miary wierszowe, a dzieci wymrukiwały jamby i trocheje. Były szczęśliwe, że nauczyciel je chwali, a on szczerze szafował pochwałami. Szkoła była wyjątkowa zarówno pod względem

ubóstwa, jak i luksusu. Środki budżetowe były znikome, płace pracowników – ze specjalnym dodatkiem – też niewspółmierne ani z ich kwalifikacjami, ani z czasem poświęcanym dzieciom, zaopatrzenie zgoła niewystarczające, ale wszystko to rekompensowała bezinteresowność pedagogów, oddanie pracy i dumą z osiągniętych wyników. Oraz atmosfera tworzenia i miłości.

Mniej więcej jedna trzecia dzieci pochodziła z domów dziecka, resztę przywozili rodzice w nadziei, że to ułatwi im kontakt ze światem. Nawiasem mówiąc, dzieci z bidulów robiły większe postępy niż dzieci z pełnych rodzin, gdyż przebywały w internacie latami, podczas gdy tamte zabierano po roku, w najlepszym razie po dwóch latach.

Prawie każdą niedzielę Micha spędzał w Moskwie: odwiedzał ciocię Gienię, odrabiał wszystkie obowiązki, jakie się uzbierały w ciągu tygodnia – od mycia podłóg i okien do zakupów żywnościowych. Wraz z wstąpieniem Michy na uczelnię, kiedy urwały się wieloletnie zapomogi od krewnych, ciotka stała się skąpa i grymaśna. Kiełbasa musiała być koniecznie z zakładów mikojańskich, ser z zakładów poszechońskich, mleko z Ostankina, a ryby – żywe karpie albo mrożony sandacz – ze sklepu, który w niedziele był zamknięty, więc Micha od czasu do czasu przyjeżdżał w soboty, żeby załapać się na tego karpia, gdyby go rzucono.

Uwolniwszy się od gospodarskich obowiązków, biegł do Alony, a ona czekała na niego albo z wytuszowanymi rzęsami, co dla Michy oznaczało, że jest mu dzisiaj życzliwa, albo, po braku tuszu, odgadywał, że nie jest nastawiona na jego fałę. Nie wiedział, skąd

taka jej zmienność, próbował to wy badać, ale ona tylko wzruszała ramionami, włosy ześlizgiwały się jej po ramieniu, i ona się wyslizgiwała, niczego nie wyjaśniając.

Wtedy siadał z Siergiejem Borysowiczem w kuchni, pili herbatę albo wódkę, zależnie od pory dnia, obecności lub braku gości oraz nastroju gospodarza.

„Co to za człowiek! Co za życiorys!” – zachwycił się Micha Czernopiatowem. Ojciec Siergieja Borysowicza, pochodzący z Batumi, należał do dawnych współtowarzyszy Stalina i został zabity później niż wszyscy inni, w trzydziestym siódmym, kiedy wódz z większością przyjaciół młodości już się rozprawił. Pierwszy raz Siergieja Borysowicza wsadzono, jak jeszcze był uczniem, tydzień po aresztowaniu ojca. Była to na razie wprawka – dziecięca kolonia poprawcza. Kiedy skończył osiemnaście lat, przewieziono go do łagru. W czterdziestym drugim zwolniono z łagru i wywieziono na zesłanie. W Karagandzie spotkał „ałzirowkę” Walentynę, Waluszę. Wtedy też poznał ten szatański skrót geograficzny – Akmolinskij Łagier Żon Izmiennikow Rodiny*. Wśród tysięcy żon była matka tancerki Mai Plisieckiej, matka pisarza Wasilija Aksionowa, matka Bułata Okudżawy... Babcia Alony ze strony matki była wdową po wybitnym działaczu partyjnym z Riazania.

Walentyna należała do kategorii CzSIR – Czleny Semiej Izmiennikow Rodiny (Członkowie Rodzin Zdrajców Ojczyzny). Kiedy rozstrzelano jej ojca i aresztowano matkę, miała siedemnaście lat, i udało się jej uniknąć losu dwudziestu pięciu tysięcy nieletnich CzSIR-ów,

* Akmoliński Obóz Żon Zdrajców Ojczyzny; Ałzyr (ros.) – Algieria (przyp. red.).

wysłanych do domów dziecka. Pojechała w ślad za matką i znalazła się we wsi Malinowka, w osadzie zesłańców. Matka po roku umarła.

Tam też los połączył ją z Siergiejem: oboje mieli po dwadzieścia lat, oboje marzyli o rodzinie. Pobraли się jeszcze całkiem młodzi, ratując siebie nawzajem. W czterdziestym trzecim urodziła się Alona. W czterdziestym siódmym pozwolono im wrócić do Rostowa nad Donem, gdzie odnaleźli się krewni Walentyny. Siergiej Borysowicz zdał egzaminy z dziesięciolatki, dostał się na studia. Zaczęło się to prawdziwe życie, o którym marzył. W czterdziestym dziewiątym znowu go posadzono. Szpony Stalina nie rozluźniały chwytu. Zwolniono go w pięćdziesiątym czwartym – rozpoczął życie po raz trzeci...

Alona tych opowieści nasłuchiwała się po uszy. Zamykała się w swoim pokoju, włączała muzykę. Czasem godzinami siedziała u siebie, skrobiąc rysikiem po szorstkim papierze i tworząc kaskady dziwacznych ornamentów, albo w ogóle wychodziła z domu, nie mówiąc ani słowa, nie zwracając na Michę żadnej uwagi.

Micha siedział z Siergiejem Borysowiczem i chłonał wiedzę. Co za talent! Cokolwiek mu powiesz, a on twoje słowa jak kalkomanię zanurza w wodzie i wszystko nabiera wyraźnych zarysów. I jak on rozumie życie, jego nieludzkość, okrucieństwo i absurd!

A ludzie! Ludzi odwiedzających Siergieja Borysowicza mimo całej ich różnorodności łączyło jedno podobieństwo – byli zdeklarowanymi, nieprzejednanymi przeciwnikami władzy, rozumiejącymi jej naturę, jej głęboką niesprawiedliwość. Jeden był genetykiem,

drugi filozofem, trzeci matematykiem. I w centrum tego wszystkiego – Siergiej Borysowicz, twardy, precyzyjny, mądry, prawdziwy działacz społeczny.

Micha lubił go jeszcze dlatego, że było w nim w męskim wydaniu to wszystko, co w kobiecym pociągało go w Alonie: ledwie widoczne zmarszczki w kącikach powiek, skierowane ku górze, i maleńkie fałdki w kącikach ust w dół, kaukaska drobnokośćistość, lekkość ruchów. Tyle że Alona odziedziczyła po matce delikatną jasną cerę, a Siergiej Borysowicz, dzięki domieszce czerkieskiej krwi, był smagły i ciemnowłosy. Prawdziwy mężczyzna – ojciec, brat, przyjaciel. Rekompensował Misze brak ojca. Siergiej Borysowicz traktował Michę ciepło, ale trochę zbyt protekcyjnie. Zresztą odnosił się tak do wszystkich: nieco z góry.

I kiedy Alona czasem malowała rzęsy i okazywała Misze łaskawość, ten biegał z nią, gdzie tylko chciała. Spacerowali po Moskwie, trzymając się za ręce, jej bezwolna dłoń – samo szczęście! – w dłoni Michy, dotykał jej włosów, wdychał ich ptasi zapach. Mówił, co mu leżało na sercu, recytował wiersze. Majakowskiego już przeżył, wchłonał Pasternaka, w owym czasie był pogrążony w Mandelsztamie. Brodski zaczął się trochę później. Ona słuchała, milczała, ledwie się odzywała. Też protekcyjnie.

Niekiedy, w takich sprzyjających okresach – były takie trzy, gdy Micha mieszkał w Milajewie – zimą sześćdziesiątego drugiego, na samym początku zadowaniania się Michy w internacie, potem na wiosnę sześćdziesiątego trzeciego i w końcu sześćdziesiątego czwartego – raptem przyjeżdżała do niego w środku tygodnia, zostawała na noc w służbowym przydzielonym Misze pokoju i Micha nie posiadał się ze szczęścia.

Tym bardziej gorzkie i niewytłumaczalne były dla niego okresy, gdy Alona ostygła i znikła. Zanurzał się wtedy całkowicie w pracy, głuche dzieci wypełniały mu życie bez reszty, prawie nie pozostawiając czasu na tęsknotę.

Dzieciom z internatu też brak było ojca, więc mężczyźni z zespołu pedagogicznego – Gleb Iwanowicz i Micha – byli stale otoczeni maluchami. Starsi byli bardziej powściągliwi, ale też Ignęli do nauczycieli.

Jakow Pietrowicz Rink wzywał Michę raz w miesiącu na seminaria, na wszelkie sposoby starał się go wciągnąć w główną pasję swojego życia: chyba od dziesięciu już lat walczył o utworzenie dziecięcego ośrodka nauczania głuchoniemych w Moskwie, przy Instytucie Pedagogiki lub przy Akademii Nauk Medycznych. Władze popierały tę inicjatywę, lecz inercja maszyny państwowej była tak duża, że jednego życia ludzkiego mogło po prostu nie starczyć na utworzenie czegoś nowego, jeżeli nie dotyczyło to przemysłu zbrojeniowego i kosmosu. Rink uznał, że Micha będzie jednym z tych jego uczniów, którzy potrafią kontynuować jego dzieło.

Jakow Pietrowicz patronował Misze, dawał do czytania referaty współczesnych badaczy francuskich i amerykańskich, a wreszcie zaproponował napisanie artykułu, co też Micha wykonał z wielkim entuzjazmem. Jakow Pietrowicz przeczytał go uważnie: umie pisać!

Dobierał sobie uczniów i pomocników przez dziesięciolecia – próbował na ząb, na smak, na odcień... Po trzech latach dobrowolnego internatowego niewolnictwa Michy Rink zaczął mówić o doktoracie, co prawda zaocznym. Ale Micha sam też wolał zaoczną doktoraturę: nie zamierzał rozstawać się ze swymi uczniami.

Zupełnie dobrze zdał egzaminy i czekał teraz na decyzję o przyjęciu. Właściwie była to czysta formalność. W perspektywie miał prawdziwą pracę naukową, i to nie abstrakcyjną, teoretyczną, ale taką, której rezultaty widać od razu, po kilku latach pracy przy zastosowaniu właściwych metod. Niewidomi wprawdzie na razie nie widzieli, głusi nie słyszeli, głuchoniemi nie mówili, ale niektórzy z nich uczyli się powoli wypowiadać słowa i wkraczali w zamknięty dotychczas świat. Jakież to było szczęście – móc prowadzić ich za rękę!

Na przekór wszelkiej logice, wbrew tradycji i oczekiwaniom, Micha wydawał się mieć najwięcej szczęścia w „Trianonie”: Sania rzucił instytut języków obcych i zaczął od nowa studia w konserwatorium. Ilja porzucił myśl o szkole filmowej, pewny siebie sądził, że sam może każdego nauczyć fotografii, i nie zamierzał kontynuować studiów. Pozawierał liczne znajomości, nawiązał ciekawe kontakty, zwłaszcza w nowym demokratycznym ruchu obrony praw człowieka. Ilję i Michę nadal łączyło wspólne zainteresowanie poezją: Ilja wciąż biegał po bukinistach i zebrał ciekawą kolekcję.

Właśnie do Ilji przyszedł Micha podzielić się swoimi fantastycznymi sukcesami. Ilja zareagował słabo. Tego dnia świętował własny sukces – nowy nabytek. Najrzadszy rarytas – jeden z niewielu zachowanych egzemplarzy – zbiór *Alleluja* Władimira Narbuta*, który ukazał się w 1912 roku w Sankt Petersburgu i na-

* Władimir Narbut (1888–1938), rosyjski poeta pochodzenia ukraińskiego; współpracował ze środowiskiem akmeistów (Osip Mandelsztam, Anna Achmatowa i in.), zesłany na Kołymę i – według jednych źródeł – rozstrzelany, według innych – zatopiony wraz z setkami innych więźniów na barce na Morzu Ochockim (przyp. tłum).

tychmiast został skazany przez Najświętszy Synod na zniszczenie „przez podarcie”.

Micha otworzył na przypadkowej stronie – a tam rzeczywiście *Alleluja* – psalm 148.

„Chwalcie Jahwe z ziemi, potwory i wszystkie morskie głębiny, ogniu i gradzie, śniegu i mgło, gwałtowny huraganie, co pełnisz Jego słowo, góry i wszelkie pagórki, drzewa rodzące owoc i wszystkie cedry dzikie, zwierzęta i bydło wszelakie, to, co się roi na ziemi, i ptactwo...”*

Ilja łagodnie wyrwał tom z rąk Michy.

– To jest znany psalm, pokażę ci co innego, słuchaj:

...Śpiewa bagno stojące, błoto,
A nie słodko omdlała rzeka!
Już prastarą czerwoną pozłotą
Rdza mokradła pokryła lekka.

I lekki jest też długonogi
Bieg pająka po błotnej równinie.
Płyną wolno zielone drogi,
Krew nigdzie nie odpłynie!...**

– No, i kto zna teraz Narbuta? Odpłynął! Ileż wszystkiego odpłynęło! Czy ty tam ze swoimi głuszcami słyszysz cokolwiek, co się dzieje?

– O czym ty mówisz? – Micha trochę się przestraszył, że przegapił coś ważnego.

– Aresztowali dwóch pisarzy.

Żadny wiedzy Micha wiedział już o tym aresztowaniu z nocnych audycji. Nie pamiętał tylko nazwisk. Ilja

* Księga Psalmów, Biblia Tysiąclecia.

** Przełożyła Ewa Rojewska-Olejarczuk.

mu przypomniał. Przekazywali rękopisy książek na Zachód i tam je opublikowano.

Micha wyraził chęć przeczytania. Ilja powiedział, że nie ma, ale jego znajomy ma fotokopie. On sam robił tę fotokopię, ale Misze nie powiedział, na wszelki wypadek. Siedział jak na beczce prochu, z domu wszystko wyniósł, poupychał po znajomych.

– Tylko sam do niego pojedziesz. Weź i zostaw u siebie. Zabiorę potem, kiedy fala się przewali.

W całkowitej konspiracji wyszli na ulicę, zadzwonili z automatu na Pokrowce do znajomego imieniem Edik, Ilja z nonszalancją głośno powiedział do słuchawki:

– Edik, wczoraj zostawiłem u ciebie pęto kiełbasy. Mój przyjaciel będzie obok ciebie przejeżdżać, wpadnie i zabierze. Dzięki. Na razie!

Zdemaskowanym autorem, ukrywającym się pod pseudonimem Nikołaj Arżak, był nauczyciel rosyjskiego w moskiewskiej szkole – Julij Daniel! Zwariować można, jak nasz Juliewicz – nauczyciel! I też frontowiec, i inwalida, i filolog!

Ta myśl przyszła mu do głowy, jeszcze zanim przeczytał. Pojechał do Edika, śmiesznego drańgala. Okazało się, że pęta kiełbasy są dwa: jedno nazywa się *Mówi Moskwa*, a drugie – *Odkupienie*.

Micha wziął dwie grube paczki. Zaczął czytać.

Jakby go oblano wrzątkiem! A przecież czytał już 1984 Orwella. Genialna, straszna książka. Ale tamta została wymyślona o czymś obcym, a w książce Daniela tu, na gruncie rosyjskim, wszystko staje się rodzime i bliskie. I dlatego *Mówi Moskwa* jest straszniejsza.

Nie wiadomo co gorsze: zadekretowanie prawa zabijania wszystkich przez wszystkich – na jeden dzień, czy zawłaszczenie przez państwo tegoż prawa zabi-

jania każdego obywatela we wszystkie dni tygodnia, i miesiące, i na wiele lat naprzód.

Odkupienie było chyba jeszcze straszniejsze: a więc można po prostu nie zabić, lecz zniszczyć człowieka w najbardziej wyszukany sposób – ogłosić, że jest kapusiem, donosicielem, doprowadzić do obłądu. A najstraszniejsze, że nic nikomu nie da się udowodnić i że zupełnie nie można się usprawiedliwić.

Ten Wiktor Wolski, taki przekonujący, sympatyczny, obsmarowany, doprowadzony do obłądu przez własnych przyjaciół, którzy uwierzyli w zmyślane oskarżenie.

Na sali psychiatria zapewne wspomniał Puszkina:

O, Boże, nie daj mi zwariować!
Głodować raczej i wędrować
Z żebraczym kijem będę...(…)

Lecz bieda w tym, że przed wariatem
Jak przed straszliwym trędowatym
Drzeć będą, wsadzą w klatkę...*

A Puszkina skąd o tym wiedział? Czyżby i wtedy... No, oczywiście, dekabryści! Wtedy też to wszystko już było – donosy, zdrady. Majboroda, donosiciel. I popełnił samobójstwo wiele lat później, po procesie. Na pewno cierpiał przez wszystkie te lata. Ale przecież tamten rzeczywiście napisał donos, a Wiktor Wolski w żaden sposób nie zawinił. Nie, lepiej już wybaczyć zdrajcy, niż tak zniszczyć niewinnego człowieka!

* Aleksander Puszkina, *O Boże, nie daj mi zwariować...*, przełożył Julian Tuwim.

Micha czytał przez całą noc tak zapamiętał, że rano nie od razu sobie przypomniał, że na ósmą musi jechać do internatu.

Jakoś nawet ostygł po niedawnym sukcesie: zapomniał o pomyślnie zdanych egzaminach, rozplynęła się ponętna perspektywa. Wszystko to raptem stało się nieważne. Było mu nawet trochę wstyd. Tak. Jakoś wstyd mu się zrobiło żyć, gdy ten Daniel, wstrząsający pisarz, wniknąwszy w samą istotę dzisiejszego życia, siedzi w areszcie śledczym i Bóg wie, co go czeka.

Otrząsnąwszy się wreszcie z tego czytelniczego transu, Micha zrozumiał, że jest spóźniony i jeżeli się bardzo pośpieszy, może zdąży na czwartą lekcję, tylko że wkrótce zaczynała się dwugodzinna przerwa między pociągami i może nie zdążyć, więc chyba cały dzień przepadł. Próbował zadzwonić, uprzedzić, ale linia była uszkodzona.

Zespół był zgrany, logopedka Katia odwołała zajęcia indywidualne, przeprowadziła dwie lekcje Michy, a pozostałe dwie wypełnił Gleb Iwanowicz. No i kiedy Micha przyjechał, było już po lekcjach, dzieciom dano obiad, odbyła się drzemka poobiednia, a teraz skończył się już i podwieczorek. W stołówce Gleb Iwanowicz pił resztkę kompotu z suszonych owoców z białym chlebem – ulubiony smakołyk.

Micha zaczął dziękować. Gleb Iwanowicz nie uważał swojego uczynku za wielkie bohaterstwo: tak było przyjęte. Ale Micha uparcie się usprawiedliwiał – opowiedział, jak przez całą noc, do rana, czytał, a kiedy skończył, spojrzął na zegarek – było po dziesiątej!

– Ale książki! Książki! Co za książki!

– A cóż to za książki? – między drugą a trzecią szklanką kompotu zapytał Gleb Iwanowicz.

I Micha natychmiast wyciągnął dwie paczki z plikami papieru fotograficznego. Wydrukowane w pomniejszeniu.

Dzieci w świetlicy odrabiały lekcje. Siedziała z nimi młoda nauczycielka, pracująca dopiero pierwszy rok, którą Gleb Iwanowicz samorzutnie, na wszelki wypadek, się opiekował. Sympatyczna. Gleb Iwanowicz zajrzał do klasy, usiadł w tylnej ławce i wyjął okulary.

Po piętnastu minutach obudził Michę, który nie odespał w pociągu i dosypiał teraz w służbówce.

Gleb Iwanowicz usiadł na taborecie i krzyknął szeptem:

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, co mi podsunąłeś?

Micha poczuł się jak idiota i próbując wybrnąć z sytuacji, mamrotał coś głupio o głębokiej prawdzie, którą znalazł w tych książkach, jednocześnie zaś niezręcznie przeproszał, że zdenerwował Gleba Iwanowicza taką niebezpieczną literaturą.

Gleb Iwanowicz z szeptu podniósł głos do prawdziwego krzyku. Oskarżył Michę o wszystkie grzechy: niewdzięczność wobec władzy, która ocaliła jego żydowską mordę przed faszyzmem, o zdradę, o wrogość, o zbrodnie antysowieckości.

Wszystko to było tak niedorzeczne i głupie, że aż śmieszne. Po pięciu minutach już na siebie wrzeszczeli, walili pięściami w stół, a mieli ochotę w pysk. Cała ta wzajemna sympatia, którą do siebie żywili, nie tylko się ulotniła, ale wręcz przeciwnie, każdy czuł się okradziony, straciwszy tyle dobrych uczuć na taką miernotę. W jednej chwili znikła gdzieś wspólna sprawa, radości i przykrości, które po przyjacielsku dzielili. Micha, z natury dobroduszny, w ciągu następnych piętnastu minut wyładował gniew, krzycząc i wymachując rękami.

mi, i gotów był wrócić na wyjściową pozycję wzajemnego niezrozumienia, żeby na nowo analizować, już na spokojnie, wszystkie niedorzeczne argumenty Gleba Iwanowicza. Ale Gleb Iwanowicz się na to nie zgadzał: rwał się do boju i teraz już przedstawiał Misze długi wykaz jego omyłek i błędów, od których niedaleko do przestępstw.

Okazał się bardziej wytrzymały i mocniejszy od Michy w pojedynku na wrzaski, a głos z jego cienkiej szyi wydobywał się silny i niski, w sam raz dla wielkiego chłopca, a nie dla takiego konusa.

Micha się zmęczył, dał się Glebowi Iwanowiczowi wykrzyczeć i chciał zabrać swoje dwie koperty z fotokopiami.

– A te wasze szkodliwe papiery zostawcie! Niczego nie pozwolę wam stąd wynieść, ani jednej litery nie wyniesiecie – krzyknął Gleb Iwanowicz, widząc, że Micha sięga po koperty, i sam chwycił za róg.

Ciągnęli każdy w swoją stronę. Micha w innych okolicznościach dawno by się już śmiał, ale do śmiechu potrzebna jest życzliwość, a tu działo się jakieś szaleństwo. Gleb Iwanowicz wykrzykiwał oderwane słowa, które już nie miały nic wspólnego ze zdarzeniem:

– Postawić pod ścianę! Naprzód! Kosaczow, naprzód! Kosaczow, do wyjścia! Kurwy!

Najdziwniejsze były okrzyki wymieniające Kosaczowa. Rzecz w tym, że Kosaczow to był sam Gleb Iwanowicz.

Na odgłos wrzasków przyszła sprzątaczką Polina Matwiejewna, zajrzała w drzwi, natychmiast wyszła i wróciła po minucie z białą filiżanką, którą podetknęła Glebowi Iwanowiczowi pod nos i objąwszy czule jego łysiejącą głowę, poiła go, przygadując:

– Ostrożnie, ostrożnie niech pan pije Glebie Iwanowiczowi, bo się pan obleje wodą.

Wreszcie Micha się zorientował, że ma przed sobą wariata, a atak sprowokował on sam, nadeptując jakiś psychiczny odcisk.

Polina Matwiejewna pokazywała Misze na migi, co wszyscy pracownicy internatu stosowali nader wyraziście, żeby jak najprędzej się wyniósł. Więc Micha złapał koperty i się wyniósł.

Wolski! Wolski! Ginący w psychiatriku bohater Daniela! Ale przecież i ten jest ofiarą! Gleba Iwanowicza doprowadził do obłądu ten sam żywioł. Demony, demony. Jak to jest u Wołoszyna? „Przechodzą po ziemi, ślepi i głuchoniemi, i kreślą znaki ogniowe w rozsuwającej się mgle...” – powtórzył sobie po cichu. I znów wrócił do Gleba Iwanowicza – ten też niczemu nie jest winien. Tak smutnie rozmyślał Micha w autobusie po drodze do pociągu, po drodze do domu.

Gleb Iwanowicz był zarejestrowany w przychodni psychiatrycznej. Miał poplątany życiorys. Podczas wojny został zwolniony ze SMIERSZ-u*. W internacie był zatrudniony jako intendent, a nie jako pedagog. Nie bez powodu. Z jego diagnozą nie miał prawa pracować z dziećmi. Był dobrym człowiekiem, kochał dzieci, był uczciwy jakąś histeryczną, niemal niemiecką uczciwością, ale może na skutek tej właśnie cechy, która stała się wadą, napisał donos na Michę zaraz na drugi dzień, nie zwlekając.

Misze nawet nie przyszło do głowy, że donos Gleba

* Śmierć Szpionom – specjalna formacja kontrwywiadowcza (przyp. tłum.).

Iwanowicza już pełźnie powoli, ale celnie tam, gdzie zakręca się wszelkie krany i zamykają wszelkie drogi.

Z powodu ogólnego rozluźnienia sowieckiego życia, jak również ze względu na prawo przyciągania przykrości, zatwierdzenie Misze zaocznej doktorantury zbiegło się z niespieszną drogą donosu w kierunku uczelni. Gdy po dwóch tygodniach na biurku szefa wydziału pierwszego (sprawy kadrowo-milicyjne) towarzysza Korobcowa znalazły się jednocześnie dwa dokumenty, ten zadzwonił do Jakowa Pietrowicza i wezwał go do siebie. Siedemdziesięcioośmioletni członek-korespondent Akademii Nauk Pedagogicznych pobiegł kłusem do towarzysza Korobcowa, trzydziestosześcioletniego kapitana, i ten dał mu popalić.

Jakow Pietrowicz Rink był wystarczająco stary, chociaż wyglądał młodo, a dano mu już popalić z każdej strony. Całe życie poświęcił nauczaniu głuchoniemych, pomagał ludziom z wadą słuchu, ale oni też mu pomagali: w gabinetach, w których porucznicy półanalfabeci i niedokształceni kapitanowie decydowali o losach nauki, praca profesora wydawała się niedorzeczna i nieszkodliwa, więc dawali mu żyć. Był Niemcem, ale Niemcem rosyjskim. Jego przodek sto pięćdziesiąt lat temu został zaproszony do Rosyjskiej Akademii Nauk i od tego czasu rodzina zakorzeniła się w Rosji. Na szczęście w papierach był zapisany jako Rosjanin i z tej racji, w odróżnieniu od kuzynów zesłanych do Kazachstanu na początku wojny, nie był represjonowany. Doskonale rozumiał, że jest to podarunek od losu. Za każdym razem, gdy trafiał do gabinetów poruczników i kapitanów, Jakow Pietrowicz oczekiwał zdemaskowania. Nawet teraz, dwadzieścia lat po wojnie.

Do swojej zastępczyni i bliskiej przyjaciółki Marii Mojsiejewny Bris mówił, ściskając wargi w cienką kreskę i rozciągając je na boki, co oznaczało uśmiech:

– Pani to dobrze, Mario Mojsiejewno, pani, uczciwej Żydówki, nie trzeba demaskować, a ja przez pół życia bałem się, że wezmą mnie omyłkowo za Żyda, a teraz żyję w strachu, że mnie zdemaskują jako Niemca. Podczas gdy obydwójce jesteśmy po prostu rosyjskimi inteligentami.

– Kogóż to pan przyjmuje na asystenturę, Jakowie Pietrowiczu? – nie prosząc siadać, zapytał Korobcow.

„Jakże oni mi obrzydli, jak obrzydli, jak obrzydli...”.

– Czy brakuje jakichś dokumentów, Igorze Stiepanowiczu? Jeden doktorant stacjonarny Sasza Rubin, jeden zaoczny Michej Melamid, dobrzy chłopcy, obaj są naszymi absolwentami.

– Niechże pan siada, Jakowie Pietrowiczu. Będziemy musieli pewne rzeczy przemyśleć. Rubin jest w porządku, ma dobre opinie, jest działaczem komsomołu. A czy dobrze pan zna tego Melamida?

Nie trzeba było zgadywać, Melamid im się nie podobał. Coś tam miał nie w porządku. Słusznie obawiała się Maria Mojsiejewna: nie można na obie posady brać Żydów, będą się czepiać. Był jeden chłopiec z Mołdawii, ale bardzo słabo przygotowany. On by im się nadał, tylko że nie zdał egzaminów...

– Napisał bardzo ciekawy artykuł. Pracuje zgodnie ze specjalnością. Wykształcony. Pasjonuje go temat. Ma wszelkie dane na pracownika naukowego.

– Uhm, uhm... – Korobcow zrobił pauzę. – Ale dlaczego właśnie on? Zdawali przecież inni chłopcy – no, na przykład – pogrzebał w papierach, przesyłabizował: –

O, Perepopescu, Niedopopescu, coś w tym rodzaju? Z Mołdawii, prosty chłopak. A wy wciąż tylko Melamidowie, Rabinowicze...

„Jak ja was nienawidzę, jak was nienawidzę, jak nienawidzę...”.

– Melamid jest naszym absolwentem. Zatrudniony zgodnie z nakazem pracy. Zdolny i poważny młody człowiek!

– Uhm, powiedzcie temu poważnemu młodzieńcowi, Jakowie Pietrowiczu, że wydział pierwszy go nie zatwierdził. Jeżeli ma pytania, może tu przyjść, ja mu wytłumaczę.

– Chce pan powiedzieć, że nie daje pan zgody na jego studia doktoranckie?

– No właśnie. Co tak patrzycie? Pilnujemy waszych interesów, interesów uczelni i całego kraju! Czy bierzecie na siebie odpowiedzialność, Jakowie Pietrowiczu, że ten wasz Melamid nie zrobi jakiegoś świństwa? Osobistą odpowiedzialność?

„Idźcie wszyscy do diabła, idźcie wszyscy do diabła, idźcie wszyscy do diabła...”.

– Zastanowię się, Igorze Stiepanowiczu, zastanowię...

Właściwie nie było się nad czym zastanawiać: finansowanie laboratorium, kolokwium habilitacyjne Marii Mojsiejewny, na które czekała od pięćdziesiątego trzeciego roku, otwarcie ośrodka, pracownicy, doktoranci, studenci – Jakow Pietrowicz nie mógł sobie pozwolić, żeby własną głową przebijać mur...

Jesienią w życiu Michy zaszło niemal równocześnie tak wiele zdarzeń, szczęśliwych i nieszczęśliwych, że

połączyły się one w barwne pasmo. Alona nagle się zmieniła w stosunku do niego i nerwowy związek z ochłodzeniami oraz ociepleniami, z wiecznymi histერიami Alony, uspokoił się i stał bardzo bliski. Micha nie rozumiał, co się stało, a Alona nie widziała potrzeby komunikowania mu, że zerwała z żonatym mężczyzną, w którym była zakochana od szesnastego roku życia, odstawiła go całkowicie i postanowiła wyjść za Michę. Micha był absolutnie szczęśliwy.

Nie zdążył jeszcze przeżyć tej nadchodzącej przemiany życiowej, przemyśleć masy bytowych kwestii, które Alony zupełnie nie interesowały, gdy wszystko rozwiązało się w nieoczekiwany sposób: nagle i bez cierpienia umarła ciocia Gienia.

Miała zamiar jeszcze długo żyć i porządnie pochować, nagromadziła nawet pokaźną listę niedomagań, ale się zawiodła: położyła się wieczorem spać i umarła we śnie, rozwiązując z zupełnie niewłaściwą jej wielkodusznością główny problem Michy – mieszkaniowy.

Tak się złożyło, że w dniu śmierci cioci Gieni Micha nie nocował w domu. Wyjechali z Aloną na daczę do jednej z przyjaciółek Ilji. Niewielki towarzyski wieczorek przyjacielski na łonie natury.

Gdy późnym wieczorem następnego dnia Micha wrócił do domu, ciocia Gienia nie przywitała go ani wymówkami, ani skargami – była zimna i spokojna.

Teraz Micha został jedynym zameldowanym lokatorem, właścicielem czternastometrowego pokoju w centrum. Marlen od dawna był już zameldowany u żony, według rodzinnej strategii pokój ten powinna była otrzymać Minna, a Micha, według tejże strategii,

powinien był wyjechać zgodnie z nakazem pracy i rozpocząć życie w nowym miejscu.

Marlen, człowiek praktyczny, jeszcze trzy lata wcześniej pewnie by się martwił, że stracił pokój, nie zamieniwszy go z rodziną, ale do tego czasu wszystko się w jego życiu zmieniło – popadł w żydostwo, rozpoczął naukę hebrajskiego, czytał Torę, zapisał się do syjonistów i zaczął się szykować do długiej walki o repatriację. Poważną przeszkodą na tej drodze była jego matka. Cio-cia Gienia nienawidziła Izraela, przyczynę, jak twierdziła, wszystkich żydowskich cierpień, i z góry zapowiedziała synowi, że sama nigdy nie wyjedzie z ojczyzny i jemu też nigdy nie da żadnego zezwolenia na wyjazd.

Śmierć matki przybliżyła Marlenu do Syjonu.

Gdy Micha zapytał Marlenu, co zrobić z rzeczami cioci Gieni, tamten wzruszył ramionami:

– Zapytaj ciotek, niech wezmą, co chcą, a resztę wyrzucić.

Ale ciotki do tego czasu już wzięły wszystko, co jeszcze się nadawało do użytku.

Alona po raz pierwszy przyszła do pokoju Michy już po śmierci ciotki. Weszła, zatrzymała się w progu, rozejrzała: kryształowy żyrandol z przerzedzonymi wisiorami, bogactwo ubogich – popękane wazony, dwa obrazy w grubych gipsowo-złotyach ramach, na parapecie doniczka z pelargonią, doniczka z aloesem i trzylitrowy słój z dobrze robiącym na żołądek japońskim grzybkiem. Fotografia dosyć ładnej kobiety z fryzjerskim loczkiem na czole i z dwojgiem dzieci – wyrostkiem o mądrym spojrzeniu oraz uśmiechniętą grubą dziewczynką. Dziewczynka miała trzy lata, z ust wystawał jej gruby czubek języka.

– Czy to ciocia Gienia z dziećmi? – spytała Alona.

Micha przytaknął. Raptem zrobiło mu się wstyd z powodu ubóstwa domu, w którym mieszkał tyle lat, a zarazem przykro, że tym wstydem zdradza biedną ciotkę.

– A dziewczynka była chora? – Alona wskazała oczami małą Minnę.

– Tak, zespół Downa. Zrozumiałem to już na studiach. Uważano, że to jakieś schorzenie endokrynologiczne. Umarła.

Alona kiwnęła głową. Milczała przez chwilę.

– Jaki to straszny i smutny dom. Właśnie tak go sobie wyobrażałam. No, nie całkiem tak, ale coś w tym rodzaju.

Weszła, usiadła przy stole przykrytym bordowym pluszem, przesunęła ręką po zakurzonych włoskach i powiedziała żałośnie:

– Micha, tu nie da się mieszkać.

– Można, Alonko, można. Zrobię remont, chłopcy mi pomogą.

– Ale to nie o remont chodzi... – westchnęła Alona i ogarnął ją smutek, ciężki jak deszczowa chmura.

Żonaty kochanek przyjmował ją w bardzo podobnym pokoju: taki sam okrągły stół z pluszową serwetą, nad nim taki sam żyrandol, który stracił kryształowe upierzenie, i fotografia ładnej kobiety z loczką na czole, brakowało tylko ręki z wachlarzem. Spojrzała na dwie półki z książkami. Książki też były takie same, tylko tam było ich o wiele więcej. Zresztą i pokój był trzy razy większy i przedzielony w połowie zasłoną.

Micha czuł duszą i ciałem, jak może pocieszyć zasmuconą Alonę, ale bał się jej dotknąć. Nie miał śmiałości, czekał na jej znak. Sama do niego podeszła, po-

głaskała po głowie, głęboko zapuściła palce w rudą czuprynę. Ożywił się, bo chwilę wcześniej był pewien, że on, zwykły pleciuch i niezdara, z powodu wszystkich swoich wad nie jest godny Alony i ta nie tylko za niego nie wyjdzie, ale wprost nie może patrzeć na taką miernotę.

Ona też czuła coś podobnego, ale głaskała go po włosach, powtarzając:

– Micha, jesteś strasznie dobry, zbyt dobry dla mnie.

Już z góry wiedziała, że wszystkie te myśli zaraz odlecą, że Micha jest nie tylko dobrym i uczciwym człowiekiem, ale też najbardziej niezawodnym i wiernym, a poza tym był najlepszy spośród kilku kochanków, jakich miała. Ale o tym żonatym, zawsze trochę pijanym, na luzie, nie mogła przestać myśleć... Czym ją tak trzymał? Domyślała się, ale nie potrafiła powiedzieć.

Pagórkowaty tapczan brzęknął sprężynami i dzielnie wytrzymał noc tutaj pół następnego dnia. Wszystkie poboczne, smutne myśli wyleciały z młodych głów, a gdy się ocknęli, oboje czuli się wolni, nieważcy i zwycięscy.

Szczyście Michy było ogromne, zdawało się, że starczy go na całe życie. W dzień, kiedy była z Michą, Alona czuła się lekko, ale ze strachem czekała na wieczór. Zasnęła łatwo i momentalnie, lecz po godzinie budziła się z nieznośnego nocnego bólu. Nad ranem zasypiała, a po południu dziwiła się, jak silny i głęboki był nocny ból, który w dzień ustawał.

Coś trzeba było zrobić i pewnego razu po takiej dręczącej nocy ona i Micha wystąpili o zarejestrowanie małżeństwa. Potem poszli do Michy na Czystoprudny Bulwar i wynieśli na śmietnik resztki rupieci cioci Gie-

ni, którego nie zabrały jej zapobiegliwe siostry. Nędzne okruchy mizernego życia: sklezione żółtym klejem talerze, poobijane garnki bez uchwytów, puste tubki szminki do ust, stare gazety, szmaty, szmatki, połówka porcelanowego niedźwiedzia, pierwszomajowa chorągiewka.

Wieczorem przyszli Ilja z Sanią i pomogli Misze wynosić ciężkie meble – kredens, szafę, tapczan cioci Gieni.

Alona umyła podłogę i poczuła, że w tym pustym pokoju może zostać. Kilka nocy spali na podłodze, na rozścielonym śpiworze, a Alona spała mocno, bez snów, w objęciach Michy, i wydawało jej się, że wciąż jest trzymana na rękach.

Potem, podczas gdy własnymi siłami robili remont, na kilka nocy przenieśli się do Czernopiatowów. Siergiej Borysowicz, który uwielbiał córkę, martwił się, że ta zamierza odejść z domu, a Walentyna napomknęła nawet, by spróbować zamienić ich dwupokojowe mieszkanie i pokój Michy na mieszkanie trzypokojowe, ale Alona nie chciała.

Chciała jak najszybciej wprowadzić się do odnowionego mieszkania. Gdy tylko wywietrzał zapach farby, przenieśli się do pustego, czystego pokoju, który zdawał się nie mieć żadnej przeszłości, oprócz widoku z okna: zaśmiecone podwórko, które się przeobrażało, gdy się patrzyło z piątego piętra.

Z poprzedniego życia zostało niewiele rzeczy – dwa kartonowe pudła, kupka książek i zwitek starych listów, znalezionych na dnie krzywej szafy. Marlen prosił, żeby je zachować, miał zamiar po nie przyjechać. Alona przywiozła sztalugi, które, ustawione z boku przy oknie, nadały pokojowi akcent artystyczny, biur-

ko z pochyłym blatem, dzieło Siergieja Borysowicza, i pięć wielkich tek ze starymi, czyli sprzed trzech lat, pracami, z których niemal wszystkie to były wymyślne ornamenty.

Nowożeńcy nie urządzili żadnego wesela, ale otrzymali prezenty ślubne od Marlana, rodziców Alony, a także od ciotki – w postaci pogardzanej, lecz pozytywnej: w gotówce. Alona po zajęciach na uczelni jechała do sklepów, kupowała nowe talerze i nowe poduszki, ciesząc się w cichości ducha z odnowy życia. Rana w jej sercu, jeżeli nawet się nie zabiłła, to do kądś się oddalała pod naciskiem niewyczerpanej czułości i namiętności Michy.

I tu skończyła się cała pomyślność. Jakow Pietrowicz wezwał Michę i powiedział, że z doktorantury nic nie wyjdzie. Nie zatwierdził go dział kadr. Ale ich współpraca będzie trwała nadal.

– Temat pracy doktorskiej omówimy, choć droga nie będzie łatwa, od razu pana uprzedzam. – Tu postawiono jeżeli nie kropkę, to wielokropkę.

W końcu tego samego miesiąca na prośbę dyrektorki Micha odszedł z internatu. Przepraszała go, płakała, tłumaczyła się, że najważniejsze dla niej to utrzymać placówkę, nie narażać na szwank jej czterdzieściorga wychowanków.

Micha, który już zmądrzał, zadał tylko jedno pytanie:

– Miała pani telefon?

Margarita Awietisowna skinęła głową.

Wyjaśnienie było tylko jedno: znalazł się na celowniku. Micha złożył podanie o „zwolnienie na własną prośbę”. Zaproponowano mu, by dwa tygodnie robo-

cze, obowiązkowe w takim przypadku, przeznaczył na wypoczynek i poszukiwanie nowej pracy. Po dwóch tygodniach przyjechał, żeby odebrać świadectwo pracy i pożegnać się z kolegami. Wszyscy wyglądali na skrupowanych, Gleb Iwanowicz był nieobecny.

Gdy Micha o niego zapytał, okazało się, że zabrano go do szpitala psychiatrycznego.

Micha czuł ogromną wyrwę i miał dziwne uczucie zupełnej przemiany życia: na tym pustym miejscu powinno teraz wyrosnąć coś zupełnie nowego.

OGRÓD MILUTINOWSKI

Nikt nie zna tajemnicy, prawa nieprzezwykłego pociągu danego mężczyzny do danej kobiety. W każdym razie nie znał jej Eklezjastes. Średniowieczna legenda podaje pewne uzasadnienie – napój miłosny. Czyli trucizna. Prawdopodobnie ta sama trucizna, którą wszechwładny Eros nasączał swoje pierzaste strzały. Ludzie czasów najnowszych znajdują wytłumaczenie w hormonach wspomagających instynkt przedłużenia gatunku. Ma się rozumieć, między tym zadaniem praktycznym a miłością platoniczną istnieje pewne rozdarcie, a nawet, wyrażając się językiem współczesnym, dysonans kognitywny. Poważną ideę kontynuacji gatunku przykrywa się różnymi rytualnymi ozdobnikami, kwiatem pomarańczy, księżmi, pieczęciami z orłem i tak dalej, aż do wywieszanego na podwórzu prześcieradła z krwawą plamą pośrodku. W tym sensie co do miłości sprawa jest mniej więcej jasna.

Ale co zrobić z przyjaźnią? Nie wspiera jej żaden fundamentalny instynkt. Wszyscy filozofowie świata (oczywiście mężczyźni, bab filozofek przed Piama Gajdenko* nie było, jeżeli nie liczyć legendarnej Hypa-

* Piama Gajdenko (ur. 1934) – radziecka filozofka i historyzofka (przyp. red.).

tii) umiejscowiają przyjaźń w hierarchii wartości na samym szczycie. Arystoteles daje niezwykle określenie, które po dziś dzień wygląda nieskazitelnie, w odróżnieniu od wielu jego idei, które stały się tak przestarzałe, że aż śmieszne. A więc: „Przyjaźń to szczególny fakt ludzki, którego wytłumaczenia i celu należy szukać bez oglądania się na prawa natury ani transcendentálne Dobro, przekraczające ramy istnienia empirycznego”.

Tak więc przyjaźni nie uzasadnia natura, przyjaźń nie ma żadnego celu, polega tylko na poszukiwaniu bratniej duszy, żeby dzielić z nią przeżycia, myśli, uczucia, aż do „oddania życia za przyjaciół swoje”. Ale za to szczęście należy przyjaźń karmić czasem własnego jedyne go życia: albo pójść na spacer z przyjacielem, na przykład na bulwar Rożdniestwieński, napić się z nim piwa, nawet jeżeli woli się inne napoje, a piwo lubi przyjaciel, pójść na urodziny do jego babci, czytać te same książki, słuchać tej samej muzyki, żeby w końcu powstała mała, zamknięta i ciepła przestrzeń, w której dowcipy rozumie się w pół słowa, wymiana zdań odbywa się za pomocą spojrzenia, a współdziałanie między przyjaciółmi charakteryzuje taka intymność, jakiej nie da się osiągnąć z istotą innej płci. Z rzadkimi wyjątkami.

Czasu dla przyjaciół pozostawało jednak coraz mniej. Nie było już przerw szkolnych, spacerów po Moskwie w środy z ulubionym nauczycielem. Piękne codzienne szkolne kontakty się urwały i przyjaciele spotykali się od czasu do czasu na zasadzie dawnej inercji, zanurzali się jednak w przyjacielską przestrzeń coraz rzadziej, aż nagle się okazało, że życie ich rozłączyło, zresztą wyczerpała się też potrzeba dzielenia się

codziennymi wydarzeniami – dużymi, drobnymi i najdrobniejszymi – i wystarczy już rozmowa telefoniczna raz w tygodniu, raz w miesiącu, z okazji świąt.

Oczywiście to rozchodzenie się trwało nie jeden rok, historia więzi trzech przyjaciół miała swą stałą wagę, ale pięć–sześć lat po ukończeniu szkoły można się było zorientować, w jakich punktach zaczęło się to rozchodzenie. Oto, na przykład, Micha.

Ilja przypomniał sobie ewolucję Michy – jak pasjonował się kolejno rewolucyjnym Majakowskim, magicznym Błokiem i tą częścią Pasternaka, w której

Osiem salw z Newy
I dziewiąta,
Zamęczona jak sława.
To (z lewa i z prawa
Pędzą już kłusem).
To (z daleka krzyk:
Policzymy się jeszcze za rozprawę).
To rwą się
stawy
Przysięg złożonych
Dynastii...

Ilja jakoś znosił rewolucyjne sympatie Michy. Sannieczka łagodnie się uśmiechał. Przyjaźń łatwo wytrzymywała nieznaczne rozbieżności, inne rozstawienie akcentów. Znajomy z festiwalu – Pierre Sand, rosyjski Belg – poruszył Michę do głębi duszy świadomą nienawiścią do rewolucji. Micha postanowił sformułować własną i bezstronną opinię o komunizmie. Zajęło mu to nieco ponad dwa lata. Najpierw czytał Marksa, potem cofnął się do pierwszych socjalistów, co do których

wszystko było dość oczywiste, potem potknął się o Hebla i, wykonawszy piruet, ruszył w kierunku Lenina.

Jego krewny Marlen (w miarę upływu lat coraz bardziej się do siebie zbliżali) patrzył na te zajęcia podejrzliwie:

– Nie to czytasz, Micha. W naszej rodzinie było wielu rewolucjonistów i oprócz Marka Naumowicza wszystkich rozstrzelano. A Mark Naumowicz się uratował, ponieważ najpierw sam poszedł pracować do NKWD, a potem w stosownym momencie się stamtąd wycofał na prowincję, jako konsultant czegoś tam. Bardzo mądry facet, wyjątkowy drań.

– Chcę się zorientować – prostodusznie usprawiedliwiał się Micha.

– Orientuj się, orientuj – zgodził się Marlen. – Chcesz sam wynaleźć rower, proszę bardzo!

Ciocia Gienia postawiła przed każdym talerz barszczu, a potem przyniosła drugie danie, kotlety z ziemniakami: synowi trzy kotlety, Misze dwa, a sobie jeden.

Marlen zachichotał, pokazując na kotlety:

– Oto masz sprawiedliwość społeczną! I tak jest ze wszystkim!

Misze pękała głowa. Czytał, czytał – powstawało coraz więcej pytań, a zadowolających odpowiedzi coraz mniej. Próbował rozmawiać o socjalizmie z Wiktorem Juliewiczem, ale ten się krzywił i mówił, że nauki społeczne go nie pociągają.

Ilja, jeden z najbardziej dociekliwych i dobrze zorientowanych ludzi, podrzucał do ognia świeże szczapy. Najlepszą z nich okazał się samizdatowski 1984 Orwella. Książka, którą stracili wraz z teczką francuskiego dyplomaty Orłowa, wuja Pierre'a, jeszcze w pięćdziesiątym siódmym roku, nigdy nie dowiedziawszy się

o tej stracie. 1984 zrobił bardzo silne wrażenie: literacki tekst okazał się dla Michy bardziej zrozumiały niż społeczno-ekonomiczna scholastyka.

Ilja mógł świętować małe zwycięstwo: Micha ostygł nieco w swym rewolucyjnym zapale. Kontakty jednak stały się rzadsze. O Sani nie ma nawet co mówić – utknął w swojej muzyce i najlepsi przyjaciele zupełnie nie mogli być jego rozmówcami.

Wielka wrażliwość na literaturę piękną doprowadziła Michę do tej smutnej sytuacji, w jakiej się znalazł późną jesienią sześćdziesiątego szóstego roku, bez doktorantury i pracy.

Jego niedoszły promotor, Jakow Pietrowicz Rink, był zmartwiony i usiłował mu pomóc. W miarę możliwości. Jakow Pietrowicz był niewątpliwie człowiekiem przyzwoitym, ale giętkim... I na tyle mądrym, że doskonale rozumiał, jak trudna do pogodzenia jest giętkość wobec władzy, z którą przez całe życie jakoś się dogadywał, z przyzwoitością. W przypadku Michy Melamedy nie zdołał się dogadać. To go martwiło, ale ogólnie rzecz biorąc, nie zakłócało wspólnej, ważnej i celowej działalności.

Jakow Pietrowicz poczynił kilka prób pomocy młodemu człowiekowi w zatrudnieniu. Miał szerokie znajomości w świecie pedagogicznym, ale nawet jemu nie udało się znaleźć takiej posady, na której Micha mógłby prowadzić eksperymentalne badania – opanowywać nowe metody przywracania mowy.

Tak więc zamknęły się przed Michą możliwości prowadzenia pracy naukowej.

Jedyne, co udało się profesorowi – to umieścić niedoszęłego doktoranta w szkole wieczorowej jako nauczyciela rosyjskiego, i to też tylko na zlecenie. Osiem

godzin tygodniowo wystarczało na skąpe wyżywienie akurat przez osiem dni. W miesiącu miał ich w najlepszym razie trzydzieści. Alona jeszcze studiowała na uczelni i nauka całkowicie wyczerpywała jej niewielki zasób sił.

W tym czasie Micha się przekonał, że sam nie potrafi znaleźć sobie pracy. W inspektoracie oświaty, do którego się zgłosił, żeby go przyjęto na nauczyciela języka rosyjskiego i literatury, oznajmiono mu, że w Moskwie nie ma wolnych posad, trzeba się zwrócić do ministerstwa, może znajdzie się coś na prowincji. Jednakże poproszono, żeby zostawił swoje dane, ponieważ, mimo że wolnych miejsc nie ma, czasem powstają jakieś tymczasowe wakaty.

Do ministerstwa Micha nie poszedł: Alona była młodą żoną, jeszcze studiowała, a on za żadne skarby nie wyjechałby z Moskwy.

Wiktor Juliewicz, który porzucił nauczycielstwo, uważał, że Micha może zapomnieć o karierze nauczyciela szkolnego. Tylko korepetycje. I natychmiast dał mu ucznia. Ale to tylko praca na godziny, prywatne lekcje – to nie to, nie to... Brak mu było internatowej dziatwy!

W tym czasie Micha wykorzystał już najbardziej prymitywny sposób zarabiania: załadowywał i rozładowywał nocą wagony na stacji Moskwa Towarowa. Praca nie wydawała mu się szczególnie ciężka, ale Alona się sprzeciwiła: Micha ma przecież postępującą krótkowzroczność, nie wolno mu tak obciążać oczu... Miała rację..

Jeszcze jeden regularny dochód zapewniało oddawanie krwi. Został krwiodawcą, ale stacja krwiodawstwa też miała ograniczenia: nie częściej niż raz w miesiącu!

Wreszcie Micha postanowił omówić z Ilją różne nie-standardowe warianty. Umówili się na spotkanie przy Bramie Pokrowskiej, w przewiewnym Ogrodzie Milutinowskim, należącym niegdyś do Kancelarii Mierniczej, na ławeczce z dwiema wybitymi deseczkami. Każdy z butelką piwa w ręku, z teczką u stóp. Sani nie było, postanowili nie wciągać go do narady.

Wkrótce po ukończeniu szkoły Ilja pierwszy spośród absolwentów uświadomił sobie, że nie chce pracować dla państwa, ani od dziewiętej do piątej, ani od ósmej do ósmej, ani w systemie „doba dyżuru – trzy doby wypoczynku”, jak również nie chce studiować na żadnej uczelni, ponieważ wszystkiego, co go interesowało, mógł się dowiedzieć bez dyscyplinarnej musztry i przymusu. Świetnie znał sposoby unikania, wyślizgiwania się, znikania. Najpewniejsza droga to fikcyjne zatrudnienie się jako sekretarz u jakiegoś uczonego lub pisarza. Ten rzadki, niemal ekskluzywny wariant, zapewniał Ilji względną niezależność od państwa. Pewniejsze, ale mniej atrakcyjne warianty wymagały poświęcenia cennego czasu – praca w kotłowni, fucha dozorczy, ochroniarza. Jeżeli chodzi o „szmal”, Ilja znał wiele sposobów, jak go zdobyć.

Ilja zrobił Misze niezapomniany wykład, po raz kolejny demonstrując dawno uznaną wyższość intelektualną.

– Zrozum, Micha, to są dwie różne rzeczy: zajmować się tym, co cię interesuje, i zarabiać pieniądze. A mimo wszystko uważam, że te dwie rzeczy trzeba umieć łączyć. Zastanówmy się nad samizdatem. Jest to zjawisko pasjonujące i niebywałe. Żywa energia, która rozprzestrzenia się od źródła do źródła, snuje nic i tworzy swego rodzaju pajęczynę między ludźmi.

Takie kanały powietrzne, którymi idą informacje w postaci książek, czasopism, przepisanych wierszy, bardzo starych i bardzo nowych, ostatnich numerów samizdatowskiej „Kroniki”. Płyną potoki literatury syjonistycznej, drukowanej w Odessie przed rewolucją albo w Jerozolimie w ubiegłym roku, płynie literatura religijna, emigracyjna i domowego chowu... Jest to proces żywiołowy, ale nie do końca. Ja akurat zajmuję się tym świadomie i w pewnym sensie zawodowo. To właśnie ta praca przynosi mi zarobek. A poza tym sprawa – to też się liczy.

Micha siedział z otwartymi ustami, dosłownie. Ślina zebrała mu się w kącikach ust, jak u śpiącego dziecka. Ilja przemawiał w wyjątkowo poważnym tonie. A Micha był pochłonięty zarówno treścią wykładu, jak i zachwycony i dumny: oto, jaki jest Ilja!

– Święta sprawa! – powiedział cicho, przytłoczony nagle objawioną wielkością przyjaciela.

Ilja sam się w tej chwili rozkoszował własną rolą w światowym postępie. Nakreślony przezeń majestatyczny obraz niezupełnie odpowiadał rzeczywistości, ale nie był też całkowitym wymysłem. Drobne biesy rosyjskiej rewolucji – te same co u Dostojewskiego – kłębiły się w ciemniejących zakątkach zubożalego ogrodu. Długi cień niczemu nie winnego Czechowa przesuwiał się w kierunku sklepu ogrodniczego Immerera, do którego pisarz w dawnych czasach zaglądał po nasiona, a w sąsiedniej oficynie, mniej więcej w tym samym czasie, pod opieką nie całkiem niewinnego Sawwy Morozowa*, umierał wrażliwy Żyd Lewitan, piewca rosyjskiej przyrody...

* Sawwa Morozow (1862–1905) – znany rosyjski przedsiębiorca i filantrop (przyp. red.).

Na tym samym rogu, dwa kroki stąd, dwadzieścia lat temu, tramwaj z piskiem i zgrzytem... tak, tak, Murzyn.

Ale generalnie postęp dokądś się przesuwał, niewątpliwie!

Ilja od razu wymyślił ciekawą propozycję. Samizdat stał się dziś zjawiskiem społecznym i zapotrzebowanie na nowe materiały wciąż wzrasta. W połowie lat sześćdziesiątych ożywiła się prowincja. Bynajmniej nie cały samizdat tworzą ideowi entuzjaści. Kształtuje się prawdziwy rynek, działają na nim rozmaici ludzie, w tym nastawieni wyłącznie komercyjnie. Obok wydawnictw, których wartość określa tylko koszt papieru i błony fotograficznej, pojawia się prawdziwy towar, przeznaczony na sprzedaż. Powstaje też coś na kształt sieci handlowej. Jednym z uczestników tego rynku jest Ilja. Micha mógłby pomagać w kolportażu.

Ilja zdawał sobie sprawę, że jako kolporter Micha będzie kiepski: zbyt rzucający się w oczy, zbyt towarzyski, zbyt nieostrożny. Ale też wierny, niezawodny, odpowiedzialny. Może Ilja nie złożyłby mu takiej propozycji, ale Micha rzeczywiście nie miał z czego żyć. I jeszcze żona!

Micha objął funkcję akwizytora.

Pierwsze trasy były niedalekie. Ładował do plecaka samizdat i udawał się pociągiem podmiejskim lub autobusem do nieodległych stacji – do Obnińska, do Dubnej, do Czernogłówki. Spotykał się tam z młodymi pracownikami naukowymi, przekazywał im literaturę, brał pieniądze i tego samego dnia wracał.

Zabroniono mu zawierać z nimi znajomości. Micha przedstawiał się jako Andriej, a kontrahent wcale mu się nie przedstawiał. Zazwyczaj mówił – „jestem

od Aleksandra Iwanowicza” albo „od Lwa Siemionowicza”.

Z pieniędzy, które otrzymywał, za każdym razem dostawał uczciwie zarobioną piątkę. Leciutko parzyła go w rękę.

Całkiem inaczej wyglądała praca w szkole dla głuchoniemych. Internat w jakiś idealny sposób jednocześnie dawał Misze wszystko, czego ten potrzebował: skromny, ale całkiem wystarczający zarobek, całkowite zadowolenie z twórczej i pożytecznej pracy, rzadkie poczucie, że żyje właściwie. W rękę nie parzyło!

Po dwóch miesiącach Micha przyznał się Ilji, że chciałby mieć jakieś sensowniejsze zajęcie niż rozwóz zawartość plecaka po domach. Zapoznał się z istniejącym samizdatem i uważa, że może robić coś bardziej twórczego...

– Dobra. Wiedziałem, że na tym się skończy. – Ilja miał minę raczej niezadowoloną, chociaż zazwyczaj rozpierała go satysfakcja, gdy rozwiązywał cudze problemy. – Potrzebny ci jest Edik. Edik! Pamiętasz, ten wysoki! – wykrzyknął Ilja.

Micha pamiętał. Brał od niego kiedyś książki. Zresztą i powierzchowność Edika rzeczywiście była łatwa do zapamiętania – wzrost około dwóch metrów i różowa twarz niemowlęcia, na której w ogóle nic nie rosło oprócz gęstych brwi.

Ilja przyprowadził Michę do Edika. Ten mieszkał z matką i żoną Żenią w dwupokojowym mieszkaniu. Micha, gdy się rozejrzał, znów znalazł się pod urokiem cudzego domu, niepodobnego do innych: matka Edika była buddologiem, na ścianach wisiły orientalne obrazki, które, jak wytłumaczył Edik, były buddyjskimi

ikonami. Żona Edika, archeolog, też umieściła tu ślady swojego zawodu w postaci trzech brzydkich donic. Kobiet w tym czasie nie było w domu.

Edik wydawał podziemne czasopismo „Gamajun”, dwadzieścia stron na papierosowej bibułce, wszytych grubym ścięciem między dwie tekturki. Było to pismo literacko-społeczne, istniało na razie w jednym egzemplarzu pierwszego numeru. Micha od razu je złapał i przejrzał od początku do końca.

– Ciekawe! A dlaczego „Gamajun”? – zainteresował się Micha.

– „Alkonost” był, „Feniks” był, „Sirin” mi się nie podoba. Według mnie „Gamajun” jest w sam raz.

– Jeszcze jeden ptaszek ze słowiańskiej mitologii?

Edik natychmiast zaczął go oświecać:

– Tak, oczywiście, ale nasza ptaszyna to po pierwsze wielka intelektualistka, zna wszystkie tajemnice wszechświata, a po drugie, ma umiejętność przepowiadania. Na początku mieliśmy pomysł, żeby nazwać pismo „Projekt historyczny”. Ale uznaliśmy, że to zbyt suche. Czasopismo oświatowe. I współczesna poezja oczywiście.

Micha zapalił się do uczestnictwa w wydawaniu pisma otwierającego oczy i uszy ciemnej ludzkości.

Ilja zostawił Michę u Edika i nowi znajomi zjedli we dwóch kolację złożoną z dietetycznego makaronu. Po makaronie szybko się dogadali, że pismo ma być literacko-społeczne, a nie polityczne. To znaczy, że polityki będzie w nim mało. Edika interesowały raczej prognozy historyczne, analiza gustów społecznych, preferencji, a więc w istocie tematy socjologiczne:

– A skoro mowa o literaturze, to mnie osobiście najbardziej interesuje poezja i fantastyka. Fantastyka

w sposób artystyczny przedstawia procesy zachodzące na świecie i podaje ciekawe prognozy. Dzisiaj współczesna zachodnia fantastyka to futurologia, filozofia przyszłości. Ale na nią zdecydowanie brak mi czasu. Byłoby fajnie, gdybyś ty wziął na siebie także i fantastykę.

Micha się zastanowił: z fantastyką nie miał do czynienia. Obiecał, że przemyśli sprawę.

Tu, na miejscu, od razu, postanowili zaprojektować zawartość działu poetyckiego w kolejnym numerze. Z miejsca doszli do porozumienia w kwestii układu: duży wybór jednego poety i pięciu, sześciu autorów przedstawionych paroma wierszami. Micha zaproponował wybór Brodskiego i natychmiast patetycznie zamruczał:

Generale, te nasze mapy od Sasa do lasa.
Północ leży nie tu, lecz w Polarnym Kręgu.
Równik także jest szerszy od pańskiego lampasa,
A front tu, na południu, ty niedołego.
Radiostacja na taką odległość nie hasa
Każdy rozkaz zniekształca i gęga*.

– Kogo ty zadziwisz Brodskim? Posłuchaj, jacy są nowi poeci, mało komu znani:

Pamięci – bezręki konny posągu
Żwawo kłusujesz,
Ale nie masz rąk
Krzyczysz w pusty korytarz dziś

* Josif Brodski, *Pieśń o oblężeniu La Rochelle* (z filmu *D'Artagnan i trzech muszkietierowie*), przełożyła Ewa Rojewska-Olejarczuk.

Taka piękna migasz w głębi korytarza
Był wieczór i herbata wonnie się kłębiła
Pokryte drzewa pary wyrastały ze szklanek
Każdy w milczeniu napawał się życiem
A dziewczyna w żółtym najbardziej się radowała...*

– Tak, rzeczywiście niezłe. A kto to?

– Kto, kto? Taki jeden. Młody chłopak z Charkowa. Niedawno przyjechał do Moskwy. Nikt go nie zna. A za pięć lat wszyscy go będą znać. Jak teraz Brodskiego... Gotów jestem się założyć. To jego trzeba drukować.

– No, nie wiem. Chyba już lepiej weźmy Chwostienkę – zaproponował Micha.

– Lubię Chwosta, ale czym on jest bez gitary? Ten chłopak będzie lepszy...

– Jak on się nazywa?

– Po co chcesz wiedzieć? Mówię ci – za pięć lat wszyscy go będą znali! A ty chcesz Chwostienkę? – Edik był zły i ugodywy Micha poczuł się niezręcznie.

– Co za głupota! Jeszcze nie zaczęliśmy pracować, a już się kłócimy.

Edik się roześmiał:

– Ze mną zawsze tak jest. Ciągłe się z kimś kłócę zęb za zęb. Taki mam charakter!

– Idioci jesteśmy! – wrzasnął Micha. – Gorbaniewska! Natalia Gorbaniewska! Właśnie ona! Idealnie! – I wyrecytował z patosem:

U nas to nie przypadnie

– dym pełźnie z suchych traw.

* Eduard Limonow, wiersz ze zbioru *Kropotkin i inne wiersze*.

U nas to nie przypadnie
– zastyga w żarnach strach.

Ani krok, ani jęk,
Ani krew, ani pot,
Krwawy dług, głuchy dźwięk,
Nic nie przypadnie, skąd.

Ogień poszyciem leśnym
Mknie, łopoce na dębie –
Dla tych, co w listowiu legli,
Dzień zapłaty nadejdzie*.

– Do Gorbaniewskiej nie mam żadnych zastrzeżeń!
Trzeba ją tylko zapytać! – od razu zgodził się Edik.

– Przecież to samizdat! Po co pytać? Weź te trzy
wiersze do Brodskiego.

Micha z jego zamiłowaniem do klasyki – korespon-
dencja wierszem Puszkina z Wiaziemskim, albo prozą
Hercena z Turgieniewem, Turgieniewa z Dostojew-
skim, albo Gogola z wybranymi przyjaciółmi – od razu
chciał rozwinąć temat:

– Dobrze by było znaleźć też wiersze Brodskiego do
Gorbaniewskiej, albo na przykład Gorbaniewskiej do
kogoś innego!

– Na przykład do Puszkina! No, to je zamów! – po-
radził Edik.

Ale Micha był całkiem poważny.

– Nie, nie tak. Wiesz, to dobry pomysł, trzeba wziąć
wiersze adresowane do przyjaciół. Taka poetycka roz-
mowa między przyjaciółmi. Na przykład to:

* Natalia Gorbaniewska, *Trzy wiersze dla Josifa Brodskiego*,
przełożył Wiktor Woroszyński.

W domu obłąkanych –
Dłonie załamane
O ścianę biją głową
Jak w zaspę śniegową...*

– Tak, pamiętam, to do Gałanskowa – rozpoznał Edik.

– Jeszcze inny, posłuchaj:

Strząśnij z twarzy błogość półsenną
Otwórz oczy tak, aż zaboli,
Biel szpitalna, brudna codzienność –
Białą flagą twojej niewoli**.

Edik machnął ręką:

– To też znam. To do Dimki Borisowa. A ty skąd tak dobrze znasz jej wiersze?

– Dwa razy czytała swoje wiersze w domu mojego teścia. A ja zapamiętałem ze słuchu. Jest dość ponura i oschła, a wiersze pisze, widzisz, jaka wrażliwość. Nie mogę powiedzieć, że ją polubiłem. Ale pisze wiersze, jakie ja chciałbym pisać.

Postanowili, że Micha pojedzie do Natalii i poprosi o nowe wiersze. Potem Edik przypomniał sobie o jakimś wielce uczonym znajomym z wydziału filozofii Uniwersytetu Moskiewskiego, który mógłby napisać artykuł o współczesnej amerykańskiej fantastyce.

Trzecią część pisma stanowił duży dział „Wiadomości”. Wiadomości było co niemiara. Mnóstwo

* Przełożyła Ewa Rojewska-Olejarczuk.

** Przełożyła Ewa Rojewska-Olejarczuk.

różnie myślących ludzi najpierw szeptało po kątach, potem mówiło półgłosem, a w końcu wychodziło na manifestacje. Protestowali coraz śmielej i bardziej świadomie. Zatrzymywano ich, sądzono, wsadzano do więzień, wypuszczano i życie było pełne codziennych zdarzeń, o których dowiadawali się jedni od drugich albo z zachodnich radiostacji: którą kto złapał.

Oprócz obrońców praw człowieka byli jeszcze Tatarzy krymscy, pragnący wrócić na opuszczony przed dwudziestu laty Krym, Żydzi domagający się wypuszczenia ich do Izraela, z którego ich wysiedlono niemal dwa tysiące lat temu, działacze religijni różnej maści, nacjonaliści od rosyjskich do litewskich i jeszcze wielu innych, zgłaszających pretensje do władzy sowieckiej. Na wszystkich frontach coś się działo.

Edik nie należał do żadnego ugrupowania: uważał się za obiektywnego dziennikarza i wychodził z założenia, że społeczeństwo powinno wiedzieć, co się dzieje. Micha gotów był przyczyniać się do tego wszelkimi sposobami.

Nieoczekiwanie okazało się, że minęła już pierwsza w nocy.

– Oj, a gdzie jest Żeńka? – przypomniał sobie Edik o żonie. Nie mieli zwyczaju ze wszystkiego się opowiadać, ale zazwyczaj uprzedzali się o spóźnieniach.

Micha aż krzyknął, poderwał się i pognął do domu. Nic już nie jeździło. Przypadkowy trolejbus dowiózł go do zaułka Rachmanowskiego, gdzie gromadziły się na noc stada trolejbusów, i stamtąd, po jakichś dwudziestu minutach dobiegł do domu. Alona spała, Micha nie dostał bury.

* * *

Życie potoczyło się wesoło i ciekawie. Po śmierci cioci Gieni dawny, zagracony zakurzonymi rupieciami pokój jakby runął w niebyt, w nowym mieszkaniu wszystko było białe, czyste, nowe. Przy oknie stało biurczko Alony z przyszpilonymi arkuszami brystolu. Kończyła grafikę artystyczną, robiła dyplom – rysowała ilustracje do baśni Hoffmanna. Każdy arkusz był obramowany szerokim ornamentem z masońskimi motywami. Zamiast tygodniowego dyżuru u głuchoniemych Micha miał teraz mnóstwo różnych zajęć, dzień od rana do wieczora wypełniony spotkaniami, mnóstwo nowych ludzi wokół. Najczęściej zaglądali teraz Edik z Żenią. Nieładna, z rzadkimi zębami i ustami pełnymi perlistego śmiechu, Żenia okazała się osobą niezwykle sympatyczną. Alona, ku radości Michy, uśmiechała się słabo w reakcji na prościutkie żarciki Żeni. Przyjaźnili się we czwórkę, odwiedzali nawzajem, pili herbatę i wino.

Alona się ożywiła, jej stały wyraz twarzy dziecka, które dopiero co się obudziło i jeszcze nie zdecydowało, czy będzie teraz płakać, czy się śmiać – stał się bardziej określony: jeszcze się nie śmiała, ale już nie płakała. Była nawet bardziej ochocza wobec małżeńskich roszczeń Michy. Od czasu gdy się pobrali, Alona stała się chyba jeszcze mniej przystępna niż w dawnych czasach, gdy z rzadka sama, bez żadnych próśb, przyjeżdżała do Milajewa, zostawała z nim i w łóżku była uległa i czuła.

Po ślubie pojawiło się mnóstwo przeszkód, rozmaitych, jedna bardziej niedorzeczna od drugiej. Raz stosunki małżeńskie zbyt ją pobudzały i potem nie mogła zasnąć, kiedy indziej, przeciwnie, tak ją męczyły, że potem spała cały dzień i nie mogła wstać.

Była to prawdopodobnie lekka patologia seksualna spowodowana nieudanym doświadczeniem przedmałżeńskim. Czuć się pożądaną, upragnioną, być obiektem nieosiągalnym – to było dla niej największą radością w stosunkach cielesnych. Pragnęła stałego potwierdzenia gotowości bojowej Michy i doskonale władała niewyszukaną techniką utrzymywania męża w tym stanie, unikając samych zbliżeń. Im rzadziej Misze udawało się spełnić niewymyślny i rzetelny obrzęd małżeński, tym ostrzej i bardziej zawrotnie go przeżywał.

W miarę jak Alona stawiała się coraz mniej przystępna dla młodego męża, miłość wynosiła go na szczyty wzniosłych przeżyć. Gdzieś w zakamarkach jego świadomości trwał ciągły proces tworzenia poezji. Micha od dawna przestał obsypywać żonę liryką miłosną sprawiającą, że Alonie opadały kąciki ust. Ale nie mógł przestać pisać.

Miłość to sprawa Ducha,
Choć nie bez udziału ciała.
Ręka wsunięta w rękę –
To – szczęście!
Żar roznamiętnionej duszy
i ciała białą gorączkę
tą samą mierzy się skalą...

Wśród nowych przyjaciół, wpadających do ich „dorosłego domu”, bez rodziców i w centrum, Alona miała też adoratorów. Ożywiała się, gdy przychodzili mężczyźni, prężyła się i uśmiechała zalotnie. Micha doświadczał świeżych mąk zazdrości, Alona – złożonej satysfakcji. Tworzyła się atmosfera salonu: kanoniczna adoracja gospodyni, herbatka, ciasteczka, rozmowy

o sztuce, czytanie najnowszych wierszy, zapraszanie intelektualistów z wykładami. W ten sposób Alona odtwarzała styl domu rodzicielskiego, uwzględniając różnicę pokoleń i bardziej wyszukany smak.

Modne stały się również podróże po kraju ojczystym. Plecaki, kajaki, zatłoczone wagony, ryzykowny autostop, noclegi pod namiotem, w głuchych wsiach – pierwszy z całego towarzystwa opanował oczywiście Ilja. Ubóstwiał takie wycieczki, często odbywał się bez towarzystwa, przywoził z tych wypraw muzealne unikaty – książki, ikony, chłopskie narzędzia. Nawiązał przyjaźnie na rosyjskiej Północy, w Azji Środkowej, na Ałtaju.

Micha nigdy przedtem nie jeździł z Ilją: dopóki żyła ciotka, nie opuszczał jej na długo. Wczesną wiosną sześćdziesiątego siódmego roku dwie młode pary – Micha z Aloną i Edik z Żenią, przejęci świeżą pasją wędrowania, po raz pierwszy wybrali się na Krym, do Koktebelu. Ta podróż była rodzajem pielgrzymki – na grób poety, którego Micha uwielbiał.

Do Teodozji jechali dwie noce i dzień. W Moskwie jeszcze leżał śnieg, nad ranem – w miarę posuwania się na południe – przejechali przez ciepły, topiący resztki śniegu deszcz, minęli mgły i zamglenia, a po południu, wjechawszy w inną strefę czasową, obserwowali z okna wagonu stojące po kolana w wodzie przydrożne wierzby o rozsadzonych stawach i preżących się gałęziach. W Teodozji znów padał deszcz, szary i migotliwy. Wsiadli do autobusu i trzęśli się do Koktebelu – zmierzając w kierunku domu Maksymiliana Wołoszyna*. Przed

* Maksymilian Wołoszyn (1877–1932), rosyjski poeta i malarz (przyp. tłum.).

oczami przesuwiał się krajobraz drżący i zamglony, mlecznoopalizujący. Z przeciwka jechały kolumny ciężarówek: wiozące półtora miliona ton koktebelskiego piasku, pilnie potrzebnego gospodarce narodowej. Podróżnicy oczywiście nie mieli pojęcia, że na ich oczach jest niszczony piaszczysty klejnot starożytnego wybrzeża. Ludzi, którzy mieli o tym pojęcie, już prawie na tym wybrzeżu nie było.

Wysiedli z autobusu, po raz pierwszy usłyszeli ryk Morza Czarnego i ruszyli w stronę tego czarodziejskiego głosu. Morze szalało już drugi tydzień, w całkowitej zgodzie ze swoim sezonowym nawykiem. Dla oczu okazało się jeszcze bardziej nieograniczone niż dla uszu. Micha i Żenia przeżywali pierwsze w życiu spotkanie z morzem. Alonę kiedyś rodzice zawieźli na Kaukaz, a Edik znał morze, ale zupełnie inne – Bałtyk.

Skręcili bulwarem w stronę domu Wołoszyna. Nikogo nie pytali o drogę, droga prowadziła się sama. Dom poznali od razu – po charakterze, po wieżyczce, po niepodobieństwie do czegokolwiek innego, co zostało tu zbudowane po rewolucji, po wojnie. Usiedli na kamieniach poniżej domu. Wyjęli butelkę wina i resztki moskiewskiego jedzenia.

Michę poniosło: zaczął recytować wiersz. Korciło go jeszcze w pociągu, ale go uciszano:

Jako niewielka koncha – Oceanu
Potężnym tchnieniem huczy i łoskoce,
Jak ciało jej się jarzy i migoce
Odbłyskiem, srebrem mgielnego tumanu,
A każda jej woluta się utrwali
We fryzie, w szybkim poruszeniu fali –

Tak dusza moja, cała u twych zatok,
Kimerio, kraju wieczystego cienia,
Trwa zniewolona, postać swą odmienia*.

Wiatr targał kurtki, porywał słowa. Skupili się ciasno, a Micha wciąż nie mógł się zatrzymać. Nie zauważyli, jak podeszła otyła staruszka z rzeźbioną laską w ręce, w ogromnym potarganym płaszczu, w sklejonych na nasadzie nosa zmętniałych okularach i stanęła obok, uważnie się wsłuchując.

– Wejdźcie do domu – gościnność zaproszenia przeczyła jej ponurej i surowej minie. I zaprowadziła ich do domu, o którym nawet im się nie marzyło...

Tak właśnie, wdowa po Maksie, Maria Stiepanowna, osobiście wprowadziła ich do domu Wołoszyna. Na parterze, który wówczas nazywano „pawilonem 1”, umieszczano zazwyczaj górników z Donbasu, ale ci na razie jeszcze nie przyjechali ze swoimi skierowaniami na wczasy. Wdowa zmagiała się z tą inwazją, jak mogła, ale mogła niewiele. Otworzyła młodemu dwa pokoje na dolnym piętrze:

– Mieszkajcie sobie tu, dopóki obcy się nie zwałą.

Pod opiekuńczymi skrzydłami Marii Stiepanowny młodzi spędzili kilka szczęśliwych dni. Micha z Edikiem wykonywali proste prace domowe, których było mnóstwo. Żenia z Aloną myły podłogi, ścierały kurz z książek na wysokich półkach. Jeden dzień całkowicie poświęcili na sprzątanie grobu Wołoszyna. Micha z Edikiem umocnili w jednym miejscu ścieżkę, uszkodzoną podczas zimy.

* Maksymilian Wołoszyn, *Koktebel* (z cyklu *Kimeryjska wiosna*), przełożył Adam Pomorski.

Natomiast wieczorami siedzieli w lodowatym gabinecie Maksa, pili herbatę i rozmawiali pod ogromną rzeźbą królowej Taiach, opisaną we wszystkich wspomnieniach. Niekiedy wieczorami zaglądały miejscowe mieszkanki w sędziwym wieku, staruszki-dziewczynki i staruszki-jaszczurki, oraz współcześni młodzi pisarze z Domu Pracy Twórczej. Raz przyszedł z bańką wina znany młodzieżowy poeta, kiedy indziej jego rywal. Wściekle nienawidzili się nawzajem, ale, zgodnie z tradycją domu, unikali sporów, gdy znaleźli się razem przy jednym stole.

W oczach Michy i Edika byli oni zbyt sowieccy i oficjalni. Ale, jak się potem okazało, nie gorsi i nie lepsi od tych, którzy gromadzili się przy pomniku Majakowskiego.

Pod koniec, kiedy młodzi już się zaczęli zbierać do domu, Maria Stiepanowna kazała całemu towarzystwu iść do Starego Krymu. Odległość spora, siedemnaście kilometrów, ale bez tej wycieczki, jak im powiedziała, nie staną się tu „swoimi”.

– Tam odpoczniecie, moja znajoma was nakarmi.

Maria Stiepanowna zastanawiała się, czyby nie wyprawić młodzieży do konkurującej wdowy. Assol do tego czasu już odsiedziała swój wyrok i wróciła na Stary Krym, do obowiązków wdowy po Aleksandrze Grinie. „Lepsza będzie chyba Faina Lwowna” – doszła do wniosku Maria Stiepanowna i dała im liścik do miejscowej damy, której mąż, dentysta, naprawiał zęby wszystkim tutejszym mieszkańcom.

Do domu postanowili jechać przez Symferopol, zbaczając do Bachczysaraju. Maria Stiepanowna oznajmiła, że bez tego w żaden sposób nie można się obejść – to jest serce Krymu Wschodniego. Trasa była nieco zawi-

ła: ze Starego Krymu, już nie wracając do Koktebelu, udali się do Bachczysaraju, tam zanocowali, a rano ruszyli prosto do Symferopola, na dworzec kolejowy.

W Starym Krymie zaczęła się już prawdziwa wiosna – drzewa przeświecały zielenią, wszyscy mieszkańcy pracowali w ogródkach, przygotowywali grządki, krzątali się wokół rozsady. Kwitły migdały.

Micha z Edikiem przez całą drogę omawiali naturę władzy sowieckiej, która, zdaniem Michy, na peryferiach była słabsza niż w centrum i bardziej ludzka. Edik się nie zgadzał. Wyraził nawet opinię, że na prowincji jest jeszcze bardziej twarda i tępa, i jako argument podał przykład Maksa: gdyby mieszkał bliżej centrum, rozstrzelaliby go już w osiemnastym roku.

Żenia z Aloną szły, jak kobiety Wschodu, z tyłu za mężami i rozmawiały o sztuce: Alonie nie bardzo podobają się akwarele Wołoszyna, którymi obwieszony był cały dom, a Żenia zapalczywie dowodziła, że tego artysty nie można oceniać po bezpośrednich rezultatach jego pracy – obrazach czy wierszach – jego wielkość jest duchowa i kiedy powierzchowny osąd zastąpi się autentycznym, stanie się oczywiste, jakiego formatu jest to postać. Żenia była kobietą wykształconą, czytała po francusku i po angielsku, znała się nawet na antropozofii, a Alonę trochę to drażniło.

W Starym Krymie zjedli obiad u Fainy Lwowny, która przyjęła ich jak wysłanników zaprzyjaźnionego królestwa, nad wyraz uroczyście. Miała na szyi bardzo długie korale, suknię z obniżoną talią nosiła jeszcze od czasów NEP-u, tak samo jak figlarny loczek, przyklejony do czoła. Nakarmiła gości skromnym, acz szykownym obiadem – zupą fasolową i kotlecikami z nieokreślonej kaszy z gęstym sosem.

Pospacerowali po miejscowym cmentarzu, powłóczyli się koło domu Aleksandra Grina. Dom był zamknięty, ale miało się wrażenie, że gospodarze wyszli tylko na chwilę.

Do Bachczysaraju dotarli przed wieczorem, autostopem. Poszli, znowu za radą Marii Stiepanowny, do kustosa miejscowego muzeum etnograficznego. Przyjęła ich tak, jakby znali się przez całe życie. Tu, na Krymie, istniał jakby jakiś tajny zakon „byłych” ludzi. Władali niewytłumaczalną tajemnicą Krymu, ale jakkolwiek szeroko uchylano by jej rąbka, wciąż mieli swoją wiedzę tajemną. Pani kustosz nawet nie pochodziła z Krymu, była petersburżanką, ale robiła wrażenie strażniczki tajemnic. Pokazała gościom woskowe figury żon z haremu i eunuchów, miedziane dzbany, fontannę pamiętającą Puszkina, „grobowce chanów, władców ostatnie mieszkanie” ... Maria Stiepanowna powiedziała, że jutro rano odprowadzi ich do Czufut-Kale, ale na noc przytulić ich nie może, bo właśnie przyjechała z wizytą ciocia z Pitra.

Pod wieczór przyszli do hotelu – zwyczajne prowincjonalne ubóstwo. Plecaki oddali do przechowalni bagażu, małej komórki przy recepcji. Umówili się, że zarezerwują pokoje, a zameldują się wieczorem. Poszli pospacerować po ciemnym mieście, zjeść kolację w jakiejś knajpce. Knajpy nie znaleźli, ale odkryli sklep, do którego wpadli pięć minut przed zamknięciem.

Micha wyciągnął ze służbowego pokoju plecaki, zaczął grzebać w poszukiwaniu dowodów osobistych. Znalazł, położył przed recepcjonistką. Ta zagłębiła się w lekturze końcowych stron – gdzie są zameldowani, czy mają pieczętkę o rejestracji ślubu.

W tym czasie do hotelu weszła rodzina: małżeństwo w średnim wieku z czternastoletnią córką. Tatarzy, przybyli z Azji Środkowej, co można było poznać po uzbeckiej tiubietejce mężczyzny, pasiastej chustce żony, po wystających kościach policzkowych, po grubych srebrnych bransoletach z rdzawymi krwawnikami na cienkich przegubach dziewczynki, po napięciu wypisanym na ich twarzach. Mężczyzna wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki dwa dowody i położył przed recepcjonistką.

Marynarka była bardzo nienowa, wypłowiwała na plecach. Ale od ramienia niemal do pasa pokryta baretkami orderów i odznaczeniami bojowymi.

Ponura baba odłożyła dowody moskiewskich podróźników, otworzyła dowody Tatarów i pokręciła przecząco głową:

– Nie ma miejsc.

– Jak to nie ma? Pani kłamie! Miejsca są! – poderwał się Micha. – Są nasze dwa pokoje i niech pani będzie łaskawa w jednym z nich umieścić tych państwa.

– A dla was też nie ma miejsc. – Baba przesunęła stosik dowodów do Michy.

– Jak to? Przecież się umówiliśmy!

– W pierwszej kolejności obsługujemy osoby na delegacji, a dopiero potem „dzikusów”. Miejsc nie ma.

– Przejechaliśmy dwa tysiące kilometrów, żeby odwiedzić groby przodków. Oto bilety powrotne, za dwa dni odlatujemy do Taszkientu – nie tracił nadziei mężczyzna.

– Nie rozumiecie po rosyjsku czy co? Nie ma miejsc!

– Rozumiem po rosyjsku. Może można by się zatrzymać choćby na jedną noc w kwaterach prywatnych?

– Zatrzymujcie się, gdzie chcecie! To nie moja sprawa.

wa! Tylko będziecie odpowiadać za naruszenie przepisów meldunkowych.

Micha był wzburzony – reagował na niesprawiedliwość namiętnie, wręcz fizycznie – czuł, jak pulsuje mu krew w skroniach, a ręce same zaciskają się w pięści:

– Dranie, co za dranie – szepnął do Edika. – Czy rozumiesz, co się dzieje? To przecież wysiedlona rodzina tatarska... – Zaledwie kilka dni temu przyjaciółki Marii Stiepanowny opowiadały o wydarzeniach majowych czterdziestego czwartego roku i te wiadomości były jeszcze świeże, jeszcze tliło się poczucie niesprawiedliwości. – Facet walczył na froncie, podczas kiedy jego rodzinę wysiedlano z domu!

– Nie rób zbędnego hałasu – szepnął Edik. – Coś wymyślimy!

Tatar z orderami niespiesznie zawinął dowody w jedwabną szmatkę i starannie włożył do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Chodźmy stąd szybko, przecież ona zaraz wezwie milicję! – szepnął Edik na ucho niskiemu Tatarowi, nieomal zginając się wpół.

Tamten ze zrozumieniem kiwnął głową i wszyscy ruszyli do drzwi, na ulicę, na zewnątrz, gdzie już się całkiem ściemniło, a ciemność zdawała się uspokajać, zdawała się niegroźna, w odróżnieniu od ohydy oświetlonego jasno urzędowego lokalu.

Recepcjonistka Natasza Chłopienko już kręciła tarczą telefonu, łączyła się z milicją: taki miała obowiązek – donosić o Tatarach przyjeżdżających od Bachczysaraju. Ale na milicji dyżurny nie odbierał telefonu, więc z ulgą rzuciła słuchawkę: jej matka była Karaimką, ojciec – przybysz z Ukrainy, i nie to, żeby żywiła jakieś szczególne współczucie dla wysiedlonych Tatarów, ra-

czej nie chciała mieć nic wspólnego z tą dawną wojną ludów, która jej trochę dotyczyła. Ale tylko trochę.

Siedem osób wyszło z hotelu i Tatar w milczeniu stanął na czele tego exodusu.

– Chodźmy, znam miejsce, gdzie się ukryjemy na noc. Nie boicie się cmentarza?

– Chodźmy, chodźmy – powiedział Edik.

Chociaż było już całkiem ciemno, Tatar szedł pewnie na zachód, trochę pod górę.

Po jakichś dwóch kilometrach doszli na stary tatarski cmentarz.

Ruiny niewielkiego mauzoleum były raczej przytulne niż niebezpieczne. A może zaufanie Tatara do tego miejsca było tak wielkie, że udzieliło się młodemu. Usiedli na zboczu, nawet nie usiedli, raczej się położyli – skłon był tak wygodny jak miękkie wezglowie. Edik wyjął z plecaka butelkę krymskiego portwajnu, gospodarna Żenia wyjęła kupioną w sklepie bryndzę, kiszony pomidor, chleb – zamierzali zjeść w hotelu kolację.

Nie rozpalili ognia. Niespodziewanie na niebo wstąpił księżyc, zaświecił całą mocą pełni i uwidocznił każdy kamień i każdą gałązkę. Nawet dwa grube warkocze tatarskiej dziewczynki lśniły oleistym połyskiem w księżycowej poświacie, a srebrne bransolety migotały odbitym światłem. Matka dziewczynki rozwinęła płócienną szmatkę, wyjęła jakieś suche tatarskie pierożki i wszyscy razem jedli w uroczystym milczeniu i duchowej harmonii.

Rozmowa zawiązała się stopniowo już po jedzeniu – dziwna, przerywana, toczyła się nie jakimś głównym nurtem, ale od razu o wszystkim – o niedawnym dziwnym przypadku, który połączył ludzi niczym niezwią-

zanych – ani przeszłością, ani losem... o pięknie, które jakby spadło z nieba...

Księżyc zaszedł, szybko ześlizgując się z krawędzi nieba i po godzinie całkowitej uspokajającej ciemności różową smugą zaświecił wschód. Mustafa powiedział:

– Ileż to lat wspominałem ten brzask. Jako chłopiec pasalem tu bydło, tysiąc razy patrzyłem na te góry, zawsze czekałem na pierwszy promień słońca. Czasem jakby wystrzeliwał. Myślałem, że już nigdy tego nie zobaczę.

Kiedy zaświtało, rozeszli się w różne strony – młodzi do Czufut-Kale, tatarska rodzina została na starym cmentarzu – Mustafa chciał odszukać grób dziadka.

Umówili się o godzinie drugiej na dworcu autobusowym, żeby razem jechać do Moskwy.

Przy dworcu autobusowym nie obeszło się bez milicji. Młodzi otoczyli kołem „swoich” Tatarów, wesoło hałasowali, pokrzykiwali, Żenia kokietowała dwóch milicjantów naraz, padło wiele zbędnych i niekoniecznych słów, aż w końcu Edik wyjął legitymację dziennikarską, od dawna przeterminowaną, i pomachał nią przed nosem porucznika. Prowincjonalni milicjanci okazali się bardziej nieśmiali niż moskiewscy, czy może niesamowity wzrost Edika i rogowe okulary powściągnęły ich zapędy, w każdym razie gdy autobus otworzył drzwi i zaparskał, cała siódemka załadowała się szybko i odjechała. A może chłopcy w mundurach chcieli się pozbyć zbędnego kłopotu...

Dalej wszystko poszło jak po maśle – personel pociągu okazał się akurat kazachski, ulokował więc „lewych” pasażerów na „lewych” miejscach, przez całą drogę chronił ich przed kontrolerami i po dwóch dobach wszyscy przybyli na plac Komsomolski. Po dal-

szej półgodzinie Micha z Aloną i tatarscy goście znaleźli się w pokoju cioci Gieni, a dobę później były Bohater Związku Sowieckiego, były kapitan Usmanow, jeden z inicjatorów ruchu na rzecz powrotu krymskich Tatarów na Krym, jego żona Alija i córka Ajsze, po przelocie ze stolicy naszej ojczyzny do stolicy Uzbekistanu, siedzieli w swoim taszkienckim domu, gdzie czekali na nich krewni i przyjaciele. Usmanow, komunista i bohater, położył na tacy garść kamieni ze starego cmentarza muzulmańskiego Eski-Jurt.

– Patrzcie, nasze kamienie przyszły do nas, a potem i my przyjdziemy do naszych kamieni.

Od tego czasu częstymi gośćmi w domu Michy stali się młodzi Tatarzy. Przyjeżdżali z petycjami, protestami, prośbami i żądaniem. Nocowali na podłodze, na nadmuchiwanym materacu... Micha bardziej brał sobie do serca te cudze tatarskie kłopoty niż te żydowskie z repatriacją do Izraela. W końcu żydowski exodus trwał dwa tysiące lat, zbyt dawna to była historia, a tatarski był tak świeży, ich domy i studnie na Krymie nie wszystkie jeszcze zburzono, i Tatarzy wciąż pamiętali sowieckich żołnierzy, wysiedlających ich i ich sąsiadów, zajmujących ich domy...

Micha zaangażował się w cudzą sprawę z właściwą mu wrażliwością. Pomagał układać petycje, rozpowszechniać je, utrzymywać kontakty. Kilka razy na prośbę tatarskich przyjaciół jeździł na Krym, wraz z nowym przyjacielem Rawilem zbierał wspomnienia o wysiedleniach czterdziestego czwartego roku...

Nadal wraz z Edikiem wydawał pismo, które jednak chudło w swojej części artystycznej i nabierało więcej objętości w części politycznej. Dodali do gazety nowy dział – „Kresy”, gdzie pisano o problemach narodowo-

ściowych, o wymierających małych narodach, o przymusowej asymilacji. Edik, z właściwym mu akademizmem, starał się utrzymywać w ramach antropologii i demografii, co nadawało pismu posmak naukowości, a nie umniejszało jego antyimperialnej wymowy.

Ilja zrobił fotokopie wszystkich ośmiu numerów. Nakład wynosił zazwyczaj czterdzieści kopii. Nie zachował się pełny zbiór wszystkich numerów pisma, a rozproszone egzemplarze można do dziś znaleźć w kilku archiwach, na Zachodzie lub w KGB.

Micha prawie od roku nie spotykał się z Sanią, Ilję widywał tylko w interesach.

W nocy dwudziestego pierwszego sierpnia 1968 roku wszystko się zmieniło: sowieckie wojska wkroczyły do Czechosłowacji. Właściwie były to połączone siły pięciu krajów. Ale inicjatywa była bez wątpienia sowiecka. Nazwano to operacją „Dunaj”. Rosyjskie czołgi toczyły się po Pradze, zadając w ten sposób potężny cios światowemu ruchowi komunistycznemu.

Micha przez całą noc kręcił karbowanymi gałkami starego telefunkena, jedyne go spadku po cioci Gieni, i słuchał zachodnich audycji. Runęła koncepcja dubczekowskiego „socjalizmu z ludzką twarzą”, upadały ostatnie iluzje.

Przez tyle lat Micha analizował marksizm, usiłował dociec, dlaczego piękne idee sprawiedliwości społecznej wciela się w sposób tak wypaczony, tym jednak razem wszystko stało się zimne i oczywiste: cynizm, niewyobrażalne kłamstwo, niepojęte okrucieństwo, bezwstydna manipulacja ludźmi, którzy tracili człowieczeństwo i godność ze strachu spowijającego ciem-

ną chmurą cały kraj. Chmurę tę można by nazwać stalinizmem, ale Micha już się domyślał, że stalinizm jest tylko jednym z przypadków zła ogromnego, globalnego, ponadczasowego – politycznego despotyzmu.

Micha gotów był biec na plac, żeby natychmiast podzielić się swoimi wrażeniami. Na początek chwycił ołówek. Chciał napisać wiersz, ale zamiast wiersza wyszedł mu wściekły tekst publicystyczny. Przez trzy dni męczył się i plątał słowa, ale wciąż nie udawało mu się napisać tak zgrabnie i przekonująco, jak to czuł sercem. Miał jednak uczucie, że znajdzie właściwe słowa, wypowie je, a wszyscy zrozumieją, wszyscy się z nimi zgodzą...

W niedzielę dwudziestego piątego zadzwonił Siergiej Borysowicz i poprosił, żeby natychmiast do niego przyjechali. Od niego usłyszeli ostatnią nowinę: na placu Czerwonym, przy Miejscu Kaźni odbyła się demonstracja przeciwko wkroczeniu wojsk do Czechosłowacji. Nazwiska siedmiu osób, które wyszły na plac, były znane. Wszyscy, oprócz jednej uczestniczki demonstracji, która usiadła obok miejsca kaźni z trzymiesięcznym dzieckiem i czechosłowacką chorągiewką w rękach, zostali już aresztowani.

– Gorbaniewska! – domyślił się Micha.

Czernopiatow potwierdził. W domu było pełno ludzi. Już ustalali, kto będzie podpisywał list protestacyjny i pod którym adresem go skierować. Micha zamknął się w dawnym pokoju Alony i dokończył tekst, którego przez te wszystkie dni nie udało mu się doprowadzić do doskonałości. Teraz, po demonstracji, wszystko przerobił, przesunął akcenty i zatytułował: „Pięciomi-

nutowa warta siedmiu wspaniałych na Miejscu Kaźni”. Pokazał tekst Czernopiatowowi – ten się skrzywił:

– Micha! Jak zwykle za dużo patosu.

Wieczorem pokazał ten tekst jeszcze dwóm osobom: Edikowi i Ilji.

Edik ocenił artykuł jako zbyt przegadany i niewyraźny. Ilja w milczeniu wziął kartki.

Po upływie doby w „Głosie Ameryki” podano informację o wiecu na placu Czerwonym – o pięciominutowym proteście i o siedmiu wspaniałych! Tekst był trochę poprawiony i skrócony. Był to materiał Michy!

To znaczy, że przekazali! Jedna z dwóch osób: Ilja albo Edik. Nie do wiary!

Wszyscy trwali w napięciu. W mieście odbywały się rewizje, aresztowania. Podliczano ofiary. Ludzkie – jeżeli wziąć pod uwagę skalę tego wieku – były w zasadzie niewielkie: około stu zabitych obywateli po czeskiej stronie i dwunastu żołnierzy sowieckich. W Czechach po pomyślnym zakończeniu operacji aresztowano około dwóch tysięcy osób, w Rosji – tyle co nic: siedmiu demonstrantów z placu Czerwonego i dziesięciu nieznanym z prowincji.

Szykowano wielki proces przeciwko uczestnikom demonstracji. Czernopiatow znał wszystkich, spływały do niego wszystkie informacje o przygotowanym procesie.

Micha i Edik mieli zamiar na Nowy Rok wydać numer „Gamajuna” w całości poświęcony ruchowi Tatarów krymskich. Najgorzej było z częścią literacką, ale Micha przy pomocy tatarskich przyjaciół znalazł jednego krymskotatarskiego poetę, mieszkającego w Uzbekistanie – Eszrefa Szemji-Zade. Tatarzy zrobili Misze przekład filologiczny, a on przetłumaczył fragmen-

ty częściowo ocalałego poematu. Był on pisany żywą krwią i Micha długo się męczył, zanim jakoś to przetłumaczył:

To nie pies wyje strasznym głosem
W moskiewskiej lodowatej nocy,
To wódz kremlowski, żądny krwi,
Nienasycony, ryczy, wyje...

Przed Nowym Rokiem Micha przeszedł chrzest bojowy – przyszli z rewizją.

Czterech chłopca długo myszkowało po gołym pokoju i zawiedzeni całkowitą jego przezroczystością, nawet opukiwali ściany. Wykryli na półce wśród książek wielki plik listów, należących do zmarłej cioci Gieni. Listy były zawinięte w szary papier, związane surowymi nićmi w małe paczki, według lat – od 1915 do 1955. Dokładnie czterdzieści. Rodzinna korespondencja z krewnymi z obwodu archangielskiego, Karagandy i z Uralu. Micha znalazł je niedawno, kiedy wyrzucał szafę, trzymał na prośbę Marlena, z delikatności ich nie czytał, a teraz funkcjonariusze szybko rozwiązywali nici, gdy jednak zobaczyli tak dawne daty, stracili wszelkie zainteresowanie, i to był błąd. Wśród innych rzeczy znajdowała się tam korespondencja legendarnego wuja Samuela z Leninem z jednej strony i z Trockim z drugiej. Był tam też niezwykle ciekawy list, w którym Lenin podbechtywał Samuela, żeby stworzył tajne źródło finansowe, niezależne od państwa, w celu rozwijania ruchu komunistycznego...

– To są listy mojej ciotki, chciał je zabrać jej syn, żeby przejrzeć – wyjaśnił Micha, przysuwając do siebie pakiet.

– Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć – starszy funkcjonariusz brutalnie wyrwał listy z rąk Michy.

Całe przedsięwzięcie zajęło około dwóch godzin. Nie mieli gdzie szukać i czego.

Zabrali, raczej z poczucia służbowego obowiązku, rodzinne listy, kilka przedrewolucyjnych tomików poetyckich, prawie wszystkie podarowane przez Ilję, przefotografowaną książkę Bierdiajewa, którą Micha wciąż miał zamiar przeczytać, ale nie miał czasu, oraz kieszonkowe dwutomowe wydanie *Doktora Żywago*, które dostał od Pierre’a Sanda.

Wszystkie materiały do czasopisma Micha od razu odwoził do Edika. W domu nic nie miał. Niemniej... niemniej, kiedy zobaczył dwa tomy Pasternaka w rękach kagiebiów, jakby go wrzątkiem oblało. Przypomniawszy sobie pewną zapisaną drobnym pismem kartkę. I przypomniał sobie, jak wsunął tę kartkę do pierwszej lepszej książki w chwili, gdy sąsiadka zawołała go do telefonu wiszącego na ścianie we wspólnym korytarzu.

Po rozmowie telefonicznej poszukał kartki, ale nie znalazł, machnął ręką i z pamięci odtworzył tekst. A teraz przypomniał sobie, że wsunął tę karteczkę właśnie do jednego z tomików *Doktora Żywago*.

Kartka była niezwykle cenna: Micha przygotowywał do następnego numeru pisma szkic demograficzny o Tatarach wysiedlonych z Krymu podczas wojny. Krymscy Tatarzy przeprowadzili ankietę wśród spec-przesiedleńców i ich potomków w Azji Środkowej, do starych, dawno zapomnianych, danych dołączając nowe. Była to ogromna praca, w której wzięły udział setki wysiedlonych Tatarów.

Na kartce drobnym, kaligraficznym pismem, pod czerwonym nagłówkiem „TATARZY”, było napisane:

1783 r. – około 4 mln ludzi – ludność tatarska Krymu w chwili przyłączenia Krymu do Rosji.

1917 r. – tatarską ludność stanowi 120 tys. ludzi.

1941 r. – tatarska ludność Krymu – 560 tys. ludzi.

Lata 1941–1942 – zmobilizowano 137 tys. mężczyzn, spośród nich zginęło 57 tys.

1944 r. – 420 tys. ludzi (200 tys. dzieci) – ludność cywilna.

1944 r. 18–20 maja – w deportacji wzięło udział 32 tys. wojska NKWD.

1944 r. 18 maja – wysiedlono do Azji Środkowej 200 tys. (oficjalna liczba).

1945 r. – zginęło 187 tys. specprzesiedleńców (wg oficjalnych danych 80 tys.).

1956 r. – Tatarów krymskich w Azji Środkowej uwolniono od rygoru specprzesiedleńców, a zakazano powrotu na Krym.

U dołu dopisek niebieskim atramentem:

Rudy! Zwróć uwagę, wszystkie oficjalne liczby (np. o wysiedleniu) są zaniżone, według naszych danych zginęło około 42 proc. specprzesiedleńców przez pierwsze półtora roku. Nie zgadza się z liczbą oficjalną. Wszystko jest u nich zaniżone. Rawil przygotowuje dla ciebie zestawienie od 1945 do 1968 roku. Musa.

Pozostawała nadzieja, że nie otworzą tomiku i nie znajdą kartki. Poza tym Micha był zadowolony, że Alona tego dnia do późna tkwiła na uczelni, a kiedy przyszła, kagiebiści już nie zastała.

Micha od razu zadzwonił do Edika, ale telefon nie odpowiadał.

* * *

Rano Micha z Aloną pojechali do Edika. Zapłakana Jelena Aleksiejewna powiedziała im, że wczoraj o tej samej porze była u nich rewizja. Ale następstwa były o wiele gorsze. Edika zabrali, dotychczas nie wrócił. Znaleźli wiele brudnopisów, materiały ostatniego numeru czasopisma z adiustacją ołówkiem, oprócz tego zabrali pięć numerów „Biuletynu Rosyjskiej Chrześcijańskiej Demokracji” i kupę innego samizdatu. Skonfiskowano kilka fotokopii może najbardziej antysowieckiej książki, wydanej dla elity partyjnej w małym nakładzie, z pieczęcią „Ścisłe tajne” – *Technologii władzy* Awtorchanowa.

W pokoju Jeleny Aleksiejewny też przeprowadzono „dezynfekcję”: zabrano dwa egzemplarze Biblii, statuetkę Buddy, różaniec i kserokopie buddyjskich tekstów. Wypytywano gospodynię, w jakim języku jest napisana ta antysowiecka. Usiłowała im wytłumaczyć, że jest z zawodu buddologiem, zajmuje się Wschodem, dwa języki, z którymi ma najwięcej do czynienia, to sanskryt i tybetański. A ten papier, który mają w rękach, to kopia dokumentu napisanego w siódmym wieku.

W ich niesłychanej ignorancji była odrobina pewnej fascynacji: kiedy jeden z przybyszów oznajmił jej szepciem, że wie wszystko o buddyjskim krwawym składaniu ofiar, Jelena Aleksiejewna, mimo całego strachu, nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Teraz też, opowiadając, uśmiechała się. Wiedziała, że kopie zwrócą, a jeżeli nie zwrócą, to Bóg z nimi, ale żal jej było rodzinnej Biblii, na ostatniej stronie były zapisane imiona jej pierwszych właścicieli:

Postanowili pojechać do Siergieja Borysowicza, żeby się go poradzić, jako człowieka doświadczonego. Jego dom, jak zawsze, był pełen ludzi: jakiś wczorajszy

więzień, przejazdem do Rostowa, człowiek z Azji Środkowej, starsza pani o kwietnym imieniu Malwa, którą Micha spotykał tu już dawniej, oraz sam Julij Kim* we własnej osobie, z gitarą. Jedni pili kawę i herbatę, inni wódkę i wino. Alona się krzywiła, zawsze irytowała ją ta atmosfera przechodniego podwórza, dworca, noclegowni. Micha zaciągnął teścia do kąta i opowiedział, jak wyglądają sprawy z Edikiem. Może pójść się dowiedzieć do dzielnicowego urzędu KGB? Może do kancelarii KGB?

– No, czy się pójdzie, czy nie, oni mają prawo zatrzymać do siedemdziesięciu dwóch godzin bez postawienia zarzutów – Siergiej Borysowicz od dzieciństwa znał te porządki w praktyce. – Teraz najpewniej niczego nie powiedzą. Ale działać trzeba, żeby wiedzieli, że są ludzie, którzy się tym interesują. Rzecz wyjaśni się za trzy dni.

Micha pojechał do Ilji, a Jelena Aleksiejewna z Żenią na Kuzniecki Most do kancelarii KGB.

Ilja powiedział, że tej nocy było siedem czy osiem rewizji u różnych ludzi – cztery osoby zatrzymano, ale dwie wkrótce wypuszczono. O Ediku Ilja nic nie wiedział.

Po trzech dobach Edika Tołmaczowa nie wypuszczono. Postawiono mu zarzut z artykułu 190.1 kk – „Rozpowszechnianie fałszywych informacji zniekształniających państwowy i społeczny ustrój ZSRR”.

I znów Micha poszedł po radę do doświadczonego teścia, teraz w sprawie czasopisma. Chciał kontynuować wydawanie pisma, ale nie był pewien, czy sprosta takie-

* Julij Kim (ur. 1936 r.) – poeta, kompozytor, dramaturg, bard ruchu dysydenckiego w ZSRR (przyp. tłum).

mu złożonemu i odpowiedzialnemu zadaniu. W dodatku wszystkie materiały do następnego numeru skonfiskowano. Micha wiedział jednak, jak je odtworzyć.

Siergiej Borysowicz kategorycznie odradził: nie, teraz to nie jest odpowiednia pora. Micha od razu wpadnie.

Co się zaś tyczy Michy, to zasmakował w tej dziwnej robocie. O ile dawniej pasjonował się metodyką nauczania mowy głuchych, to teraz uważał swoje obecne zajęcie za najważniejsze w życiu. Wyobrażał sobie, że ma w rękach los całej dalszej poezji. Jakby ktoś z góry powierzył mu misję zachowania dla dnia jutrzejszego tych wszystkich wartości, które istniały przypadkowo, przez niedopatrzenie władz.

Ilja dał mu mądrą radę:

– Nie prowadź dalej pisma, ale zrób nowe, Micha. Zmień tytuł. Wymyśl jakąś ptasią nazwę, będzie nawet zabawnie. Z poezją sam dasz sobie radę, a ja cię poznam z plastykami. Mam kilku znajomych historyków sztuki, wysokiej klasy. To nowa awangarda. Powstanie czasopismo artystyczne. A polityka – wykiękuje sama z siebie.

Minęły trzy miesiące. Kiedy Micha już się zmęczył czekaniem na wezwanie w sprawie czasopisma, znalazł w skrzynce zawiadomienie z KGB.

Alona źle się czuła, podejrzewała, że jest w ciąży, ale Misze na razie nie mówiła. Milczała całymi dniami, jak to się jej czasem zdarzało. On za to mówił bezustannie: o Ediku, o adwokacie, którego znaleźli przyjaciele, o czasopiśmie, dawnym i nowym, o Sani Stiekłowie, który nagle zaprosił ich do konserwatorium, a przecież od pół roku nawet nie dzwonił...

Paplał, co mu ślina na język przyniosła, ale nie powiedział o wezwaniu do KGB, które schował do kieszeni kurtki.

Mogły być dwie przyczyny wezwania. Albo przetrząsnęli wreszcie jak należy tomik i znaleźli kartkę z tatarskimi zapiskami, albo Edik wskazał na niego jako na pomocnika. To drugie wydało się Misze mało prawdopodobne.

Wcale się nie martwił. Odczuwał raczej przykrość, że tak mało zrobił: prawie nic! Zdążył tylko napisać kilka artykułów. Skompletował kilka wyborów poetyckich.

Ilja, któremu powiedział o wezwaniu, potwornie się zmartwił:

– Należało się tego spodziewać. Raczej się dziwiłem, dlaczego zostawiają cię w spokoju. A winien jestem ja, bo wciągnąłem cię w te wydawnicze sprawy. Teraz trzeba się wyplątywać. Edik jest twardy, nie sądzę, żeby cię wydał. Będą cię maglować o tę tatarską statystykę. Przygotuj dobrą wersję – *Żywago* kupiłeś dawno, na bazarze, bo wiele o tym słyszałeś, ale nie zdążyłeś otworzyć. O notatce nic nie wiesz. A w Moskwie można kupić wszystko koło antykwariatu na Kuznieckim, przy Pierwszym Drukarzu* też jest bazar, a jeszcze lepiej na Ptasim Targu, przed wejściem. I opisz dokładnie sprzedawcę. Powiedz na przykład, że miał długie włosy w tłustych strąkach, nos długi, aż do warg, oczy czarne, mówił z ukraińskim akcentem. I miał kamizelkę z błyszczącą nicią... – Ilja badawczo poparzył na przyjaciela. – Albo taki malutki, kędzierzawy, baczki też kędzie-

* Pomnik pierwszego rosyjskiego drukarza Iwana Fiodorowa na Teatralnym Przejeździe w Moskwie (przyp. red.).

rzawe, nos trochę obwisły, oczy jasne, rączki nieduże, jakby kobiece... Nie wymawiał „r”. Albo, powiedzmy, nerwowy typ, chudy, dość wysoki, cały jakby żółtawy, łysiejący, rzadka bródka i jakby miał niewielki tik...

Micha podjął zabawę:

– Nie, wielki chłop, z brodą, ubrany po wiejsku, broda jak łopata, wąsy. Niechlujny dziadyga. Książki trzymał w worku, a na nogach miał walonki z kaloszami! I morda zakapiora!

Zaczęli się pokładać ze śmiechu..

– Nie, lepiej kobieta: wysoka, zażywna starsza pani o nobliwym wyglądzie. Na głowie kapelusik, z parasolką, książkę wyjęła z torebki, i miała rękawiczki, wie pan, dziwne, jakby włożone nie na tę rękę... Zapamiętałem ją przez te rękawiczki... – Micha wciągnął się w zabawę.

– No dobra, Micha, co ci mam powiedzieć? Na wszystko mów „nie”, to jest najbezpieczniejsze. Wiem po sobie.

– Ty tam byłeś? – z szacunkiem spytał Micha.

– Byłem. Ale się wykręciłem. Najlepiej nic nie mówić. Pamiętaj, wszystko, co im powiesz, może się obrócić przeciwko tobie. Cokolwiek byś powiedział... Bo my wszyscy jesteśmy w tych sprawach dyletantami, a oni są zawodowcami. Mają wypracowane chwytły, wiedzą, na kogo jaką wędkę zarzucić. Najlepiej zupełnie nic nie mówić. Ale słyszałem od ludzi, że to jest najtrudniejsze. Oni umieją nawet głuchoniemego zmusić do mówienia.

Na wzmiankę o głuchoniemych Michę jakby war oblał. Był styczeń. Trzy lata z rzędu spędzał tę najlepszą w zimie porę z dziećmi z internatu. Ze swoimi głuchoniemymi. Wychodzili na nartach z bramy internatu, szli ze sto metrów do lasu, wczorajszy ślad był zasy-

pany, zazwyczaj on szedł pierwszy, potem chłopcy, a na końcu Gleb Iwanowicz. Jak długo nie odwiedzał dzieci? Rok? Dwa lata? Nagle zapragnął je odwiedzić. Natychmiast! Odruchowo ułożył rękami słowo oznaczające „natychmiast”.

Ili nic nie powiedział. Do poniedziałku pozostały jeszcze dwa dni, postanowił, że w niedzielę rano wstanie wcześniej, pojedzie do internatu i spędzi dzień z dziećmi. W końcu rodziców przecież wpuszczają. A on przepracował z nimi trzy lata... Kto się odważy go nie wpuścić?

Zatrzymali go na Dworcu Jarosławskim, kiedy wsiadał do pociągu. Już stawiał nogę na stopniu wagonu, gdy dwóch facetów ściągnęło go tak zręcznie, iż początkowo wydawało się, że sam się potknął i spadł ze schodków.

– Spokojnie, spokojnie – warknął jeden, w króliczej uszance.

– Spokojnie, tak będzie lepiej – potwierdził drugi, w czapce z nutrii.

Micha, jak na złość, miał katar, chciał sięgnąć do kieszeni po chustkę, szarpnął się. I poczuł ostry ból w nadgarstku.

Dopiero wtedy zrozumiał, co się stało: nie pozwolili, by sam do nich przyszedł, zatrzymali go w pośpiechu... To znaczy, że był śledzony. Bali się, że ucieknie...

Pociągnął nosem:

– Dajcie mi chociaż wytrzeć smarki – roześmiał się.

– I tak ładny będziesz – znów warknęła królicza czapka.

– Po cóż wam tacy zasmarkani?

I raptem zrobiło mu się spokojnie na duszy, nawet poczuł lekki chłodek: zatrzymany.

Te pierwsze dni były najtrudniejsze. Skupił się na tym, żeby dokładnie wykonać zalecenia Iljuszy. Na trzeci dzień postawiono mu zarzuty i wtedy zrozumiał, że pułapka się zatrzasnęła i go nie wypuszczą. Kiedy to do niego dotarło, wpadł w rozpacz: teraz myślał tylko o Alonie i ogarnęło go znane mu od dzieciństwa poczucie ogromnej winy. Niczego o niej nie wiedział, nie miał żadnego kontaktu z poprzednim życiem, a pierwszą bliską twarzą, którą ujrzał, była wymizerowana, blada twarz Edika Tołmaczowa.

Nie umawiali się co do strategii postępowania, ale szczęśliwym trafem okazała się ona spójna. Edik zaprzeczał udziałowi Michy w edycji pisma. Micha w ogóle odmawiał odpowiedzi na pytania. Jedyną poszlaką przeciw Misze była wyjęta z tomiku *Doktora Żywago* kartka, a raczej dopisek Musy ze zwrotem „Rudy!”.

To okazało się zupełnie wystarczające. W sprawie wydawania nielegalnego czasopisma „Gamajun” oprócz Edika Tołmaczowa zostały pociągnięte do odpowiedzialności jeszcze dwie osoby, których Micha rzeczywiście nie znał. Edik, mimo wielu błędów, znał jednak „abecadło” konspiracji – nie wszyscy twórcy pisma znali się nawzajem.

Śledztwo i przygotowania do procesu zajęły nieco ponad trzy miesiące. Przez cały ten czas Micha siedział w więzieniu lefortowskim, w areszcie śledczym KGB, w najszczelniej zamkniętym i utajnionym miejscu w pojedynczej wybielonej celi z oknem zasłoniętym przed światłem i światem. Codziennie przy akompaniamencie metalicznych kroków nadzorców wyprowadzano go na długie splecione korytarze, prowadzono po

wąskich schodach, gdzie dwie osoby nie mogły się wyminąć, dwukrotnie, gdy prowadzono kogoś z przeciwnej strony, wpychano go do jakichś bocznych komórek, potem znów – w górę, w dół – po plątaniu długich jak zły sen korytarzy i wpuszczano do gabinetu oficera śledczego. Teraz przesłuchujące go osoby się nie zmieniały: był jeden, ociężały i ponury, który rozpoczynał wielogodzinne spotkanie słowami:

– To jak, znów będziemy się bawić w milczenie?

Nie miał za grosz fantazji i za każdym razem powtarzał ochryłym głosem:

– Przeciwno tobie przecież niczego nie mamy, mógłbyś wyjść choćby jutro. Sam sobie nabijasz wyrok. Przecież my cię tu zgnoimy.

Micha znudzonym głosem monotonicznie powtarzał:

– Ja nawet do moich niepełnoletnich uczniów zwracam się per „pan”. Proszę się zwracać do mnie per „pan”.

Oficer śledczy nazywał się Mełojedow. Mający wrażliwe ucho Micha od razu docenił to współbrzmienie – Mełojedow i Mełamid. Oprócz trzech pierwszych liter nazwiska, w niczym nie byli do siebie podobni. Mełojedow, trzeba mu oddać sprawiedliwość, nie był krwiożerczy, a w swoim środowisku słynął jako prawie liberał (wśród tych, którzy znali takie słowa). Zresztą i ten rudy facet początkowo wydał się śledczemu jakąś przypadkową postacią, z innej sztuki. W jego aktach był już dość stary donos Gleba Iwanowicza i dziwna notatka świadcząca o jego związkach z ruchem tatarskim. Artykułu 70 – propaganda i agitacja – wyraźnie tu nie było, a 190 – rozpowszechnianie kłamliwych oszczerstw szkalujących władzę sowiecką – trzeba by mu jeszcze umieć udowodnić. Jeden donos jakiegoś

psychola to jeszcze za mało, tym bardziej że ci chłopcy mieli całkiem niezłą obronę.

Micha nie mógł wiedzieć, że decyzja o jego odizolowaniu już została podjęta, a teraz władze zastanawiały się bez pośpiechu, z jakiego paragrafu go oskarżyć.

Wreszcie decyzja odgórna dojrzała, przesłuchania stały się bardziej ukierunkowane i Micha zorientował się, że jego sprawa nie ma związku z czasopiśmem, ale że została wydzielona i związana z ruchem krymsko-tatarskim. Edik do tego czasu już dostał wyrok.

Micha nie zeznawał, niczego nie podpisywał, odpowiadał na zwykłe, nic nieznaczące pytania, tylko nie „do protokołu”. Był nawet na pozór skłonny do współpracy, ale zdecydowanie zaprzeczał, jakoby uczestniczył w ruchu, i upierał się, że kartka z tatarskimi danymi jest mu nieznana.

Mełojedowa, który był pewny, że skłoni Mełamida do mówienia już w drugiej godzinie, coraz bardziej irytowała jego nieustępliwość, stosował coraz poważniejsze groźby. Złościł go upór Michy, ale nie mógł wymusić żadnych zeznań. A przecież początkowo miał wrażenie, że wystarczy przesłuchanego tylko trochę nastraszyć – i kopa w tyłek...

Słowem, pod koniec miesiąca Mełojedow dał mu spokój. Przestał go wzywać, a zainteresowanie ekipy śledczej przeniosło się na Tatarów. Jeden z nich zeznał, że Micha pomagał w redagowaniu petycji.

Ale Micha o tym nie wiedział. Siedział teraz w celi z dwoma facetami. Jeden był wyraźnie nienormalny, mamrotał pod nosem jakieś modlitwy czy przekleństwa, drugi – były wojskowy, zaopatrzeniowiec, który dopuścił się malwersacji. Towarzystwo nieskładające do zwierzeń.

Potem przeniesiono go do innej celi, do Tatara oskarżonego o udział w ruchu krymskotatarskim. Oznajmił, że jest przyjacielem znajomych Michy, Rawila i Musy, i dopiero po trzech dniach, gdy go zabrano, Micha się zorientował, że tamten był kapusiem. Teraz jeszcze bardziej utwierdził się w postanowieniu, że nie powie śledczemu ani słowa więcej. Po jakimś czasie Mełojedow znów zaczął go wzywać i teraz już Micha rzeczywiście milczał jak głuchoniemy.

W połowie lutego przedstawiono mu zarzuty i dopuszczono do niego adwokata. Adwokat był „swój”, nie z urzędu, postarał się o niego Siergiej Borysowicz. Nazywała się Dina Arkadiewna – pierwsza inteligentka i ładna twarz od dłuższego czasu. Wyjęła z kieszeni żakietu tabliczkę czekolady i powiedziała:

– Pozdrowienia od Alony. I mam jeszcze jedną wielką nowinę: Alona jest w ciąży. Czuje się dobrze. A teraz pomyślmy, co możemy zrobić, żeby na narodziny dzieciątka być w domu... A czekoladę proszę zjeść teraz, nie mam prawa niczego panu przekazywać.

Należała do „wspaniałej piątki” adwokatów, którzy podejmowali się obrony w sprawach politycznych. Był to trzeci proces tego rodzaju i dopuściła się na nim postępkę, za który wykluczono ją z moskiewskiej palestry. Zuchwalstwo pani mecenas polegało na tym, że na rozprawie, po mowie prokuratora, który zażądał zastosowania artykułu 190 paragraf I – rozpowszechnianie fałszywych informacji szkalujących władzę sowiecką – w swojej mowie obrończej nie prosiła o łagodny wymiar kary, ale twierdziła kategorycznie, że brak znamion przestępstwa. Innymi słowy, że podsądny jest niewinny.

Alona, która zmizerniała na twarzy i przybrała na brzuchu, siedziała w ostatnim rzędzie malutkiej zatłoczonej sali, z prawej strony miała matkę Walentynę, z lewej Igora Czetwierikowa, kolegę z klasy Michy, ale nienależącego do najbliższych. Ilji i Sani, podobnie jak wielu innych, nie wpuszczono na salę sądową, stali pod drzwiami.

Marlen, który też przyszedł na dziedziniec sądu, z wykrzywioną ze złości twarzą szeptem wrzeszczał Ilji do ucha:

– To po prostu wariat! To jest ponad moje zrozumienie! No, po co mu ci Tatarzy! Krym! Lepiej żeby go wsadzili za zabiegi o własny powrót do Izraela!

Odczytano Misze wyrok trzech lat pozbawienia wolności w łagrach o zwykłym rygorze, po czym oskarżony wygłosił ostatnie słowo. Mówił lepiej niż sędzia, prokurator i adwokat razem wzięci. Mówił czystym, dość wysokim głosem, spokojnie i stanowczo, o sprawiedliwości dziejowej, o tych, którym wstyd będzie za to, co uczynili, o wnukach ludzi dziś żyjących, którym trudno będzie pojąć okrucieństwo i bezsens tego, co się dzieje. Jakiegoż wspaniałego nauczyciela literatury zostali pozbawieni ówcześni uczniowie!

Po rozprawie rodzice zabrali Alonę do siebie. Spędziła u nich dwa dni, pokłóciła się z ojcem i wróciła na bulwar Czystoprudny.

Sania, który pojawił się u Alony natychmiast, gdy się dowiedział o aresztowaniu Michy, przychodził do niej teraz codziennie. Lata ochłodzenia kontaktów z Michą jakby zostały wytarte gumką. Okazało się, że przyjaźń jest żywa i świeża i nie wymaga żadnego specjalnego doładowania w postaci częstych rozmów

telefonicznych, wzajemnych sprawozdań i wspólnego picia piwa.

Tydzień po aresztowaniu Michy Ilja z Sanią siedzieli wieczorem w Ogrodzie Milutinowskim na ławeczce z dwiema wyłamany deseczkami. Sania spoglądała na czubki butów: powiedzieć czy nie powiedzieć? Głupie było i jedno, i drugie, ale przemilczenie byłoby już całkiem niesłuszne. Powiedział, nie patrząc mu w twarz:

– Iljuszka, przecież to ty Michę wsadziłeś.

Ilja podskoczył:

– Zwariowałeś czy co? Co masz na myśli?

– Skusiłeś go. No, pamiętasz, o małuczkich?

– Nie – twardo odzegał się Ilja. – Wszyscy jesteśmy dorośli. Co, może nie mam racji?

Ale na duszy było mu niespokojnie: rzeczywiście to on poznał Michę z Edikiem i w sposób pośredni odpowiada za to, co się stało. Ale tylko w sposób pośredni!

Mściwy Mełojedow zrobił wszystko, co od niego zależało, żeby nie pozwolić Misze na spotkanie z żoną przed wysłaniem go do łagru. Jednak upór teścia, doświadczonego więźnia, który załatwił sprawę z wicedyrektorem więzienia, zniweczył knowania śledczego.

W przeddzień odjazdu Micha dostał widzenie z żoną. Zbrzydła, jak to się zdarza kobietom w ciąży, zwłaszcza, jeżeli wierzyć ludowym przesądom, kiedy noszą dziewczynkę. Misze jej piękność wydała się anielska, ale nie potrafił jej powiedzieć niczego, co w nim kipiało. Nie potrafił z powodu swego wrodzonego poczucia głębokiej winy wobec wszystkich, które wzmogły jeszcze okoliczności. I wszystko, co zdążył

jej powiedziec – to były jakieś banały w duchu Dostojewskiego: „Wobec wszystkich ludzi za wszystko i za wszystkich jestem winien...”.

Z tym poczuciem jechał do łagru: jest winien, wszystkiemu winien... Wobec Alony, że zostawił ją samą, wobec przyjaciół, że nie potrafił uczynić nic, co mogłoby zmienić stan rzeczy na lepsze. Wobec całego świata.

Niepojęta, dziwna prawidłowość: do poczucia winy skłonni są zawsze najbardziej niewinni.

NA PIERWSZEJ LINII

Zupełnie oczywiste, że wobec wielkich projektów muzycznych, którymi zajmował się Sania, wydarzenia polityczne w kraju, wielkie i małe, całkowicie go omijały. Nie obchodziły go, podobnie jak rewolucje w Ameryce Łacińskiej, nieurodzaj w Afryce czy tsunami w Japonii. Nawet Anna Aleksandrowna, skłonna zachwycać się wnukiem, czasem zauważała z odcieniem zdumienia:

– Sanieczka, my tutaj żyjemy, w końcu to jest nasz kraj. Zachowujesz się jak cudzoziemiec.

Alona, która przybiegła do nich rozczochrana o wczesnym styczniowym poranku sześćdziesiątego dziewiątego roku i oznajmiła o aresztowaniu Michy, stała się pierwszym osobistym zetknięciem Sani z polityką. Był wstrząśnięty i przygnębiony. Micha pokazywał mu swoje pisemko. Ciekawe. Ale nie można było sobie nawet wyobrazić, że własnej roboty pismo na bibułce, składające się w połowie z wiadomości pochodzących zazwyczaj z zachodnich radiostacji, a w połowie z wierszy – dobrych i kiepskich – ale jedynie wierszy, może zaprowadzić człowieka do więzienia. Przecież to nie „Kołokoł”. Amatorska robota. Ale Sania nie wiedział o wszystkim, czym się zajmował Micha. O tatarskim wątku życia Michy nie miał pojęcia.

Ilja był doskonale poinformowany o przebiegu śledztwa i procesu, wzywano go do KGB w sprawie Edika Tołmaczowa. O Michę nie zadano ani jednego pytania i to Ilję raczej zdziwiło. Jeszcze bardziej go zdziwiło, że Michę aresztowano trzy miesiące po aresztowaniu Edika.

Wkrótce po aresztowaniu Michy Alona zachorowała na anginę, od razu wybrała sobie Sanię jako „przyjaciółkę od serca”, więc jakby automatycznie spadła na niego troska o nią. Ilję Alona od dawna niezbyt lubiła, nie chciała z nim się widywać.

Z ojcem prawie zerwała stosunki: podejrzewała go o coś złego, kiedyś nawet jej się wyrwało, że ojciec jest winien wszystkich ich nieszczęść. Matkę rzadko do siebie dopuszczała, jakby za coś ją karała. W pierwszym okresie Alona często płakała, nie chciała się widzieć z nikim oprócz Sani.

Sania pierwszy dowiedział się o jej ciąży, towarzyszył jej do ginekologa, który miał dokonać ulubionego zabiegu sowieckich kobiet, wyperswadował jej aborcję i zawrócił w pół drogi do lekarza, który był gotów wyświadczyć tę usługę. Alona często obrażała się na Sanię, wypędzała go, urządzała sceny, a on to wszystko znosił. Alona przez całą zimę prawie nie wychodziła z domu – to chorowała, to po prostu źle się czuła.

– Nedorzeczna, głupia baba! – ubliżał Alonie, ale nie potrafił przewyciężyć jej kapryśnego uroku. Do pewnej granicy.

Ilja regularnie przynosił Sani pieniądze – do przekazania Alonie. Alona nie odmawiała przyjęcia pieniędzy, ale nie były jej one szczególnie potrzebne: paczki przygotowywała Anna Aleksandrowna, a przekazywał je Ilja. Przez całą ciążę Alona albo leżała, albo rysowała

swoje wymyślne ornamenty. W ostatnich miesiącach nauczyła się rysować na leżąco.

Gdy nadeszła pora, Sania zawiózł Alonę na porodówkę, potem zabrał ją z córką. Z bukietem goździków udawał przed pielęgniarkami męża i ojca. I ta rola do niego przyłgnęła: towarzyszył Alonie z córką do przychodni, kąpał, karmił... Nawet podobała mu się ta intymna krzątania wokół dziecka, ale równocześnie niepokoił się o swoją cnotę. Przez cały czas, gdy Micha siedział, Alona półświadomie Sanię uwodziła. On albo wystawiał gardę jak bokser, albo przepuszczał przez siebie kobiece sygnały jak parę czy powietrze, albo sam pośpiesznie umykał jak woda z umywalki. Alona od czasu do czasu urządzała histerie, czasem się na niego boczyła, kilka razy nawet wyrzucała go z domu, a gdy zatęskniła, telefonowała, albo on sam przychodził bez zapowiedzi z zabawką dla dziewczynki albo z eklerkami, które Alona lubiła. Tak w ogóle prawie nie jadła przez całe trzy lata nieobecności Michy. Była to jakaś fizjologiczna głodówka: mogła wypić herbatę z chlebem albo z herbatnikiem, ale nie mogła przełknąć ani mięsa, ani sera, ani zupy. Dziwne, że w miarę chudnięcia, wycieńczenia stawała się coraz piękniejsza i bardziej uduchowiona. Sania to wyczuwał i trochę się lękał tego chorobliwego powabu. To właśnie Sania zawiózł ją na widzenie z Michą, tuż przed wysłaniem do łagru. Sania był jedynym, który pisał do Michy długie listy. Alona pisała listy krótkie, bardzo miłe, czasem nawet z rysunekczkami. Raz w miesiącu Micha odpowiadał Alonie wspólnym listem, jednym do wszystkich, ale zwracając się z osobna do każdego z przyjaciół. Na czytanie schodzili się u Alony wszyscy, z którymi korespondował. Alona zazwyczaj siedziała w fotelu z ma-

leństwem na rękach, senna, a Sania naślawiał herbatę, wykładał herbatniki. Wyglądało to, jakby zastępował Michę, było to dwuznaczne i wywołało pogłoski o romansie Alony z przyjacielem męża. Romansu nie było. Ale napięcie wisiało w powietrzu.

Sania może bardziej czekał na powrót Michy niż Alona. Wyczuwał jej psychiczną chwiejność i obawiał się, że jej siły wyczerpią się przed jego powrotem. Albo skończy się jego własna wytrenowana odporność. Ze wszystkich kobiet, które znał, Alona miała dlań najwięcej powabu: prawie bezcielesna, z powolnymi, długimi skrętami szyi i głowy, z kontrapunktem stawianym przez wysoko uniesiony podbródek. Albo – powolny ruch palców: dotykają skroni, zagłębiając się czubkami w gęstwinę włosów i ściągają ku górze kąci oczu, a głowa jakby zawisa na palcach, nieruchomieje w powietrzu.

Rodzina Michy zabierała Sani wiele czasu i wypierała zajęcia muzyczne. Cierpiał, nie potrafił się skupić na własnych myślach i, zajęty różnymi sprawami gospodarskimi, musiał szukać czasu i miejsca, żeby się odseparować z ulubioną muzyką, uciekając od narzucanych mu rodzinnych obowiązków.

Prowadził zajęcia w konserwatorium. Obciążenie nie było zbyt duże – nigdy nie przekraczało dwunastu godzin tygodniowo.

Dzięki Alonie przestał być cudzoziemcem w ojczyźnie. W każdym razie teraz znał i adres punktu zaopatrzenia karmiących matek, i adresy wszystkich okolicznych aptek oraz przychodni. Swój poranek zaczynał od biegu do punktu mlecznego, wieczór kończył rutynowymi odwiedzinami u Alony. Wiedział, że trzeba ją zmusić do przełknięcia przynajmniej łyżki jakiegokol-

wiek jedzenia: bez Sani w ogóle nie siadała do stołu. Większość dnia spędzała wraz z córeczką w łóżku. Kiedy Majeczka trochę podrosła, Alona zaczęła wychodzić na podwórze – na spacer z dzieckiem. Lękała się ulic, tłumów ludzi, głośnych hałasów, wychodziła na podwórze tylko w towarzystwie Sani.

Późnym wieczorem Sania brał partyturę ze stołu leżącego na podłodze przy tapczanie. Kładł się, kartkował. Cudowne, piękne. *Koncert nr 23 na fortepian z orkiestrą* Mozarta. Kiedyś Jewgienia Daniłowna opowiedziała mu związaną z tym koncertem historię: Stalin usłyszał go w radiu w wykonaniu Judinej i zażądał płyty. Taka płyta nie istniała. Tej samej nocy wyciągnięto z łóżka Judinę, dyrygenta i kilkunastu muzyków orkiestry, zawieziono do studia nagrań, nagrano, i na rano jedyny egzemplarz płyty był gotowy. Stalin hojnie wynagrodził pianistkę. Podobno przysłał jej kopertę z dwudziestoma tysiącami rubli. W odpowiedzi przesłała wodzowi list: pieniądze oddała na cerkiew, a za niego będzie się modlić, żeby Pan odpuścił mu zbrodnie. Stalin jej wybaczył. Powiedział: nawiedzona...

Sania czytał Mozarta i szczęście spływało nań falą, zakrywało go z głową. Nie tylko Stalina urzekł ten utwór... Uśmiechnął się. Zamknął tom. Zgasił światło. Sam Mozart z nim rozmawia. O czym więcej można zamarzyć? O jakim innym rozmówcy, przyjacielu, po-wierniku! Alona w końcu da się znieść.

Niestety, stosunki Sani z babcią się psuły. Ona nie zadawała bezpośrednich pytań, a Sania nie uważał, że należy się tłumaczyć. Anna Aleksandrowna była całkowicie pewna, że Alona wciągnęła jej chłopca w gor-szący romans, i czuła się rozczarowana ubóstwianym

wnukiem. Ale równocześnie wiedziała, jaki ciężar trosk wziął na siebie jej rozpieszczony Sanieczka, i podziwiała jego bohaterstwo. Cierpiała, widząc, że Sania coraz bardziej pogrąża się w trosce o rodzinę Michy, i odczuwała gorzką zazdrość wobec nieszczęsnej, tak mało jej sympatycznej Alony. I już zupełnie niedorzecznie była zazdrosna w imieniu Michy, uważając go za oszukiwanego męża.

Anna Aleksandrowna, dzieląc z Sanią przypisywane mu grzechy, czuła się niezręcznie wobec Michy i przez trzy lata nie napisała do niego ani jednego listu, posyłała mu jedynie przez Ilję paczki żywnościowe i pozdrowienia. Wiedziała natomiast, co mianowicie trzeba posyłać do łagrów, i nawet piekła specjalne ciasteczka, do których upychała masło i kostki bulionowe, a potem starannie układała w papierowych opakowaniach po kupnych herbatnikach Priwiet. Żadnych domowych wypieków nie przepuszczano, a ten podrabiany Priwiet zawierał olbrzymie ilości kalorii. Od czasu do czasu przekazywała pieniądze dla Alony.

Doskonale pamiętała, jak swego czasu delikatnie odradzała Misze to małżeństwo. I jeszcze jedno: jedyna spośród wszystkich obawiała się powrotu Michy – awantury, zdemaskowania, zgorszenia. Nie, gorzej – obawiała się katastrofy. Co wiedziała, co przeczuwała?

Micha zabronił sobie liczyć dni do zwolnienia. Ale nie potrafił nie liczyć. Im mniej pozostawało, tym bardziej się obawiał, że go nie wypuszczą. Przyjaciele też liczyli dni.

Była to oczywista głupota, jak mogło im przyjść do głowy, że Michę mogą wypuścić dokładnie po trzech latach, i to jeszcze dokładnie o dwunastej w nocy, z nastaniem dnia uwolnienia. Już wiedzieli, że przysłano

go etapem do Moskwy i że znajduje się w więzieniu Lefortowo. Kojarzyli to, nie bez racji, z aresztowaniem Siergieja Borysowicza, o którym wiadano, że też jest w Lefortowie.

Przyjechali do więzienia Lefortowo w nocy, po jedenastej, we trójkę: Ilja, Sania i Wiktor Juliewicz. Ilja miał w plecaku starą kurtkę i nowe dżinsy. Buty też kupił, co prawda o numer większe, niż nosił Micha. Ale za to ładne.

Były trzy wyjścia, przez które mogli wypuścić Michę: główne, przez budynek śledczy i służbowe. Przyjaciele obserwowali wszystkie te drzwi przez całą noc i rano, do dwunastej. Potem poszli zasięgnąć informacji, na co mundurowa baba w okienku powiedziała, że Mełamid już wyszedł.

Rzucili się do telefonu, żeby zadzwonić do Michy do domu. Odebrała Alona, powiedziała bardzo cichym i dalekim głosem:

– Jest w domu. Przyjeżdżajcie.

Okazało się, że wypuścili go o ósmej rano przez budynek śledczy i przyjaciele go przegapili. Wzięli taksówkę i po dwudziestu minutach wpadli do Michy. Winda nie działała. Sania z Ilją wlecieli na piąte piętro, a osłabiony Wiktor Juliewicz sapał, pozostając w tyle o dwa piętra. Zaczekali na nauczyciela, zadzwonili, drzwi otworzył im sam Micha. A raczej jego wychudzony, wybladły cień. O czym Ilja nie omieszkał natychmiast oznajmić, dla uniknięcia ewentualnego wylewu uczuć:

– Hej, jesteś po prostu cieniem!

A Micha się roześmiał, od razu stając się samym sobą:

– Nie jestem cieniem! Jestem szczątkiem cienia!

I tu Wiktor Juliewicz uniósł rękę w geście znanym wszystkim z dzieciństwa i rzekł:

O tej samej godzinie i w tej samej postaci
Jak mi mówiono, przychodzi cień...

I wszystko od razu znalazło się na swoim miejscu. Poklepywali się nawzajem po ramionach, wytarmosili Michę i kupą zwalili się do pokoju, który wbrew dawnym ideałom surowości i ascezy obrósł gratami – stołem, łóżeczkiem dzieciennym, a nawet zasłonką oddzielającą sypialny kąt dziecka. Krótko mówiąc, pokój energicznie zmierzał w kierunku dawnego wyglądu z czasów cioci Gieni.

Majeczka, którą dopiero co położono na poobiednią drzemkę, obudziła się i zaczęła płakać. Alona wśliznęła się za zasłonkę, żeby uciszyć córeczkę, potem wyniosła ją do gości, a ta wyciągnęła rączki do Sani, jedyne go bliskiego wśród obecnych. Sania wziął ją na ręce, lekko potrząsnął, ona objęła go za szyję.

– Co przyniosłeś? – zapytała głosem ochrypłym ze snu.

On coś wymamrotał jej do ucha, więc się uśmiechnęła:

– A gdzie?

Sania wyjął z kieszeni kolorową szklaną kulkę i lekko przetoczył ją na dłoni. Dziewczynka jak małpka capnęła kulkę.

Micha patrzył z zazdrością na obejmującą się parę. Córka nie zaakceptowała onieśmiałego tatusia. Widział ją pierwszy raz w życiu i nie mógł pojąć, że ta małutka istota, żywy człowiek z kędziorkami, oczkami, ruchliwymi paluszkami pochodzi od niego, z jego wiel-

kiej miłości z Aloną, i nie bardzo wiedział, jak powiązać z sobą te dwie najważniejsze w życiu rzeczy.

Był już po kąpieli. Zmył ze skóry trzyletnie paskudstwo. Gdyby tak można jeszcze umyć się od wewnątrz, wypłukać z nosa, tchawicy i płuc więzienne powietrze, wymyć usta, przewód pokarmowy, żołądek i wszystkie kiszki z podłej strawy i wody...

Siedem lat! Trzeba na to siedmiu lat – w tym okresie odnawiają się wszystkie komórki ludzkiego organizmu. Kto to powiedział? A w ciągu ilu lat oczyszcza się dusza z więziennego brudu? O, gdybyż można w ciekłym azocie, chlorku, w ługu wyprać mózg, żeby uwolnić pamięć od tego, co się przeżyło przez te trzy lata! Niechby się wypłukało wszystko, niechby zapomniał wszystko, co lubił i znał, co uwielbiał, ale żeby odeszły z jego pamięci te trzy lata.

Przyjaciele posiedzieli niedługo, niecałą godzinę, i poszli. Zostali we trójkę, cała rodzina. Trzeba było pomówić o wielu rzeczach. Dziewczynka przytulała się do matki, odpychała od siebie ojca. Micha się chmurzył, marszczył nos: bała się go, odwracała się.

„Jakaż to wysoka cena. Dziecko mnie nie zaakceptowało, nigdy mnie nie zaakceptuje” – Micha nie wyczuwał półtonów i teraz cierpiał, odrzucony.

– Chodźmy razem na spacer. Majeczko, chcesz na huśtawkę?

– Chcę. Z tobą – i wzięła matkę za rękę.

– Tatę też weźmiemy. – I wyszli w trójkę na dwór.

Majeczka usiadła na huśtawce, Alona leciutko ją popchnęła.

– Wyrwali mnie na etap pięć tygodni przed zwolnieniem, więc wiedziałem, że będą chcieli mi przyszyć coś nowego. Okazało się, że w sprawie Czernopiatowa

i Kuszczonki – ciągnął Micha swą wciąż przerywaną relację. – Ciągłą odsuwali konfrontację długo, ale dawali mi do przeczytania ich zeznania. Zeznania były potworne, nie wierzyłem w ani jedno słowo, sądziłem, że po prostu podsunięto mi fałszywkę, skleconą z danych agenturalnych. Wymieniono ponad trzydzieści nazwisk, wśród nich także Edika Tołmaczowa. Ale mowa tam była głównie nie o „Gamajunie”, ale o „Kronice”, o wszystkich inicjatywach obrońców praw człowieka. Czego tam nie było w tych protokołach: szczere przyznanie się do winy, skrucha...

– Wszystko to wiem – sucho potwierdziła Alona.

– Do końca nie wierzyłem. Właściwie nawet teraz nie mogę uwierzyć. Ale odbyła się konfrontacja. Wszystko się potwierdziło. Nie wiem, co z nimi wyprawiali. Może wymusili zeznania biciem. Ja wszystkiemu zaprzeczałem. Poza tym, że Siergiej Borysowicz jest twoim ojcem, moim teściem. Byłem pewien, że i mnie dopiszą do tej sprawy. Do ostatniego dnia nie mogłem uwierzyć, że mnie wypuszczą. Zresztą i teraz niczemu nie wierzę.

Alona nie podnosiła nań wzroku, wyraz twarzy miała taki, jakby w ogóle go tu nie było. Micha położył dłoń na jej ręce:

– To mi się po prostu nie mieści w głowie: Siergiej Borysowicz nie mógł tego wszystkiego powiedzieć, w żaden sposób nie mógł. Ale przecież słyszałem na własne uszy. Ale nie myśl, Alono, że przestałem go lubić. Jest mi go szalenie żal.

– Nie wiem, Micha, mnie chyba go nie żal. Od dziecka wiedziałam, że mam bohaterskiego ojca. – Alona nie podnosiła wzroku, wciąż patrzyła pod huśtawkę, w ruchliwy cień siedzenia, na którym huśtała się córka, tam i z powrotem.

– Źle mnie huśtasz, mamó – powiedziała surowo mała.

Micha złapał poprzeczkę huśtawki.

– A ty nie ruszaj – jeszcze surowiej dodała dziewczynka.

Pod wieczór wpadli i długo siedzieli Żenia Tołmaczowa i koleżanka Alony z uczelni. Wyprosilili gości o wpół do dziesiątej, mówiąc, że muszą kąpać dziecko.

W łazience postawili na taborecie dziecięcą wanienkę, nalali ciepłej wody, posadzili Majeczkę. Mała starannie myła sobie pępek i gumowego pieska, potem po prostu się pluskała. Micha patrzył od drzwi, omdlewając z ogromnej nowej miłości do mokrego dzieciątka z przyklepionymi do czoła pociemniałymi kędziorkami.

– Weź ręcznik – poprosiła Alona i Micha podsunął duży ręcznik pod delikatne plecki. Pierwszy raz trzymał na rękach swoje dziecko – była bardzo lekka, ale ciężka. Malutka, ale ogromna, większa od Michy, większa od całego świata. I była całym światem.

Mój mały świat, mój świat ogromny,
O wielkich oczach, jasny, mokry świat.
Zielone oko mruży sennie.
Ta-ra-ta-ra ta-ra-ta-rat...

Dziewczynka usnęła. Micha objął żonę. Zastłoniła mu wargi ręką i szepnęła:

– Nie powiedziałaś mi niczego nowego. Wszystko już wiem. Mówiłam z jego adwokatką. Nie znasz jej, mecenas Natalia Kiryłowa. Jest wspaniała. Prosiłam, żeby mu przekazała, że nigdy więcej nie chcę go widzieć.

Słowa „ojciec” nie wymówiła. „On”. Micha odsunął jej rękę:

– Alona, zwariowałaś. Tak nie wolno. Strasznie mi go żal...

Wszystko było takie samo – podwórze, sąsiedzi, wyłamana deska podłogowa w korytarzu, topole na podwórzu, stare kamienne obramowanie byłego kwietnika, była ślizgawka... sprzedawczynie w piekarniczym i w rybnym, administrator. Ale było tak, jakby minęły nie trzy lata, lecz trzydzieści. Misze wciąż się wydawało, że przy nieostrożnym ruchu wszystko może się z hukiem rozlecieć – i dom, i podwórze, i córka, i żona, i całe to miasto, i kwiecień, taki ciepły i życzliwy w tym roku.

Anna Aleksandrowna była pierwszą osobą, do której Micha poszedł po zwolnieniu, wieczorem, drugiego dnia wolności. To właśnie jej powiedział tego samego dnia, że ojciec Alony zeznaje i on się boi, że ten go znowu wsadzi.

Anna Aleksandrowna przygotowała się na przyjście Michy – cały poprzedni dzień spędziła w kuchni.

– Wiesz, Micha, wszystkie nowości na świecie są stare. Mojego męża wsadził jego rodzony brat. Obaj zginęli. Decyduje los, a nie to, jak się zachowujemy – źle czy dobrze. Proszę cię, jedz.

Przez trzy lata zmienił się nie do poznania: ściągnięta, pociemniała twarz, przerzedzone włosy, oczy tak wyblakłe, że niemal żółte. I myślał o wszystkim też jakoś inaczej.

Anna Aleksandrowna nie zmieniła się wcale: gęsta i lekka siatka zmarszczek, jakby grawer przeciągnął po twarzy cienkim rylcem, bardzo wczesnie pojawiła

się na jej twarzy i tak pozostała, wcale jej nie szpecąc. Teraz, kiedy miała już pod osiemdziesiątkę, właśnie wyglądała młodo. Patrząc na nią, zastanawiając się nad jej niezrozumiałymi słowami, Micha uświadomił sobie, że Anna Aleksandrowna jest niezwykle piękną kobietą. A nawet więcej niż piękną. Przez woalkę zmarszczek, przez przepaść lat zobaczył jej twarz śliczną, promienną.

– Anno Aleksandrowno, tak się stęskniłem za waszym domem... Gdyby pani wiedziała, jak ja panią Kocham...

Roześmiała się:

– A to się doczekałam. Micha, przyrządziłam ci „szczupaka po żydowsku”. Tak ten przepis nazywa się u Mołochowiec*. Jakoś to upitrasiałam, choć nigdy wcześniej tego nie robiłam. Spróbuj, udało mi się? – i postawiła przed nim półmisek z kawałkami bladej ryby.

– Udało się, udało, zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę, że takiego wyszukanego dania nigdy w życiu nie jadłem! – Micha właśnie ostatecznie pojął, że wrócił do domu. Promieniał, uśmiechał się, mówił i jadł jednocześnie, zapominając na chwilę o dokuczliwym bólu brzucha.

Anna Aleksandrowna, ze swej strony, poczuła ulgę: może wszystko się ułoży i Micha zajmie swoje miejsce męża i ojca we własnej rodzinie, a Sanieczka wróci tu, do domu, uwolni się od trosk o Alonę i wszystko potoczy się jak dawniej, i wszelkie komplikacje, prawdziwe i urojone, same się rozwieją.

* Elena Iwanowna Mołochowiec (1831–1918) – klasyk rosyjskiej literatury kulinarnej (przyp. red.).

Przez następne dwa tygodnie Micha często odwiedzał Stieklówów. Z Aloną chyba wszystko było w porządku, córka zaś była dla niego siódmym cudem świata. Natomiast cała reszta wokół była kiepska, o wiele gorsza niż przed więzieniem.

Tu jednak, w domu Anny Aleksandrowny, czuł się dobrze. Sania, jak dawniej, mało bywał w domu, ale jego nieobecność była pocieszająca: to znaczy, że Sania stopniowo wraca do swojego żywiołu. Znowu spędzał wieczory na koncertach, w akademiku konserwatorium, gdzie miał wielu przyjaciół, i ten ładunek grożący wybuchem w latach łagrów Michy został jakby rozbrojony. W pierwszych tygodniach po zwolnieniu Micha zdążył kilkakrotnie odwiedzić Annę Aleksandrownę. Dwa razy Sania był w domu i znowu pojawił się między nimi ten obłok bliskości z dzieciństwa, z młodości, kiedy wszystko u tego drugiego człowieka znowu jest zrozumiałe, a to, co niezrozumiałe, budzi zainteresowanie i sympatię.

Poza tym Micha z radością poczuł, że Anna Aleksandrowna jest, jak dawniej, osobą dorosłą, a on, jak dawniej, dzieckiem. I jak dziecko ze spaceru, zawsze przynosił Annie Aleksandrownie do domu jakiś drobiazg: sosnową gałązkę z szyszką, zabawny rysunek Majeczki.

Tym razem przyjechał do Anny Aleksandrowny z Tarasowki, gdzie odwiedził Artura Korolowa, starego przyjaciela – introligatora. Napili się z Korolowem wódki, ale Micha nie siedział długo. Wrócił do Moskwy, zanim się ściemniło, i postanowił wstąpić do Anny Aleksandrowny. Nic mu nie wpadło w rękę, więc kupił landrynkowe koguciki, lizaki, które sprzedawali na peronie Cyganie. Wręczył starej przyjaciółce garść patyczków

z ognistymi kogucikami jak bukiet. Wstawiła kogutki do szklanki, zamigotały odświeżenie, i Micha raptem stwierdził, że cały dom stał się jakiś zmurszały, stary...

Serce w domu. Serce rade. Z czegoż to?
Z cienia domu? Cienia sadu? To nie to.
Sad – gęstwina, a osiny – że aż strach!
Dom – ruina... Pełno gliny, w stawie piach...
Nędzna chata... Brat na brata! Ileż strat!
Proch, butwienie, w krąg zniszczenie... Ale trwa...
Czyje to ruiny, zgliszcza? Czyj to kąt?
Zimny barłóg zamarł, niszczał, został swąd...*

Kruchymi jak porcelana rękami starsza pani naląła cienką herbatę do przezroczystych filiżanek:

– Pamiętasz Annińskiego... To bardzo smutne...
Zobacz, jaką to mamy dziś kupiecką herbatkę z cukrem i landrynkami. Niedługo przyjdzie Sania. Obiecał po drodze wstąpić do spożywczego. Zaczekasz?

Lekko wstała i wyjęła z kredensu pękata cukiernicę ze szczypczykami – kruszony cukier ...

Anna Aleksandrowna i Micha siedzieli przy wodnistej herbacie. Ani zwykłych herbatników, ani pierników, ani bakalii. Anna Aleksandrowna nie wychodziła z domu już od dwóch tygodni z powodu niezwykłego zmęczenia, które ją raptem dopadło. Zwolnienia nie brała, umówiła się z drugą wykładowczynią, która pracowała na Akademii na pół etatu, że ta weźmie za nią lekcje. Minał jednak tydzień, a ona nie poczuła się lepiej

* Innokientij Anniński, *Stary dworek* tłum., Ewa Rojewska-Olejarczuk

i skarżyła się Misze na straszne rozleniwienie: nie chodzi do pracy i dom zaniedbała, nawet do herbaty nie ma co podać.

– Jutro pozbieram swoje stare kości i wyjdę. Ale Sanieczka też dobry: chleba do domu nie przyniósł, coś okropnego... A o Nadzieździe lepiej nie mówić. Ach, nie znam ostatnich nowości! Moja córka od dwóch lat ma romans, nie nocuje w domu, wyobraź sobie, co za skandal! – Roześmiała się, jakby chodziło o zbuntowaną piętnastolatkę, i dodała, jak zwykle, wprost:

– Wybiera się za męża. Głupota, głupota...

I skrzywiła się.

Widocznie bardzo źle się czuje – pomyślał Micha, przyzwyczajony, że Anna Aleksandrowna zawsze herbatę podawała świeżą, a starą, nawet zaparzoną kilka godzin wcześniej, bezlitośnie wylewała.

– No i co, jak tam twoje sprawy? – zainteresowała się Anna Aleksandrowna i Micha zaczął opowiadać o tym, co najbardziej go bolało: nie ma pracy, obszedł wszystkie możliwe miejsca. Nie chcą go przyjąć. Dzielnicowy przychodzi, pyta, kiedy pójdę do pracy...

Słuchała uważnie, machinalnie miętoszyła papierosa, postukując ustnikiem o stół. Potem nagle upuściła papierosa, odchyliła się na oparcie krzesła i patrząc gdzieś w przestrzeń, poza Michę, powiedziała:

– Micha, słabo mi... słabo.

Otwartymi ustami, napiętymi wargami zrobiła kilka spazmatycznych wdechów, jeden po drugim, ręka zsunęła się po stole, zmiatając czerwone kogutki. Jej oczy z taką uwagą i tak nieruchomo zatrzymały się na czymś za Michą, że ten się obejrzał. Nikogo tam nie było – w biblioteczkę połyskiwały złote grzbiety encyklopedii Brockhousa i Efrona.

Wziął ją na ręce i przeniósł na kozetkę. Była lekka, zwisała na jego rękach jak puchowa kołdra. Położył ją, podetknął pod plecy poduszki z kanapy. Wciąż patrzyła badawczo – nie na niego. Ścisnął jej nadgarstek w miejscu, gdzie pulsu nie można wymacać nawet u żywych.

– Zaraz, zaraz... Lekarstwo... Pogotowie... – mamrotał Micha, już czując, że jest za późno.

Rzucił się do telefonu – Stiekłowowie, jedyni w mieszkaniu, mieli telefon towarzyski. Podniósł słuchawkę, usłyszał urywek rozmowy sąsiadki:

– ...przecież tyle razy jej mówiłam, żeby go lepiej pilnowała. Wciąż się śmiała i doigrała się... Jest solidnym mężczyzną, a w naszych czasach to rzadkość...

Micha wyskoczył na korytarz:

– Szybko! Annie Aleksandrownie słabo! Trzeba wezwać pogotowie...

Sąsiadka, Maria Sołomonowna, prowizor, ze złotymi zębami upačkanymi czerwoną szminką, bardzo poważala Annę Aleksandrownę.

– Słuchaj, muszę kończyć. Sąsiedzi pilnie potrzebują telefonu. Ale przekaż jej: tyle razy mówiłam...

Zgrzytnął zamek w drzwiach. Korytarzem szedł Sania. Z torbą na zakupy. Po drodze wstąpił do spożywczego, kupił wszystko, nawet kurę, i z dumą niósł do domu babci wszystkie te zakupy. Chyba pierwszy raz w życiu...

– Annie Aleksandrownie słabo... Pogotowie... Chyba jest bardzo źle... – wymamrotał Micha. Sania wpadł do pokoju, Maria Sołomonowna kaczym krokiem za nim.

Piętnaście minut później, jeszcze przed przyjazdem lekarzy, zadzwonił Wasilij Innokientiewicz. Jego

codzienny telefon: „Co słycać?” wywoływał u Anny Aleksandrowny lekką irytację. Natychmiast przybiegł. Zakończył się ich dozgonny romans, trwający z przerwami na małżeństwa i miłostki Anny około sześćdziesięciu lat. Odrzucony niezliczoną ilość razy i powracający do niej znów i znów w najtrudniejszych dla niej chwilach – kiedy wsadzano i zabijano jej mężów i kochanków – grzebał teraz swą wielką miłość już bez nadziei na jej kolejne wskrzeszenie. Ostatecznie.

Równocześnie z Wasilijem Innokientowiczem przyszedł Ilja, nieczęsty gość. Tak więc przy stygnącym ciele Niuty, jeszcze przed przyjazdem lekarzy, którzy stwierdzili zgon, zgromadzili się ludzie najbardziej przez nią kochani. W ten wieczór nie było tylko Nadeжды Borysowny – nocowała w wynajętej daczce, telefonu tam nie było. O śmierci matki dowiedziała się dopiero nazajutrz rano.

Ciało zabrano w nocy, a dorośli chłopcy siedzieli we trójkę, niemal spojeni w jedną istotę: ze wspólnymi myślami, uczuciami, wspomnieniami, jednakowo oszołomieni, jednakowo niepocieszeni. Ilja w obecności Sani i Michy jakby otwierał zazwyczaj zamknięte, trzecie, czwarte oko, jakiś organ ciepła i współczucia, i oddychali wspólnym powietrzem, wspólnym smutkiem.

Pogrzeb był niezwykle urozmaicony. Odnaleziono testament, w którym Anna Aleksandrowna podała ścisłe wskazówki, jak i gdzie ją pochować. Egzekwie miały się odbyć w cerkwi Piotra i Pawła, przy Bramie Jauzkiej.

Przyszło wiele osób. Odciągali uwagę Sani od Anny Aleksandrowny, która spoczywała jak biała wyspa wśród czarnych ludzkich fal.

Oprócz bliskich przybyło kierownictwo Akademii – skrzepowani ludzie w mundurach z błękitnymi pago-

nami. Przyszli też uczniowie. W tych latach nie byli to już Chińczycy, tylko Kubańczycy i Afrykanie. Anna Aleksandrowna dobrze ich uczyła języka rosyjskiego. Przynieśli świerkowy wieniec z czarno-czerwonymi wstęgami; ten wieniec kłuł Sanię w oczy.

U wezgłowia trumny, połyskując jaskrawą siwizną, stał Wasilij Innokientiewicz ze skupioną twarzą. Lizy przy nim nie było, bawiła na tournée w Niemczech. Dziesięć staruszek przyjaciółek – Jewgienia Daniłowna, dwie z gimnazjum, Eleonora Zacharowna z dwiema wielkopańskimi białymi różami – zmieszało się z byłymi koleżankami z różnych okresów życia oraz z przyjaciółmi Sani. Ilja przyszedł z Olgą, obok nich stała Tamara Brin, wnuczka zmarłej przyjaciółki Niu-ty. Tamara miała twarz w tak rzadkim lewantyńskim typie, że Sania rozpoznał ją od razu – kiedyś w dzieciństwie przyprowadzano ją na jego urodziny.

Błady Micha stał obok Sani i bezgłośnie oblewał łzami moherowy szalik, bardzo dawno подарowany mu przez Annę Aleksandrownę na któreś urodziny. Obok Ilji stała jego żona – blada, rudawa, z hiacyntami w rękach. Od czasu do czasu Sania natykał się wzrokiem na otyłego mężczyznę z gęstymi brwiami na szerokiej twarzy. Stał obok matki Sani i nie wiadomo dlaczego władczo trzymał ją pod rękę. To właśnie był jej wybranek, którego Sania widział po raz pierwszy. Po co mama go przyprowadziła?

Sania obserwował to, co się działo, jakby był nieobecny, jakby patrzył przez grubą szybę. Martwa twarz babci wydawała się artystyczną podróbką, jej piękność przybrała jakiś skończony kształt i to zupełnie zbędne piękno budziło nieufność w świat żywych, niespokojny i nieszlachetny.

Z bocznych drzwi wyszedł duchowny, zaczęło się nabożeństwo. Jewgienia Daniłowna wsunęła Sani do ręki zapaloną świecę. Głos kapłana przeplatał się ze śpiewami, których Sania nigdy wcześniej nie słyszała. Wymagały uwagi, gdyż zawierały w sobie coś ważnego, choć mało czytelnego.

Duchowny, wyglądający na Greka, odprawiał mszę z przejęciem i bez żadnych skrótów. Pełny rytuał „otpiewanija” doczesnych szczątków trwał bez końca. Sania zauważył, że głos popa doskonale nakłada się na śpiewy, a drobne dźwięki – skwierczenie świec, pokąsywanie, szlochy – też się idealnie wpisywały: bardzo dobra instrumentacja. Potem zgaszono świece i Sania pomyślał, że nabożeństwo się skończyło. Ale duchowny znów zaczął coś czytać, chór znów zaśpiewał i Sania wzniósł się wraz z tymi dźwiękami i zapachami, i odbłaskami światła na sukienkach ikon tam, dokąd unosiła go zazwyczaj muzyka...

Egzekwie się zakończyły, duchowny powiedział, że bliscy mogą się pożegnać ze zmarłą. Wszyscy się poruszyli, uformowała się kolejka.

Anna Aleksandrowna nienawidziła kolejek. Mówiła, że pół życia spędziła w kolejkach: po chleb, mleko, ziemniaki, mydło, po bilety, po listy i nawet wypracowała sobie sposób obrony – recytowała w myśli wiersze. Mawiała ze śmiechem, że władza sowiecka, czyniąc stanie w kolejkach nieuchronnym, trenuje jej pamięć. Chyba nigdy nie myślała o tym, że w ostatnim jej dniu na ziemi do niej samej utworzy się tak długa kolejka.

Anna Aleksandrowna zadysponowała, żeby ją pochować w Dońskim Monasterze, w grobie dziadka. Ciało zostało spopielone w Dońskim Krematorium.

Cmentarz klasztorny od dawna był zamknięty i można było pochować urnę dopiero dwa tygodnie później.

Właściwie nie był to grób, lecz krypta. Ale tak dawno się zawałiła, że pochować szczątki można było tylko nad nią, obok przekrzywionego pomnika. Nazwisko dziada było szlacheckie, acz niezbyt znane.

Tym razem ludzi było całkiem niewiele. Tylko najbliżsi. Wasilij Innokientiewicz stał obok Sani i wciąż chciał mu coś powiedzieć, ale nie znajdował stosownej chwili. Kiedy wszystko już się zakończyło i wychodzili z bramy klasztoru, wziął Sanie pod rękę i powiedział bardzo cicho i bardzo wyraźnie:

– Sania! Na zawsze straciliśmy Lizę: nie wróciła z występów gościnnych, została w Austrii. Zatelefonowała, powiedziała, że z czasem to zrozumiemy, i wszystko jest w porządku, a ona jest szczęśliwa i prosi wszystkich o wybaczenie. I bardzo nas kocha. Powiedziałem jej, że Niuta umarła, rozplakała się i zapytała, czy może do ciebie zadzwonić. Powiedziałem, że muszę cię zapytać.

– O Boże! – tylko tyle mógł wymówić Sania.

– Wybiera się za mąż za tamtejszego dyrygenta, zna go od pierwszych zagranicznych wojaży, razem występowali... To starzec! Potworna strata. Opuszczają nas najbliżsi ludzie. Nigdy już nie zobaczymy Lizy. Ty może ją jeszcze zobaczysz. Ja nie.

– Basile, jakie to smutne, że kobiety zawsze chcą wychodzić za mąż, spójrz. – I Sania wskazał oczyma swoją matkę, którą prowadził pod rękę mężczyzna w karakulowym pierożku na tłustej głowie. – Twój zięć jest Austriakiem, nie Niemcem?

Wasilij Innokientiewicz kiwnął głową.

– Bardzo nie lubiłem grubego Boby i cieszyłem się,

kiedy się rozstali. A ten twój nowy zięć to przystojniak. Piękna twarz. Mam płytę z jego zdjęciem. Co te kobiety robią? Spójrz na tego tam... urzędas... Niuta o wszystkim wiedziała – spojrzał w stronę matki i jej wybrańca.

Podszedł Micha. Wczepił się w okaleczoną rękę Sani i nachylił mu się do ucha:

– Twoja matka żyje, a ja nie mam teraz nikogo. Anna Aleksandrowna była dla mnie całą rodziną. Dopiero teraz to zrozumiałem. Odeszła i znalazłem się na pierwszej linii.

– Co? Co? – nie dosłyszał, nie zrozumiał Sania.

– Przede mną nie ma nikogo z dorosłych. Teraz moja kolej – wyjaśnił Micha.

Dwa tygodnie po śmierci Anny Aleksandrowny gruby pan w pierożku, który trzymał matkę pod rękę, wprowadził się do ich mieszkania. Nazywał się Łastoczkin i to nazwisko wyjątkowo do niego nie pasowało*. Poprzestawiali meble, usunęli parawan, pokój przedzielili szafą ubraniową i biblioteczną. Sanie przemieszczono, pozbawiając go otoczenia, do którego przywykł.

Śmierć Anny Aleksandrowny, lekka, natychmiastowa, niczym niepoprzedzona, zupełnie nie wpasowała się w nurt życia. Sania budził się rano, słyszał nieznośne odgłosy cudzego życia i wciąż marzył, żeby zasnąć powtórnie i obudzić się w normalnym, znanym domu.

Ale nie było już dawnego domu, nie było babci, a z mamą działy się jakieś dziwy, jak w dziecięcych bajkach z zaczarowanymi dziećmi. W jednej chwili

* *Łastoczka* – jaskółka (przyp. red.).

li przemieniła się w coś zupełnie sobie przeciwnego: z łagodnej i korpulentnej w twardą, z jasnowłosej i siwiejącej – w brunetkę. Zaczęła malować usta i nosić nowe futro z brajtszwanców, czarne i okazałe, zamiast starych szarych królików, którymi Sanię przykrywano w dzieciństwie.

Ale najbardziej nieznośny był nowy głos Nadzieży Borysowny: dźwięczny, przypochebny, z chichotem na końcu każdego zdania. Nie, jeszcze bardziej nieznośne były nocne odgłosy spółkowania, skrzypienie sprężyn, sapanie, jęki.

Dozorcówka, przeklęta dozorcówka zaułka Potapowskiego znalazła się teraz w tym miejscu, gdzie dawniej w bezsenne noce Niuta czytała swoich ulubionych Flauberta i Marcela Prousta.

Nie mógł spać. Miewał drobne skoki w sen i z powrotem. I ciągnęła myśl: nie ma Niuty. Na zawsze nie ma Niuty. Nigdzie nie ma Niuty.

Na krótko zasypiał. Budząc się ostatecznie, popadał w przygnębienie. Mył się i wychodził ze splugawionego domu. Jeżeli nie miał zajęć, szedł do Michy.

Ten też był w nie lepszym nastroju: pracy wciąż nie miał, byłego więźnia nikt nie chciał zatrudnić, Alona usiłowała udzielać jakichś lekcji, nie mieli pieniędzy. Przyjaciele podrzucali co nieco, Micha przyjmował te zasiłki na siłę. Marlen wreszcie wyjechał do Izraela – w pośpiechu, niespodziewanie i niewytłumaczalnie – pisał do Michy, zachęcał go do przyjazdu. Ale Micha odrzucał możliwość emigracji.

– Wszyscy mówią tylko o jednym – o emigracji. Wygłaszają opinie za i przeciw. Ja tego wariantu po prostu nie rozważam. Przecież bym tam umarł.

Majeczka, która uwielbiała Sanię i nie całkiem ak-

ceptowała mało znanego ojca, wdrapywała się Sani na kolana i łaskotała go za uchem. To była taka ich zabawa.

– Micha, umrzemy tak czy owak. I muzyka, i poezja są wszędzie, nie tylko w Rosji – przekonywał Sania.

– Muzyka tak, poezja – nie. Poezja ma język, i jest to język rosyjski! Przecież jestem poetą, może kiepskim, ale poetą – wybuchął łagodny Micha. – Bez Rosji żyć nie mogę!

Sania nie wiedział, co ma odpowiedzieć. No, przecież mu nie powie: tak, jesteś kiepskim poetą. A dobrzy to co? Mogli? Chodasiewicz, Cwietajewa, Nabokov, do cholery?

Ale Micha jak wahadło wciąż wracał do dolnego punktu: Rosja, język rosyjski, rosyjska metafizyka... Rosja, Lete, Lorelei...

Sania próbował się zniżyć:

– Więc wyjedź, przyjacielu, z Rosji razem ze swoją Lorelei, bo przedwcześnie wpadniesz w naszą Lete... – i sam się skrzywił, czując niezręczność żartu.

– Jedź, Micha. To miejsce jest zatracone. I Niuta umarła.

Ale myślał o Lizie: została tam, porzuciła dziadka, który świata za nią nie widział, i żyje sobie po drugiej stronie lustra. Zresztą, dlaczego po drugiej stronie lustra? W Wiedniu jest i Mozart, i Schubert, i cała szkoła wiedeńska spaceruje po Ringu.

Schodząc po schodach, Sania zaczął układać w myślach długie zdanie, które w całości miało podkład muzyczny – łąkały instrumenty smyczkowe, dzwoniła

miedź, saksofon altowy huczał murzyńskim głosem, słowa ledwie było słyszeć, mgliste, lecz niezbędne.

– Niuta odeszła, umarła, odleciała, biedna, palce chude, pierścionki nie dźwięczą... Nawet zapachu nigdzie nie ma.

Krótki bieg przez podwórze Michy, obok narożnego domu z bulwaru Czystoprudnego na Marosiejkę.

– Micha, sieroctwo, krewni, potworne dzieciństwo, ta przezroczyta Alona, Boże, pachnie szaleństwem, bełkotem głuchoniemym, biedni, biedni wszyscy.

Instrumenty dęte – naprzód! Klarnet szłocha, a flet płacze...

Przejdzie przez tory tramwajowe, gdzie stał niewidzialny dla świata pomnik nieletniego chuligana, który zginął w tym miejscu dwadzieścia lat temu.

Fortissimo, perkusja.

Miedź, miedź, miedź... i zgrzyt hamulców.

– Nieszczęsny chłopiec w waciaku, w żołnierskiej uszance, pędzi, pędzi, ściskając w dłoni zimne żelazo.

Skręt w lewo, na Pokrowkę, w stronę domu-komody.

– Biedne palce, biedne palce, przepadły na wieki. Przepadły dla skrzypiec, altówki i klarnetu, dla akordeonu, harmonii, głupiej bałałajki. O, fortepianie!

Duet fortepianowy! Na cztery ręce! Prawy fortepian Liza, lewy mój. Liza zaczyna temat, ja się włączam.

I od razu na prawo, do swojej bocznej oficyny. Smyczkowe. Zaczynają skrzypce. Piano, pianissimo. Rozwija się temat fortepianowy, sublimuje się w interpretacji smyczkowej. Wzlatuje. A wszystko kończy głęboki, żalony głos wiolonczeli.

– Niosą w rękach jedni łyżwy, inni siatki, teczki, teki

z nutami, z warsztatu szewskiego sto razy naprawiane buty. Niosą choroby, nieszczęścia, wezwania, analizy, śmieci, pieska, butelkę.

I przed drzwiami, gdy już położył palce na jedynej ocalałej mosiężnej klamce, podniósł całą muzykę do góry, a potem rzucił z całej siły o ziemię, tak żeby się posypała i potoczyła.

– Jeżeli jednak jesteś, Boże, zabierz mnie stąd i umieść w innym miejscu. Tutaj już nie mogę. Bez Niuty tutaj nie mogę...

I wszedł do bramy. Poszedł na pierwsze piętro. Na progu mieszkania zatrzymał się. Łastoczkin, owinąwszy żeliwną rączkę ogromnej patelni strzępem bluzki Niuty, niósł ze wspólnej kuchni ziemniaki ze słoniną i śmierdział.

ORDERY W MAJTKACH

W sześćdziesiątym pierwszym roku Piotr Pietrowicz wystąpił na konferencji partyjnej i powiedział, co mu leżało na sercu: zdemaskowaliśmy kult jednostki Stalina, a teraz stopniowo wyrasta nowy kult, Chruszczowa. Zaprzepaściliśmy normy leninowskie, a trzeba do nich wracać, umocnić demokrację, odpowiedzialność wybieranych przedstawicieli narodu wobec społeczeństwa, i w tym celu należy znieść wysokie uposażenia i niezmiennie przywództwo. Wyłożył wszystko, co myślał.

Wcześniej wszystkie te poglądy „wypróbował” na przyjacielu Afanasiju Michajłowiczu, Fieszy, koledze z Akademii Sztabu Generalnego, gdzie obaj krótko studiowali przed wojną. Fiesza tego nie zaaprobował, chociaż ze wszystkim się zgadzał. Nie zaakceptował konkretnie zamiaru przedstawienia własnych poglądów na konferencji partyjnej.

– Nie będzie z tego żadnego pożytku, Piotrze, a kłopotów co niemiara – podsumował Fiesza jego nierozsądny zamiar.

Piotr zarzucił Fieszy tchórzostwo. Ten, zazwyczaj powściągliwy, nagle się wściekł i posłał przyjaciela tam, gdzie nie zwykli się nawzajem posyłać.

Wtedy Piotr Pietrowicz powiedział mu coś bardzo przykrego: nie ma ludzi bardziej tchórzliwych niż wojskowi. I im kto ma wyższą rangę, tym bardziej jest tchórzliwy. Zawodowcy, którzy przeszli wojnę, nie bali się ani ognia, ani wroga, nie chowali się za cudzymi plecami, śmiertelnie boją się zwierzchników i bronią teraz nie ojczyzny, ale swoich spasionych tyłków i foteli.

Ponieważ rzecz się dzieła na dacy Afanasija Michajłowicza, ten pokazał przyjacielowi drzwi i między dwoma generałami wybuchła kłótnia w rodzaju opisanej przez Mikołaja Gogola. Wprawdzie nie padły tam słowa „świnia” czy „gąsior”, ale „tchórz” zranił Afanasija Michajłowicza do głębi duszy.

Piotra Pietrowicza za skandaliczne przemówienie ukarano: przeniesiono go do innej pracy, na daleki Wschód, czyli na zesłanie, byle zniknął z oczu zwierzchnikom. Tam najpierw się załamał, bo doskwierało mu prowincjonalne życie, a potem zaczął działać. Zorganizował związek swych zwolenników, chcących tak samo jak on przestawić wypaczone życie kraju na lenińskie tory. Owa podziemna działalność z tajnymi spotkaniami, a nawet ulotkami nie trwała długo. Piotra Pietrowicza aresztowano, na początek wyrzucano z partii, a potem osądzono na zamkniętym procesie i skazano na nędzne trzy lata. Karą dodatkową była degradacja do stopnia szeregowego, pozbawienie skazanego generała odznaczeń bojowych, emerytury i wszelkich przywilejów przyznawanych za dawne zasługi.

Tak rozpoczęło się nowe życie Piotra Pietrowicza. Stopniowo zrzucał, wraz z nadwagą, swoje zmurszałe pojęcia o życiu. Odsiedział trzy lata, wyszedł, znowu

go wsadzono. Dawne życie, które szyderczo nazywał w duchu „akademickim”, wspominał jako okres niemowlęcy.

Generał miał tęgą głowę. Nie bez racji kierował na Akademii katedrą taktyki. Podjął jednak nierówną walkę z władzą, która się posługiwała nie rozumem, ale siłą. Cóż tu mogła działać taktyka czy strategia? Nie było miejsca, do którego obrażona przez byłego generała władza by go nie posłała: do więzienia, do łagru, na zesłanie, do lecznicy psychiatrycznej – a on wychodził i nadal robił swoje.

W siedemdziesiątym drugim roku, na wiosnę, trafił mu się krótki wypoczynek – wyszedł na wolność. Do tego czasu został już nie szeregowym, ale prawdziwym generałem małej armii dysydentów. Są ludzie, którzy rodzą się generałami.

Niczyporuk wiedział, że władza nie wybacza wrogom wewnętrznym, toteż zdawał sobie sprawę, że nie pozwolą mu długo cieszyć się wolnością. Rozkoszował się domem, kontaktami z ludźmi, choćby i zwykłym spacerem po mieście. Wolność! Wolność!

Było to jednak złudne poczucie: telefon na podłuchu, stała inwigilacja. Piotr Pietrowicz postanowił pojechać do Mińska, miał tam coś do załatwienia. Nawet żonie Zoi nie powiedział, co to za sprawa. A ona, wypróbowany przyjaciel, nie pytała.

Kupił bilet na wieczorny pociąg, przyszedł do domu, spakował trochę rzeczy, tyle co nic – zmianę bielizny, przybory do golenia, dwa ostatnie numery „Nowego Miru”, już mocno wystrzępione, i pluszowego pieska dla wnuczki przyjaciela.

Siedli do kolacji – dzwonek do drzwi. Przyszła przyjaciółka Zoi Swietłana, bliska osoba. Przyniosła wiado-

mość: wczoraj były rewizje u Charczenki i u Wasylisy Trawnikowej. Charczenkę zabrali, a Wasylisę zostawili.

Piotr Pietrowicz wzruszył ramionami: dom jest czysty.

– Ale oni nie wiedzą. Przyjdą i będą grzebać – odparła Swietłana.

– Aha... – przypomniał sobie Piotr Pietrowicz. – Moje odznaczenia! Według papierów mnie ich pozbawiono, ale blaszki są w domu. Nie chcę im oddawać. Trzeba to schować, Zoju. Może ty byś je wyniosła, Swietłano?

– Wyniesiemy. Ale ja raczej przyślę moje dziewczęta. Tak będzie lepiej. Dziś wieczorem.

I rzeczywiście, tego samego wieczoru, już po wyjeździe Piotra Pietrowicza, przyszły dwie dziewczyny – studentki, wyglądające na piętnastolatki, pyzata grubaska Tonia i brzydula Sima, obie w jednakowych włóczkowych czapczkach i szalach, uczennice Swietłany Siergiejewny.

Z zakłopotaniem dreptały w drzwiach. Zoja Wasiljewna powiedziała, żeby się rozebrały, podała herbatę z ciasteczkami. Siedziały w tych swoich niebieskich czapkach, milczały. Zoja Wasiljewna przyniosła dość ciężkie płócienne zawiniątko – z wierzchu opakowane w gazetę i przewiązane sznurkiem. Na ich oczach włożyła zawiniątko do uszytej w domu torby na zakupy. Położyła na stole kartkę: „Tu są odznaczenia wojskowe, trzeba je schować”. Dziewczynki zgodnie kiwnęły głowami, Zoja Wasiljewna wzięła zapałkę i spaliła kartkę, resztę papieru wetknęła pod kran i wyrzuciła do wiadra.

Dziewczyny spojrzały po sobie: poważna sprawa.

Wyszły z bramy, rozglądając się na boki. Było cicho i bezludnie, zmienna kwietniowa pogoda. W milczeniu poszły do metra. Wsiadły na placu Dworca Białoruskiego. Tonia doprowadziła Simę do bramy. Przed bramą Sima podała torbę koleżance.

– Słuchaj, ja się boję, a nuż mama to znajdzie? Weź do siebie, co?

– Dobrze – bez oporu zgodziła się Tonia. – Ale gdzie to schować? Może do komórki? Mamy taką pod schodami. Co prawda często obrywają kłódkę, kradną drwa.

– A po co drwa? – zdziwiła się Sima.

– A po nic. Pieców w domu już nie ma, a szczapy leżą. No to je kradną.

– Ale teraz prawie już lato...

– No tak...

Tonia pojechała trolejbusem od Dworca Białoruskiego prawie do samego domu, do placu Dzierżyńskiego.

W domu, jak na zamówienie, nikogo nie było: bratanek Witia siedział u sąsiadów, jego matka Wala poszła się bawić, a starszy brat Tola odsiadywał wyrok.

Matki też nie było, dziś pracowała na drugiej zmianie.

Przyciskając pakunek do brzucha, Tonia przeszła się po mieszkaniu. Do pudełka i na szafę? Pustych pudełek nie miała – były trzy pełne. W dolnej szufladzie szafy leżały narzędzia, matka czasami tu sięgała – po młotek, po gwóźdź. Zostały jeszcze po ojcu. Cała bielizna była ułożona w stosy, tylko na dolnej półce zwinięta w kłębek. Leżały tam stare barchanowe reformy, kiedyś niebieskie i brzoskwiniowe, teraz przetarte i odbarwione w kroku. Matka wycinała mocniejsze kawałki i przyszywała grube łąty na tych, które jeszcze nadawały się do noszenia.

Tonia wzięła te najbardziej podarte, starannie zawinęła w nie płócienny pakunek i położyła przy samej ścianie. Zajął niemal połowę szuflady. Wtedy rozwinęła pakunek i wyjęła jedenaście ładnych pudełeczek. Leżały w nich odznaczenia wojskowe z emalią i złotem, bardzo piękne i niespodziewanie ciężkie. Tania postanowiła pozbyć się pudełeczek, zajmowały zbyt dużo miejsca. Wyjęła ordery, przykręciła albo przypięła do szmatki, zwinęła ją w rulon i znów wetknęła głęboko pod ścianę. A pudełeczka położyła osobno, w swoim prywatnym kąciku na górnej półce. Puste pudełeczka, co komu po nich? Najważniejsze są ordery.

Wczesnym rankiem 9 maja zawiniątko w szafie znalazł Witia, nieznośny bratanek Toni. Chłopcy na podwórku powiedzieli, że matki chowają pieniądze w szafach, pod bielizną. Trzeba tylko dobrze poszukać. Zaczął od dolnej półki. Pieniędzy tam nie było, ale od razu natknął się na zawiniątko pod ścianą, dość ciężkie. Wyciągnął, odwinął – były tam przypięte do starych majtek babki ordery i medale. I to jakie! Dzień był na ordery najbardziej odpowiedni – Dzień Zwycięstwa. Rozłożył majtki – piękny widok! Było ich wiele, naliczył pięć, potem znowu pięć, i jeszcze został jeden. Wszystkie były przykręcone i poprzipinane, więc Witia powoli, przygryzając język, najpierw odczepił je od zniszczonej szmatki, a potem, nie żałując własnej koszuli, wszystkie do niej przymocował z obu stron ramion od góry do dołu. Ciężko obciągały koszulę, połyskując srebrem, złotem i kremłowskimi gwiazdami. Witia poszedł na podwórze do chłopaków, nie pamiętając o pieniądzach, które obiecał znaleźć pod bielizną. A chłopcy zapomnieli o nim i już sobie po-

szli. Kiedy dreptał tu i tam, zastanawiając się, gdzie ich szukać, pojawili się duzi chłopcy – Artur Ormianin, Siewka i Tomka Pień. Od razu rzucili się na niego, zaczęli odrywać ordery. Witia wrzasnął i uciekł do bramy.

Czterdziesty dzień od śmierci Anny Aleksandrowny wypadł 9 maja, więc emerytowany pułkownik służby medycznej Wasilij Innokientiewicz zamiast spotkać się z kolegami z wojska, udał się na panichidę, którą zamówiono w cerkwi Piotra i Pawła przy Bramie Jauzkiej. Do panichidy pozostawała jeszcze cała godzina, więc od placu Dzierżyńskiego postanowił przejść się pieszo. Szedł wzdłuż zachodniej ściany Muzeum Politechnicznego, ale po przeciwnej stronie Przejazdu Sierowa. Z bramy wytoczyła się gromada chłopaków i skłębioną kupą wpadła mu pod nogi. Jeden uciekający, najmniejszy, głośno wrzeszczał. Starszy pan podniósł go z ziemi – chłopaczek miał z siedem lat i krzywo rosnące rzadkie zęby. Trzej starsi chłopcy umknęli do bramy, ale wyglądali zza węgła. Szkrab wił mu się w rękach jak ryba na haczyku, jego koszula brzęczała wielobarwnym metalem. Odznaczenia wojskowe...

Wasilij Innokientiewicz postawił malca na ziemi i przytrzymując za ramiona, oglądał ten wojskowy ikonostas. Oprócz zwykłych odznaczeń, w ten dzień masowo wyprowadzanych na spacer przez weteranów na starych bluzach i nowych marynarkach, Wasilij Innokientiewicz zobaczył rzadkie – „Za obronę Sowietkiej Arktyki”, „Za zdobycie Königsbergu” i zupełnie niezwykły, amerykański, na którym był i wieniec laurowy, i gwiazdy, i promienie. Był to Medal of Honor. Sojusznicy odznaczeni tym medalem wyższych sowiec-

kich oficerów po zdobyciu Berlina w czterdziestym piątym roku.

Jednego z odznaczonych Wasilij Innokientiewicz znał. Generał Niczyporuk leżał u niego w szpitalu w czterdziestym piątym. Wieczorem komendant szpitala zaglądał do generała. Nieraz popijali i rozmawiali. Generał pojechał ze szpitala odebrać swoje odznaczenie, a wieczorem je oblewali! Nie było żadnej wątpliwości, że odznaczenia te należały do generała Niczyporuka – świadczyły o tym dwa inne, o wiele bardziej znane, za Königsberg i Arktykę. Ta geografia odpowiadała dokładnie wojennej biografii Piotra Pietrowicza.

„Ukradli mu czy co...” – pomyślał Wasilij Innokientiewicz i natychmiast przypomniał sobie, że ktoś mu mówił, iż generał Niczyporuk czy to zwariował, czy to siedzi w więzieniu za jakieś antysowieckie sprawy. Ale szczegółów Wasilij Innokientiewicz nie pamiętał.

– Jak się nazywa twój dziadek? – groźnie zapytał Wasilij Innokientiewicz, na wszelki wypadek mocno wbijając palce w chude ramiona.

– Nie mam żadnego dziadka. Puszczaj! – wrzeszczał chłopak.

– Skąd wzięłeś ordery? – Starszy pan potrząsnął nim za kołnierz.

– Z szafy wzięłem, od babki! Babka mi dała! – chłopaczek wcale nie był onieśmielony, wił się w rękach i tylko patrzył, jak by się wyslizgnąć.

Wywinął się i ugryzł Wasilija Innokientiewicz w rękę.

– Ach, ty gadzino! – zezłościł się staruszek. – Idziemy do twojej babki!

– Nie ma jej, nie ma! Nie ma jej w domu! – zakreślił się chłopaczek.

– Idziemy, idziemy, do matki mnie zaprowadzisz! – nalegał starszy pan, chwytając chłopca za przedramię żelazną ręką.

– Nie pójdę! Nie zaprowadzę! – wrzeszczał mały Witia. A potem umilkł i dorosłym poważnym głosem zaproponował transakcję: – Niech je pan lepiej weźmie, i tak chłopaki mi je odbiorą! Tylko żeby pan nie szedł do domu. – Wyobraził sobie, jak będzie wrzeszczeć babka, jakie baty dostanie od matki. Lepiej od razu się poddać.

– Zdejmuj koszulę – polecił starszy pan.

Zamierzał odkręcić ordery i medale i zwrócić sprawną niebieską koszulę właścicielowi. Ale w chwili, gdy koszula z medalami znalazła się w rękach Wasilija Innokientiewicza, malec wyślizgnął mu się z rąk jak kawałek mydła i zniknął w bramie.

„Kradzione, bez żadnej wątpliwości kradzione” – pomyślał Wasilij Innokientiewcz, zawinał wszystko, nie odkręcając, w dziecięcą koszulę i nie bez trudu wepchnął do kieszeni marynarki. Marynarka obwisła na jedną stronę.

„Dziwna, dziwna historia, nawet dość zabawna”.

Wasilij Innokientiewicz nie widział Niczyporuka od czasów wojny. Potem dochodziły go wieści, że Niczyporuk wykłada w Akademii Wojskowej. Wasilij Innokientiewicz nie miał żadnych kontaktów z generałem. Ale mógł generała odszukać – przez Niefiedowa albo przez Gołubiewą.

Tak rozmyślając, doszedł do cerkwi. Przed wejściem stała Nadieżda podobna do czterdziestoletniej Niuty, ale całkiem przeciętna, podczas gdy Niuta była wspaniała, niezrównana i jedyna.

Z Nadieżdą rozmawiały dwie nieznane staruszki

i dwaj młodzi mężczyźni – Sania i jego przyjaciel Micha, rudy, z bródką.

Przybiegła i stanęła obok przyjaciółka Anny Jelena – paśowa na twarzy i z zadyszka. Świadek, osoba zaufana, niemal uczestniczka ich życia.

„Bardzo wysokie ciśnienie” – zauważył w duchu Wasilij Innokientiewicz. Ucałował się z Jeleną, ale nie wspominał o ciśnieniu. Po co?

Wyszła posługaczka kościelna:

– Batuszka zaprasza na panichidę.

Wasilij Innokientiewicz stanął między Nadiędą i Jeleną, nieznajome staruszki po bokach, a z tyłu Sania z przyjacielem.

Z bocznych drzwi wyszedł malutki, szczuplutki duchowny, wymachując dymiącą kadzielnicą.

Wasilij Innokientiewicz był w cerkwi po raz drugi w ciągu półtora miesiąca, pierwszy raz na egzekwiach Anny Aleksandrowny i teraz na panichidzie, a przedtem, przez czterdzieści lat, do cerkwi nie chodził. W jego duszy poruszyło się uczucie od dzieciństwa zapomniane. Dziwne, dziwne... Może to starość daje o sobie znać? Chór staruszek cudownie śpiewał i przypomniały mu się słowa. Męskie głosy wtórowały z tyłu. Obejrzał się. Sania, wnuk Niuty, przemiły chłopiec, śpiewał: *„Głubinoju mudrosti czetowiekolubno wsia strojaj i poleznoje wsiem podawajaj...”*.

„Skąd on to zna?” – zdziwił się Wasilij Innokientiewicz.

Rzeczywiście, czterdzieści dni temu Sania niczego takiego nie znał. A teraz oto zna.

Rudy przyjaciel Sani płakał rześistymi dziecięcymi łzami. W rękach obaj chłopcy trzymali płonące świece.

Wasilij Innokientiewicz doświadczył poczucia nie-

określonej winy, tęsknoty i smutku. Niuta, daleka kuzynka, pierwsza i dozgonna miłość, romans ciągnący się z przerwami od dzieciństwa, równoległe życie, przerywane i najcenniejsze. Jakiż bezlitosny jest los... Ona przez całe życie uciekała przed jego miłością, a on z uporem o nią zabiegał, zdobywałomalże siłą. Ona odpowiadała jakby od niechcienia... i mówiła z zagadkowym i melancholijnym uśmiechem, jak to było w zwyczaju w początkach dwudziestego wieku:

– Basile, zawsze zjawiasz się u mnie w momentach życiowych katastrof, ratujesz mnie, ale wybaczone, zawsze jesteś dla mnie znakiem i wcieleniem mojej klęski...

O tym właśnie myślał Wasilij Innokientiewicz, słuchając cudownego śpiewu, i zupełnie zapomniał o cudzych wojskowych odznaczeniach wypychających mu kieszeń.

Piotra Pietrowicza aresztowano w Mińsku na drugi dzień po przyjeździe i tego samego dnia przyszli do domu z rewizją. W domu niczego nie było, ale wszystko rozbebeszyli, zabrali jakieś resztki – specjalistyczne przedwojenne książki z autografami, konspekty wykładów.

Zoja Wasiljewna cieszyła się, że ordery zostały usunięte z domu. Właściwie te odznaczenia bojowe były jakby nieprawdziwe. Wszystko do siebie pasowało: generał zdegradowany, odznaczenia unieważnione, potem więzień i niepoczytalny. Ale ona wiedziała bez wątplenia, że Piotr jest całkiem normalny – niepoczytalny był kraj.

Co się tyczy Toni Mutiukinej, ta jeszcze długo nie wiedziała, że ma w domu tylko puste pudełeczka, a ordery

zniknęły. Wyjaśniło się to dopiero, gdy jej starszy brat Tola wyszedł z więzienia, zaczął szastać pieniędzmi, wszystkim kupił prezenty i dał pieniądze matce. Matka wzięła i kupiła nową szafę. Zaczęli wyrzucać starzyznę, i wtedy Tonia stwierdziła, że ordery przepadły. Strach, co się z nią działo! Jej podejrzenie padło najpierw na Tolę, bo wiedziała, że te ordery warte były dużych pieniędzy.

Ale Tola nie miał z tym nic wspólnego.

Zresztą co tu dużo gadać – po dwóch miesiącach znów go zamknęli, bo te pieniądze na prezenty pochodziły z rabunku.

Najbardziej rozpaczał Witia. Prawie nie pamiętał ojca, a tu – ledwie się poznali, ten znowu zniknął.

Ordery wróciły do domu generała przez łańcuch ludzi znajomych i nieznajomych. „Nagusieńkie”, pozbawione ręcznie wykonanych futerałów-trumienek, ale zawinięte w celofan i umieszczone dla pewności w żelaznym garnku, generalskie odznaczenia leżały w ziemi, zakopane na daczce u siostrzenicy Zoi, na stacji Krawo na linii kazańskiej, z tyłu za dwiema sosenkami, do których była przybita dziecięca huśtawka. Czekały na lepsze czasy.

I lepsze czasy nadeszły. Generał i jego odznaczenia wreszcie się spotkali. Generał żył w kraju, gdzie trzeba żyć długo. Dożył do dziewięćdziesiątki i spotkał go ten zaszczyt, że zmarł jako bohater. Chowano go w dziewięćdziesiątym pierwszym, a na poduszce przed trumną niesiono wszystkie jego ordery, zawinięte kiedyś w znoszone barchany, i ten amerykański też tam był. A poduszka była czerwona, jak należy.

IMAGO

Wszystko było takie samo – podwórze, sąsiedzi, wyłamana deska podłogowa w korytarzu, sprzedawczynie w sklepie piekarniczym i rybnym, administrator domu. Ale było tak, jakby minęły nie trzy lata, lecz trzydzieści. Misze wciąż się zdawało, że przy nieostrożnym ruchu wszystko może się z hukiem rozlecieć – i dom, i podwórze, i córka, i żona, i całe to miasto, i kwiecień, taki ciepły i życzliwy w tym roku. Bojaźliwie poruszał się po pokoju, po mieszkaniu, po najbliższej okolicy.

Przede wszystkim poszedł do Anny Aleksandrowny. Następnie na milicję, żeby otrzymać adnotację w dowodzie osobistym. Powiedziano mu, że musi znaleźć pracę w ciągu trzydziestu dni.

Potem poszedł do Biblioteki Historycznej, pewien, że go tam nie wpuszczą. Ale powiedziano mu tylko, że musi przedłużyć legitymację czytelniczą, która straciła ważność.

Kilka tygodni później, już po śmierci Anny Aleksandrowny, poszedł do Ilji i Oli. Rzadko bywał w tym dziwacznym mieszkaniu na ulicy Worowskiego – konglomeracie komunistycznej ascezy i rosyjskiego empire'u. Ola nigdy nie żywiła szczególnej sympatii do Alony, ale Michę uwielbiała.

Wyciąła go, wyciągnęła z lodówki pergaminowe zawiniątka z pasztecikami, babeczkami z sałatką, szynką, śledzikami i Bóg wie, jakimi jeszcze smakołykami z garmażerii restauracji „Praha”, rozłożyła na szklanych talerzykach i cmoknąwszy na zakończenie, pobiegła do pilnego tłumaczenia, które miała oddać na-
zajutrz. Ilja wyjął butelkę ormiańskiego koniaku. Micha prawie nie mógł pić, zresztą jadł też ostrożnie, bojąc się bólu żołądka.

Usiedli, patrząc na siebie bez słowa: Ilja bał się odezwać, żeby czegoś nie palnąć. Nie był zbyt sentymentalny, ale teraz doznawał wobec Michy takiego uczucia, jakie z rzadka wywoływał w nim niepełnosprawny synek. Aż go zakręciło w nosie.

– Widziałeś wczoraj? – spytał Micha.

Ilja skinął głową:

– Oczywiście. Cała Moskwa oglądała. Spodziewano się czegoś podobnego.

– Spodziewano się? A ja nawet nie przypuszczałem, że on właśnie tak wystąpi...

– W pewnym sensie genialne... – zauważył Ilja.

Poprzedniego dnia zakończył się proces Czernopiatowa i dwóch jego najbliższych przyjaciół. W telewizji pokazano coś dotychczas niewidzianego – konferencję prasową Czernopiatowa z dziennikarzami. Przez półtorej godziny Siergiej Borysowicz kajał się za wszystkie grzechy wobec władzy sowieckiej. Czynił to z talentem – jeżeli podłości można dokonywać z talentem. Najbardziej wstrząsające było to, że ogłosił się szefem ruchu demokratycznego, jego przywódcą, głównym ideologiem i jako samozwańczy wódz wezwał do zrewidowania tego ruchu. Dla wszystkich, którzy mieli z tym choć trochę do czynienia, było oczywiste, że żaden jednolity

ruch w ogóle nie istnieje, są tylko różne, niekiedy zupełnie niepowiązane ze sobą, „grupy zainteresowań”, połączone jedynie negacją dzisiejszej władzy oraz pragnieniem zmian. Różnych zmian – zależnie od tego, kto się ich domagał...

Po wczorajszym programie setki ludzi dyskutowały o tym wydarzeniu. Mocno zapachniało *Biesami*. Ludzie o podejściu praktycznym obawiali się represji wobec wszystkich myślących inaczej, ci nastawieni bardziej filozoficznie rozważali kwestie bardziej abstrakcyjne: czy wielki Dostojewski odkrył szczególny żywioł rosyjskiego szafu rewolucyjnego, czy też go przypadkiem wywołał wraz ze swymi literackimi bohaterami, Stawroginem i Pietieńką Wierchowieńskim.

I o tym właśnie Micha z Ilją przegadali cały wieczór. Ale nie doszli do żadnych ostatecznych wniosków. W tej historii było zbyt wiele niejasnych wątków.

Nie można było pojąć, co się stało z samym Czernopiatowem: ze wszystkich najtwardszym, najmądrzejszym i najbardziej doświadczonym – dziecięca kolonia karna, stalinowskie łagry, zesłanie... Miał wyraźnie określonego wroga: władza sowiecka, stalinizm. Co się musiało z nim stać, że uczynił tak ostry zwrot, o sto osiemdziesiąt stopni?

– Iljusa, przywieziono mnie na konfrontację z nim półtora miesiąca przed zwolnieniem. Nawet nie wiedziałem, że go aresztowali i że zeznaje. Tak zwane szczere wyznanie winy. Dziesiątki nazwisk. Wydał praktycznie całą „Kronikę” – redaktorów, współpracowników. Spodziewałem się wszystkiego, ale nie tego. Siergiej Borysowicz powiedział, że popełniam błąd i że trzeba mieć odwagę, by uznać swe błędy i szukać nowych dróg. Potem mocno mnie naciskano, żebym szedł

razem z nim. Odmówiłem. Obiecano mi następny wyrok, już w ich sprawie. Byłem pewien, że mnie nie wypuszczą. Ale wypuścili. Kazali podpisać, że nie będę uprawiać działalności antysowieckiej, i wypuścili. Nie rozumiem, co się z nim stało. Może o czymś nie wiemy. Mają tyle sposobów, oprócz bicia.

– Mówiono mi, że mają jakieś „serum prawdy”, podsypują je do jedzenia albo dolewają do picia... – sprecyzował Ilja.

– Owszem, mogę w to uwierzyć. Sam wiesz, że to zawodowcy, a my wszyscy jesteśmy wobec nich bezbronni. Wobec kryminalistów też jesteśmy bezbronni. W łagrze często myślałem o Mandelsztamie. Jak mu tam było, gdy... umierał.

Tylko nie myśl, że oni nie czują siły moralnej. Nawet bardzo czują. Właśnie szczególną rozkosz im sprawia zmiżdżenie człowieka ideowego. Dla nich wszyscy mamy jedną twarz – jak Chińczycy. Nie, jak ludzie w okularach. Mnie przed etapem taki jeden naczelnik rozdeptał okulary. Rozkoszował się, kiedy mu chrupały pod buciorami. Ja bez okularów prawie nic nie widzę, przecież wiesz. Dopiero po trzech miesiącach okulary do mnie dotarły – przysłała mi je Anna Aleksandrowna. Czernopiatow, nawiasem mówiąc, też jest okularnikiem.

– Tak, fotografowałem go kilka lat temu. Dobry portret mi wyszedł. Wysłałem go w dwa miejsca.

Nie, Ilja nie czuł się wobec niego winien. „Wszyscy, ku..., są dobrzy” – kłębilo mu się w głowie.

– Mam na myśli podatność na zranienie – tłumaczył Micha coś, o czym Ilja doskonale wiedział. – Może go czymś napoili albo inaczej go złamali... Tylko proszę, nie mów o nim nic złego. Przy tym wszystkim budzi

współczucie. Nie pomyślał o Alonie. Jak ona się poczuje? Zresztą jak się czują wszyscy, którzy kręcili się koło niego przez lata? Myślę, że zapłacił taką cenę, że teraz jest mu najgorzej ze wszystkich. Jak to przeżyć? Ty bardzo mi pomogłeś wtedy, przed aresztowaniem. Wciąż miałem w głowie twoje słowa: „Wszystko, co powiesz, obróci się przeciwko tobie. Milcz. Najlepiej – milcz”. I tego się trzymałem. A Siergiej Borysowicz, sam wiesz – uwielbiał mówić, nawet bajać. Wypsnęło mu się coś i nie miał już odwrotu. A może wyczerpały mu się siły. Nie będę go sądził.

Micha mówił gorączkowo i zawile, ale Ilja wszystko rozumiał. Po chwili milczenia nalał jeszcze po kieliszku i sam wypił.

– Ja też nie.

– Nie wiem, jak teraz żyć. Myślę, że najwłaściwsza była dla mnie praca z głuchoniemymi.

– Coś wymyślimy. – Ilja nie mówił tak pewnie jak zawsze. – A nie myślałeś o emigracji? – Po raz pierwszy zadał Misze to pytanie wprost.

– Emigracja tylko wtedy, gdyby trzeba się było ratować przed śmiercią. Ilja, najstraszniejsze, co może dla mnie być, to łagier. Jeszcze raz nie dałbym rady. Ale emigracja... Jestem stąd, tu mam wszystko. Przyjaciół, język rosyjski, sprawę...

– Sprawa? O czym mówisz?

Micha zmarkotniał:

– A jakże można bez sprawy?

Ilja też tego nie wiedział. Ale on nie miał sprawy, miał mnóstwo różnych spraw.

– Wiesz cò, róbmy wszystko po kolei. Najpierw się zatrudnisz, rozejrzysz, a potem będziemy myśleć, co

i jak. Już popytałem chłopaków. Szukają. Zaczniij od życia osobistego.

– Wychodzi na to, że trzeba wybierać. Mówiąc w przybliżeniu – między życiem osobistym a społecznym.

– Roją ci się w głowie romantyczne głupstwa. Dlaczego wybierać? Jak wybierać? To jakieś przedszkole. Nie ma żadnego wyboru – wstajesz rano, myjesz zęby, pijesz herbatę, czytasz książkę, piszesz swoje wiersze, zarabiasz pieniądze, spotykasz się z przyjaciółmi – gdzie tu wybór? W pewnej chwili poczujesz – tu jest niebezpiecznie. To znaczy, na razie się tu nie pchaj. Granice zawsze można dostrzec. A później się zastanowimy. Przecież nikt umyślnie nie pcha palca między drzwi! Czasem tak się zdarza. Ale trzeba się wywijać, żeby za dupę nie złapali. Oczywiście są amatorzy sławy, rozgłosu. Siergiej Borysowicz jest ambitny. Chciał mieć sławę, wpływy. Role. Ale są też przecież inni – Wołodia Bukowski, Tania Wielikanowa, jest Andriej Dmitriewicz*. Walera, Andriej, Alik, Arina... jest ich wielu! Oni nie dokonują żadnego wyboru – po prostu tak żyją, z dnia na dzień. Nie grają na siebie...

To, co mówił Ilja, brzmiało mądrze. Trudno zaprzeczyć. Ale coś było nie tak w tych jego rozważaniach. Micha to uchwycił.

– Co ty gadasz! Wymieniłeś tych wszystkich, którzy akurat dokonali wyboru, a kto z nich nie siedział, to będzie siedział. A ja do łagru już nie mogę. Więcej nie wytrzymam.

Ale Micha wcale nie musiał wybierać – wszystko stało się samo.

* Sacharow (przyp. tłum.).

Nastaly złe dni i dobre noce – tak wyraziste, że rozjaśniły pochmurne dni niezwykłą miłością Alony do męża. Miłością, która wreszcie zapłonęła. Dopiero teraz Micha odczuł, że Alona nauczyła się w końcu odpowiadać na jego miłosne usiłowania, powstał dialog, o którym dawniej nawet się nie śniło. Coś przesunęło się w głębi organizmu – a może duszy? A może urodzenie dziecka otwarło jakiś zamknięty dotychczas przepust i uwolniło naturalny pociąg kobiety do męża. Śpiąca córeczka ogrzewała ich swoją obecnością, nadawała jeszcze głębszy sens trwającemu szczęściu.

Życie intymne rozkwitło, wypełniło sobą ubogą codzienność. Ale wszystko to, co pozostawało na zewnątrz, nie rokowało żadnych nadziei. Micha nie miał pracy, pieniędzy, spraw, którymi żył przed więzieniem. Dom, zawsze pełen przyjaciół, moskiewskich i środkowoazjatyckich, wydawał się pusty. Nie wiadomo, czy przyjaciele bali się o siebie, czy o nich.

Nawet Sania prawie nie zaglądał. Czuł ulgę i urazę: Alona poniekąd go odrzuciła jak niepotrzebną rzecz. Teraz zaczął przypuszczać, czy to całe napięcie uczuć, jakie przez trzy lata wydawało się łączyć go z Aloną, nie było tylko jego wymysłem. Było mu przykro, że Majeczka też tak prędko się od niego odzwyczaiła, nie rzucała mu się już na szyję, nie targała za uszy. A może wszystkie kobiety powiązane są jakimś wzajemnym sojuszem?

W głowie Sani pojawiła się nawet jakaś mglista myśl o wielkiej wojnie kobiet przeciw mężczyznom. Coś jakby walka klasowa. Jedynie Niuta w tej wojnie nie uczestniczyła: kochała chłopców. Najbardziej oczywiście własnego wnuka, ale przecież pokochała i Michę,

i Ilję... Ciekawe, jak to było z jej mężami i kochankami – chyba nie prowadziła z nimi wojny.

A może to kwestia wieku? W młodości wojna, potem zawieszenie broni, a na starość kobiety i mężczyźni w ogóle uodporniają się na zranienie?

„Trzeba by to przedyskutować z Niutą” – jak zwykle pomyślał Sania, ale ta myśl potknęła się o urazę do Alony i Majeczki, które – obie! – tak uciążliwie, tak wymagająco kochały go przez całe trzy lata, a potem, po powrocie Michy, w ciągu dwóch tygodni ta miłość się urwała, jakby jej wcale nie było...

Sania już nigdy się nie dowie, co o tym myślała Niuta. A Micha nigdy się nie dowie, że Anna Aleksandrowna nie cierpiała Alony – w ogóle kobiet tego pokroju: słabych, wymagających, despotycznych, bezradnych, z wielkim talentem budzenia czułości, namiętności, miłości, ale niemal niezdolnych do wdzięczności i współczucia.

Wszyscy bliscy Anny Aleksandrowny teraz, po jej śmierci, usiłowali odgadnąć jej ewentualną reakcję na to czy inne zdarzenie, odtworzyć słowa, które wypowiedziałyby na ten czy inny temat.

Nadieżda Borysowna odsuwała od siebie myśl o tym, jaki wstręt musiałyby budzić u matki jej wybrańek Łastoczkin. Dopiero sześć lat później, kiedy Łastoczkin zacznie zamieniać ich duży pokój w komunalnym mieszkaniu przy ulicy Czernyszewskiego na dwa mniejsze, i dla dokonania sprawiedliwego podziału sporządzi spis majątku Niuty, od łyżek do bielizny pościelowej, Nadieżda się przerazi: jakie to szczęście, że mama tego nie dożyła, że Sania wyjechał...

* * *

Ale Anna Aleksandrowna też postąpiła okrutnie, czego żadną miarą od niej nie oczekiwano: odeszła, porzucając wszystkich – Sanię, Michę, Wasilija Inno-kientiewicza, córkę Nadię, która nie nauczyła się poruszać samodzielnie w świecie, nikomu nie zostawiła szczegółowych instrukcji, jak ma dalej żyć. Napisała, jak ją pochować, a co po pogrzebie? Jutro? Za miesiąc? Za rok?

Wszyscy chłopcy i dziewczęta, których Anna Aleksandrowna niezmordowanie, jakby tego nie zauważając, prowadziła przez życie, stracili lekkie, pogodne przywództwo, w złotych proporcjach zawierające lekkomyślność i mądrość, zdrowy rozsądek i pogardę dla niego, zaufanie do życia i ostre spojrzenie, błyskawicznie oceniające nowego, pojawiającego się przelotnie człowieka.

Podczas gdy Sania po śmierci babci pogrążał się w smutku, Micha jak owad przechodził ostatnie stadium metamorfozy: śmierć Anny Aleksandrowny zmusiła go, by ostatecznie stał się dorosły.

Teraz, gdy zabrakło Niuty, Micha próbował zrozumieć, dlaczego właśnie on został wybrany na świadka jej ostatnich chwil, i wciąż czekał, kiedy pojawi się rozwiązanie, kiedy odgadnie rebus i dowie się, jak ma dalej żyć w świecie, gdzie teraz chyba stał się najstarszy i nie ma już nikogo, kto mógłby mu udzielić odpowiedzi na trudne pytania.

Anna Aleksandrowna nie zdążyła mu powiedzieć czegoś ważnego i teraz on musi się domyślać sam.

Micha w cichości ducha, bojąc się spłoszyć niepewne szczęście, cieszył się kwitającym życiem rodzinnym, rozkoszował widokiem córki, bezskutecznie chodził po różnych instytucjach w nadziei otrzymania pracy.

Minęły już wszystkie terminy, zbliżało się oskarżenie o „pasożytnictwo”, podlegające karze wysiedlenia z Moskwy.

Przyszedł dzielnicowy Kusikow, żeby ponaglić Michę w sprawie zatrudnienia. Był to chłopak ze wsi, z resztkami niemiejskich rumieńców i przebłyskami człowieczeństwa na twarzy. Rozejrzał się. Długo oglądał szkice Alony. Dziwne. Dziwaczne. Micha, widząc jego zaciekawienie, powiedział, że żona jest artystką. Zrobiło to wrażenie. Milicjant nabrał szacunku do szczupłej dziewczyny. I w ogóle – żyją ubogo, ale kulturalnie. I nawet chciał im pomóc. I nagle Kusikow poczuł litość dla Michy i jego chudziutkiej żony.

Zaproponował, że załatwi Misze pracę tragarza w sklepie rybnym: znał tam kierowniczkę. Micha rozłożył ręce: dawniej pracował jako ładowacz, a teraz wzrok tak mu się pogorszył, że od noszenia worków może go całkiem stracić. Machinalnie dotknął okularów. Alona zaproponowała herbatę. Milicjant usiadł, rozstawiając mocne nogi w butach z cholewami po obu stronach krzesła. Majeczka jak urzeczona patrzyła na leżącą na stole czapkę. Na talerzyku przed Kusikowem położono dwa ciastka. Zjadł jedno, okazując dobre wiejskie wychowanie.

Wychodząc, Kusikow nadmienił z ubolewaniem, że ma na oku jeszcze jedną dobrą posadę, ale jest to stróżówka, a tam byłych więźniów wydział kadr nie przepuści.

– Dziwnie jest urządzone to sowieckie – a może rosyjskie? – życie: nigdy nie wiadomo, skąd napłynie donos, skąd pomoc i jak błyskawicznie zmieniają się role. Prawda, Alono?

Alona skinęła głową, włosy spadły jej na twarz:

– Tak, tak, od dawna o tym myślę. Wszystko jest takie chwiejne, tyle serdeczności i ciepła, ale do niczego to nie prowadzi, nic dobrego z tego nie wynika.

– Nie, ja mówię o czymś zupełnie innym – odparł Micha.

– A ja – o tym – mądrze uśmiechnęła się Alona. Pojawił się u niej nowy mądry uśmieszek, o wiele mądrzejszy niż ona sama.

Dwa dni później Kusikow przyszedł i zaprowadził Michę do jakiejś dziwnej instytucji, gdzie zatrudniono go w charakterze ekspedytora. Miał sortować i rozsyłać do różnych instytucji jakieś próbki, przysyłane z wypraw geologicznych.

Owa prawie bezmyślna robota, po pochłaniającej niemal całą energię pracy w internacie, po łagrowej katordze, niepozostawiającej ani krzty sił, miała niezwykłą zaletę: trwała od ósmej do czwartej, a czasem można było nawet wyjść wcześniej. Każdego dnia kończyła się ostatecznie, do następnego dnia, nie obciążała pamięci i całą duszę zostawiała wolną, i Micha miała jeszcze mnóstwo energii i cały czas do wieczora spędzał z Aloną, z córką... Czasem chodził do biblioteki, czytał wszystko jak leci, bez dawnej łapczywości, pozwalając, by cudze słowa dowolnie przezeń przepływały – raz Montaigne, kiedy indziej Bławatska albo Lao-Cy...

Wracał do domu na późną kolację. Majeczka spała, Alona w zielonej sukience, obcistej, ale z luźnymi rękawami, ledwie utrzymując w szczupłych rękach żeliwną patelnię, przynosiła z kuchni smażone ziemniaki.

W pokoju pachniało olejem, dziecięcym snem, czysto wymytą podłogą, szczególną wonią Alony – słodką i chłodną. Był to zapach prywatnego życia, rodziny, miłości.

Micha w pośpiechu zjadał ziemniaki, a Alona powoli piła ziołową herbatę, przeciągając trochę zakończenie dnia i nie popędzając nadejścia nocy.

Od Michy odpływało dawne życie z nieprawidłowościami i niesprawiedliwościami, wypiastowanymi ideami, z koncepcjami zmian. Skrucha Siergieja Borysowicza, choć zagmatwała dawne powiązania ideowe, w jakimś stopniu usprawiedliwiała kapitulację Michy. Jego życie upływało obecnie w zacisznej, nieco wstydliwej niszy między bohaterstwem jednych a zdradą innych. To, co jeszcze kilka miesięcy temu dręczyło go jako klęska i przeniwierstwo – podpisanie poniżającej rezygnacji z działalności społecznej – wydawało się teraz jedyną możliwością przetrwania i utrzymania rodziny.

Wszystko układało się od nowa i nawet w pracy ekspedytora – głupim, obcym mu zajęciu – znalazła się cecha pozytywna: Micha musiał czasem sortować zawartość przesyłek z różnymi próbkami minerałów: kolorowe glinki, ostre przezroczyste kształty, mieniące się metalicznie kamienie. Cudowne nazwy odległych miejscowości na przesyłkach, skąd nadchodziły te wszystkie geologiczne nowości z liczącej miliony lat historii: Małyj Storożok znad dopływu Lenoczki, góra Matiu-kowka z grupy złóż wsiewołodowilweńskich, dorzecze Szuldji na Uralu Północnym – te nazwy pieściły język. Micha napisał nawet kiedyś wiersz składający się wyłącznie z tych czarodziejskich nazw.

Wszystko toczyło się bardzo spokojnie, jakby w półmroku i na palcach. Mimo braku pieniędzy, ubóstwa, głęboko ukrytej wstydliwej rezygnacji z dawnego zuchwałego i barwnego życia, szczęście rodzinne rozświetlało ich czternastometrowy pokój i wszystko było

w bliskim planie, jak w pięknym filmie, jak w ulubionym wierszu:

I rzucał cienie światła krąg
Na wszystkie strony,
Splecionych nóg, splecionych rąk,
Losów splecionych.

Zsunięte z nóg stuknęły dwa
Małe trzewiczki,
Padła woskowa świecy łza
Na skraj spódniczki*.

Obok, o trzy minuty drogi, był zaułek Potapowski, po którym jeszcze chodziła niemłoda zniszczona kobieta, ostatnia miłość Pasternaka, która odsiedziała wyrok za tę miłość, a jej córka, która też odsiedziała swoje za współudział, chodziła do tych samych co Micha sklepów z pieczywem i warzywami. Mijając je na ulicy, szeptał Alonie do ucha: to jest Iwińska, a to Ira Jemielianowa, ona też kończyła naszą szkołę.

Alona odwracała się: otyła kobieta, umalowana, bez żadnych śladów dawnej urody, oddalała się w wytartym palcie. Czyż to naprawdę ona? Czy to możliwe? A przecież kiedyś była podobna do Simone Signoret.

Alona wymieniała spojrzenia z Michą: nie w zwykłym domu mieszkamy, ale w historii... Pasternak też chodził tym zaułkiem jakieś dwadzieścia lat temu. A sto pięćdziesiąt lat temu – Puszkina... I my tędy chodzimy, omijając wieczne kałuże.

* Borys Pasternak, *Świeca gorzała*, z *Wierszy Jurija Żywagi*, przełożył Andrzej Lewandowski.

Wiosną, w połowie maja, stało się coś nieprzewidzianego: po pierwszej w nocy trzasnęły drzwi windy i rozległy się cztery dzwonki – do Mełamidów. Micha z Aloną spali objęci, a obudziwszy się jednocześnie, pomyśleli nie trzeźwą głową, ale splątany nocnym instynktem: przyszli!

Objęli się mocniej, przytulili policzkami, piersią, kolanami, żegnając się całym ciałem, wstali równocześnie i zaczęli się ubierać. Dzwonki – znów cztery – się powtórzyły, jakoś nieśmiało. Znowu się objęli, ale już jakoś inaczej: nie żegnając się, lecz z nadzieją, że a nuż się uda.

We dwójkę, trzymając się za ręce, podeszli do drzwi. Micha otworzył bez pytania. Zamiast trzech, czterech, pięciu osiłków na progu stała drobna dziewczyna w jedwabnej zielonej chustce, z warkoczem z grubych, niemal końskich włosów, przewieszonym na pierś. Od razu ją poznali:

– Ajsze! Ajsze!

Była to tatarska dziewczynka, którą poznali kiedyś w Bachczysaraju, córka Mustafy Usmanowa, bohatera i przywódcy wysiedlonych Tatarów. Tylko już nie dziewczynka, ale młoda kobieta.

– Wchodź, wchodź, czemu nie zadzwoniłaś, wyszlibyśmy po ciebie...

Walizka, koszyk obszyty szmatką, upuściła rękawiczki, nie zdejmuj butów, w pokoju, w pokoju się rozbierzesz, dlaczego nie zadzwoniłaś, ile to lat, tak, cztery, pięć, córka się urodziła, i my też mamy córkę! wyszłam za męża, tak, zaraz, zaraz wszystko opowiem! Opowiem...

– Nie mogłam dzwonić. Bałam się. Aresztowali ojca.

Ma dobrego adwokata, on kazał mi jechać do Moskwy. Powiedział, że trzeba szukać profesora Sacharowa, żeby napisał list. Ale gdzie można znaleźć tego Sacharowa? Adwokat powiedział: trzeba narobić szumu za granicą, w radiu, czy gdzie tam. W Ameryce! I to szybko, bo ojciec ma odłamek w piersi, jak się ten odłamek poruszy, to umrze. A nasi Tatarzy się kłócą, ojciec jest komunistą, chociaż go dawno z partii wypędzili, ale on wciąż im mówi o Leninie. A te złe diabły go zgnoją. No to adwokat posłał mnie – jedź jak najszybciej, bo on nie dożyje do procesu... – I rozplakała się przez ten potok słów, polały się łzy niebieskie jak jej oczy, rześiste jak u małych dzieci.

– Ajsze, poczekaj, Ajsze, nie płacz...

Wolnego miejsca w pokoju starczyło akurat na łóżko polowe, wezgłowie dosunęli do samej ściany pod parapetem, przesunęli stół o dwadzieścia centymetrów i złożyli dziecięce krzeselko. Wypili herbatę, położyli Ajsze i zasnęli jeszcze na dwie godziny. Micha wstawał o siódmej, na ósmą chodził do pracy.

Z pracy zadzwonił do Ilji – musimy się spotkać. Gdzie? Jak zawsze. To znaczy w Ogrodzie Milutinowskim.

– Czy ona jest u was w domu? – Ilja się skrzywił. – To niebezpieczne. Ściągnie ogon. Trzeba ją gdzieś przenieść.

– Nie, to niemożliwe. Ta noc na cmentarzu w Bachczysaraju... I Mustafa... to niesamowity człowiek. Co będzie, to będzie. Znajdź mi, Iljusza, profesora Sacharowa. Potrafisz?

– Daj mi dzień – poprosił Ilja.

Ilja miał ogromny krąg przyjaciół i znajomych. Tro-

chę się nawet przechwalał swymi kontaktami, żartował: jeżeli nie liczyć Chińczyków, robotników i chłopów, to znam co drugiego człowieka na świecie. Tak się właśnie okazało z profesorem Sacharowem: niejaki Walerij, dawny znajomy Ilji, był ściśle związany z profesorem, obaj należeli do Komitetu Obrony Praw Człowieka. Rozdzwoniły się telefony to tu, to tam – Sacharow obiecał przyjąć Ajsze.

Trzy dni później Micha zawiózł ją na ulicę Czkałowa. Nie zawiózł, zaprowadził – szło się dwadzieścia minut w jedną stronę. Ajsze przez całą drogę nie mogła opanować drżenia, ze zdenerwowania rozboleła ją głowa, a przed samymi drzwiami się rozplakała. Gdy Micha ją pocieszał, drzwi się otwarły i wyrostek z wiadrem na śmieci zapytał, do kogo idą, a otrzymawszy odpowiedź, wpuścił ich i poprosił, żeby nie zatrzęsnęli drzwi.

Wszystko, co było dalej, wydawało się i Misze, i Ajsze zupełnie nieprawdopodobne. Ajsze nawet przeszło przez myśl, że ktoś sobie z nich zakpił: chudy, niepozorny człowiek w starym swetrze, zupełnie niewyglądający na członka Akademii Nauk, przyjął ich, siedząc na łóżku w malutkim, strasznie zagraconym pokoju. Ajsze tak mocno się jąkała, że Micha musiał sam opowiedzieć całą historię Mustafy, zaczynając od ich poznania się w hotelu w Bachczysaraju.

Akademik – czy też samozwaniec, który podawał się za akademika – słuchał z uwagą, ze zrozumieniem kiwał pochyloną głową, zadawał pytania, wykazując pełną orientację, potem na kawałku kartki zapisał imię i nazwisko i zaproponował herbatę.

Przenieśli się do kuchni, gdzie gospodarowała niemłoda kobieta w grubych okularach.

W kąciku siedziała staruszka we włóczkowej czapce, a wyrostek, który wyciął wiadro, wziął szklanke herbaty oraz kilka herbatników i poszedł w głąb korytarza.

Ajsze dotknęła taniego kubka w groszki i wypowiedziała to, co ją najbardziej nurtowało przez ostatnie pół godziny.

– Andrieju Dmitrijewiczu, nie wyobrażałam sobie, że tak skromnie żyją członkowie Akademii.

Micha się zaczerwienił z oburzenia: co za głupia prowincjuszka!

Starsza pani w okularach się roześmiała:

– Dziecinko! Skromnie żyją tylko ci akademicy, którzy piszą listy w obronie wysiedlonych Tatarów.

Wtedy Ajsze zrozumiała, jakie głupstwo palnęła, zarumieniła się, pot wystąpił jej na twarz:

– Przepraszam, ja przecież wszystko rozumiem. Po prostu nie uprzedzono mnie, że tak się zdarza.

Tymczasem przyszła młoda para – córka gospodyni z mężem. W kuchni wszyscy się nie mieścili, więc Micha z Ajsze wyszli, zwalniając taborety.

Profesor obiecał napisać list w sprawie Mustafy Usmanowa, a także doradził Ajsze, żeby udzieliła wywiadu jednemu z amerykańskich dziennikarzy akredytowanych w Moskwie. Obiecał to zorganizować.

Najbardziej niesamowite w całej tej historii było to, że profesor Sacharow rzeczywiście napisał list, i to nie do kongresu amerykańskiego i nie do jakichś zachodnich gazet, ale do MSW, a po dwóch tygodniach zaproszono go do kancelarii na ulicy Ogariowa, i tam w sprawie kapitana Usmanowa rozmawiał z jakimiś dwoma wysokimi urzędnikami; był to jeszcze okres, kiedy z nim rozmawiano, nie prześladowano go, nawet

udawano szacunek. Profesorowi rzeczywiście coś nie-
coś się udawało: niedawno na jego pisemną interwen-
cję zameldowano na Krymie rodzinę tatarską. Jedną
z wielu tysięcy. A on chodził, prosił, pisał.

Tylko w przypadku Mustafy nie można było spraw-
dzić, czy słowa profesora odniosły jakiś skutek, czy nie,
ponieważ Mustafa Usmanow umarł w areszcie śled-
czym w Taszkencie półtora miesiąca później. Może list
profesora nie zdążył obronić byłego bohatera-Tatara,
obroncy ojczyzny i specprzesiedleńca, dlatego że pocz-
ta w naszym kraju działa ospale.

Ale Ajsze na razie się cieszyła, że udało jej się uzy-
skać ważne spotkanie, i miała nadzieję, że będzie lepiej.
Micha prowadził ją pod rękę, bo z przejścia ledwie się
trzymała na nogach, a ona dziękowała mu przez całą
drogę słowami zbyt bezpośrednimi i drewnianymi.
Dopiero pod samym domem Micha się zorientował,
że uporczywie podąża za nim człowiek o tak niewin-
nej twarzy, że nie pozostawiało żadnych wątpliwości,
skąd się wziął.

Dwa dni później wieczorem do domu Michy przy-
szedł zagraniczny dziennikarz o imieniu Robert. Od
akademika Sacharowa. Był w długim sowieckim pal-
cie, w miękkiej uszance i wyglądał raczej na rosyjskie-
go robotnika niż na waszyngtońskiego sławistę an-
tysowiecztwa, obciążonego polskim pochodzeniem.
Pili herbatę i rozmawiali, a małe magnetofon, cud
zachodniej techniki, stał na stole i nagrywał opowieść
Ajsze. Były Polak zachowywał się jak podrywacz, robił
do Ajsze słodkie oczy, prawił jej komplementy, a ona
rozkwitła, uśmiechała się, krygowała, mówiła swobod-
nie, a nawet zuchwale, zupełnie inaczej niż w kuchni
u Sacharowa.

Potem Robert wyszedł, wsiadł do taksówki, której uprzednio nie zwolnił, dojechał do swojego domu na prospekcie Lenina, wysiadł z auta i wtedy napadło na niego dwóch młodych osiłków. Wdał się w bijatykę, chociaż doskonale wiedział, że tego robić nie należy, że najwłaściwiej jest biec prosto do bramy. W wyniku tej bzdurnej awantury całą trójkę zabrano na milicję za chuligaństwo i chociaż wszystko skończyło się dla Roberta względnie pomyślnie – przetrzymano go przez noc w areszcie milicyjnym, a rano przyjechał amerykański konsul i uwolnił go – ale po tych wszystkich perypetiach magnetofonik przepadł i nikt go więcej nie widział.

Następnego dnia pod wieczór, gdy Ajsze poszła po zakupy do sklepu „Świat Dziecka”, zajrzał do Michy dzielnicowy Sława Kusikow, rozejrzał się, zobaczył kosz, w którym Ajsze przywiozła melon i winogrona, oraz fibrową walizkę, podreptał w miejscu, potem delikatnie wyprowadził Michę na klatkę schodową i powiedział:

– Misz, słuchaj... Byli tu, pytali, kto u ciebie mieszka. Dostało mi się. Niech ona jak najprędzej wyjeżdża...

Micha jeszcze tego wieczoru odprowadził Ajsze na Dworzec Kazański i wczesnym rankiem wyprawił ją bez biletu do Taszkientu, załatwiając jej za gotówkę miejsce w przedziale konduktora.

Dwa dni później Micha wyjął ze skrzynki pocztowej wezwanie – zapraszano go na Łubiankę, na spotkanie z kapitanem Safjanowem.

Alonie Micha nic nie powiedział, ale Ilji, specjalnie spotkawszy się z nim w stałym miejscu, pokazał wezwanie.

– Uprzedzałem cię: nie trzeba było Ajsze trzymać w domu. Mają cię przecież na celowniku.

Micha niespodziewanie wybuchnął:

– To miałem dziewczynę wygonić w środku nocy, tak uważasz? Są sytuacje, kiedy nie można powiedzieć „nie”.

– Micha, jesteś jak dziecko, słowo daję! „Tak” też nie wolno było powiedzieć! Przecież cię uprzedzałem! Mówiłem, żeby do Sacharowa poszła sama, bez ciebie! I co ci strzeliło do głowy, żeby przyjmować w domu korespondenta? Popełniłeś tyle błędów, że teraz za to bekniesz. Czasy są teraz takie, że gorzej nigdy nie było. Prawie wszystkich zgarnęli. I Tatarów, i Żydów. „Kroniki” też już nie wydają – nie ma kto. Kiepski czas wybrałeś na okazywanie szlachetności.

Micha zmarkotniał:

– Tak, tak, oczywiście. Tylko że inaczej się nie dało: nie mogłem jej wypędzić na ulicę, nie mogłem posłać do ciebie, a tego, że Robert przyszedł do mnie do domu, rzeczywiście można było jakoś uniknąć. Ale wszystko inne – tylko tak, Iljusa. Nie inaczej!

Ilja milczał zachmurzony. Co mógł zrobić dla przyjaciela?

– Słuchaj, znam jednego faceta, geologa. Może byś pojechał na Północ, do geologów? Warunki są tam oczywiście trudne. Ale Jakucja – och, jak to daleko...

– Nie, nie mogę. Alona. Majka. Zresztą, w ogóle – przed nimi nigdzie się nie da ukryć.

– Chcesz, to pojedę z tobą do Jakucji? – Nic więcej Ilja nie mógł zaoferować. Zresztą nic większego nikt by nie potrafił zaoferować. Ale Ilja rozpoznał znane sobie metody i czuł, że Micha teraz się nie wyplącze.

* * *

Kapitan Safjanow nie nadawał się do prowadzenia obserwacji zewnętrznej – na prawym policzku miał wielki bordowy pieprzyk, a raczej narośl. Widoczny ze stu metrów. W pracy śledczej ta narośl nie przeszkadzała, więc Safjanow spokojnie piął się po szczeblach kariery, nikomu nie stawał na drodze, w pełni zadowolony i z pensji, i ze zwierzchników, i z życia rodzinnego.

Najbardziej nieprzyjemną częścią pracy byli znajdujący się pod śledztwem, ale z nimi też Safjanow starał się, w miarę możliwości, utrzymać dobre stosunki. Chociaż nie zawsze się to udawało.

Wezwany na dziś obywatel Melamid trafił mu się w spadku po innym funkcjonariuszu, który awansował. Kapitan przestudiował wcześniej opasłą teczkę personalną tego Michieja Matwiejewicza i się zmartwił: sądząc z papierów, był to człowiek doświadczony, z którym trzeba się będzie pomęczyć.

Doświadczony człowiek przyszedł punktualnie, nie spóźnił się ani o minutę, a wyglądał jak wróbelek: chuda szyja, żółto-rude nastroszone piórka, a policzki pokryte dawno niegolonym zarostem, który już pretendował do miana bródki. Na fotografiach żadnej brody nie utrwalono.

„Trzeba będzie włączyć do akt nowe zdjęcie” – uznał Safjanow.

Kapitan rozpoczął rozmowę z daleka, przypomniał o zobowiązaniu, zapytał o zatrudnienie, o dalsze plany i – zręcznym, nieoczekiwanym ciosem:

– Znacie Ajsze Mustafiewnę Usmanową?

Ale ten cały Melamid zaczął się wypierać i wykręcać. Tak samo zachowywał się na ostatnim przesłuchaniu, kiedy miał konfrontację z Czernopiatowem – tak wynikało z dokumentów. Przez półtorej godziny klu-

czyli dookoła, a potem Safjanow, zmęczony przeciągającą się rozmową, wyjął z osobnej teczki ostemplowany zagranicznymi pieczęciami arkusz i powiedział z udawanym smutkiem:

– No cóż, Michieju Matwiejewiczu, nie widzę u was żadnej chęci pomożenia nam w pracy, i bardzo mi przykro z tego powodu. Naradziliśmy się w waszej sprawie, omawialiśmy waszą sytuację i uznaliśmy, że z naszej strony nie będzie żadnych przeszkód, jeżeli wy, ze swej strony, zdecydujecie się opuścić terytorium naszej ojczyzny. Nie jesteście naszym człowiekiem, Michieju Matwiejewiczu. Co jest nawet dziwne: ojciec zginął na froncie, a wy nie okazujecie żadnego szacunku... – Safjanow mówił z pewnym trudem. – Słowem, nie będę przed wami ukrywał, że dla was z rodziną nadeszło zaproszenie z państwa – tu zrobił znaczącą pauzę, przełknął ślinę i wymówił ze wstrętem: – Izrael. – Zaakcentował „e”, co zabrzmiało złowieszczo. – Stara się o to wasz krewny, Marlen Kogan – znacie takiego? W celu połączenia rodziny zaprasza was z żoną i córką. Proszę, zapoznajcie się.

Podał Misze elegancki dokument. Micha wziął go do ręki, zbliżył do samego nosa. Zaproszenie było sprzed trzech miesięcy. A zatem poniewierało się gdzieś w Urzędzie Wiz i Rejestracji Cudzoziemców lub w KGB, a teraz postanowiono nadać mu bieg.

– Jest już nieaktualne, towarzyszu kapitanie – zauważył Micha.

– No, to zależy od nas. Możemy przedłużyć – postukał w telefon. – Zależy od nas... Nie będziemy stawiać przeszkód. A wy się zastanówcie. Macie przecież nad czym się zastanawiać. Nie dotrzymujecie słowa – podpisaliście, że nie będziecie się zajmować żadną taką dzia-

łałnością. A co widzimy? Zatrzymują się u was ludzie niepożądani, bez meldunku, bez odnotowania, chodzą do akademika Sacharowa, on pisze za granicę różne paszkwile. Przyjmujecie zagranicznych korespondentów, a kto wam na to pozwolił? Wyjedźcie! Przecież to dla was lepiej! Jeżeli zostanie wszczęte postępowanie, to tym razem nie wykręcicie się trzyletnim wyrokiem, Michieju Matwiejewiczu. Czemuż się wahacie? Wszyscy wasi wyrywają się do Izraela! Za taką propozycję całowaliby nas po rękach! No, dobrze, dobrze, zastanówcie się! Nie damy wam dużo czasu do namysłu, ale przez trzy dni się zastanówcie. Jak nie wyjedziecie, to was zamkniemy. Chociaż jest pewna możliwość... Proszę wziąć długopis, papier i napisać szczere przyznanie się do winy: o waszych kontaktach z Tatarami, o Mustafie Usmanowie i o tej Ajsze, i jak poszliście do akademika Sacharowa, i co tam robiliście, i o tym, co robił u was Robert Kulawik, rzekomy Amerykanin, polaczek. Dokładnie, bez pośpiechu wszystko tu napiszcie i prawdopodobnie rozstaniemy się w zgodzie. Ale obiecać nie mogę. Postaramy się. Wy się postaracie i my się postaramy.

Potaął swoją bordową gulę wierzchem dłoni, a Micha pomyślał, że kapitan jest człowiekiem nerwowym. „A ja chyba w ogóle nie mam nerwów”.

Micha się uśmiechnął, położył zaproszenie na biurku. I przycisnął z góry ręką, jakby mogło sfrunąć.

– Zrozumiałem, towarzyszu kapitanie. Zastanowię się. Czy mogę iść?

– Idźcie, idźcie. Czekam na was w poniedziałek, proszę przyjść o trzeciej. – Podpisał przepustkę Michy. – Osobiście radzę, żebyście się dobrze zastanowili. Drugi raz takiej propozycji nie będzie!

* * *

Wyszedł. Zima? Wiosna? Która godzina? Czy to późny poranek? Czy wczesny wieczór? Kitaj-gorod? Bulwary? Łubianka?

O Boże, nie daj mi zwariować...

Nie, nie, to nie to...

Kiedy zaniknie zamroczenie
Z duszy cierpienie, ból uleci?
I kiedyż ujrzę zakończenie
Przez diabła zarzucanych sieci?
I kiedyż demon co sprowadza

Śmiertelny sen na rozum mój...*

Zapomniał. Zapomniał, jak tam było dalej u Baratyńskiego...

Chodził dookoła, to oddalając się od domu, to zbliżając, i wciąż nie znajdował w sobie sił, żeby wrócić do domu i powiedzieć Alonie to słowo – emigracja.

Wreszcie zebrał się w sobie i opowiedział wszystko: i o wezwaniu, i o niespodziewanej propozycji. Alona wysłuchiwała. Twarz nieprzyjemnie jej się zachmurzyła. Odwróciła oczy, opuściła rzęsy, pochyliła głowę tak, że włosy opadły jej na twarz, i wyszeptała:

– Zawsze tego chciałeś. Teraz wiem na pewno, że zawsze tego chciałeś. Ale musisz wiedzieć: my z Majecką nigdy i nigdzie stąd nie wyjedziemy...

Ale nie chodziło o słowa. Chodziło o to, że nagle

* Jewgienij Baratyński, *Kiedy zaniknie zamroczenie...*, przełożyła Krystyna Kurczab-Redlich.

zmieniła się na twarzy, stała się zamknięta, podejrzliwa i obca. Brwi jakby się jej wydłużyły, wargi ściągnęły się w cienką kreskę – i odziedziczona po ojcu kropla kaukaskiej krwi – dumna, a może dzika – wystąpiła na twarz, jak występuje opalenizna. Alona położyła się na tapczanie i odwróciła twarzą do ściany.

Od tego czasu przestała się myć, jeść, ubierać, rozmawiać, ledwie dowlekała się do klozetu, niepewnymi, drobnymi kroczkami wracała na tapczan i znów się odwracała do ściany. Depresja była tak wyraźna, wręcz podręcznikowa, że Micha sam postawił diagnozę. Nawet popłakiwanie Majeczki nie potrafiło ściągnąć Alony z tapczanu. Micha był zagubiony i zrozpaczony. Miotał się przez kilka dni między pracą, dzieckiem, kłopotami domowymi. Przyjechała Żenia Tołmaczowa. Z nią Alona też nie chciała rozmawiać, ale pomoc przyjmowała, jakby jej nie zauważając. Znów pojawił się Sania, na telefon przybiegł Ilja.

Ilja rozejrzał się dookoła, wzniósł oczy do nieba, poszukał czegoś w niewidzialnej przestrzeni i sprowadził psychiatrę Arkaszę. Akrasza też należał do swoich, do dysydentów, układał listy protestacyjne i demaskował system sądowo-psychiatryczny. Już rok temu pozbawiono go posady i pracował teraz jako sanitariusz w podmiejskim szpitalu. Zalecił natychmiastową hospitalizację, a gdy spotkał się z kategorię odmową, przepisał mocne leki psychotropowe.

Majeczka tarmosiła Alonę, ale Alona pozostawała obojętna wobec wszystkich, w tym i córeczki. Micha już od dwóch tygodni zabierał córkę ze sobą do pracy. Nie poszedł na umówione spotkanie do Safjanowa, a skrzynki pocztowej, gdzie – wiedział! – leżało kolejne wezwanie, nie otwierał.

Pod koniec tygodnia milczącego leżenia Alony niespodziewanie przyjechała jej matka, Walentyna Iwanowna; przyjechała z rizańskiej wsi, dokąd był zesłany Siergiej Borysowicz. Nie wiadomo, co ją nagle poderwało z miejsca. Zapewne instynkt macierzyński. Przerazona sytuacją, dopytywała się, co się stało, lecz Alona nie chciała z nią rozmawiać.

Walentyna Iwanowna pamiętała pewne dziwne epizody z dzieciństwa córki, toteż niezbyt silnie nalegała i uczyniła to, co mogła – zabrała z sobą Majeczkę. Micha oczekiwał wielkiego dziecięcego krzyku, ale teściowa zachowała się bardzo mądrze: szepnęła dziewczynce, że na wsi ma żywą kozę, białego kotka i pstrokatą kurkę, więc Majeczka, skuszona domowym zoo, chętnie pojechała z babcią. Alona pożegnała się z nimi sennie i znów zapatrzyła się w ścianę.

Do Safjanowa Micha trafił dwa tygodnie po wyznaczonym poniedziałku, powiedział, że żona choruje, i Safjanow mu uwierzył: Micha wyglądał na udęconego. Oznajmił, że propozycji wyjazdu nie może przyjąć, żona nie chce jechać, zresztą on sam też nie jest gotów.

Safjanow się zdziwił, nachmurzył, zaczął pocierać swoje znamię i z natężeniem myśleć. Potem wezwał telefonicznie asystenta i wyszedł. Po jakichś czterdziestu minutach wrócił, wściekły, odesłał asystenta i poprowadził rozmowę w nowym stylu. Teraz groźby były niezamaskowane i całkiem określone:

– Materiałów przeciwko wam, Michieju Matwiejewiczu, zebrała się cała góra. Nie mówię już nawet o Tatarach. Zeszłym razem potraktowano was łagodnie. Tym razem tak łatwo wam się nie uda.

Położył przed sobą plik szarego papieru:

– Rozmowy się skończyły. Dość już sobie pogwarzyliśmy. Teraz będzie przesłuchanie. Do protokołu.

– Nic nie będę mówił. Skoro macie przeciwko mnie materiały, to o czym mam mówić? – nie patrząc w twarz Safjanowowi, cicho powiedział Micha. Milczał przez dwie i pół godziny.

Gdy szedł do domu, dwukrotnie mignęła mu znajoma narośl na policzku: czyżby Safjanow osobiście go śledził? To było niemożliwe, lecz jego twarz mu się zwidywała, pojawiała gdzieś z boku.

Do domu przyszedł późno. Podał Alonie herbatę, zrobił jej kanapkę. Uniosła się na poduszkach, wypita herbatę. Jeść nie chciała, rozmawiać też nie chciała.

Po jedenastej przyszli Ilja z Sanią. Siedzieli we trójkę, jak za dawnych czasów. Micha powiedział, że od kilku dni jest śledzony, boi się, że lada dzień go aresztują. Telefon na pewno jest na podsłuchu.

Zatopił palce w strzępiastych kędziorach – jedy-
nym, co miało w ogóle jakąś objętość – cała reszta była
całkiem płaska, profil – karton. Od kiedy Alona zachorowała, przestał się golić.

Kościstą ręką podrapał się po rudawej brodzie:

– Co mi radzicie?

– No co, co? Przecież proponowali ci emigrację? Myśle, że musisz jechać, tu nie dadzą ci żyć. – Sania był przekonany, że i on sam tu nie wyżyje. Ale jemu, Rosjaninowi, nikt emigracji nie proponował.

– Tak, to jedyne wyjście – potwierdził Ilja.

Micha wskazał wzrokiem leżącą tyłem do nich Alonę:

– Czy wy nie rozumiecie? Ja nie mogę, nie mogę. I Alona nie może. – Wyglądał na zupełnie zaszczutego.

– Wiesz, co ci powiem? Tylko wysłuchaj mnie bez hysterii, poważnie. Jedź sam – powiedział Ilja.

– Zwariowałeś? Rodzinę mam zostawić? Czy ty wiesz, co mówisz?

– Alona potem oprzytomnieje i przyjedzie – jak zwykle z przekonaniem oznajmił Ilja.

– My ją spakujemy i wyprawimy – niepewnie dodał Sania.

– A idźcie do diabła! Bzdury opowiadacie. Sytuacja jest całkiem bez wyjścia. Już gorzej być nie może.

Sania uściskał go po dziecięcemu, przytulił policzek do kłującej brody i powiedział błagalnie:

– Micha, prosimy cię. Jeżeli nie masz litości dla siebie, to ulituj się nad Aloną i Majką. Alona oprzytomnieje i pojedzie za tobą. To jest szansa! O, gdyby mnie to zaproponowano! W jednej chwili! Jak wicher! Proszę, wyjedź! Niuta powiedziałaaby to samo!

Wyszli od Michy po drugiej w nocy. Sania na rauszu, Ilja trzeźwy.

– Posłuchaj, Sania, co ci powiem. Kiedyś mi już zarzuciłeś, że to moja wina. No, że go wsadzili. No więc, rzeczywiście jestem winien, tylko wcale nie tego, co mi przypisujesz.

Sania zatrzymał się i pokręcił głową, otrząsając się z zamroczenia. Był człowiekiem niepijącym i pił w wyjątkowych przypadkach, z konieczności.

– Oczywiście, nie mam czystej kartoteki. Ale i Micha, i ty jesteście dla mnie jak rodzina. Nawet więcej. Rozumiesz chyba, że w żadnych okolicznościach was nie wydam?

– Iljuszka, nawet mi to do głowy nie przyszło. Mówiłem o tym, że to ty go w to wciągnąłeś, no, w to pi-

smo, w te wszystkie znajomości. O Boże, jak wy pijecie, chłopcy? Jakie to wstrętne!

Sania oparł się o Ilję, tamten czule go objął za ramiona i zaprowadził przez Bramę Pokrowską do domu. Wszyscy źle się czuli. Bardzo źle.

Co do jednego Micha się mylił – kiedy sądził, że gorzej już nie będzie. Nazajutrz stało się jeszcze gorzej. Kiedy przyszedł do pracy, wezwał go kierownik działu kadr, oznajmił, że zaginęło kilka przesyłek, i pokazał mu trzymaną w ręce paczkę kwitów:

– Widzi pan, tu jest pana podpis, pan wysyłał, a nic nie doszło! To są cenne okazy, tu jest podana wartość.

Kierownik zaczął mówić cichym głosem, ale szybko uniósł się gniewem i po trzech minutach już wrzeszczał i klął.

Micha w mig zrozumiał, co będzie dalej – zaproponują mu, żeby napisał podanie o zwolnienie. Tak się właśnie stało: albo składa pan wymówienie, albo oddajemy sprawę do sądu!

Micha napisał podanie o odejściu na własne życzenie i nawet nie poszedł do księgowości, żeby się rozliczyć. To była robota Safjanowa, na pewno.

Był wtorek, w czwartek miał się znowu stawić na wezwanie Safjanowa. Ale w środę zdarzyło się coś nieprzewidzianego. I zrobiło się jeszcze gorzej. Bez żadnego uprzedzenia, bez telefonu przyjechała z Riazania Walentyna Iwanowna. Przyjechała samochodem, sama za kierownicą. Było to dziwne: dawniej nie prowadziła. To znaczy, że zrobiła prawo jazdy. Przywiozła Majeczkę, ale wcale nie po to, żeby ją zwrócić rodzicom. Przyjechała po Alonę.

Dziwna to była historia. Alona, która od samego procesu nie chciała widzieć ojca, wstała z łóżka i potulnie zaczęła pakować rzeczy. Micha nigdy nie zauważył u niej takiej pokory. Zawsze wobec rodziców okazywała niezależność graniczącą z zuchwalstwem. Walentyna Iwanowna pomagała jej, pogadując łagodnie:

– I pokoik ci przygotowałam, okna wychodzą na ogród. Liza Jefimowa przysłała mi włóczkę, na czapeczki. Całe pudełko, dwadzieścia motków. Można nawet sweter wydziergać. Zobacz, zrobiłam Majeczce niebieską czapeczkę.

– Aha, niebieską – przytaknęła Alona.

Micha obserwował to pakowanie i nie potrafił wykrztusić słowa. Gardło miał ściśnięte. Walentyna Iwanowna nawet nie spojrzała w jego stronę. Jakby go tu wcale nie było.

– Wiesz, jak tata się zaprzyjaźnił z Majeczką? Mała chodziła za nim krok w krok.

– Tak, tak – mówiła Alona łagodnym, powolnym i zupełnie nie swoim głosem.

Micha wyniósł rzeczy, włożył do bagażnika niebieskiego moskwicza. Majeczka z ożywieniem pomachała mu rączką, Alona kiwnęła głową jak przygodnemu znajomemu. Micha nawet nie odważył się jej pocałować.

Nazajutrz musi znowu iść na spotkanie z Safjanowem i znów wysłuchiwać gróźb, całego tego obrzydliwstwa. Zdawał sobie sprawę, że znalazł się na krawędzi.

Rano Micha z przyzwyczajenia wstał wcześniej, ale nie musiał iść do pracy. Pustka była taka, że aż w uszach dzwoniło. A może ciśnienie mu się podniosło? Ze dwie godziny przeglądał swoje dawne wiersze.

„Kiepskie, jakie to kiepskie wiersze” – stwierdził bez szczególnej przykrości. Zapragnął część wyrzucić. Ułożył cały stosik – do wyrzucenia. Ale jakoś nie mógł się zdecydować.

Do kapitana Safjanowa przyszedł punktualnie. Tamten wyglądał uroczyście, jak przed świętem. Może mają jakieś święto? – pomyślał Micha. Ale nie, do rocznicy rewolucji jeszcze dwa tygodnie.

– Próbowaliśmy zrobić dla was wszystko, co możliwe, Michajeu Matwiejewiczu. Zaproponowaliśmy nawet to, co robimy w przypadkach wyjątkowych – wyjazd za granicę.

Micha potrząsnął głową, równocześnie pokazując na migi – nie. I nawet tego nie zauważył.

– Proszę tu spojrzeć. – Safjanow z daleka pokazał mu jakiś papier, Micha zdążył przeczytać: „Nakaz aresztowania”. – Nie wstawiono daty. Można podpisać w dniu dzisiejszym albo jutrzejszym. A tu są wasze zeznania. – Pomachał zapisanymi kartkami. – Nie składaliście ich. Tak, nie zeznawaliście... Zresztą możecie się zapoznać.

Micha wziął blankiet protokołu przesłuchania. Był to nowy wzór formularza, na arkuszu dużego formatu i złożony na pół. Topornymi słowami, z błędami gramatycznymi, babskim charakterem pisma sekretarki, z wytłuszczonym pogrubieniem każdej litery, napisano donos na osoby, których w znacznej części nigdy nie widział na oczy.

– To jest ostatnia rzecz, którą mogę wam zaproponować. Podpisujecie, a ja na waszych oczach podrę to – podsunął Misze pod nos nakaz aresztowania.

„Ryzykuję, ale może zyskam jeden dzień?” – pomy-

ślał Micha. – Kiedyś Ilja opowiadał o tym hipnotyzerze, jak on się nazywał? Aha, Messing*. Wszystko potrafił zasugerować. Co chciał. Nawet Berii coś wmówił... Czy coś podpisywał? Nic nie podpisywał, tylko pokazywał czystą kartkę papieru, a oni widzieli tam podpis”.

Wziął z biurka protokół przesłuchania i podpisał się. Był nauczycielem, więc przez lata, gdy podpisywał się w dzienniczkach uczniów, wypracował sobie wyraźny podpis, jak Wiktor Juliewicz – „M. Mela...”, a dalej długi zakrętas do góry.

Wziął długopis, napisał „N” podobne do „M”, postawił kropkę, a dalej – „Achuj” i zagiął zakrętas w górę. Wyszło bardzo podobnie...

– Proszę. Ale teraz muszę pilnie iść do żony. Żona leży chora. Proszę mi podpisać przepustkę – powiedział Micha szczególnym, wzmocnionym głosem i napiął jakąś część głowy, pod kością czołową, w samym środku.

Safjanow pogładził zaskakująco ładną, jakby nienależącą do niego ręką, podpisany przez Michę papier. Zatelefonował. Wszedł sierżant z przepustką.

„Podpisz, podpisz” – w myślach rozkazywał Micha Safjanowowi.

Kapitan podpisał przepustkę i Micha wycofał się tyłem do drzwi, wciąż nie spuszczać wzroku z kapitana. Wszedł razem z sierżantem. Teraz było mu wszystko jedno, kiedy zauważą żart. Zyskał czas!

Szybkim krokiem poszedł w kierunku bulwaru Czystoprudnego. Doszedł do domu lekki, prawie

* Wolf Grigoriewicz Messing (1899–1974) – polski i radziecki jasnowidz pochodzenia żydowskiego o rzekomych zdolnościach telepatycznych (przyp. red.).

nieważki, nie myśląc o niczym. Wszedł po schodach na piąte piętro. Było po czwartej. Winda znów nie działała.

Usiadł przy stole, chciał przejrzeć swoje wiersze, ale raptem poczuł, że nie ma na to czasu. Odsunął cały stół na bok. Dziecinne, dziecinne wiersze. Wkrótce będzie miał trzydzieści cztery lata. A wiersze wciąż jeszcze dziecinne. I dorosłych nie będzie nigdy. Ponieważ nie wydorostałem. Ale teraz właśnie nadszedł czas, kiedy mogę, pierwszy raz w życiu, dokonać czynu dorosłego człowieka. Uwolnić się od własnej bezmyślności i niezaradności. Uwolnić Alonę i Majkę od siebie, od swojej nieudolności, od całkowitej niemożności życia normalnym i pełnowartościowym życiem człowieka dorosłego.

Jakie to proste i pewne wyjście. Dlaczego nigdy wcześniej nie przychodziło mi to do głowy? Jak to dobrze, że nie ukończyłem jeszcze trzydziestu czterech lat. Przecież właśnie w wieku trzydziestu trzech lat Jezus dokonał czynu potwierdzającego jego absolutną dorosłość: dobrowolnie oddał swoje życie za ideę, która, prawdę mówiąc, nie wywoływała w Misze wielkiego zrozumienia – za cudze grzechy.

Decydować o sobie – to właśnie znaczy być dorosłym. A egoizm to znamię niedorosłości. Nie, nie chcę już być niedorosły...

Poszedł do łazienki, wziął prysznic. Włożył czystą koszulę. Podeszedł do okna. Ramy były spróchniałe, szyby brudne, ale parapet czysty. Otworzył okno – deszcz, półmrok, słabe, ubogie światło miasta. Latarnie jeszcze się nie zapaliły, tylko łagodnie migotały.

Zdjął buty, żeby nie zostawić brudnych śladów podszew, wskoczył na parapet, prawie się o niego nie opierając. Wymamrotał: „Imago, imago!”, i lekko zeskokczył w dół.

A skrzydła? Przez szparę w chitynie przeciskają się wilgotne ostrza złożonego sprzętu latającego. Skrzydło uwalnia się długim, płynnym ruchem, prostuje się, schnąc na powietrzu, i już jest gotowe do pierwszego wymachu. Siatkowate jak u ważki lub błoniaste jak u motyla, z zawiłym i doskonałym żyłkowanym wizerunkiem, prastare, nieumiejące się składać, albo nowe, składające się oszczędnie i niezawodnie. Skrzydlata istota odlatuje, pozostawiając na ziemi chitynową skorupkę, pustą trumnę lecącego. Nowe powietrze napęnia jego nowe płuca, nowa muzyka brzmi w jego nowym, idealnym organie słuchu.

Na stole pozostały jego okulary i kartka z ostatnim wierszem.

W rozbłysku nagłym za lat wiele
Pojmiecie, zem wam nie chciał wadzić,
I to, zem nigdy was nie zdradził.
Módlcie się za mnie, przyjaciele*.

Niewierzącego poetę żegnali jego wierzący przyjaciele – każdy po swojemu. W Taszkencie uczcili jego pamięć Tatarzy, odprawili żałobne nabożeństwo według obrządku muzułmańskiego. W Jerozolimie współwyznawcy Marlena zamówili kadisz i dziesięć

* Przełożyła Ewa Rojewska-Olejarczuk.

ciu Żydów odmówiło niezrozumiałe hebrajskie słowa, a w Moskwie Tamara, przyjaciółka Oli, zamówiła pani-chidę w cerkwi Przemienienia Pańskiego, gdzie służył wolnomyślny duchowny, który miał odwagę odprawić egzekwie nad samobójcą.

Twarz zmarłego była zakryta kapą. Ludzi było wiele i wszyscy płakali. Z opuszczoną głową stał Wiktor Juliewicz, łzy ciekły po nieogolonej, zmizerowanej twarzy byłego nauczyciela.

– Biedny chłopiec! Biedny Micha! Ja też tu zawiniłem...

Byłemu nauczycielowi towarzyszył jego przyjaciel z dzieciństwa Michaił Kolesnik. Stali razem – „trzy ręce, trzy nogi”, jak sami siebie nazywali.

Sania płakał, on zawsze łzy miał w pogotowiu. Ilja był z aparatem fotograficznym i fotografował ceremonię. Wszyscy znaleźli się w kadrze: nawet Safjanow ze swoją safjanową naroślą na policzku. Poniósł klęskę. Wielką klęskę!

Alony na pogrzebie nie było. Rodzice doszli do wniosku, że teraz, kiedy jest w tak ciężkim stanie psychicznym, nie należy jej informować o śmierci męża. Później, kiedyś później.

ROSYJSKA HISTORIA

W zimie, w pełni bożonarodzeniowych mrozów, dzieci Kostii zachorowały na odrę, a żona Lena dostała ostrego zapalenia miedniczek nerkowych. Matka Leny, Anna Antonowna, emerytowana krawcowa, która zawsze przyjeżdżała ze swojej Opalichy na pierwsze wezwanie, z powodu mrozów przyjechać nie mogła: trzeba tam było bez przerwy opalać dom, żeby rury nie zamarzły.

Tak więc, dopóki mrozy nie zelżały, Kostia biegał od łóżka do łóżka z lekarstwami, nocnikami, kubkami i talerzami. Lena nie chciała iść do szpitala, leżała płacikiem i cicho popłakiwała ze słabości i z żalu nad Kostią i dziećmi.

Potem zjawiała się Anna Antonowna, zakasała rękawy i puściła Kostię do pracy. Pojechał do laboratorium, pod jego nieobecność wszystko się zatrzymało. Kostia znów się uwijał, teraz już z powodu źle przeprowadzonej przez pracowników syntezy. Nie dopilnowano odpowiedniej temperatury i otrzymano zupełnie inny produkt. Ale jaki – to też było ciekawe. Chemia jest tajemniczą nauką i z błędnych doświadczeń rodzą się niekiedy ciekawe odkrycia.

* * *

W środku dnia zadzwoniono z domu: zaniepokojona teściowa oznajmiła, że przyjechała jakaś staruszka o dziwnym wyglądzie, w walonkach i przyniosła coś ważnego dla Kostii, ale nie chce zostawić. Mówi, że poczeka na powrót Kostii, żeby oddać mu to do rąk własnych. Siedzi w salonie, nie rozbiera się, nie chce jeść ani pić i strasznie śmierdzi. Kostik, przyjeżdżaj jak najprędzej.

Kostia zapytał, jaką dzieci mają temperaturę, i usłyszał, że spadła. Po pięciu dniach, gdy miały około czterdziestu. To oczywiście zbawienny wpływ Anny Antonowny. Swoją teściową Kostia już od dawna nazywał „walerianą” za jej uspokajające działanie na wszystko, co żyje, od złych sąsiadów do psów z sąsiedztwa, nie mówiąc już o dzieciach i roślinach. Serdeczna kobieta.

Kostia pokręcił się po laboratorium jeszcze godzinę i pojechał do domu, żeby zrobić porządek ze śmierdzącą staruszką.

Żadnego dokuczliwego smrodu w mieszkaniu się nie czuło. Pachniało baranim kozuchem, w tym kwaśnym wiejskim zapachu nie było nic szczególnie wstrętnego. Widocznie przyjezdna staruszka zgodziła się rozebrać i napić herbaty, sądząc z tego, że wielki stary kozuch leżał pod wieszakiem. Kostia chciał go powiesić, ale kozuch nie miał czegoś tak zbytkownego jak pętelka. Obok stały też podzielowane grube walonki. I też cuchnęły – mokrą wełną. Staruszka nie siedziała już w salonie, przeniosła się do kuchni. Piła herbatę, bardzo mocną, czarną.

Typowa wieśniaczka: w czterech chustkach, z których dwie miała na głowie – pod spodem czarną bawełnianą, na wierzchu szarą, wełnianą – trzecią obwiązała krzyż, czwartą ramiona.

– Dzień dobry, babciu – przywitał ją Kostia z uśmiechem; sytuacja była absurdalna. Stojąca za jego plecami teściowa Anna Antonowna potwierdzała tę absurdalność.

– Oto, babciu, nasz młody gospodarz, Konstatin Władimirowicz.

– Oj, dziecinko moja, wnuczku ty mój, niepodobny, zupełnie niepodobny jesteś do swojego dziadunia – rzewnie wysepleniła staruszka i rozplakała się tak, jakby Kostia właśnie był podobny do jakiegoś nieznanego dziadka.

Kostia jednak nie śpieszył się z pytaniami – niech komedia toczy się sama. Bo że to komedia, nie było najmniejszej wątpliwości. Babka, różowa, o oczach niebieskich jak turkusowe paciorki, kiwała głową w chustkach, we wszystkie strony naraz, jak chiński bożek – i z boku na bok, i w przód, i w tył. I klaskała w suche czerwone dłonie.

– Aj, Kostia, Konstantin, oto gałązka ostatnia, oto ona, z jakiego drzewa gałązka – nie wiadomo...

Kostia przejął gminną manierę i zapytał w tym samym duchu:

– A jak cię zwa, babciu?

– Nazywaj mnie mateńka Pasza, Paraskiewa. I twój dziadzio mnie tak nazywał...

– A jak po ojcu? – Kostia kontynuował zabawę, już odczuwając pewną niezręczność i kombinując, co wspólnego mogą mieć z tą śmieszną babką jego dziadkowie, ojciec mamy, nieboszczyk generał Afanasij Michajłowicz, i ze strony ojca Wiktor Grigorjewicz, lotnik, poległy na wojnie...

– Nigdy w życiu nikt mnie nie nazywał po ojcu – zawsze tylko Pasza i Pasza.

– No to o jakim dziadku mówicie? – zapytał bez ogródek Kostia.

– Ach, głupia ja, stara, nie o dziadku mówię, ale o twoim pradziadku, Naumie Ignatjewiczu po świecku, a dla nas on był Władyka Nikodem. – Staruszka poszukała wzrokiem, a nie znajdując odpowiedniego przedmiotu, przeżegnała się w stronę okna. – Obrońca nasz, a teraz na pewno też Orędownik Niebiański.

Dawno temu, gdy umarła babcia, przyszła do nich młodsza siostra babci Walentyna i przyniosła rodzinne fotografie z zamierzchłej przeszłości. Najlepiej zachowaną Ola kazała przefotografować. Powiększono ją na portret, który tak się Oli spodobał, że powiesiła go w sypialni. Teraz też tam wisiał.

– Chodźmy – Kostia skinął na staruszkę. – Coś wam pokażę.

I zaprowadził ją do sypialni, gdzie drzemała Lenka ze swoim zapaleniem miedniczek nerkowych, które już zelżało.

– Tylko cicho.

Ostrożnie, żeby nie skrzyknęły, uchylił drzwi i palcem wskazał na ścianę, na portret.

Staruszka spojrzała i padła na kolana:

– Batuszka, batuszka, i jaki młody! I jaki przystojny! Przy kości był, i z mateczką, i z dzieckami! A jak pomyśleć, ile musiał przecierpieć, to dech zapiera. Wszystko, wszystko przecierpiał i się uratował, i za nas się modli, nas ratuje...

Na wpół szeptała, na wpół śpiewała, a Kostii zrobiło się głupio, bo zupełnie nie potrafił jej współczuć – jakaś mglista historia, jakieś urywki, przemilczenia. Tak, tak, babcia wyrzekła się swojego ojca – duchownego – a on zginał w łagrach – tak chyba było. Mama coś mówiła, ale dokładnie nic nie było wiadomo.

A tymczasem staruszka odszukała rękę Kostii i zaczęła ją obcałowywać.

Lena się obudziła, uniosła się na poduszkach. W pokoju dzieciennym zaczęli popłakiwać Wierka i Miszka.

– Brednie, demencja, idiotyzm – rozzłościł się Kostia, wydzierając swoją potężną grabę z chwytnych czerwonych łap.

Staruszka znów padła na kolana, teraz już przed Kostią:

– Syneczku, pomóż, w tobie jedyna nadzieja. Od nikogo od nas nie przyjmują podań, mówią, że tylko rodzina może. A my byśmy chcieli ekshumować i na nowo pogrzebać. Dom jest mój, a nuż pójdzie do rozbiórki, a święta mogiła jest pod domem, akurat pod ołtarzem. A o zburzeniu który to już rok mówią. A w Patriarchacie powiedzieli: nie pomogą, bo on był katakumbnik*, i jeszcze mu Żywą Cerkiew przypisali**. Po ichniemu to on nie jest żaden biskup, ale jakby samozwaniec!

Lenka patrzyła i nie rozumiała – śni się jej ta bzdura, czy co?

Znowu poszli do kuchni, Anna Antonowna nakryła do stołu. Mateńka Pasza zjadła talerz barszczu, podziękowała i powiedziała, że jest syta i niczego więcej jej nie trzeba.

Potem zaczęli pić herbatę i trwała ta herbata do dru-

* Cerkiew katakumbowa – ruch przedstawicieli rosyjskiego duchowieństwa, którzy po 1920 r. odrzucili zwierzchnictwo Patriarchatu Moskiewskiego, oskarżając go o współpracę z władzami komunistycznymi (przyp. red.).

** Żywa Cerkiew (Renowacjonizm) – ruch w rosyjskim Kościele prawosławnym, domagający się reform w obrzędowości i prawie kanonicznym, traktowany przez rosyjską Cerkiew prawosławną jako ruch heretycki (przyp. red.).

giej w nocy. Kostia nie wszystko rozumiał z tego, co mówiła Pasza. Jakby rozmawiał z cudzoziemką; mateńko, powtórz, nie zrozumiałem, mateńko, co masz na myśli, wytłumacz...

A ona opowiadała, wyjaśniała, pokazywała, śpiewała, płakała, a w drzwiach cichutko stała Anna Antonowna z okrągłymi oczami.

Paszy daty trochę się myliły, z jej opowieści nie sposób było zrozumieć, kiedy dziadka wsadzano, a kiedy wypuszczano. Najpierw został zesłany, mieszkał w obwodzie archangielskim, owdowiał, wrócił w rodzinne strony, został aresztowany.

– A jak trafił na Sołowki, to go ordynowali – staruszka ze złości zmrużyła oczy.

– Co mu zrobili, mateńko? – przerwał Kostia.

– Wyświęcono na biskupa, oczywiście po kryjomu – i uśmiechnęła się, zdziwiona jego ignorancją, niezrozumieniem prostych rzeczy.

– Potem Władykę tuż przed wojną zwolnili, ale zanim dojechał do domu, znów go wzięli. Z łagru uciekł jeszcze podczas wojny i wiele lat ukrywał się w muromskich lasach, żył w pustelni. Wtedy właśnie moja mama przyprowadziła mnie do niego po raz pierwszy, a od tego czasu służyłam mu aż do końca życia. Jak moja matka mu służyła, tak i mnie nakazała. Dwa razy w roku pozwalał do siebie przyjeżdżać. Przychodzili do niego ludzie z całej Rosji. I duchowni, i świeccy. Pewnego razu napadli wrogowie – miał kotka i ten kotek ich naprowadził, wysłedzili. Znaleźli erem, rozwalili, ale jego samego nie zastali. O dziesięć kilometrów dalej inny starzec się ukrywał, bardzo chory, więc on poszedł do niego z komunią świętą. Władyka nie wrócił, ludzie go ostrzegli, wtedy jeszcze głębiej w lasy

się zaszył ze swojego świętego miejsca. Dobrzy ludzie mnie do niego doprowadzili. Mateńka moja już wtedy odeszła. Po raz drugi tam zostałam, żyłam obok niego wiele lat.

– W którym to było roku? – zapytał Kostia, bo mu się wydawało, że opowieść dotyczy jakichś zamierzchłych czasów, sprzed stu lat.

– Nie pamiętam. Od wojny tam żył, wiele lat. A w pięćdziesiątym szóstym roku – dobrze to pamiętam, przy mnie to się działo – ciężko zachorował, przepuklina mu uwięzła, już całkiem miał umierać. A my wszyscyśmy się modlili – moja mama jeszcze wtedy żyła, ale już dojsć do niego nie mogła. Były przy nim siostry Alewtina i Jewdokia, z Niżnego Nowogrodu Anna Leonidowna, jego córka duchowna i ja.

Batuszka się pożegnał i gotował na śmierć, a Anna Leonidowna nam przewodziła, mówi, lekarza sprowadzę. Jest taki jeden w Muromie. I przyprowadzili do niego lekarza – chirurga, wierzącego. To był dobry doktor, Panie, świeć nad jego duszą, młodo umarł. Na imię miał Iwan, chociaż Ormianin. Najpierw płakał, zarzekał się, że nie może choremu pomóc w takich warunkach, że trzeba go zawieźć do szpitala.

A było to zimą, Władyka miał ziemiankę wykopaną, pod pagórką. A wejście – jak do nory. Okna nie było, ciemno w dzień i w nocy, tak żył latami. Ziab w środku taki jak na zewnątrz. Piecyk był, ale na czarno się palił, komin baliśmy się wyprowadzić.

A jak go wieźć? Bez dokumentów, bez niczego, i do drogi bez mała dwadzieścia kilometrów pieszo. Zresztą sam Władyka nie chciał żadnej operacji. Okrutnie był wyczerpany, na śmierć czekał. I już miał lekarz całkiem odejść, a tu przepuklina pękła – wszystko zalała krew,

ropa. Lekarz zaczął oczyszczać ranę – trzy godziny oczyszczał. Pod koniec już myśleliśmy, że Władyka odejdzie. Leżał biały, bielszy niż śnieg, a lekarz wciąż badał puls, bał się, że umrze.

– Wyprowadźcie mnie stąd – mówi – i niech mnie ktoś odprowadzi do domu. Dam wam lekarstwo, ale trzeba go kłuć domięśniowo.

Siostra Alewtina go wyprowadziła, dotarła z nim do samego Muroma, i po dwóch dniach wróciła. Wszystko z sobą przyniosła – strzykawkę, igły, penicylinę. Iwan przysłał kurę i kaszę mannę. Chleb dla nas, jemu nie kazał dawać chleba. I jeszcze powiedział, żeby strzykawkę i igły odnieśli mu z powrotem. Może, powiedział doktor, zimno go ocali. Cud! Bóg go ocalił, a nie zimno. Oj, myśmy z siostrą Alewtiną zostały, wszystkich wygnały. I śmiesznie wyszło: ugotowałyśmy pół kury, a drugą połowę porwał lis, wprost z ziemianki – szast, prast! I śmiech, i łzy.

Przez trzy dni życie Władyki ledwie się tliło. A potem otworzył oczy i mówi:

– Już całkiem miałem odejść, ale On zostawił mnie z wami.

I miał się coraz lepiej, lepiej – aż wyzdrowiał.

W kwietniu przeniosłyśmy go do siebie. Zamieszkał u nas w domu i Raj Niebieski do domu sprowadził. Codziennie mszę odprawiał. W pierwszym roku trochę wychodził z domu – w lecie, żeby w nocy spojrzeć na niebo. A potem w izbie się zamknął, wychodził tylko mszę odprawiać. Miał taki malusieńki stolik. I mówił: niepotrzebny nam żaden relikwiarz, cała nasza ziemia nasiąknięta jest krwią świętych i pokutników. Gdziekolwiek byście się modlili – wszystko jest na kościach męczenników.

Żył według zakonnego porządku. Często w nocy się modlił, nie kładł się spać. A pod koniec nogi zaczęły mu mocno puchnąć – nie mógł stać, trzymaliśmy go pod ręce. A co ludzi do niego przyjeżdżało, przychodziło. Och, trzęsłyśmy się nieraz – a nuż pojماją! A on uspokajał: Pasza, nie pojماją. Ja tu z wami na wieki wieczne zostanę.

Osiem lat przeżył z nami. W sześćdziesiątym czwartym Władyka odszedł.

Pasza się przeżegnała. Twarz promienna, jakby się cieszyła.

– A ileż miał lat? – zapytał Kostia.

– Dziewięćdziesiąt. Może dziewięćdziesiąt jeden.

Ja się już urodziłem. Żyła babcia. Mógł mieszkać z nami, w rodzinie. Kostia wyobraził sobie biskupa w ciemnej sutannie z krzyżem – a obok nieboszczkę babcię Antoninę Naumownę. Tak, ojcowie i dzieci... Nie, to niemożliwe.

Opowieść dobiegła końca. Minęła już pierwsza w nocy, ale wciąż nie było wiadomo, po co mateczka Pasza przyjechała.

– Kostieńka, nie pojechałabym, ale wciąż mówią, że cała nasza ulica ma być wyburzona. Będą dawać mieszkania. A co będzie z mogiłką? Przecież jest pod naszym domem! Trzeba ekshumować i pochować na nowo. Mówię swoim: wykopujemy kosteczki i wywieziemy do lasów muromskich, gdzie się on ukrywał. A nasi mówią – trzeba pogrzebać w cerkwi, jako biskupa, bo czasy przyszły takie, że można dostać taki papier. Żeby go uwolnili od piętna, że siedział w więzieniu. Mam tu napisane to słowo... – Wydłubała w swoich chustach jakąś norkę i wyciągnęła grube zawiniątko w gazecie,

z niego papierek, na którym starczą ręką napisano słowo „rehabilitacja”.

Wreszcie Kostia zrozumiał, co ma robić: wystąpić o akta swojego pradziada (chyba w KGB – pomyślał od razu) i otrzymać zaświadczenie o rehabilitacji. Obiecał, że na pewno spróbuje. Spróbuje o wszystko się dowiedzieć i wnieść podanie.

Pasza pogrzebała w zawiniątku:

– A dla ciebie ten jeden dokument po nim został. Nasi postanowili, żeby oddać go tobie. Może tam o coś zapytają. – Wyjęła cienki pożółkły papierek – świadectwo ukończenia szkoły episkopalnej z 1892 roku na nazwisko Dierzawina Nauma Ignatjewicza...

– Mateńko, a kto to są „nasi”? Czy on miał jeszcze jakąś rodzinę? – połapał się w końcu Kostia.

– Jakąś rodzinę? Jednego syna, duchownego, rozstrzelali, inni, co się odcięli, też pomarli, młodszy umarł w dzieciństwie, a córki jego – sam wiesz... Mieliśmy taką swoją wspólnotę, patriarchy nie uznawaliśmy, ale już po wojnie ojczulek powiedział, żebyśmy chodzili do wspólnej cerkwi, bo innej teraz nie będzie. Ale swoim dawał komunię, nie odmawiał. I odprawiał nabożeństwa do samej śmierci. Kto nie mógł żyć bez niego, to i do niego przychodził. I teraz jest jeszcze kilku takich, które go czczą. Dlatego mówię – „nasi”.

Staruszka przenocowała na łóżku polowym i wczesnie rano wyjechała, pozostawiając po sobie zapach baraniego kozucha, który Kostii był raczej miły.

Trwał ostatni rok doktorantury. Udała się chyba nie tylko rozprawa doktorska, ale coś ważniejszego. Promotor marszczył nos, hamował wszystkie zamiary Kostii jak najszybszego napisania pracy.

– Synteza, synteza, synteza! Nie zatrzymuj się! Może już nigdy w życiu tak ci się nie powiedzie! Czy obronisz w tym roku czy w przyszłym, jaka to różnica, posadę dla ciebie już przygotowałem! Do roboty – naciskał szef, więc Kostia wciąż przeprowadzał nowe doświadczenia, a rezultaty były nieoczekiwane, wielce obiecujące. I, co najważniejsze, powtarzały się z dużą dokładnością.

Wśród tych zajęć Kostia zasięgnął informacji i dowiedział się, że trzeba iść nie do KGB, ale do prokuratury. Ludzie znający się na rzeczy mówili, że chyba jest już za późno: epoka rehabilitacji zakończyła się w końcu lat sześćdziesiątych, a duchowni w ogóle nie byli zaliczani do ofiar represji politycznych. Dopiero na wiosnę Kostia zebrał się w sobie i złożył wniosek o rehabilitację swojego pradziadka. Sympatyczny okrągłutki urzędnik prokuratury był życzliwy, przedstawił się jako Arkadij Iwanowicz i obiecał, że zażąda akt z archiwum i zatelefonuje. Zadzwoił po dwóch tygodniach.

Kostia stawił się o wyznaczonej porze. Urzędnik przywitał go niezwykle uprzejmie. Na biurku miał cienką teczkę.

– Konstantinie Władimirowiczu! Przez moje ręce przeszło ponad dwa tysiące akt i wiele różnych rzeczy widziałem. Ale akta pańskiego pradziadka są zupełnie niezwykle: otóż na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku uciekł z łagru i od tamtego czasu formalnie jest poszukiwany. To szczególny kazus prawny, nie miałem jeszcze takiego w swojej praktyce. Porozmawiam ze specjalistami, ale sądzę, że ucieczka w powiązaniu z tą okolicznością, że duchowny Naum Ignatjewicz Dierzawin nie został nigdy odnaleziony –

to duża przeszkoda do rehabilitacji. Nie mówiąc już o tym, że taką kategorią osób na razie się nie zajmujemy. Ta sprawa jednak bardzo mnie zainteresowała, spróbuję więc czegoś się dowiedzieć swoimi kanałami. Ale jest słaba nadzieja.

Kostia kiwał głową na znak całkowitego zrozumienia i cieszył się, że nie podzielił się z urzędnikiem tym, co sam wiedział: gdzie się ukrywał jego pradziad przez dwadzieścia lat, do samej śmierci. Wiedział, ale nie powiedział!

Kiedy wrócił do domu, czekał na niego list od matki Paszy. Jakby naumyślnie wycelowali – tego samego dnia! Prosiła, żeby natychmiast do niej przyjechał, bo zbliża się rozbiórka domu i co mają robić z mogiłą?

Minął tydzień, drugi, a Kostia wciąż nie mógł się wybrać, bo miał mnóstwo spraw, w tym także przenosiny do Opalichy do teściowej na lato. Lenka się denerwowała, jak zawsze, kiedy trzeba się było zbierać i przemieszczać: miała niewytłumaczalny strach przed podróżami, nawet niedalekimi.

Dopiero na początku czerwca, po przewiezieniu rodziny na daczę, Kostia wybrał się do mateczki Paszy. Dojechał do Zagorska, popodziwiał kopuły Ławry Troicko-Siergijewskiej i poszedł pod wskazany adres, po drugiej stronie torów kolejowych.

Była to wieś dawno już wchłonięta przez miasto, ulica nazywała się Podwojskiego czy Wojkowska. Po jednej stronie z wykopów wznosiły się przyszłe czteropiętrowe bloki, które na razie nie dorosły jeszcze do pierwszego piętra. Po stronie nieparzystej pracowała koparka. Domki były takie zmurszałe, że wystarczyło jedno uderzenie czerpaka, żeby się rozsypały. Dom nr 19 był jeszcze cały, czekał na swoją kolej. Nad siedemna-

stym pracowali operator koparki i jego pomocnik. Ciężarówka ze śmieciami i gruzem dopiero co odjechała.

Dom nr 7, wskazany w adresie zwrotnym na kopercie, już nie istniał.

Kostia usiadł na pniu niedawno ściętego drzewa, na wprost domu. W nowej dzielnicy drzewa wycięto, żeby nie psuły widoku i nie przeszkadzały w budowie.

„Spóźniłem się. Ten operator wczoraj albo przedwczoraj rozgrzebał ziemię czerpakiem, zagarnął kości pradziadka, wywalił na ciężarówkę i teraz spoczywają na miejskim śmietniku. Co za wstyd... I teraz to już na zawsze. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Czemu czekałem tyle czasu? I mama przed śmiercią prosiła, żeby ją skremować i prochy wysypać na grób Ilji, i tego też nie zrobiłem. Bo gdzież to Monachium? Gdzie ten grób? Miłość do ojczystych grobów... Kości pradziada na śmietniku... Taka to rosyjska historia... Tak, tacy jesteśmy...”

Jego uwagę zwróciło dochodzące warczenie. Odwrócił się skwapliwie, bo jego dusza szybko się zmęczyła tym całkiem mu obcym żalem. Na młodej trawie bawiły się dwa podrastające szczeniaki, prawie dorosłe psy. Szamotały się bez gniewu. Jeden trzymał potężną, ledwie mieszczącą się w paszczy kość, a drugi ją wyrywał i szturchał Kostię pyskiem w ramię.

Kość była dawno obgryziona – nie pożywienie, ale zabawka.

Siedział na pieńku i płakał z wstydu i ze złości na samego siebie.

Kiedy podniósł głowę, obok niego stały dwie starszeczki w chustkach.

– Nie płacz. Ty pewnie wnuczek będziesz? Paszeńka

wszystkie kosteczki spod podłogi wykopała, wymyła, owinęła płachtą i zawiozła do Muroma. Powiedziała: znajdę jaki erem i tam zakopię. Pojechał z nią Aleksasza Grigorjew, sama by nie uniosła. A my jesteśmy z tego tam domu, na samym skraju. Paszeńka powiedziała, żebyśmy tu siedziały i na ciebie czekały. No to siedzimy.

ENDE GUT

Na początku lat sześćdziesiątych pojawił się nowy typ cudzoziemców, do szaleństwa zakochanych w Rosji. Były ich setki. W Moskwie i Petersburgu dobrze ich znano.

Pierwsi pojawili się włoscy komuniści. Za nimi przyciągnęli różni inni Szwedzi i Amerykanie. Połykali haczyk z przynętą z Dostojewskiego i Tolstoja, Malewicza czy Chlebnikowa, w zależności od orientacji zawodowej. I jednych, i drugich pociągała tajemnicza słowiańska dusza – wrażliwa i mężna, irracjonalna i namiętna, z nutą wielkiego szaleństwa i ofiarnego okrucieństwa.

Otrząsnąwszy burżuazyjny kurz z nienaganych włoskich butów, zakochiwali się w rosyjskich pięknościach, nietkniętych zarazą feminizmu, żenili się, pokonując liczne przeszkody, wywozili je do Rzymu i do Sztokholmu i znów wracali na Siwcew Wrażek i na Polankę, a nawet do Końkowa-Dierewlewa. Cudzoziemcy ci znajdowali sobie rosyjskich przyjaciół od serca, przywiązywali się do ich rodziców i dzieci, przywozili im książki, lekarstwa, farby, smoczki, futra, papierosy... W zamian dostawali deficytowe albumy – ikony Andrieja Rublowa i freski Dionizjusza, czarny kawior

oraz pełną zachwytu, niezupełnie jednak bezinteresowną miłość.

Pierre Sand od festiwalowego roku pięćdziesiątego siódmego przesłał i przetransportował pocztą lub przez okazje swoim moskiewskim przyjaciołom mnóstwo różnych towarów: dzinsy, koronki, płyty... Płyty dla Sani, koronkowe brukselskie kołnierzyki dla Anny Aleksandrowny, dzinsy dla wszystkich trzech przyjaciół. W ten sposób częściowo zaspokajał swą miłość do porzuconej przez przodków ojczyzny.

Wśród sympatyków Rosji Pierre zajmował miejsce szczególne: był Rosjaninem, chociaż pochodził z bałtyckich Niemców, a jego tęsknota do Rosji miała charakter egzystencjalny, była nieuleczalna. Najprzykrzejsze dla Pierre'a było to, że jego rzadkie i skomplikowane uczucie zostało dawno opisane, nabite na szpilkę i spreprowane trzydzieści lat temu przez pisarza Sirina, i na dowód przysyłał swoim przyjaciołom książki tego nieznanego w Rosji autora, który do tego czasu zmienił pseudonim na swoje prawdziwe nazwisko*.

Swój „czyn” Pierre, tak samo jak bohater powieści** Sirina, spełniał, dostarczając do Rosji książki pewnego niewielkiego brukselskiego wydawnictwa. Głównie religijne. Była to praca społeczna, w rodzaju komsomolskiej. W sześćdziesiątym trzecim roku spędził w Moskwie pięć miesięcy w Instytucie Języka Rosyjskiego imienia Puszkina, gdzie cudzoziemców uczono rosyjskiego. Otrzymałszy akademik na ulicy Wołgina, Pietia uganiał się po Moskwie, łąził po różnych podejrze-

* Władimir Sirin – pseudonim literacki Władimira Nabokowa (przyp. red.).

** *Podwój*, tytuł ang. *Glory*, tytuł przekładu polskiego *Splendor* (przyp. red.).

nych norach z przyjacielem Ilją, z przyjacielem Sanią chodził na wspaniałe koncerty, a nawet raz z przyjacielem Michą pojechał do jego „głuchoniemego” internatu... Studiował ukochaną Rosję.

Po pięciu miesiącach ktoś zakapował Pietię – z powodu książek otrzymanych pocztą dyplomatyczną dla moskiewskich przyjaciół – i wydalono go z kraju jako szpiega. W Instytucie Języka Rosyjskiego podchodzono do tego surowo.

Skandal był dość głośny – ukazał się artykuł w gazecie centralnej, oskarżający go o szpiegostwo, działalność wywrotową i rozpowszechnianie antysowieckich. Widocznie oprócz donosu niczego nie było, same wyolbrzymione podejrzenia.

W ciągu tych pięciu miesięcy Pierre zdążył się zakochać w ładnej dziewczynie o imieniu Ała, o północnych oczach i słomianych włosach, ale nie dane im było się połączyć, czego Ała żałowała do późnej starości – postąpiła głupio: gdyby nie napisała na niego donosu, może i doszłoby do ślubu. Ale naciskano na nią, grożono, że straci miejsce w akademiku, że oskarżą ją o prostytutkę i w ogóle zgnoją. Dziewczyna, która raczej nie ufała władzy sowieckiej, w te groźby akurat uwierzyła.

W końcu wydalenie było znacznie lepsze od perspektywy Nabokova – „...i oto prowadzą mnie do wąwozu na śmierć”.

Po opuszczeniu w ciągu trzech dni ukochanej duchowej ojczyzny Pietia całą duszą wyrywał się do Rosji, tak jak tysiące wyrywały się z niej. Ale jednych nie wpuszczano, a innych nie wypuszczano.

Życie wszakże pchnęło Pietię w tamtych latach w przeciwnym kierunku geograficznym. Przypętał się do slawistyki i został zaproszony przez jeden z kalifornijskich uniwersytetów. Jego kontakty z moskiewskimi przyjaciółmi się nie zerwały, stawały się tylko coraz bardziej dorywcze. Nie przeszkodziło to Pierre'owi w otrzymaniu z Rosji w roku siedemdziesiątym, wkrótce po wydaniu w samizdacie, dziwnego poematu *Moskwa – Pietuszki*, nikomu nieznanego autora Wieniedikta Jerofiejewa.

Ilja się o to postarał. On też napisał list przewodni, w którym tłumaczył Pietii, że powieść ta jest najlepszym dziełem, jakie powstało w porewolucyjnej Rosji. Pierre z zapałem zgodził się z przyjacielem i zabrał do tłumaczenia. Po trzech miesiącach zrozumiał, że nie da sobie rady. Powieść okazała się dla niego za trudna. Im bardziej się w nią zagłębiał, tym więcej warstw w niej odkrywał.

Ogromny obszar kultury opierał się na zabiegu, plasującym powieść w sentymentalizmie. Były to zapiski rosyjskiego podróżnika. Ale nowo objawiony autor zbaczał od Radiszczewa i Gribojedowa Bóg wie dokąd – to w stronę Dostojewskiego i Błoka, to w pokłady języka gminnego, prostackiego i bezkompromisowego. Tekst był pełen cytatów – fałszywych, oryginalnych, przeinaczonych i szyderczych. Sąsiadowały w nim parodia z mistyfikacją, żywe cierpienie i prawdziwy talent.

Pierre napisał duży artykuł i wysłał go do czasopisma naukowego, gdzie go odrzucono. Nikt nie znał autora, a artykuł wydał się redaktorom zbyt odważny.

Pierre strasznie się obraził i mocno się upił. A gdy się upił, zaczął dzwonić do rosyjskich przyjaciół. Ilji i Michy nie zastał. Zastał w domu Sanię. Ten opowiedział mu o tragedii: Micha się zabił. I dodał do tego kilka zawiłych zdań – w tym sensie, że życie straciło sens, skoro odchodzą najbardziej ukochani i najlepsi. Więc w samym sensie nie ma żadnego sensu...

Pierre wytrzeźwiał. Powiedział, że wymyśli dla Sani jakieś wyjście. Coś konstruktywnego. Że przegadał już dwutygodniową pensję. I że musi natychmiast dopić to, co jeszcze zostało w butelce. I żeby czekał na telefon od jego przyjaciela Jewgienija...

Sania od razu zapomniał o tej rozmowie, jak gdyby to on był pijany, a nie Pierre. Dopadł go smutek, jak dopada człowieka gorączka. Potrafił tylko leżeć na kanapie Niuty, wbijając niewidzący, zupełnie nieobecny wzrok w gobelin starej kanapowej poduszki i chwycić jakieś wzrokowe echa splotów i różnokolorowych nici – niebieskich, słomkowych, liliowych – dalekich od tkanego wizerunku kosza z kwiatami, bukietu, przewiązanego wijącą się wstęgą.

Kiedy po raz ostatni wyszedł z domu? Na pogrzeb Niuty? Do cerkwi na czterdziestodniowe nabożeństwo? Tak, w cerkwi był Micha, stał obok i płakał, a Sania już nie mógł. Ponieważ możliwość reagowania się wyczerpała i nic już nie czuł oprócz potwornej obcości wszystkiego dookoła. Tak, najpierw Niuta, a potem Micha. Pozostała mama, którą za każdym razem musiał poznawać od nowa. Raczej się tylko domyślał, że to jest ona. Czule, z obawą, ufarbowana na brunetkę Nadieżda Borysowna podchodziła rano, przed pracą,

do śpiącego Sani, stawiała herbatę i kanapkę z serem. Wieczorem – talerz zupy.

Sania czasem zjadał to, co mu podano, zupełnie tego nie zauważając. Łyk, kęs. I to wszystko. Miał ochotę na mocną słodką herbatę z cytryną. Taką, jaką przynosiła mu babcia, kiedy był chory.

Teraz widział, jak pięknie umarła Niuta i jak pięknie została zapamiętana. Natomiast śmierć Michy była potworna, wbrew naturze. Sania wracał z metra Kirowska do domu, mijając dom Michy. Skręcił tam odruchowo, jak przywykł w ostatnich latach, i był pierwszym z bliskich, który zobaczył Michę na ziemi, na kamiennym obramowaniu dawno nieistniejącego kwietnika, z rozbitą głową.

W kraciastej koszuli, kupionej przez Niutę dawno, dawno temu... Sania miał taką samą... Nie wiadomo dlaczego bez butów, w samych skarpetkach. Wokół ciała już się zebrał rzadki tłumek. Trzeba je co rychlej zabrać.

Ciało nakryto prześcieradłem. Ze sznura z suszącą się bielizną zdjęto czyjeś pozszywane prześcieradło, z dużą łatą pośrodku.

Już wiedział, że Alona z Majką wyjechały na rianzańską wieś, Micha powiedział mu o tym z goryczą i zdumieniem. Teraz trzeba było odszukać Alonę. Jak jej to zakomunikować?

Po pogrzebie Michy Sania od razu zachorował. Spał, budził się, słyszał to bekanie, to głos Łastoczki, to wymiotny pomruk telewizora. Za czasów Niuty nie było żadnego telewizora! – o szóstej rano walił w uszy hymn, a potem szła fala kawy – mama zaparzała ją w pokoju, na maszynie spirytusowej, tak jak zawsze robiła to Niuta. A potem robiło się cicho i Sania znów zasypiał, budził się, wstawał, kiedy potrzeba wygania-

ła go do klozetu, i znowu się kładł. Nadzieńda Borysowna niepokoiła się, o coś pytała, nie wiadomo o co, a on odwracał się do ściany.

Przychodzili koledzy z konserwatorium. I jeszcze ktoś – Ilja? Wasilij Innokientiewicz? Potem przyszedł Kołosow. Posiedział w fotelu Niuty. Ta wizyta oznaczała rozejm po kilku konfliktach. Sania z każdym rokiem tracił poparcie nauczyciela, oddalał się od niego. A teraz zamiast radości czuł obojętność.

Z trudem podtrzymywał rozmowę.

Kołosow zostawił na stole pudełko czekoladek z cukierni koło konserwatorium i starą księgę, bogato oprawioną, wydaną w Niemczech. Przed wyjściem powiedział, że udzielono Sani urlopu na miesiąc, niech sobie pochoruje, i że nie ma nic lepszego na oczyszczenie duszy i na wyleczenie każdej choroby niż WTK.

– To, co panu przyniosłem, to jest rarytas. Zresztą sam pan oceni...

Sania ocenił dwa dni później, gdy sięgnął po księgę i zrozumiał, że ma przed sobą „Instrument strunowo-klawiszowy o dobrze temperownym stroju... Ułożył i wykonał Jan Sebastian Bach – ninie wielkiego księcia Anhalt-Köthen kapelmistrz i dyrektor muzyki kameralnej”.

Dobrze że Niuta tak nalegała, żeby się uczył niemieckiego. Potrafił przeczytać starodawny nagłówek...

Sania otworzył tom i ożywił się. To było cudo – Urtext, pierwotny tekst autorski, czternasty tom z pierwszego pełnego zbioru dzieł Bacha, wydanego w końcu dziewiętnastego wieku. Wszystkie wydania, które widział dotychczas, były zredagowane. Zaznaczono tempa, nawet wskazano aplikatury. Teraz miał przed sobą goły tekst i to sprawiało oszałamiające wra-

żenie – jak gdyby raptem znalazł się sam na sam z genialnym autorem. Bez pośredników. Jak wszyscy teoretycy studiował *Das Wohltemperierte Klavier*, zachwycał się przejrzystą prostotą. Bach pisał to dla syna nastolatka*: uczył go muzycznego abecadła. Żadnych uwag odautorskich, żadnych wskazówek – graj, jak chcesz, muzyku! Całkowita swoboda!

Współczesne nuty, poprawione przez redaktorów, odbierały tę swobodę.

Sania się zapalił: znał sporo wykonania WTK, więc teraz pilno mu było na nowo ich wysłuchać i porównać.

Miał w domu płyty – cudowne nagranie Samuela Feinberga. Dawno temu kupiła je Niuta. Na płytach kompletne nagranie, wszystkie czterdzieści osiem preludiów i fug. Był też Richter, wspaniały, ale płyty strasznie zajeżdżone.

Sania odszukał Feinberga, nastawił. Miał rację Kołosow – te dźwięki oczyszczały. Całego siebie przepuścił przez tę muzykę. Albo ją przez siebie.

Przez cały tydzień to słuchał, to zaglądał do nut. Feinberg okazał się czarodziejski. Zdania były różne – niektórzy wychwalali Glenna Goulda za *Preludia i fugi*, dla innych królem i bogiem był Richter. Ale u Feinberga czuło się taki smutek, kruchość i subtelność, jakby całe życie już upłynęło, a pozostały same tylko modulacje, powiew skrzydeł motyla, nie ciało, ale dusza muzyki.

Nie jakiś wielki gwiazdor, lecz zwykły facet z kocią bródką, który jeszcze niedawno chodził po korytarzach konserwatorium i nie szeptano za nim: Feinberg, patrz, Samuel Jewgieniewicz.

* Bach napisał na stronie tytułowej: „Na pożytek i dla korzystania spragnionej muzycznie młodzieży...” itd. (przyp. kor.).

Co innego Neuhaus lub Richter. Przez całe życie szeptano za ich plecami: patrz, kto idzie...

Wciąż od nowa Sania słuchał Bacha i pod koniec drugiego tygodnia całkowicie wyzdrowiał.

Na ostatnim preludium i fudze h-moll – Bach napisał „*Ende gut – alles gut*”.

– Dobrze – powiedział Sania. Ufał Bachowi.

Umył wannę, nalał wody tak gorącej, że ledwie dało się wytrzymać, długo się moczył, obciął paznokcie, zgolił zarost, który można by już nazwać brodą, włożył nową koszulę – sam nie wiedział, dokąd się wybiera. Przejrzał się w lustrze Niuty – schudł, interesująca bladość, dwa zacięcia na podbródku. Zadzwoził telefon.

– Tu Jewgienij, przyjaciel Pietii. Nareszcie się do pana dodzwoniłem. Chciałbym się z panem zobaczyć. W zwykłym miejscu.

Sania już prawie zapomniał o zwykłym miejscu, dokąd Pierre przysyłał swoich kurierów – z książkami, dzinsami, płytami.

Spotkali się przy piwiarni w Parku Kultury. Jewgienij okazał się Eugenem, akredytowanym w Moskwie korespondentem amerykańskiej gazety. Zaproponował w imieniu Pierre’a wariant fikcyjnego małżeństwa. Sania, który dopiero co oderwał się od dna depresji, zareagował słabo: czy coś takiego w ogóle jest możliwe? Eugen zapewniał go, że trzeba spróbować i że Pierre już się zajmuje doborem kandydatki.

– Blondynka czy brunetka? – Sania roześmiał się po raz pierwszy od dnia śmierci Michy.

* * *

Styczniowe mrozy, które powinny wypaść na Boże Narodzenie lub Trzech Króli, ścisnęły akurat w okresie między tymi świętami. Na lotnisko Eugen Michaels i Sania Stiekłow przyjechali różnymi drogami: Eugen metrem do stacji Dworzec Rieczny, a stamtąd taksówką, a Sania autobusem. Czekających na samolot z Nowego Jorku było niewielu i Sania z Eugenem starannie nie zauważali się nawzajem.

Samolot spóźnił się godzinę. Wreszcie ogłoszono, że wylądował. Witający podeszli do świętego miejsca, gdzie granica państwowa lada chwila się otworzy i wypuści do wąskiego przejścia obcokrajowców i nielicznych rosyjskich pasażerów z dyplomacji i KGB.

Przyszli za wcześnie – musieli czekać jeszcze godzinę, zanim pojawili się podróżni po przejściu wszelkich kontroli i odebraniu bagażu.

Obywatele sowieccy różnili się od amerykańskich przede wszystkim liczbą walizek i mocno przestraszonym wyrazem twarzy. Amerykańscy różnili się od sowieckich wyższym wzrostem, głupawą ciekawością i ubraniem. Chociaż, jeżeli się dobrze przyjrzeć, ubrania Amerykanów i sowieckich urzędników oraz ich żon były jednakowe: tweedowe płaszcze u mężczyzn o wysokim służbowym statusie, anoraki z kapturami i sukienne „*duffle-coat*” u tych skromniejszych. I jedno, i drugie – w stonowanych, zimowych barwach. Ale ta odzież na ludziach sowieckich wyglądała jakoś inaczej.

Wśród tej statecznej, zmęczonej lotem grupy wyróżniała się jaskrawa plama: stercząca zuchwale i radośnie nad tłumem czerwona czapka krasnala. Pod czapką – mocno umalowane oczy, rumiane policzki i usta pociągnięte jaskrawą szminką. Typowa „matrioszka”, ale zagranicznej produkcji. Szczegół dla znawców: mia-

ła na sobie luksusowe futro z nerek i sportowe buty. W rękach, oprócz damskiej teatralnej torebki, ogromny plastikowy słonecznik. To było hasło.

Od grupy oczekujących oddzielił się jasnowłosy młody człowiek w czarnej kurtce. Uszanka wystająca z kieszeni. Posuwa się w stronę słonecznika, tak jak słonecznik powinien się obracać w stronę słońca. Zatrzymuje się przed kobietą w czerwonej czapeczce krasnala i wyciąga rękę do słonecznika...

– *Debbie! You are... I'm glad...*

Debbie, narzeczona, bynajmniej nie piękność, ale uśmiech wręcz świąteczny.

– Sa-nie-czka! Ja ciebie Kocham!

Narzeczoną, dzięki zabiegom Pierre'a, wybrano idealnie. Dziennikarka, feministka, chuliganka i jako działaczka amerykańskiej sekcji Międzynarodowej Ligi Kobiet rok temu była w Moskwie na jakimś babskim seminarium, zorganizowanym przez Komitet Kobiet Sowieckich. Tam też się poznali i nawiązali romans! Nieskazitelna legenda!

Obejmują się, z boku pstryczek – fotoreporter postępowej amerykańskiej gazety utrwała spotkanie Debbie O'Hary, postępowej działaczki amerykańskiego ruchu kobiecego, z młodym muzykologiem. Debbie pulchnymi dłońmi ujmując Sanie za policzki i całuje w sam środek ust. Mydlany smak szminki. Sania słabo zarzuca jej rękę na szyję. Ona jest o pół głowy wyższa i o dwa pudy cięższa.

Jeszcze jeden całus. Jeszcze jedno pstryknięcie aparatu fotograficznego. Jeszcze jeden całus i jeszcze jeden pstryk. Eugen Michaels odchodzi – zrobił swoje. Dwaj szarzy, dobrze wmieszani w tłum smutni spojrzeli na

siebie z dwóch kątów hali. Spotkali się, jak lunatycy, przy wyjściu, poszeptali, znów się rozdzielili.

Szczebiot:

– Wspaniale mówisz po angielsku!

– Ty też!

– Taki jesteś ładniutki!

– A ty – marzenie całego życia!

Narzeczony i narzeczona chichoczą. Sania umazany czerwoną szminką. Debbie cieniutką chusteczką wyciera krwawe plamy.

Sania chwyta walizkę, ona lekko go odsuwa, broniąc walizki:

– Jesteś dzikus, Sa-nie-czka! Jestem feministką! Nie pozwolę, żebyś otwierał przede mną drzwi, nosił moje walizki, jestem kobietą samodzielną!

Sania spogląda na nią nieco z dołu do góry:

– No, po prostu myślałem, że walizka jest ciężka...

Zarzuciła iglaste ciemnobrązowe futro na lewą rękę, a prawą podniosła, zgiętą w łokciu:

– Patrz, jakie mięśnie! Uprawiam ciężką atletykę!

Sania ściska palcami jej obnażoną rękę:

– Debbie! Jesteś po prostu marzeniem mojego życia. Jak się zmęczone, weźmiesz mnie na rączki!

Cudowny, płynny angielski.

– O! Mylisz się! *To bring up by hand – to feed with maternal milk! Take me up! – the children say!*

Postawiła walizkę i położyła obie dłonie na potężnych piersiach.

Tu Sania trochę się przestraszył.

Odwiózł narzeczoną do hotelu „Berlin”. Zanim Debbie uwaliała się spać – na jakieś dwanaście godzin, uwzględniając różnicę czasu, wielkie pijaństwo z przyjaciółmi w Nowym Jorku w przeddzień wy-

jazdu i mocny system nerwowy – napili się wódki na dole, w barze. Pogadali. Pocałowali się i rozstali do następnego rana.

Rano Sania zamierzał pokazać narzeczonej Moskwę, a wieczorem zaprowadzić do konserwatorium. Innych atrakcji dla niej nie przygotował. Zaplanowali jedną wspólną sprawę – złożenie podania o rejestrację małżeństwa w Pałacu Ślubów, jedynym miejscu, gdzie przyjmowano dokumenty od cudzoziemców.

Poranny spacer po Moskwie zaczął się po obiedzie. Sania ułożył program.

Kreml pokazywano Debbie poprzednim razem, a teraz chciała zobaczyć „*the real life*”.

Wyszli z hotelu. Pogoda była wprost urocza: mróz i słońce, cudowny dzień, nieprawdopodobny błękit nieba i śniegu. Pod wpływem zdrowego zimna i zimnego słońca urodzona w Teksasie Irlandka poczuła wręcz fizjologiczny przyływ szczęścia i wpadła w taki zachwyty, że Sania, który nie lubił zimy, rozejrzał się i przytaknął: jest fajnie!

Ale sam nie odczuwał żadnego zimowego zachwyty i podświadomie, chcąc zgasić euforię narzeczonej, zaprowadził ją na najstraszniejsze miejsce – na plac Dzierżyńskiego, gdzie na środku stał jak słup krwiożerczy rycerz rewolucji.

Wskazał palcem na dom za jego plecami:

– To jest Łubianka. Nasz Sąd Ostateczny.

– Tak, wiem, rok trzydziesty siódmy!

Wziął Debbie pod rękę:

– Dlaczego trzydziesty siódmy? Ten potwór jest jak najbardziej żywy również i dziś. A teraz, skoro trochę zepsułem ci radosny nastrój, chodźmy na spacer.

Dobrze mówił wyuczoną angielszczyzną i swoim

czułym uchem natychmiast wychwycił jej przeciągłą i z lekka sepleniącą teksańską wymowę.

Doszli do placu Puszkina, zatrzymali się na samym początku bulwaru Twerskiego. W dawnych czasach tu zaczynały się często spacery „mirpisów”. Julicz wyznaczał im spotkanie pod pomnikiem Puszkina, stąd wyruszali na wycieczki w przeszłość: Ilja z aparatem fotograficznym, Micha z zeszytem i jeszcze kilkunastu żądnych wiedzy chłopaków...

W dziedzinie rosyjskiej kultury Debbie okazała się całkowicie dziewczczą ignorantką. Trudno było zacząć z pustego miejsca.

– Czytałaś Tołstoja? – zapytał Sania.

– Tak, tak! Widziałam film *Wojna i pokój*. Dwa filmy! Super! Audrey Hapburn, cudo! I wasz Pierre Bezuchow, Bondarczuk, oczywiście. Dostał Oscara! Pisałam recenzję!

– No to dobrze. Pokażę ci dom, gdzie mieszkała rodzina hrabiego Rostowa... – westchnął Sania.

„Co za prostaczka” – pomyślał i zaprowadził ją do znanego pałacyku.

Przez cztery dni utrzymywała się piękna pogoda, cztery dni spacerowali po Moskwie. Narzeczona, mimo całego prostactwa, okazała się uczuciowa i wrażliwa, była też wspaniałą towarzyszką spacerów, wytrzymała i żądną wiedzy, a wstrząsającą nieznaną wszystkim, co dotyczy rosyjskiej kultury, rekompensowała gorącym, eksplodującym w pustce niewiedzy zainteresowaniem. To zainteresowanie w jakiś sposób udzieliło się również Sani.

Spacerowali po lodowatej Moskwie, słonecznej w dzień, kiepsko oświetlonej wieczorem, marzli, wstępowali do rzadkich podówczas kawiarni i barów. Dla

Debbie była to najbardziej romantyczna z jej podróży. Mogła się z tym równać chyba tylko Hiszpania: jakieś dziesięć lat temu spędziła tam miesiąc. Trafił się jej przystojny Hiszpan, który pokazywał jej Madryt i Barcelonę, a potem uciekł ze wszystkimi jej pieniędzmi. Co prawda, pieniędzy nie było zbyt wiele...

Po zwiedzeniu muzeum w Chamownikach, gdzie Debbie omal nie płakała z rozczulenia („Sa-nie-czka! Wasz Lew Tołstoj jest nie mniejszy niż Wolter!”), zmarznięci weszli do bramy starego domu i na drugim piętrze usiedli na parapecie obok kaloryfera. Sania wyjął z kieszeni piersiówkę – szkoła Ilji! – i wypili prosto z gwinta.

Debbie przeważnie bez przerwy trajkotała. Ale tu milczała przez całą drogę, a pod hotelem, na pożegnanie, powiedziała:

– Sa-nie-czka! Nie rozumiem, jak mogłam dotychczas bez tego żyć! Po przyjeździe do domu zacznę się uczyć rosyjskiego!

– Debbie, po co ci to?

Debbie wybuchnęła: temperament miała nie irlandzki – chociaż i irlandzki by wystarczył! – ale wręcz włoski.

– Ja „lublu”! Ja „lublu” język rosyjski! Ty jesteś oczywiście bardzo kulturalny, rozumiem! Za to ja jestem zdolna! Szybko się uczę! Nauczyłam się hiszpańskiego! Nauczyłam się portugalskiego! Nauczę się rosyjskiego! Zobaczysz!

Sania trochę się przestraszył i zręcznie zmienił temat:

– Debbie, czy ty wiesz, kto to była Isadora Duncan?

– Oczywiście! Tak, oczywiście! Jestem przecież feministką. Znam wszystkie wybitne kobiety! „Taniec

przyszłości"! Nowy styl tańca, bosy i w chitonie! I kochanków miała – Gordon Craig i rosyjski poeta, zapomniałam...

– Debbie, ona się zatrzymała w tym hotelu w dwudziestym drugim roku, tu był początek jej romansu z poetą Siergiejem Jesieninem!

Debbie modlitewnie uniosła ręce do nieba:

– Mój Boże! To nie do wiary! I ja tu mieszkam! I zupełnie bez romansu! – Roześmiała się. – Nie, ja mam romans z Rosją!

Następnego dnia w towarzystwie Olgi i Ilji – jako ubezpieczających – wybrali się do Pałacu Ślubów na ulicę Gribojedowa, do jedyne go miejsca, gdzie w sposób scentralizowany żeniono cudzoziemców z Rosjankami. Gdy Rosjanin żenił się z Amerykanką, był to rzadki przypadek. Amerykańskie dokumenty Debbie były tak dobrze przygotowane, że kilka papierków okazało się nawet zbędnych. Sani zabrakło metryki urodzenia, musiał więc wziąć taksówkę i szukać tej metryki, bez żadnej nadziei na powodzenie. Ale Anna Aleksandrowna i tym razem go nie zawiodła. Na półce, gdzie stały jego ulubione książki, między francuskimi powieściami, w znanej mu biurowej teczce, w idealnym porządku leżały wszystkie dokumenty Sani, zaczynając od metryki, a kończąc na dyplomie konserwatorium i świadectwach szczepień.

Dokumenty przyjęto. Rejestrację wyznaczono na maj.

– Nasza Fania zawsze mówiła, że w maju nie można się żenić – mordęga przez całe życie – powiedziała Olga.

Ilja z Olgą z zapałem włączyli się do tej ślubnej przygody. Ola wzięła czynny udział w przygotowaniach do wesela: ugotowała barszcz i zrobiła pielmieni.

Debbie była zachwycona i Moskwą, i barszczem, i Rosjanami, których poznała. W sowieckim kraju spodobało jej się wszystko prócz sytuacji kobiet. Wniosek wyciągnęła na podstawie tego, że Ola szykowała obiad, zmywała naczynia i zajmowała się kilkunastoletnim synem, a Ilja jej w niczym nie pomagał. Kiedy próbowała wyrazić zdumienie z tego powodu, Olga po prostu jej nie rozumiała.

Ostatniego dnia w Moskwie Debbie trafiła do mieszkania Sani. Wizyta nie była zaplanowana, ale tak się złożyło, że zawędrowali na Kitaj-gorod i pilnie potrzebowała iść do toalety. Najbliższa była właśnie ta, w mieszkaniu Sani. W domu nie było ani matki, ani ojczyma. Debbie zrzuciła swoje futro z norek na fotel Niuty, przemaszerowała przez wspólny przedpokój do wspólnej ubikacji i załatwiwszy potrzebę, zdążyła jeszcze zajrzeć do wspólnej kuchni.

Rodowita Teksanka przeżyła jeszcze jeden wstrząs: z komunizmem wcześniej też nie sympatyzowała, a jedna ubikacja na dwudziestu ośmiu lokatorów również nie pobudziła jej sympatii do tego ustroju. Następnego wstrząsu doznała, gdy usadowiwszy się w fotelu Anny Aleksandrowny, rozejrzała się wokół: zabytkowe pianino, brzuchata, ozdobiona kwiatami i ptakami komoda na łapkach, szafy wypchane książkami w trzech językach, nuty, obrazy, migający niebieskim kryształem cenny żyrandol... Z trudem mieściły się jej w głowie te niepasujące do siebie rzeczy – ubóstwo komunałki i przepych mieszkania Sani.

– Zagrzej się. Chcesz herbaty? Nastawię muzykę...

– Może sam zagrzasz?

Ściągnęła z głowy czerwoną błazeńską czapkę, rude irlandzkie włosy sucho zatrzeszczały.

Sania usiadł na obrotowym stołku. Zastanowił się chwilę – i zagrał pierwsze *Preludium C-dur*.

Debbie siedziała, po wiejsku złożonywszy ręce na brzuchu, i analizowała sytuację. Wcale nie była taka głupiotka, jak wydawało się Sani. Ten rosyjski chłopiec – był już po trzydziestce, zaledwie o trzy lata młodszy od niej – bardzo jej się spodobał.

Był młody, bardziej wykształcony, a prócz tego wyraźnie należał do wyższej rasy ludzi, z którą ona sama nigdy nie miała nic wspólnego.

Kiedy Sania skończył grać, Debbie podjęła decyzję: skoro już trafiła się jej taka dziwna i niedorzeczna propozycja, to przecież nie bez powodu – ona poślubi tego chłopca naprawdę.

Sania nawet nie przypuszczał, że sprawa przybierze tak niebezpieczny obrót.

Ostatniego wieczoru nastąpiło załamanie pogody. Jakby Moskwie odechciało się starać z okazji obecności Debbie. Dmuchał wilgotny wiatr, ociepliło się, sypnął kłujący śnieg. Sania chciał zabrać Debbie na koncert Richtera, ale koncert odwołano. Poszli pieszo do Oli i Ilji.

Olga podała przyjaciółom, jak się wyraziła, przedślubną kolację. Sani do tego czasu mocno się już sprzykrzyło oprowadzanie narzeczonej, zresztą sam pomysł ślubu zupełnie przestał mu się podobać. A w ogóle to nie był jego pomysł!

Ola podała kulebiak i sałatki. Ilja wyciągnął wódkę z szafki pod kuchennym oknem – lodówki z czasów budowy domu, kiedy to o prawdziwych lodówkach większości się nawet nie śniło.

Debbie dużo jadła, dużo piła. Siedziała obok Sani i wciąż szukała okazji, żeby go uściskać, objąć, ale ro-

biła to ze śmiechem, jakby żartem. Zbliżyła do niego roześmianą twarz, a on raptem zauważył nad rzędem zębów lśniący różowy pasek. Wyostrzona pamięć wyrostka podpowiedziała mu: dziąsła Nadźki! Zaulek Potapowski.

– Sa-nie-czka, dlaczego się opierasz? Jeżeli będziesz taki zimny, to za ciebie nie wyjdę! A jeżeli będziesz się grzecznie zachowywał, to po prostu włożę sobie ciebie do stanika i przemycę!

– Debbie, inaczej się umawialiśmy! Kiedy weźmiemy ślub, będę idealnym mężem – po prostu mnie nie zobaczysz!

– Nie, nie, zmieniłam zdanie! Myślę, że możesz się przydać i w kuchni, i w sypialni.

Nazajutrz Sania odwiózł ją taksówką na Szeremietiewo. Pocałowali się na pożegnanie. Zanim zniknęła w przejściu, pomachała do niego czerwoną czapką. Sania wracał autobusem. Z zewnątrz zamieć zalepiała szyby śnieżną kaszą.

„Nie pójdę do domu. Do Ilji też mi się nie chce. Zajrzę do Michy” – pomyślał Sania.

I raptem: Michy już nie ma. Nie ma Anny Aleksandrowny. Prawie nie ma mamy.

Jest nieszczęśliwa Alona, jest Majeczka, jest niepodobna do siebie mama, koszmarny Łastoczkin. I zostało jeszcze trochę muzyki, od której oderwały go głupie okoliczności. Czy to znaczy, że Pierre ma rację i rzeczywiście pozostaje tylko ucieczka? Albo wcisnąć twarz w gobelinową poduszkę? Albo – jak Micha...

Drobny dreszcz przebiegł mu po plecach. Był bliski depresji.

Debbie przyjechała do Palo Alto bez uprzedzenia.

Kalifornijska zima mało była podobna do rosyjskiej: 59 stopni Fahrenheita. Według Celsjusza – 15 stopni ciepła. Kiedy wchodziła na drugie piętro, ciągnąc za sobą futro z norek, przypominała sobie, od czego trzeba odjąć i przez co pomnożyć. Dokładnie pamiętała, że w Moskwie było 25 stopni poniżej zera.

Popchnęła drzwi – otwarte. Od progu zakrzyknęła:

– Pietia! Rosyjskie minus dwadzieścia pięć – ile to stopni po amerykańsku?

Pietia znał wzór przeliczenia:

– No, mniej więcej dziewiętnaście.

Debbie cisnęła futro od progu na fotel, ześlizgnęło się na podłogę.

– Zwariowałaś? Mogłaś przynajmniej zatelefonować! Dopiero co wszedłem do domu! Mogłaś mnie nie zastać! – rozgniewał się Pierre.

– Ja sama dopiero co przyleciałam! Nie potrzebuję żadnego futra! W naszym klimacie w ogóle futro nie jest potrzebne! To jest właściwie obraźliwe!

– Stój! Co, rozmyślałaś się? Co jest obraźliwe? Przecież się umawialiśmy!

Na stoliku stała napoczęta butelka whisky. Debbie podskoczyła do niej. Pierre odebrał jej z rąk butelkę i nalał jedną trzecią szklanki.

Debbie wychyliła whisky jednym haustem i łupnęła mokrą szklanką w szklany blat – rozległ się paskudny, groźny dźwięk.

– W końcu on mógłby się ze mną ożenić tak zwyczajnie. Dlaczego? Dlaczego on nie chce się ze mną ożenić?

Pierre wyjął lód z lodówki, nalał jeszcze whisky:

– Poczekaj, poczekaj! Mieliśmy umowę – futro z notek jako zaliczka, a pieniądze po zawarciu małżeństwa. Jakie masz do mnie pretensje?

Debbie szybko przeszła do następnej fazy, niemal płakała:

– Nie mam do ciebie żadnych pretensji! Po prostu mi wytłumacz: co mu się we mnie nie podoba? To on jest dla mnie niewystarczająco przystojny: malutki, penis też pewnie byle jaki! To w ogóle bez sensu – i profesję ma jakąś dziwną...

– Debbie, co ma do tego penis? Profesja? Mieliśmy umowę...

– Mam gdzieś umowę! – wybuchła Debbie. – Co we mnie jest takiego, Pierre, że nie chcą się ze mną żenić? Nawet twój malutki Sanieczka? Jestem szanującą się samodzielnią kobietą! Mam gdzieś facetów! Ale dlaczego oni nie chcą się ze mną żenić? Może ja wcale tego nie potrzebuję! Ale dlaczego? W końcu mnie to też interesuje! Dlaczego?

Pierre zrozumiał, że całe przedsięwzięcie się zachwiało. Podniósł z podłogi futro, rzucił na tapczan. Znowu nalał do szklanek. Usiadł obok grubaski, włożył jej szklankę do ręki.

– Debbie, ja nie odpowiadam za wszystkich facetów. Przecież sama wiesz, że jesteś wspaniałą babą. Ale każdy ma swoje racje. Ja mogę powiedzieć, co jest z Sanią. Sania jest w depresji. Mówiłem ci, to strasznie zdolny człowiek, szczególnie. Czy ty straciłaś bliskich ludzi? Jemu w tym samym miesiącu zmarła babcia, która go wychowała, i popełnił samobójstwo najlepszy przyjaciel. On sam jest na krawędzi... Po prostu nie ma głowy do żeniaczki. I to nie o ciebie chodzi. Jemu trzeba ratować życie.

– Tak, ale mógłby się ze mną ożenić, a ja ratowałabym mu życie. Dlaczego on nie chce normalnie? Nie fikcyjnie! Normalnie!

Teraz była to już rzeczywiście ostatnia szansa.

– Debbie! A czy nie przyszło ci do głowy... Ilja zawsze miał wiele kobiet, nieboszczyk Micha był zakochany w żonie, nie miał żadnych innych bab. A Sanieczki nigdy nie widziałem z żadną kobietą.

Oczy Debbie zapłonęły współczuciem:

– Myślisz, że jest gejem?

– Nie wiem, tego nie powiedziałem. Powiedziałem tylko, że ani razu nie widziałem go z dziewczyną.

Debbie w jednej chwili podjęła nową decyzję:

– To zmienia postać rzeczy. W takim razie to nie jest dla mnie tak obraźliwe. Jeżeli nie jest gejem, to całkiem inna sprawa: po prostu boi się kobiet. A może jest prawiczkiem?

– Nie wykluczam. Ale to nie ma nic wspólnego z naszą umową.

Debbie złagodniała. Zastanawiała się nad przyszłością. Pomyślała, że ma ciekawe zadanie.

– No, powiedzże mi wreszcie, jaki był ten wyjazd. Jak Eugen?

Debbie wyjęła z torebki plik fotografii.

– Masz! Tu są zdjęcia. Zrobił je Eugen. Śmieszne. Ale – Pierre – miasto jest niesamowite! Niesamowici ludzie! Byłam tam tylko cztery dni, a wrażen jak z trzech miesięcy. Aha, mówiłam ci, że za cztery miesiące wyznaczono ślub? Strasznie długo! Tam jest kolejka! A potem jeszcze trzeba złożyć w ambasadzie

papiery Sani. Na wzię! To dłuższa sprawa, tak mi tam wyjaśnili.

Debbie była już lekko wstawiona.

– Słuchaj, Pierre, chcę się uczyć języka rosyjskiego. Będziesz mi udzielał lekcji?

– Po co ci to? Wypalałabyś dużo benzyny, jeżdżąc na lekcje. Półtorej godziny w jedną stronę. Znajdę ci nauczyciela w San Francisco.

– Muszę mieć dobrego! – nudziła Debbie, nacierając bokiem na Pierre'a.

– Znajdę dobrego.

Pierre wiedział, że jego męski honor zostanie ocalony, jeżeli Debbie porządnie się upije, a była do tego na najlepszej drodze.

Nalał jej jeszcze.

– Chcę Sani. Jeżeli rzeczywiście wyjdę za niego za mąż, to nie wezmę od ciebie pieniędzy.

– Ale od początku umawialiśmy się na fikcyjne małżeństwo! – Pierre usiłował bronić wolności Sani.

– Co mają do tego pieniądze? Mam pieniądze! Chcę mieć malutkiego Sanię za męża! – wykrzyknęła histerycznie Debbie i wybuchła płaczem.

„Nie ma innego wyjścia” – zrozumiał Pierre i objął ją za ramiona. A ona od razu zmiękła, zwiotczała.

Pierre nie akceptował małżeńskich zdrad. Dość sobie pohulał przed ślubem i rodzinę traktował z szacunkiem. Ale żona z córką już trzeci tydzień bawiła u rodziców w Mediolanie, więc usprawiedliwił swój grzech wyłącznie oddaniem rosyjskiemu przyjacielowi i jego interesom. Chociaż przymusowa sytuacja nie wykluczała przyjemności.

– Jeżeli wyjdiesz za Sanię naprawdę, to będziesz mi winna za bilety i za hotel!

– A figę! Co wydałeś, to przepadło! Będę ci płaciła za lekcje. – Ułożyła na bujnych piersiach dwie figi z palców. Nauczyła się w Rosji.

– Dobra, jeżeli wszystko się uda i wyciągniemy Sanieczkę, to bilety i hotel na mój rachunek.

Nadal jeszcze ospale się całowali, kończąc seans.

– A ja będę miała dodatkowy bodziec, żeby go rozkręcić! – z samozadowoleniem uśmiechnęła się Debbie.

Wesele odbyło się w maju, zgodnie z ustalonym terminem, w deszczowy dzień, co zapowiadało państwu młodym bogactwo, jak beczelnie kłamię ludowa wróżba.

Debbie O'Hara we wspaniałej białej sukni. W rękach okrągły bukiet ślubny ze sztucznych kwiatów, który przyleciał z Ameryki. Białe pantofle na szpilkach. Sania w czarnej welwetowej kurteczce na suwak, w starych dżinsach.

Eugen w tweedowej marynarce i w krawacie o wiele bardziej wyglądał na pana młodego. Byli też Ola, Ilja i Tamara, skromnie ubrani w to, co mieli najlepszego.

Państwo młodzi stają obok siebie, Eugen ich fotografuje. Z drugiej strony fotografuje Ilja.

Wchodzą do niewielkiego holu, ślubnego przed-sionka. Siedzi tam już kilka par: dwaj Afrykanie z blondynkami, jeden Arab z dziewczyną w orientalnym typie, kilka niekreślonych wschodnioeuropejskich par. Czesi albo Polacy. Kolejka.

Siedzą w milczeniu. Sania wpatruje się w twarze nowożeńców. Afrykanie zapewne z Uniwersytetu Patrice'a Lumumby. Jeden, fioletowy przystojniak, wyciąga z kieszeni karty i proponuje narzeczonej, żeby z nim za-

grała. Ona odmawia. On zaczyna rozkładać pasjansa. Drugi, nieładny i malutki, trzyma narzeczoną za rękę urzeczony jej białą skórą. Wodzi palcem po nadgarstku. Arab jest starszy, nie wiadomo, co za jeden, ręce w złotych pierścieniach, jego narzeczona też cała w złocie i widać, że nieodparcie ciągnie ich ku sobie. On dotyka jej talii, ramienia. Ona aż się rozpływa. Czech czy Polak czyta gazetę.

„Język czeski” – zauważa Sania.

Debbie się denerwuje. Sania zabawia ją rozmową. Wreszcie wywołują ich do długiego pokoju. Czerwony chodnik prowadzi do stołu, za którym siedzi okazała kobieta, podobna do aktorki Ałły Łarionowej, z szeroką czerwoną szarfą przez ramię – taki pomniejszony chodnik. Drugimi drzwiami wchodzi świadkowie – Ola z Ilją i Tamarą, Eugen z aparatem. Po drodze bronią się przed miejscowym fotografem. Przed Mendelssohnem już się wybronili.

Potem zaczyna się szopka. Kobieta z szarfą wstaje i zaczyna recytować:

– Obywatelka Stanów Zjednoczonych Ameryki Deborah O’Hara i obywatel Związku Sowieckich Republik Socjalistycznych Aleksander Stiektów zwrócili się z podaniem o zawarcie małżeństwa zgodnie z ustawodawstwem naszego kraju...

Debbie chce wesela. Sania chce zniknąć. Debbie chce podróży poślubnej. Sania chce zniknąć z powierzchni ziemi. Debbie chce nocy poślubnej. Sania chce zniknąć z powierzchni ziemi na zawsze.

Ola na chybcika urządziła wesele u siebie w domu.

Debbie w ciągu minionego pół roku nauczyła się jako tako mówić po rosyjsku. Mówi bez ustanku. Sania

milczy: i po rosyjsku, i po angielsku. Pod wieczór dostaje gorączki i potwornego bólu głowy.

Ilja odwozi go na ulicę Czernyszewskiego. Nadzieжда Borysowna robi wszystko, co robiła w takich wypadkach Anna Aleksandrowna: kładzie Sani na głowie gorący ręcznik, podaje mu słodką herbatę z cytryną i dwie tabletki cytramonu. Jak zwykle w takich wypadkach temperatura sięga czterdziestu stopni. Nadzieжда Borysowna nadal robi wszystko, co robiła w takich wypadkach Anna Aleksandrowna – zwilża wódką ramiona i pierś syna, potem długo rozciera je wełnianą szmatką. Nie, jednak Anna Aleksandrowna robiła to wszystko lepiej.

Sania choruje jak zwykle trzy dni. Debbie trzy dni spędza w mieszkaniu Olgi: pierwszego dnia szłocha, drugiego od rana do wieczora z ożywieniem szczebocze z Olą. Trzeciego dnia Ilja odprowadza ją na Szerebietiewo. Sania z wysoką temperaturą wyleguje się szczęśliwy na tapczanie Niuty.

Farsa pod tytułem „Ożenek” się kończy. Pozostaje niewiele: złożyć podanie do ambasady amerykańskiej i czekać, czekać, czekać.

Osiem miesięcy później Aleksander Stieklów przyjechał do Nowego Jorku. Pietia Sand powitał go na lotnisku Kennedy’ego.

Debbie do tego czasu pięknie mówiła po rosyjsku. Z Sanią spotkała się po półtora roku, u adwokata, kiedy znalazła sobie prawdziwego narzeczonego, nawiasem mówiąc, Rosjanina, i potrzebny jej był prawdziwy rozwód, by mogła zawrzeć prawdziwe małżeństwo.

Deborah odmówiła przyjęcia pięciu tysięcy dolarów, które miała otrzymać za przeprowadzoną akcję. Zrezygnowała też z futra. Ale futro w końcu jednak do

niej trafiło: Pierre przetrzymał te norki przez parę lat w profesjonalnej firmie chłodniczej w Palo Alto i podarował je Debbie w prezencie ślubnym. W tym czasie mieszkała już w Nowym Jorku, a tam czasem zimą zdarzają się temperatury odpowiednie na futro.

W Nowym Jorku mieszka też Sania – wykłada w znanej na całym świecie szkole muzycznej dyscypliny teoretyczne. *Ende gut!*

ÉPILOG

KONIEC PIĘKNEJ EPOKI

Spotkali się. Przytulili – prawy policzek do prawego, potem lewy do lewego. Wygodnie – są jednego wzrostu. Kobięca twarz z garbatym nosem, wąska, męska z zadartym nosem, wysokimi kośćmi policzkowymi. Deszcz raptem zbiełał, zamienił się w śnieg. Wiatr wiał jednocześnie z zachodu i ze wschodu, skręcając się w wir akurat nad placem, gdzie wyznaczyli sobie to spotkanie. Od zatoki ciągnęło wilgotnym zimnem, z drugiej strony, od rzeki – jakby trochę zgnilizną.

– Czujesz, Stiekłow, zapachniało Czystymi Prudami?

– Wcale nie, Lizo. Zupełnie nie pachnie. – Dotknął ręką jej włosów – bardzo zimne. – Chodźmy prędzej. Zmarzłaś?

– Nie zdążyłam. Ale zimno jak w psiarni.

– Przegrałem dla ciebie *Sonatę nr 32*, koncert Eschenbacha w osiemdziesiątym szóstym w Madrycie. Zrozumiesz, co miałem na myśli...

Wyjął z kieszeni zawiniętą w folię kasetę, wsunął jej do ręki.

– Dziękuję, Sanieczka. Właściwie się z tobą zgadzam. Ale Eschenbach zawsze ma zbyt szybkie tempo. A Swiatosław Tieofiłowicz ma w ogóle inną artykulację. O wiele wyraźniejszą...

Rozstali się półtora roku temu w Wiedniu, dokąd Stiekłow przyjechał na jej koncert. Teraz, po drodze do domu, do którego zostali zaproszeni, kontynuowali rozmowę od miejsca, w którym przerwali ją w Wiedniu.

Otworzyła Maria.

Dyżurny pocałunek w powietrze:

– Dobry wieczór. Anna zachorowała. Położyłam ją na dole. Rozbierzcie się tutaj i idźcie od razu na górę. Zaraz do was przyjdę.

Jak zwykle oschła i trochę nieobecna. No tak, dziecko chore – to przyczyna zatroskania.

Obojczyki wystają z dekoltu niebieskiej sukienki. Cenne weneckie paciorki przetaczają się po obojczykach przy każdym ruchu.

– Pogoda okropna?

– Najgorsza z możliwych. Wiatr, zimno i wilgoć – odrzekł Stiekłow.

– Mnie w tym roku taka pogoda dopada wszędzie – plan moich występów chyba zbiegł się z jakimś cyklonem. W Mediolanie, w Atenach, potem w Sztokholmie i w Rio – wszędzie zastaję deszcze ze śniegiem. Od połowy listopada.

Gospodarz usłyszał ich głosy i wyszedł się przywitać. Schody na piętro były dość wąskie, więc z uśmiechem stał w drzwiach.

Weszli na górę. Sania rzucił okiem na stół – leżała tam otwarta rzymska antologia. Zbieg okoliczności, jaki często się zdarza. U Sani w domu był otwarty Owidiusz.

– Chodźcie, chodźcie tu. Widzi pani, Jelizawieto, znów się spotykamy.

Ucałowali się.

– Już od dwudziestu lat słyszę od pana te słowa. Pan

to mówi po to, żebym bardziej doceniała nasze spotkania? I tak je doceniam.

– Nie, w ten sposób daję do zrozumienia, że następnych dwudziestu lat nie mamy – natychmiast zareplikował.

W rękę trzymał niezapalonego papierosa, zapalił zaraz po pocałunku.

– Nie rzucił pan palenia?

– Nie, papierosów nie rzucę. Poczekamy trochę, wkrótce to one mnie rzucą!

– Miał pan zamiar! – zrzędliwym głosem starej ciotki. – Skracaj pan ostatnie dwadzieścia lat!

Gospodarz się roześmiał:

– Lizo, ja je skracam z tego końca, a nie z tamtego. Może to i dobrze! W dodatku te lata są darowane.

– Darowane?

– Gdybym został w kraju, dawno bym umarł z nędzy, nerwowej szarpaniny i koszmarnej opieki zdrowotnej.

Sania odwrócił się i patrzył na ciężką zasłonę, jak w okno.

„Tak, a ja nawet przy dobrej opiece wkrótce wyciągnę nogi” – pomyślał.

Wiedział, że choroba, od ośmiu lat tkwiąca w jego krwi, jest nieuleczalna.

Na stole stały pojemniki z chińskiej restauracji. Na wynos. Drzwi się uchylły. Z półmroku, jak na wywoływanej fotografii, wyłoniła się Maria:

– Anna kaprysi, chce, żeby Sania wstąpił do niej przed snem.

– Można? – Sania wstał.

– Tak, tak – kiwnęła głową Maria.

– Ja też zejść – powiedział pan domu.

Maria przodem, za nią gęsiego pozostali zeszli po schodach, z przedpokoju wyszli na korytarz, zatrzymali się przed uchylonymi drzwiami. Dziewczynka siedziała w łóżeczku, biła od niej gorączka. Światło lampy stojącej z boku za łóżeczkiem złociło roztrzepane loki, które błyszcząły jak anielskie włosy na choince.

– Tato, obiecałeś mi...

– Co, mój kotku?

„O Boże, jego dziecko nie mówi po rosyjsku” – przeraziła się w głębi duszy Liza.

– Nie pamiętam co, ale obiecałeś – skrzywiła buzię do płaczu.

– To, popatrz. – Sania ścisnął w ręce coś małego.

Dziewczynka zaczęła mu rozginać palce, ale Sania się z nią droczył, wciąż nie otwierając dłoni:

– Ostrożnie, Anno, ta małutka rzecz może się zbić.

Otworzył dłoń, na której leżała szklana myszka.

– Przypomniałaś już sobie, co ci obiecałem? Że przyjdzie Sania i przyniesie ci szklaną myszkę.

– Nieprawda, nie obiecałeś mi myszki Sani. To nie jest obiecana myszka, to zwyczajna myszka. Dziękuję ci. Takiej myszki nikt mi nigdy nie podarował!

– Teraz będziesz spała z myszką? – spytała Maria.

– Tak – grzecznie oznajmiła dziewczynka. – Mamo, tylko nie wyłączaj światła.

– Małe zostawię, a duże zgaszę.

– Myszka będzie się bała.

– No, dobrze, dobrze, powiedz wszystkim „dobranoc” i zamykaj oczka...

Rudawe dziecko w białej piżamce wyhaftowanej w poziomki, z buzią zaczerwienioną od gorączki, z rozpalonymi wargami, mościło się w pościeli, lekko wierzgając nogami i rękami, zbijając poduszkę i kołdrę, żeby

ułożyć wokół siebie coś na kształt gniazda. Dziwne wrażenie, jakby to już mu się kiedyś zdarzyło: rudawa dziewczynka, szklana zabawka, łyzy...

Liza stała w progu, nie zbliżając się do dziewczynki.

– Jaki to cud, na starość, kiedy już czas na wnuki... Jest szczęśliwy... Nie, nie, nie potrzebuję tego, nigdy nie potrzebowałam. Ani wtedy, ani teraz.

Z tej miłości, której była oddana od dzieciństwa, dzieci się nie rodzą.

Maria pozostała w pokoju dzieciennym jeszcze jakiś czas, a potem poszła na górę do gości. Resztki jedzenia z chińskiej restauracji stały na tacy na podłodze przy drzwiach. Herbaty po kolacji nie pili: ten rosyjski zwyczaj wywietrzył w ciągu ćwierćwiecza emigracji. Pili włoskie wino.

Pan domu jadł ciastko z kartonowego pudełka. Prostackim gestem otarł usta.

– No, co? Zadeklamuje pan? – Taka już była: bardzo szczerą i dobrze wychowaną, ale szczerłość przeważała. Dlatego się stropiła, choć zupełnie niepotrzebnie. Poeta recytował, i to bez żadnych próśb, sam potrzebował tego mówienia na głos – drżenia powietrza, dowodu życia:

W maleńkich miastach o prawdę nie pytaj,
Bo i po co ci ona, to i tak było wczoraj*

Ten wiersz był nowy, potem wygłosił inny.

Sania zauważył, że Liza układa palce w jakąś mudrę. Od dzieciństwa miewała bardzo silne ataki migreny,

* Josif Brodski, *Sierpień*, przełożyła Krystyna Kurczab-Re-dlich.

zwalczała je to tabletkami, to kulkami homeopatycznymi, a w ostatnich latach – zmyślnymi konfiguracjami palców. Indyjska magia. Zazwyczaj bóle głowy Lizy zaczynały się po występach, czasem po międzykontynentalnych przelotach. A teraz – od wierszy. Zdaje się, że odbiór tej poezji to ciężka robota.

Liza potrzyzymała skrzyżowane palce, a potem ścisnęła rękami skronie.

Gospodarz przerwał recytację. Dopił wino.

Głowa ją boli – domyślił się Sania.

– A czy Sania mógłby nastawić trochę muzyki? Nie głośno? – zapytała Liza.

– Dać pani pigułkę? – zapytał gospodarz.

– Nie, ale jeśli można, tobym się tu położyła. – I Liza przyłożyła się na kanapce.

Sania nastawił kasetę. Była to ostatnia sonata Beethovena w wykonaniu Eschenbacha. Sania nie znosił mieszania muzyki z rozmową.

– No to macie Eschenbacha. – Nacisnął przycisk.

Liza i Sania spojrzeli na siebie przy pierwszych nutach.

Poeta uchwycił ich spojrzenia, powiedział do żony:

– Oni słyszą coś, czego zwykli ludzie nie słyszą.

Kiwnęła samym podbródkiem.

Niewzruszona, piękna twarz... *Madonna* Lippiego? Nie. Ale ten sam typ... Jaki? Natalia Gonczarowa, oczywiście – Sania uśmiechnął się do swojego spóźnionego odkrycia.

Nieco później Maria zeszła do córki, wróciła, posiedziała jeszcze z dziesięć minut i odeszła ostatecznie.

Dopili drugą butelkę. Wino było bardzo dobre.

Potem pan domu odprowadził gości do wyjścia, wyszedł z nimi na próg, na ganek.

Na dworze nie było ani deszczu, ani śniegu, ani wiatru. Wszystko ucichło. Temperatura spadła. Wszystko – asfalt pod nogami, ściany domów, pnie i gałęzie drzew – pokryte było cienką skorupką lodu i migotało w świetle latarni.

– Jak to dobrze, żeśmy do niego wstąpili. I w ogóle... – Sania wykonał nieokreślony gest w stronę oblodzonych drzew połyskujących w świetle latarni.

Drzwi trzasnęły nieoczekiwanie głośno.

Liza się uśmiechnęła:

– Jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który zauważa moje migreny.

– A ty jedynym, który zauważa... w ogóle.

Nieoczekiwanie zadał pytanie, które mógł zadać trzydzieści dwa lata temu:

– Słuchaj, Liz, a dlaczego myśmy się nie pobrali? No, wtedy, w młodości?

– Naprawdę nie wiesz?

– No, domyślam się... Gruby Borys...

– Tego się po tobie nie spodziewałam! Ależ co ma do tego Borys? Po dwóch latach odszedł do mojej przyjaciółki i na tym wszystko się skończyło. A z tobą – to byłby związek kazirodczy. To było dopuszczalne u Egipcjan, ale w naszym świecie bracia i siostry się nie żenią. Nawet cioteczni! A my, chociaż jesteśmy cioteczno-cioteczni, to jednak jak bliska sobie rodzina. Anna Aleksandrowna i mój dziadek byli ciotecznym rodzeństwem. Więc tym bardziej było to zbyt bliskie.

– Nie, Lizoczka, nie. Nie o to chodzi. Babcia bardzo kochała swojego drugiego męża, aktora, który zginął w łagrach. Zdaje się, że tamto jej małżeństwo było szczęśliwe. A w ogóle, to nie spotkałem szczęśliwych małżeństw. Pamiętasz Ilję i Olgę? Potwornie się

wszystko skończyło. Micha z Aloną... Jeszcze gorzej. To był cudowny chłopak.

– Wszystkich zabiła władza sowiecka. To straszne – Liza skrzywiła wargi.

– Dlaczego wszystkich? Alona chyba żyje. Wyszła za jakiegoś artystę plastyka, Litwina czy Łotysza. Żyje sobie spokojnie gdzieś nad Bałtykiem. I nie wszystkiemu jest winna władza sowiecka. Za każdej władzy ludzie umierają. Dobra, nie ma co o tym wspominać. Przeszłości coraz więcej, przyszłości coraz mniej. – Uśmiechnął się. Do przeszłości? Do przyszłości?

Liza też się uśmiechnęła.

– Aha, chciałam ci powiedzieć, dlaczego nie podoba mi się Eschenbach. Nie dlatego, że ma inne tempo, że energia jest jakaś obca. On z założenia – zrozum mnie dobrze – celuje w publiczność. Gra, żeby się przypodobać. Judina nigdy się do tego nie zniżała.

Liza skubała Sanię za rękaw, jak w dzieciństwie.

– No to co? Natomiast Rachmaninow jak najbardziej się zniżał. Robił skróty, kiedy publiczność się nudziła! A Richter? To jest geniusz, artysta! Ale przecież troszkę też klaun! Podlizuje się publiczności!

– Ale powtarzam jeszcze raz, Maria Wieniaminowna wcale nie była zależna od publiczności. Zawsze dźwigała ją do swego poziomu.

– Lizo, te czasy się skończyły, to przecież jasne. Właśnie w muzyce najlepiej to widać. Cała muzyka stała się inna.

– Ale tak czy owak ani Beethovena, ani Bacha nikt nie skasował. Spójrz, jaki repertuar mają młodzi wykonawcy. Czy dużo tam jest Cage'a?

– Wystarczająco dużo. Ale chodzi mi o coś trochę innego, Lizo. Oczywiście nikt nie kasuje Beethovena

czy Bacha. Nawet gdyby chcieli, toby im się nie udało. Niemniej tamta kultura się skończyła i nastąpiła inna. Popszywana z kawałków, złożona z cytatów. Skończył się dawny wymiar czasu, cała kultura jest jak zamknięta kula. Druga awangarda weszła do kultury, do tej jej części, która się nie zestarzała. Innowacje starzeją się najprędzej. Strawiński, Szostakowicz, nawet Schnittke, który zdradził awangardę, stali się klasykami. Czas cykliczny się kręci, wchłaniając wszystko co nowe, i nowe już się nie różni od starego, a idea awangardy już się przeżyła, ponieważ w kulturze nie ma żadnego postępu, jako w zjawisku skończonym i objawionym...

– Sania, dawno chciałam cię zapytać; a to: „...od ziemi odpływa fono we własnej roboty burzę, żagiel wznosząc polerowany”* – czy on tego nie rozumie?

– Tego, że burza nie jest własnej roboty, chyba nie rozumie... – zgodził się Sania.

– To nic, za to rozumie wiele innych rzeczy, o których ty i ja nie wiemy.

– Oczywiście. Ale ty przecież wiesz, że wszystkie tutejsze burze to tylko odbicia, blade cienie tych, które on nazwał burzami własnej roboty?

Stali na środku pustej ulicy, kilka kroków od domu, i rozmawiali.

– Tak, oczywiście my o tym wiemy. A jak go znajdziesz? – zapytał Sania.

– Wygląda na szczęśliwego – niepewnie odpowiedziała Liza.

– Ach, wy, kobiety – mruknął Sania.

– Co, co powiedziałam nie tak? – zaniepokoiła się Liza.

* Josif Brodski, *Bagatelle*.

– Wszystko słusznie. Moim zdaniem on wygląda na zmęczonego. A dziś był niezwykle milczący. – Sania objął ją za ramiona.

Było bardzo ślisko. Liza wzięła Sanię pod rękę i ostrożnie poszli w stronę metra.

– Teraz dla wszystkich stało się oczywiste, że jest geniuszem. No, w rosyjskim sensie tego słowa, nie w europejskim.

– Nie zrozumiałam, co masz na myśli – zaniepokoiła się Liza, która zwykle chwyciła wszystko w lot.

– No, że to nie jest po prostu człowiek z bożym darem do poezji albo do muzyki, ale człowiek, który, jak lodołamacz, wyprzedza czas i rozbija ścianę, rozbija lód, wytycza nową drogę, a za nim już mogą płynąć rozmaite małe okręty i łodzie. Śladem geniusza podążają najbardziej wrażliwi, najzdolniejsi, a dopiero za nimi tłum i odkrycie staje się banałem. Natomiast my, ludzie przeciętni – nie, ja mówię o sobie, nie o tobie – dzięki geniuszom i samemu biegowi czasu rozumiemy coraz więcej i więcej. A oni – wyprzedzają epokę.

– Tak, oczywiście. I akurat *Sonata nr 32* jest tego wspaniałym świadectwem. Wyprzedza wszystkie epoki, i beethovenowską, i naszą.

– Tak, Beethoven jest geniuszem. Doprowadził do doskonałości muzykę klasyczną, stworzył kanon – i sam go zburzył. Dobięła końca klasyczna struktura – zostały tylko tematy z wariacjami. Przekroczył granicę granic. Piše, jak chce – nie ma żadnych rond, scherz, wszystkich tych form tanecznych już nie ma. – Sania machnął ręką. – Zresztą, co tu mówić.

Liza się zatrzymała:

– No, nie ze wszystkim mogę się zgodzić. Po pierw-

sze, i ronda, i scherza, i wszystkie formy taneczne były u Beethovena do samego końca. Po drugie, a czym jest *Arietta* w ostatniej sonacie? Niczym innym, jak cieniem menueta! Właśnie cieniem jakiegoś menueta, który odszedł w odległe niebiosa, i jeżeli nawet ktoś tańczy w jego rytm, to chyba tylko aniołowie. Jeżeli istnieją! To już nie jest taniec, tylko jego symbol, hieroglif. Już poza granicą życia, poza czasem, bezcielesny.

Liza trzymała Sanię pod rękę – było strasznie ślisko, w świetle latarni jarzyły się oblodzone drzewa. Ścisnęła przez kurtkę jego rękę – jak w dzieciństwie, kiedy siedzieli obok siebie w konserwatorium i przekazywali sobie tajemne znaki porozumienia.

– Oczywiście, oczywiście. Ale z czasem są inne komplikacje... – Sania wciąż nie mógł się powstrzymać. – Czas się rozwarstwia, a nie porusza od punktu A do punktu B... Jak cebula, w której wszystko odbywa się równocześnie. Jest bliski końca... Stąd to cytowanie. Chyba nic wartościowego się nie starzeje. Bo w świecie jest wielka mnogość wszystkiego i światów też jest wielka mnogość – tak myślę. Świat Beethovena, świat Dantego, świat Alfreda, świat Josifa... Tajemnica w tym...

– No, dość już, dość, przestań. Jeszcze jeden cytat, pamiętasz? – przerwała mu Liza i zwolniła kroku:

Tajemnica ta, ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta,
A dokładniej rzec nie mam prawa...*

– Tak, oczywiście. Poetą był kiepskim. Ale dotykał tajemnicy – w prozie. Jak sądzisz?

– Nie wiem, Sania. Niby staliśmy się dorośli, ale teraz wiem o wiele mniej niż w młodości.

* Władimir Nabokov, *Stawa*.

Potem szli w milczeniu, balansując, obawiając się poślizgnięcia – pod nogami było istne lodowisko.

– Patrz, nie napotkaliśmy ani jednej taksówki. Trzeba było wezwać telefonicznie. – I nagle Liza przypomniała sobie to, co dawno chciała powiedzieć.

– W zeszłym roku widziałam w Paryżu Wierę, dawała koncert mistrzowski swoich uczniów. Najpierw pomyślałam, jaka to szkoda, że już nie koncertuje. A potem posiedziałam na jej lekcjach... Wcale nie szkoda: wykonawców jest tak wielu, a ona tworzy szkołę gry na fortepianie. Albo kontynuuje. Rosyjską szkołę. Ty też należysz do rosyjskiej szkoły. Jesteś uczniem Kołosowa.

– W pewnym sensie. Wiesz, Jurij Andriejewicz do samej śmierci nie wybaczył mi wyjazdu.

– To był szczególny człowiek. Na swój sposób patriota. A my jesteśmy kosmopolici. Naszą ojczyzną jest muzyka.

– To dlaczego w takim razie mówisz o szkole rosyjskiej? Nie, nie jesteś żadną kosmopolitką. Ty ze swoim Czajkowskim też jesteś muzykiem rosyjskiej szkoły.

– Dlaczego wy wszyscy nienawidzicie Czajkowskiego?

– Mnie już dawno przeszło. To nasz przyjaciel Josif go nie lubi za jawne emocje i patos.

– On sam, nawiasem mówiąc, chociaż pozbawiony patosu, też należy do rosyjskiej szkoły.

– Nie, on jest światowy.

– No nie, przepraszam cię, on pisze jednak po rosyjsku!

– Tak. Po rosyjsku.

Obok, o mało nie zawadzając o Lizę, zatrzymała się taksówka. Wsiadł z niej zwałisty pijany facet. Sania machnął do taksówkarza, pogładził Lizę po włosach, pocałował. Ona przeciągnęła dłonią od jego skroni do podbródka. Z daleka mogło się wydawać, że żegnają się kochankowie.

– Może najpierw odwieziemy ciebie?

– Nie, ja przecież mam blisko. Przejdę się.

– Na razie.

– Na razie.

Była pierwsza w nocy, 28 stycznia dziewięćdziesiątego szóstego roku.

Tej nocy zmarł poeta*.

* Josif Brodski zmarł w USA 28 stycznia 1996 roku (przyp. tłum.).

Dziękuję moim drogim przyjaciółom, przy których
czułam się jak pływak w kole ratunkowym.

Dziękuję Jelenie Kostjukowicz – za codzienne
wsparcie, wspaniałe rozmowy, ostrą krytykę, ogromną
pracę redaktorską i w ogóle za przyjaźń.

Dziękuję Alonie Smorgunowej i Jurijowi Frejdinowi –
jako uczestnikom procesu pisania książki.

Moim przyjaciółom Aleksandrom – Smolańskiemu,
Okuninowi i Bondariewowi – za uważną i twórczą lek-
turę, mnóstwo uwag i pełne zainteresowanie.

Sani Danielowi, Witii Dziadce, Igorowi Koganowi,
Jelenie Murinej – świadkom epoki, ludziom bez strachu
i zmazy – a może ze strachem, co stawia ich w moim
mniemaniu jeszcze wyżej, za długie moskiewskie roz-
mowy o naszej wspólnej przeszłości.

Moim drogim izraelskim przyjaciółom, którzy ser-
decznie i ofiarnie pomagali mi upalnym latem 2010
roku – aniołowi stróżowi Lice Nutkiewicz, Sierioży
Ruzerowi, Luboczce i Sandrikowi Kamińskim, Igoro-
wi i Tacie Gubermanom, Lusi Gorkuszenko – za ciepło,
troskę, delikatność.

Moim drogim mężnym przyjaciółkom Lenie Kesz-
man, Tani Safarowej, Irze Jasinej i Wierze Millionszy-

kowej, z którymi korespondencja i rozmowy były tak ważne w lecie 2010 roku, kiedy książka dobiegała końca i siły też.

Moim przyjaciółom muzykom, którzy pomogli mi przejść przez cudowny las muzyki – Wierze Gornostajewej, Olesii Dwoskin, Wołodii Klimowowi i Oldze Schnitke-Meherson.

Proszę o wybaczenie tych, których zapomniałam w tej chwili wymieniść, a potem będę się zamartwiać – jak mogłam zapomnieć podziękować.

Z wdzięczną pamięcią o tych, co już odeszli, a stali za plecami moich literackich bohaterów; o nieskazitelnym i tych skażonym w krwawej maszynie czasu, o tych, którzy się jej oparli, i o tych, którzy nie bardzo; o świadkach i bohaterach, o ofiarach – teraz i zawsze.

Ludmiła Ulicka
Listopad 2010

SPIS TREŚCI

Prolog.....	7
Cudowne lata szkolne... ..	10
Nowy nauczyciel.....	43
Dzieci podziemia.....	74
„Mirpisi”	85
Ostatni bal	118
Przyjaźń między narodami.....	134
Zielony namiot	146
Emerycka miłość	189
Wszyscy są sierotami.....	198
Wesele króla Artura	212
Za małe kozaczki.....	239
Wysoki rejestr	247
Koleżanki z klasy	280
Brodnik	328
Wielkogłowy anioł.....	342
Dom z rycerzem	351
Plama z kawy.....	355
Zbieg	365
Potop.....	394

Cień Hamleta	412
Dobry los	428
Nieszczęsny królik	440
Droga w jedną stronę	470
Głuchonieme demony	476
Ogród Milutinowski	510
Na pierwszej linii	558
Ordery w majtkach	584
Imago	596
Rosyjska historia	631
<i>Ende gut</i>	645
Epilog. Koniec pięknej epoki.	672